

DWUŚWIAT

KSIĘGA I Przedwojnie

W. & W. Gregory



W. & W. Gregory

DWUŚWIAT

Księga I. Przedwojnie



Copyright © by W. & W. Gregory, Stanica 2023

Copyright © by Wydawnictwo Opener, Stanica 2023

Wydanie drugie

ISBN – druk – 978-83-67837-06-4

ISBN – ebook – 978-83-67837-07-1

Grafika:

Tobiasz Stochel

Redakcja i korekta (wydanie pierwsze):

Kinga Szelest, Ewa Stec, Dominika Świtkowska

Korekta (drugie wydanie):

Czcionka Natalia Tarka

Łamanie i dtp:

Studio Grafpa, www.grafpa.pl



www.wydawnictwoopener.pl

@wydawnictwoopener

@wwgregory

Konwersja:

Studio Grafpa, www.grafpa.pl

grafpa

„Wielkość człowieka polega na jego postanowieniu,
by być silniejszym niż warunki czasu i życia”.

Albert Camus

ROZDZIAŁ 1.

Inco

Nie mam dla pani dobrych wiadomości – powiedział doktor Steavans, wyrzucając do kosza zużyte jednorazowe rękawiczki.

Na twarzy Jasmin pojawił się niepokój. Leżała w samej bieliźnie na kozetce z akrylowego szkła, zaścielonej płócienną narzutą. „Co poszło nie tak?” – głowiła się. Miała ochotę zadać pytanie, lecz tylko zacisnęła wargi i odwróciła wzrok w stronę okna. Zawsze tak robiła, kiedy dobierała słowa. Tym razem jednak na zewnątrz było zupełnie ciemno, nie pomogło. Majające w oddali światło robiło dość przygnębiające wrażenie i nie pozwalało się skupić. Zerknęła nieśmiało z powrotem na lekarza. Wiadomość, jeszcze niewypowiedziana, choć już brzmiąca jak wyrok, z pewnością odmieni jej życie.

– To cięża mnoga – kontynuował czarnowłosa lekarz. – Rzadko się zdarza i nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem do czynienia z trójką dzieci tej samej płci.

Steavans uciekł wzrokiem w stronę aparatu do badań prenatalnych. Skupił się na przezroczystym, spiralnym wężu. Z metalowego opakowania wyjął szmatkę nasączoną błękitnym żelazem i zaczął nią przecierać wystający z węża, lśniący dozgonną sterylnością czujnik. Polerowanie wyglądało na zwykłe odwrócenie uwagi. Lekarz zachowywał się tak, jakby nie chciał w tym momencie patrzeć w te wielkie bursztynowe oczy, które z każdą sekundą coraz bardziej zapełniały się łzami, aż uroniły strugi smutku na policzkach. Ten widok nie był mu obcy. Większość poprzednich przypadków, których był świadkiem, stanowiły pojedyncze cięża. Jeśli pojawiały się bliźniacze, raczej dotyczyły rodzeństwa obydwu płci. Precedens Jasmin najwyraźniej niebawem go zaskoczył.

– Muszę wpisać dane do modułu komputerowego. Dobrze? – zapytał z wyczuwalną troską.

Kiwnęła głową. Odebrał to jako akceptację. Urządzenie, które włączył, miało korpus z kilkoma przyciskami, miniprojektor oraz klawiaturę. Natychmiast zapaliła się mała lampka. Rzuciła wąski snop białego światła w kierunku ściany, tworząc ekran. Na nim po chwili pojawiło się brunatne tło i biały nagłówek Urzędu Kontroli Płci, a potem kod do autoryzacji.

– Jasmin Kozllov, córka Irminy i Omara, żona Addama. Wiek: trzy i pół. Dobrze pani wygląda – powiedział ze szczerym uśmiechem na twarzy Steavans.

– Dziękuję.

Usłyszane zdanie wybudziło pacjentkę, jakby przed momentem była zupełnie gdzie indziej. Szybko przetarła oczy.

– Jest pan bardzo miły – dodała.

– Poproszę pani kartę meldunkową. Muszę ściągnąć dwadzieścia bytów za wizytę. W takim przypadku nie może być mowy o odroczeniu. Sama pani rozumie. I proszę się ubrać.

Jasmin wiedziała, że na nic jej się zda udawanie, że zapomniała karty. Jakiś czas temu Rząd wprowadził szybkie rozwiązanie dla kilku plag nurtujących społeczeństwo. Wystarczyło, że istniał jeden bardzo poważny problem. Takie drobiazgi jak kradzież, gwałt czy wyrządzenie komuś krzywdy kończącej się trwałym kalectwem należało sprawnie i definitywnie

wyeliminować. Dlatego za wszystkie powyższe przewinienia ustalono następujące kary wybierane losowo przez sędziego prowadzącego rozprawę: dożywocie w więzieniu o zaostrożnym rygorze, to samo w obozie pracy albo ewentualnie szubienica. Podziało. Od tamtej pory praktycznie nie zdarzały się drobne kradzieże, jeśli już, to tylko na szeroką skalę. Znakiem czasu stała się moda na przezroczyste sakwy. Jasmin też nosiła taką. Doktor Steavans, jak każdy, bez trudu mógł ocenić, że wewnątrz tej leżącej w jego gabinecie obok kozetki znajduje się różowy komunikator, markowe odświeżacze, jeden do ust, drugi do dłoni, dwa czerwone batony regeneracyjne oraz rzeczona karta meldunkowa. Wielofunkcyjny dokument wyglądał jak metalowa blaszka ze szklanym chipem usytuowanym przy jednej z jej krawędzi. Służył do otwierania domu, do kontaktu z bankiem, ubezpieczycielem, a także – co jeszcze do niedawna nie było takie oczywiste – jako symbol tożsamości. Z pełną historią zdrowia. I co najważniejsze – był łatwy do identyfikacji w sakwie.

Jasmin z trudem podniosła się z pozycji półleżącej i usiadła na kozetce. Po chwili westchnęła, wyjęła kartę i wręczyła lekarzowi. Doktor Steavans wsunął ją do czytnika zlokalizowanego z przodu modułu komputerowego i wcisnął czarny przycisk. Na ekranie pojawiły się wszystkie dane pacjentki, łącznie ze stanem jej konta, na którym uzbierała dwadzieścia sześć tysięcy bytów. Lekarz zrobił lekki grymas, jakby zdziwił się na widok tej kwoty. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że jego reakcja może wyglądać niestosownie, i w rewanżu dość niezdarnie się uśmiechnął.

– Gotowe. Przewidywany termin porodu... – Steavans tylko kliknął dwukrotnie w klawisze, wyjął kartę z czytnika i oddał pacjentce.

W tym czasie moduł komputerowy obwieścił krótkim sygnałem rozpoczęcie drukowania poważnie wyglądającego raportu.

– Powie mi pan? – zapytała, zapinając suwak sukienki.

– Jakie to ma znaczenie? Musi pani być dzielna.

Lekarz wyłączył ekran i nacisnął wielki czerwony przycisk zlokalizowany na środku biurka. W tym momencie rozległ się przeraźliwy dźwięk, który najwyraźniej wróżył kolejne złe wieści. Wraz z jego ustaniem otworzyły się drzwi i do gabinetu wparowała bez pytania żylasta funkcjonariuszka UKP, do tej pory czekająca w hallu niczym biegacz w blokach startowych. Jej brunatny, idealnie skrojony i wyprasowany mundur oraz nieprzejednany wyraz twarzy zwiastowały kłopoty.

– Pani Gibbondy, proszę spojrzeć na ten raport – oznajmił sucho doktor Steavans i wskazał na leżący przed nim na biurku wydruk.

– Trzy? No, no.

Funkcjonariuszka zaglądająca przez ramię lekarza uśmiechnęła się szeroko, jakby była podekscytowana. Zwróciła się do Jasmin.

– W poczekalni jest stojak z zanętami lekarzy, którzy z nami współpracują. Nie jak doktor Steavans...

– Któremu najchętniej zabralibyście licencję, ale wie pani tak samo jak ja, że nie możecie tego zrobić – przerwał jej lekarz. – Szkoda, prawda?

– Nie rozumiem tego sarkazmu. Jest pan faktycznie cenionym ginekologiem, ale gloryfikowanie lekarzy, którzy nie uczestniczą w narodowym programie, w moim odczuciu jest zwykłym nadużyciem. Panu jest obojętne, co się stanie z rasą ludzką. Tak. Dla mnie jest pan po prostu obłudnym gnojem i czekam, aż pana przyłapiemy na złamaniu prawa! – wykrzyczała z grymasem na twarzy, po czym sztucznie uśmiechnęła się do Jasmin.

- Ładniutka, masz dwanaście dni na załatwienie sprawy. Teraz są takie nowoczesne metody. Nic nie będzie bolało.

W tym momencie Jasmin zdała sobie sprawę, że w emblemacie Urzędu Kontroli Płci litery u, k i p umieszczono w obwódce w kształcie ludzkiego serca. Odebrała to jako nietakt lub co najmniej zgrzyt intencji autora. W tym czasie pani Gibbondy wyjęła z bocznej kieszeni munduru komunikator i z dumą doniosła do centrali na niejaką J. Kozłlov, wiek: trzy i pół. Jasmin nie chciała już tego słuchać. Włożyła szmaciane sandały, zerknęła ostatni raz na lekarza i ze spuszczoną głową wyszła z gabinetu. W poczekalni zauważyła, że w międzyczasie pomimo wieczornej pory zrobiło się tłoczno. Kobiety czekające na swoją kolejkę w większości wyglądały na zmartwione. Nie wiadomo, czy z powodu współczucia, jakim darzyły wychodzącą od lekarza pacjentkę, czy może obawy, że czeka je podobny los.

Wychodząc z budynku, Jasmin nawet nie dostrzegła, że na zewnątrz pojawiła się lekka mgła i niewiele widać. Kiedy godzinę wcześniej opuszczała apartament, w którym mieszkała z mężem, temperatura oraz wilgotność powietrza nie wróżyły zmiany pogody. Choć w zasadzie mgła nie dokuczwała zbytnio i zazwyczaj trwała krótko, kobiety z tej części miasta złościły się, kiedy burzyła efekt pracochłonnego uczesania. Jasmin była białowłosa. Jej kosmykom długości jednej piątej łokcia – w większości niedbale sterczącym w różnych kierunkach (tylko niektóre z nich były zmierzwione w kontrolowany sposób) – nigdy nie przeszkadzały niezapowiedziane zmiany warunków atmosferycznych. Tym bardziej teraz, kiedy miała zdecydowanie ważniejsze utrapienie niż jakaś tam fryzura. W mleku mgły szła bezwiednie jak po sznurku. Jakby jej ciało poruszało się drogą znaną na pamięć, myśli zaś krążyły zupełnie gdzie indziej. Addam nie podejrzewał, że planowała odwiedzić doktora Steavansa. To miała być niespodzianka. Czy powinna mu powiedzieć? Jak on zareaguje? Wiedziała, że ma półtora tygodnia do namysłu. Tyle dała jej funkcjonariuszka Gibbondy. „Wredna” – tak o niej pomyślała. Jeśli Jasmin nie wykona polecenia w terminie, na jej karcie meldunkowej pojawi się blokada finansowa, zabezpieczenie na poczet przyszłych drakońskich podatków. Podobnie stanie się z kartą Addama. Dopóki sprawa nie wyjdzie na jaw, Jasmin miała szansę przemyśleć, co powinna począć. Niby tak się tylko mówi, że usunięcie ciąży to nic trudnego. Znała jednak kilka koleżanek, które po takim właśnie zabiegu, nawet przeprowadzonym we wczesnej fazie ciąży, zostały okaleczone na zawsze. Nigdy nie będą mogły urodzić dzieci. Ginekolodzy współpracujący z UKP to oprawcy, nie lekarze. Doktor Steavans podobno był inny. Udała się do niego z polecenia najbliższej koleżanki.

Kiedy dotarła do apartamentu, postanowiła nie pokazać po sobie, skąd wraca. Rzuciła się Addamowi na szyję i mocno go ucałowała. Nie pytał o nic. Mężczyzna, którego uważała za inteligentną bestię, zawsze robił na niej tak samo dobre wrażenie jak dziś. Kochała go mądrze. Uczucie to było połączeniem pożądania i obietnicy zapewnienia godności, szacunku i satysfakcji wynikających z poczucia bezpieczeństwa. To dla Addama zdecydowała się na ślub, a potem rozważyła potomstwo, choć wcześniej dzieci wzbudzały w niej lekką odrazę. Były nadmiernie kosztowne, zbyt hałaśliwe i zazwyczaj wredne. Wiedziała o tym, gdyż wielokrotnie dostrzegła te cechy u pociech swoich przyjaciółek. Każde z planowanych babskich spotkań kończyło się tak samo – towarzystwem rozwydrzonego gówniarza, skupionego na sobie egoisty. „To była zapewne oznaka odreagowania modnego w tych czasach zimnego chowu, a także dyscypliny wpajanej od przedszkola” – tak myślała. Paskudne bachory spowodowały, że

ostatecznie przestała utrzymywać kontakt z ich matkami, bez szkody dla obydwu stron. Od tamtej pory przestała używać słowa „przyjaciółka”.

Dużo czasu zajęło jej podjęcie decyzji o posiadaniu własnego dziecka. W sumie chciała, by stali się z Addamem prawdziwą rodziną, nie tylko parą. Zaczęto podszeptywać, że niby coś jest z nią nie tak. Przejęła się trochę, choć udawała, że nie obchodzą jej plotki. Nie była jednak pewna, czy to ten czas. Szczególnie, że Addam dość długo zachowywał się jak rozpieszczony młokos, najmłodsze, wychuchane dziecko swoich nadopiekuńczych rodziców. W końcu zdała sobie sprawę, że wiek trzy i pół to najwyższa pora na zmianę, odstawiła więc środki antykoncepcyjne. W myślach wmawiała sobie, że zrobiła to dla Addama, bo to on chciał mieć syna. Kiedy pojawiły się pierwsze objawy sugerujące ciążę, ucieszyła się nie tylko dlatego, że sprawi przyjemność mężowi i jego rodzinie. Pomyślała także o spełnieniu marzenia swojej matki, która wielokrotnie insynuowała, że nie dożyje wnuków. Jasmin wyobraziła sobie całą szczęśliwą rodzinę, celebrującą życie w nowych okolicznościach. Przed zbliżającym się terminem wizyty u doktora Steavansa zaczęła nawet zwracać się do dziecka, choć przecież wcale nie była go jeszcze pewna. Mówiła do niego „gość”, szeptem. Wcześniej takie zachowanie wydawałoby jej się absurdem, idiotycznym wymysłem niedojrzałych kobiet. Wytłumaczyła to sobie rodzącą się więzią. Zdziwiła ją ta myśl. „Widocznie to hormony albo jakiś rodzaj ucieleśnienia uczucia, jakim darzę Addama” – sądziła.

Jej mąż był niezbyt przystojnym, lecz dobrze zbudowanym i zdrowym, jak cała jego rodzina, żółtowołosym. Miał nowoczesną, średniej długości fryzurę i gęsty zarost. Najpierw zakochała się w jego analitycznym umyśle, dopiero potem polubiła jego inne zalety. Niechętnie natomiast akceptowała wady, które z czasem jedna po drugiej zaczęły się ujawniać i zagnieźdźać w ich związku. Złośliwi plotkowali, że pochodząca ze średniej klasy dziewczyna wyszła za mąż właśnie za Addama, bo rodzina Kozilov cieszyła się znakomitą sytuacją materialną i sporym szacunkiem w społeczności. Dobrze też układała się z władzą. Addam za ukończenie studiów otrzymał od rodziców przestronny apartament, w którym zamieszkał z żoną po ślubie. Jego dwaj dużo starsi bracia piastowali wysokie stanowiska w korporacjach, w dodatku spłodzili synów, co tylko dodało rodzinie dodatkowego splendoru. „Taki gen – żartował wielokrotnie – w naszej rodzinie nie rodzą się córki”. Jasmin odrzuciła wszystkie złe myśli i tego wieczoru skupiła się tylko na mężu. Kochali się tej nocy żarliwie. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów zgodziła się na wszystkie jego zachcianki.

W tym świecie wiele obszarów życia było poukładanych w liczby parzyste. Dwie społeczności mieszkaly w dwóch krainach, z których Inco stanowiło prawie jedną czwartą powierzchni małej planety. Właśnie dlatego potocznie nazywano ją „ćwiercią”, czasem „południową ćwiartką”. Drugą krainę – Floris, składającą się z pozostałych trzech ćwiartek, w Inco nazywano kąśliwie „wiochą”, a nawet „zadupiem”. Żyjących tam ludzi mieszkańcy sąsiedniego kraju przezywali „wieśniakami”, czasem „głupkami”, najrzadziej „Floriańczykami”. Inco było podzielone w układzie centrycznym na cztery strefy zwane „dzielnicami”.

W samym środku kraju – pierwszej dzielnicy, stała ogromna metropolia pełna luksusowych wieżowców. Ich dolne partie stanowiły części biurowe, na górnych zaś piętrach znajdowały się wielopoziomowe apartamenty najbogatszej części społeczeństwa. W tej części Inco komunikacja miejska była zupełnie niepotrzebna. Młodzi ludzie zazwyczaj chodzili piechotą, najczęściej szerokimi deptakami, ułożonymi w regularną siatkę kwadratów z bezkolizyjnymi,

wielopoziomowymi skrzyżowaniami. Starszych, którzy nie mieli na tyle zdrowia, by poruszać się o własnych siłach, chowano w domach, by nie stwarzali zagrożenia i nie gorszyli swym widokiem społeczeństwa opętanego aktywnością fizyczną. Czasem można było zobaczyć unoszące się niewiele nad ziemią pojazdy, ale to była rzadkość i dotyczyła raczej osób związanych z Rządem lub państwowymi służbami.

W dalszej odległości od centrum, tak zwanej dzielnicy drugiej, znajdowały się slumsy, słusznie nazywane „filtrem”. Wielopiętrowe, położone jeden przy drugim budynki, w których mieszkaly rodziny robotnicze i cała plejada wyrzutków społecznych, filtrowaly napływajacy z dalekich rubieży, czyli dzielnicy trzeciej i czwartej, piasek i pył, nie pozwalajacy im na przedostanie się do czystej dzielnicy pierwszej. Tylko w slumsach funkcjonowala komunikacja miejska, bazujaca na niekończących się wielopoziomowych taśmociągach. Jeśli działaly, najczęściej poruszaly się nimi osoby starsze. Nie pojawialy się tutaj pojazdy rządowe, ale widok różnego rodzaju środków transportowych gardy, lokalnej policji, nie był raczej nikomu obcy. To tu najwięcej pracy miały służby pożarnictwa i ratunkowe.

Trzecią dzielnicę stanowiły skupiska zakładów produkujących pożywienie i technologiczne dobra, wytwarzających i kumulujących energię z promieni Hello na potrzeby fabryk, a także służących do poboru i destylacji wody z pobliskich martwych jezior. W tej dzielnicy zlokalizowana była także baza wojsk i straży granicznej w jednym. Była to nowoczesna jednostka, w pełni zautomatyzowana i zdominowana przez roboty. Zarządzała nimi niewielka grupa zawodowych oficerów, w większości płci męskiej. Do dyspozycji mieli oni różnego rodzaju broń wykonaną w ramach dostępnych technologii. Rząd nigdy nie oszczędzał na ochronie granic.

Na ostatnią, czwartą dzielnicę, najbardziej oddaloną od centrum Inco, składały się nieprzejezdne skaliste stopy z dostępem do niezbędnych minerałów oraz niewielka pustynia. Inco było niemalże całkowicie pozbawione jakiegokolwiek roślinności i zwierząt. Granica między tą krainą a Floris przebiegała przez trudne do pokonania pasmo górskie i tylko na jednym odcinku wzdłuż szerokiej, życiodajnej rzeki Ethne, wraz z wysokim wodospadem Pinati. Z uwagi na słabe przewietrzanie całe Inco pokryte było siwym smogiem, regularnie rozganiąnym przez autonomiczne, latające maszyny w kształcie ptaków z wielkimi ruchomymi skrzydłami. Pracowały na okrągło.

Inco było samowystarczalne. Słodkiej wody kiepskiej jakości było zawsze pod dostatkiem, choć relatywnie nie należała do tanich. W zachodniej części trzeciej dzielnicy w kilku państwowych zakładach odbywała się produkcja żywności. Składały się na nią batony regeneracyjne – czerwone, wysokobiałkowe, zwane piesszczotliwie „breją”, a także zielone, opierające się na węglowodanach, na które się mówiło po prostu „pasza”. Stojący w pobliżu martwego jeziora wielki kompleks fabryk produkował ich dziennie około stu milionów każdego rodzaju. Przyjemność z jedzenia została zamieniona na pęd ku zdrowiu. Batony zapewniały optymalną, wyliczoną ilość składników niezbędnych do życia. Wystarczyło zjeść po jednym dziennie. Resztę diety stanowiły suplementy. Wszak od wielu pokoleń, w zasadzie od początku dwudziestej czwartej ery, czyli kiedy do władzy doszła Partia Chemików finansowana przez kartele farmaceutyczne, mnogość leków i suplementów na wszystkie dolegliwości była praktycznie niepoliczalna. Po dwudziestej drugiej erze, kiedy zdano sobie sprawę, że społeczeństwo umiera zbyt szybko z powodu otyłości, szczupła sylwetka stała się narodową obsesją. Zadziałało. Szybko spadła umieralność, a średni wiek, którego dożywali obywatele Inco, podniósł się dwukrotnie.

Język społeczności od zawsze w jakimś stopniu ewoluował, choć w różnym tempie w poszczególnych rejonach. Funkcjonowały lokalne narzecza, różne znaczenia tych samych słów i odmienne formy gramatyczne. Trudno mówić o jedności w narodzie, który opisywał różnymi słowami te same zjawiska czy wartości. Trzy ery przed początkiem świata, czyli podziałem na dwie krainy, Rada składająca się z ówczesnych mędrców zadecydowała, że należy nie tylko ujednoczyć język, lecz także cechom poszczególnych prawideł życiowych nadać tożsame nazwy. Najpierw ustanowiono porządek w zakresie jednostek czasu. Do tej pory jedni mierzyli go w dniach, drudzy w tygodniach, jeszcze inni w miesiącach. Mimo że jednostki dały się ułożyć w logiczną całość, zawsze był z nimi jakiś kłopot.

Po wielu dyskusjach Rada zgodziła się co do tego, że Wszechziemia wędruje po swojej orbicie wokół gwiazdy zwanej „Hello” w powtarzalnym cyklu. Podczas tej wędrówki na planecie występowały dwie odmienne pory. Jedna z nich, trwająca dokładnie sto dwanaście miesięcy, nazywana była prawie wszędzie tak samo: „rozkwit”. Na drugą, będącą uzupełnieniem roku, trwającą tylko dwa miesiące, praktycznie w każdej ćwiartce mówiono inaczej: „oczyszcina”, „odnowienie”, „odnowa”, „oczyszczenie”. Na domiar złego w ćwiartce zachodniej i prawie w całej północnej tę porę roku traktowano jako ważniejszą i krótko występującą, dlatego to w niej odmierzano czas. Mawiano tam, że coś trwało jedną „oczyszcinę”, co oznaczało, że w przybliżeniu minęło jedno okrążenie wokół Hello. Nie wszyscy rozumieli, jak to jest możliwe, że „oczyszcina” to rok, ale także krótsza pora roku. Aby nie powstał bałagan oraz aby ludziom nie mieszały się dwa znaczenia jednego słowa, ustanowiono, że „oczyszczeniem” od tej pory będzie się nazywać pełny rok, zaś pory, które się na niego składają, to „odnowa” i „rozkwit”.

Każdy dzień podzielono na pięć pór: poranek, południe, popołudnie, wieczór i noc. W trakcie jednego oczyszczenia czas trwania poszczególnych pór dnia zmieniał się w zależności od pozycji Wszechziemi względem Hello.

Czas pomiędzy poszczególnymi współksiężycami – czyli dniami, w których podczas nocy trzy z czterech widzialnych księżyców tworzyły jedną linię na niebie – nazywał się miesiącem i trwał cztery tygodnie, po osiem dni każdy. Takich miesięcy było w ciągu całego oczyszczenia sto czternaście, w tym sto dwanaście podczas rozkwitu, dwa zaś podczas odnowy. Jedna era trwała dokładnie sto oczyszczeń. Po tych ustaleniach wreszcie nastął porządek. Kiedy uporano się z tym palącym problemem, w mig cały język został zunifikowany i w tym kształcie funkcjonuje do dziś.

Rozkwit był dominującą porą lokalnego roku, podczas którego zazwyczaj było ciepło i słonecznie. Deszcz, o ile padał, to krótko i rzadko, w zasadzie tylko w nocy. Czasem wieczorami pojawiała się mgła. Podczas odnowy najpierw szybko wzrastała temperatura, wręcz nastawał dotkliwy upał. Natychmiast nadchodziły burze, wiał silny wiatr i padał obfity deszcz. Potem robiło się coraz chłodniej, prawie lodowato. Wszystko zamarzało i po kilku dniach, niektórzy mawiali: „po kilku wschodach Hello”, nagle budziło się do życia. Znow zaczynał się rozkwit. I tak w kółko. Podczas odnowy, tej krótkiej pory roku, wszystkie rośliny zamierały, stworzenia zaś zasypiały w norach. Ten cykl dotyczył także gatunku ludzkiego.

Floriańczycy żyli w zgodzie z naturą, czyli w trakcie trwania odnowy regenerowali się w norach. W Inco ta zwyczajowa dla gatunku funkcja życiowa była passé. Jeszcze w osiemnastej erze uznano, że to strata czasu. Wymyślono sposób na przeczekanie. Wszyscy jednak wiedzieli, że podczas tej pory roku ciała i umysły żyjących stworzeń muszą ulec

odświeżeniu, eliminacji nagromadzonych złych emocji i toksyn. Mimo to zdecydowano o zmianie i nikt nigdy nie odważył się zaproponować powrotu do korzeni.

Od kiedy ludzie w Inco zastąpili naturalne procesy nowymi rytuałami, zaczęli żyć krócej i w gorszym zdrowiu. Nie powiązano tych dwóch faktów. Miało być nowocześniejsze, więc było. Akcja goniła reakcję. Skoro ludzie zaczęli tyć i podupadać na zdrowiu, wynaleziono sposób na długowieczność – lekarstwa. Genetycznie zmodyfikowane suplementy sterujące hormonami stały się podstawą diety człowieka z Inco. Pojawiły się tabletki na wszystko. Na wszelkie bóle, otyłość, na złe samopoczucie. Nawet leki związane z popędem seksualnym miały wiele różnych wersji. Powstała dwudziestopniowa skala uwzględniająca wszystkie możliwe stany, od całkowitego braku popędu przez mały i średni aż do nieustannej nadpobudliwości. Całe ciało można było kontrolować. Wszystkie hormony, każdy organ i jego działanie, o każdej porze dnia. Lekarstwa miały swoje marki. Dla bogatszych to lepsze, a masowe dla biedoty ze slumsów, która z czasem zaczęła tracić zęby. Ten stan wytłumaczono zmianą ich stylu życia. Wszak od co najmniej dwóch oczyszczeń raczej nie gryźli, lecz żuli. Niby po to, żeby ograniczyć ilość zużywanej energii życiowej. Miało to być odpowiedzią na długowieczność i zapobiec ewentualnej otyłości. Uwierzyli.

Z czasem zaczęli potrzebować czegoś więcej. Ile można żyć w sterowanej garścią leków apatii? Dwanaście oczyszczeń wcześniej koncern Metachemie zarządzany przez jeden z karteli farmaceutycznych wprowadził na rynek zmodyfikowany lek hybrydowy o nazwie Ray. Miał on stanowić remedium na wszystkie dolegliwości. Nie chciało się po nim jeść, ale dawał sporo energii. Ludzie zażywający ten specyfik łatwo osiąkali sukcesy i czuli się szczęśliwi. Przyjął się szybko.

Nazajutrz rano, kiedy Jasmin jeszcze spała, Addam wysmarował swoje ciało kremem zawierającym sporą dawkę wartości odżywczych, witamin i minerałów, w niektórych miejscach grubo, tworząc śliską powłokę, która nie od razu chciała się wchłoniąć. Wklepał nadmiar, nie bez przyjemności, szczególnie na udach i w okolicach pośladków. Kiedy upewnił się, że jego ciało już się nie klei, włożył wierzchnią odzież wyglądającą jak lateksowy garnitur z krótkimi spodniami. Przegrzając breję, zerknął przez szklaną ścianę na panoramę Inco. Widok był oszałamiający. Przeszklone budynki sięgały chmur. Pomiędzy nimi wily się kolorowe deptaki zabezpieczone od góry energetyczną poświatą. Na tego rodzaju przesłonach od czasu do czasu wyświetlano z wielkich rzutników zanęty wszelkich usług i produktów. Były dobrze widoczne zarówno z luksusowych apartamentów usytuowanych na samej górze wieżowców, jak i z dołu, dla osób przechadzających się deptakiem. Zanęty te niemal krzyczały, że w tym mieście ideałem piękna nie jest kobieta, lecz mężczyzna, najlepiej młody i dobrze zbudowany. Czy to był chłopiec w średnim wieku, czy szpakowaty umięśniony brodac z dojrzałym, przenikliwym spojrzeniem, każdy z dumą prezentował swą męskość, czyniąc polecany produkt lub usługę bardziej atrakcyjnym. Największy udział w tym całodobowym widowisku stanowiły zanęty związane z niby dostępną dla każdego cybernetyczną technologią. Wyglądało na to, że ludzie wcale nie muszą pracować, bo wszelkie zajęcia mogłyby być wykonywane przez roboty – zarówno te bazujące na sztucznej inteligencji z wysokim wskaźnikiem empatii czy bezduszne humany wykorzystywane w straży granicznej, służbach ratunkowych oraz gardzie, jak i zwykle automaty do sprzątanía czy masażu, tudzież jonizacji powietrza. Z kolei wśród najczęściej polecanych usług zdecydowanie dominowała prostytucja.

Od początku dziesiątej ery, kiedy Rząd zdał sobie sprawę, że nie ma o co kruszyć kopii i wystarczy nałożyć stosowne podatki, usługa ta stała się całkowicie legalna. Od dobrych pięciu oczyszczeń, z uwagi na malejące zainteresowanie płcią żeńską, zawodem tym parali się prawie sami mężczyźni lub humanoidalne roboty o męskich rysach twarzy i transparentnej powłoce imitującej skórę. To była kolejna głupia moda, wypromowana na wzór przezroczystych sakw – przecież skoro wszystko jest widoczne, to nie ma obaw o nieczyste intencje producenta. Tak naprawdę chodziło o dekret związany z wyższością rodzaju ludzkiego nad cybernetyką. Aby nikt nie pomylił człowieka z maszyną i przez pomyłkę go nie wyeliminował, roboty dostały przezroczyste gęby. Wielu kobietom, które stać było na zakup nauczonego płomiennej miłości robota, nie podobało się to rozwiązanie. By zakryć nieczule wyglądające mechanizmy oraz poczuć namiastkę prawdziwej, męskiej twarzy, zamalowywały niedbale transparentną powłokę cielistą farbą. Czasem można było zobaczyć na wysypiskach śmieci zużyte roboty lub ich części z luszczącą się lub zdrapaną warstwą lakieru.

Zanim Addam wyszedł do pracy, stanął na chwilę obok niewysokiego płaskiego łoża zajmującego większą część wydzielonej w salonie ascetycznej sypialni. Spała w nim Jasmin, na brzuchu. Była naga. Jej delikatne ciało przykryte częściowo tiulową narzutą wyglądało niewinnie, a zarazem zjawiskowo. Jej jedyny na całym ciele pieprzyk, położony idealnie w środku pomiędzy łopatkami, na kręgosłupie, kusił, by sprawdzić, czy jest prawdziwy. Sprawiał wrażenie unikatowego. Addam zatrzymał na nim wzrok, prawie jak co dzień. Uśmiechnął się czule i delikatnie pocałował Jasmin w ramię. Nie poczuła jego ust. O tej porze spała jeszcze głębokim snem, choć w jej przypadku to nie był zwyczajny widok. Akurat na ten dzień zaplanowała sobie wolne od pracy. Była przekonana, że wiadomość, jaką dzień wcześniej przekaże mężowi, sprawi, że będą świętować do rana. Tak się nie stało. Kiedy poprzedniej nocy Addam usnął wykończony upojnymi pieścizotami, Jasmin jeszcze długo obracała się niespokojnie z boku na bok.

Nagle zabrzmiał donośny odgłos metalowego gongu wykonanego z kilku centralnie zamontowanych miedzianych pierścieni. Kiedy Jasmin go wybierała, dźwięk wydawał jej się subtelniejszy niż dzisiaj. Tym razem uruchomiła go brązowowłosa Luicey Biedermann, która nie mogła się doczekać wieści na temat potencjalnej ciąży. To ona poleciła doktora Steavansa koleżance. Zanim Jasmin otworzyła drzwi do apartamentu, okryła nagie ciało tiulową kołdrą. Znajoma wbiegła do środka i przeleciała jak piorun prosto do chłodziwa. Tak nazywało się pomieszczenie służące do przetrzymywania zapasu batonów regeneracyjnych oraz hektolitrów wody pitnej. Luicey wzięła jedną z małych butelek z etykietą, na której widniał zachęcający napis „Pearl. Z najczystszych źródeł Floris”. Odkręciła korek i wychyliła zawartość, budząc zdziwienie gospodyni.

– No mówże wreszcie, bo nie wytrzymam – wystrzeliła jednym tchem Luicey, po czym wzięła kilka głębokich oddechów.

– Czemu się nie kontaktowałaś? – zapytała zimno Jasmin.

– Sprawdź komunikator – oburzyła się Luicey.

Jasmin podeszła do łoża. Spod narzuty wyjęła małe różowe urządzenie, wyglądające jak latarka z kilkoma przyciskami, nacisnęła jeden z nich. Z komunikatora wydobyła się smuga niebieskiego światła, którą Jasmin wyświetliła na ścianie. Działał jak mikrorzutnik. Można było zobaczyć listę ostatnich połączeń. Większość była od Luicey.

- Faktycznie. Skąd wiedziałaś, że jestem w domu? – zapytała i wyłączyła komunikator.

- Byłam u ciebie w biurze.

Nagle zobaczyła, że na twarzy Jasmin pojawił się delikatny uśmiezek.

- No co się dziwisz? Oka nie zmrzyłam. Z nerwów zjadłam trzy pasze i teraz muszę nadrobić poziom wody. – Luicey wyglądała na niepokieszoną, że koleżanka nie doceniła jej zaangażowania. – Powiesz coś wreszcie czy mam cię błagać?

- No dobrze. Co chcesz wiedzieć? – zapytała Jasmin.

- Wszystko. Jak było? Jaki jest doktor Steavans? No i wiadomo...

- Było nawet znośnie. To nie jest moje ulubione badanie – wydukała nieśmiało.

- Ale konkrety, konkrety... – W głosie Luicey wyraźnie dało się wyczuć nutę złośliwej irytacji. – Chłopak?

- Nie – odparła krótko Jasmin i schowała twarz w dłoniach.

Nie takiej odpowiedzi spodziewała się Luicey. Postanowiła jednak podnieść na duchu koleżankę.

- Dziewczynka to nie kłopot. Zawsze mogło być gorzej. Jakby to była druga albo bliźniaczki... Pierwsze dziecko to jeszcze nie jest totalna tragedia. Bogaci jesteście, dacie sobie radę. Co na to Addam?

- Nie wie.

- O cholera. Ale powiesz mu?

- Tak, tylko... – Jasmin nie miała już ochoty kontynuować tej rozmowy, celowo zrobiła znużoną minę.

- Najwyżej znajdziemy ci jakiegoś sprawdzonego lekarza, który uwolni cię od problemu.

Luicey nie potrafiła wyzwolić u najlepszej koleżanki żadnych pozytywnych emocji, dlatego szybko postanowiła się ulotnić.

- Idę. Pamiętaj, jesteś jeszcze młoda. Pa, skarbie – powiedziała i wykonała sekretny, zapamiętany z czasów dzieciństwa ukłon, licząc, że ten ją rozbawi. Nie rozbawił.

Jasmin w zupełnej ciszy zamknęła drzwi od apartamentu. Zerknęła na niezasałone łóżko i udała się w kierunku chłodziwa. Wyjęła z półki jeden z zielonych batonów, odpakowała go i delikatnie ugryzła. Dziś jej nie smakował. Odłożyła go bezwiednie na półkę i poszła się odświeżyć.

W bogatszej części aglomeracji pomieszczenia regeneracyjne wyglądały bardziej jak salka gimnastyczna. Stały w niej urządzenia do ćwiczeń, używanych bez odzieży. Tak było bardziej higienicznie. Po zakończonym treningu wystarczyło uruchomić moduł soplukujący, który w formie spadającego z perforowanego sufitu deszczu zmywał pot nie tylko z ciała, lecz także z maszyn. Po całym procesie włączała się dmuchawa susząca całe pomieszczenie wraz z ćwiczącymi. Taka moda. Zupełnie inaczej to wyglądało w biedniejszej części Inco, czyli slumsach. Nie było pomieszczeń, a urządzenia regeneracyjne były raczej małego kalibru. Przenośna, wielofunkcyjna głowica, wyglądająca bardziej jak lokówka niż słuchawka od prysznicza, służyła do mycia, ewentualnego odgrzybiania czy odrobaczania, a także później do suszenia ludzkich ciał. Wystarczyło tylko zmienić program i korzystać w ramach przydzielonego poziomu wody i energii. Odświeżanie taką metodą miało dwie wady: trwało dłużej, a głowica często się zapychała. Poza tym w dzielnicy drugiej często brakowało wody, co więcej – była droga.

Tego dnia Jasmin pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie zamierzała ćwiczyć. Wydostała się z naleśnika zrobionego z tiulowej koldry i od razu włączyła moduł soplukujący

ciało. Strumień spadających kropel był jednak trochę za silny. Widocznie Addam nastawił ten konkretny program. Kobieta nie zmieniła go, lecz szybko przerwała odświeżanie. Kiedy włączyła program suszenia, moduł domagał się dokończenia poprzedniego procesu i zawiesił się. Jasmin siłowała się z urządzeniem, klnąc na Addama, że to jego wina. Wcisnęła kolejne guziki, lecz na ekranie cały czas wyświetlał się niedokończony program. Z każdą kolejną próbą Jasmin wściekała się coraz bardziej, aż w końcu poddała się z bezsilności. Wyszła naga i mokra z pomieszczenia.

Wystarczyło dotknąć ściany, wyglądającej jak kawałek betonu porośnięty sztuczną roślinnością, by ta schowała się w suficie, odsłaniając dostęp do garderoby. Kiedy Jasmin weszła do środka, była jeszcze trochę wkurzona na system odświeżania. Zły nastrój nie minął szybko, nawet wtedy, kiedy zobaczyła setki wariantów wierzchniej odzieży w różnych odcieniach szarości i półkę z butami. Z reguły ten widok poprawiał jej nastrój. Nie dziś. Włożyła pierwszą lepszą sukienkę na mokre, jędrne ciało i zaczęła głowić się nad wyborem sandałów. Nagle usłyszała znajomy dźwięk. To komunikator informujący o zbliżającym się połączeniu. Jego sygnał był zsynchronizowany z małym światełkiem migającym na usytuowanym w garderobie lustrze. Jasmin bez wychodzenia z garderoby sparowała urządzenia ze sobą, dotykając małego czujnika w prawym dolnym rogu lustra.

– Wstałaś wreszcie, śpiochu? – zapytał męski głos.

Był to znajomy tembr, który czasem potrafił ukoić jej nerwy. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– To pan? Proszę się rozłączyć, bo za chwilę będzie tutaj mój mąż – zażartowała, choć ton jej głosu nie brzmiał zbyt radośnie.

– Bardzo śmieszne – obruszył się Addam.

– Dawno się tak nie wyspałam, kochanie. Jak w biurze? Wszystko w porządku? – zapytała.

– Musimy porozmawiać.

Jasmin mocno zaniepokoił jego służbowy ton. Nie lubiła go. Zazwyczaj nie wróżył nic dobrego. „Skoro Addam zaczął w ten sposób rozmowę, oznacza to, że albo stało się coś okropnego, na przykład stracił pracę, albo dowiedział się o ciąży. Tylko od kogo? Czy Luicey się wygadała? A może ta franca z UKP zrobiła raban, że wysokiemu rangą pracownikowi Biura Badania Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych urodzą się trojaczki płci żeńskiej” – głowiła się.

– Okej – szepnęła krótko, choć jej głos brzmiał, jakby uwiązał w gardle.

– Jakie masz plany na dziś? – Addam sztucznie podtrzymywał rozmowę, czym zawsze wzbudzał w Jasmin irytację.

– Możesz powtórzyć? – odpowiedziała pytaniem, którego on nie znoślił, bo nie chciało jej się kontynuować tej maskarady.

– Muszę kończyć. Do wieczora – wymamrotał i rozłączył się.

– No to pa – powiedziała do siebie Jasmin. – Do wieczora.

Była pewna, że to będzie jeden z najdłuższych dni w jej krótkim życiu. Nie miała ochoty wyjść na zewnątrz. W Inco prognoza pogody była niezwykle precyzyjna i dokładna. Na dziś zapowiadano temperaturę rzędu sześciuset stopni Meyera i lekki wietrzyk. Czyli tyle samo co wczoraj, przedwczoraj i przez ostatnich szesnaście dni. Jutro z kolei, w wolne od pracy, ma być sześćset trzydzieści stopni i wieczorny krótki deszcz. Będzie jakaś odmiana. Zaplanowali z Addamem wizytę w galerii sztuki. Nie mogła się już doczekać.

Inco, jako miasto industrialne, nie oferowało zbyt wielu atrakcji dla głodnych wrażeń, zdruzzonych mieszkańców. Nie było żadnych restauracji. Bo po co? Kto chciałby jeść batony regeneracyjne przy pięknie udekorowanym stole i świecach? Była jedna karczma, urządzona w staroświeckim stylu, cholernie droga. Sprzedawano w niej posiłki wyprodukowane na bazie importowanych składników z Floris, ale jadali tam w zasadzie tylko przedstawiciele Rządu, kiedy gościli delegację z sąsiedniego kraju. Konsumpcja prawdziwego jedzenia dla ludzi z Inco kończyła się zazwyczaj dotkliwymi boleściami. Nie ma się co dziwić. Systemy pokarmowe oficjeli, jak również każdego mieszkańca tej krainy, zostały ograniczone do trawienia batonów.

Skoro nie występowały miejsca, w których można było coś zjeść, gdzie spotykała się elita tego miasta? Tylko w galeriach sztuki oferujących jedyny rodzaj dozwolonej twórczości, czyli hybrydę malarstwa i rzeźby. Dzięki łaskawości Rządu nieliczni artyści otrzymywali koncesję na tworzenie swych dzieł. Skupiali się raczej na technice malarstwa czterowymiarowego, czyli przestrzennego, które potrafiło mutować wraz z upływem czasu. Były to naprawdę pracochłonne cacka. Stworzenie jednego dzieła o wielkości, powiedzmy, człowieka, przedstawiającego zmieniającą się w czasie historię o długości kilku minut, zajmowało ćwierć oczyszczenia lub dłużej. Niemniej jednak, kiedy udało się ukończyć owo arcydzieło, nie brakowało chętnych na obcowanie z nim, nawet wielokrotnie. Innych dziedzin artystycznych brakowało. Rząd Inco nie uznawał w zasadzie sztuki, zabroniono wręcz nauki jakiegokolwiek rodzaju, szczególnie tych hołubionych we Floris, jak rzeźba, garncarstwo czy pieśniarstwo. Coś na kształt muzyki, czyli falujące dźwięki tworzące harmoniczne sekwencje wibracyjne, było dostępne szerokiemu gronu, ale tylko podczas ważnych uroczystości państwowych. Dźwięki te zastępowały hymn kraju. Prezentowany był zawsze w połączeniu z innym symbolem tożsamości narodowej, czyli białą flagą. Z innych atrakcji do wyboru była jeszcze teatromania, z czterema kanałami kontrolowanymi przez obóz rządzący. Pierwszy kanał w kółko nadawał informację o dokonaniach Rządu bądź Partii Chemików, związanej z kartelami farmaceutycznymi. Drugi na liście był kanał sportowy. Relacjonował ciekawe wydarzenia lub rozgrywki z rozmaitych dyscyplin. Nie dotyczyły one wyłącznie rywalizacji z udziałem ludzi, ale również różnego rodzaju robotów. Odbywały się one w towarzystwie dziennikarzy, których opinie przerywano zanętami. Na trzecim kanale można było zobaczyć inscenizowane moralizatorskie opowiadki. Czwarty z kolei kanał zawierał programy o zdrowiu, porady na temat wychowywania synów oraz prognozę pogody.

Za pomocą głosowej komendy Jasmin uruchomiła pierwszy kanał teatromanii. Natychmiast pojawił się wielki ekran wyświetlony na jednej z białych ścian. Akurat trwał program publicystyczny, w którym komentator jak co dzień snuł peany na temat zasług Rządu. Nagle obraz zanikł. Po chwili pojawiło się zdjęcie kilku oficjeli i komentarz na dolnym pasku: „Zatajenie prawdy. Rząd do dymisji!”. Jasmin nie wierzyła własnym oczom. Czy to było zamierzone? Wszak partia rządząca trwała na swoim od wielu oczyszczeń, a oficjelom wyglądającym zawsze tak samo zmieniały się tylko głowy. Nikt nikogo nigdy nie zwolnił, nikt nie podał się do dymisji. Nuda. Propaganda sukcesu partii była wykonywana wzorowo, w oparciu o najlepsze standardy marketingu. Jasmin potrafiła docenić ich sztukę. Sama pracowała w jednej z korporacji odpowiadającej między innymi za zrealizowaną z rozmachem popularyzację serii suplementów wspomagających redukcję płytki nazębnej.

Podkreśliła głos. Nie było nic słyhać. Po chwili na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie. Tym razem był to premier, Barney Clifford, z niezbyt przyjazną miną. Zatrzymany w kadrze obraz szybko został usunięty i po krótkiej przerwie przy akompaniamencie drażliwych szumów

pojawiła się zanęta urządzeń do rozmasowywania żyłaków. Jasmin pomyślała tylko, że za tak niefortunne zdjęcie najważniejszej osoby w państwie poleci czyjaś głowa. Wyłączyła teatromanię i zaczęła zastanawiać się, o co chodziło. Jeszcze tego samego wieczoru pojawił się prostujący komunikat, że na kanale pierwszym omyłkowo wyemitowano niegotowy materiał, zaplanowany jako moralizatorska opowiadka dla kanału trzeciego. Wtedy jeszcze żaden z mieszkańców Inco nie przywiązywał wagi do tego incydentu.

Kiedy Addam wrócił z pracy, okazało się, że to właśnie o tym ataku hakerów na teatromanię i wzmiance o dymisji rządu chciał porozmawiać z żoną. Nie miał śmiałości uczynić tego przez komunikator. Jasmin odetchnęła z ulgą.

- Te młodociane wybryki są tylko wierzchołkiem grubszej afery - powiedział. - Pewien dziennikarz, notabene właśnie stracił pracę, dotarł do jakichś materiałów, które wiążą działalność Rządu z problemem zmniejszonej liczby narodzin chłopców. Mówi się o chromosomie Y.

- Y? - zdziwiła się.

- Tyle wiem. Biuro UKP odcięło się od tych rewelacji.

Jasmin czuła, że Addam nie mówi jej całej prawdy. Wyglądał na zaangażowanego i pełnego wątpliwości. To było podejrzane. Jeśli jednak cokolwiek wiedział, nie mógł się tą wiedzą podzielić nawet z własną żoną. Jasmin tym razem przywiązywała większą wagę do faktu, że też miała swoją tajemnicę. Mimo że zdawała sobie sprawę, że mąż też coś ukrywa, nie czuła się usprawiedliwiona.

- Jak sądzisz, kiedy coś się wyjaśni? - zapytała, bacznie obserwując Addama.

- Podejrzewam, że zobaczymy kolejny odcinek w ciągu najbliższego tygodnia. No, powiedzmy, dwóch.

Jasmin już była pewna, że skoro pojawiła się deklaracja terminów, to znaczy, że całe biuro męża naprawdę sporo wie.

Tuż przed wizytą w galerii sztuki Addam był bardzo niespokojny. Jasmin sądziła, że znów chodzi o tematy związane z aferą rządową. On jednak bacznie przyglądał się żonie. Kilka razy zerknął, niby od niechcenia, na jej brzuch. Choć lustrował ją delikatnie, nie podobało jej się to. Kiedy zapinała efektowną rubinową kolicę, poczuła na sobie jego krytyczne spojrzenie. Postanowiła nie czekać dłużej w niepewności.

- Addam, czy coś cię niepokoi? - spytała.

- Nie wiem, czy nazwałbym to niepokojem. Raczej jestem totalnie wpięprzony - wybełkotał, nie kryjąc złowieszczonego tonu.

- Coś z tą aferą?

- Chodzi o zaufanie do najbliższych.

- I co, będziesz mnie teraz karał? Kiedy dostąpię zaszczytu i powiesz mi łaskawie, o co ci chodzi?

- Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że odwiedziłaś doktora Steavansa?

- W stosownym czasie.

- Dlaczego muszę się o tym dowiadywać od innych?

- Od kogo?

- Nieważne! - krzyknął Addam i zaczął nerwowo chodzić po salonie.

Był ubrany w odświętny uniform, który zakładał tylko na takie okazje jak dziś. I właśnie ten wyprasowany i sztywny strój uwierał go podwójnie. Szybko rozpiął wszystkie cztery guziki przy kołnierzyku i odetchnął z ulgą. Jasmin wiedziała, że są tylko dwie możliwości. Albo Addam dowiedział się od lekarza lub tej francy Gibbondy, albo parę z ust puściła jej koleżanka. W pierwszym przypadku pewnie poznał całą prawdę, w drugim zaś tylko jej część. Tylko jedno pytanie mogło szybko rozwiązać wątpliwości.

- A co by było, gdybyśmy mieli córkę? - zapytała i przełknęła ślinę.

- To jest niemożliwe! To by musiało oznaczać, że coś się zepsuło między nami. W naszej rodzinie nikt nigdy nie miał dziewczynki. Zawsze rodzili się chłopcy. Tym bardziej teraz, kiedy są takie obostrzenia, to byłoby nieodpowiedzialne.

- Za jedną dziewczynkę nie płaci się podatku - powiedziała z nonszalancją Jasmin, uznając, że nie ma co ufać Luicey.

- Tak. Ale na chłopca mogliśmy dostać wysokie świadczenie socjalne. Poza tym kolejne dziecko byłoby ryzykiem. Przypomnę ci, że wolno mieć tylko jedną dziewczynkę. Chłopców można mieć do woli, ale akurat dziewczynek nie! Zapomniałaś?!

- Stać nas! Dużo zarabiamy! - krzyczała, lecz po chwili uspokoiła ton. - Chciałeś mieć kilkoro dzieci.

- Tak, ale chłopców. - Addam zobaczył w oczach Jasmin smutek. Podszedł do niej i objął ją czule.

- Tylko na to nie ma leku. Nie można sobie wybrać płci. Na co ten cały przemysł farmaceutyczny? - zapytała szeptem.

- No już. Kocham cię. Myślałaś o aborcji?

I cały czar związany z jego czułością trafił szlag.

- Wal się! - krzyknęła i odwróciła głowę.

Tym razem to Addam posmutniał. Jej determinacja upewniła go, że w rodzinie najwyraźniej pojawi się pierwsza dziewczynka. Odkąd poznał Jasmin, a było to jeszcze w szkole, wiedział, że zawsze będzie musiał ćwiczyć argumentację. Inaczej jego wola przegra z uporem ambitnej dziewczyny. Wtedy oglądali się za nią wszyscy jego koledzy. Uznał, że pasują do siebie, choć ona pochodziła z biedniejszej rodziny. Czasem jej wypominał, że zbyt szybko chce się piąć w górę, lecz w gruncie rzeczy imponowało mu to. Przed własną rodziną zawsze jej bronił, tłumacząc, że miała klasę i była konkretniejsza od innych, choć ojciec mu mówił, by się nie żenił, skoro nie jest pewny swoich uczuć. Nawet kiedy się kłócili czy obrażali na siebie, ani przez chwilę nie brał pod uwagę, że mogliby się rozejść. Na swój sposób zżyli się ze sobą. Wiedział, że jeśli ona się na coś uprze, to nie ma siły, która by ją od tego odwiodła. Z drugiej strony narodziny córki były zapowiedzą poważnych kłopotów, nie tylko finansowych.

W tym kraju od pewnego czasu na świat przychodziły tylko dziewczynki i bardzo sporadycznie chłopcy. Rodziły się też dzieci mające narządy obydwu płci, ale były niezdolne do rozrodu. Nazywano je „hermami”. Rząd, który na wszystkie bolączki znajdował definitywne rozwiązania, postanowił szybko rozprawić się z problemem. Wprowadził dekret o zakazie rejestracji dzieci bez wyraźnej płci. W związku z powyższym ku rozpaczy rodziców interseksualne niemowlęta poddawane były utylizacji. Ich ciała kremowano jeszcze na terenie szpitala, kilka pomieszczeń obok miejsca, w którym przyjęto poród. To miało pomóc. Plotki głosiły, że udział mężczyzn stanowi mniej niż dwadzieścia procent populacji i stale maleje. Dokładne dane nie były znane społeczeństwu, gdyż ukrywał je Rząd. Mówiono, że rodzi się znacznie mniej chłopców niż dziewczynek, zdecydowanie mniej, niż odchodzi z tego świata

seniorów. Aby społeczeństwo nie zamieniło się w kraj amazonek, Rząd wprowadził dekret o kontroli płci. Według zasad w nim zawartych jedna rodzina mogła posiadać maksymalnie jedną córkę. Synów mogłaby mieć do woli, ale to się prawie nie zdarzało. Jeśli danej rodzinie urodziła się więcej niż jedna dziewczynka, za każdą kolejną należało płacić wysoki podatek. Z kolei za każdego syna przysługiwały świadczenia socjalne tak wysokie, że mogłaby się z nich utrzymać wielka familia, łącznie z dziadkami. W przypadku rodzin posiadających dwie córki i więcej rodzice musieli ciężko pracować, a mimo to żyli w ubóstwie. Wszystkiego pilnował Urząd Kontroli Płci. Przedstawicielki tej instytucji nadzorowały pracę każdego gabinetu ginekologicznego w państwie, bo w przeszłości zdarzały się przypadki oszustw. System aborcji „niechcianych podatków”, jak nazywano dziewczynki, kwitł. Tak było bardziej humanitarnie. Dla ochrony gatunku.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział z czułością Addam i przytulił Jasmin.

ROZDZIAŁ 2.

Floris

W rodzinie Fahida, ubogiego farmera uprawiającego dirsznę w zachodniej ćwiartce Floris, spodziewano się długo wyczekiwanego gościa. Kilka dni temu zmarł Mahmud, liczący siedem oczyszczeń ojciec gospodarza. Niestety zgodnie z obrządkiem Patri ciało zmarłego nie mogło zostać poddane mumifikacji bez udziału kapłana. Żeby w tym ciepłym klimacie ciało ojca nie zaczęło gnić, Fahid zaniósł je do wydrążonej w małym pagórku nory, w której zwyczajowo podczas rozkwitu przetrzymywane były pokarmy. „Niech się ojciec naje przed ostatnią drogą, wygląda ojciec tak mizernie” – pomyślał bogobojny, białowłósy syn.

– Jedzie! Jedzie! – krzyczała radośnie Sumi.

Fahid wybiegł przed chatę, w której mieszkała jego liczna rodzina. W oddali ciągnącego się aż po horyzont pola, wyglądającego jak purpurowe morze poprzecinane wstęgami nierównych, kamienistych szlaków, ujrzał sylwetkę Kadu, kapłana bogini Patri. Jechał na trzykołowym wozie ciągniętym przez parę zwierząt. Fahid nie mógł od razu ich rozpoznać, pomimo że od dzieciństwa trudnił się hodowlą i wykorzystywał je w codziennej pracy. Były po prostu zbyt daleko.

W tej kolorowej krainie udomowiono trzy, wyglądające dość podobnie, gatunki. Miały jednakową bladoburą barwę sierści i niemal identyczne tułowia. Ich grzbiety w wyniku ewolucji wykształciły siedzisko, które ułatwiało jeźdźcy nawet najbardziej uciążliwą podróż, a przy okazji nie czyniło krzywdy dosiadanemu zwierzęciu. Wygodna krawędź każdego z trzech rodzajów grzbietu pokryta była ochronną grzywą, wyglądającą jak splecione, wąskie paski ciemnych glonów. Dopasowywała się do jeźdźcy niczym siodło. Pod tułowiem tych stworzeń znajdował się brzuch z obwisłą skórą i cztery pary małych piersi. Każda miała po trzy rurkowate sutki zdolne wykarmić liczebny miot. Dwie pary niesymetrycznie usytuowanych, umięśnionych nóg zakończonych były trójpalczastymi łapami. Każdy z wyjątkowo płaskich palców skrywał ostry pazur ułatwiający poruszanie się po śliskiej powierzchni, a nawet wspinaczkę po stromym zboczu. Dwa palce z przodu, jeden z tyłu łapy, a między nimi błona, dawały poczucie stabilizacji w każdym terenie. Wszystkie trzy gatunki były jednopłciowe. Rozmnażały się w wyniku dzieworództwa. Kiedy zwierzę osiągało dojrzałość do rozrodu, wydawało na świat liczne potomstwo. Do piętnastu osobników. Tylko raz przez całe swoje życie.

Gatunki te różniły się zwinnością, siłą pociągową i kształtem łba. Najszybsze nie nadawały się do pracy na roli, lecz do szybkiej jazdy. Najczęściej wykorzystano z nich w wojsku lub używano jako środka transportu kurierów lokalnej poczty. Ich łeb był smukły, nieproporcjonalny w stosunku do masy mięśniowego ciała. Miały długie, spiczaste, wypełnione ścięgnami uszy, które przy jeździe wierzchem służyły jako lejce. Nazywały się okurai. Najwolniejsze, ale za to najsilniejsze były tine, z okrągłym łbem i uszami zakrytymi błoną. Wykorzystywano je raczej jako siłę pociągową prymitywnych urządzeń do uprawy ziemi, a młodsze osobniki do zabawy z dziećmi. Bardziej uroczym pupilom nadawano nawet imiona.

Pośredni gatunek stanowiły hydapi. Miały podłużną głowę i krępe małżowiny uszne w kształcie dziurkowanych pęcherzy. Służyły do prac pod wodą, a także w górach, z uwagi na swą odporność na trudne warunki atmosferyczne i niskie ciśnienie. Wszystkie trzy gatunki hodowano w celu posiadania wymiennego środka transportu, jako zwierzęta gospodarskie lub źródło pożywienia. Ich mleko mieszane z krwią stanowiło doskonały napój energetyczny zwany keeffi, mięso i podroby okazały się zaś niezastąpionym elementem wysokobiałkowej diety. Nazw tych zwierząt nie odmieniano. Czy był to jeden osobnik, czy było to całe stado, zawsze mówiło się o nich okurai, hydapi bądź tine.

Gdy Fahid obserwował zbliżającego się Kadu, zastanawiał się, kiedy ostatnio widział na farmie obcego człowieka. Z tego, co pamiętał, pojawił się wtedy, gdy wraz z ojcem zbudowali wielki wiatrak produkujący energię niezbędną do sterowania systemem nawadniania pól. Dziś ich wspólne dzieło trochę straszło niezgrabnością i archaicznym wykonaniem. „Przydałyby się nowe wypełnienia” – pomyślał Fahid i przypomniał sobie, że wtedy też urodziła się Sumi, jego ukochana córka. Kapłan Kadu, który przybył, by dokonać jej zaślubin z boginią Patri, był właśnie tym ostatnio widzianym w jego domostwie obcym człowiekiem. Oprócz niego od wielu oczyszczeń nikt tędy nie przejeżdżał. Podobnie żaden z członków rodziny Fahida nigdy wypuszczał się zbyt daleko. Mniej więcej raz na pół oczyszczenia wędrował, najczęściej sam lub tylko z ojcem, do najbliższej osady Litrijis, by wymienić płody rolne na potrzebne rzeczy lub szare kamienie – lokalną walutę. Od czasu do czasu widywali się z sąsiadami, którzy mieszkali kilka dni drogi stamtąd, należeli do rodziny.

– Idź do mamy, niech szykuje strawę. I pomóż jej – powiedział Fahid do Sumi.

Wizyta kapłana była interesującym wydarzeniem dla ciekawskiej dziewczynki, dlatego wcale nie miała ochoty wracać do domu. Długo wahała się, co zrobić. Chciała osobiście przywitać Kadu, który kiedyś odprawiał rytuał jej narodzin. Zresztą w życiu nie widziała nikogo poza członkami rodziny. Z drugiej strony słowa ojca były święte. Żeby pogodzić obydwie sprawy, postanowiła trochę pomóc i szybko wrócić. Zanim od mamy dostała zadanie przyniesienia kilku smakołyków, zerknęła przez otwór okienny, czy przypadkiem nie nadjechał już gość. Nie było to okno znane z Inco, gdyż we Floris nie używano szyb. Otwory służyły do wietrzenia domostw. Były osłonięte siatką, która broniła wstępu utrudniającym życie insektom.

Sumi pobiegła w kierunku małego pagórka gęsto obrośniętego żółtym mchem. Na jego prawie pionowym stoku zwisały pędy szuri. Odchyliła je niczym małą kurtynę. Za nimi schowane były owalne drewniane drzwiczki wiodące do wydrążonej w brunatnej skale głębokiej jaskini. To właśnie w takich miejscach podczas krótkiej pory roku zwanej odnową, kiedy ziemię nawiedzały burze z gradem, ulewne deszcze i mróz, Floriańczycy zapadali w sen. Podlegali wtedy regeneracji ciał, umysłów i dusz. Bez wody i jedzenia. W czasie rozkwitu, czyli dominującej pory roku, nora służyła jako podręczna spiżarnia.

Białowłosa jak całe jej rodzeństwo Sumi nie mogła się zdecydować. Jaskinia skrywała tyle pachnących potraw. Na drewnianych regałach stały ułożone obok siebie plecione z pędów szuri kosze pełne różnorakiego jadła. Nie wiedziała, w czym gustował ich gość, dlatego na wszelki wypadek wzięła swoje ulubione smakołyki, wszystkiego po trochu. Zerknęła ostatni raz na leżące w norze zwłoki dziadka i wyszła. Kiedy Kadu zbliżył się na tyle, by Fahid mógł rozpoznać, że zaprzęg ciągnęły hydapi, stała już z powrotem obok ojca.

– Witaj, Kadu – przywitał gościa Fahid.

- Dzień dobry. Czy to nie ta mała dziewczynka, którą kiedyś, chyba jedno oczyszczenie temu, zaślubialiśmy z Patri? – zapytał zmęczony kapłan odziany w pokutną szatę.
- To ja – doniosła Sumi, lecz minę miała nietęgą na widok tak odrażającego człowieka.
- Radzi jesteście, że tak szybko udało ci się przybyć – powiedział gospodarz, odwracając uwagę gościa od wystraszonej córki.

Rita, niezbyt urodziwa, lecz wyglądająca na ciepłą kobietę żółtowłosa żona Fahida, jak zwykle bardzo się postarała. Wielka biesiadna platforma umieszczona na kamiennym tarasie od strony, z której najmocniej świeciło Hello, ugięła się od jadła i napitku. Na jej drewnianym blacie można było dostrzec placki z mąki mao, półmiski z soczystymi, szarymi owocami sandi i bulwiaste, fioletowe warzywa puke, których pastwna odmiana służyła jako uzupełnienie diety ciężarnych zwierząt gospodarskich. Na środku platformy stał ceramiczny flakon z tłuszczem wyglądającym jak czarny smalec. Był to przysmak lokalnej społeczności, wytwarzany poprzez odparowanie barwionego węglem drzewnym mleka okurai. To właśnie dzięki szybkości zwierząt tej rasy, a tym samym ich doskonałej przemianie materii, było najbardziej esencjonalne i najsmaczniejsze. Nad całym tarasem wisało małe zadaszanie z pnączy. Ich długie, jadalne, słodko pachnące kolce służyły jako uchwyty do zawieszania kawałków pieczonego mięsa tine oraz zwijanych w warkocze serowych rolad. Nie mogło zabraknąć też mazidla z purpurowych kwiatów dirszy. Wszak rodzina Fahida specjalizowała się w uprawie tego życiodajnego sitowia. Pełna miska kusila swym zapachem nie tylko gospodarzy, lecz także okoliczne ptactwo moree. Było na bogato.

Kadu odświeżył się po męczącej podróży. Zdjął pokutną szatę wyglądającą jak brudnobeżowy worek z włókna łądogowego i włożył specjalną na takie okazje, podobnego kroju, lecz wyszywaną pozłacaną nicią, odświętną wersję. Mimo tych zabiegów nadal wyglądał odrażająco, na co najmniej siedem oczyszczeń, choć miał zaledwie sześć. Jego skóra w wielu miejscach przypominała luszczące się od poparzenia zaropiałe rany, a brunatnoszare oczy i nieliczne zęby jakby krzyczały, że kapłan właśnie wrócił z jakiejś otchłani. Kiedy ujrzał tak hojnie przygotowaną ucztę, a obok zwłoki przykryte płótnem, uśmiechnął się serdecznie do gospodarza, rekompensując nieciekawą facjatę. Wiedział, że uboga rodzina przywiązuje wielką wagę do obrzędów i nie skąpi swych dóbr, jeśli mają być przeznaczone jako ofiara złożona za zmarłych. Nie liczył, że wypiją za duszę Mahmuda. Widział, że Fahid, jak wcześniej jego ojciec, stroni od wszelkich używek i alkoholu. Kiedy dał znak, że można zacząć ceremonię, liczna rodzina składająca się z rodziców i dziesięciorga dzieci stanęła dookoła platformy i zaczęła się kiwać, mamrocząc niby nic nieznaczące sylaby. Kapłan w tym czasie odkrył ciało Mahmuda. Na jednej z jego żyłastych nóg w okolicach kostki zauważył fikuśną skórzaną bransoletę przyozdobioną nietypowymi ornamentami. Zerknął porozumiewawczo w kierunku gospodarza, który tylko wzruszył ramionami.

- Ostatnia wola zmarłego. Chciał zabrać ze sobą rodzinną pamiątkę – powiedział.

Kadu nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Wszak religia zakazywała zabierania ze sobą jakichkolwiek dóbr doczesnych. Ostatecznie przystał na odstępowanie od reguł. Zaczął posypywać ciało sproszkowaną mieszaniną ziela radda i suszonych kwiatów dirszy. Specyfik, wyglądający jak magiczny pył, mężczyzna wyjmował palcami z małego, blaszanego pudełka z kolorowym wiekiem. Dzieci Fahida zerkały zazdrośnie w kierunku rytuału. Też chciałyby się pobawić w mumifikację zmarłych. Zresztą nie było w tym nic nienaturalnego. We Floris

śmierć była traktowana jako coś miłego, początek nowego, lepszego życia, wędrówki człowieka do Patri.

- Mahmud, przyjacielu, czy jesteś gotów do ostatniej podróży? – zapytał Kadu, zwracając głowę w kierunku góry Saandreal, widocznej w oddali.

- Jestem – odpowiedział zgodnie z rytuałem syn zmarłego.

- Czy czujesz się wypoczęty i najedzony? – kontynuował kapłan.

- Czuję.

- Czy twoje ciało pozbyło się wszelkiego zła i masz czysty umysł?

- Po dwakroć tak.

- Zatem, zanim okryję cię balsamem światła i udasz się do Patri, oddaj pokłon Hello i tej bogatej ziemi.

Rodzina Fahida w zupełnej ciszy i zadumie zaczęła kłaniać się niewidzialnym duchom we wszystkich kierunkach świata. W tym czasie Kadu okładał nagie ciało Mahmuda nasączonymi zielonym, kleistym oleum kawałkami kory z moherowego drzewa. Była elastyczna niczym tkanina, łatwo przyklejała się do skóry. Kiedy Kadu skończył okładać przednią część tułowia, odwrócił ciało i kontynuował na plecach. W tym czasie członkowie rodziny nie ustawiali w pokłonach.

- Żegnaj! – krzyknął Kadu.

- Żegnaj! – odpowiedzieli mu chórem Fahid i jego żona.

Rita spojrzała na męża i posłała mu czuły uśmiech. Kapłan sypnął jeszcze małą szczyptę magicznego pyłu w kierunku platformy z jadłem, po czym zakończył obrzęd. Z pomocą Fahida zapakował ciało Mahmuda na wóz i przykrył je płótnem. Rodzina mogła wreszcie przystąpić do celebracji. Kapłan nie zamierzał tego dnia pościć, wręcz przeciwnie. Opychał się, jakby nie jadł od wielu dni. Kiedy sięgał po keeffi, za każdym razem robił minę zawodu, jakby liczył na inny napój do popicia.

Nagle rozległ się odgłos trzepotu skrzydeł i kilka pomruków, jakby kilkanaście łokci nad biesiadnikami odbywała się powietrzna bijatyka. W pobliże platformy z jadłem spadł zaduszony stworek raidi. Miał ćwierć łokcia długości i zielono-białe upierzenie. Sumi zerknęła w niebo i zauważyła cztery ptaki moree latające w kółko na niskim pułapie tuż nad domostwem.

- O, to bury. Ten to jest łakomczuch – powiedziała.

- Daj mu placka, bo się nie odczepi – powiedział jej ojciec.

Kadu zerknął w kierunku ptaków, ale musiał zmrużyć oczy, gdyż raziło go Hello. W tym czasie Sumi oderwała kawałek placka mao i rzuciła w górę. Bury ptak moree sfrunął w kierunku smakołyku i złapał go w locie.

- Za taki przysmak dałyby się pokroić – powiedziała z dumą Rita, lecz na Kadu nie zrobiło to wrażenia.

Warto wspomnieć, że ludzie we Floris nauczyli się wykorzystywać – nie udomowili, lecz zaprzęgli do pracy – drapieżne, czterookie, pokryte łuską ptaki moree. Pomagały w polowaniach na liczne gatunki latających kolorowych stworzeń przydatnych w gospodarstwie, które ze względu na włoskową strukturę mięsa były niejadalne. Wszystkie nazywano tak samo: stworki raidi. Robiono z nich tkaniny wykorzystywane do produkcji odzieży, ale też sznury. Ptaki moree nie miały dziobów, ale ostre jak brzytwa szpony, po jednym na każdym z czterech skrzydeł, a także karłowate rogi na głowie, zazwyczaj po dwa. Choć zdarzały się i takie, którym wyrastał trzeci, spiralny, zakrzywiony róg, jakby pod brodą

i to tylko wtedy, gdy ptak dożywał sędziwego wieku. Dla tego gatunku oznaczało to dłużej niż jedno oczyszczenie. Ich polowania wyglądały dość nietypowo. Kiedy doganiały ofiarę, obejmowały ją wszystkimi czterema skrzydłami i dusiły. A że w takiej sytuacji nie mogły latać, zanim ukatrupiły ofiarę, spadały z nią kilka łokci, czasem aż na ziemię, tłukąc swe ciała i łamiąc skrzydła. Rzadko który ptak przeżywał taki upadek. Moree nie miały nóg, więc można powiedzieć, że zawsze były w locie. Nawet spały, lekko kołysząc się na wietrze lub zwisając głową w dół, zahaczone jednym z pazurów na gałęzi drzewa. Ludzie z łatwością nauczyli się je zwabiać i wykorzystywać, były łase na pożywienie. Wystarczyło zrobić placki z mąki mao z mazidłem z dirszy i podrzucić w niebo. Z wdzięczności przynosiły swe zdobycze i rzucały ludziom pod nogi. Choć nie były zniewolone, sprytnie trzymały się blisko ludzkich osad. W zasadzie niewiele osobników tego gatunku żyło całkiem dziko. Widywano je między innymi w pobliżu wąwozu Asaran. Odżywiały się różowo-niebieskimi owocami turlinu, które w formie kiści rosły tylko w tamtym rejonie.

Po skończonym posiłku Kadu nie zabawił długo, mimo że gospodarze namawiali go, by posłuchał wokalnego talentu Sumi. Tłumaczył się, że musi przed wieczorem dotrzeć do osady Litrijis. Kiedy poił i karmił hydapi, dzieci Fahida z ekscytacją rzucały kolejne kawałki placka z dirszną w górę, a ptaki moree popisowały się zręcznością, łapiąc je w locie. Kadu mierzył ten widok, odebrał opłatę pogrzebową i odjechał.

Za początek świata przyjęto dzień, w którym – w wyniku niepozornego konfliktu o dostęp do nauki – powierzchnię Wszechziemi podzielono na dwa kraje: Inco i Floris. Od tamtej pory drogi obydwu społeczności zaczęły się coraz bardziej oddalać. Co prawda wszyscy posługiwali się jednym językiem, ale zapisywali go inaczej. Inco założyli ludzie poszukujący odpowiedzi na nurtujące ich pytania związane z egzystencją. Zaczęto tam rezygnować z wiary na rzecz zawrotnie rosnącego postępu tłumaczonego mądrością ludzi, nie prawami boskimi. We Floris życie nadal płynęło swoim dawnym rytmem. Nie interesowano się techniką. Mocno rozwinięte były rolnictwo, lokalna kultura bazująca na religii, a także sztuki artystyczne. Szkoły, uczące tylko przydatnych zawodów, nie były obowiązkowe. Nie znano tutaj dbałości o kondycję w formie sportu. Nikt nie obawiał się o złą pogodę czy gorsze plony. Przecież mieszkańców chroniła bogini Patri, a na ziemi jej odpowiedniczka Ae – Najwyższa Kapłanka Wszechziemi. Mieszkała wraz z Radą Kościoła w Patrix – stolicy kraju, wyglądającej jak sieć wydrążonych jaskiń połączonych korytarzami. Patrix znajdowało się wewnątrz świętej góry nazywanej Saandreal, tuż pod Złotą Świątynią w kształcie odwróconej piramidy z kamiennymi stopniami usytuowanymi od wewnątrz. Służyły jako miejsce odpoczynku kapłanów podczas codziennych modlitw. Nad złotą, odwróconą świątynią było Diamentowe Sanktuarium, ułożone względem niej symetrycznie. Stanowiło szczyt wzniesienia. Żaden z mieszkańców Floris nie mógł przestąpić jego progu, tylko Najwyżsi Kapłani. To właśnie tam według wierzeń mieszkała sama Patri. Otaczała się wszystkimi duszami zmarłych. Mimo że nikt oprócz Najwyższych Kapłanów nie widział tego miejsca, wszyscy ludzie we Floris wierzyli, że istnieje. Wieść o nim przekazywano ustnie z pokolenia na pokolenie. Wiadomo było tylko, że Diamentowe Sanktuarium to najbardziej okazałe i święte miejsce na świecie.

W Patrix mieszkali nie tylko najwyżsi hierarchowie Kościoła. Swoją siedzibę miała tam również szkoła, w której przygotowywano przyszłych kapłanów do ich posługi. Werbunek odbywał się zawsze listownie, w formie zaproszenia. Nigdy nikt nie odmawiał. Rodzina, która

otrzymywała list z powołaniem kogoś z dzieci, oddawała swą pociechę na zawsze. Mimo bolesnej straty ten gest wiązał się z dumą. Wszak kapłan w tym kraju był uosobieniem świętości. Po szkoleniach, które trwały jedno oczyszczenie, świeżo upieczony przedstawiciel Kościoła najpierw odbywał trwającą kolejne oczyszczenie służbę wojskową, a potem wysyłany był do przyznanego rewiru. Zawsze w przeciwnym kierunku niż jego rodzinne strony. Miał się skupić na posłudze, nie na uczuciach czy relacjach. Dotyczyło to zarówno kapłanów płci męskiej, jak i żeńskiej. Aby ich misja nie zakończyła się utratą wiary spowodowaną uczuciem do innego człowieka, po zakończeniu szkoły kapłanom wstrzykiwano w szyję truciznę zwaną świętym jadem. Miała za zadanie eliminację popędu seksualnego, a z czasem niszczyła również komórki regenerujące zewnętrzną powłokę ciała, przez co szybciej się starzało i stawało nieatrakcyjne.

Religia związana z kultem Patri łączyła się na swój sposób z symbolem państwowości. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi – jak wcześniej jej poprzednicy, najczęściej mężczyźni – oprócz swego zwierzchnictwa nad Kościołem, była traktowana jako niekwestionowana przywódczyni, kapłani odpowiadający za podległe rewiry zaś jako lojalni przedstawiciele jej władzy. Każdy mieszkaniec krainy nie tylko liczył się z decyzjami Kościoła, ale również w nie wierzył i ufał, że są najwłaściwsze. We Floris nie uznawano nowoczesnych form komunikacji. Cała korespondencja, w tym także decyzje Ae, docierała do poszczególnych krańców tylko listownie. Zawsze była pisana odręcznie, w starożytyku. Kapłanka przywiązywała ogromną wagę do detali i zawsze używała stylu dostosowanego do adresata. Pisma o charakterze decyzyjnym kreśliła w formie poematu, zagadki lub wiersza, którego morał lub pointa stanowiły właściwy przekaz. Do kapłanów lokalnych średniego szczebla, a takim właśnie był Kadu, pisała kwieciste i zagadkowo, z ukrytym przekazem. Do kapłanów niskiego szczebla, stanowiących trzon armii Floris, wysyłała krótkie, konkretne liściki ze zdaniem, które niczym komendy musztrowały adresatów. Z kolei do przedstawicieli społeczeństwa pisała prostym językiem, by mogło je zrozumieć każde dziecko, chociaż nie wszyscy we Floris potrafili czytać.

Ae nie wyglądała na szpetną tak jak inni kapłani. Była przystojną brązowowłosą o zgrabnej figurze. Kiedy po zakończeniu szkoleń wbito jej w szyję szpilę zatrutą jadem, los oszczędził jej ciało i umysł. To był pierwszy taki przypadek w historii. Uznano wtedy, że to zrządzenie Opatrzności lub po prostu decyzja Patri. Chyba dlatego Ae szybko awansowała w strukturach, aż w końcu w dość młodym wieku stała się najważniejszą osobą w państwie. Członkowie Rady Kościoła woleli, by rządziła nimi niebrzydka osoba ze szczęściem niż paskudny pechowiec. Podobnie potraktowali ten fakt Floriańczycy. Pokochali ją. Ceremonia rozpoczęcia każdego rozkwitu stała się idealną okazją do spotkań z wiernymi. Kapłanka traktowana była niemal jak Patri.

Kiedy Kadu odjechał z ciałem Mahmuda w kierunku Litrijis, Fahida rozpierała dumą, że jego ojciec we właściwym czasie wyruszył w swą najciekawszą podróż. Cieszył się jego szczęściem. Nie odczuwał jeszcze tęsknoty. Wiedział też, że ojciec będzie przy nim, gdy pojawi się taka potrzeba. Tak było od zawsze. Według wierzeń Patri, kiedy zмумifikowane ciała wędrowały do wąwozu Asaran na miejsce ostatecznego spoczynku, dusze zmarłych miały okazję zaznać każdej najprzyjemniejszej przygody, jakiej sobie zażyły. Po dotarciu na miejsce, gdzie mumie układano w stosy, spełnione dusze zmarłych wędrowały do Diamentowego Sanktuarium na szczycie góry Saandreal, domu bogini Patri. Wtedy stawały się ambasadorami

rodzin i mogły wyblagać u niej dobrobyt, szczęście i zdrowie. Jeśli jednak bliscy nie pożegnali ciała zmarłego stosownym obrzędem, nie mieli szans na ochronę, a dusza zmarłego trafiała do otchłani, czyli odwrotnego świata. Nieliczne rodziny tworzyły miejsca wspomnień o ludziach, którzy odeszli. Wyglądały jak kamienne mogiły, których każdy element symbolizował innego nieboszczyka. Można było łatwo odczytać, że im stos był większy, tym rodzina miała więcej szczęścia, gdyż oznaczał on więcej dusz w domu bogini. Rodzina Fahida też posiadała taki. Po północnej stronie szeroko rozumianego podwórka, pod wysokim na dziesięć łokci, rozłożystym drzewem rosy wiele oczyszczeń wcześniej zaczęto usypywać wspólną mogiłę. Wyglądała jak stos kamieni. Każdy był pamiątką po konkretnym zmarłym. Fahid wiedział, że musi odnaleźć kamień odpowiadający charakterowi ojca, który był pracowity, silny i miał zasady. Całe życie powtarzał, że rodzina jest najważniejsza. Bardzo był z nią zżyty. Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek mógłby oddać którekolwiek z dzieci, by uczyło się na kapłana. Fahid nie zawsze zgadzał się z ojcem, ale w tej kwestii mieli podobne zdanie. Obiecał mu, że nie odda żadnego dziecka bogini Patri. Zanim rozpoczął poszukiwania stosownego kamienia, chciał jeszcze przez chwilę nacieszyć się widokiem rodziny, która właśnie kończyła ucztę na cześć zmarłego. Uśmiechnął się do Rity, a ona pogłaskała go po ramieniu z czułością. Zerknął w kierunku paleniska. Zauważył, że trzeba donieść trochę suszonych łądog dirszy. „Dzisiejszy ogień będzie miał zupełnie inny charakter niż poprzednie” – pomyślał.

Codzienny rytuał palenia ogniska odbywał się tuż po zmroku. Miał dawać ukojenie po intensywnym dniu oraz możliwość wspólnej modlitwy do bogini Patri. Tego wieczora w rodzinie Fahida doszły jeszcze dwa rytuały. Jeden niezwyčajny, drugi niecodzienny. Po pierwsze należało powiedzieć kilka słów o zmarłym ojcu. Po drugie tej nocy był współsiężyc, a to zjawisko wiązało się z konkretnym rodzinnym zwyczajem – opowiadaniem ulubionych powiastek. Do niedawna czynił to Mahmud, teraz przyszła pora na jego syna.

Rodzina krótko pomodliła się do Patri. Następnie Fahid wypowiedział kilka zdań o ojcu, ale nie zamierzał się rozgadywać. Zauważył, że dzieci są już znudzone. Czekają na dotrzymanie obiecanego słowa, czyli ciekawą opowieść na dobrą noc. Fahid zdążył nauczyć się wszystkich na pamięć. Słuchał ich, od kiedy był mały aż do teraz. Gdy sam został ojcem, ustępował pola Mahmudowi. Taki był rodzinny zwyczaj, opowiadał zawsze najstarszy mężczyzna z rodu. Wszystkie powiastki były ciekawe i zawsze zawierały morał. Dzieci Fahida najbardziej lubiły tę o sztandarze, o nią zawsze prosiły. Kiedy zauważył, że wszyscy usiedli wygodnie i zaczęli porozumiewawczo zerkać między sobą, rozpoczął swą opowieść.

– Na początku na sztandarze Wszechziemi był szarobury ptak moree na purpurowym tle. Ptak miał cztery skrzydła i każde z nich symbolizowało jedną z ćwiartek: południową, zachodnią, północną i wschodnią. Dokładnie w środku, pomiędzy ćwiartkami, stała święta góra Saandreal, w której mieszkała Patri. To była jakby głowa ptaka. Bogini miała swoje obserwatorium, z którego mogła zaglądać ludziom do domostw, we wszystkich czterech krainach. To były oczy ptaka. Około dwieście łokci poniżej samego szczytu znajdowały się cztery trąby porządku, czyli pazury. Jeśli któraś z ćwiartek podpadła Patri, bogini grała na trąbie odpowiadającej danej ćwiartce, by przywołać ludzi tam mieszkających do porządnego i obyczajnego zachowywania. Nazywano je trąbami Waesstorii. Patri posiadała jeszcze jeden instrument do dyscyplinowania ludzi – dzwon Gondoluu. Pewnego dnia część ludzi zapragnęła oddzielić się od Wszechziemi. Patri wściekała się na nich, dzwoniła cały dzień, ale

tamci jej nie posłuchali. Zajęli południową ćwiartkę, założyli osadę, potem państwo, które nazwali Inco. Ludzie we Floris martwili się, że Patri będzie zła nie tylko na tych, którzy odeszli, ale na wszystkich mieszkańców Wszechziemi. Zaczęli oddawać jej dziesiątą część swoich płonów i tym ją obłaskawili. Na znak nowego porządku postanowili zmienić sztandar. Uznali, że powinien symbolizować nowo powstałą krainę, pozbawioną jednej ćwiartki. Ale nikt nie wiedział, co to powinno być. Wtedy uświadomiono sobie, że najlepszy będzie współksiężyc. Na nowym sztandarze namalowano trzy księżycy w jednej linii i jeden obok, czyli trzy ćwiartki Floris i osobno Inco, które opuściło Wszechziemię. Taki sztandar zachował się aż do dziś.

- Opowiedz teraz o dzikusach – poprosiła Sumi.

- A nie będziecie się bały? – zażartował Fahid.

- Nie – odpowiedziały chórem dzieciaki, chichrając się z ekscytacją.

- Dobrze. Dzikusy też są tak jakby farmerami, ale nie mają pól tak jak my. Żyją gdzieś w północnej ćwiartce, w lesie wyglądającym jak wielki sad. Uprawiane są w nim różne odmiany orzechowców, ale najwięcej jest drzew orzecha shaedor. Ma gałęzie rosnące parami i twarde liście w kształcie takich wielkich płatów – pokazał dwie złączone dłonie – z których dzikusy wyrabiają buty. Orzechowce mają pyszne owoce, to znaczy nasiona, ale trudno się do nich dostać, bo chronią je tak twarde skorupy, że można by zamiast kamieniami wysypywać nimi trakty. Ale nikt ich nie wykorzystuje w tym celu. Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby ktoś zaproszył ogień? Szybko by się rozprzestrzenił i spalił nie tylko sady, lecz także drogi. Dzikusy muszą uważać, żeby nie zaproszyć ognia. Nie mieliby gdzie mieszkać, bo przecież mają domy wśród drzew.

- A jak rozłupują te orzechy? – zapytała Sumi, powodując konsternację ojca, który otworzył oczy szeroko ze zdziwienia, jakby liczył, że dojrzy odpowiedź.

- Prawdę mówiąc, nie wiem – wydukał w końcu, drapiąc się po głowie.

- To teraz opowiedz o pokunie – zaproponowała Tamadur, młodsza siostra Sumi.

- Nie, bo będzie się wam śnił – zabroniła Rita.

Fahid wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się szelmowsko, jakby chciał powiedzieć, że to nie jego wina.

- Ale prosimy! – powiedział białowłosy Abdul, najstarszy syn Fahida, mający prawie półtora oczyszczenia.

- No dobrze, ale tylko trochę – zgodził się ojciec. – We wschodniej ćwiartce można spotkać szczerbatych – zaczął złowieszczym tonem. – Nie mają zębów, bo malowali je na czarno i im powypadały. Nie żyją też ani jak my w stałych domach, ani jak dzikusy na drzewach. Mieszkają w namiotach pomiędzy jeziorami, których w tej ćwiartce jest bez liku. I hodują pokuny. Koniec. Ha, ha.

- Co? To za mało! – denerwował się Ragir, chłopiec w wieku nieco ponad jedno oczyszczenie.

Rita mrugnęła do Fahida, dając znak, by jeszcze coś opowiedział.

- Dobrze. Ale już nie o pokunach – powiedział, zerkając porozumiewawczo na żonę. – Szczerbaci zbierają i suszą glony harann rosnące przy brzegach tylko w płytkiej wodzie, gdzie docierają najzdrowsze promienie Hello. Kiedy uda im się wyzbierać wszystkie przy danym brzegu, przenoszą się gdzie indziej. I tak w kółko. W ten sposób cały czas wędrują z miejsca na miejsce wokół wielkich jezior w poszukiwaniu jedzenia. Część z tego, co udaje im się zebrać,

sprzedają do północnej i zachodniej ćwiartki. Jadłem kiedyś. Niesmaczne. A jakie niedobre są larwy, które dzikusy wyjmują spod kory orzechowców. Ble...

Dzieci śmiały do rozpuku, kiedy Fahid zrobił przesadny grymas obrzydzenia. Rita zerknęła na niego czule i uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Koniec, pora spać - powiedziała. - Za dwie godziny wschód Hello. Ojciec musi się wyspać przed pracą.

Fahid dorzucił do ogniska gruby kawałek drewna i dwie wiązki suchych łodyg dirszy. Miało wystarczyć do rana. Kiedy udawali się do domu, Sumi nuciła ukochany refren jednej z pieśni sundryjskich, taki sam jak co dzień ostatnimi czasy.

ROZDZIAŁ 3.

Rozterka

Jedyną osobą, której Jasmin mogła się szczerze zwierzyć i liczyć na zrozumienie, była jej matka Irmina. Kiedy jeszcze żył jej ojciec, Omar, rodzice wielokrotnie krytykowali poczynania Rządu. Obydwoje byli zwolennikami naturalnego porządku świata. Mało kto o tym wiedział, bo skrętnie ukrywali się ze swoimi poglądami, lecz przy córce pozwalali sobie na szczerość. Ich światopogląd miał być fundamentem jej człowieczeństwa, podstawą egzystencji.

Rodzice Jasmin nie mieli więcej dzieci. Całe dorosłe życie byli pochłonięci pracą, a każdy wolny dzień spędzali na nauce jakiejś kolejnej, mniej lub bardziej przydatnej umiejętności. Tego nauczyli Jasmin i chyba dlatego Addam zwrócił na nią uwagę. „Piękna i mądra, moja białowłosa” – tak o niej często mówił. Omar Manduarra, mąż Irminy, w dość późnym wieku ukończył studia inżynierskie i dostał pracę w dziale R&D firmy Sky Robotics Co. Tam z uwagi na wyniki w nauce, wiedzę, a przede wszystkim praktyczne doświadczenie szybko awansował i stał się szefem jednego z najważniejszych działów zajmujących się płynnością ruchów. Cokolwiek to znaczyło, brzmiało poważnie. Omar był szanowany przez współpracowników i sąsiadów. Po dwóch oczyszczeniach otrzymał przydział na mieszkanie w centrum Inco, za które płaciła korporacja. Przenosiny z dzielnicy drugiej świętowali bardzo długo. Takie awanse społeczne nie odbywały się zbyt często w ich środowisku. Jasmin miała wtedy pół oczyszczenia. Od tamtej pory nigdy więcej nie zapuściła się do slumsów.

– Jestem w ciąży – oznajmiła.

Matka przytuliła ją najmocniej, jak potrafiła. To dobra wiadomość dla kobiety, która była aktywna zawodowo przez wiele oczyszczeń, a odkąd przeszła na tak zwany seniorski zasiłek, nudziła się sama w swoim apartamencie. Nawet zakupy realizowała zdalnie. Wielokrotnie wracała do tematu powrotu do slumsów, gdzie miałyby szansę spotykać się z rówieśnikami, przyjaciółmi z dawnych czasów, lecz córka ją skutecznie zniechęcała, mówiąc o rosnącym od dwóch oczyszczeń niebezpieczeństwie. Irmina nie lubiła ani centrum Inco, ani swojego mieszkania, nadal opłacanego przez koncern Sky Robotics Co. Było zbyt nowoczesne jak dla niej. Jedyne, co zaakceptowała z tej całej technologii, to sztuczne zwierzęta i owady. Co jakiś czas dokupywała sobie po jednej zabawce. Zbierała animaroboty, które odzwierciedlały prawdziwe zwierzęta, gady, owady i ptaki, jakie kiedyś żyły w Inco, a obecnie tylko na terenie Floris. Miała już małe okurai, sahad, hydapi, ptaka moree, a także idealną imitację chckenei, zapylacza kwiatów dirszny, owada wyglądającego jak mały ptaszek. Wszystkie trzymała razem w wielkim szklanym akwarium. Marzyła o pokunie, ale te zabawki kosztowały trzy razy drożej od innych. Tylko chckenei był w skali jeden do jednego, pozostałe były miniaturowymi. Miały co prawda ograniczone funkcje w porównaniu do tych większych, ale nie stać jej było na wielkiego okurai czy średniej wielkości ptaka moree, chociaż były dostępne w ofercie. Nawet nie dysponowała miejscem, w którym mogłyby się swobodnie poruszać. Zbiactwem animarobotów zajęła się po śmierci męża, z nudów. On wcześniej nie zgadzał się, by po ich mieszkaniu biegały sztuczne stworki, nad którymi pracował jego koncern.

– Mam nadzieję, że przywieziesz do mnie od czasu do czasu mojego wnusia? – zapytała nieśmiało, licząc na potwierdzenie płci.

– Mamo, to będą trojaczki. Same dziewczynki – powiedziała Jasmin i poczuła, że tuli królową lodu. Jej matka po usłyszeniu nowiny zaczęła się trząść i instynktownie odsuwać od córki.

– Nie możesz ich urodzić, córeczko – rzekła sucho matka.

– Liczy się życie. Pamiętasz? To twoje słowa. Kto mnie tak wychował?

– Przez wzgląd na pamięć o ojcu, proszę cię, nie rób tego. – Matka była zrozpaczona i na swój sposób nieprzejednana.

– Ale jaką pamięć? – zdenerwowała się Jasmin. – Tata tym bardziej nigdy by sobie nie pozwolił na taką radę. Kim ty jesteś?

Jasmin była zawiedzioną postawą matki. Nie takiej reakcji się spodziewała. „Czy na starość ludzie stają się głupszy?” – głowiła się. „Czy może ona na coś choruje? Chyba nie”. Irmina wyglądała dobrze jak na przeżytych osiem oczyszczeń. Miała naturalne miedzianosiwe włosy inaczej niż większość starszych pań w jej wieku, które nosiły współfinansowane przez państwo zmyślnie, jednobarwne peruki. Chodziła lekko przygarbiona, lecz nie o lasce, zgrabnie. Zawsze przyodzabiała twarz i od dwóch oczyszczeń nosiła maskujące wiek rękawiczki, wykonane z cienkiego materiału przypominającego lateks. W nich dłoń wyglądała na młodszą, bez przebarwień i z zawsze doskonale pomalowanymi paznokciami. Rękawiczki były drogie, ale niezniszczalne. Nikt by nie uwierzył, że Irmina jest w takim wieku.

Matka krytycznie spojrzała na córkę, nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zawahała się. Widać było, że dobrze jej życzy i mimo że Jasmin od dawna była dorosła, nadal czuje się za nią odpowiedzialna.

– Jeśli urodzisz, ucierni na tym cała rodzina. Nie tylko ty i twój mąż. Wszyscy będą ponosić konsekwencje takiego wyboru. Rodzice Addama, jego bracia, ich żony i dzieci. Wiesz, że tak będzie. Nie możesz myśleć tylko o sobie.

Jasmin gwałtownie wstała. Zerknęła w kierunku matki, spuściła głowę i powoli zaczęła zmierzać w stronę drzwi.

– Poczekaj. Musisz o czymś wiedzieć – powiedziała spokojnym głosem matka.

Córka zatrzymała się i podniosła wzrok. Na jej twarzy malował się niepokój pomieszany z niewykrzyżowaną złością. Czekwała w bezruchu, wysyłając matce krytyczne spojrzenie.

– Twój ojciec nie urodził się w Inco – zaczęła Irmina, wyprowadzając Jasmin ze złości w niedowierzenie połączone z zakłopotaniem. – Tylko we Floris. Tam dorastał. Stamtąd uciekł, bo nie czuł się dobrze. Od zawsze interesował się nauką, a jak wiesz, w tym wiejskim kraju mało kto ma ambicje. Przeszmuglowali go rybacy. Zawsze był taki praktyczny. Tak za nim tęsknię.

– To nieprawda! Dlaczego akurat teraz mi o tym mówisz? – zapytała Jasmin.

– Bo kiedy zakochałam się w tym młodym, pełnym pasji inżynierze, moja rodzina postawiła warunek. Jeśli za niego wyjdę, wydziedziczą mnie i mogą o nich zapomnieć.

– Mówiłaś, że wychowywaliście się w sierocińcu, że nie macie bliskich. Dlaczego kłamałaś? Zawsze zazdrościłam moim koleżankom, które miały babcię, dziadków. Ja miałam tylko was. – W głowie Jasmin kotłowały się wszystkie mętne myśli na ten temat, zapamiętane z całego jej krótkiego życia.

– Dla sąsiadów czy kolegów z pracy Omar był po prostu dobrym człowiekiem, świetnym fachowcem. Dlaczego? Bo nikt nie miał pojęcia o jego pochodzeniu. Masz świadomość, jaka

jest opinia o Floriańczykach. Wiedzieliśmy tylko ja i moi rodzice. Dla nich on był zawsze nikim. Choćby nie wiem, ile osiągnął, jakich nie dostąpił zaszczytów, nazywali go pogardliwie „głupkiem”, czasem „kłamliwym imigrantem z wiochy”, który zabiera pracę uczciwym mieszkańcom Inco.

- Co? Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? - wściekała się Jasmin.

- Dla twojej ochrony. Gdybyś wiedziała, nigdy nie odniosłabyś takiego sukcesu. Piętno wyrzutka bardzo podcina skrzydła. Nie chcieliśmy z ojcem, by cię to dotknęło. Tak wiele osiągnęłaś. Masz wspaniałego, kochającego męża, mieszkacie w pięknym apartamencie, przed wami świetlana przyszłość, o której wiele osób nawet nie śmie marzyć. Nie zmarnuj tego.

Jasmin posmutniała. Przed chwilą znany jej świat uległ katastrofie. Wszystko, na czym opierała swój byt, okazało się nic niewarte. Rodzice przez całe życie wpajali jej, że prawda i życie to najważniejsze wartości tego zepsutego świata. Jakże się zawiodła. I w dodatku co miała teraz zrobić z tą ciążą, skoro nawet matka była przeciwna? Zanim wyszła, Irmina na dowód tego, że mówiła prawdę, pokazała jej jeden z notatników ojca. Był spisany starożytykiem, czyli za pomocą znaków używanych do tej pory tylko we Floris. Omar miał piękny charakter pisma, ale ani jego żona, ani córka nie miały pojęcia, co zapisał.

Bełkietne, bezchmurne niebo oraz jasne promienie Hello napawały optymizmem, lecz deptak komunikacyjny, którym Jasmin zmierzała w kierunku swojego apartamentu, odbierał jej nadzieję. Był pełen atrakcyjnych, szczupłych kobiet w różnym wieku, odzianych w białe, czarne lub w jednym z odcieni szarości stroje, zazwyczaj jednobarwne. Pomiędzy nimi czasem można było wypatrzyć mężczyznę. Rzadko. Zazwyczaj nie szedł sam, ale bez względu na to, iloma otaczał się kobietami, inne, mijane z westchnieniem, wiodły za nim wzrokiem. Widać było, że społeczeństwo trawia szkodliwa nadpobudliwość i żądza. Czuło się w powietrzu mieszaninę damskich perfum maskujących efekty rozwścieczonych hormonów. Kobiety spoglądały na mężczyznę jak myśliwy na zwierzynę. Żadna nie wiedziała, co to dyskretny flirt. Natężenie zazdrości o przedstawicieli płci męskiej osiągnęło niebezpieczny poziom. Jasmin uważała, że w normalnych warunkach żadna kobieta nie obejrzałaby się za Addamem. Jednak w tych okolicznościach stał się on obiektem westchnień. U niej pojawiła się chęć walki o przynależność, jakby broniła własnej szczoteczki do zębów. Osobistej. Zabiłaby, gdyby ktoś wykorzystał, ale potem z obrzydzenia musiałaby wyrzucić. Tak myślała. Z czasem zwykła ludzka dbałość o dobytek – tak kojarzyła wszystko, co było związane z poczuciem bezpieczeństwa – zmieniła się w zazdrość. Jasmin wiedziała, że w biurze Addama większość to plec piękna. Zresztą, dokąd by się razem nie wybrali, tęskne oczy mizdrzących się uczennic czy dojrzałych kobiet, nawet w wieku pięciu oczyszczeń, spoglądających w kierunku jej męża, były na porządku dziennym. Nigdy nie przywykła do tego, że on odwzajemniał się delikatnym gestem, uśmiechem lub mrugnięciem. Kiedy wychodził do pracy, szukała sobie zajęcia, by o tym nie myśleć. On twierdził, że propozycje flirtu zaledwie go bawią. Często porównywał takie incydenty do widoku zdesperowanych kobiet, które chodziły za rękę z robotem o męskich rysach. Jasmin nie do końca mu ufała.

Kiedy doszła do wielopoziomowego skrzyżowania, poczuła lekkie drżenie pod stopami. Przenosiło się poprzez wystające z podziemia filary na metalowy podest, którym zmierzała. Wiedziała, że to efekt przejeżdżającej kolejki, która transportowała rozmaite towary w sieci idealnie skomunikowanych podziemnych połączeń. Przypomniała sobie ich widok

z dzieciństwa oraz że to właśnie ojciec zabrał ją kiedyś do podziemia, by pokazać to logistyczne, kunsztowne rozwiązanie. Omar był bardzo ciekawski i chyba to właśnie jego postawa wykształciła w córce identyczną cechę. Żadna z koleżanek nigdy nie widziała podziemnej kolejki ani innych ukrytych przed społeczeństwem urządzeń potrzebnych do funkcjonowania pierwszej dzielnicy Inco. Tylko Jasmin. I tylko dzięki ojcu. „Szkoda, że nie żyje, na pewno wiedziałby, co zrobić” – pomyślała. W tym momencie jej schowany w przezroczystej sakwie komunikator zaczął mrugać niebieskim światłem i wydawać znany dźwięk zbliżającej się rozmowy. Jasmin wyjęła go, nacisnęła jeden z przycisków i usłyszała znajomy głos.

– Hej, kochana, mam dla ciebie lekarza. W zasadzie lekarkę. Nie jest taka jak ci rzeźnicy. Nazywa się Meilly. Nie wiem, jak się to czyta – powiedziała Luicey.

– Ale ja...

W tym momencie Jasmin ujrzała kobietę z dwiema dziewczynkami. Wyglądały na bezdomne i zagubione. Humanoidalny robot w granatowym uniformie gardy stał naprzeciwko nich wyprostowany jak struna. Emanował wyższością. Nie miał oczu ani imitacji nosa czy ust jak modele przeznaczone do użytku domowego. Jego głowa, jeśli można było tak to nazwać, przypominała kulę nafaszerowaną przeróżnymi czujnikami. Kobieta drżącą ręką podała mu kartę meldunkową i ze spuszczonego wzrokiem czekała, co się wydarzy. Robot czytał kartę.

– Zgodnie z dekretem Rządu – wydobył się piszczący głos – nie ma pani prawa do przebywania w tym miejscu. Proszę nie stawiać oporu.

– Chciałam tylko pokazać córkom – broniła się kobieta.

Nagle human złapał starszą z dziewczynek za łachmany i zaczął ją ciągnąć w kierunku klatki z napisem Garda, wykonanej ze szklanych prętów zbrojonych circonium. Kobieta wystawiła rękę, by wyrwać mu kartę meldunkową, lecz nie zdążyła. Human odepchnął ją tak gwałtownie, że upadła na ziemię, dotkliwie się raniąc. Druga córka z wściekłością kopnęła robota w dolną kończynę, co nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Jasmin osłupiała na ten widok, nie rozłączyła rozmowy, tylko spuściła rękę z komunikatorem w dłoń. – Niesłychane – powiedziała do siebie.

– Jasmin, co tam się dzieje? Jesteś? – przypomniała o sobie Luicey.

– Poczekaj – powiedziała szeptem do komunikatora i w odpowiedzi usłyszała tylko mamrotanie.

– Wszystko zakazane. Mandat za przebywanie w niedozwolonym miejscu wynosi dwieście sześćdziesiąt bytów za jednego osobnika płci żeńskiej. – Piszczący głos wydobywający się z humana zanikał co którąś sylabę.

Dziewczynka nagle wyswobodziła się z uścisku i szybko pobiegła w przeciwnym kierunku, po czym zniknęła za rogami jednego z wieżowców. W tym czasie human stał już przy jej matce i trzymał ją za gardło.

– Jest pani odpowiedzialna za potomstwo. Pani karta meldunkowa została zablokowana – wydobył się piszczący głos. – Proszę nie utrudniać. Za to grozi mandat sto bytów od osoby. Proszę wsiadać.

Jasmin zerknęła jeszcze przez chwilę na kobietę i jej córkę. Szklana klatka, do której wsiadły, zamknęła się i uniosła lekko nad ziemią. Human pomaszerował w kierunku wieżowca, za którym skryła się starsza z dziewczynek. Klatka z kobietą i jej młodszą córką poszybowała za nim w małej, równej odległości.

- To jak nazywa się ta lekarka? – zapytała Jasmin przez komunikator, choć widać było, że nadal nie może uwierzyć w to, co zobaczyła.

- Meilly, ale mówiłam ci, że nie jestem pewna, tak się to czyta – odpowiedziała Luicey.

System leczenia w Inco był prywatny, choć całkowicie podporządkowany Rządowi. Każda wizyta opłacona zgodnie z centralnie zatwierdzonym taryfikatorem musiała być odnotowana w bazie danych. Jeśli przypadkiem któremuś z lekarzy zapomniałoby się sporządzić raport z badania, błyskawicznie zasililiby szeregi skazanych za działanie na szkodę społeczeństwa i do końca swojego marnego życia pracowałby fizycznie na rzecz Inco w jednym z państwowych zakładów. Rząd kontrolował nie tylko służbę zdrowia, lecz także wiele innych dziedzin życia, między innymi szkolnictwo. Szkoła ogólna, którą ukończyły Jasmin i Luicey, trwała jedno oczyszczenie. Uczono w niej uproszczonej historii, zasad pisowni, rachowania oraz jednego nieinżynierskiego zawodu. Jasmin uczyła się zasad marketingu, Luicey nauk społecznych. Do wyboru były również zasady nauczania, leczenia, dekorowania oraz, rzecz jasna, znajomość chemii przydatnej w przemyśle farmaceutycznym i spożywczym. W pozostałych szkołach, z reguły technicznych, wybierany zawód dotyczył inżynierii. Wszak Inco było technologiczną mekką, więc robotyka, automatyka, a także telekomunikacja stanowiły najważniejsze dziedziny życia. Addam był wybrańcem. Podobnie jak jego odrobinę starszy kuzyn Haenry, z którym utrzymywał relacje lepsze niż ze starszymi o ponad oczyszczenie braćmi, ukończył tę samą elitarną szkołę administracji państwowej zarezerwowaną tylko dla dzieci z bogatych rodzin. Po ukończeniu takiej uczelni każdy absolwent otrzymywał intratne stanowisko z wysokim wynagrodzeniem w jednym z państwowych biur kontrolujących poszczególne obszary życia lub gałęzie gospodarki. Praca dla Rządu była odpowiedzialna i stresująca. Można było ją stracić w przypadku działania „na szkodę państwa”. Niestety, tylko do przedstawicieli Rządu i szefów poszczególnych departamentów należała interpretacja, co oznacza ten termin.

- Witam, mamy umówioną wizytę u doktor Meilly – powiedziała Luicey, wchodząc z Jasmin do obskurnego gabinetu lekarskiego zlokalizowanego na peryferiach pierwszej dzielnicy.

- Wizyta została odwołana – powiedziała asystentka, nie podnosząc wzroku znad czytanej gazety.

- Proszę pani, to bardzo ważny zabieg. – Jasmin starała się być miłą.

- Taaa, rozumiem, ale system nie działa. – Tym razem asystentka podniosła łaskawie wzrok i spojrzała Jasmin prosto w oczy.

- Jaki system? My tu na zabieg przyszliśmy. Gdzie jest doktor M-e-j-l-i? – przeliterowała Luicey.

- System UKP ma awarię czy coś. Zresztą nic nie działa. Wszystkie państwowe systemy mają zablokowany zdalny dostęp. Proszę przyjść jutro.

- Jutro ta dziewczyna będzie miała blokadę karty. Niechże pani będzie człowiekiem. – Luicey nie dawała za wygraną, lecz zmieniła ton.

- Chodźmy – powiedziała Jasmin, po czym złapała koleżankę za rękę i zaczęła ją ciągnąć w kierunku drzwi.

- No co? – zdziwiła się towarzyszka, wietrząc zwykłe tchórzostwo.

Całą drogę powrotną Luicey trajkotała jak katarynka, że nie można nikomu wierzyć i że życie przynosi zawsze niedobre rozwiązania. Jasmin jej nie słuchała. Zastanawiała się, co

spowodowało awarię systemu. Czy to, co wiedział Addam, lecz o czym nie chciał mówić, miało wpływ na ogólnonarodowy paraliż? Dlaczego w tym gabinecie nie było żadnej funkcjonariuszki UKP?

Kiedy Jasmin wróciła do apartamentu, włączyła teatromanię. Na wszystkich czterech kanałach wyświetlony był komunikat „Za chwilę dalszy ciąg programu”. Podpisało się pod nim Ministerstwo Indoktrynacji Społeczeństwa Inco.

ROZDZIAŁ 4.

Gość

Wzywałaś mnie, pani? – zapytał Kifor, wysoki, liczący prawie sześć oczyszczeń najważniejszy kapłan wysokiego szczebla.

Kiedy zamknął od wewnątrz drzwi do komnaty stanowiącej biuro Najwyższej Kapłanki Wszechziemi, zauważył, że Ae siedzi przy kamiennym stole i pisze list. Jak zwykle kunsztownie kaligrafowała.

– Nowe zaproszenia do kapłaństwa – odpowiedziała Ae, dostrzegając jego zaskoczenie. – Idą trudne czasy. Potrzebujemy większego wsparcia dla naszej społeczności.

– O czym mówisz? Jakie trudne czasy? Czyżby Patri coś ci przekazała? – zdziwił się Kifor i podszedł bliżej, zasłaniając światło dobywające się z małej pochodni.

Zauważył jednak swój błąd. Odsunął się na bok, pozwalając promieniom dotrzeć na blat stołu i leżący na nim papirus.

– Nie bądź niemądry, Kiforze. Akurat ty i ja wiemy doskonale, że Patri podczas wizji nie przekazuje niczego wprost. – Ae wyglądała na niezwykle tajemniczą.

Kifor zastanowił się przez chwilę. Znał bardzo dobrze kapłankę i wiedział, że wybór tej osoby na świętą nie był wynikiem jej silnej wiary czy zdolności paranormalnych. Ae pochodziła z biednej rodziny zajmującej się obwoźnym kuglarstwem. Wstydziła się swoich korzeni, ale z pewnością cząstka artystycznego genu przeniknęła do jej umysłu. Kiedy mówiła coś, co wydawało się na pozór oczywiste, ale niemożliwe, należało mniemać, że to zasługa jej odziedziczonego talentu do aktorstwa. Kifor, jak większość kapłanów wysokiego szczebla, wiedział, że wizje świętej Ae, które ponoć przekazuje jej Patri, to tylko magia jej wysublimowanej polityki.

– Ilu potrzebujemy nowych kapłanów? – spytał Kifor.

– Wydaje mi się, że przydałoby się około dwóch tysięcy poborowych.

– Nie rozumiem. Przecież mniej więcej właśnie tyle dzieci zapraszamy przy każdym werbunku. To tylko naturalne uzupełnienie szeregów po kapłanach, którzy odeszli do Patri.

– Tym razem myślę o kolejnej, dodatkowej liście. Czy możesz mi przynieść wypisy dziewczynek urodzonych jedno oczyszczenie temu w zachodniej ćwiartce?

– To już piąty nabór z samymi dziewczętami.

– Czyżbyś wątpił w mądrość Patri?

– Nie, pani.

Kifor spuścił wzrok i udał się do archiwum. Ae upewniła się, że nie podsłuchuje, i wezwała schowanego w sąsiednim pokoju Jusifa. Szczupły mężczyzna w stroju przypominającym szaty kupca sprawiał wrażenie osoby zaufanej. Ae wyjęła z kieszeni sukni małą sakiewkę. Wręczyła ją Jusifowi, dając znak, żeby się oddalił. On uklonił się i niepostrzeżenie zniknął za kotarą.

Po chwili do komnaty wrócił Kifor. Niósł kilka zwojów, nie wyglądał na szczęśliwego. Ae domyśliła się, co go trapi. Wysoki rangą kapłan wywodził się właśnie z tej części Floris, o którą

poprosiła. Zapewne zobaczył na jednej z rycin imię któregoś z członków byłej rodziny. Byłej, bo każdy kapłan od momentu zatrucia jadem stawał się członkiem nowej. Rodziny Patri.

- Coś cię męczy? - spytała kurtuazyjnie.

Nic nie odpowiedział. Czekał tylko na wyrok. Pozornie powinno być mu to obojętne, bo to już nie jego korzenie. Jeśli już miałby, czy raczej powinien, cokolwiek odczuwać, to raczej radość. Wszak służba Patri to honor dla rodziny. Kiedy Ae przeglądała ryciny, wstrzymał oddech. Celowo zatrzymała się dokładnie na tej najważniejszej dla niego karcie. Widniało tam imię córki jego młodszego brata. Znał je dobrze, bo miał pełny dostęp do archiwum. Wielokrotnie sprawdzał, kto urodził się lub zmarł w jego rodzinie czy okolicy, którą pamiętał z czasów dziecięcych. Ae zmrużyła oczy, jakby chciała pokazać, że się waha. Czuli, że Kifor czeka jak na egzekucję. To do niej należała decyzja. Tym razem nie zamierzała ranić tego ważnego kapłana. Wiedziała, że będzie jej potrzebny, że on nie może mieć żadnych wątpliwości i musi być lojalny. Spojrzała mu prosto w oczy i odwróciła kartę. Kiedy Kifor zobaczył kolejną rycinę z rozrysowanym drzewem genealogicznym rodziny Manduarra, odetchnął z ulgą i kiwnął głową na znak, że docenia ten gest.

- Niech to będzie Sumi, córka Fahida. A to ciekawe... - zdziwiła się Ae. - Fahid to syn Mahmuda, którego brat Omar nie ma dalszych powiązań. Jak to możliwe?

- Może zmarł?

- Nie ma o tym wzmianki. A to dopiero... - zdziwiła się znowu kapłanka. - W tej erze żaden z członków rodziny Mahmuda nie służył Patri. Czyż to nie łajdactwo? - ironizowała.

- Czyż to rewir? - dopytał się Kifor, który zdążył już uspokoić oddech.

- Kadu. Hmm, poczciwy Kadu dopisał tę dziewczynkę do drzewa jej rodziny. Na pewno ucieszy go ta wiadomość. Do niego też napiszę list.

- A jeśli jej rodzina się nie zgodzi? To przecież tylko zaproszenie. Nikt nie ma obowiązku go przyjmując.

- Stroisz sobie drwiny, prawda?

Kifor pokiwiał głową i uśmiechnął się sztucznie. Ae była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- No dobrze, kto będzie następny? - zapytała i zaczęła z powrotem przeglądać zwoje z rycinami.

Hello chyliło się już ku zachodowi, kiedy Kadu dotarł wreszcie do Litrijis. Tak nazywano jedyną osadę w rewirze, za który odpowiadał ten kapłan. Była położona blisko wielkiej tamy zbudowanej wraz ze sztucznym, choć życiodajnym zbiornikiem wodnym w korycie rzeki Ethne. W osadzie żyło i mieszkało kilkadziesiąt rodzin parających się przede wszystkim rybołówstwem i pasterstwem nimo. Muszli tego słodkowodnego gatunku skorupiaka używano do produkcji materiałów budowlanych, z których powstawały domostwa. Zanim jednak nimo osiągnęły swój właściwy rozmiar, ludzie wypasali je na podwodnych glonowych pastwiskach. Ich żerowanie prawie bez przerwy trwało wiele długich tygodni - z tego powodu cennego stada pilnowały grupy podwodnych pasterzy ujeżdżających hydapi. Byli oni wyposażeni w prymitywną broń oraz aparaty przeznaczone do oddychania pod wodą, tanio odsprzedane przez cwana korporację z sąsiedniej krainy. Odkąd zakazano kąpieli w martwych jeziorach Inco, aparaty stały się tam niepotrzebne i tu znalazły drugie życie. Zresztą to nie był wyjątek. Wiele mniej lub bardziej bezużytecznych wynalazków czy machin, które stały się przeżytkiem

w Inco, wciskano łatwowiernym mieszkańcom Floris. Podobnie było z napędami do łodzi rybackich. Często się psuły i brakowało części zamiennych. Wyrzucano je do rzeki, gdzie zalegały na dnie. Tylko pasterze nimo mieli świadomość skali zjawiska. Niemniej jednak nikt im nie wierzył. Od zbyt długiego przebywania pod wodą mieszało im się w głowach i byli traktowani jak szaleńcy o nieprzewidywalnym zachowaniu.

Kadu cieszył się, że dojeżdża do Litrijis. W tej osadzie przebywał najczęściej i tam miał, można powiedzieć, swój dom. Zanim jednak udał się na spoczynek, postanowił napoić zwierzęta. Długo już ciągnęły wóz z ciałem Mahmuda i były wyczerpane. Dojechał nad brzeg rzeki w dość ustronne miejsce otoczone drzewami. Kiedy schodził z wozu, by odpiąć hydapi, zza zakrętu rzeki wyłoniła się łódź. Zaczęło się robić szarawo, ale wyraźnie można było rozpoznać, że wiosłował nią przeraźliwie szczupły czarnowłosy. Nie wyglądał na rybaka, choć był odziany w ich strój, składający się z jednego, zmyślnie zawiniętego kawałka materiału, którego zadaniem było zamaskowanie niejednej fady tłuszczu. Złośliwi nazywali je „brzuchate nosidło”. Na Harisie, bo tak się nazywał ten wyglądający na pięć oczyszczeń człowiek, charakterystyczny strój rybaka wisiał jak szmata.

– Witaj, kapłanie. Dokąd zmierzasz? – zapytał Haris.

– Do Asaranu. Wiozę ciało tego szczęśliwca, by jego duch spotkał się z boginią Patri. Dobry miałeś dzisiaj połów? – zapytał badawczo Kadu.

Znał wszystkich rybaków, lecz ten wydawał mu się obcy. Nie miał też tak spolegliwej gęby jak inni przedstawiciele tego fachu.

– Złapałem kilka makabul i jedną riżnę – powiedział Haris, po czym chwycił rybę w dłonie i unióśł tak, by stojący na brzegu Kadu mógł ją ocenić. Była różowa i miała łokieć długości.

– Niezły okaz. Dawno nie jadłem riżmy. – Kadu nadal był nieufny.

– Mogę ci sprzedać, tanio – powiedział Haris, lecz szybko uciekł wzrokiem, co raczej nie wróżyło szczyrych zamiarów.

– Nie miałbym czym zapłacić – rzekł Kadu, a następnie odpiął hydapi od wozu i doprowadził je do wody.

Wiedział, że musi dobrze je trzymać, bo hydapi uwielbiają kąpiele. Jako jedne z nielicznych gatunków zwierząt, które potrafią oddychać pod wodą, szukały okazji do nurkowania. Oprócz obmycia i schłodzenia ciała zanurzenie w słodkowodnej rzece traktowały jako oczyszczenie układu oddechowego z zalegającego pyłu. Narząd filtrujący znajdował się w pęcherzykowatych uszach. Kiedy nie był drożny, nie działał właściwie i hydapi szybko się męczyły.

– A zresztą... dam ci ją – powiedział Haris. – Nie jest warta tyle co jedna makabula. Podejdz tylko bliżej. Tu jest za płytko dla mojej łodzi.

Kadu zdziwił się. Przywiązał uprząż hydapi do pobliskiego drzewa i zrobił kilka kroków w kierunku łodzi, uważając, gdzie stąpa. Woda w tym miejscu zakrywała mu zaledwie kostki, lecz kamienie na dnie były bardzo zdradliwe. Jedne śliskie, inne z ostrymi jak brzytwa kantami. Nagle kapłan poczuł ból w głowie, zachwiał się i z całym impetem runął do wody. Haris, który przed chwilą uderzył go wiosłem, wyskoczył z łodzi. Chwycił Kadu za szatę i wytargał go na brzeg, kalecząc ciało o kanciaste kamienie. Podeszedł do wozu i jednym szarpnięciem zdjął płótno okrywające ciało Mahmuda. Widok mumii przeraził go, lecz po chwili zaczął odrywać kawałki kory, którą była oklejona. Spieszył się, jakby nie miał zbyt wiele czasu. Zerkał co chwilę na Kadu, czy przypadkiem tamten się nie ocknął. Ostatni kawałek nie chciał się odkleić, więc Haris oderwał go, szarpiąc mocno. Kiedy skończył, z trudem dźwignął zwłoki Mahmuda i zaczął nieść je w kierunku łodzi. W pewnym momencie najwyraźniej

nadepnął na coś ostrego. Na jego twarzy pojawiło się cierpienie. Syknął krótko i ruszył dalej. Ciało Mahmuda wrzucił na dziób łodzi, sam usiadł na bocznej burcie. Zerknął na zakrwawioną stopę. Nie wyglądała źle. Chwyił wiosło, oparł je o dno i zaczął odpychać łódź od brzegu. Szybko nabrała tempa i wypłynęła na głębokość, na której mógł zacząć wiosłować. Kiedy dotarł na środek rzeki, rozebrał się do naga. Odzienie przywiązał do nogi Mahmuda z jednej strony, a z drugiej do ciężkiej kotwicy. Całość z wysiłkiem wrzucił do wody. Nie było słychać głośnego pluśnięcia, lecz profilaktycznie spojrzął w kierunku brzegu. Kapłan leżał nadal nieprzytomny. Haris odczekał, aż ciało zanurzy się w toni. Kiedy upewnił się, że nie wypłynie, zaczął machać wiosłami w kierunku przeciwnym. Dopłynął z powrotem do brzegu, wszedł na wóz i zaczął obkładać swoje ciało niezaschniętymi kawałkami kory. Nie chciały się za bardzo przykleić, więc szybko zrezygnował i zawiązał się w płótno, którym wcześniej przykryta była mumia.

Kiedy Kadu otworzył oczy, zdziwił się, że minęła noc, a świt przywitał go rosą. Nie pamiętał, jak znalazł się w tym miejscu i co się stało minionego wieczora. Leżał nad brzegiem rzeki, a jego hydapi pasły się kilka łokci dalej. Jeden już wyżarł wszystko dookoła drzewa, do którego był przywiązany. Kapłan miał ślady zadrapań na ciele i bolała go głowa. Na dnie łodzi leżała zwinięta sieć i kosz z rybami. Ucieszył się na ich widok. Oprócz tej różowej, reszta ryb miała błękitną barwę, wylupiane oczy i zygzakowatą płetwę grzbietową. „To drogi gatunek, trudny do złowienia” – pomyślał wtedy i znów poczuł, że boli go głowa.

Młody kurier, który otrzymał zadanie dostarczenia listu od kapłanki Ae, głowił się, jak znaleźć adresata. Udał się najpierw do Litrijis. Tam każde dziecko znało Kadu i można było liczyć, że z chęcią pomogłoby mu w poszukiwaniach. Szczególnie że za pomoc w odnalezieniu mogło w nagrodę przejechać się najszybszym okurai w całej krainie. A właśnie takimi dysponowali kurierzy poczty. Kiedy dotarł do osady, okazało się, że Kadu jakiś czas wcześniej opuścił to nietuzinkowe miejsce. Zanim to zrobił, obmył rany i przykleił na głowę okład z liścia szuri, który sprawdzał się na potężny ból. Dzieci wiedziały wszystko. Kurier usłyszał też, że Kadu zjadł jedną rybę, a kilka sprzedał na targu, bo i tak by się zepsuły w drodze do wąwozu Asaran. Za uzyskane cztery szare kamienie kupił worek z ziarnami bulw puke i suszone owoce sandi. Zaopatrzył się też w dwa bukłaki słodkiej wody, dwie baryłki z trunkiem zwanym tinghao i miseczkę czarnego smalcu. Kurier najpierw zmartwił się, że musi wracać, gdyż Asaran był bardzo blisko miejsca, z którego dopiero co przybył. Zdziwił się, kiedy zdał sobie sprawę, że być może się minęli. Postanowił nie tracić czasu na zbędną polemikę z własnymi obawami i ruszył. Gnając okurai co sił, uśmiechał się do swoich myśli.

„Powinno wystarczyć na całą drogę tam i z powrotem. Najwyżej zjem jeszcze owoce turlinu” – pomyślał kapłan i schował resztę prowiantu do torby. Wziął głębszy łyk trunku, który nabył w karczmie, położył się na krawędzi wozu i zmruczył oczy. Jego hydapi doskonale znały drogę. Mógł bez obaw się zdrzemnąć. One i tak wiedziały, jaki jest cel ich podróży. Następnego dnia obudził go trzepot przelatującego dość nisko ptaka moree. Kadu zauważył, że w otwartej torbie brakowało sporej ilości ziaren puke i kilku owoców sandi. Ten fakt jednak nie wywołał u niego niepokoju. Stary kapłan tylko się uśmiechnął. Uznał, że napój alkoholowy uczynił go tak niezadarnym, że zapomniał zamknąć torbę i zgubił część pożywienia, które zabrał w drogę.

I wtedy ujrzał w oddali szeroki na cały horyzont Asaran. „Jeszcze pół dnia i będę na miejscu” – pomyślał i pogonił hydapi. Zawsze cieszył się na ten widok. Kojarzył mu się z dobrym uczynkiem. Ten majestatyczny wawóz leżący u podnóża góry Saandreal był jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie widział w życiu. Swą wyjątkowością przebiegała go tylko Złota Świątynia w Patrix i wielki wodospad Pinati na rzece Ethne przy granicy z Inco. Kiedy dojechał prawie na miejsce, zatrzymał wóz przy krawędzi, by zerknąć w dół. Wawóz głęboki na dwieście łokci wypełniony był w połowie dziesiątkami tysięcy zalegających od wielu oczyszczeń zmumifikowanych ciał ułożonych niedbale, jakby ktoś je zrzucił. Nie bez powodu to słynne miejsce leżało u podnóża Saandreal. Według wierzeń Patri duchy zmarłych miały stamtąd do pokonania najkrótszą z możliwych dróg do domu bogini. Poprzednik Ae, kapłan Wiszare, kiedy ogłosił się świętym, oznajmił, że Asaran jest ogromnym źródłem energii pochodzącej od zmarłych i że tylko on potrafi z niej skorzystać. Nigdy jednak nie udowodnił prawdziwości tych słów. Zmarł na serce zaledwie kilka miesięcy po nominacji na Najwyższego Kapłana Wszeczziemi.

W powietrzu unosił się specyficzny zapach – mieszanina kadzidel, kory i wysuszonych ziół. Był odpychający, lecz nie dla Kadu. Kiedy napawał się tą wonią, na drugim brzegu wawozu zauważył wóz ciągnięty przez sześć zwierząt tine. Poruszały się wolno i ociężale. Sapały, jakby wiozły nieludzko męczący ładunek. Tamten woźnica, a w zasadzie kobieta, równie szpetna jak Kadu, też była kapłanką Patri. Miała rewir gdzieś w północnej ćwiartce. Można było poznać po kolorze szaty, granatowej. Pozdrowili się wzajemnie z daleka krótkim gestem. Jej wóz dojechał do wąskiej drewnianej konstrukcji przewieszanej nad wawozem. Wyglądała jak most, lekki, łatwy do rozebrania i przeniesienia w inne miejsce. Zapewne chodziło o to, by wysypywane zwłoki zapełniały równomiernie tę wielką dziurę w ziemi. Kadu pomyślał, że poczeka, aż kapłanka zakończy święte rytuały. Nie był pewny, czy most jest na tyle stabilny, by utrzymać aż dwie dostawy zwłok.

Kapłanka z północnej ćwiartki zatrzymała swój wóz. Włożyła odświętną szatę, wzniosła rękę i zaczęła czynić ukłony. To trwało dłuższą chwilę. „Zbyt długo jak na prostą ceremonię” – pomyślał Kadu. Kiedy jednak zrzuciła płócienną narzutę, okazało się, że przykrywała ona nie jedno, lecz kilka zmumifikowanych ciał, w tym dwoje małych dzieci. Poczyniła kilka wymownych gestów i zwolniła małą dźwignię. Poziomy podest, na którym leżały zwłoki, odchylił się lekko. Mumie były przyklejone i nie chciały się zsunąć. Kobieta zerknęła na Kadu, jakby obawiała się krytycznej oceny tego, co właśnie zamierzała zrobić. Popchnęła jednak ręką ciało leżące najbliżej krawędzi. Nie pomogło. Weszła na jedno z wysokich kół, złapała się mocno burty i bezlitośnie je kopnęła. Ciało natychmiast się odkleiło, uwalniając kolejne. Po chwili truchła zaczęły po kolei ześlizgiwać się z platformy i spadać, wydając potęgowany echem odgłos kłapanięcia. Kapłanka spojrzała jeszcze raz na Kadu, ukloniła się delikatnie i odjechała.

– Teraz ty, Mahmudzie – powiedział Kadu i szarpnął lejcami.

Hydapi ciągnące wóz ruszyły drogą wiodącą blisko skalistej krawędzi wawozu w kierunku mostu. Nagle spod płótna okrywającego mumię Mahmuda wychyliła się głowa. Kora, którą była kiepsko oklejona, w zasadzie odpadła za jednym zamachem. Kadu zbladł. Był przekonany, że Mahmud ożył. Wiedział, że to jest niemożliwe, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Po chwili zorientował się, że to Haris, który w tym właśnie momencie postanowił zaczerpnąć powietrza. Od jakiegoś czasu męczył go ból w trzewiach, smród z wawozu jednak

wcale nie pomógł, wręcz wywołał torsje. Kapłan był zaskoczony. Nadal nie wiedział, o co chodzi. Haris długo i boleśnie wymiotował.

- Co tu tak śmierdzi? - zapytał, wycierając dłonią usta.

- Gdzie jest Mahmud?! - odpowiedział pytaniem na pytanie Kadu. - Co zrobiłeś z jego ciałem, draniu?

- Wyrzuciłem do śmietnika. Nie miałem innego pomysłu - powiedział z nonszalancją Haris.

Widać było, że w Kadu gotuje się krew. Nagle rzucił się do szyi leżącego na wozie człowieka. Zaczęła się szamotanina, podczas której z ciała Harisa natychmiast odpadły niedbale przyklejone kawałki kory. Oczom Kadu ukazał się zupełnie nagi człowiek. Ten widok wybił go z rytmu tylko na chwilę. Hydapi zaczęły chrapać z niepokojem. Haris usiłował uwolnić się z uścisku, lecz Kadu jedną ręką chwycił lejce i obwiązał je wokół jego szyi. Nauczył się tego chwytu, kiedy jako młody kapłan odbywał służbę w armii. Haris zaczął się jednak wyrywać. Szarpał lejcami na lewo i prawo. Złężnione hydapi wierzgały, tupiąc nerwowo w niezbyt stabilne, choć skaliste podłoże. Po chwili kawałek skarpy z jednym ze zwierząt oderwał się od krawędzi i runął w dół, ciągnąc za sobą wóz, a także obejmujących się kurczowo Kadu i Harisa. Drugi hydapi jeszcze przez chwilę ratował się, wbijając pazury. Ciężar, który starał się utrzymać, był zbyt duży i szybko pociągnął go za resztą. Zwierzęta, pomimo tego, że wbijały swoje szpony głęboko w skałę, nie mogły się zatrzymać. Zsuwały się, wydając przenikliwy odgłos drapania połączony z panicznym piskiem. Balansowały nieporadnie ciałami, lecz to niewiele pomagało. Haris uwolnił się z uścisku kapłana i chwycił grzywy jednego z nich. Szybko dostrzegł, że problemem jest ciężki wóz, którego cały czas trzymał się Kadu. Postanowił pozbyć się balastu. Kiedy zaczął odpinać poszczególne rzemienie trzymające konstrukcję, kapłan wdrapał się na drugiego hydapi. Zaczął okładać intruza pięściami, krzycząc przy tym, jakby go obdzierali ze skóry. Kilka dziko żyjących ptaków moree zaciekawiała ta awantura i podfrunęły bliżej.

- To święte miejsce! Mogą w nim być tylko zabalsamowane ciała, ty niewierny bandyto! - krzyczał wściekły Kadu.

- Sram na to! - odpowiedział mu Haris i odpiął ostatni uchwyt.

Wóz runął na samo dno i pomimo amortyzacji miękkiego podłoża, jakim była sterta zwłok, zламаł się w kilku miejscach. Obydwa hydapi, których Haris pozbawił pęt, z jeźdźcami na grzbiecie zaczęły ostro hamować, aż wbite głęboko szpony zatrzymały się na dobre. Kadu szarpnął za lejce, dając znak do wspinaczki. To samo uczynił Haris. Jego hydapi pięło się szybciej. Był szczupły, a tym samym lżejszy. Zaledwie chwilę zajęła mu droga na szczyt. Po wdrapaniu się na brzeg zwierzęta zaczęły siarczyście chrapać. Było to oznaką niezadowolenia i potwornego zmęczenia. Haris popatrzył Kadu prosto w oczy.

- Jak wy możecie to jeść? - spytał, pokazując dłonią rozsypane ziarna.

Odczekał krótką chwilę, szarpnął hydapi za grzywę i powoli zaczął zmierzać w kierunku mostu. Kiedy przejeżdżał na drugi brzeg, nawet się nie obejrzał. Konsekwentnie podążał w kierunku góry Saandreal. Kapłan tylko wiódł za nim smętnym wzrokiem. Stał osłupiały i załamany. W jednej chwili stracił wszystko: wóz, torbę z prowiantem, ciało, które z wdzięcznością i ufnością przekazała mu rodzina zmarłego. I co najgorsze - wieloletnią, do tej pory nieskalaną reputację. W dodatku jakiś oprych, najwyraźniej uciekinier z Inco, którego cel nie był znany, ukraść mu zwierzę i odjechał zupełnie nagi. Kadu stał nad brzegiem wąwozu Asaran i patrzył w dół. Na wierzchu mrowia ciał leżały beczeszczące święte miejsce resztki

jego trzykołowego wozu i oderwany kawałek skalistego klifu. „Jak to teraz wydobyć?” – głowił się. Jeśli ktokolwiek się dowie, że to dzieło kapłana, nie będzie miał po co wracać do swojego rewiru. Zostanie wygnany ze społeczności i nigdy nie trafi do Patri.

Wtedy usłyszał znajomy głos. Był to kurier zmierzający w jego kierunku. Grał na wnerwiająco dudniącym instrumencie, który oznajmiał dostarczenie poczty. Kadu zamarł. „Czyżby kapłanka Ae przewidziała, co się stanie i wzywała go do Patrix? Ale wygląda na to, że kurier nie wie, co się wydarzyło wcześniej. Może to lepiej” – pomyślał kapłan. Szybko odebrał przesyłkę i jednym ruchem odwiązał kokardę z rulonu, w który zwinięty był list. Kadu nie odnotował, że kurier zdążył pożegnać się i odjechać w stronę dal. Wyjął zwinięty papirus i pobieżnie odczytał zaszyfrowaną zagadkę.

Z listu dowiedział się, że ma przybyć do Patrix, ale z zupełnie innego powodu. Powinien odetchnąć z ulgą, lecz w jego głowie kłębiły się pokutne myśli. Dostał zadanie przyprowadzenia kolejnej kandydatki na kapłankę. Niby czynił to wielokrotnie, ale tym razem wybór padł na Sumi, córkę Fahida. Bez względu na to, czy jej ojciec zgodzi się, czy też nie, jego obowiązkiem jest doprowadzić ją całą i żywą. Tylko jak odebrać członka rodziny, która dopiero co mu uwierzyła, a on właśnie ją zawiódł? Przekazali mu ciało Mahmuda, by odwiózł je do Asaranu, a on je po prostu zgubił. Dusza zmarłego dziadka dziewczynki miała trafić do Patri, a błąka się gdzieś pewnie w okolicach Litrijis i pilnuje swego ciała. Kapłan nie potrafił odmówić poleceniu Ae, lecz w jego umęczonym umyśle nie pojawiały się żadne rozsądne rozwiązania. Przecież okaże się najgorszym kłamcą. Kiedy dojedzie do farmy Fahida, rodzina na pewno zapyta, jak przebiegł pochówek. Kadu zerknął jeszcze raz na szczątki wozu leżącego na stercie zmumifikowanych zwłok. „To będzie pamiętne oczyszczenie” – pomyślał.

ROZDZIAŁ 5.

Rewolucja

Mam dla pani dobre wieści. – Doktor Steavans uśmiechnął się w swoim niepowtarzalnym stylu.

Jasmin leżała na kozetce. Czekala na taką właśnie wiadomość. Tak sobie wyobrażała ten moment, kiedy zaplanowała wizytę u sławnego ginekologa, o której ani jej matka, ani mąż nie mieli pojęcia. Tylko Luicey.

– To będzie syn. Czy zastanawiała się pani, jakie będzie nosił imię?

– No nie wiem. – Jasmin emanowała szczęściem. – A pańskie?

– Moje? Hmm... Jest zbyt pospolite, a pani syn na pewno osiągnie wiele. Nie może mieć na imię Jon.

– No tak. To faktycznie okropnie nudne imię. – Jasmin nadal była oszołomiona i nawet nie zdawała sobie sprawy, że zachowała się nietaktownie.

Doktor Steavans zareagował wyrozumiałym uśmiechem. Ten facet po prostu miał klasę. W tym momencie do gabinetu weszła nieproszona Gibbondy.

– I co? – zapytała wścibsko. – Nie mogłam się już doczekać.

– Chłopak jak marzenie. Za chwilę wpiszę jego dane do modułu komputerowego.

Pani Gibbondy wyglądała na niepokieszoną. Pewnie liczyła na mały skandal, a tu nic. Wyszła, rzucając wściekłe spojrzenie w kierunku pacjentki. Jasmin uśmiechała się promiennie do swoich myśli niczym dziecko. Nagle jej oczy zaczęły mocno łzawić, a na twarzy pojawił się grymas smutku. To nie tak miało być. Ona chciała się cieszyć z tej radosnej nowiny, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Chciało, by płakała. Walczyła z nim dość długo. To była męcząca chwila, trwająca całą wieczność. W końcu Jasmin uległa emocjom, które wyrwały się niczym lawa z eksplodującego wulkanu. Zaczęła łkać. W tym czasie doktor Jon Steavans wprowadzał dane do modułu, kompletnie nie zwracał uwagi na jej płacz. Nadal cieszył się, że na świat przyjdzie kolejny chłopiec. Jasmin zmrugała oczyma, by nie produkowały więcej łez. Usłyszała, jakby z innego świata, dość cicho brzmiały głos dobiegający z teatromanii. Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Wcale nie była w gabinecie ginekologa. Leżała w swoim łóżku, a Addam oglądał poranne wiadomości wyświetlane na ścianie.

– O, nie śpisz – zauważył. – Bardzo krzyczałaś.

Jasmin długo nie mogła pogodzić się z faktem, że to był tylko sen. Zamknęła jeszcze raz oczy, by wrócić do tamtej chwili, lecz głos premiera Clifforda dobiegający z głośnika teatromanii skutecznie sprowadzał ją na ziemię.

– Drodzy rodacy, muszę zdementować wszelkie pogłoski na temat rzekomego kryzysu. Państwo funkcjonuje doskonale. Nie jest prawdą, że chuligani włamali się do naszego systemu informacji.

– Tylko teatromania działa – powiedział Addam. – Reszta systemów nadal jest zainfekowana.

Do Jasmin przez chwilę nie docierało, co właśnie zakomunikował jej mąż. Kiedy Addam wyłączył rzutnik, poczuła, że jego słowa wiszą cały czas w powietrzu i czekają na jej reakcję.

- Co teraz będzie? - zapytała Jasmin.

- Jeżeli premier Rządu twierdzi, że nie ma żadnego kryzysu, to znaczy, że jest, i to od jakiegoś czasu. Należy się spodziewać różnych scenariuszy.

- Czy tu chodzi o chromosom Y?

- Nie wstajesz? - zapytał, uciekając od odpowiedzi.

- Nadal źle się czuję. Zostanę kolejny dzień w domu.

- To już trwa dosyć długo. Twoja szefowa, królowa lodu, zacznie coś podejrzewać.

- Jutro już pójdę do pracy.

- Jak damy jej na imię? - Addam postanowił zmienić temat na równie drażliwy, ale przynajmniej z bardziej odległym finałem.

- Jej? - powtórzyła, jakby nie rozumiała pytania.

- No dziecku, które nosisz.

- Nie myślałam jeszcze. Może po twojej mamie?

Jasmin zdała sobie sprawę, że nawet nie wspomniała mężowi o odwiedzinach u własnej matki, Irminy. Wyrzuty sumienia związane z piętrzącymi się tajemnicami podpowiedziały jej rodzaj zadośćuczynienia, które było zaledwie kompromisem.

- Czyli dobrych wiadomości nigdy dosyć - ironizował.

Jego relacje z matką trochę podupadły, ale nadal spowiadał się jej ze wszystkiego. Jasmin tego nie rozumiała. Wiedział, że skoro jego żona zaproponowała, by dziecko dostało imię po teściowej, to znaczy, że Jasmin nie traktuje sprawy zbyt poważnie. Bo one się nie lubiły.

- A ty? Co sądzisz? - zapytała z troską.

- Jeszcze nie potrafię się z tym pogodzić. Nie spodziewałem się, że będę musiał wymyślać imię dla dziewczynki. Zapytam mamy.

W Inco funkcjonowały dwa ugrupowania polityczne: Partia Chemików oraz Partia Pracy. W wyborach, które odbywały się co pół oczyszczenia, na pierwszą z nich głosowało osiemdziesiąt procent społeczeństwa, czyli cała dzielnica pierwsza, na drugą zaś tylko mieszkańcy dzielnicy drugiej. Barney Clifford został wybrany na premiera Rządu trzy i pół oczyszczenia temu. Nikogo to wtedy nie zdziwiło, tak jak i kolejne reelekcje. Pochodził z bogatej rodziny związanej z farmacją. Był też jednym z najskuteczniejszych przywódców w Inco, przewodniczącym Partii Chemików. Chodziły pogłoski, że się sprzedał i będzie musiał się odwdziżyć kartelom farmaceutycznym. Głoszący je ludzie szybko zasilali szeregi górniczego bractwa. Zostali skazani za zdradę kraju i zesłani do obozów pracy, gdzie w pocie czoła dogorywali przy urobku circonium, metalu szlachetnego służącego do produkcji precyzyjnych narzędzi do obróbki i skrawania, a także lekkiej broni. Clifford kierował Rządem dość sprawnie. Był świetnie wykształcony, miał charyzmę i zmysł drapieżnego polityka. Wszyscy się go bali. Kiedy w teatromanii pojawiły się pierwsze ataki hakerów, stracił rezon. Jego obłudne otoczenie życzyło mu rychłego upadku. Już widziano na jego miejscu kolejnych kandydatów. Jednym z nich był Petar Rubby, Minister Spraw Wewnętrznych. Spotykali się często na prywatnych posiedzeniach w apartamencie premiera. Clifford miał do niego ogromne zaufanie, choć nigdy nie pozwolił, by zwracali się do siebie po imieniu.

- Panie premierze - zaczął Rubby. - W północnej części drugiej dzielnicy zdławiliśmy zamieszki. Ludzie wyszli na ulice. Domagają się prawdy.

- Jacy ludzie? To hołota - powiedział oburzony Barney Clifford. - Rozumiem, że wie pan, kto za tym stoi.

- Jasne. Tylko nie potrafię tego połączyć ze śledztwem dziennikarskim.

- Czy może mnie pan w końcu oświecić? Nie mam czasu na niepotrzebne wstępy. - Premier był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Za tymi burdami stoją bojówki Czarnych Dłoni.

- Nie rozumiem. To przecież tajne ugrupowanie, które wykreowaliśmy sami. To był pański pomysł. Całkiem udany. Czyżbyśmy popełnili jakiś błąd?

- Poniekąd tak. Agentki Czarnych Dłoni nadal działają. Ktoś cały czas nimi steruje.

- Niech pan mi nie mówi, że jeden z moich ministrów nadzoruje tajną organizację, o której nie wiemy ani pan, ani ja. W dodatku sprawa wychodzi na jaw, kiedy pojawia się poważny problem z wyciekami danych na temat chromosomu Y.

- Sądzę, że to nie jest zbieg okoliczności. Kto ma nadzór nad Biurem Badania Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych, które kontroluje teatromanię? - rzucił niby od niechcenia Rubby i udał, że nie interesuje go reakcja Clifforda.

Twarz premiera natychmiast poczerwieniała. Zrobił kilka nerwowych kroków, wyjął swój komunikator i nacisnął jeden z przycisków.

- Na rano zwołuję krótką naradę z udziałem Ministra Spraw Wewnętrznych, Zdrowia oraz Indoktrynacji Społeczeństwa - powiedział do mikrofonu znajdującego się w małym urzędzeniu.

- Tak jest. - Słysząc było krótką odpowiedź.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan wie o tych bojówkach - powiedział do Rubby'ego.

Minister Spraw Wewnętrznych przypomniał premierowi całą historię. Otóż kiedy ludzie z Inco źle zareagowali na powołanie Urzędu Kontroli Płci, powstała tajna organizacja pod nazwą Czarne Dłonie. Stanowiły ją najbardziej pyskate i cwane kobiety. Miały za zadanie wniknięcie w struktury środowisk opozycyjnych i spowodowanie ich powolnej destrukcji. Infiltracja się powiodła. Trzy kolejne tak zwane Bunty Matek, wywoływane w slumsach przez przeciwniczki zakazu narodzin dziewczynek, zostały zdławione w zarodku z pomocą Czarnych Dłoni. Projekt UKP oraz kolejne dyrektywy odbierające przywileje mieszkańcom rozprzestrzeniły się w tempie geometrycznym. Pomogła też delikatna modyfikacja leku o nazwie Ray. Udoskonalona wersja działała wyciszająco na ewentualne wybuchy matczynych hormonów. Z czasem ludzie zapomnieli o tym, co ich boli. Przystosowali się. Projekt pod nazwą Czarne Dłonie został zamknięty, lecz najwyraźniej jego członkinie nigdy nie przestały działać. Nadal brały czynny udział w sterowaniu nastrojami społecznymi wśród biedniejszej części mieszkańców drugiej dzielnicy. Rubby twierdził, że tym razem to one były zarzewiem właśnie rozkręcającego się konfliktu, lecz zadziały przeciwko władzy, która je stworzyła.

- Najciekawsze jest to, że pierwszy marsz w sprawie ujawnienia rzekomej prawdy przeszedł dzień przed atakiem hakerów na teatromanię. - Tymi słowy Rubby dokończył swą opowieść.

- Jest pan Ministrem Spraw Wewnętrznych, niech mi pan, do cholery, powie, kto to wszystko finansuje?! Przecież te baby same się nie zorganizowały! - Clifford nie ukrywał wściekłości.

- Mam coraz mniej ludzi. Większość zadań realizują humany. Nie są gotowe na działalność agencjonalną. To już nie jest ta garda co kiedyś - tłumaczył się Rubby. - Ten zakres obowiązków spoczywa na Ministrze Indoktrynacji Społeczeństwa.

- Rozumiem. Czy są jakieś wieści od Harisa? - zapytał premier, usiłując zmienić temat.
- Niestety nie. - Rubby posmutniał.
- Nadal pan w niego wierzy?
- A co mi pozostało, panie premierze?

Kiedy Addam wyszedł do pracy, Jasmin usiłowała sobie przypomnieć jakieś ciekawe imiona dla dziewczynki. Przychodziły jej na myśl tylko takie, które nosiły osoby z jej najbliższego otoczenia, i wszystkie wydawały się zbyt pospolite. W sumie była zadowolona z imienia, które nadali jej rodzice. Nie знаła nikogo o imieniu Jasmin. Wreszcie się wyjaśniło, dlaczego je nosiła i dlaczego miała kolor włosów tak rzadki w tym kraju. Przecież jej ojciec pochodził z Floris - widocznie to imię było tam popularne, a białowłosi nie stanowili wyjątku jak w Inco. Być może imię dobrze mu się kojarzyło, z jakąś ciotką, babką lub siostrą. Jasmin była zaskoczona informacjami usłyszanymi od matki. Nie tego się spodziewała, kiedy wybierała się do niej po poradę dotyczącą ciąży. Mimochodem zaczęła rozmyślać o pochodzeniu jej ojca i nawet przez moment przeszedł jej przez głowę pomysł podróży w tamte strony. Miło byłoby poznać rodzinę. Całe życie zazdrościła koleżankom, które opowiadały o ciociach, wujkach, kuzynach, a nawet stryjenkach. Po chwili jednak odgoniła tę myśl. Przypomniała sobie, jak bardzo różnią się te dwie społeczności. Od razu zeszła na ziemię. Przecież ludzie z Floris słusznie traktowani byli jak dziwaki. Nie chciało im się uczyć. Woleli uprawiać rolę. Nie zażywali leków, tylko zioła. Obżerali się mięsem śmierdzących zwierząt czy suszonymi, kiszonymi lub pieczonymi na węgiel roślinami. Te staroświeckie pokarmy zalegały i gniły w ich układach pokarmowych. Wyobraziała sobie ten smród z trzewi. Przypomniała sobie również, że Floriańczycy za nic mieli ludzi z Inco. Traktowali ich jak mądrali, którzy tylko na chwilę oddzielili się od macierzy i zgrywali nowoczesne państwo. „Idioci” - pomyślała. „Tylko na chwilę? To już trwa dwudziestą czwartą erę i nie zanoszą się na zmianę. Prędzej Inco wchłoną Floris niż odwrotnie. Dlaczego wierzycie w te bajki o bóstwach?” - myślała. „Tyle nas różni”. Westchnęła głęboko. Postanowiła też, że nie powie Addamowi o swoim pochodzeniu. Miała i tak dosyć drwin na temat slumsów, w których się wychowała.

Tylko trzy osoby wiedziały o tym, że Jasmin nosi w brzuchu trojczki płci żeńskiej. Ta upiorna funkcjonariuszka UKP, doktor Steavans i matka. „Co za ironia losu” - pomyślała. Nie wiedział o tym ani jej mąż, ani najbliższa koleżanka, której wielokrotnie, choć nie zawsze się zwierzała. Luicey była dobrym człowiekiem, ale nie można było jej zaufać. „To plotkara największa ze wszystkich. Gdyby poznała prawdę, momentalnie huczałaby o tym całą pierwszą dzielnicą” - myślała z goryczą.

Kiedy Jasmin odwiedziła doktor Meilly, była zdecydowana na usunięcie ciąży. Teraz nie była pewna, czy jest gotowa na taki krok. „Jak zareaguje Addam? Czy mnie potępi?” - zastanawiała się. Była pewna jego lojalności, lecz żadne uczucie nie mogło się równać z groźbą, jaka nad nimi wisała, gdyby zdecydowała się na urodzenie trojczków. Wolala przekazać mu tę wiadomość w odpowiednim momencie. Liczyła, że razem podejmą decyzję, choć w głębi duszy miała nadzieję, że znajdzie się jakieś rozwiązanie, by uchronić całą trójkę niewinnych maleństw.

Różnic w skutkach urodzenia dziecka płci męskiej i żeńskiej było bardzo wiele. Wystarczyło przypomnieć sobie te najważniejsze. Na utrzymanie chłopca Rząd Inco przeznaczał w zależności od wieku od pięciuset do ośmiuset bytów miesięcznie. Ponadto dziecko miało zapewnioną opiekę medyczną oraz dostęp do najlepszych szczepionek, witamin i leków. Zupełnie inna sytuacja miała miejsce w przypadku narodzin dziecka płci żeńskiej. Rodzice dziewczynki nie mogli liczyć na bezpłatne leczenie, a podatek miesięczny od każdej kolejnej córki, poza pierwszą, wynosił tysiąc bytów. Przy dobrych zarobkach, rzędu dwóch do trzech tysięcy bytów miesięcznie, taka kwota stanowiła spore wyzwanie. Najbardziej tę różnicę widać było w przedszkolu, gdzie dzieci spędzały praktycznie cały dzień. Chłopcy i dziewczynki bawili się w osobnych pomieszczeniach. Każdy chłopiec nosił maskę. Miała ona na celu ochronę przed potencjalnymi zagrożeniami wieku dziecięcego. Wbudowany specjalny węglowy filtr chronił przed wirusami i bakteriami. Ponadto maska była wyposażona w system czujników wykrywających podwyższenie temperatury czy potencjalne schorzenia. Jeśli dziecko traciło zwykłą odporność, natychmiast automatycznie aplikowano mu stosowną dawkę minerałów czy witamin niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Te maski opłacał Rząd. Rodziców dziewczynek nie było na nie stać, a już szczególnie na bieżące uzupełnianie aplikatorów. W przedszkolu trwającym pół oczyszczenia jedna opiekunka miała za zadanie upilnowanie zaledwie dwóch chłopców lub dwudziestu dziewcząt. Po prostu o dziewczynki nikt nie dbał, oprócz rodziców. Jeśli któraś zostałaby okaleczona lub zmarła, nikt by się nie przejął. Jasmin rozpaczała na myśl o tym, co mogłoby się stać z jej córkami, gdyby zabrakło matki. Znowu biła się z myślami, co powinna zrobić. W myślach szlochała, jakby przeżywała żalobę po zakończonym szczęśliwym życiu. Wspominała wszystkie najcudowniejsze chwile. Szczególnie ciepło myślała o oświadczeniach Addama – najprzyjemniejszym dotychczas momencie.

Takiego rytuału dokonywało się tylko w jednym, wyjątkowym miejscu. Na peryferiach pierwszej dzielnicy, w zabytkowej części Inco, stała Szklana Kopuła tak wielka, że mogłaby zmieścić małe miasteczko. Sporą część powierzchni skrytej pod przeszkleniem stanowiło jezioro z głęboką, krystalicznie czystą wodą, pełną kolorowych, słodkowodnych ryb. W części lądowej można było doświadczyć kontaktu z żywą fauną i florą, której poza kopułą w całym Inco nie sposób było zobaczyć. Wiele oczyszczeń temu w obawie przed zarazą, chorobami i nieczystościami Rząd wydał dekret o eliminacji wielu gatunków zwierząt, głównie gryzoni i ptaków. Dlatego wszystkie wodne, lądowe i latające stworzenia, żyjące wewnątrz owej kopuły, były w zasadzie jedynymi w całej krainie.

To było magiczne miejsce. Ów relikwiarz wybudowano w czasach, kiedy Inco było połączone z Floris. Wtedy funkcjonowała wspólna religia, kult Patri. Ostatecznie po całych erach ciemnienia powątpiewających, czy aby jednak Patri istnieje, została definitywnie zakazana w Inco, jeszcze w ósmej erze. Kopuła stanowiła wtedy swoistą kaplicę, w której po tafli wody puszczano papierowe, kolorowe łódeczki. Były one niewinnymi, symbolicznymi ofiarami składanymi mniejszym, lokalnym bóstwom odpowiedzialnym za zdrowie, miłość i bogactwo. Po wprowadzeniu delegalizacji wszelkich antycznych wierzeń kopuła przez wiele oczyszczeń stała nieużywana. Mimo to jakimś sposobem woda nigdy się nie zabrudziła, nie wymarły też żyjące w niej stworzenia. Z czasem młodzież zaczęła tam wracać i znów, tym razem potajemnie, modlić się o miłość. Ówczesny Rząd wykorzystał ten pseudoreligijny akt i przekuł go w element swojej polityki. Zwyczaj składania ofiar czy modlitw o miłość zamienił się w świecką tradycję uzgadniania ożenku. Szybko stał się kultowy.

Tego dnia Addam i Jasmin byli jeszcze narzeczeństwem. Kiedy oznajmił, że zaprasza ją na wycieczkę statkiem po przykrytym szklaną kopułą jeziorze, nie mogła powstrzymać łez szczęścia. To była najdroższa wersja z dostępnych na rynku. Stać na nią było tylko najznamienitsze rody. Rejs po jeziorze tą łodzią, wykonaną z lekkich, lecz mocnych, najdoskonalszych materiałów, był sporym wydatkiem. Mimo kosztu oraz długiego czasu oczekiwania na swoją kolej wielu mężczyzn decydowało się na właśnie ten wariant. Był synonimem luksusu. Biedniejsi narzeczeni wypożyczali na kilka chwil małe tratwy, którymi mogli poruszać się tylko niewiele łokci od brzegu i po powtórzeniu krótkiej przysięgi wracali. Addam załatwił wszystko najlepiej, jak się dało, i to w jeden dzień. Kiedy wsiadali wraz z Jasmin i grupą kilkunastu młodych ludzi na pokład, niejedna panna płakała ze wzruszenia. Po dotarciu na środek jeziora urzędnik zapowiedział, że można przystąpić do rytuału. Był niby prosty. Potencjalni narzeczeni kładli się na pokładzie blisko siebie i czekali jakby na wybawienie. Ich wybranki, do tej pory schowane pod pokładem, miały za zadanie z zamkniętymi oczami odnaleźć swego narzeczonego i ucałować go prosto w usta. Mężczyznom nie wolno było dawać żadnych podpowiedzi. Wiele panien myliło się, dając pozostałym pretekst do uciechy. Pomyłka oznaczała, że parę czeka zdrada, dlatego rzadko która dziewczyna decydowała się na kontynuację związku. Z kolei im dłużej szukała swojego wybranka, tym ponoć było gorzej. Oznaczało to, że małżeństwo napotka wiele przeszkód w życiu, a mąż będzie musiał harować na rodzinę. Zdarzały się pary, które wcale się nie odnalazły. W takiej sytuacji, kiedy zniecierpliwiona panna odkrywała wreszcie oczy, oznaczało to, że rezygnuje z oświadczyn, choć niekoniecznie z miłości. Jasmin trafiła do Addama w rekordowo krótkim czasie, co wróżyło idyllę. Inne pary tego dnia szukały się znacznie dłużej. Całe ateistyczne społeczeństwo Inco wiedziało, że procedura oświadczyn to zabobon. Nikt jednak nie odważył się z niego zrezygnować. Za mocno był zakorzeniony w tradycji.

Zanim Gibbondy rozpoczęła służbę w Urzędzie Kontroli Płci, była aktywistką w Ministerstwie Zdrowia, potem Sportu i Zainteresowań. Wszędzie dbała o to, by naród właściwie się rozwijał, by sam eliminował niezdrowe tkanki. „Mięczaki” – myślała o nich wielokrotnie, kiedy dokładała sobie kilogramów podczas ćwiczeń na wielofunkcyjnym urządzeniu do pracy nad mięśniami. „Życie nie rozpieszcza” – mawiała do siebie, dlatego zawsze wykonywała wszystkie ćwiczenia bardzo grubo ubrana.

Tego popołudnia mokry od wewnątrz strój przyklejał jej się do ciała, a coraz bardziej duszący pot był oznaką, że wyczerpujący trening powinien zmierzać ku końcowi. Po nim już tylko wystarczyło się rozebrać i włączyć moduł splukujący. Uwielbiała ten moment, kiedy krople lodowatej wody wyrzucane z sufitu z dużym ciśnieniem bombardowały jej skórę. Wtedy naprawdę czuła, że żyje. Nie lubiła funkcji suszenia, dlatego rzadko z niej korzystała. Kojarzyła jej się z ciepłym, czułym dotykiem, którego się brzydziła. Po kąpeli od razu wychodziła do salonu. Naga i mokra. Jej garderoba zapełniona była wyprasowanymi w kant brunatnymi mundurami UKP. Wisały swobodnie, niezbyt ciasno zapełniając całe pomieszczenie. Na dole garderoby stał rząd lśniących, kompozytowych, sznurowanych po same kolana buciorów. Z kolei na górnej półce znajdowały się czapki na każdą okazję. Wersja polowa była praktyczna, służyła do bieżącej działalności, w tym śledzenia i ścigania kombinatorów. Porodowa, bardziej przypominająca chustę, używana była podczas rutynowych kontroli w salach szpitalnych, a także w gabinetach ginekologicznych. Gibbondy była wysokiej rangi oficerem, nie musiała

kontrolować pracy lekarzy, lecz czyniła to po godzinach, bezinteresownie. Z czystej pasji do uprawiania podłości. Czapki galowej używała tylko na parady, których dzięki zaangażowaniu Ministerstwa Indoktrynacji Społeczeństwa odbywało się sporo.

Ubrała się szybko. Miała jeszcze trochę czasu, żeby pogapić się przez okno. Widok z jednego z ostatnich pięter wysokiego wieżowca ucieszył jej zimne serce. Z nieskrywaną pogardą i obrzydzeniem patrzyła na mrowie wałęsających się w dole ludzi. Wiedziała, że niebawem wiele się zmieni. Z tą pozytywną myślą wybiegła z apartamentu. Długim wąskim korytarzem maszerowała jak natchniona. Miała ochotę sfrunąć, a nie zjeżdżać windą. Pokonanie stu pięter w dół dłużyło jej się niemiłosiernie. Kiedy wyszła na zewnątrz, przyspieszyła kroku. Mijane osoby, pochodzące najczęściej z dobrych rodzin, bo takie mieszkaly w jej okolicy, były dla niej praktycznie przezroczyste. Spotkanie miało się odbyć się w Urzędzie Kontroli Płci. Jak zwykle po godzinach pracy. Ale dla Gibbondy służba zajmowała pierwsze miejsce spośród wszystkich zajęć, którymi się parała.

Kiedy weszła do gabinetu Noovack, okazało się, że jest jak zwykle pierwsza. Jej szefowa, Dyrektor UKP, a zarazem Wiceminister Zdrowia, wyglądała na zadowoloną. Gibbondy kiwnęła lekko na powitanie i zajęła miejsce przy wielkim stole do narad.

– Czy jesteś świadoma tej chwili, Claire? – zapytała Eva Noovack.

– Nigdy nie byłam bardziej pewna, że to, co robimy, ma ogromne znaczenie – odpowiedziała.

– Będziemy miały teraz bardzo dużo pracy.

– Jestem przygotowana na wszystko.

Po chwili do gabinetu weszły cztery kobiety w wieku pomiędzy trzy i pół a pięć oczyszczeń. Jedna z nich była odziana w mundur straży granicznej ze stopniem oficerskim, druga w mundur gardy, a pozostałe wyglądały na cywilów. Gibbondy była wyjątkowo podniecona. Gdyby wcześniej nie umordowała się ciężkim treningiem, chyba teraz oszalałaby z ekscytacji. Kobiety zajęły swoje miejsca. Eva Noovack, zanim usiadła wraz z nimi, obeszła wszystkie dookoła.

– Czy możemy swobodnie rozmawiać? – zapytała.

– Tak. Zagłuszyłam podsłuch – odpowiedziała Natalia Tatarczyna, oficer gardy.

– Doskonale – ucieszyła się Noovack i wreszcie usiadła na ostatnim z wolnych miejsc przy stole. – Moje drogie – kontynuowała. – Jutro rano wybuchnie bomba, która zmiecie resztki starego układu. W ciągu kilku dni zaproponuję Radzie Doradców utworzenie nowego Rządu. Kartele farmaceutyczne będą się bronić, ale Czarne Dłonie zadbały już o to, by farmacja w najbliższym czasie przestała odgrywać tak kluczową rolę jak przez ostatnie oczyszczenia. Mamy poparcie przedstawicieli kilku ważnych korporacji z branży technologicznej, ale nie mogę teraz zdradzić żadnych nazwisk. Możemy również liczyć na Ministra Sportu i Zainteresowań, a także tego od gospodarki. Trzeba będzie im zostawić teki. Reszta będzie, jak wiadomo, do podziału. Pył po bombie opadnie szybko. Czy są jakieś pytania?

– Kiedy mam wyłączyć teatromanię? – zapytała Kimberly Davis, aktualna szefowa Biura Badania Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych. – Ministerstwo Indoktrynacji Społeczeństwa będzie naciskać na wyłączenie od razu. Jak sądzę, dobrze by było, żeby naród poznał prawdę.

– Słuszna uwaga. – Eva Noovack zastanowiła się przez chwilę.

– A jeśli będą próbowali wyłączyć ją siłą? – kontynuowała rozważanie ewentualności Davis.

- Garnizon humanów będzie w gotowości. Już je przeprogramowałam - puszyła się Tatarczyzna.

- Brawo. Takiej właśnie postawy potrzebuje ten kraj - powiedziała z dumą Noovack. - A jak wygląda sytuacja z wirusem w modułach komputerowych?

- Do jutra na pewno się nie wygrzebią ze ściąganiem blokady. Nadal są przekonani, że panują nad teatromanią, frajerzy. Aktualizacja wszystkich systemów do obsługi informatycznej, radiowej i telekomunikacyjnej czeka tylko na sygnał. Kiedy ją wgramy, nikt już się nie włamie. Kody dostępu mamy tylko ja i przyszła pani premier. - Nadine Bleur, sucha brązowowłosa o orientalnej urodzie, wyjęła małą kopertę i wręczyła ją Noovack.

- Dziękuję i gratuluję, pani przyszła Minister Cyfryzacji i Telekomunikacji - powiedziała szefowa i uśmiechnęła się znacząco.

- Będziemy mogły włączyć również nadrzędny system państwowy, czyli UKP? - Gibbondy koniecznie chciała przypomnieć o swoim istnieniu.

- Oczywiście, ale to już nie twoje zmartwienie, koleżanko.

Funkcjonariuszka tylko uśmiechnęła się sztucznie. Jej wąskie usta i kościste policzki w połączeniu z tym grymasem miały chyba komunikować, że ten zajadły drapieżnik tylko czeka, żeby dopaść swych wrogów.

ROZDZIAŁ 6.

Zgrzyt

Hello jeszcze dobrze nie wychyliło się zza horyzontu, a Fahid już dawno krzątał się po gospodarstwie. Zdążył pomodlić się do Patri oraz sprawdzić, czy nocne ognisko wypaliło się do cna. Potem odwiedził stajnię, w której przetrzymywał zwierzęta. Tym razem nocowało w niej sześć hydapi, dwa tine i cztery okurai. Tylko jeden przedstawiciel tego ostatniego gatunku przebywał poza stajnią, w małej zagrodzie. Był brzemienny i w każdej chwili mógł wydać na świat potomstwo. Nie byłoby to zbyt bezpieczne dla maluchów, gdyby zainteresowały się nimi dorosłe zwierzęta, szczególnie innego gatunku. Dlatego kiedy jego brzuch mocno obrzmiał, okurai został odseparowany. Wśród zwierząt nie odnotowywano kanibalizmu, ale zdarzały się przypadki zdeptania nowo narodzonych zwierząt przez dorosłe osobniki z powodu ich zbyt głośnego zachowania. W tej rodzinie obowiązek opieki nad ciężarnym stworzeniem zawsze spoczywał na Sumi lub którejś z jej siostr. Mimo to ich ojciec zawsze lubił sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje. Czynił tak wtedy, kiedy dzieci jeszcze spały. Po upewnieniu się, że wszystko jest w porządku, Fahid wrócił do chaty, by zjeść pożywny posiłek i zadbać o codzienną higienę. Mieszkańcy Floris myli się tylko rano, przed pracą. Tak nakazywał zwyczaj, by nie kłaść brudnym, spoconym ciałem Matki Ziemi, która ich karmiła. Miejsce do codziennych ablucji stało obok wiatraka. Była to wielka beczka wypełniona wodą. Na jej powierzchni pływały kwiaty dirszy, tylko by dać poczucie świeżości. Każdy farmer w okolicy miał dostęp do praktycznie nieograniczonej ilości wody dzięki wykopanemu wiele pokoleń wcześniej systemowi kanałów. Przez gospodarstwo Fahida również przepływał taki, szeroki na dwanaście łokci, głęboki na cztery, a także mała struga.

Fahid zdjął odzienie. Wyglądało jak sukmana z najbardziej odpornego materiału, jaki można było sobie wyobrazić. Tkanina wykonana z raidi była praktycznie nie do rozerwania. Te latające stworzenia, upolowane przez ptaki moree, miały włoskowatą strukturę mięśni. Ich włókna rozszczepiano, suszono i skręcano w procesie przędzenia, po czym nawijano na motek. Potem już było podobnie jak z materiałami pochodzenia roślinnego: nadawano kolor z użyciem naturalnych barwników, tkano i z tak powstałego materiału mężczyźni wiazali sznur lub szyli odzienie. Żadna kobieta nie była na tyle silna, by zapanować nad tak twardym i trudnym w obróbce tworzywem. Kiedy Fahid wyszedł z kąpieli, całe ciało wysmarował oleum z sirry. Zabieg ten miał za zadanie stworzenie warstwy ochronnej dla skóry, a także konserwację od wewnątrz ubioru. Pozostało tylko przyszywanie włosów na głowie i brodzie, żmudny zwyczaj związany z chęcią przypodobania się żonie. Niezmiennie od wielu pokoleń wszyscy mężczyźni we Floris nosili skape fryzury i idealnie przyszyżone brody. Jeśli któryś zapuścił się w tym względzie, oznaczało to, że jest kawalerem lub wdowcem. Innej możliwości nie było, tradycja tak silnie zakorzeniła się w społeczeństwie. Łysy mężczyzna zawsze kojarzył się z kapłanem. Truczna prędzej czy później pozbawiała owłosienia i zarostu każdego ze sług Patri.

Ranek aż do posiłku mijał Fahidowi według tego samego codziennego obrządku. Potem bywało różnie. Albo zajmował się zwierzętami, albo dirszną, czyli ją sadił, plewił, zbierał kwiaty, ścinał lub rekultywował podłoże. Ten rodzaj sitowia uprawianego na zalanych wodą na wysokość dwóch łokci polach związany był z jego rodziną od pokoleń. W nim się specjalizowali i wkładali w to całe swoje uczucie, a roślina odwzajemniała im się dorodnymi plonami. W trakcie jednego oczyszczenia ich życiodajna ziemia wydawała plony zazwyczaj trzydzieści razy. Cykl związany z uprawą, od sadzenia małych roślinek aż po rekultywację po żniwach, był w zasadzie wyznacznikiem czasu dla tych prostych ludzi. Akurat tego dnia był zaplanowany zbiór kwiatów, z których produkowano pożywienie. Żaden z płatków nie mógł się zmarnować, dlatego dwie ery wcześniej ludzie z Floris zamówili w Inco prostą technologię ułatwiającą zbiór. Rodzina Fahida też w końcu uzbierała potrzebną liczbę szarych kamieni do zakupu maszyny zbierającej i przerabiającej mięsiste kwiaty, a kilka oczyszczeń później do wycinki łądyg, rekultywacji podłoża i sadzenia nowych roślin. Maszyny były dość prymitywne, ciągnęły je zwierzęta. Tylko ta, przeznaczona do zbioru purpurowych kwiatów – jako jedyna działająca na energię pozyskiwaną z promieni Hello – unosiła się tuż nad roślinami. Wyłącznie jej bały się chckenei, owady zapylacze harcujące od świtu do zmierzchu pośród kwiatów. Ich buczenie było słychać na dobre pięćdziesiąt łokci od pola. Machina wyglądała jak platforma. Od spodu wystawały naręcza chwytaków. Na jej górnej części znajdowało się stanowisko dla operatora i niewielki silos do magazynowania zebranych płatków w postaci zmielonej pulpy.

Fahid czekał, aż Hello będzie na tyle wysoko, by dać odpowiednią moc swych promieni do uruchomienia maszyny. Tylko raz spróbował zrobić to wcześniej, ale zbyt słabe źródło porannego światła wyłączyło mechanizm. Naprawa kosztowała kilka garści szarych kamieni, czyli tyle, ile uzyskiwał ze sprzedaży jednego plonu. Było to dużo. Postanowił nigdy więcej nie popełnić tego błędu. Kiedy Hello dotarło prawie na środek nieba, uruchomił maszynę. Jej odgłos był cichy, ale nieprzyjemny w odbiorze. Nawet najlepiej naoliwione elementy rzeźbiły i klekotały nieznośnie. Wynikało to z ich wieku. Wielokrotnie odnawiane i klejone sprawiały wrażenie, że niebawem się rozpadną.

Farmer wszedł na platformę i usiadł na stanowisku dla operatora. Stąd było widać wszystko. Zarówno poszczególne strefy chwytaków, jak i wlot urobku do silosu. Dojechał do krawędzi pola i rozpoczął zbiór. Chwytały obdzierały kwiaty z pojedynczych płatków bardzo zwinnie i szybko. Przerabiana przez działające sekwencyjnie ślimakowe ugniataarki pulpa trafiała z precyzją do silosu, który zapełniał się dość szybko. Mimo to Fahid miał świadomość, że nie może sobie pozwolić na przerwę. Tę fazę cyklu powinien zakończyć w ciągu najbliższych trzech dni. Kolejne dwa zajmie mu wycinka łądyg wykorzystywanych po wysuszeniu do palenia. Potem lokalne święto Patri, jedno z wielu, podczas których nie wolno było pracować w polu.

Fahid zdążył dolecieć maszyną do przeciwległego krańca i rozpoczął proces niełatwego zawracania. W tym czasie do jego chaty przybył kurier z pocztą. List od najwyższej kapłanki odebrała Rita. Nie zamierzała go otwierać, dopóki nie pojawi się mąż, choć list bardzo ją niepokoił. Nie umiała zresztą czytać. Nauka tej umiejętności wydawała jej się zbędna. Wiedziała, że i tak całe życie będzie pracowała w polu. Po co się uczyć? Wystarczyło, że jej mąż potrafi. „Niech każdy robi to, do czego jest stworzony” – cytowała swojego ojca. Wiedziała, że Fahid złości się, kiedy się mu przeszkadza w pracy, lecz postanowiła wysłać po męża najstarszego z synów, Abdula. Chłopiec dosiadł okurai i pognął kamiennym traktem w kierunku widzianej z daleka wielkiej platformy do zbioru kwiatów. Długo przekonywał ojca,

by zechciał przerwać pracę. Zanim dotarli z powrotem do chaty, Rita przygotowała krótki posiłek i garniec keeffi dla męża. Cała rodzina zebrała się na tarasie. Fahid napił się kilka łyków energetycznego napoju i odwinął kokardę. Rulon był zapieczętowany czarnym matowym woskiem, jakiego używała tylko kapłanka Ae. Papirus wyglądał jak zwykle okazale. Gospodarz rozsiadł się wygodnie i zaczął czytać na głos.

- Wielce umiłowany druhu mój i przyjacielu, Fahidzie, oraz ty, piękna i mądra Rito, żono i matko dziesięciorga uroczych dzieci. - W tym miejscu farmer na chwilę przerwał, by rozwinąć kolejną część papirusu. - Dziękuję, że punktualnie i skrupulatnie przekazujecie na rzecz naszej świątyni podatek w postaci dziesiątej części waszych zbiorów. Jestem również dumna, że w społeczności Patri, którą przyszło mi kierować, żyją tak religijni i prawi ludzie jak wy. Wiem, że kochacie swą boginię, a mnie darzycie ufnością, dlatego pozwalam wam oddać sobie pokłon i... - znów przerwał i wziął głęboki oddech.

- Omiń, ojcz, te tytuły i przejdź do sedna! - niecierpliwł się Abdul, lecz skulił szybko uszy, kiedy zobaczył jego krótkie, dyscyplinujące spojrzenie. Fahid wznowił czytanie.

- Zapraszam waszą liczną rodzinę do złożenia w ofierze jednej z córek, Sumi.

Wszyscy zamarli w mig. Fahid spojrział na Ritę i na ukochaną córkę.

- Wierzę - kontynuował czytanie trzęsącym się głosem - że będzie idealną kandydatką na kapłankę. Zanim przybędzie po nią mój wierny sługa Kadu, którego z pewnością znacie, nacieszcie się jej obecnością, gdyż nie wróci nigdy. Pozdrowienia dla twego ojca Mahmuda, Fahidzie. Dziękuję za twą szczodrość. Niech Patri będzie z tobą.

Złota Świątynia zapełniła się jak co rano odzianymi w odświętne szaty kapłanami wysokiego szczebla. Weszli zgodnie z rangą. Najpierw ci z najkrótszym stażem i estymą, później kolejno co ważniejsi. Na końcu wszedł Kifor, a ostatnia Ae. Stała dokładnie na dnie kaplicy, kształtem przypominającej odwróconą piramidę. Po wejściu na odpowiedni poziom kapłani zajęli swoje miejsca. Kiedy Ae dała sygnał do rozpoczęcia codziennych modłów, każdy z nich złożył ręce na piersiach i zamknął oczy.

- Patri, pobłogosław naszą ziemię - zaczęła.

- Błogosławię - odpowiedzieli chórem pozostali kapłani.

- Patri, pobłogosław naszą wodę - kontynuowała.

- Błogosławię.

- Patri, pobłogosław nasz lud, najpiękniejsze kobiety i najbardziej pracowitych mężczyzn, a także ich potomstwo.

- Błogosławię.

I tak po kolei. Ae wymieniała wszystkie ważniejsze części krainy, strony świata, gatunki zwierząt, nawet największe szkodniki, oraz nazwy uprawianych roślin. Tym razem na koniec dodała jeszcze jedną prośbę.

- Patri, pobłogosław naszych sąsiadów z krainy Inco, by znaleźli drogę do wiary i prawdziwego szczęścia, jakim jest pojednanie z tobą.

- Co mówisz, pani? - oburzył się Rados, niezbyt ważny, lecz gadatliwy kapłan stojący na jednym ze środkowych stopni. - To odwieczni wrogowie. Za nic mają naszą religię. Nie dbają o zmarłych, o Matkę Naturę.

- Ucisz go, Kiforze - odpowiedziała krótko, ukłoniła się i wyszła.

Rados zawstydził się. Był pewien, że reszta kapłanów dołączy do jego protestu. Żaden jednak nie śmiał sprzeciwić się Najwyższej Kapłance Wszechziemi. Widocznie skoro modliła się o tych heretyków, to znaczyło, że ma w tym jakiś cel. Idąc w dół Złotej Świątyni po zakończonych modłach, na widok Kifora Rados odwrócił wzrok. Nie chciał mu patrzeć w oczy, kiedy ten ważny kapłan przekaze mu informację o jakiejś surowej karze, na przykład odebraniu spod zarządu kilku ważnych rewirów. Każdy z kapłanów wysokiego szczebla, a w całej radzie było ich dokładnie czterdziestu, zarządzał kilkoma bądź nawet kilkunastoma rewirami. Utrata części z nich wiązała się z obniżeniem w hierarchii, a także spadkiem wpływów z pobieranych dziesięcin, których pewien procent zawsze trafiał do kieszeni głównego zarządcy. Żaden z kapłanów niższego i średniego szczebla o tym nie wiedział. Kifor posiadał pod zarządem największą i najlepiej zorganizowaną siatkę kapłanów średniego szczebla. Z jego rewirów zlokalizowanych we wschodniej ćwiartce wpływało najwięcej podatków. Dlatego właśnie on piastował zaszczytne stanowisko zastępcy Ae. Wymyśliła tę pozycję w strukturze, by nie kontaktować się ze wszystkimi. Traktowała go jako swojego pośrednika. Kifor klepnął tylko Radosa po ramieniu.

- Nie wychylaj się, bracie, bo skończysz na odległych rubieżach jako kapłan średniego szczebla.

Ta groźba brzmiała przekonująco. Rados przełknął w panice ślinę, uklonił się i oddalił do swoich komnat. W tym czasie Ae dotarła do sypialni. Jej służki pościeliły już wielkie łożo i przygotowały poranną kąpiel z mleka tynie, tym razem w odcieniu jasnej purpury wpadającej w róż. Od razu było widać, że zwierzęta karmiono tylko łodygami dirsny, ulubionej rośliny Najwyższej Kapłanki Wszechziemi. Ae zakochała się w niej przez jej niesamowitą barwę. Kiedy służki miały do wyboru przygotowanie kąpeli z mleka zwierząt karmionych dirszną lub pastewną odmianą warzyw puke, wybierały mleko koloru, któremu bliżej było do jasnej purpury niż fioletu. Na cześć ukochanego sitowia Ae kazała uszyć w tym samym kolorze szaty przybocznej straży, nazywanej od tej pory „purpurowymi” lub „purpuratami”. Jej trzon stanowili najsilniejsi kapłani niskiego szczebla, którzy zdecydowali się na porzucenie kariery duchownego na rzecz służby i ochrony najważniejszej osoby w państwie. Kiedy Ae weszła do kąpeli i jedna ze służek o imieniu Pirna dołała jej ciepłego mleka, do drzwi zakołatał szef straży.

- Kto tam? – zapytała kapłanka.

- To ja, pani – odpowiedział.

- Wejdz, Zenicie.

Nie wstydziła się go. Każdy kapłan tuż po przyjęciu trucizny tracił resztki popędu seksualnego, dlatego wiedziała, że kiedy ten silny mężczyzna patrzy na nią z uwielbieniem, to nie dlatego, że jest piękną, seksowną kobietą. Po prostu kocha ją jak monarchinię, której wiernie służy.

- Schwytaliśmy nagiego mężczyznę z Inco – powiedział rosły siłacz w wieku pięciu oczyszczeń. – Kręcił się po okolicy. Chwilę później znaleźliśmy jego zwierzaka.

- Skąd wiesz, że jego? – zdziwiła się.

- Jeden z kurierów poczty twierdzi, że mijał nagiego człowieka podróżującego na mocno steranym hydapi.

- Ciekawe. Jak tu trafił?

- Chyba ktoś mu pomagał.

- Wezwij tego kuriera. A tego człowieka też chciałabym zobaczyć.

- Oczywiście, pani. Zamknęliśmy go w lochach, w kraciastej komnacie. Dostał trochę wody i skromny posiłek, ale niczego nie tknął. Cały czas majaczy o jakiejś misji.

Ae niecierpliwiła się. Wysłała Zenitowi ponaglące spojrzenie. Zrozumiał natychmiast, że zamiast mówić, powinien działać. Szybko wyszedł i jeszcze szybciej wrócił. Nie zdążyła się ubrać, dlatego trzymała swego strażnika chwilę za drzwiami. Włożyła długą, szytą srebrną nicią suknię i lekkie trzewiki przyozdobione ptasimi piórami. Chciała zobaczyć, jak ten strój oraz sznur drogich kamieni na jej szyi zrobią na gościach oszałamiające wrażenie. Nie myliła się. Młody kurier, który wszedł wraz z Zenitem, zapomniał języka w gębie. Nawet się przywitał.

- Czy widziałeś coś niepokojącego? - zapytała kapłanka.

- Nie rozumiem, moja pani - wybełkotał kurier.

- Zanim zobaczyłeś nagiego człowieka z Inco, mijaleś coś, a może kogoś, kto wydawał ci się podejrzanym?

Wykrzywił tylko twarz. Ae zdała sobie sprawę, że właśnie straciła czujność w dobieganiu słów. Cechę, która odróżniała ją od tej całej bandy idiotów, którymi się otaczała.

- Co robiłeś wcześniej, zanim zobaczyłeś człowieka z Inco?

- Jechałem okurai do Patrix.

Odetchnęła z ulgą.

- Dobrze. A wcześniej?

- Też jechałem... Dostarczałem list od ciebie, pani.

- A komu? - Na twarzy kapłanki widać było wściekle rosnącą niecierpliwość.

- Kapłanowi.

- Jak się nazywał?! Gdzie to było? - Nawet Zenit, najbardziej karny i cierpliwy strażnik na świecie, stracił swój rezon.

- Kadu. Dostarczałem list kapłanowi z zachodniej ćwiartki. Kiedy szukałem go w Litrijis, dowiedziałem się, że pojechał ze zwłokami do Asaranu. Faktycznie, był tam, lecz nie miał żadnego wozu. Siedział na hydapi, który charczał, jakby przed chwilą próbował dogonić okurai. Wiadomo, że to jest niemożliwe.

- Czym się zajmował?

- Niczym.

- Po prostu stał? A ty, co potem zrobiłeś? - Ae miała już dość tych opowieści z mchu i paproci.

- Pojechałem. Krótką chwilę później zatrzymałem się przy strumieniu. Napilem się wody. Pooddychałem. Napoiłem okurai i ruszyłem dalej. Jechałem w lewo, potem prosto, potem...

- Dość. - Kapłanka dała znak Zenitowi, żeby ktoś wyprowadził tego nierozgarniętego gadułę.

Zenit wezwał jednego ze strażników pilnujących drzwi, który wyprowadzając kuriera, jeszcze przez chwilę z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Okazało się, że na zewnątrz wszystko było słychać.

- Co sądzisz, przyjacielu? - zapytała.

- Proponuję wysłać mały oddział, by przeczesał okolicę. Może coś znajdą - odpowiedział Zenit.

- Słusznie. Tymczasem chodźmy pogadać z tym jeźdźcem z Inco.

Wieść o zaproszeniu Sumi do stanu kapłaństwa roztrzaskała w pył całe pokłady wiary jej ojca. W jednej sekundzie zniechęcił Najwyższą Kapłankę Wszechziemi oraz organizację, którą zarządzała. Postanowił nie oddać swego dziecka na zmarnowanie. Wychylił do końca garniec keeffi, by nie spoglądać w pełne łez oczy żony. Rita cierpiała nie mniej niż on. Córka, o którą upomniął się Kościół, nie była najstarszym ani najmłodszym dzieckiem w tej rodzinie. Niestety była akurat w idealnym wieku na rozpoczęcie nauk kapłańskich. Abdul i Ragir byli już za starzy. Jeśli można tak powiedzieć o dzieciach w wieku niecałego półtora oczyszczenia. Młodsze pociechy cały czas powinny czuć się zagrożone potencjalnym werbunkiem. Jeśli rodzice w imieniu dziecka nie przyjmą zaproszenia, czego raczej nie czyniono, kapłanka mogłaby ukarać całą rodzinę. Swą decyzję zrzuciłaby jak zwykle na gniew Patri. Czasem ironicznie nazywała taki akt swą dobrocią. Oznaczał zwiększenie podatku lub nakaz oddania wszystkich dzieci, które nie przekroczyły magicznej granicy wieku jednego oczyszczenia. Tak ponoć czyniono z krnąbrnymi rodzinami, które na przykład uchylały się od płacenia dziesięciny lub podważały prawa boskie.

– Nie zgodzimy się. – Fahid postanowił w końcu przerwać tę niezręczną ciszę. – Mój ojciec kiedyś też stracił członka swojej rodziny i całe życie cierpiał.

– Został kapłanem? – zdziwił się Ragir.

– Nie. Nazywał się Omar, też Manduarra. Był bratem mojego ojca i to właśnie ten wujek nauczył go, a on potem mnie czytać, budować wiatrak czy reperować maszynę rolniczą. Nawet latającą. To był bardzo mądry człowiek. Znał się nie tylko na mechanizmach. Z czasem w naszym rodzinnym domu przestano o nim mówić, ale wiem, że ojciec nigdy o nim nie zapomniał.

– A co się stało z tym wujkiem Omarem? – spytała Sumi.

– Wyjechał i nie wrócił. Nikt nie wie dokąd.

– Nigdy mi o nim nie mówiłeś. – Rita poczuła się zdradzona.

Fahid tylko spojrzał na nią maślanymi oczami, jakby chciał wybłagać, by mu wybaczyła.

– Powiemy Kadu, że chętnie przyjęlibyśmy zaproszenie, ale Sumi będzie się uczyć na pieśniarkę. Wyślemy ją do szkoły w Hambarra.

– Naprawdę chcesz ją tam wysłać? To wiele dni drogi stąd. – Rita wyglądała na zatroskaną.

– Stamtąd przynajmniej wróci – odpowiedział.

Sumi z jednej strony ucieszył ten pomysł, z drugiej jednak zmartwił. Zawsze marzyła o tym, by śpiewać. Nawet nie śniła, że rodzice kiedykolwiek pomyślą poważnie o jej pasji. Nigdy nie rozważała rozłąki.

Grota z wieloma kraciastymi komnatami znajdowała się w jednej z najniższych jaskiń. Niżej się nie dało. Była zimna i wilgotna. Oświetlona pochodniami, które dawały namiastkę ciepła. Ae nie lubiła przebywać wśród złoczyńców, ale bezpieczeństwo nakazywało zamknąć każdego potencjalnego łotra w odosobnieniu. Stamtąd nikt nigdy nie uciekł. Kraty były nie do pokonania z powodu prętów wykonanych z rozciągniętych kręgosłupów jaszczurów sahadi. Te długie, podziemne, drapieżne stwory słynęły z tego, że nie dało się ich przeciąć na pół nawet najostrzejszym narzędziem dostępnym we Floris. Polowanie na te gady też nie należało do łatwych. Zresztą, po co? Wcale nie były smaczne. Niemniej jednak, kiedy odkryto właściwości ich rdzenia, znalazło się sporo śmiazków parających się tym procederem. Kręgosłup jednego

jaszczura kosztował na wolnym rynku dwadzieścia szarych kamieni. Warto więc było powalczyć o taką zdobycz.

Krata z kręgosłupów sahadī, w której więziono Harisa, nie była wykonana idealnie. Wyglądała na koślawą. Trudno było bowiem bez użycia narzędzi, pozostających tylko w posiadaniu Inco, obrabiać ten twardy, choć organiczny materiał. Więzień leżał we własnych fekaliach. Jego ręce były przywiązane do nóg. Na plecach widać było wiele śladów po chłoście i sporo siniaków. Był nagi. Ten widok poruszył Ae.

- Jak się nazywasz, dobry człowieku? - zapytała, by zyskać sojusznika.

- Nazywaj mnie „zwierzę”. Tak mnie traktujecie.

Kapłanka poczuła się tak, jakby ktoś strzelił ją w twarz. I to w obecności świadków. Nie pamiętała tego uczucia. Natychmiast wyzwoliło złe wspomnienia.

- Przybyłem dobrowolnie, żeby z tobą porozmawiać, a twoi ludzie mnie pojмали, uwięzili i torturują.

- Dobrowolnie? - zdziwiła się, lecz kiedy rzuciła wymowne spojrzenie w kierunku Zenita, zrozumiała, że mężczyzna mówi prawdę. Pomimo braku dostatecznej ilości światła można było zobaczyć, że twarz szefa straży ma identyczny kolor jak jego szata przypominająca mundur ochroniarza.

- A więc mówisz, że przybyłeś, by ze mną porozmawiać. O czym? - zapytała.

Haris długo nie odpowiadał. Jeden ze strażników uderzył go grubym, drewnianym kijem, lecz najwyraźniej na więźniu nie zrobiło to wrażenia. Splunął tylko pogardliwie. Po chwili jego powieki przymknęły się, a głowa osunęła na kamienną podłogę.

- Pewnie od wielu dni niczego nie jadł - pomyślała na głos Ae.

W tym momencie wspomniała bóleści, które odczuwała po skosztowaniu jednego z batonów spożywczych z Inco. Zaczęła rozumieć rozterki Harisa. Zrobiło jej się go nawet żal. Pierwszy raz widziała, by ktoś się w ten sposób zachowywał. Zdarzało jej się widywać szaleńców pragnących szybciej dostać się do bogini Patri, lecz żaden z nich nie wykazywał takiej desperacji. „Pewnie dlatego, że jest niewierzący” - głowiła się.

- Proszę go wykapać, odziać i nakarmić. Mamy przecież na wypadek wizyty gości te ich podłużne kulinaria.

- Tak jest - potwierdził Zenit.

- I proszę go zamknąć w jednej z komnat. Niech go pilnuje dziesięciu ludzi. Nie wiadomo, kim jest. A na tobie - zwróciła się szeptem do szefa straży - się zawiodłam. Wiesz, że nie akceptuję koloryzowania faktów.

Szef purpurowych tylko westchnął głęboko. Zawsze był wierny i lojalny wobec swej pani jak mało kto. Wcale nie zamierzał podbarwiać żadnej informacji, którą jej przekazywał. To wychodziło samoistnie. Bez kontroli jego chłodnego umysłu. Tylko wtedy, gdy odczuwał silną potrzebę, by zwróciła na niego uwagę. Kiedy czuł się niewidzialny.

Skaliste wzgórze zachodniej ćwiartki Floris porośnięte były bujną roślinnością. Rosła raczej na zboczach. Jeśli w tym urozmaiconym terenie występował choćby niewielki płaski kawałek pola, farmerzy natychmiast go zagospodarowywali. Hydapi wiozący kapłana Kadu zmierzał wzmocnioną kamieniami drogą. Widać było, że zwierzęciu sprawia to przyjemność. Trakt wijący się czasem w poprzek stoku, a czasem przecinający niezbyt stromy pagórek, był najlepszym urozmaicheniem nużącej wędrówki. W przeciwieństwie do zwierzęcia Kadu nie

miał dobrego nastroju. Zdecydował się wykonać polecenie kapłanki Ae i przyprowadzić do Patrix Sumi, córkę Fahida, którego pożegnał kilka dni temu. Jego farma była rozległa. Tym razem dotarcie do domu gospodarza trwało wieki. Zalane wodą pola wyglądały jak ciągnąca się po horyzont kwiecista łąka, mdła od krwistej purpury. Kiedy dotarł na tyle blisko, że mógł policzyć wszystkich osiem skrzydeł wielkiego wiatraka stojącego blisko podwórka, zatrzymał się na chwilę. Westchnął głęboko. Zamknął oczy i zaczął w duchu żarliwie modlić się o powodzenie misji. Po zakończeniu przywołał ducha Mahmuda. To jego ciało powinno było spocząć w wężowozie Asaran, nie trójkołowy wóz do przewozu zwłok. Miał nadzieję, że Patri zrozumie, że to nie była jego wina. Gdyby misja, którą teraz miał wykonać Kadu, się nie powiodła, oznaczałoby to, że kapłan popadł w niełaskę swej bogini, co byłoby wielkim marnotrawstwem. Patri na pewno nie chciałaby stracić najzagorzalszego wyznawcy i gósciciela wiary.

Wjeżdżającego na podwórko kapłana przywitała Rita. Stała w drzwiach chaty wraz z trójką ciekawskich szkrabów.

- Witaj, co cię do nas sprowadza? - zapytała.

- Pewnie wiesz. Przyjechałem wypełnić wolę Najwyższej Kapłanki. Czy otrzymaliście może list? - zapytał nieśmiało, ciesząc się w duchu, że nikt od progu nie pyta go o Mahmuda.

- Tak. Przywiózł go kurier, ale ja nie umiem czytać. Czekam na męża.

- A gdzie jest Fahid? Nie zbiera kwiatów? Wydawało mi się, że widziałem machinę do zbioru dirszy kilka pagórków stąd. To nie wasza?

- Nasza. Abdul i Ragir pomagają ojcu w zbiorach. Mój mąż pojechał z córką do Hambarra. To zdolna dziewczyna. Będzie się uczyć na pieśniarkę, a tam jest najsłynniejsza szkoła.

Kadu zamyślił się. W pierwszej chwili uznał, że Patri kpi z niego. Czyżby faktycznie bogini złościła się za zgubienie ciała Mahmuda? Nie. To jednak nie mogło być prawdą. Fahid nigdy nie podróżował tak daleko. Faktycznie Sumi miała ponoć talent do śpiewu, ale żeby zostawić gospodarstwo pod opieką niepiśmiennej żony, a żniwami obarczać chłopców? To nie było w stylu tego farmera.

Kadu nie zamierzał jednak wprowadzać Rity w zakłopotanie.

- Kiedy spodziewasz się męża z powrotem? - zapytał.

- Mówił, że wróci za jakieś dwadzieścia wschodów Hello. Wtedy przyjeżdż.

- Dobrze, zatem nic tu po mnie.

Tym razem brak gościnności kobiety wyraźnie rzucał się w oczy. „Czyżby coś ukrywała? Też nie umie kłamać” - pomyślał Kadu, ukłonił się nisko i zawrócił hydapi.

Kiedy jego zwierzę zrobiło kilkanaście kroków, usłyszał pytanie, którego się obawiał.

- Czy mój teść Mahmud ma się dobrze u Patri? - spytała Rita.

Nawet się nie odwrócił. Odburknął tylko krótko i nieuprzejmie, jakby chciał uniknąć jednoznacznej odpowiedzi. W duchu wściekał się, że babsko musiało sobie o tym przypomnieć akurat teraz, zanim on opuścił jej podwórko. Szarpnął lejcami i zwierzę przyspieszyło kroku.

Rita przez chwilę czekała, aż kapłan odjedzie na bezpieczną odległość. Po dłuższej chwili był zbyt daleko, by zobaczyć, co się dzieje na podwórku.

- Pojechał! - zawołała głośno.

W tym momencie z nory wyszła Sumi, a za nią Fahid.

- Dobrze sobie poradziłaś - powiedział mąż, tuląc jeszcze lekko roztrzęsioną Ritę. - Ufajmy, że uwierzył. Mamy dwadzieścia wschodów Hello na wymyślenie, co dalej.

- Może nie powinniśmy dziś palić ogniska? Z daleka będzie je widać. Jeszcze sobie Kadu pomyśli, że to niemożliwe, żeby chłopcy umieli je rozpałić.

- Nie mów głupstw. Jak można nie zapalić nocnego ogniska? - oburzył się gospodarz.

Rytuał był nie tyle zakorzeniony w świadomości społecznej, ile święty. Floriańczycy zbierali się codziennie o zmroku, by zapalić ogień na cześć bogini, która powstała z promieni Hello. Całymi rodzinami, ogrzewając się po zakończonym dniu, modlili się. Potem gospodarz dokładał tak dużo łodyg krzewów czy kłód drewna, by ognisko nie zagasło przez krótką w tej fazie rozkwitu noc. Tak było od zawsze i codziennie. Według wierzeń każde z ognisk emitowało promienie zbliżone do tych z Hello. Podczas palenia oddawało gwiazdzie pożyczone w ciągu dnia promienie, przy okazji oświetlając i ogrzewając podwórze.

Haris nie miał szczęścia do strojów, których przyszło mu używać podczas misji w sąsiedniej krainie. Tym razem otrzymał ubiór kobiecy. Niby mniejszy od męskich, ale również za duży, jak dla tak cherlawego w oczach Floriańczyków mężczyzny. On, jak przystało na mieszkańca Inco, po prostu był wysportowany i jadł tyle, ile potrzebował jego organizm. Dokładnie dwa batony spożywcze dziennie. Nic więcej. W przeciwieństwie do mężczyzn z sąsiedniego kraju, którzy lubili dużo i dobrze zjeść, a także używali mięśni tylko do pracy fizycznej, nie dla sportu.

Kiedy Ae weszła do komnaty służącej za prowizoryczne więzienie, od razu zaczęła się zastanawiać, skąd zna tego człowieka. Umyty i ubrany wyglądał zupełnie inaczej. Przywodził na myśl kogoś znajomego; kogoś, kogo już spotkała. Nie mogła tylko sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Jako Najwyższa Kapłanka Wszechziemi brała wielokrotnie udział w spotkaniach z przedstawicielami Rządu Inco, ale Haris z pewnością nigdy nie siedział z nią przy stole.

- Dziękuję - powiedział i uklonił się delikatnie.

Widać było, że odżył, choć siniak na jego policzku nie pozwalał zapomnieć, co przeżył w lochach.

- Skąd się tutaj wzięłeś? - zapytała, lecz on tylko westchnął. - Ilu naszych zabiłeś, zanim dotarłeś do świętej góry?

- Nikogo nie zabiłem. Trochę znam wasze zwyczaje, więc było mi łatwiej.

- Tak? A skąd? - zdziwiła się.

- Mój ojciec był oficerem straży granicznej. Kiedy byłem chłopcem, mieszkaliśmy po tamtej stronie Ethne, przy wodospadzie Pinati. Widziała pani to miejsce?

- Raz. Też w dzieciństwie. Mało pamiętam.

- Tam przenikają się nasze światy. Ludzie się znają, nawet przyjaźnią. Miałem kolegę po waszej stronie. Łowiliśmy razem ryby. Potem nasza rodzina przeprowadziła się do miasta wieżowców. Już nie było tak zabawnie.

- Czy my się skądś nie znamy? - Ta niepewność nie dawała jej spokoju.

- Oczywiście. Nazywam się Haris Sagavara. Dwukrotnie miałem przyjemność obcować z panią podczas spotkań na szczycie. Byłem członkiem korpusu dyplomatycznego jako osobisty asystent Ministra Spraw Wewnętrznych i doradca premiera Barneya Clifforda.

- Jak rozumiem, tylko dlatego, że znasz nasze zwyczaje? - Ae czuła się usatysfakcjonowana. - To dlaczego przedzierałeś się jak zbieg?

- Chętnie powiem, ale tylko na osobności.

Haris wskazał głową na pilnujących ich purpuratów.

- Nie rozumiem - zdziwiła się kapłanka. - Ufam tym ludziom. Ślubowali mi wierność.

- Na pewno? - zapytał z przekąsem, jakby chciał powiedzieć, że nie powinna wierzyć nikomu. - Odpraw też tych podsłuchujących za drzwiami.

Ae tylko prychnęła. Nie zamierzała przystawać na jego warunki. Nawet jeśli chciał jej przekazać coś ważnego, nie mogła przecież zostać z nim sam na sam. Haris jednak wyglądał na nieugiętego. Imponowało jej, że po torturach był gotowy na wszystko. Nawet pomyślała, że dla misji dałby się zabić. On jednak postanowił zrobić najgorsze z możliwych wrażenie, by sprowokować Ae do uległości.

- Jak to dobrze, że trucizna cię oszczędziła, pani. - Poczuł, że może sobie pozwolić na dygresję o posmaku ironii.

Na twarzy Ae pojawił się grymas obnażający lekkie napięcie. „Skąd ten człowiek z obcego kraju może wiedzieć takie rzeczy? Poza tym, jak śmie podważać autorytet Najwyższej Kapłanki Wszechziemi, i to przy strażnikach?” - pomyślała.

- Skujcie go - rzuciła krótko i wyszła z komnaty.

ROZDZIAŁ 7.

Przewrót

Addam już od rana zachowywał się, jakby wiedział, co się wydarzy. Obudził się dość wcześnie i nie mógł z powrotem zasnąć. Jakby czuwał. Jego serce biło szybciej niż zwykle, choć nigdy nie sprawiało mu żadnych kłopotów. Był bardzo niespokojny.

- Dlaczego nie śpisz? – zapytała Jasmin.
- Nie mogę.
- Może zażyjesz jakiś lek na sen?
- To nic nie da.

Jasmin czuła, że sytuacja zaczyna robić się nieznośna i niebawem nastąpi wielka kulminacja. I nie był to problem związany z jej ciążą. Coś równie ważnego, raczej związanego z pracą Addama, czyhało za rogiem. „Obydwoje mamy trudny okres” – pomyślała i postanowiła nadal nie dzielić się złymi informacjami. „Biedny. Wciąż jest przekonany, że będzie miał jedną córkę. Gdyby znał całą prawdę, z pewnością zamknąłby się w sobie, jak to czasem czynił” – rozmyślała. Tymczasem ona nie zniosłaby rozłąki emocjonalnej. W tym trudnym okresie potrzebowała zbliżeń. Wzajemnie się wspierali, choć żadne z nich nie miało świadomości, z czym boryka się druga strona. Dla nich najistotniejsze były chęci i więź, która ich łączyła. Na pewno w końcu wszystko się wyjaśni.

Kiedy Addam wyszedł do pracy, długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. Trochę już jej się nudziło samej w domu, ale nie miała ochoty wracać do kieratu w korporacji marketingowej. Gdyby okazało się, że dostanie projekt stworzenia kampanii kolejnego leku na coś, co nie jest rozwiązaniem problemu ludzkości, musiałaby napluć szefowej w twarz. Jasmin miała już dość tych pustych sloganów, które produkowała tysiącami. Zawsze w tym samym stylu. Bezcelnie kłamliwe i na swój sposób prymitywne. Ich zadaniem było dotrzeć do każdego i zanęcić do zakupu. Liczył się tylko biznes. „A gdzie jest ludzkość, kurwa?!” – zaklęła w duchu pierwszy raz od niepamiętnych czasów. By oderwać się od złych myśli, włączyła teatromanię. Tym razem od razu przyciszyła głos. Nie chciała słuchać propagandowych bzdetów. To był kolejny nudny program o lekarstwach. Widziała tylko obraz. Jakiś dziennikarz pokazywał fiolkę z Rayem. Znowu zanęta? „Wstydu nie macie, sprzedawczyki” – pomyślała o wszystkich żurnalistach i nacisnęła przycisk wyłączający rzutnik. Nigdy nie skalała się zażyciem tego środka. Ojciec uważał, że nie przynosi nic dobrego. Posłuchała go wtedy.

To był poranek, którego całe Inco nie zapomni przez kolejne ery. Na wszystkich czterech kanałach w kółko emitowany był reportaż Luigiego Pierone, dziennikarza, odkrywcy największej afery w dziejach. Poza teatromanią nie działało nic. Wszystkie systemy informatyczne były wyłączone. Nawet państwowy, funkcjonujący na zupełnie innych zasadach niż ogólnodostępne. Nastąpił kompletny paraliż wszystkich służb.

Barney Clifford pakował kufry z odzieżą. Już nawet nie był wściekły na całą sytuację. W trosce o życie żony, syna i swoje zamierzał zrealizować przygotowywany od pewnego czasu plan ewakuacji. W tym momencie skupiał się bardziej na dotarciu do kryjówki niż na tym, co dzieje się w zarządzanym przez niego kraju. Gdyby potrafił się modlić, z pewnością by to uczynił.

Pierwsze reakcje na reportaż były raczej obojętne. Wszyscy w Inco, interesujący się cokolwiek polityką, na początku nie dawali wiary temu, co widzieli na ekranach teatromanii. Sądzono, że znany dziennikarz został zwolniony z pracy i tylko się odplaca. Wymyślił kolejną mało znaczącą aferę i tyle. Zawsze miał parcie na pierwsze strony. Premier Rządu posiadał jednak pełniejszą wiedzę na ten temat. Pierone wcale nie został wyrzucony. Ukrył się w chwili, kiedy poznał prawdę i zdał sobie sprawę, że ta wiedza może być dla niego niebezpieczna. Ministerstwo Indoktrynacji Społeczeństwa musiało jakoś zatuszować nieobecność jego felietonów w poczytnym żurnalu, dlatego pojawił się post o zwolnieniu. Trochę też na wyrost chciano go zdeprymować. Luigi Pierone zawsze szukał afer. Miał łatkę mistrza taniej sensacji, więc mało kto przywiązywał wagę do jego tekstów. Był niepokorny wobec władzy, ale potrzebny. Dzięki niemu obraz państwa nie był aż tak nieskazitelny. Przez te mało znaczące afery wydawał się bardziej rzeczywisty niż ten pokazywany przez natrętną propagandę. Clifford akceptował wybryki tego pismaka. Jak się jednak później okazało, pseudoafery zaprowadziły go do prawdziwej bomby. Były niczym w porównaniu z tą, która miała zmienić na zawsze obraz idealnego państwa.

– Śledztwo to jedno, ale kto ułatwił Pierone nagranie reportażu i emisję w teatromanii? – powiedział Rubby w zasadzie do siebie, bo operator maszyny, którą przybyli po Clifforda i jego rodzinę, nawet nie zrozumiał przekazu.

Zatrzymali się prawie przy samym budynku, gdzie w opłacanym przez państwo apartamencie mieszkał premier. Przywitały ich stojące od wczesnego ranka przed apartamentowcem tłumy dziennikarzy.

– Szanowni państwo – powiedział Rubby do zebranych. – Proszę się rozejść. Tu nie ma niczego ciekawego do oglądania.

Mylił się. Widok pojazdu, którym przybyli, był zaskakujący dla gapiów. Większość z nich nigdy nie widziała podobnej maszyny. Była wyposażona w osiem działających grawitacyjnie silników magnetycznych, utrzymujących nisko nad ziemią metalowo-szklaną platformę. Przez szyby było widać, że w środku jest piętnaście rzędów wygodnych, podwójnych siedzeń. Platforma przykryta była dachem wykonanym z szeregowo połączonych ogniw służących do pobierania energii Hello. W Inco były tylko trzy takie egzemplarze, zwyczajowo ukryte przed światem. Wszystkie należały do Partii Chemików.

– Czy pan premier poda się do dymisji? – zapytał Rubby'ego jeden z pismaków.

– Z jakiego powodu? Czy pan oszalał? – Minister Spraw Wewnętrznych absolutnie nie brał takiego scenariusza pod uwagę. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie może okazywać zdenerwowania. – Wszystko jest pod kontrolą. Reportaż to fikcja stworzona na potrzeby walki z potencjalnym zagrożeniem. Taka próba sił. Naprawdę nie macie się czym zajmować? – usiłował bagatelizować.

Sprawa była poważna. Pierone jakimś cudem dotarł do informacji, że bezpośrednim powodem pojawienia się problemów demograficznych było wprowadzenie do obrotu zmodyfikowanego leku hybrydowego produkowanego przez koncern Metachemie. Ray, bo tak nazywał się lek, spowodował drastyczne zmniejszenie narodzin chłopców, a także pojawienie

się trzeciej płci, kalekich dzieci wyglądających jak chłopcy o dziewczęcych buziach z rozwiniętymi narządami obydwu płci, niezdolnych do rozrodu. Od kilku pokoleń każdy z dorosłych mieszkańców Inco zażywał regularnie produkt, istny substytut szczęścia i powodzenia. Niestety zawierał on chemiczny mutagen, w jakiś sposób kolidujący z chromosomem Y. Niszczył jedną z jego chromatyd, wskutek czego kod genetyczny człowieka zaczął ulegać mutacji. I właśnie wyszło na jaw, że Rząd od dawna wiedział o wszystkim. W zasadzie cztery ostatnie gabinety związane z kontrolującymi rynek kartelami farmaceutycznymi nie próbowały zatrzymać tej patologii. Liczył się biznes. Kiedy zdano sobie sprawę, że sytuacja robi się poważna, powstał program naprawczy. Do tej pory jednak nie przyniósł on spodziewanych rezultatów. Zamiast uciąć problem w zarodku, tworzone kolejne pomysły mające na celu tylko złagodzenie skutków. Nie próbowano wyeliminować przyczyny. Na przykład kiedy zanalizowano, że rodzi się coraz mniej chłopców, a mężczyźni stali się rzadkością, zaczęto produkować roboty o wyłącznym męskich rysach twarzy i nazywać je humanami, żeby lepiej się kojarzyły. Było to tylko jedno z tymczasowych rozwiązań. Każde kolejne było jeszcze głupsze. Konsekwencją zmian demograficznych okazała się mimowolna mutacja całego ustroju państwa i jego głównych założeń. To właśnie wtedy powstał system zasiłków za narodziny chłopca i podatków za urodzenie dziewczynki, a także UKP. Dlatego że coraz więcej osób interseksualnych, zwanych hermami, włóczyło się po slumsach, nakazano ich eliminację. Pojawiły się też próby zmiany płci, ale eksperymenty okazały się zbyt kosztowne i nie dawały najważniejszego rezultatu – zdolności do rozrodu. Jedyny pomysł mający jakąkolwiek szansę na powodzenie był realizowany przez zespół badawczy, któremu przewodniczył profesor Romm Nakamura. Ten wybitny genetyk pracował w pobliżu granicy z Floris, w tajnym laboratorium prowadzącym eksperyment nad połączeniem genu człowieka ze zwierzęciem rozmnażającym się dzięki dzieworódtwu. Nikt nie miał świadomości, że w zagrodzie zlokalizowanej obok jego kliniki bytowało niemałe stado gatunków żyjących w sąsiedniej krainie: tine, hydapi i okurai. Nawet kiedy Nakamura kupował zwierzęta od farmerów z Floris, nikt nie podejrzewał, w jakim dokładnie celu to czyni.

Reportaż Luigiego Pierona wywołał lawinę. Znakomita większość Rządu, w tym premier i ważniejsi ministrowie, rozplynęła się w mgnieniu oka jak kamfora. Nawet szefowie odpowiadający za resorty Gospodarki i Transportu oraz Sportu i Zainteresowań, kiedy przyłapano ich na niszczeniu dokumentów, nie mieli pojęcia, gdzie ukryli się pozostali członkowie gabinetu. Wszystkie ważniejsze budynki, w których siedziby miały poszczególne ministerstwa, urzędy czy departamenty, zostały otoczone przez gardę. Całe zastępy humanoidalnych robotów uzbrojonych po zęby pilnowały najważniejszych miejsc w państwie, łącznie z fabrykami o znaczeniu strategicznym. Co ciekawe, szef armii Inco, a dokładniej mówiąc, straż granicznej, również zniknął. Sztab oficerów zarządził podwójną czujność. Nie wiedzieli, czy mają się włączyć i po której stronie stanąć. Ostatecznie zdecydowali, że będą czekali na decyzję, co robić dalej. Jak przewidywała Dyrektor Biura Badania Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych, pojawiło się kilka prób wyłączenia teatromanii, były one jednak nieskuteczne. Kiedy chaos zapanował na dobre, do akcji wkroczyły zastępy prawników, których celem była obrona karteli farmaceutycznych. Ich żalosne podrygi trwały zaledwie dwa dni. Czarne Dłonie sprowokowały kontrolowany atak społeczeństwa na sieci punktów

sprzedających Raya w obydwu zamieszkałych dzielnicach. Niszczono witryny, podpalano zapasy, powieszono kilku niewinnych sprzedawców. To uciszyło branżę na jakiś czas.

Tego dnia Addam wrócił dość późno. Jasmin niepokoiła się, czy coś mu się nie stało. Nie miała z nim kontaktu przez awarię sieci. Mimo zmęczenia poszedł poćwiczyć. Jasmin słyszała tylko, jak wydziera się na urządzenie do symulacji biegów przełajowych. Wyzywał je siarczyście. To nie w jego stylu. Dawno go takim nie widziała.

Kiedy wyszedł z pomieszczenia regeneracyjnego, był suchy i pachnący.

– Mamy jeszcze upper?

Nie zdziwiło jej, że pyta o zakazany specyfik o działaniu narkotycznym, zdecydowanie silniejszym niż uspokajający i nastawiający pozytywnie Ray. Addam wyglądał, jakby przeorał własnymi rękami betonowe podłoże.

– Nie wiem, sprawdź – odpowiedziała i wyszła w kierunku chłodziwa.

– Muszę się zrestartować.

– Powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

– Wiesz, że nie mogę – odpowiedział, choć bardzo pragnął podzielić się z żoną swoimi lękami.

Kiedy przyniosła małe szklane pudełko, przez którego ścianki widać było zawartość, jego oczy zaszklily się z radości. W puzderku znajdowały się wąskie paski kolorowych papierków. Addam usiadł wygodnie na podłodze, opierając plecy o ścianę. Wyjął niebieski pasek i przyłożył go do czoła. Jego powieki powoli opadały, a ciało stawało się wiotkie. Dłoń, która przyciskała papierek, lekko zadrżała. Pasek szybko zaczął blednąć, jakby wraz z wydzielaniem narkotyku oddawał swój kolor. Po chwili stał się zupełnie biały. Jasmin знаła ten widok. Troszkę nawet zazdrościła Addamowi. Wielokrotnie wspólnie zażywali upper, mimo że był zabroniony. Akurat w przypadku tego specyfiku nie wzbraniała się. Jej rodzice nigdy nie wiedzieli, że miała do niego słabość. To był krótki, lecz burzliwy romans.

Upper powstał dawno temu. Najpierw produkowały go kartele farmaceutyczne. Miał różne działanie, na przykład czerwony pasek pobudzał, zielony relaksował, żółty zaś wywoływał niewyobrażalne halucynacje. Wersja, z której skorzystał Addam, dawała najłżejsze objawy. Była niewykrywalna przez czujniki wbudowane u każdego humana gardy. Działała na podświadomość. Stymulowała mózg, by negatywny charakter wyzwań zamieniał się w szansę rozwoju. Wystarczyło przyłożyć pasek do czoła i od tej pory nawet najtrudniejszy problem, o którym chciało się zapomnieć, stawał się celem, do którego chętnie się zmierza i ma się ochotę go zrealizować. Bez względu na konsekwencje nawet po sromotnej porażce miało się poczucie odniesienia spektakularnego sukcesu. Niebieski upper zmieniał na zawsze postrzeganie aktualnego kłopotu, z którym borykał się zażywający. Z powodu obawy o spadek wpływów ze sprzedaży Raya i jemu podobnych wynalazków kartele farmaceutyczne zrezygnowały z jego sprzedaży. Produkcja zesłała do podziemia. Jak łatwo można było się domyślić, zażywanie stało się nielegalne i karane wysoką grzywną. Był relatywnie tani, lecz trudno dostępny. Żeby nie tracił swej mocy, należało go przetrzymywać w obniżonej temperaturze.

– Nie mogę ci powiedzieć, kochana, co się wydarzy, ale będzie zajebiście – wydukał wreszcie Addam, śliniąc się przy tym jak przedszkolak. – Przede mną cudowna perspektywa. Ciesz się, że będziemy mieli dziecko.

Jasmin nie uwierzyła w ani jedno słowo, choć to ostatnie zdanie brzmiało przyjemnie. Chciałaby, by mąż wypowiedział je na trzeźwo. Jeszcze bardziej byłoby miło, gdyby pochwalił żonę za trojaczki. Ale on nadal o niczym nie wiedział. Zaczął tylko mówić coś o pokonaniu strachu. Uznała, że najwyższa pora ułożyć się do snu. W tym czasie upper przestanie działać na jej męża. Rano będzie mogła wreszcie pozbyć się męczącej tajemnicy. „Na kacu po upperze Addam łatwiej ją przyswoi” – pomyślała.

Kiedy nazajutrz otworzyła oczy, jego już nie było. Włączyła znowu tę nudną teatromanię. Odetchnęła z ulgą. Wreszcie nie było niczego o aferze Pierone. Tym razem prezentowano zanęty nowych maszyn do ćwiczenia mięśni barków. Wyglądały jak para skrzydeł, należało je przymocować do rąk. Po włączeniu symulowały naturalne warunki dla ptaków, których od wielu er nie widziano w tym rejonie. Praca nad mięśniami miała polegać na uporczywym skręcaniu rąk w celu uzyskania najbardziej optymalnej trajektorii lotu. Jeśli nie udało się ustawić odpowiedniego kąta, co skutkowało wirtualnym upadkiem, należało bardzo intensywnie machać rękami niczym skrzydłami. Trochę ćwiczenie na wycucie, trochę na logikę, a trochę na rzeźbione mięśnie. Żeby było ciekawiej, można było dokupić sobie chip z ruchomym obrazem wyświetlanym na ścianie. Oko kamery umieszczonej na głowie ptaka urealniało odczucie lotu. Jasmin pomyślała tylko, że to głupota, odpakowała czerwony baton i ugryzła kawałek. Kiedy popijała go wodą, w teatromanii znów wyłączono wszystkie kanały i pojawiła się plansza z napisem „Za chwilę dalszy ciąg programu”. W tym momencie usłyszała znany dźwięk swojego gongu. To przyszła Luicey, której Jasmin akurat dziś nie miała ochoty oglądać.

– Mój Haenry mówi, że będzie nowy Rząd. Czy Addam coś wie? – zapytała Luicey, wprowadzając gospodynię w osłupienie z powodu przejścia od razu do rzeczy.

– Raczej. Ale niczego nie chce mi powiedzieć. O tej akcji z Rayem wiedział od miesiący.

– Gdyby to był mój mąż, tobym mu nie wybaczyła, że coś przede mną ukrywa.

– Tak, kochana. Gdyby...

W tym momencie w teatromanii pojawił się obraz, jeszcze przez chwilę bez dźwięku.

– O, coś się dzieje – zauważyła Luicey.

Na ekranie widać było odświetnione przystrojoną salę, w której zwyczajowo obradowała Rada Doradców. Ten niezbyt liczny parlament Inco, mający za zadanie wspieranie doświadczeniem władzy wykonawczej, był w zasadzie martwym tworem, z którym prawie nikt się nie liczył. Istniał, bo wymagała tego tradycja. Składał się z najstarszych przedstawicieli różnych środowisk. Z chwilą zaginięcia premiera Barneya Clifforda Rada Doradców przejęła czasowo rolę zarządczą. Wyjątkowo. Zastępowała Rząd do czasu powołania nowego. Na ekranie można było dostrzec kilku notabli w strojach urzędniczych. Jedna ze starszych kobiet przemawiała, lecz nie było słycać jej głosu. Jasmin niecierpliwiła się. W końcu coś zatrzeszczało i po chwili można było rozpoznać kobiecy głos.

– ...dlatego cieszymy się, że tak szybko udało się ukonstytuować nowy gabinet – powiedziała pani Duddlemayer, Zastępczyni Przewodniczącego Rady. – Z dumą przedstawiam nowego premiera Rządu Inco. Oto Eva Noovack.

Luicey i Jasmin wymieniły się spojrzeniami.

– Bez wyborów? – zdziwiła się gospodyni.

W tym momencie na ekranie pojawiła się stojąca dumnie dostojna kobieta. Pozostali Członkowie Rady, a także dziennikarze, odwrócili głowy w jej kierunku. W zbliżeniu wyglądała na charyzmatyczną, prawdziwą przywódczynię. Wszyscy wstrzymali oddech. To było

wydarzenie bez precedensu. Pierwszy raz od wielu pokoleń Premierem Rządu ogłoszono kobietę. I w dodatku nie promował jej żaden kartel farmaceutyczny.

- Witam obywateli Inco - zaczęła Noovack. - Nie wszyscy mnie znacie, więc opowiem kilka słów o sobie. Od ubiegłego oczyszczenia pełniłam funkcję Dyrektora Urzędu Kontroli Płci, a także Wiceministra Zdrowia. Rada Doradców uznała, że moja specjalizacja, doświadczenie oraz determinacja w ratowaniu gatunku ludzkiego mogą okazać się zbawienne dla naszej społeczności. Pochodzę ze slumsów, ale nie zamierzam wyróżniać żadnej z dzielnic, jak to czynił mój poprzednik. Nie jestem też związana z biznesem ani żadną partią. Nie jestem uwikłana w żadne haniebne zobowiązania. Moim celem jest ratunek gatunku ludzkiego. Posprzątamy ten bałagan i uratujemy świat.

W tym momencie rozległy się gromkie brawa. Eva Noovack puszyła się, jakby już odniosła ogromny sukces. Wszyscy wiedzili jednak, że dla niej to dopiero początek żmudnej drogi. Nie dbała o ich opinie. Osiągnęła coś, co nie udało się nikomu przed nią. Z ambitnego urzędnika wywodzącego się z gminu awansowała na stanowisko najważniejszej osoby w państwie. I to w tak młodym wieku. Wynosił zaledwie pięć oczyszczeń, choć wyglądała na cztery i pół.

- Chciałabym przedstawić państwu pozostałych członków Rządu. Wszyscy wiemy, który obszar powinien być priorytetem. Zacznę zatem od osoby, na której ciążyć będzie również wielka odpowiedzialność za powodzenie naszej misji co na mnie. Myślę oczywiście o resorcie zdrowia. Oto Wicepremier i Minister Zdrowia, pani Claire Gibbondy. Nikt nie jest tak oddany sprawie jak moja wieloletnia współpracownica. Mało kto wie, że ma na swoim koncie sporo sukcesów w walce z patologią.

Jasmin zrobiło się słabo. Osunęła się lekko na podłogę. Jej omdlenie przeraziło Luicey, lecz kiedy upewniła się, że gospodyni woli być sama, postanowiła resztę transmisji obejrzeć w swoim apartamencie. W tym czasie Eva Noovack prezentowała kolejnych członków gabinetu. Jasmin nie słuchała. Skupiona była tylko na poprzedniej informacji. Nie mogła uwierzyć, że przedstawiona przed chwilą w tak krystaliczny sposób persona to ta sama funkcjonariuszka UKP, która z radością zachęcała ją do usunięcia ciąży i jeszcze jej groziła. Dopiero teraz dotarło do niej, że Gibbondy zyskała ogromną władzę. „Skoro ten wredny babsztyl, z taką lekkością rozprawiający o mordowaniu dzieci, ma odpowiadać za zdrowie, to kto będzie ministrem odpowiadającym za prawo? Bandyta?” – głowiła się. Już nie podobał jej się ten Rząd.

Na ekranie teatromanii pojawiały się kolejne osoby przedstawiane przez premier Noovack. Ministrem Spraw Wewnętrznych i Organizacji Państwa stała się doświadczona w szeregach gardy Natalia Tatarczyna. Jej resort miał się zająć sprawowaniem władzy nie tylko nad strażnikami spokoju, jak mawiano o humanach gardy, czy więziennictwem, lecz także nad Departamentem Pracy i Polityki Socjalnej. Ministrem Cyfryzacji i Telekomunikacji została Nadine Bleur, kiedyś wróg publiczny numer jeden – uznana hakerka. Po jej rzekomym nawróceniu Rząd Clifforda postanowił wykorzystać te niespotykane u innych możliwości. Kiedy upewniono się co do jej lojalności, otrzymała dostęp do kontroli wszystkich systemów. Mówiło się nawet, że Bleur uwiodła premiera, ale to były tylko plotki. Ministerstwo Indoktrynacji Społeczeństwa zostało powierzone Kimberly Davis, byłej Dyrektorki Działu Badania Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych, szefowej Addama i Haenry'ego. Ta wiadomość była dla Jasmin wyczekiwany haczykiem. Czuła, że coś się święci. Jej mąż od dawna zachowywał się dziwnie. Jakie będą jego dalsze losy? Bardzo szanował swoją przełożoną i było wiadomo, że ona również go ceni. Czyżby wyłaniała się szansa na awans do

Ministerstwa? Jasmin miała ochotę wezwać męża przez komunikator, ale kiedy zabrała się do szukania, przypomniała sobie, że przecież sieć jest wyłączona.

Oprócz Georga Donvilla i Kurta Schlageny, czyli jedynych mężczyzn, którzy zachowali swoje dawne teki, Ministerstw Sportu i Zainteresowań oraz Gospodarki i Transportu, reszta Rządu składała się z kobiet. Ministrem Obrony została oficer Straży Granicznej Julia Fagot, Ministrem Prawa i Sprawiedliwych Osądów Szefowa Komisji Polityki Gender niejaka Maria Monssantoo, a Ministrem Skarbnicy i Finansów Harpia Duecklenbourg, wieloletnia Dyrektorka Finansowa jednego z koncernów technologicznych Sky Robotics Co.

Tymczasem Noovack omawiała pokrótce poszczególne Komisje i Departamenty oraz informowała, za co odpowiadają. Nie przedstawiała jeszcze nowych szefów. Zostawiła sobie to na zaplanowane niebawem kolejne przemówienie. Zależało jej, by społeczeństwo, z którym zamierzała regularnie się kontaktować, posiadało pełny obraz sytuacji. Jasmin nie miała ochoty niczego więcej oglądać. Nawet gdyby miała pojawić się informacja, kto będzie nowym szefem jej męża, wolała na chwilę odpocząć. Wyłączyła teatromanię i postanowiła przejść się na krótki spacer. Potrzebowała trochę świeżego powietrza i ruchu. „Dzieciom dobrze to zrobi” – pomyślała.

Kiedy opuściła apartament i w końcu zjechała windą na dół, jej oczom ukazał się niespotykany dotąd widok. Miasto było opustoszałe. To znaczy nie widać było ani jednego człowieka. Tylko humany zajmowały się swoimi obowiązkami, w większości przypadków sprzątaniami po ostatnich zadymach. Kiedy Jasmin mijała sklepy z lekami, uświadomiła sobie, że od teraz Inco będzie wyglądało zupełnie inaczej. Jak będą zachowywać się ludzie, którzy do tej pory cały swój apetyt na życie czerpali z tabletek? Zrobiło jej się ich żal. Ona – w zasadzie dzięki ojcu, gdyż od zawsze był przeciwnikiem – nie zażywała tego substytutu szczęścia. Co innego Luicey. Koleżanka, z którą nigdy w tej sprawie się nie zgadzały, była przekonana, że dzięki lekowi czuła się spokojniejsza, zawsze widziała wszystko w pozytywnych barwach i odnosiła sukcesy. Tak samo uważał Addam. Nigdy się nie przyznał, że dostrzegł zalety niezazywania. Przecież Jasmin, jak jej ojciec Omar, również dawali sobie radę w życiu, i to bez farmakologicznego wsparcia. „Czy inne leki, poza Rayem, również były modyfikowane i czy miały wpływ na zmiany genetyczne? Co przyniesie zmiana na stanowisku Ministra Zdrowia? Gdzie ukrywają się premier Clifford i jego współpracownicy?”. Te i wiele innych pytań rodziło się w wyczerpanej głowie Jasmin.

Tuż po zakończeniu prezentacji Eva Noovack udała się do Sali Posiedzeń, gdzie wspólnie z pozostałymi członkami gabinetu zamierzała rozpocząć pierwsze oficjalne obrady nowego Rządu. Dziennikarze nie odstępowali jej na krok. Nie zamierzała być niemila. Bardzo delikatnie przekazała im, by dali jej tydzień na przedstawienie programu. Jakże zalotnie z nimi rozmawiała. Widać było, że jest świetnym strategiem. Do perfekcji opanowała sztukę łagodnego wypraszania. Żaden nie poczuł się obrażony.

– Jak wiadomo – zaczęła, kiedy salę opuścił ostatni nieproszony gość. – Program naszego Rządu jest od dawna gotowy, ale może w międzyczasie pojawiły się jakieś nowe pomysły. Zamieniam się w słuch.

– Tak – odpowiedziała Natalia Tatarczyzna. – Już wiem, że musimy rozbudować system więziennictwa.

– Dłaczego? – zdziwiła się premier.

- Sądzę, że brak dostępu do Raya spowoduje wzrost przestępczości. Humanów mamy aż nadto. Wystarczy je przeprogramować, ale brakuje miejsca w więzieniach. Cele są przepełnione. W obozach pracy jest podobnie. No i musimy wyłączyć monitoring, system czujników tego nie ogarnie – powiedziała Tatarczyna.

- Możesz jaśniej, koleżanko? – dopytała się Duecklenbourg.

- Mało kto o tym wie, ale w pierwszej i drugiej dzielnicy funkcjonuje hormomonitoring. Wykrywa zmiany hormonalne, dzięki czemu garda może szybciej reagować i zanim ktoś pomyśli, że mógłby zrobić coś złego, blisko niego kręci się mały patrol humanów. Kiedy ludzie odstawiają Raya, ilość hormonów, które będziemy odczytywać, zawiesi nasz system.

- Przecież wprowadzamy nowe prawo. Można rozszerzyć listę przestępstw, za które będziemy karać śmiercią – odpowiedziała Kimberly Davis.

- No widzisz. Superpomysł. A hormomonitoring trzeba na jakiś czas wyłączyć.

Rozbrajająca radość Noovack, z jaką aprobowała najbardziej nieludzkie rozwiązania, zachęciła Gibbondy do zabrania głosu.

- Nie mam śmiałości wychodzić przed szereg, ale czy wszystkie koleżanki wiedzą, że mamy przygotowany dekret na temat małżeństw?

- Oczywiście. To jeden z głównych punktów naszej nowej polityki – przypomniała premier.

- No właśnie – kontynuowała Gibbondy. – Wprowadzamy zgodę na wielożeństwo. To da nam nowe perspektywy. Nie można marnować materiału genetycznego mężczyzn. Powinni mieć możliwość zapładniania wielu kobiet, nie tylko jednej żony.

- Do rzeczy, proszę pani – niecierpliwił się Georg Donvill.

- Rozważyłabym jeszcze jeden pomysł. Co sądzicie, koleżanki i panowie, na temat całkowitego zakazu prokreacji w zaciszu domowym?

- Co za bzdura? Chodzi o zakaz uprawiania seksu? – zdziwił się Kurt Schlagen. – To chyba żart.

Na twarzy Gibbondy pojawił się grymas oburzenia, który jednak po chwili przemienił się pełnią szczęścia. Rozmarzyła się.

- Wyobraźcie sobie – kontynuowała – że każde zapłodnienie będzie przez nas kontrolowane. To będzie ogromna oszczędność czasu i energii. Wbrew pozorom, będziemy obciążone znacznie mniejszą ilością pracy. Niepotrzebne ciąży przejdą do lamusa i nie trzeba będzie ich usuwać. Zadziałamy po prostu o krok wcześniej. Jeśli któreś małżeństwo zapragnie dziecka, będzie musiało przekazać nam materiał genetyczny. Jedyne UKP będzie mogło dokonywać zapłodnień. Pozamacicznie. Jeśli zarodek przejdzie odpowiednie testy, zostanie zaaplikowany matce. Od dawna potrafimy rozpoznać płeć dziecka, kiedy jeszcze jest małą, ledwo zapłodnioną komórką.

- Genialne – zareagowała Duecklenbourg.

Ta spontaniczna reakcja Minister Skarbnicy i Finansów rozanieliła Gibbondy, lecz chłodna mina pani premier ostudziła jej zapał.

- Owszem, genialne – powiedziała Noovack. – Ale musimy być czujne. Najpierw trzeba zyskać zaufanie społeczne. Nie zaczynajmy od zakazów. Dajmy ludziom nowe zasady, które oni pokochają. Dopiero wtedy, kiedy będą nam wierzyć, zaczniemy wprowadzać trudne reformy.

Gibbondy była niepokieszona, lecz ufała politycznemu zmysłowi swojej wieloletniej szefowej. Razem przeszły wiele. To Noovack wprowadzała znaczące zmiany w Urzędzie Kontroli Pci, a wierna współpracownica je realizowała. Zawsze jako pierwsza i w stu procentach. Każdą modyfikację, nawet tę najtrudniejszą. Miały też kilka wspólnych sekretów.

- Droga Claire, jeszcze zatriumfujemy. Skup się teraz na innym genialnym pomysle. Musimy uzyskać pełną kontrolę nad pracami doktora Nakamura. Wezwij go do ministerstwa i zakomunikuj, że awansował. Zrób z niego kogoś w stylu Dyrektora Działu Eksperymentów Medycznych. Program musi wystartować od razu. Poproszę, byś mnie na bieżąco informowała o jego efektach. Liczę również, że opowiesz mi, jak profesorek zareagował na twoje innowacyjne pomysły i co z nich wyszło.

Pani premier puściła oko do Gibbondy. Nowa Minister Zdrowia uśmiechnęła się delikatnie i na krótko schowała dumę do kieszeni. Właśnie uświadomiła sobie, że zarządzanie tak ważnym ministerstwem ma swoje zalety. Na małą skalę można bez konsekwencji realizować autorskie programy. Już wyobrażała sobie, od którego pomysłu zacznie.

- No to co, chyba możemy włączyć wszystkie systemy, prawda? - Noovack poczuła się panią świata.

Kiedy po trudnym popołudniu Addam wrócił do domu, Jasmin czekała na niego w drzwiach apartamentu. Cały dzień wściekała się na brak łączności. Mina Addama wynagrodziła wszystko. Przywitał ją radosnym uśmiechem. Wszak to, co zamierzał jej zakomunikować, było jedną z najlepszych wiadomości od czasu, kiedy byli razem.

- Dzień dobry, żono Dyrektora Biura Badań Opinii Publicznej i Nastrojów Społecznych - wydeklamował jednym tchem.

- O, panie dyrektorze, to cudownie - odpowiedziała z lekko lubieżnym uśmiechem i namiętnie pocałowała go w usta.

Dość długo się witali.

- Mój awans nie jest jeszcze podpisany, ale to kwestia formalności. Jutro, kiedy Kimberly odwiedzi nasze biuro po raz ostatni, mam otrzymać nominację. Wszyscy już wiedzą.

- Pewnie Luicey też już wie. A twoja żona dowiaduje się ostatnia. Skandal.

Jasmin zrobiła udawaną ponurą minę, lecz trwało to zaledwie moment. Nie mogła powstrzymać kolejnego wybuchu radości.

- Lubię twoją szefową. Będzie się nadawała na ministrówkę od indoktrynacji. Jest niezła - ocenila fachowo. - Od kiedy wiedziałeś o tych zmianach?

- O tym, że będę dyrektorem biura, dowiedziałem się dopiero w momencie przewrotu. Wcześniej mogłem sobie tylko coś tam wyobrażać. Nie było pewności, jak potoczą się losy. Przygotowywana od dawna akcja była kompletnie tajna. Wystarczyło, że ktoś by się wygadał i wszystko spaliłoby na panewce. Chyba słusznie Kimberly nie dawała mi żadnych złudzeń.

- Skąd ten dziennikarz... Jak on się nazywa?

- Luigi Pierone.

- No tak, Pierone. Jak taka gapa odkryła rewelacje tak wielkiej rangi? Czyżby...?

Addam tylko uśmiechnął się i zrobił mały gest, jakby chciał powiedzieć, że to kolejna tajemnica. Jasmin pokiwała głową. Nie potrafiła ukryć radości. Wiadomość, którą przed chwilą usłyszała, spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Wszystko zaczynało się układać. Awans męża wiązał się ze zwiększeniem jego zarobków. A Jasmin wcale nie zamierzała wracać do pracy, bo ciąża, w dodatku mnoga, wiązała się z ryzykiem jej donoszenia w całkowitym zdrowiu. Pieniądze zawsze się przydadzą, ale stanowisko dawało nowe perspektywy. Dzięki temu, że Addam był podpięty pod tak ważną osobę w państwie, jego rodzina mogłaby zostać

zwolniona z niewygodnych podatków. To zawsze tak działało w Inco. Kary nie dotyczyły prominentów. Wyglądało to naprawdę dobrze.

Kiedy pomyślała, że to jest moment na szczerą rozmowę, obydwaj komunikatory, jej i Addama, wydały w tym samym momencie krótki dźwięk symbolizujący pojawienie się wiadomości.

– O, system działa. Wreszcie – ucieszyła się Jasmin, lecz w tej ważnej chwili nie zamierzała sprawdzać treści komunikatu.

Addam z racji wykonywanego zawodu zawsze był podwójnie czujny. Wyjął swój komunikator i wyświetlił wiadomość na ścianie. Brzmiała jak najgorszy sen.

– „Informacja z Ministerstwa Skarbnicy i Finansów...” – zaczął czytać, skupiając wzrok na każdej literze. – „Pańskie konto zostało zablokowane. W celu przywrócenia jego funkcjonowania, proszę skontaktować się z Urzędem Kontroli Płci”. Co?! To niemożliwe. Chyba coś im się zepsuło.

Jasmin przypomniała sobie o terminie wyznaczonym przez Gibbondy. Sprawdziła szybko swój komunikator. Otrzymała dokładnie taką samą wiadomość jak jej mąż. Widocznie kiedy wznowiono pracę systemu UKP, bezduszny program odnotował, że minęła wyznaczona graniczna data, czas na usunięcie ciąży. „Jak mam mu teraz powiedzieć?” – głowiła się. Do tej pory wielokrotnie chciała zrzucić z siebie jarzmo tajemnicy, ale nie znajdowała sposobności.

W tym momencie komunikator Addama zaczął dawać znak o nadchodzącym połączeniu. Mężczyzna włączył przycisk i usłyszał znajomy głos.

– Tu Kimberly, co wyście tam nawywijali? – brzmiał głos z małego głośnika.

– Nie rozumiem. O co chodzi? – Addam cały czas traktował blokadę jako pomyłkę.

– Zapomniałeś, że UKP blokuje konto w przypadku planowanego urodzenia kolejnej córki? Właśnie otrzymałam donos, że mój kandydat na dyrektora został wpisany na listę wyrzutków społecznych.

– Nie wierz im. To dopiero pierwsza ciąża – odpowiedział z rozbrajająco szczerym uśmiechem na twarzy.

Zerknął porozumiewawczo w kierunku Jasmin. Najpierw uciekła wzrokiem, potem spuściła potulnie głowę. Ten gest nie wróżył nic dobrego.

– Bardzo zabawne – powiedziała Kimberly. – Wyczyść szybko ten temat. W tym momencie niepotrzebne nam są żadne komplikacje. Nie będę mogła podpisać awansu, jeśli twoje nazwisko będzie widniało w kartotece jako dłużnik państwa.

Kimberly się rozłączyła. Addam cały czas nie odrywał oczu od żony. Jego nieprzejeđnane spojrzenie przewiercało ją na wylot. Wyglądała na spłoszoną, ale też przerażoną. Nie tak wyobrażała sobie ten moment.

Przebudzenie

Tej nocy Ae nie mogła zmrużyć oka. I nie tylko dlatego, że zdenerwował ją zbieg z sąsiedniej krainy. Miała po prostu złe przeczucia. Od dawna wiedziała, że w Inco dzieje się coś niedobrego, szpiedzy regularnie jej o tym donosili. Niemniej jednak to wyraźnie też nie było to, co spędziło jej sen z powiek. Jako Najwyższa Kapłanka Wszechziemi była niepodważalnym autorytetem wśród bogobojnego społeczeństwa. Nawet jeśli ktokolwiek myślał o niej niezbyt pochlebnie, nigdy tego nie okazywał w obawie przed jej potężnym obliczem. Haris Sagavara był wyjątkiem. Człowiek z zewnątrz zdrwił z jej boskości, i to w obecności purpuratów. Jaki to będzie miało wpływ na postrzeganie jej pozycji? Czy wieść o nonszalancji tego pyszałka rozejdzie się po Patrix? Czy nie powinna na wszelki wypadek pozbyć się tuzina świadków tego niecodziennego zdarzenia, najbardziej lojalnych i najlepiej wyszkolonych obrońców? Nie. Skoro byli oddani, z pewnością zachowali ten incydent dla siebie. W ich oczach, które widziały to, co miały widzieć, ten człowiek był raczej tylko bezczelnym indywiduum. Szkoda było tracić tyle energii dla takiego cwaniaka. Wystarczyło go ukarać za niestosowne zachowanie i wszystko wróciłoby do normy. Wymyśliła kilka kar, które kusity, by szybko wprowadzić je w życie. Jednak z drugiej strony ciekawość co do powodu wizyty tego człowieka nie dawała jej spokoju. Z łatwością ta myśl zwyciężyła. Ae wyraźnie zrozumiała przekaz, że będzie mógł z nią rozmawiać tylko wtedy, kiedy nikt nie będzie ich słyszał. Zaimponowała jej jego nieugiętość. Doceniła ją.

Mało było miejsc w Patrix spełniających ten wymóg, a zarazem niewzbudzających większych podejrzeń. Przypomniała sobie o starej wieży, która straszyla swym zaniedbaniem od wielu długich er. Niedgdy służyła jako dzwonnica, lecz od dawna jej nie używano. Istniało zbyt duże ryzyko, że kiedy ktoś wprawi w ruch wiszący tam wiekowy dzwon Gondoluu, konstrukcja rozhušta się w rytm bujającego się żelaziwa i runie razem z nim. Był to pradawny dzwon, zawieszony jeszcze przed początkiem świata. Oznajmiał rozpoczęcie wszystkich świąt w państwie. Kiedyś. Teraz nikt tam nie wchodził, bo dzwonnica groziła zawaleniem. Ae wierzyła, że w razie czego Patri ją obroni. Wiedziała też, że żaden z podsłuchiwczy nie podąży za nią na górę, z obawy nie tyle o swoje życie, co o potencjalne kalectwo. Tylko tam mogłaby swobodnie porozmawiać z tym bezczelnym łotrem. „Tylko co będzie, jeśli on wykorzysta okazję i zrobi mi krzywdę albo ucieknie?” – głowiła się. „Przecież przyszedł dobrowolnie. Dlaczego miałby uciekać?”. I w takim niespokojnym duchu jej myśli krążyły przez całą noc. Rano, tuż po porannych modłach, postanowiła natychmiast rozprawić się z tym wyzwaniem. Nie zamierzała trwonić kolejnej nocy na rozmyślania.

– Zenit, proszę, byście przyprowadzili więźnia do starej dzwonnicy. Na samą górę. Tam z nim porozmawiam.

– Ależ pani...

– Dość. Ma być przykuty do prawiecznego dzwonu Gondoluu i czekać na mnie. Nie obawiaj się. Nie ukradnie go. Jest zbyt ciężki – zażartowała.

Dała znak, by się oddalił. Zenit nie był zadowolony, ale ufał swej kapłance. Ten bezczelny człowiek z Inco musiał mieć dla niej jakieś ważne informacje, skoro chciała się z nim spotkać w odosobnieniu. „To na pewno dla naszego dobra” – pomyślał i przekazał swoim ludziom rozkazy. Chwilę później mógł już zdać relację, że zadanie zostało wykonane. Haris czekał w miejscu wyznaczonym przez Ae.

– Nie musieliście mnie przykuwać – powiedział na widok wchodzącej na ostatnie stopnie kapłanki.

Westchnęła tylko krótko, jakby chciała przypomnieć, że to ona decyduje, co jest dla niego najlepsze.

– Ciekawe, czy dowiem się czegoś nowego – ironizowała. – Proszę, byś nie trwonił mojego cennego czasu.

– Jak sobie życzysz. Od wielu oczyszczeń w Inco praktycznie nie rodzą się chłopcy, tylko same dziewczynki.

– Miało być coś, czego nie wiem.

– Ludzie w tym kraju obwiniają polityków o to, że nikt nie potrafi rozwiązać problemu. Może się zdarzyć, że członkowie rady ministrów będą musieli ukryć się przed wrogami, którzy tylko czyhają na ich potknięcie.

– Czy możesz przejść do sedna?

Wyglądało na to, że Ae wie naprawdę sporo, lecz nie zdziwiło to Harisa.

– Premier Barney Clifford prosi o twoją pomoc, pani. Oczywiście nie za darmo. Jest człowiekiem bardzo majątnym. Chciałby kupić sobie trochę czasu. Niebawem problem stanie się poważny. Byłoby bardzo dobrze, gdyby mógł go przeczeekać w odosobnieniu, na przykład w jakimś domostwie na terenie Floris. Z rodziną i kilkoma ważnymi oficjelami. W tym czasie my posprzątamy cały bałagan i będzie mógł wrócić.

– Co oferuje w zamian?

– Nie jest wielką tajemnicą, że mieszkańcy Floris używają od czasu do czasu naszych machin. Moglibyśmy pomóc wam na znacznie szerszą skalę. Myślę o automatyzacji rolnictwa, produkcji narzędzi, materiałów budowlanych. Oczywiście nikt nie może o tym wiedzieć. Twój ludzie także. Nasze zadośćuczynienie powinno zostać potraktowane jako wyłącznie twoja zasługa. Społeczeństwo Floris z pewnością to doceni.

– Czy sugerujesz, że teraz moi ludzie mi nie ufają i nie doceniają tego, co dla nich czynię? – Ae była wyraźnie pobudzona.

– Znam wasze zwyczaje. Wiem, jak ważną jesteś osobą w państwie. Chodziło mi raczej o zapewnienie twojej boskości na kolejne oczyszczenia. – Spojrzał w niebo, jakby szukał inspiracji. – Już to sobie wyobrażam. Ae, kapłanka, która zrewolucjonizowała Floris. Będą o tobie uczyć w szkołach.

– Zawiodłeś mnie. Uwierzyłam, że naprawdę szanujesz nasze zwyczaje, dzięki czemu wydałeś mi się ciekawym człowiekiem. Gdybyś znał nasze przyzwyczajenia, wiedziałbyś, że u nas nie uczy się w szkole o byłych kapłanach czy ich zasługach. W ogóle nie uczymy dzieci historii. Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że uczą się religii.

– Nie rozumiałaś mnie, pani.

– Dobrze rozumiałam. Poza tym wiem, i ty pewnie też, że twój rząd nigdy nie wróci do władzy. To jest koniec. Nie ma żadnych szans. Po co miałabym im pomagać? Dla kilku marnych machin, które ukradną z waszego kraju?

– Ale...

- Masz rodzinę?
- Dwie siostry. Nie, nie mam żony ani dzieci, jeśli o to ci chodzi.
- Więc nic cię tam nie trzyma. Przystań do nas, a nie pożałujesz.
- Jak sobie to wyobrażasz? U was nie da się żyć.
- Zaproponuj twojemu rządowi, żeby przyłączyli się do Floris jak dawniej. Wszechziemia będzie znowu jednym państwem. Ja będę jej Najwyższą Kapłanką, a Inco stanie się czwartą ćwiartką, która wróci do macierzy. Clifford będzie mógł zarządzać jednym z ważniejszych rewirów, ty mógłbyś dostać kolejny, ale pod moim zwierzchnictwem. Wprowadzimy nasze zwyczaje, religię i system wartości. Tylko wtedy przeżyjecie.
- Haris długo powstrzymywał się przed wybuchem śmiechu. W końcu nie wytrzymał.
- Co cię tak bawi? - Ae w duchu targała go za włosy.
- Ty niczego nie rozumiesz, pani.
- Jak zamierzacie przeżyć? Jeszcze jedno, dwa pokolenia i będzie po was. - Ae była przekonana do swoich racji, mówiła z zaangażowaniem.
- Jeśli w ciągu najbliższych pięciu dni nie pojawię się w umówionym miejscu przy wodospadzie Pinati, nasi agenci przekażą twoim kapłanom odpowiedzi na kilka nurtujących ich pytań. Na przykład: kto pomógł ci stać się Najwyższą Kapłanką? Jak zginął Wiszare, twój poprzednik? Dlaczego tak naprawdę jad nie zatrzał twojego ciała po zakończeniu szkoleń kapłańskich?

Osada Litrijis wyglądała zupełnie tak, jak wszystkie inne położone nad brzegiem wielkiego akwenu, tylko była większa. Ściany domostw rybaków wykonano z plecionych pędów szuri, dachy zaś z wysuszonych, rozłożystych liści glonów. Na rzędach wbitych w ziemię kołków suszyły się rozwieszone niedbale sieci. Łodzie rybaków w formie wydrążonych czółen były zakotwiczone prostopadle do ciągnącego się wzdłuż portu traktu aż po szerokie molo, gdzie znajdowała się karczma. Podawano tam tylko tinghao, napój alkoholowy o smaku sfermentowanego mleka połączonego z rybim olejem. Był okropny, ale szybko dawał poczucie rozluźnienia po trudach karkołomnej pracy. Powodował tycie, ale nikt nie przywiązywał do tego wagi. Ten typowo męski świat rybackiej osady łagodził widok wiszących w otworach okiennych zasłon zrobionych z kolorowych muszelek, a także dziecięcych zabawek pałających się wokół domostw. Wykonanych ze wszystkiego, co dało się wyłowić. A możliwości było wiele. Poczawszy od wielu gatunków słodkowodnych ryb poprzez skorupiaki, skończywszy na obleśnie wyglądających, ale smacznych, tęgich pędrakach. Wszelkie gatunki stworzeń wyłowionych w tym rejonie sprzedawano handlarzom, którzy codziennie rano przyjeżdżali po towar. Z rybołówstwa dało się żyć uczciwie i godnie. Rybacy byli raczej spolegliwi i dobroniuszni. Można by sądzić, że to dla towarzystwa tych właśnie ludzi Kadu zdecydował się zamieszkać na stałe w Litrijis. Nic bardziej mylnego. Jego mały domek przy plaży, oddalony prawie o tysiąc łokci od ustronnego miejsca, w którym kiedyś spotkał Harisa, znajdował się zaledwie sto łokci od karczmy z jego ulubionym trunkiem. Nie musiał daleko chodzić.

Kadu postanowił przeczekać w Litrijis kilka dni, zanim wróci do domu Fahida po Sumi. Wpadł do karczmy na kilka małych garnców tinghao. Dobrze się czuł w tym miejscu. Zanim zdążył wejść, już w drzwiach poczuł zapach zmieszanego potu amatorów trunku ze zwyczajowo przynoszonymi zakąskami w postaci wędzonych kawałków ryżmy. Na ścianach

tego nietuzinkowego miejsca wisiały trofea rybackie, sufit zaś przyozdabiały stare podarte sieci z kawałkami muszelek nimo. Kadu usiadł jak zwykle w swoim ulubionym miejscu przy prowizorycznym barze i zamówił trunek. Wypił go duszkiem. Potem kolejny. W tym momencie usłyszał, że w głębi pomieszczenia ktoś opowiada poniekąd znajomą historię. Postanowił się przysłuchać.

– Płynąłem po niezbyt udanym połowie środkiem koryta rzeki – opowiadał stary, obleśnie gruby rybak. – W pewnym momencie zauważyłem na brzegu ciało. Pomyślałem, że ten leżący z twarzą w piachu człowiek nie żyje. Był wychudzony i golusienki. Podpłynąłem bliżej, by zobaczyć, kogo w tak młodym wieku zabrała do siebie Patri. Wtedy rzucił się na mnie.

– Czyli ożył – zażartował inny rybak.

– Udawał. Zdarł ze mnie łachy i wyrzucił mnie do wody. A potem szybko odpłynął z moim połowem. Moją łodzią.

– Ale mówileś, że łódź się odnalazła – zachichotał kolejny rybak.

– Tak, ale nie było w niej kotwicy ani ryb. Złowiłem wtedy osiem makabul i jedną riżmę. To był obcy – skwitował stary rybak. – Na pewno przekroczył granicę przy wodospadzie Pinati, a potem dopłynął aż tutaj.

Kadu od razu przypomniał sobie Harisa. Na samą myśl o tym człowieku, zagotowała się w nim krew. „Kiedy zakończę swą misję, odnajdę go i postawię przed obliczem Ae” – pomyślał. „Nie dlatego, że ten zbrodniarz wrzucił zaprzęg do wąwozu Asaran. Przede wszystkim za to, że ukradł ciało Mahmuda i nie wiadomo, co z nim zrobił”. Kadu wypił duszkiem kolejny garniec ulubionego trunku. Potem następne dwa.

Najwyższa Kapłanka Wszechziemi szalała, ale tylko w myślach. Na zewnątrz nie zamierzała pokazać ani złości, ani strachu, ani chęci zemsty. Ten bezczelny nikkzemnik, Haris, najpierw upokorzył ją w obecności strażników, ustalając warunki rozmowy. Potem, kiedy nawet miała zamiar mu wybaczyć i złożyła propozycję pokojowego załatwienia konfliktu, oznaczającą dla niego obietnicę objęcia ważnego rewiru, on zuchwale zaczął ją szantażować. W obawie o jego długi język Ae nakazała zostawić go na wieży dzwonnicy. Zakazała go karmić i poić. Wiadomość, którą od niego usłyszała, obudziła czujność, towarzyszącą jej przez całe pierwsze oczyszczenie od momentu awansu na Najwyższą Kapłankę Wszechziemi. Dawno nie odczuwała nawet najmniejszego niepokoju. Sugestia Harisa brzmiała jak najgorszy koszmar. Myślała, że dawno temu problem został rozwiązany, a tymczasem odżył w najmniej spodziewanym momencie. Okazało się, że kilka jej głęboko skrywanych tajemnic znał byle przybłąda. Ciekawiło ją, co jeszcze wie i ile osób było wtajemniczonych. Od momentu rozmowy z Harisem zaczęła przyglądać się każdemu mijanemu kapłanowi. Za każdym razem, gdy którykolwiek uciekał od niej wzrokiem lub patrzył zbyt długo w jej kierunku, oczami wyobraźni widziała go jako potencjalnego szpiega sąsiedniego kraju lub osobę, która wie zbyt wiele. Stała się obsesyjnie podejrzliwa. Przez to nie mogła się skupić nad rozwiązaniem problemu. „Czy powinnam ulec szantażowi Harisa i pomóc członkom rządu Inco w ucieczce? A może skrócić go o głowę i w ten sposób wysłać informację do kolejnych potencjalnych szantażystów, że nie wolno zadzierać z Najwyższą Kapłanką Wszechziemi?” – biła się z myślami. Z nerwów nie mogła się skoncentrować, nie potrafiła podjąć żadnej decyzji. Na takie jej nastroje najlepszy był Kifor. Ten całkiem rozgarnięty, według jej opinii, kapłan

wysokiego szczebla często miał dobre pomysły. Wydawał się bezstronny, pozbawiony emocjonalnych intencji.

- Co byś zrobił, gdyby się okazało, że ktoś zaufany spiskuje przeciwko tobie? - zapytała, kiedy tylko przyszedł do jej komnaty.

Kifor natychmiast zbladł. To pytanie zbiło go z pantafelku, jakby miał coś na sumieniu. Nie zauważyła tego. Wysłała mu ponaglące spojrzenie.

- Sądzę, że taką osobę należałoby poobserwować, by się upewnić, czy to prawda.

- No dobrze, ale powiedzmy, że się upewniłeś?

- Ukaralbym - powiedział krótko i przełknął ślinę.

- Racja. A co by było, gdyby ktoś szantażował cię, że rozpowie jakieś niekoniecznie prawdziwe, krzywdzące informacje na twój temat, jeśli nie dasz mu nagrody?

- Również wolałbym się upewnić. - Kifora kusilo, by zapytać, o kogo chodzi, ale zabrakło mu śmiałości. Obawiał się, że jeśli wykaże się natręctwem, zwróci na siebie uwagę. Wolał udawać niezainteresowanego.

- A gdyby się okazało, że nie wiesz, czy to była prawda, czy też nie, bo nie pamiętasz? Na przykład coś się faktycznie wydarzyło, ale to pozornie nie była twoja wina.

- To nie ma znaczenia. Nie miałbym litości.

Ae zastanowiła jego odpowiedź. Kifor był już pewny, że może się czuć bezpieczny. Kapłanka nie rozmawiała by z nim w taki sposób, gdyby miała podejrzenie o jego braku lojalności. W tym momencie zaczęła mięknąć w jego oczach. Poczul jej słabość. Wyraźnie czegoś się obawiała. Jej dotychczas twardy, charyzmatyczny sposób bycia zamieniał się w plastyczną, przyjazną masę, która zaczęła się rozlewać i tulić do każdej napotkanej przeszkody. Widać było, że kapłanka walczy wewnętrznie. Kapłan przyglądał się, jak z każdą chwilą coraz głębiej chowała się za barierą niepewności. Wyraźnie nad nią górował, lecz niezbyt długo.

- Czeka nas bardzo trudny okres, Kiforze - przerwała niezręczną ciszę. - Żle się dzieje u naszych sąsiadów. Ich kraj pogrąża się w chaosie. Skutki odczuwamy również my.

- Wszak żyjemy w jednym świecie.

- To prawda. Jesteśmy ze sobą połączeni. Musimy im pomóc. Jeśli tego nie zrobimy, Wszechziemia ulegnie zagładzie.

- Co masz na myśli, pani?

W tym momencie do drzwi zapukał Zenit i mimo braku zgody wszedł. Kifor odebrał to jako afront. Zerknął na kapłankę, lecz ona zbagatelizowała ten fakt.

- Co się stało, przyjacielu? - spytała, odrywając myśli od wizji upadku całej planety.

- Wrócił oddział, który miał za zadanie przeczesać okolice wąwozu Asaran.

- No tak. Zapomniałam o tym. I co znaleźli?

- Święty wąwóz został zbezczeszczoney. Ktoś wrzucił do środka drewniany zaprzęg do przewozu zwłok.

Ae i Kifor zamarli, jakby ta wieść wiązała się z czymś absolutnie najgorszym z możliwych.

- Ślady śmiałków, którzy dokonali tego haniebnego czynu, rozdzielają się - kontynuował Zenit. - Jedne wiodą do Patrx i myślę, że należą do naszego więźnia; drugie zaś do kapłana, który udał się w kierunku zachodniej ćwiartki.

- To Kadu. - Kapłanka przypomniała sobie rozmowę z przedstawicielem poczty.

- Musimy natychmiast powiadomić Radę - oznajmił Kifor.

- Wiem. Zenicie, proszę, byś wysłał kurierów. Niech znajdą Kadu. Ma się tutaj natychmiast stawić. Ty, Kiforze, wezwij wszystkich kapłanów wysokiego szczebla. Spotkamy się w Złotej

Świątyni i uradzimy, co czynić.

Zanim Ae dotarła do umówionego miejsca, wpadła na chwilę na wieżę dzwonnicy. Widać było, że Haris czekał na nią. Jego uśmiech tylko ją rozjuszył.

- Straż twierdzi, że wrzuciłeś zaprzęg do wąwozu Asaran.

- Sam spadł. To nie była wina ani moja, ani tego klechy.

- Jak śmiesz! - Ae nie kryła emocji.

- Przecież da się go wyciągnąć. To tylko trupy.

- Niczego nie rozumiesz! Nie będę mogła cię wypuścić, byś dotarł na czas do wodospadu Pinati! Rada z pewnością skaze cię na śmierć. Żegnam.

Ae kiwnęła lekko głową i zaczęła schodzić po schodach, uspokajając oddech.

- Ale ja nie wrzuciłem tego zasranego wozu! Musi być jakieś wyjście! Przecież ja uratowałem tego łysola! Nie mów mi, że dla was ważniejsze są jakieś zdechlaki niż życie człowieka! - krzyczał za nią z bezsilności, lecz ona już tego nie usłyszała.

Sumi nerwowo chodziła z kąta w kąt. Widać było, że nie może sobie znaleźć miejsca.

- Kiedy mogę zacząć się pakować? - zapytała.

- Cierpliwości, córeczko - odpowiedział Fahid.

Ojciec, który od dłuższej chwili tkwił w zamyśleniu, nawet nie spojrzał w jej kierunku. Stał jak kamień na środku sypialnego pomieszczenia. Wyraźnie wyglądał na zakłopotanego, choć starał się tego nie okazywać. Lepiej wychodziło mu z ukrywaniem lęku. Naprawdę bardzo się obawiał. Wszak zdarzyło się coś okropnego. To był w zasadzie ciąg nieciekawych zdarzeń. Zaczęło się od tego, że o jego córkę upomniała się Najwyższa Kapłanka Wszechziemi. Potem on i jego żona pierwszy raz w życiu kogoś okłamali. W dodatku niewinnego kapłana, który tylko wykonywał polecenie. Wreszcie - żeby uspokoić rodzinę - Fahid obiecał, że wywiezie córkę do Hambarra. A tego wcale nie zamierzał zrobić. Była jeszcze za młoda. Kto by się nią zaopiekował w obcym mieście? Od chwili kiedy schował się wraz z córką w norze, by przeczekać wizytę Kadu, minęło już kilka dni, a on nadal nie znał rozwiązania. Pierwszy raz od zawsze, odkąd zajmował się zbiorom kwiatów dirsny, żniwa praktycznie przebiegły samoistnie, bez jego pomocy. To znaczy wykonywał poszczególne czynności, ale bezwiednie. Będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Wcześniej się to nigdy nie zdarzało. Dawniej w każdą czynność wkładał serce. Kiedy przypomniał sobie znowu, że pracował bez jakiegokolwiek zaangażowania, bo był zbyt pochłonięty problemami, pierwszy raz poczuł, jak bardzo brakuje mu ojca. Gdyby on jeszcze żył, na pewno wiedziałby, co należy uczynić. Fahid był doświadczonym gospodarzem, dobrym mężem i ojcem, ale nie posiadał takiej smykałki do rozwiązywania problemów jak Mahmud. Zresztą, jakie on do tej pory miał problemy? Czasem ze zwierzętami albo gdy dzieci się pokłóciły i musiał je musztrować. Raptem raz zepsuła się machina i raz zdechł mu jeden tine z niewiadomego powodu. To wszystko. Życie płynęło powoli. Kolejne oczyszczenia miały w spokoju. Nie przechodziły do historii, bo we Floris nie wspomniano przeszłości. Najwyżej tyle, co ktoś zapamiętał. Przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie tylko prawa boskie, ziemskie zwyczaje i przypowieści. Ale żeby ktoś interesował się tym, kto był na przykład poprzednim Najwyższym Kapłanem Wszechziemi, to raczej było niespotykane. Każdy z farmerów uprawiających swoje pole skupiał się na tym, co go otaczało. Na najprostszycy sprawach. Żeby dobrze przeżyć każdy dzień, by unikać sytuacji konfliktowych i najczęściej, jak to było możliwe, obdarowywać swoich bliskich czułością. No

i oczywiście, żeby żyć w zgodzie z boginią Patri i jej kapłanami. Jeśli któryś z gospodarzy straciłby dziecko lub nawet kilkoro na rzecz Kościoła, godził się z tym faktem, ponieważ większość naprawdę odbierała ową stratę jako awans społeczny.

Kiedy Fahid pomyślał o tej bezdusznej tradycji, zdał sobie sprawę, że spotkało go coś nieoczekiwanego i chyba musi być wyjątkowy. Wcześniej chodziła mu po głowie ta nieznośna myśl, ale problem nigdy nie był tak blisko. On naprawdę zdecydował, że nie zamierza oddać żadnego ze swoich dzieci na zatracenie. Chyba jako jedyny spośród znanych mu ludzi nie zaakceptował wyroku. No oczywiście poza ojcem Mahmudem i wujkiem Omarem, ale oni przecież nie żyli. Ta myśl wzbudziła lekką niepewność, czy dobrze siebie zna. Poczuł się wyobcowany. Jakby wyszedł ze swojego dawnego ja i zobaczył tego poprzedniego Fahida, który prezentował się dość załośnie. Nie chciał nim być. Zaprzagnął stać się nowym, silnym, wiedzącym, czego chce, ojcem rodziny. Zdał sobie sprawę, że teraz przyjdzie mu się zmierzyć z czymś dla niego do tej pory niewyobrażalnym. Musi zdrzeć ze sobą dwie skrajne postawy – role, które o sobie wzajemnie nie wiedziały. Wiara i posłuszeństwo wobec religijnej organizacji musiała stanąć w szranki z jego ojcostwem. Zdecydował, która z dwóch postaw zwycięży, lecz był zbyt prostym człowiekiem, by to właściwie rozwikłać.

– Ale jedziemy czy nie? – Sumi nie dawała za wygraną i wybiła go z rytmu.

– Nie wiem – odburknął.

Obraziła się na ojca i pobiegła na skargę do matki. Rita zajęta była przygotowywaniem stawy, z wyrozumiałością przyjęła jednak słowa krytyki wobec męża i szybko znalazła słowa otuchy. W tym momencie do chaty weszło kilkoro rodzeństwa, które bawiło się na podwórku. Pierwszy pojawił się Khalid. To był dopiero urwis, w wieku grubo ponad pół oczyszczenia. Nie jak jego bliźniacza siostra Adila. Chłopiec zbliżył się do Sumi i pociągnął ją za włosy. Pogoniła go. W mgnieniu oka zapomniała o swoich rozterkach. Po nim do chaty weszła para najmłodszych szkrabów, Hassan i Malik. Obydwaj ledwie umieli chodzić, potykali się niezgrabnie. Zgodnie z panującym we Floris obyczajem dzieci uczyły się różnych potrzebnych umiejętności same od siebie. Między innymi chodzenia. Dlatego Rita, jak inni zajęci rodzice, nie zareagowała. Kiedy chłopcy weszli do środka, Malik, który nie potrafił jeszcze mówić, dał znak, że chce mu się pić.

– Dajcie mu wody – powiedziała matka, nie odrywając rąk od stołu, na którym lepiła placki z mąki mao.

Zajęła się tym Tamadur, czwarta pod względem wieku córka Fahida i Rity, która przed chwilą wróciła z zagrody. Karmiła przebywające w odosobnieniu brzemienne zwierzę.

– Myślę, że to już niedługo. Okurai ledwo dyszy – zagadnęła.

– Trzeba częściej do niego zaglądać – odpowiedziała matka. – Wołaj resztę i ojca. Pora na posiłek.

Tamadur wybiegła z pomieszczenia. Po chwili wróciła Sumi, a za nią kolejni członkowie rodziny. Ostatni wszedł Fahid. Dzieciaki wyglądały na szczęśliwe. Ten widok poprawił mu nastrój. Usiadł między Fatimą a Nadirem. Spuścił głowę i zaczął, jak zwykle, się modlić. Po chwili zdał sobie sprawę, że tym razem robi coś wbrew sobie. Znow zaskoczyła go ta myśl. Przerwał modlitwę i otworzył oczy, czym wzbudził ciekawość dzieci. Rozejrzał się dookoła i dał znak, żeby zaczęły jeść. Rita rzuciła w jego kierunku krótkie, niespokojne spojrzenie. Uśmiechnęła się sztucznie do Malika i podsunęła mu miskę z mazidłem z dirsny. To był dopiero niespotykany widok. Chłopczyk w tak młodym wieku samodzielnie radził sobie ze smarowaniem placka.

Złota Świątynia nie służyła tylko do modlitw. Kapłani wysokiego szczebla zbierali się w niej również po to, żeby radzić. Wszak było to miejsce tuż pod Diamentowym Sanktuarium, domem Patri. Nie można było bagatelizować jej bliskości podczas podejmowania najważniejszych decyzji w państwie. Tym razem problem był poważny. Zbieszczeszczono Asaran, wążów zapełniany od początku świata wyłącznie ciałami zmarłych. Dwie ery temu, kiedy do środka wpadł jeden z dziko żyjących ptaków moree, zaakceptowano, że zwłoki zwierząt ostatecznie też mogą się tam znaleźć, ale to był jedyny wyjątek. Zgodnie z przepowiednią, kiedy wążów zostanie zapełniony zabalsamowanymi zwłokami, nastąpi koniec świata. Co zatem począć z trójkołowym wozem, który tam spadł? Przez niego przepowiednia mogłaby się nie wypełnić. Swoją drogą nikt nie mógłby tam zejść, żeby go wydobyć. To również byłoby świętokradztwo.

– Bracia kapłani – zaczęła Ae. – Tematy są dwa. Jeden prosty. Człowiek z Inco, którego wzięmy w dzwonnicy, jest podejrzewany o wrzucenie wozu. Trzeba go przesłuchać w tej sprawie.

– Szkoda czasu. Należy go bezzwłocznie ukarać. To, co uczynił, jest niewybaczalne. – Ali Ude, jeden z najstarszych kapłanów w Radzie, był bezwzględny w ocenie.

– Prawda, ale on twierdzi, że to był przypadek – broniła go Ae.

– Po co w ogóle tutaj przybył? – zapytał Kifor i spojrzał przenikliwie w kierunku kapłanki.

Ae przez chwilę wahała się, co odpowiedzieć. Nie miała ochoty tłumaczyć się przed tymi starcami, choć niestety tego wymagała tradycja. Nużyło ją to. Wolała podjąć kilka samodzielnych, szybkich decyzji i dać szansę Harisowi, by udał się na umówione miejsce. Już nie obawiała się tego szantażysty. Podobnie jak jego przełożony, Clifford, również chciała zyskać i rozgryźć siatkę agentów. W tym momencie zastanowił ją fakt, że do tej pory się nie zorientowała, że siatka w ogóle istnieje. „Chyba się starzeję, stałam się zbyt ufna” – pomyślała i wróciła myślami do pytania swojego zastępcy.

– W Inco sprawa robi się bardziej zagmatwana, niż można było przypuszczać. Ich Rząd prosi nas o pomoc – powiedziała.

– Sami są sobie winni. To heretycy – powiedział Namali, jeden ze starszyny.

– Prawda, ale pozwólcie, czcigodni kapłani, że zaprosimy tu ich premiera. Być może nam się przyda taki mało znaczący dla nas gest. Potem zadecydujemy, co dalej.

– Roztropna myśl – odpowiedział Ali Ude. – A tego łotra skażmy na śmierć.

– Na śmierć – odpowiedzieli chórem kapłani.

– Dobrze, zatem na śmierć – odpowiedziała Ae, lecz wcale nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. – Pozostaje jeszcze druga kwestia – kontynuowała. – Co zrobimy z tym zaprzęgiem, który wpadł do wążowu?

– To prawda. Co pocniemy? – zapytał zatroskany Kifor. – Nie potrafimy latać, a maszyny do zbioru owoców czy kwiatów nie nadają się do tego.

– Jesteśmy prostymi kapłanami. Znamy się trochę na militariach, ale nie na inżynierii. – Ali Ude już nie sprawiał wrażenia wyrachowanego mistrza.

– A może ten z Inco zna jakiś sposób? – zapytał Rados.

Ae oczekiwała właśnie takiej reakcji. Uśmiechnęła się w duchu.

– Co uczynimy, jeśli on znajdzie rozwiązanie? Puścimy go wolno? – zapytała nieśmiało.

– To jego wina. Na śmierć – zareagowało kilku kapłanów.

– Myślicie, że wiedząc, jaki czeka go los, zgodzi się nam pomóc?

Wielu kapłanów ze zrozumieniem zaczęło kiwać głowami, jakby chcieli powiedzieć, że trzeba wezwać tego lotra, a potem się zobaczyć. Szybko został doprowadzony do Złotej Świątyni.

- W zasadzie nie powinniśmy z tobą rozmawiać - zaczęła Ae. - Zdajesz sobie sprawę, że zbezcześciłeś nasze święte miejsce?

- Zrobiłem to, żeby uratować waszego kapłana. Inaczej wpadłby razem z wozem w dół - odpowiedział Haris.

Te słowa wywołały wśród zebranych poruszenie i niepewność co do właściwej oceny jego uczynku. Ae przeczuwała, że sprytny kombinator miał czas na znalezienie haczyka. Nieważne, czy to było kłamstwo. Zadziało. „Nieżył jest” - pomyślała.

- Czy potrafiłbyś zbudować machinę, którą można będzie bez skalania ciał zmarłych wyciągnąć kawałki wozu na brzeg?

- Nie wiem, czy mam tyle czasu. Za kilka dni muszę być z powrotem na granicy. Wiesz o tym, pani, prawda?

Ae poczuła, jak jego szpila przekłuwa ją na wylot, lecz postanowiła nie być dłużna.

- Jeśli szybko się uwiniesz, zdążysz. Jeśli nie, zostaniesz stracony - powiedziała z miną oznajmającą, że nie boi się jego szantażu.

Ae postanowiła osobiście dopilnować niecodziennej operacji. Poza tym była ciekawa, co zrobi Haris. Imponował jej, a jednocześnie bardzo ją wnerwiał ten sprytny szantażysta. Kiedy dotarli, znalazła ustronne miejsce do obserwacji jego poczynąń. W celu zapewnienia sukcesu zapowiedziała Harisowi, że jeśli cokolwiek dodatkowo wpadnie do wąwozu, on natychmiast będzie kolejnym, który wyląduje na stercie ze zwłokami. Haris był już znudzony ciągłymi groźbami śmierci. Nie miał dyplomu inżyniera. Znał natomiast bardzo dobrze podstawy matematyki i fizyki. Wiedza, którą posiadał, wystarczyła do oceny, że najprościej byłoby przenieść rozbierny mostek przeznaczony do wrzucania zwłok. Ustawienie go dokładnie nad miejscem, gdzie leżał wóz, i spuszczenie kogoś silnego na linie, by przywiązał poszczególne elementy do sznura, według jego oceny załatwiłoby sprawę. Niestety kapłani, którzy zajmowali się rozbiórką mostu i montażem w innym miejscu, uznali, że to potrwa zbyt długo. Wszak wąwóz miał dwieście łokci szerokości. Oszacowano, że taka operacja zajmie około trzydziestu wschodów Hello. Haris nie mógł tak długo czekać, dlatego zaproponował zbudowanie prostego dźwigu z kołowrotkiem. Ae z ciekawością przyglądała się, jak rozrysowywał wszystkie potrzebne elementy konstrukcji. Była pod wielkim wrażeniem jego kunsztu. Już nie dziwił jej fakt, dlaczego taki niby rzezimieszek stał się tajnym wysłannikiem premiera Rządu. Haris nakazał najpierw zmontować na brzegu drewnianą konstrukcję, którą później przetransportowano pod krawędź. Na końcu liny przewieszanej przez kołowrotek spuszczonego jednego z najsilniejszych kapłanów niskiego szczebla. Kiedy zjechał na sam dół, pojedynczo zbierał poszczególne kawałki wozu i przywiązywał je do spuszczonego dodatkowego sznura, którym wciągnięto wszystkie elementy na górę. Na końcu pozostał jeszcze problem kawałka skalistego klifu, który był zbyt ciężki na dźwignięcie go za pomocą nawet najgrubszej liny, a także zbyt okazały do przywiązania. Rozbicie go na kawałki nie wchodziło w grę. Haris zaproponował zawiązanie kilku pętli o wcześniej wyliczonej średnicy, zdolnych objąć głaz. Udało się. Po wyciągnięciu na górę kawałka klifu kapłani długo dziękowali Patri za pomoc. Nikt Harisowi. Ae była zaskoczona ich reakcją. Czuli żal do swoich pobratymców, że nie docenili fachowości obcokrajowca. Jeszcze nie tak dawno miała zamiar skarcić go za

zhańbienie. Potem za szantaż i bezczelność. A na końcu za głupotę, przez którą mało brakowało, a musiałby oddać głowę. W tym momencie była z niego dumna i szczęśliwa, że nie musi go zabijać.

- Czekamy na twojego premiera – powiedziała, licząc, że Haris wróci.

Wypuszczony na wolność więzień pognał okurai w kierunku wodospadu Pinati. Dysponował ograniczonym czasem, by zdążyć na umówione miejsce. Wiedzieli o tym oboje.

Kadu dotarł do Patrix i stawiał się przed oblicze Ae. Minęło raptem kilka dni od momentu, kiedy został wezwany, ale dla niej trwało to wieczność. Była zniecierpliwiona i rozdrażniona. Jusif, jej zaufany człowiek, który zawsze wiedział o wszystkim szybciej niż inni, zniknął. Podejrzewała, że nie był to zbieg okoliczności. To mogło znaczyć tylko jedno. Od tej pory nie mogła na niego liczyć. W dodatku zaczęła odczuwać niepewność, czy Haris dotarł o czasie. Przesłuchanie Kadu w sprawie wozu nie miało w zasadzie znaczenia. Wszak wszystko się wyjaśniło i dobrze skończyło, pretekst do dyscyplinującej rozmowy i wyżycia się na mało znaczącym kapłanie pojawił się sam. Okazał się nim temat niedoprowadzonej na czas Sumi.

- Dostałem twoje rozkazy, pani – powiedział, kiedy tylko wszedł do komnaty Ae.

- Więc dlaczego ich nie wykonałeś?! – Tonem, jakim wypowiedziała to zdanie, Najwyższa Kapłanka Wszechziemi zakomunikowała, że jej irytacja osiągnęła apogeum.

- Kiedy otrzymałem twój list, pognałem co sił do rodziny Manduarra. Niestety ani Sumi, ani jej ojca nie było w domu. Matka dziewczynki twierdziła, że pojechali razem do szkoły, gdzie miała się uczyć na pieśniarkę – wyrecytował.

- Czy dobrze rozumiesz posługę kapłańską? Jak brzmi ósmy paragraf kanonu?

- Dobry kapłan wie wszystko, co się dzieje w jego rewirze. Słucha ludzi, którzy słuchają jego.

- Słucha ludzi! – wrzasnęła. – Nie nauczono cię przepytywać do skutku? Ludzie mają nam mówić wszystko: co robią, co myślą, z kim dzielą łożę i o czym marzą. Jak nie chcą mówić, masz im przypomnieć, że Patri tak chce i koniec dyskusji.

- Przepraszam, że cię obraziłem, pani – wydukał niepewnym głosem.

- Obraziłeś naszą boginię, durniu. Minęło raptem dwadzieścia współsiężyców rozkwitu, a ty się zachowujesz, jakby ci z głowy nie wywietrzało poprzednie oczyszczenie.

- Nie piję tyle, co kiedyś, pani. Przysiągłem Patri.

- Oczywiście – ironizowała. – Udałeś się za nimi?

- Nie. Jestem przekonany, że nigdzie nie wyjechali. A przynajmniej niezbyt daleko. Postanowiłem przeczekać i odwiedzić ich znienacka. W tym czasie właśnie wezwałaś mnie ty, pani – wyjąkał, coraz mniej pewnie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nawet jedna rodzina, która nam się sprzeciwi, może zasiać ziarno, z którego zrodzi się coś większego?

- Tak, pani.

- Co ja mam z tobą zrobić, Kadu? Pomagasz złoczyńcom bezcześcić nasze święte miejsce, nie wykonujesz moich poleceń, tłumaczysz się jak kłamliwy sztubak, że czekałeś na odpowiedni moment, choć wszyscy wiedzą, że od kilku wschodów Hello nie wychodziłeś z karczmy. Co byś zrobił na moim miejscu?

- To nie jest tak, jak myślisz, pani.

- Czyżbyś wiedział lepiej, co myśleć?

Kadu był zdruzgotany. Faktycznie wychylił kilka głębszych, ale nie czuł, że robi coś niewłaściwego. To miała być tylko niewinna forma odreagowania stresu, choć faktycznie troszkę się przedłużyła.

- Obiecuję, pani, że przywiozę tę dziewczynkę, choćbym miał uczynić coś naprawdę niegodnego.

- Mam jeszcze jedno pytanie: co się stało z niejakim Omarem Manduarra? To brat dziadka tej dziewczynki. Zginął nam w papierach.

Jak powszechnie wiadomo, po zakończeniu szkolenia każdy przyszedły kapłan musiał przejść zatrucie jadem. Po niezbyt długiej rekonwalescencji uczył się fachu żołnierskiego i na jedno oczyszczenie stawał się żołnierzem armii Floris, kapłanem niskiego szczebla. Żołnierze stacjonowali po drugiej stronie Saandreal w podziemnych koszarach. Tam udoskonalali rzemiosło podczas wielogodzinnych treningów. Rzadziej uczestniczyli w religijnych paradach lub jako pomoc logistyczna. Jeśli któremuś z kapłanów spodobała się służba, mógł ubiegać się o pozostanie w niej na zawsze. Nie każdemu na to pozwalano – tylko najwybitniejszym i najzdolniejszym żołnierzom. Cała reszta kapłanów po jej zakończeniu otrzymywała jeden z rewirów do zarządzania. Stawali się przedstawicielami Patrix w terenie, zarówno pod względem duchowym, jak i w zakresie sprawowania kontroli i władzy jako kapłani średniego szczebla.

Praktyka żołnierska była ostatnim, nieodzownym etapem szkoleń kapłańskich, choć zaczynała się tuż po zatruciu. We wschodnim skrzydle sieci jaskiń Patrix miała swoje miejsce szkoła rzemiosła wojennego. Zarządzał nią Ling Gui, kuzyn Kadu, najohydniej wyglądający kapłan spośród wszystkich w całym Floris. Oprócz charakterystycznych dla duchowieństwa pozostałości po zatruciu jadem posiadał sporo pamiątek po niejednym pojedynku. Jego ciało pokryte było niezliczonymi bliznami. Wiele z nich nigdy się nie zagoiło. Zresztą wcale mu na tym nie zależało. Dzięki nim czuł się bardziej przerażający, a nieustający, nieznośny ból utrzymywał go w ciągłym poczuciu uczestnictwa w walce. Przez ostatnie trzy oczyszczenia, od kiedy miał zaszczyt pełnienia swej funkcji, wychował wielu wojowników obydwu płci. Do różnic w budowie ciała kobiety i mężczyzny odnosił się jednak politycznie. Płeć piękna, choć młode kapłanki trudno było nazwać atrakcyjnymi, zgodnie z decyzją Ling Gui stanowiła zaplecze kuchenne lub szpitalne. W jego mniemaniu kadetki płci żeńskiej posiadały pewną wadę: piskliwy głos, który wydobywały, żeby dodać sobie otuchy podczas nadludzkiego wysiłku. Nie był w stanie zdzierżyć tego jęku. Jeśli jednak którejs z kobiet zależało na tym, by stać się na przykład członkiem elitarniej grupy zwiadowczej, a tę szkolił specjalnie, musiała zapłacić najwyższą cenę, decydując się na podcięcie strun głosowych. Dzięki temu zabiegowi jej głos stawał się akceptowalny dla szefa szkoły. Niższy, lekko chrypliwy i cichy, podobny do męskiego. W niektórych przypadkach zanikał na zawsze. Dla osób marzących o karierze w tajnych służbach stanowiło to nieodzowny element wojennego ekwipunku niczym mundur czy broń.

W trakcie szkolenia u Ling Gui adepci uczyli się przede wszystkim walki wręcz oraz korzystania z dostępnej, nieco archaicznej broni. Większość była stosowana od zarania dziejów. Zresztą nie było potrzeby jej udoskonalenia. Potencjalnego wroga znano dobrze. To sąsiednia kraina Inco, która nie inwestowała w żołnierzy, tylko w maszyny. We Floris bagatelizowano nowoczesną formę walki. „Żadna technologia nie zastąpi ludzkich mięśni

i sprytu” – mawiał Ling Gui. Jego wiedza na temat potencjalnej armii przeciwnika była jednak zerowa. Był pewny, że tamci walczą w dość podobny sposób jak we Floris. Nie starał się dociec, czy przypadkiem sąsiednie państwo nie udoskonalilo technologii lub taktyki wojennej. Jak większość mieszkańców nie widział niczego poza czubkiem własnego nosa. A że od początku świata, kiedy ustalono granicę pomiędzy krainami, ich władze skutecznie zniechęciły ludność jednej strony do drugiej i odwrotnie, żaden z ludów nie miał ochoty podbić tego drugiego. Armie były w zasadzie niepotrzebną zabawką w rękach władzy. Szkolono się na wypadek wojny tylko dlatego, by ludność czuła, że rządzący dbają o bezpieczeństwo. W tym względzie w Inco było niemalże identycznie. Bardzo nowoczesne służby graniczne tej krainy dawały pewność społeczeństwu, że żaden wróg nigdy nie ośmieli się zaatakować ich państwa. Obydwie armie były nieliczne. Tak przynajmniej donosili szpiedzy.

Szkolna zbrojownia znajdowała się w ciemnej grocie. Niby po sąsiedzku, a w zasadzie w jednym kompleksie z prywatną komnatą szefa szkoły. Ling Gui uwielbiał tam przebywać. Wyobrażał sobie, że jest w środku wielkiej bitwy, żywcem słyszał szcęk oręża. Kiedy odwiedził go Kadu i poprosił o pomoc, nauczyciel poczuł się doceniony oraz podekscytowany wyzwaniem. Oderwał się od monotonii i rutyny. Wreszcie jakaś akcja. Sam chętnie wzięby w niej udział, lecz wiedział, że nie wolno mu było opuszczać szkoły.

Kadu potrzebował pomocnika, a najlepiej dwóch. Mieli mu ułatwić wykonanie zadania, które otrzymał od Najwyższej Kapłanki Wszechziemi. Niby było banalne. Należało sprowadzić małą dziewczynkę. Najlepiej dobrowolnie i koniecznie żywą. Wydawałoby się, że to nic trudnego, Kadu jednak przewidywał komplikacje. Mimo że Fahid, ojciec Sumi, pochodził z bogobojnej rodziny, już wykazał się krnąbrnością i należało się liczyć z jego niesubordynacją. Kapłan chciał wykorzystać znajomość z kuzynem i być pewnym, że zadanie zostanie wykonane perfekcyjnie. Zresztą od tego zależała jego dalsza kariera, a może nawet godziwe życie.

– Dam ci do pomocy dwóch moich najlepszych uczniów, którzy idealnie powinni się sprawdzić w takim zadaniu. Jeśli planujesz zaatakować z zaskoczenia, nikt nie sprawdzi się lepiej niż Hara i Nate, dwie największe fracje, jakie kiedykolwiek trafiły do naszej szkoły.

– Kobiety? – zdziwił się Kadu.

W tym momencie kapłani usłyszeli kołatanie do drzwi i po chwili do mrocznej komnaty weszły dwie osoby. Przez chwilę Kadu mocno się wpatrywał, lecz kiedy zdał sobie sprawę, że jego zachowanie może wyglądać natarczywie, odwrócił wzrok. Szybko zorientował się, że obydwie wojowniczkę w żadnym stopniu nie przypominają kobiet, a bardziej zylastych, umięśnionych mężczyzn, których już samo spojrzenie mogło uczynić wiele krzywdy. Hara, ta wyższa, miała szare oczy, ciemną skórę pełną blizn i kilka szarych kosmyków na głowie. Nate była skośnooka. Koloru jej oczu nie sposób było rozpoznać przez zbyt wąskie szpary pomiędzy spuchniętymi brwiami i nabrzmiałymi policzkami. Jej skóra wyglądała, jakby była usmarowana nawozem zwierząt gospodarskich. W zasadzie dzięki jednokolorowemu tatuażowi, pokrywającemu praktycznie całe jej ciało.

Obie były ubrane skąpo, praktycznie, jakby w ciągłej gotowości do misji. Hara skłoniła się nisko. W tym momencie Kadu dostrzegł źle zrosnięte blizny po amputacji piersi. Wzdrygnął się lekko, choć wielokrotnie widział podobne. Przedstawicielki płci pięknej, które stawały się kapłankami, często wycinały sobie resztki swej kobiecości, gdyż po przejściu świętego jadu przez gruczoły ich ból stawał się nieznośny. Zrobiły to same lub prosiły inną kapłankę. To był prosty zabieg. Niczym przekłucie uszu. Bez zachowania jakichkolwiek wymogów higieny.

Wystarczyło później ranę wypalić rozgrzanym do czerwoności mieczem, a ból złagodzić ziołem radda.

- Te dwie niewiasty chętnie ci pomogą. Nudzą się i przyda im się mała przygoda. Potem zaczną służbę - powiedział Ling Gui.

Nate wysłała nauczycielowi pogardliwe spojrzenie, by przypomnieć, że słowo „niewiasta” zostało dawno temu uznane za obelżywe.

- Kiedy ruszamy? - zapytała Hara, choć jej głos zabrzmiał jak charczenie zaplutego pijaczyny.

- Najszybciej jak się da - odpowiedział Kadu.

Ling Gui z radością otworzył wrota zbrojowni, miejsca zakazanego dla adeptów. Na wielkich stosach posegregowanych tematycznie można było zobaczyć między innymi czterostronne topory, różne rodzaje mieczy, dwuręczne młoty, proce na kolczaste kulki, kusze na zatrute strzałki, dzidy, halabardy, racicogwiazdy, siatki, harpuny, a także różnej wielkości tarcze. Każda z wojowniczek miała swoją ulubioną broń. Hara najpierw sięgnęła po krótki miecz, wieszany zazwyczaj na plecach na rzemiennym pasku. Nazywał się sirius. Łatwo się nim operowało. Był lekki, wygodny jak sztylet i ostry jak skalpel. Potem podeszła do boksu, w którym leżały dziwaczne żelaziwa. Wybrała mieczotopór, narzędzie do bezlitosnego rozłupywania kości. Końcówka jego długiego, wąskiego ostrza rozgałęziała się na małe siekiery. Mimo swego monstrualnego rozmiaru nie sprawiał wrażenia ciężkiego. Z łatwością ujęła go w dłoni.

Nate postanowiła zabrać ulubioną na takie krótkie wyprawy karczownicę. Ta specyficzna maczeta z zabezpieczeniem klingi w postaci szeregu haków spowodowała delikatny uśmiešek na jej chłodnej twarzy. Do ulubionego kompletu brakowało jeszcze tylko podwójnego bicia, wykonanego z połączonych grubym sznurem raidi łusek pancernego stwora, pokuna. Bicz ten podczas walki rozdzielał się na dwie części, a każda z nich smagała wroga w nieprzewidywalny dla niego sposób. Hara i Nate czuły się wyróżnione i szczęśliwe. Kadu zerknął na swoją uzbrojoną po zęby straż i pomyślał, że nigdy nie czuł się tak bezpieczny jak dziś w towarzystwie zaledwie dwóch kobiet.

ROZDZIAŁ 9.

Blokada

Tego dnia poranny rytuał Jasmin wyglądał tak samo jak przed ciążą. Obudziła się dość wcześnie i przed pójściem do pracy postanowiła poćwiczyć. Addama już nie było. I dobrze. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Zresztą mijali się od dobrych dziesięciu dni. Od chwili, kiedy dowiedział się prawdy o trojaczkach i wykrzyczał wszystkie zalegające w trzewiach żale. Od tamtego dnia dwukrotnie nocował u swoich rodziców, a kiedy wracał, wyglądał jak wiecznie wściekły drapieżnik, który szuka okazji, by się zemścić. Pewnie nie tylko dlatego, że obydwójce z Jasmin mieli zablokowane konta. Również nie z tej przyczyny, że oddalił się jego awans, prawdopodobnie na zawsze. Gdy wykrzykiwał najgorsze epitety, jakie słyszała w życiu, dowiedziała się, że jej nonszalancja postawiła na szali ich długi, szczęśliwy związek. Jasmin nie do końca była pewna, czy sama chce tych dzieci, czy nie. Jednego dnia je kochała, drugiego nienawidziła. On jednak o tym nie wiedział. Instynktownie droczyła się z nim. A także ze sobą, ze swoim ego. Dlaczego nie miałyby podjąć decyzji o własnym potomstwie? Jej buńczuczny charakterek nakazywał jej zrobić dokładnie na przekór innym. Matka, mąż, jego znajomi z pracy, nawet najbliższa koleżanka, żeby nie powiedzieć przyjaciółka, wszyscy oczekiwali od niej jak najszybszej decyzji o aborcji.

Przed treningiem Jasmin napiła się odrobinę wody marki Pearl. Zdumiało ją, że dużo pije. Tak szybko znikał zapas szklanych butelek. Kiedyś by się tym nie przejmowała, ale od momentu blokady konta zapasy znikają szybciej niż zwykle. Tak jej się przynajmniej wydawało. Żeby odgonić piętzące się złe myśli, Jasmin rozebrała się jeszcze w salonie i po chwili weszła do pomieszczenia regeneracyjnego. Zaczęła od delikatnych ćwiczeń. Nie chciała się zbyt forsować. Rozciąganie i krótka przebieżka, potem ten sam co zwykle zestaw na kręgosłup, ale w podwójnej dawce. „Na wypadek, gdyby trzeba było dźwigać większe ciężary” – pomyślała. Sprawdziła, czy widać brzuszek. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Znow się nabrała. Jak co dzień. Wiedziała, że zaokrąglenie pojawia się pod koniec pierwszego trymestru, w przypadku trojaczek zdecydowanie szybciej, to był jednak dopiero siódmy tydzień. Niczego nie było widać po jej szczupłej sylwetce. Ani jednej fałdki. Nie była jednak zawodziona. Włączyła mechanizm spłukujący.

Droga do pracy dłużyła jej się wyjątkowo. Nie do wiary, jak szybko postępowały zmiany w mieście. Zaledwie dziesięć dni temu pojawił się nowy Rząd, a już centrum Inco wyglądało zupełnie inaczej. A zaczęło się od niby nieznaczących, ale upierdliwych drobiazgów. Na każdym rogu stał patrol humanów gardy, który miał za zadanie wyrывkowo kontrolować przechodniów. Jasmin nie lubiła robotów.

– Proszę się zatrzymać. – Usłyszała sztucznie brzmiący głos. – Poproszę o kartę meldunkową.

Z obrzydzeniem i niechęcią wykonała polecenie. Robot czytał kartę.

– Ma pani blokadę. Proszę udać się do Urzędu Kontroli Płci.

- Tak. Wiem - odpowiedziała, chowając oczy przed wścibskim wzrokiem pozostałych przechodniów.

- Co pani tu robi?

- Mieszkam.

- Na deptaku?

- Idę do pracy.

- W takim razie życzę miłego dnia.

- Wal się - powiedziała szeptem.

Była pewna, że robot zrozumiał jej słowa i pomyślała tylko, że niepotrzebnie ściszyła głos. Nie miała ochoty dawać mu satysfakcji. Przecież i tak by się nie obraził. Roboty z gardy nie posiadały wbudowanego modułu empatii. Nie otrzymałaby żadnego mandatu za obrazę sztucznego tworu. Powinna była to wiedzieć. Trochę żałowała. Zanim dotarła do budynku, w którym miała siedzibę jej korporacja marketingowa, musiała jeszcze trzykrotnie okazywać kartę meldunkową. To zepsuło jej humor do reszty. W dodatku od połowy drogi chciało jej się sikać, a te kontrole metalowych puszek wszystko opóźniały.

- Jesteś spóźniona. Czy coś się stało? Źle się czujesz? - zapytała z udawaną troską Agness Vinnetre, szefowa działu.

- Gdyby nie te ciągłe kontrole, byłabym o czasie.

- Odbieram ci pół dniówki.

- Tak? To ja wychodzę. Wrócę w południe.

- Dlaczego?

- Skoro za pół dnia mam mieć niezapłacone, dlaczego mam tu siedzieć?

- Zrobisz, jak uważasz. Miałam dla ciebie ciekawe zadanie. Dostanie je Katterina.

Jasmin fuknęła tylko z niesmakiem i wyszła z biura. Usiadła jednak na korytarzu przed wejściem. Już żałowała, że tak głupio się zachowała. Coś kazało jej być opryskliwą. Wbrew jej woli. Za wszystko obwiniła gardę. To przez nich ten dzień zaczął się niezbyt dobrze. Była ciekawa, co jeszcze złego się wydarzy i co powinna teraz zrobić. Wrócić? A może nawiązać kontakt z mężem? Nie. To byłoby żenujące. Wpaść do matki? Po co? Żeby jej powiedzieć, że nadal nie może się zdecydować? A może odwiedzić Luicey w jej pracy? Żaden pomysł nie wydał się jej sensowny. „Czy to już pierwsze objawy ciąży?” - zdziwiła się w myślach. Zastanawiała się, czy fakt, że stała się taka marudna, był normalną reakcją na zmiany hormonalne oraz czy dzieci wysysały z niej mózg do budowy swoich zwojów i dlatego nie mogła wymyślić niczego, co brzmiałoby logicznie. Oceniała się karcąco. Według jej subiektywnego, lecz w miarę szczerzego osądu, uznała, że stała się niezdecydowaną, krytycznie nastawioną do wszystkiego idiotką o szalejących hormonach. Nudną babą o żenującym braku kontroli nad własnym jestestwem. Przez chwilę przestała nawet siebie lubić. To były dołujące myśli. Żeby nie kusić losu, a tym bardziej nie natknąć się na kolejną kontrolę, postanowiła wrócić jednak do pracy z podkulonym ogonem. Na jej widok Agness tylko delikatnie się uśmiechnęła. Raczej niezbyt pobłażliwie. To wyglądało jak manifestacja pychy.

Dzień w pracy mijał dużo szybciej. Jasmin otrzymała jednak nowy projekt i zabrała się do niego z radością. „Wreszcie jakieś wyzwanie godne mistrzyni” - pomyślała. Wciągnął ją na tyle, że nie myślała o ciąży, obrażonym mężu, złym samopoczuciu i niekontrolowanych humorkach. Otrzymała zadanie przygotowania dla nowego Rządu wstępnej koncepcji kampanii społecznej na temat popularyzacji zatwierdzonego modelu rodziny. Projekt oczywiście na tym etapie był tajny i Jasmin musiała podpisać klauzulę o poufności. Gdyby

wyciekł w niegotowej formie i w nieodpowiednim momencie, mógłby przynieść kolosalne skutki dla całego kraju.

- Brakuje mi danych - powiedziała Jasmin.

- Jakich konkretnie? - zdziwiła się Agness.

- Skoro mamy opowiedzieć smutną historię o upadku ludzkości, są mi potrzebne informacje na temat prawdziwego udziału mężczyzn. Ilu rodzi się chłopców, a ile dziewczynek? Jaki jest średni wiek matek? Chodzi mi po prostu o dane demograficzne i socjologiczne.

- Droga Jasmin, koncepcja ma być przedstawiona za trzy dni, a w ciągu tygodnia gotowy materiał. A od czego masz męża? Skontaktuj się z nim. Przecież pracuje w Urzędzie Badania Opinii i Nastrojów Społecznych. Na pewno mają wszystkie potrzebne liczby.

- Addam również podpisuje klauzulę o poufności.

- Ale możesz się do niego zwrócić drogą oficjalną. Fakt, że jest twoim mężem, z pewnością pomoże.

- To dlatego dostałam ten projekt?

Agness nie odpowiedziała. Jasmin nie spodobał się pomysł związany z oficjalnym zapytaniem, ale wiedziała, że mąż na pewno by jej nie odpowiedział. Nawet gdyby nie byli pokłóceni. Z drugiej strony była bardzo ciekawa danych i cieszyła się ze świetnego pomysłu na kampanię, jaki przyszedł jej do głowy. Męczyła ją tylko wątpliwość, do kogo zaadresować pismo. Kimberly Davis nie była już dyrektorem Urzędu, lecz ministrem. Dyrektorem powinien być Addam, ale z uwagi na blokadę jego awans odsunięto w czasie. Jasmin od wielu dni z nim nie rozmawiała, więc nie miała pojęcia, co się tam wydarzyło i czy przypadkiem kogoś nie awansowano zamiast niego. Nie było też żadnej informacji w oficjalnych komunikatach ministerstwa.

- Czy jestem ci aż tak obcy, że zamiast zapytać mnie wprost, uciekasz się do żenujących rozwiązań? - zapytał Addam, kiedy wrócił wieczorem do apartamentu.

- Bo się do mnie nie odzywasz - odpowiedziała Jasmin.

- Zrzuńowałaś naszą przyszłość. Czego oczekujesz? Że będę dla ciebie miły?

- Niczego jeszcze nie zrzuńowałam. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Nie informując mnie o ciąży, w dodatku potrójnej, zachowałam się jak złodziej, który ma coś na sumieniu. Co się gapisz? Oceniam cię jak złodziejkę. Okradłaś mnie z marzeń!

- Jak ci się nie podoba, to się rozwiedź! - wrzasnęła.

- Kuszące, ale...

- Kuszące?! Ty gnojku. Nienawidzę cię!

- Wychodzi wychowanie w slumsach.

- Odpieprz się od mojej rodziny, fircyku z dobrego domu.

- Moja rodzina cię przygarnęła. Zaakceptowali cię taką, jaką jesteś. Dlaczego? Bo wiedzieli, że chcę być z tobą. I to było dla nich najważniejsze. Twoja matka nigdy mnie nie szanowała.

- Akurat ona bardzo cię lubi i w temacie ciąży jest po twojej stronie.

- A to ciekawe. I nie posłuchałaś mamusi?

Jasmin ciężko westchnęła. Usiadła na podłodze i zamknęła oczy. Zaczęła uspokajać oddech.

- Co się stało? Coś cię boli? - zapytał z troską.

- Daj mi spokój. To nie twoje życie. Chcesz, to się rozwiedź. Zostaw mnie.

- Ale co ty mówisz? Ja cię kocham. Z tym rozwodem to był żart.
- Uśmieiałam się do łez. Następnym razem uprzedź mnie, żebym mogła przygotować chusteczki.
- Jasmin, ty histeryczko. Kocham cię i nie chcę, żebyśmy się krzywdzili. - Addam objął żonę. Przytulili się do siebie.
- I co z twoim awansem? - zapytała po chwili.
- Awansowali Haenry'ego. Przynajmniej stanowisko zostanie w rodzinie.
- Co? Luicey niczego mi nie mówiła - zdziwiła się Jasmin.
- Bo ją o to prosiłem.

Zamiast wyrazić skruchę i okazać w jakikolwiek sposób, że jest jej przykro z powodu utraty awansu, Jasmin odsunęła się od Addama. Nie zdziwiło go to. Znał te jej napady zazdrości. Zbagatelizował je jak zwykle, kiedy tak się zachowywał, tym razem również poczuła do niego niewyobrażalną niechęć. Mężczyzna jej życia właśnie się przyznał, że po raz kolejny spiskował z jej jedyną koleżanką. Luicey też się oberwało, w myślach. Tylko ona wiedziała, że małżeństwo miało ciche dni. „Pewnie jeszcze stanęła po jego stronie. Znalazła się pocieszycielką” - złościła się w duszy Jasmin. „A Haenry? Kompletnie nie nadaje się na dyrektora. Nie dość, że jest brzydki jako facet, to jeszcze taki rozmemłany. Jak to dobrze, że Luicey nie ma z nim dzieci”. Jasmin znów zdała sobie sprawę, że marudzi. Była rozbita, bolała ją głowa. Poszła się położyć. Addam uciekł w oglądanie teatromanii. Nie zauważył, kiedy zasnęła.

Kolejny nocny koszmar spowodował, że Jasmin obudziła się zmęczona. Śnił jej się Addam mordujący trójkę dziewczynek. Używał oderwanej wcześniej kończyny górnej humana gardy. Zdała sobie sprawę, że dopóki nie zadecyduje w kwestii ciąży, będzie kłębkim nerwów. Wszyscy jej znajomi, mąż i matka odradzali urodzenie trojaczków. W myślach walczyła z całą grupą pasjonatów jej aborcji. W tej walce czuła się osamotniona. Gdyby chociaż jedna osoba zechciała zostać jej sprzymierzeńcem, być może udałoby się znaleźć równowagę. Tylko taki stan mógłby jej pozwolić na rzetelną ocenę sytuacji i przemyślenie tej arcyważnej sprawy. Przypomniała sobie o ginekologu, który ją badał. Doktor Jon Steavans wydał jej się idealnym kandydatem na przeciwwagę. Postanowiła go odwiedzić po pracy, niby pod pozorem zbadania, czy wszystko jest w porządku z ciążą. Wiedziała, że w jego gabinecie powinny się znajdować wszystkie wyniki badań, ale na wszelki wypadek zabrała ze sobą wydruk z modułu komputerowego. Gdyby system UKP jakimś cudem się zepsuł, nie miałaby o czym rozmawiać z lekarzem i być może musiałyby ją badać ponownie, a nie miała na koncie ani jednego niezablokowanego bytu. „Zwykła rozmowa na pewno nie będzie nic kosztować” - pomyślała.

Po niełatwym dniu pracy, pełnym trudnych rozmów z szefową na temat dyscypliny, udała się do gabinetu Steavansa. Kiedy dotarła do celu, zajęła miejsce w kolejce. Poczekalnia była pełna kobiet w różnym wieku i fazie ciąży. Większość była uśmiechnięta, ale nie na każdej buzi widać było, że to będzie chłopak. Jasmin usiadła obok brązowowłosej w wieku lekko ponad dwa oczyszczenia, która wyglądała na strapioną.

- Córka? - zapytała.
- Czy już całe Inco wie? Zabiję go - odpowiedziała brązowowłosa.
- Kogo?

- Mojego męża. Rozpowiada wszystkim znajomym, że zwariowałam. Przekabacił nawet moją rodzinę. Namawiają mnie, żebym usunęła, bo mamy już jedną córkę. Ale Ursula chce mieć siostrzyczkę.

Jasmin zdziwiła ta szczerość.

- A ty czego chcesz? - zapytała z wyraźnie wyczuwalną empatią Jasmin.

- Wiem, że nas nie stać. Chyba powinnam usunąć.

Brazowowłosa uśmiechnęła się sztucznie, po czym zamknęła oczy i uroniła łzę, ściągając na siebie spojrzenia pozostałych oczekujących na swoją kolej.

- Brzuch jest już duży. A który to tydzień? - zapytała siedząca w rogu funkcjonariuszka UKP.

- Dziewiętnasty - odpowiedziała, wycierając łzę brazowowłosa.

- To nieodpowiedzialne. To ostatni dzwonek.

- Wiem! Jestem umówiona za trzy dni - powiedziała i zrobiła nieoczywisty grymas, będący mieszaniną pogardy, smutku i szaleństwa. Po czym znów uroniła kolejną łzę, potem jeszcze jedną.

- To po co tu przyjechałaś? - zapytała miedzianowłosa, starsza pani, wyglądająca na szczęśliwą przyszłą babcie.

- Chciałam, żeby doktor Steavans pokazał mi, jak rozwija się nasza Oliwia.

- Po co ci to wiedzieć? - zapytała funkcjonariuszka UKP.

- Nie wiem. Musiałam tu przyjść. - Brazowowłosa wytarła jedną z łez, która zdążyła dotrzeć aż do brody.

Nagle otworzyły się drzwi do gabinetu. Pojawił się uśmiechnięty doktor Steavans. Gestem przywołał brazowowłosa. Odwzajemniła się niezbyt nachalnym uśmiechem i weszła za nim do środka. Kobiety siedzące w poczekalni wymieniły się spojrzeniami. Niektóre zaczęły szeptać między sobą. Jasmin zrozumiała, że w tym towarzystwie czuje się wyobcowana. Jak wyrzutek. Zerknęła z pogardą na kobietę w brunatnym uniformie UKP. Nie wyglądała jak Gibbondy. Była zdecydowanie ładniejsza i młodsza. Miała sympatyczny wyraz twarzy sugerujący przyjazne usposobienie. Nie przypominała tamtej bezdusznej kreatury. „Takiej łatwiej zaufać” - pomyślała Jasmin. „Uciekają się do mamienia poprzez miłą aparycję. Marketing w czystej postaci. Gnoje”.

W tym momencie do poczekalni wszedł human gardy.

- Poproszę o karty meldunkowe.

Kobiety posłusznie okazały dokumenty. Ostatnia zrobiła to Jasmin.

- Czy coś się stało? - zapytała funkcjonariuszka UKP.

- Proszę opuścić to miejsce. Dyrektywa siedem-GUHJY-osiemdziesiąt dwa.

- Ale ja czekałam dwa tygodnie na wizytę! - oburzyła się jedna z przyszłych mam.

- Wizyta odwołana.

Sympatycznie wyglądająca funkcjonariuszka UKP sprawdziła coś w swoim komunikatorze.

- Drogie panie, otrzymacie wiadomość, na kiedy przesunięta została wizyta. Proszę nie utrudniać - powiedziała.

W tym momencie do poczekalni weszły trzy kolejne humany z naładowaną bronią automatyczną trzymaną w górnych kończynach. Na ich widok pomieszczenie natychmiast opuszczono w popłochu. Jasmin również wybiegła na zewnątrz, obrażając w myślach bezduszny system. Postanowiła poczekać. Była ciekawa dalszego przebiegu zdarzeń. Po kilku minutach doktor Steavans został wyprowadzony na zewnątrz. Na nadgarstkach i w okolicach

kostek u nóg miał założone energetyczne kajdany. Kiedy, stawiając małe kroczki, mijał Jasmin, uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Nic nie było w porządku. Tak sądziła Jasmin. Czowała, że czeka go coś niebывale niesprawiedliwego. Humany wepchnęły więźnia do szklanej klatki wypełnionej innymi aresztantami.

- Proszę się rozejść. Zgromadzenia są zakazane.

Jasmin rozejrzała się dookoła. Zauważyła szybko, że jest sama. „O jakich zgromadzeniach pierdolił ten głupi robot?” – zastanowiła się. Spuściła wzrok, udając, że czegoś szuka. Human oddalił się. Po chwili na zewnątrz wyszła brązowowłosa, wyglądała na strwożoną.

- Co tam się stało? – zapytała Jasmin.

- Gardobot wszedł do gabinetu i powiedział, że doktor jest aresztowany za zdradę kraju. Co z nim teraz będzie?

- Na pewno wszystko się wyjaśni.

Jasmin uśmiechnęła się w duchu, kiedy powtórzyła w myślach słowo „gardobot”. Nie słyszała wcześniej, żeby ktoś tak nazwał elektronicznego stróża prawa. Spodobał jej się ten przydomek. Postanowiła, że będzie go używać. Nawet zamierzała wymyślić swoją wersję, po chwili jednak posmutniała. Zdała sobie sprawę, że dni doktora Steavansa są policzone. Zadarł z niewłaściwą osobą, z Gibbondy. A ona nie wyglądała na taką, która zechciałaby komukolwiek odpuścić. W dodatku stała się drugą najważniejszą osobą w państwie. Jasmin zrobiło się żal cenionego ginekologa.

- Zdążyłaś zobaczyć dziecko? – zapytała.

- Tak. – Brązowowłosa po raz pierwszy emanowała niewyobrażalnym szczęściem. – Oliwia jest taka zajebista. Nie oddam jej nikomu. Jak masz na imię?

- Jasmin.

- Ładnie. Ja mam na imię Tarya. Od razu widać, że u ciebie to będzie chłopak.

Pierwsze dni w nowej pracy Claire Gibbondy nie przebiegły tak, jak sobie wyobrażała. Zamiast od razu wziąć się do działania, za namową Noovack przeszła nudne, według niej nikomu niepotrzebne, gruntowne szkolenie z zasad *public relations*. Wcześniej dowiedziała się, że jej aparycja i styl bycia nie idą w parze z dobrze rozumianą troską o zdrowie. A takimi cechami powinna być naszpikowana wiarygodnie wyglądająca minister zdrowia. Miała przynajmniej nauczyć się udawać empatyczne reakcje, skoro tego typu uczucia były jej obce. Nie spodziewała się, że będzie musiała z tej nowej umiejętności zbyt często korzystać, ale wykonała posłusznie polecenie lub, jak kto woli, prośbę swojej szefowej. Kiedy z obrzydzeniem do samej siebie, zerkając w lustro, dostrzegła żalną niebogę, uznała, że to czas na zakończenie tajnego eksperymentu. Eva Noovack poleciła również zmianę wyglądu. Ku własnej rozpacy Gibbondy musiała zrezygnować z brunatnego munduru na rzecz kostiumu eksponującego kobiece ciało, a sznurowane buciory zamienić na wygodne, damskie półbuty. Najtrudniejsze do wprowadzenia zmiany związane były jednak nie z garderobą, ale z atrybutami kobiecości. Gibbondy powinna zacząć przyozdabiać paznokcie, najlepiej w zgodzie z obowiązującą modą, czyli zaklejać je metaliczną powłoką, a także koniecznie zmienić fryzurę. Dotychczasowe siwoszare, miejscami czarne, zazwyczaj rozpuszczone, a czasem spięte w niedbały warkocz długie włosy miały zostać ujarzmione w kok, najlepiej jednolitej barwy. Zdecydowała się na czarnowłos, bo wydał jej się bardziej dystyngowany.

Więcej wytycznych na tym etapie nie było, choć Noovack rozważała kilka dodatkowych pomysłów. Nie zamierzała jednak dobijać lojalnej koleżanki.

Na pierwsze spotkanie z nowym zespołem Gibbondy poszła z zamiarem szybkiego odbębnienia. Bez zbędnych czułości i tworzenia nowych więzi. Na chłodno, na szybko i do roboty. Siedziba Ministerstwa Zdrowia miała kształt krzyża. Składała się z wielkiego gmachu i trzech mniejszych budynków złączonych rogami. Pomiędzy nimi rozpościerało się wybetonowane atrium z kilkoma na stałe przymocowanymi ławkami i małym pomnikiem. Cały kompleks był przestronny. Szerokie korytarze i wysoko osadzone sufity czyniły wnętrze monstrualnym. Kiedy Gibbondy pojawiła się w hallu, wzbudziła niemałe zamieszanie. Nie dlatego, że było już południe. Ci, którzy ją dobrze znali, zdziwili się efektem jej przemiany. Wielu nawet jej nie rozpoznało. Co więcej, zignorowali pojawienie się wystrojonej inaczej niż zwykle baby. Osoby, które nie wiedziały, jak ona wygląda, a tylko słyszały o surowej aparycji nowej Minister Zdrowia, uznały gremialnie, że owszem nie wygląda na szczególnie młodą, ale nie straszy, jak głośno krążące o niej legendy. Gibbondy z zaskakująco zadowoloną miną odnotowała kilka pochlebstw na swój temat. Tego dnia nie miało dla niej znaczenia, czy były szczere.

– Dzień dobry, koleżanki i koledzy – zaczęła z grymasem sztucznego uśmiechu na twarzy. – Jestem szczęśliwa, że będziemy razem pracować. Chętnie opowiedziałabym wam o swoich planach, ale mam spore zaległości i chciałabym je szybko nadrobić. Za kilka dni odbędzie się spotkanie organizacyjne. Niech każdy robi to, co robił do tej pory.

Po tych słowach oddaliła się w stronę swojego nowego gabinetu. Wiedziała, gdzie się znajduje, gdyż wielokrotnie przechodziła obok niego, zmiierzając do poprzedniego gabinetu swojej szefowej, wszak Noovack pełniła w nim dyżury raz w tygodniu. Na twarzach komitetu powitalnego nastawionego na dłuższą przemowę pojawiły się drobne uśmiešky, miny zwątpienia, nawet niezadowolenie.

– Nicola McKinley! – Słysząc było wrzask Gibbondy. – Do mnie.

Niezbyt atrakcyjna, ale wyglądająca na kompetentną sekretarka w wieku dwóch i pół oczyszczenia pognała z notatnikiem w dłoni w kierunku gabinetu nowej szefowej.

– Zamknij drzwi – powiedziała Gibbondy, przesuając bez najmniejszego wysiłku swoje biurko bliżej okna.

Nicola na moment stanęła jak wryta. Szybko jednak się zreflektowała.

– Co mówili? – spytała Gibbondy.

– Kto?

– Ludzie. A o kogo pytam? Co za niedojda – powiedziała niby do siebie, ale na głos, Gibbondy.

– Już rozumiem. Wszyscy czekają na jakieś decyzje. Kto będzie nowym dyrektorem UKP i jaki jest plan na rozprawienie się z kartelami farmaceutycznymi.

– I dobrze. Niech czekają. Od dziś chcę mieć pełny obraz tego, co się dzieje w całym biurze. Jasne?

Nicola wyglądała na zawstydzoną i lekko zniesmaczoną.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – wydukała nieśmiało. – Mam sześć fakultetów, w tym nauki medyczne.

– Tak. Ja wiem, że to bardzo odpowiedzialna i złożona funkcja. Nie każdy się nadaje. Jeśli nie dasz rady, na pewno znajdziesz sobie zajęcie zdecydowanie bardziej adekwatne do twoich kompetencji.

Ostre jak żyłетки słowa pocięły Nicolę na cienkie plasterki. Chwilę dochodziła do siebie. W tym czasie Gibbondy sprawdzała zawartość szuflad. Tylko raz zerknęła na dziewczynę przymrużonymi oczami niczym detektyw. Wyglądało to na oznakę zniecierpliwienia.

- Proszę wybaczyć. Nie miałam złych intencji. Kiedy rozpoczynałam pracę w ministerstwie, nikt nie proponował mi donoszenia na kolegów.

- Przynajmniej się czegoś nauczysz. U mnie na nic ci się zdadzą te twoje fakultety. Czy teraz się rozumie?

Nicola kiwnęła głową.

- Czy ten, jak mu tam, Nakamuru dojechał?

- Tak. Czeka od rana w auli.

- Doskonale. Gdzie to jest?

- Musi pani dojść do atrium, obejść pomnik i potem drugie drzwi na lewo.

- Pomnik? Faktycznie, jest. Ohyda. Do jutra nie chcę go widzieć.

Nicola zamarła. Kamienny posąg przedstawiający karmiącą matkę z dzieckiem stał w środku atrium od blisko osiemdziesięciu oczyszczeń. Był szanowanym symbolem ministerstwa. Ex libris z jego wizerunkiem od dawna traktowano jak logotyp. Znajdował się na wszystkich oficjalnych dokumentach, zarówno papierowych, jak i elektronicznych.

- Czy będziemy mieli nowy znaczek? - zapytała Nicola.

- Widzę, że szybko się uczysz - odpowiedziała sucho Minister Zdrowia.

Romm Nakamuru lekko przysypiał. Siedział przy wysokim biurku z łokciem opartym o gruby drewniany blat. Na wygiętej na zewnątrz dłoni wspierała się jego głowa. Widać było, że spędził w tej pozycji wiele godzin. Jego średniej długości, sztywne jak patyki żółte włosy powyginały się, tworząc zabawny kołtun. Kiedy Gibbondy weszła do auli, jej rytmiczny odgłos kroków natychmiast go wybudził. Stał na baczność z głową spuszczoną jak do ukłonu. Po chwili podniósł ją i spojrzał zaspanym wzrokiem. Był niskiego wzrostu jak na mężczyznę. Miał wyłupiaste oczy, które mrużył, przyzwyczajając je do światła. Wyjął monokl z grubym szkłem i włożył między policzki, a brew prawego oka. Gibbondy spojrzała na niego z lekką drwiną, jakby była wyższa nie o głowę, lecz o dwie. Gdyby ktoś przyjrzał się tej parze, nie miałby wątpliwości, w kim drzemie prawdziwa charyzma.

- Profesorze Nakamuru, cieszę się, że będziemy razem pracować.

- Jeszcze nie wiem, nad czym - odpowiedział szybko.

- Cenię pana osiągnięcia w dziedzinie genetyki. Czytałam wszystkie pańskie prace. Te, do których miałam dostęp. Pozostałe, jak rozumiem, też mi pan przekaże. Chcę stworzyć nową wizję ministerstwa, zdolnego uleczyć ten chory kraj. Nie za pomocą lekarstw na wszystko, lecz dzięki genetyce.

- To ważna dziedzina. Cieszę się, że pani podziela moją opinię w tym względzie.

- Będzie pan pełnił nową funkcję. Główny genetyk, szef szefów, alfa i omega.

- Pani mi schlebia. Niepotrzebnie. Ale dziękuję. Czy dokładnie mamy się zajmować? Będziemy kontynuować mój projekt związany z rozmnażaniem na bazie dzieworódtwa?

- Też. Ale nie pan będzie się tym zajmował, tylko ktoś inny pod pańskim nadzorem. Pana wiedza jest zbyt cenna, żeby trwonić ją na jeden temat. Mam spore doświadczenie i wiele widziałam. Sądzę, że moje pomysły mogą pana zaskoczyć.

- Pani jest szefem wszystkich szefów.

- No już. Wystarczy tych pochlebstw. Mam tylko jedną małą prośbę. Na pewno pan mnie zrozumie.

- Słucham, w czym mogę pomóc?

- Pomóc? - zdziwiła się. - Nie. Pracował pan dla poprzedniej władzy. Od dziś pracuje pan dla mnie i bardzo proszę, by...

W tym momencie jej komunikator wydał dźwięk symbolizujący połączenie przychodzące. Gibbondy sprawdziła, że to Eva Noovack.

- Niech pan wyjdzie. Aha. Bardzo proszę, by pod żadnym pozorem nie wyrwało się panu, że w tamtych czasach było lepiej. Rozumiemy się?

Nakamuru kiwnął głową i udał się w kierunku drzwi. Gibbondy włączyła komunikator.

- O co chodzi z tym pomnikiem? - Dało się rozpoznać głos pani premier dochodzący z minigłośniczka komunikatora.

- Porządki robię. Sama mówiłaś, że ta mamunia z dzieckiem cię denerwuje.

- To prawda. Dobrze, usuń ją. Ale zwolnij trochę. Daj nam czas na uszczelnienie systemu.

- Tak jest, szefowo. - Gibbondy uśmiechnęła się, zerknęła na przyozdobione na metaliczną nutę paznokcie i pokręciła głową. - Mam dość włożenia w dupę tym wszystkim lukrowanym kretynom.

- Ha, ha, ha. Cierpliwości, kolezanko. Cierpliwości. Zapomniałabym - operator platformy, którą uciekli Clifford i jego sługusy, przyznał się w końcu, że zostawił ich w trzeciej dzielnicy. Chyba tam się skryli.

- Odnajdziemy ptaszka - odpowiedziała Gibbondy i zmarszczyła czoło na znak pogardy, którą darzyła byłego premiera.

Dwa dni drogi na piechotę od granicy z Floris stała opuszczona kopalnia bidrytu, minerału, z którego wytapiano szkło techniczne. Wykorzystywano go do budowy ogniwi absorbujących energię Hello, a także elementów konstrukcyjnych nowoczesnych chłodziw. Tego typu szkło, dzięki niespotykanym właściwościom, uzyskiwało lepsze parametry izolacyjne przy stosunkowo oszczędnej grubości. Bidryt swymi kolorami i strukturą przypominał stare, spróchniałe drewno, lecz wbrew pozorom był bardzo twardy. Przetapiano go w hucie w temperaturze prawie ośmiu tysięcy stopni Meyera. Jego obróbką zajmowały się roboty, zaś miejsce przetopu znajdowało się z dala od ludzi, na totalnym pustkowiu w czwartej dzielnicy. Mimo skomplikowanego i kosztownego procesu obróbki bidryt był jednym z najważniejszych minerałów stosowanych w tej krainie. Dzięki niemu Inco tak mocno poszło do przodu w technologicznym rozwoju. Tafle szklane składające się z dwóch cienkich szyb połączonych przezroczystą folią stanowiły osłonę każdej elewacji i dachu wszystkich wysokich wieżowców w dzielnicy pierwszej. Czerpały bezpośrednio promienie Hello, a podłączone do nich inwertery przerabiały je na energię w ilości większej niż wynosiło zapotrzebowanie. Nadwyżka była przesyłana do dzielnicy drugiej z minimalnymi stratami po drodze.

Jedna z trzech wyeksploatowanych kopalni stała się idealną kryjówką dla przedstawicieli Rządu. Znajdowała się na głębokości dwustu łokci. Jedyna wystająca nad ziemię budowla - szyb wiertniczy - znajdowała się na skraju skalistego stepu pokrytego sporadycznymi kępami suchych, kolczastych traw. Rzadko ktoś tam zaglądał. Wbrew powszechnym opiniom na temat surowości tego miejsca Clifford oraz kilku najbardziej zaufanych współpracowników wraz z rodzinami postanowili właśnie w nim ukryć się przed pierwszym gniewem społeczeństwa.

Miejsce nie było przypadkowe. Zaplanował je Haris – dawno temu, kiedy pojawiły się pierwsze nerwowe sygnały o potencjalnych przeciekach. Po kilku długich dniach pieszej wędrówki przez skalisty step ekipa dotarła na miejsce. Uznano, że to był idealny pomysł.

– Niby tutaj jest bezpieczniej niż w górach, ale proponuję, byśmy ustawili strażę. Każdy z nas będzie miał swój dyżur – powiedział Clifford.

– Oczywiście, panie premierze. Dzieci też? – zapytał Rubby.

– Tak. Liczy się każdy człowiek. Dopóki nie wróci Haris, jesteśmy zdani na łaskę tego przerażającego miejsca. Nie chciałbym, by stało się ono naszą zbiorową mogiłą.

– Jeden z nas powinien zostać na powierzchni. Musimy nasłuchiwać wiadomości o sytuacji w kraju. Tu, pod ziemią, nie działają komunikatory, niczego się nie dowiemy.

– Słusznie. Nie ma się co dziwić, że odpowiadał pan za kontrolę nad sprawami wewnętrznymi – powiedział Clifford i uśmiechnął się szczerze.

Straże zostały rozstawione. Uciekinierzy podzieleni na grupy zaszyli się w małych kryjówkach, namiastkach intymności. Obce miejsce, oszczędne światło, chłodny klimat, lekka wilgoć, strach o przyszłość. Takie odczucia towarzyszyły kilku schowanym pod ziemią rodzinom. Clifford zaproponował, by ich wyizolowana społeczność spotkała się na wspólnej, wieczornej konsumpcji. W Inco nie było takiego zwyczaju, ale na wygnaniu mógł się przydać. Kto chciałby siadać do symbolicznego stołu, by zjeść batona i popić go wodą? Nikt. Ale w tym nietuzinkowym miejscu, gdzie żaden z uciekinierów nie czuł się komfortowo, zapomniany rytuał mógłby na chwilę uspić czujność i dać wrażenie bezpieczeństwa oraz swego rodzaju jedności. Na miejsce wybrał jedną z przechodnich komór odkrywkowych. Kolacja trwała chwilę. Żadna celebracja, zwykle przeżuwanie. Bez słowa.

– Kiedyś to musiały być ciekawe czasy – powiedział Clifford. – Ludzie integrowali się przy stole pełnym jadła. Być może rozmawiali ze sobą, smakowali życie. Jednak już wiele pokoleń temu prawdziwe jedzenie, jak i związane z nim rytuały odeszły w niepamięć. Może warto do nich wrócić? – rozmarzył się.

Jego towarzysze zrobili tylko zaskoczone miny. Jakby nikt nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Wszystko przemija – kontynuował. – Czas biegnie jak oszalały i nie daje się okiełznać. Raz podjęte decyzje mają swoje konsekwencje w przyszłości. Nasze życie już nigdy nie będzie takie samo jak kiedyś. Nawet jeśli uda nam się przywrócić porządek w Inco, będziemy zmuszeni do zmiany.

– Haris, Haris przyjechał! – Słysząc było z oddali głos syna Rubby'ego. Pełnił w tej chwili rolę strażnika.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku jednego z wejść do komory. Najpierw długo nie było niczego widać, potem dobiegł ich odgłos niezbyt miarowych kroków. Po chwili zza skalnego ustępu wychyliła się głowa Harisa. Wyglądał na wycieńczonego. Podszedł bliżej, powłócząc tylko nogami.

– Dajcie mu jeść – zareagował Clifford.

Haris kiwnął głową, jakby chciał podziękować za zrozumienie. Nie miał siły niczego mówić. Ugryzł szybki kęs paszy i popił kilkoma łykami wody. Przeżuł i powtórzył czynność. Kiedy przełykał, poczuł na sobie wzrok zniecierpliwionych gapiów głodnych sensacji.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Clifford.

– Udało się – zaczął Haris. – Ae nas przyjmie i da nam schronienie.

– Uff, szantaż zadział. Uwierzyła? – zareagował Rubby.

- Ile nas to będzie kosztować? - zapytał Clifford, jakby chciał, by niewtajemniczeni nie poznali prawdy o Ae.

Haris zrozumiał jego intencję.

- Użyłem argumentów ostatecznych, ale tylko po to, żeby przekonać kapłankę. Ich Rada musi dostać coś, w co uwierzy. Oni nie potrzebują niczego oprócz technologii.

- Jak tam dotrzemy?

- Mam plan. A co z panem Goeffreyem?

- Przedziera się przez góry - odpowiedział Clifford. - Ruszamy o świcie. Teraz odpocznij, przyjacielu.

Haris kiwnął głową, dokończył batona, potem zjadł kolejnego. Powąchał swoje dłonie. Pachniały nieładnie, paszą. Imitacją, która nie przypominała jedzenia, choć dawała poczucie sytości. Rozwiązywała jedną z potrzeb egzystencjalnych. Ogołoconą z barw. W oczach człowieka, który nieraz widział, wachał, a nawet smakował prawdziwe jedzenie, baton regeneracyjny był jak widywany w biedniejszych domach Floris ascetycznie wykonany obraz, w zasadzie blejtram zamalowany tylko jednym kolorem. Haris nie mógł zbyt długo oddawać się rozmyśleniom na temat kulinarnych gustów, gdyż dopadła go czwórka dziewcząt i dwóch chłopaków. Dzieci w wieku od pół do półtora oczyszczenia miały masę pytań do jednego człowieka, który wrócił z zagranicy i uchodził za chodzącą encyklopedię wiedzy o nieznanym świecie.

Ostatecznie nie zdążył wypocząć. Całą noc opowiadał o kolorowych krajobrazach, roślinności, zwierzętach, a także zwyczajach ludzi z Floris. Oczywiście najwięcej uwagi poświęcił kuchni. Wbrew pozorom nie potępił wieśniaków za brak zainteresowania nauką i sportem, a także ich wiarę. Swą opowieść o zwyczajach społeczeństwa z sąsiedniej krainy oparł na różnicach kulturowych i tolerancji. Dzieci były zaskoczone. Pierwszy raz w ich towarzystwie nikt nie obrażał i nie krytykował mieszkańców sąsiedniego Floris. Słuchały historii Harisa z zapartym tchem. Kiedy tylko dawał znak, że kończy, bo wyczerpał dany temat, od razu pojawiała się kolejne pytanie. O świcie, kiedy zaplanowany był wymarsz, zaproponował - powołując się na swoje doświadczenie - by usunięto wszelkie dowody ich bytności w tym miejscu, tak na wszelki wypadek. Nikt go jednak nie posłuchał.

Haenry był niedocenianym członkiem rodziny Addama. Podobnie traktowano go w pracy. Kimberly Davis nie musiała długo się zastanawiać, który z dwóch najstarszych stażem pracowników, a zarazem kuzynów powinien zostać jej następcą na stanowisku Dyrektora Biura Badań Opinii i Nastrojów Społecznych. Postawiła na Addama, bo był sprytniejszy, choć mniej doświadczony. Jednak afera z ciężą przekreśliła jego awans. Nowa Minister Indoktrynacji Społeczeństwa musiała ostatecznie zrobić coś wbrew sobie i wybrać innego członka tego samego rodzinnego klanu. Jasmin bez trudu potrafiła sobie wytłumaczyć jej decyzję. Najwyraźniej awansowano Haenry'ego, żeby zawiedziony Addam nie podburzał pracowników przeciwko nowemu szefowi. Nie zrobiłby tego kuzynowi. „To było mądre posunięcie” - uważała Jasmin. Ale ten pomysł nie pasował jej z innego powodu, bazującego na prywatnych podstawach. Haenry był narzeczonym Luicey. Trudno było znieść tę zniewagę. Jasmin potraktowała to jak porażkę. Przegraną w wewnętrznej rywalizacji pomiędzy koleżankami. Wiadomo było, że Luicey, wiecznie zazdrosna o sukcesy Jasmin, będzie się puszyć. Odrąbi zwycięstwo tak głośno, że cała dzielnica będzie huczeć. Znały się na wylot, od

początku szkoły. Najpierw było cudownie. Wszystko robiły razem. Po jakimś czasie na horyzoncie pojawił się chłopak z bogatej rodziny, Addam. Obydwie za nim szalały, lecz on wybrał tę z białymi włosami. Randki we trójkę nie sprzyjały ani związkowi, ani koleżeńskim relacjom, dlatego pojawił się pomysł przyprowadzenia Haenry'ego, starszego, miedzianowłosego kuzyna ze strony matki o innym nazwisku Freejay. Zadziałało. Jasmin mogła odetchnąć. Po pierwsze pozbyła się przyzwoitki, po drugie w jakimś stopniu niechcianej rywalce. Sama nigdy nie związałaby się z tym konkretnie członkiem rodziny, ale Luicey Biedermann zachowywała się, jakby przeniosła się do innego świata. Poczula, że odmieniło się jej życie. To nie był związek z miłości, ale dotąd nieskażony uczuciem rozsądek. Dobrze zaplanowany projekt stworzenia rodziny. Z czasem Luicey polubiła Haenry'ego, choć Jasmin cały czas miała wrażenie, że jej koleżanka szukała w swoim mężczyźnie podobieństwa do Addama.

- Bierzemy ślub – oznajmiła Luicey, kiedy wpadła wieczorem niezapowiedziana do apartamentu Jasmin, a ich mężczyźni byli jeszcze w pracy.

- Fantastycznie – zareagowała z udawanym zachwytem Jasmin.

Była pewna, że będąca na fali sukcesu koleżanka czuła silną potrzebę zdominowania swoimi radosnymi wiadomościami zdołowanej, ciężarnej kobiety. Najwyraźniej nie miała litości. „Zawistna jęzda. Co ona sobie myśli?” – wściekała się Jasmin. „Że będę się cieszyć jej szczęściem? Mnie wali się świat, a ona...?”

- Gdyby Haenry nie awansował, tobyście nie brali ślubu? – zapytała z nutą ironii.

- Zapraszał mnie wielokrotnie do Szklanej Kopuły, ale skoro ma być tym dyrektorem, to wreszcie się zgodziłam.

- Cieszę się twoim szczęściem. A kiedy dzieci?

- Na pewno nie teraz. Haenry ma nowe obowiązki. W kraju tyle się dzieje. Zajście w ciąży w takim czasie byłoby aktem braku odpowiedzialności.

Luicey odgryzła się wyjątkowo celnie. Nie jak zwykle. Widać było, że jej pewność siebie otworzyła zakurzone zakamarki w sieci nieodwiedzanych od dawna neuronów w mózgu.

- Dziękuję ci, kochana. – Jasmin miała ochotę wyrzucić Luicey przez okno.

- Nie ma za co. Będziesz moim świadkiem na ślubie? Addam się zgodził. Już to sobie wyobrażam. My z przodu, wy za nami. Razem. Będziemy rodziną.

Jasmin nie mogła już słuchać tych bzdur.

- Wiesz, położę się. Za chwilę wraca Addam. Czeka nas trudna rozmowa. Muszę się zregenerować.

- Oczywiście. Te wasze kłótnie. Wszystko wiem. Opuść sobie z tą ciążą i wszystko się ułoży.

- No zobaczymy – odpowiedziała Jasmin i zamknęła drzwi za Luicey, lekko wypychając ją na korytarz.

Położyła się, choć wcale nie czuła się senna. Szybko wstała i zrobiła kilka nerwowych kroków. Była wściekła na siebie. Przez jej decyzję to wieloletnia koleżanka stanie się panią dyrektorową, nie ona. Męcząca kobieta zadusi ją teraz swoim szczęściem. „Dlaczego nie mogę się zdecydować?” – zastanawiała się. Musiał znaleźć się też winny. Padło na ojca. To Omar wykształcił w niej humanitarne podstawy. W tym momencie poczuła złość na całą swoją rodzinę, gdziekolwiek by była. Z niewiadomego powodu odrzuciła człowiecze podwaliny, w których była wychowywana. Wołała urodzić się w slumsach, w jakiejś patologicznej rodzinie lub nawet jako mieszaniec, wyrzutek społeczny, który za nic ma ludzkie życie, zasady czy

dobre serce. Dlaczego los obdarzył ją kręgosłupem moralnym i charakterną postawą nieznoszącą nacisku? Z bezsilności kopnęła w ścianę.

- Co się tu dzieje? - zapytał przekraczający próg apartamentu Addam.

- Dlaczego zgodziłeś się być świadkiem na ślubie Luicey?! - krzyknęła.

Addam nic nie odpowiedział, jakby nie chciał brać udziału w pyskówce. Przebrał się w nieformalną odzież i patrząc, jak żona wije się w męczarni swojej wewnętrznej wojny, zjadł jednego batona. Tylko ją rozjuszył lekceważącą postawą.

- Jesteś moim mężem czy nie?

- Co to za pytanie?

- Małżeństwa wspólnie ustalają takie rzeczy.

- Co ty mówisz? To mój kuzyn. Powinienem się ciebie pytać?

- Ja bym się zapytała.

- Napisz oficjalne podanie, czy możesz być świadkiem Luicey. Zastanowię się - zażartował.

- *À propos* oficjalnego pisma, kiedy dostanę odpowiedź w sprawie danych?

- Muszę zapytać nowego szefa, a on pewnie zapyta swojej narzeczonej.

Złośliwość tonu Addama tylko utwierdziła Jasmin w tym, że nie chce mieć z nim dzieci. „Dziękuję ci, nieczuły mądralo. Pomogłeś mi podjąć decyzję. Usunę ciężę, a potem się z tobą rozwiodę” - powiedziała w myślach, odwróciła się na pięcie i poszła spać.

Nazajutrz rano, kiedy Jasmin się obudziła, obok jej łóżka leżała błękitna teczka. Zaciekawiała ją. „Czyżby Addam coś zostawił przez przypadek, czy może zrobił to celowo? A zresztą to nie ma znaczenia” - pomyślała. Postanowiła zajrzeć do środka. Był to raport, na który czekała. Na pierwszej stronie widniał napis: „Tajne. Kopiowanie i kolportowanie zabronione pod groźbą pozbawienia wolności”. Nie zamierzała trwonić ani jednej sekundy w łóżu. Ubrała się szybko i niczym na skrzydłach udała do swojej pracy. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy Agness doceni jej starania. Bardzo potrzebowała ciepłych słów. Po drodze minęła cztery blokady humanów gardy. Tym razem nic jej nie zdenerwowało. Do jednego z robotów nawet się uśmiechnęła. Dobrze, że jego oprogramowanie nie przewidywało takich przypadków i nie odebrał tego jako podejrzanego zachowania rozentuzjasmowanej wariatki, która prawdopodobnie ma coś na sumieniu. Agness przywitała ją w drzwiach. Chłodno. Miała zaskoczoną minę, jakby Jasmin wyjęła jej asa z rękawa.

- Dziś jesteś przed czasem - zauważyła.

- Nie mogłam usiedzieć w domu. Muszę zająć się koncepcją - powiedziała Jasmin i wskazała na trzymany w dłoniach raport.

- Masz dane?

- Mam.

- Doskonale. Pokaż.

- Pomyślałam, że przygotuję prezentację i wtedy wspólnie ją prześledzimy. - Jasmin wietrzyła podstęp.

- Wiesz, bo jest taka sprawa... - Agness wiła się jak piskorz. - Ten temat będzie jednak kontynuować Katterina. Przekaż jej swoje notatki.

- To mój projekt. Potrzebuję go. Tylko ja mam niezbędne dane. Co jest z wami wszystkimi? - oburzyła się.

- Sama rozumiesz.

- Cięża to nie choroba! Mogę pracować.

- Już nie. Wczoraj przyszły nowe dyrektywy. Jesteś na niewłaściwej liście.

- Zwalniasz mnie?
- Bardzo żałuję, ale...

Agness zagryzła usta i bez słowa weszła do swojego gabinetu. Jasmin zastygła z raportem w dłoni. Nie wiedziała, czy powinna od razu pójść za szefową, czy poszukać spokoju w jakimś odosobnieniu i wrócić silniejsza. Niezbyt długo się wahała.

- Jak możesz mi to robić po tym, co przeszliśmy?! - wydarła się tak, jakby chciała, by usłyszano ją w promieniu trzystu łokci. - Nic dla ciebie nie znaczą moje sukcesy? Kto ci teraz zaplanuje kampanię?

- Uspokój się, bo...
- Bo co? Bo wezwiesz gardę? Na mnie?
- Jasmin, czy mogę cię prosić do mojego gabinetu?

Kiedy wchodziła, na biurku leżały dokumenty do podpisu: wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym oraz dyspozycja przelewu. Ten drugi dokument zastanowił ją. Zaczęła pobieżnie czytać. Zauważyła to Agness.

- Dostaniesz odprawę, ale żeby nie wsiąkała w czeluściach blokady, przelejemy ją na konto twojej matki. Tylko tak mogę ci pomóc.

Szefowa uśmiechnęła się krótko, lecz szczerze i podsunęła obydwa dokumenty bliżej krawędzi biurka.

ROZDZIAŁ 10.

Porwanie

Pirna, najbardziej oddana służka Najwyższej Kapłanki Wszechziemi, od samego rana zachowywała się podejrzanie. Kiedy nalewała swojej pani mleko do codziennej kąpieli, rozlała jego sporą część na podłogę. Choć wyjątkowo długo i mozolnie później ją szorowała, tłusta plama niechętnie dawała się usunąć. Ae odnotowała ten niecodzienny widok krzątającej się jak w ukropie dziewczyny. Zastanowiło ją to. Nadal od chwili trudnej rozmowy z Harisem była czujna i podejrzliwa. Od razu wydała wyrok. Uznała, że służka coś knuje. Tylko co? Wtedy przypomniała sobie, że Jusif dobrze się o niej wypowiadał, kiedy ją rekomendował. Że taka pracowita i oddana. Ona z kolei często się do niego uśmiechała. Kapłanka szybko powiązała fakty.

- Czy wiesz, gdzie jest Jusif? - zapytała.

Pirna drgnęła delikatnie, jakby to pytanie trafiło w sam środek jej niepokoju.

- Nie wiem, pani. Sama się zastanawiałam, co się z nim stało.

- Przypomnij mi, gdzie się poznaliście.

Pirna zdała sobie sprawę, że jeżeli skłamię i dowie się o tym kapłanka, jej chwile będą policzone. Z kolei jeśli powie prawdę, sprowadzi gniew swojej pani nie tylko na siebie, lecz także na całą swoją rodzinę. Albo ze strony Ae, albo Jusifa - ktoś z nich będzie czuł się oszukany. Obydwa warianty wiązały się z ponurym zakończeniem jej pobytu na tym świecie. Wybrała wersję, która pozornie dawała więcej czasu.

- Mówiłam ci, pani, że wychowywałam się w biednej rodzinie.

- Wiem. Często nie mieliście co jeść, gdyż twój ojciec zmarł, kiedy byłaś mała, a matka nie przyjęła żadnego z zalotników.

- Tak. Było nas ośmioro. Pewnego poranka przez osadę, w której mieszkałam, przejeżdżał Jusif. Wraz z siostrami zajmowałam się praniem szat bogatszych rodzin nad brzegiem rzeki. Miałam wtedy półtora oczyszczenia. Byłam dobrze rozwinięta, jak na ten wiek. Chyba wpadłam mu w oko. Zaproponował mamie, że kupi mnie za sto szarych kamieni. Zgodziła się bez wahania.

- Czy Jusif kiedykolwiek cię skrzywdził? - zapytała Ae, choć nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Mówił, że to dla mojego dobra, więc chyba nie. Byłam jego własnością. Mógł robić ze mną, co zechciał. Kiedy mu się znudziłam, przyprowadził mnie tutaj, pani.

Kapłanka nie była do końca przekonana, czy ta niebrydyka dziewczyna mówi prawdę. Znała Jusifa i wiedziała, że gdyby się kimkolwiek znudził, raczej nie oddałby go nikomu w prezencie. Prędzej by się go pozbył. Kiedy Ae poznała go dwa oczyszczenia wcześniej, był zwykłym zawiadkiem. Dostawał od niej zlecenia, które wyniosły go na szczyt finansowy, lecz nigdy nie wyzbył się swego wrednego charakteru bandziora. Wiele przeszli razem.

Jusif był wyjątkowo przydatnym draniem. Potrafił załatwić wszystko, dowiedzieć się o najbardziej skrywanym tajemnicach, zabić najbardziej niewygodnego świadka czy wymusić

na prawych ludziach niegodne zachowanie. Był mistrzem w swoim łajdaczym fachu. Imponował Ae. Nawet myślała, że go lubi. Teraz mocno się na nim zawiodła. Kiedy potrzebowała go, by pomógł jej rozwikłać siatkę agentów z Inco, on nagle zniknął. Jakby wiedział, czego ona mogłaby od niego oczekiwać. Wyraźnie nie chciał wykonać takiego zadania. Jakby był w to wpłątany albo był częścią wielkiego szwindlu, który w oczach żądnej władzy kapłanki zataczał coraz szersze kręgi.

Kiedy się poznali, na początku mu nie ufała. Pojawił się znikąd. Sam zaproponował, że będzie dla niej pracował. Wtedy była jeszcze uczennicą. Niedoświadczoną, nieopierzoną przyszłą kapłanką, która była łasa na pochwały i wizję kariery. Nie wyczuła złych intencji. Nie spodziewała się też, że z jego pomocą osiągnie tak wiele. Była przekonana, że to siła ich tandemu. Jej sprytu i przebiegłości oraz jego bezwzględnej i skutecznej natury. Zawsze hojnie go wynagradzała, choć nie musiała. Zadania, które od niej otrzymywał, wykonywał z pasją. Jakby były pokarmem dla jego duszy. Uwielbiał szpiegowanie, donoszenie, przekupywanie, kradzieże, a szczególnie eliminację jej wrogów. Robił to za każdym razem inaczej. Żeby nie było nudy. „Jak on się uchował? Nikt nie ma pojęcia o jego prawdziwej tożsamości” – zastanawiała się wielokrotnie. Otoczenie Najwyższej Kapłanki Wszechziemi uważało go za kupca, który od czasu do czasu przywoził jej ulubione zapachy, mazidła czy smakołyki. A tak naprawdę przyjeżdżał, żeby zaraportować wykonanie zlecenia i otrzymać nowe. Przy okazji donosił, co się dzieje w dalekich zakątkach Floris, a także w sąsiednim Inco. Posiadał swoich informatorów, niemało im płacił, ale sprzedawał uzyskane od nich rewelacje swojej kapłance za dużo wyższą cenę. To było wzajemne uzależnienie.

W tym momencie Ae zdała sobie sprawę, że tylko Pirna знаła prawdę na temat Jusifa i sporo wiedziała na temat jej prywatnego życia. To była dosyć niewygodna wiedza, jak dla tak nierozgarniętej dziewczuchy. „Gdyby faktycznie pochodziła z biednej rodziny, skąd wiedziałyby, co można powiedzieć, a czego nie powinno się nawet pomyśleć?” – rozważała Ae. Kapłanka nie wierzyła w talent służki do dyplomacji ani w jej wrodzoną skromność, cechy, które ewentualnie mogłyby wesprzeć tę dziewczynę w lojalnej posłudze. Dopiero teraz wszystko zaczęło układać się w całość. Kapłanka wściekła się na siebie w myślach. Jak mogła być tak naiwna? Dlaczego do tej pory nie dostrzegła potencjalnego zagrożenia, jakie niosła ze sobą ta lekkomyślna, wzajemna zażyłość? Zaufała Pirnie, bo ufał jej Jusif. Ale czy jemu warto było uwierzyć? Wiadomo już było, że nie do końca. Ae zdała sobie sprawę z kolejnej niewygodnej kwestii. Pirna była kilkakrotnie świadkiem, jak Jusif przyprowadzał nocą mężczyzn do komnaty kapłanki. Potajemnie. To ona pomagała mu tak to załatwić, by nikt nie miał świadomości prawdziwych intencji tych wizyt. Nawet ten wścibski Kifor, który kręcił się cały czas w pobliżu niby z troski.

– Kiedy ostatni raz dzieliłaś łóżko z Jusifem? – zapytała zniecierpliwiona kapłanka.

Pirna spuściła wzrok. Ae nie miała już żadnych wątpliwości. To celne pytanie utwierdziło ją w tym, że dziewczyna od początku pracowała nie dla niej. Najwyraźniej była nałożnicą Jusifa, a także szpiegiem, który podczas jego nieobecności śledził każdy jej ruch. Ae machinalnie pomyślała, że pora wezwać Jusifa, by ten jak zwykle dobrze załatwił sprawę. Szybko jednak przypomniała sobie, że jej nadworny czyszciciel problemów jest nieobecny i okazał się zdrajcą. Nawet rozbawiła ją ta myśl.

Służka zaczęła płakać. Choć wyglądało to na odwrócenie uwagi, Ae znowu skierowała swój wzrok na tustą płamę po mleku. Nie chciała brać udziału w tym spektaklu, lecz przeczekać, aż dziewczyna się uspokoi. W myślach rozrywała ją na strzępy. Kiedy Pirna upewniła się, że

kapłanka jej nie widzi, drżąc dłońią wytarła jedną z łez. Sięgnęła do małej kieszeni, z której wyjęła ampulkę. Ostatni raz zerknęła w kierunku Ae, pospiesznie wyjęła zatyczkę i wychyliła zawartość. Kiedy kapłanka zorientowała się, że nie słycać już płaczu, odwróciła się. Zobaczyła Pirnę leżącą na kamiennej podłodze. Z jej ust wydobywała się mieszanina spienionej śliny i krwi. Wyglądało na to, że dziewczyna uwolniła ją od kłopotu. A może była początkiem kolejnego? W każdym razie dość szybko odeszła do Patri.

Zwierzęta przebywające w stajni Fahida od świtu były niespokojne. Ich pochrapywanie narastało, z każdą chwilą stawało się coraz bardziej nieznośne. Pierwsza, nawet przed ojcem, obudziła się Sumi. Nie chciało jej się wychodzić z łóża, w którym spała z niewiele młodszą Tamadur. Szturchnęła siostrę, dając znak, że dziś jej kolej. Nie pomogło, więc dźgnęła ją kciukiem pod żebro.

- Aua! - zareagowała Tamadur.

- Sprawdź - odrzekła krótko i dała znak, by siostra wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające ze stajni.

- Źle się czuję, obudź Adilę.

Sumi wiedziała, że to nie jest zadanie dla dopiero trzeciej w kolejności córki gospodarza. Chwilę biła się z myślami, lecz chrapanie zrobiło się wyjątkowo uciążliwe.

- Poszłabym za ciebie, ale będziesz miała u mnie kolejny dług. No i musiałabym powiedzieć ojcu, że się wymigujesz.

- Idę, ty jędz.

Sumi uśmiechnęła się do swoich myśli i zakryła narzutą, by zniwelować odgłosy. Tamadur włożyła sandały i mrużąc oczy, wyszła na zewnątrz. W tym czasie z pomieszczenia dla najmłodszych dzieci zaczęły docierać coraz głośniejsze odgłosy gaworzenia. To Malik z Hassanem. Nawet jeśli którykolwiek z członków rodziny nie obudziłby się z powodu odgłosów zwierząt, z pewnością szczebiot tych dwóch pociech postawiłby na nogi każdego. Po chwili cały dom ożył. Już nikt nie miał świadomości, że przed chwilą słycać było tylko zwierzęta. Rodzina skutecznie zagłuszała odgłosy dobiegające ze stajni.

Fahid był obdarzony wyczulonym słuchem, lecz na nic mu się zdała ta cecha w ogólnym rwetesie. Postanowił wyjść z pomieszczenia sypialnego i podejść bliżej drzwi wejściowych. Kiedy wszedł do przechodniej kuchni, jego oczom ukazał się niecodzienny widok. Przy stole siedział nieproszony gość. To Kadu. Czekał, aż wszyscy się obudzą. „Kiedy wszedł?” - głowił się gospodarz. Kapłan zachowywał się dziwnie, jak nie on. Nigdy nie wchodził do domu nieproszony, nie pojawiał się o świcie, a tym bardziej nie zajadał się nieczystowany. Mina Fahida mówiła wszystko. Mimo że spodziewał się tej wizyty, poczuł się zaskoczony.

- Dzień dobry, przyjacielu - powiedział Kadu.

- Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? - zapytał Fahid najgłośniejszym, jak potrafił.

Rita, leżąca jeszcze w łóżu, zrozumiała sygnał od męża. Chciała, by ta chwila, w której ukrywa się przed kapłanem w sypialni, trwała jak najdłużej. Prawie bezszelestnie weszła do pokoju maluchów i pokazała im palcem, by zamilkły. W mig w domu nastąpiła totalna cisza.

- Przybyłem po twoją córkę. Dostałeś zaproszenie?

- Tak. Wybacz, ale nie skorzystamy z tego dobrodziejstwa. Sumi będzie uczyła się na pieśniarkę.

- Kapłanka będzie zawiedziona. Nie chcemy sprawiać jej bólu, prawda? Prosiła mnie, bym zajął się tym osobiście. Nie znasz gniewu Ae.

- Mamy tylko dziesięcioro dzieci, a siostra żony ani jednego. Sam rozumiesz. Ktoś musi zostać na gospodarstwie i u nas, i u teściów.

- Skoro najstarsza córka jest dla ciebie ważna, oddaj inne dzieci i jakoś to wytłumaczę.

W tym momencie Sumi przypomniała sobie, że wysłała siostrę do stajni. „Czy dotarła na miejsce? Co będzie, jak wróci?” – zastanawiała się. W głowie tej małej dziewczynki kłębiły się same złe myśli.

- Nie oddam ani jednego dziecka, kapłanie – powiedział Fahid.

- Tamadur, tak ma na imię jedna z twoich córek? – zapytał Kadu, mrużąc ślepią.

Fahid pokiwał głową. W jego myślach walczyły ze sobą niepokój z niedowierzaniem i chęcią unicestwienia bezczelnego gościa.

- Może być Tamadur. To jeszcze dwoje i będzie w porządku.

- Tamadur! – zawołał córkę Fahid.

Na twarzy Rity nasłuchującej z sąsiedniego, dziecięcego pomieszczenia pojawiło się przerażenie.

- Tamadur! Gdzie ona jest? – zapytał gospodarz.

W odpowiedzi usłyszał tylko pochrapywanie zwierząt. Fahid rzucił się z rękami na Kadu. Ścisnął go za szyję i zaczął dusić.

- Hara! – Kadu zdążył krzyknąć tylko raz, potem jego głos uwiadł w gardle.

Nagle otworzyły się drzwi i w kuchni znienacka pojawiła się wojowniczka.

- Puść go – zabrzmiał jej prawie męski głos.

Fahid zobaczył uzbrojoną po zęby i wyglądającą jak upiorny morderca koszmarną postać, jakiej nie chciałby ujrzeć nawet w snach. Szybko uwolnił kapłana. Ten tylko wzruszył nonszalancko ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takie jest życie. „To ma być kapłan?” – pomyślał gospodarz.

- Jeśli nie oddasz po dobroci, weźmiemy siłą. Jeszcze dwójka. I nie dyskutuj. – Kadu był nieprzejednany.

Nagle do kuchni weszła Sumi.

- Zgadzam się. Pójdę z wami, ale oddajcie Tamadur.

- Pięknie, moja panno – ucieszył się kapłan.

- Co pięknie? – Hara była wyraźnie zawiedziona.

Liczyła na małą rozróbę, a tu takie szczęśliwe zakończenie. Nagle z sąsiedniego pomieszczenia rozległ się płacz Rity. Fahid przez chwilę powstrzymywał wybuch emocji, lecz poddał się. Również uronił łzę. Jego dusza wyła z bólu. Spojrzał na córkę i nie mógł pogodzić się z myślą, że ją straci.

- Przyrowadź tamtą dziewczynkę! – krzyknął na cały głos Kadu.

Po chwili w drzwiach pojawiła się Nate. Fahid zbladł. Wyglądająca na drapieżnego stwora ni to kobieta, ni mężczyzna, jedną ręką trzymała przerażoną Tamadur za włosy, drugą knebłowała jej usta. Fahid w błagalnym geście rzucił się do nóg oprawczyni swojej córki. Tylko ją to rozbawiło. Wyglądała na szczęśliwą z powodu władzy, którą dzierżyła w łapach – niewinne dziecko. W przeciwieństwie do Hary. Tej nic się nie podobało. Ani to, że partnerka puszyła się, jakby była panią życia i śmierci. Ani to, że wszystko się skończyło w tak nudny sposób i nikogo nie pozbawiła życia. A przecież miała na to ogromną ochotę.

Kiedy Hara skuwiała Sumi, Nate wypuściła Tamadur. Dziewczynka natychmiast rzuciła się w objęcia ojca. Fahid przycisnął ją najmocniej, jak potrafił, jakby chciał szczepić się z córką, by nigdy się nie rozstali. Po chwili do kuchni weszła Rita, a za nią pozostałe dzieci. Wszyscy zaczęli się tulić. Fahid wyszedł na podwórko, by pożegnać Sumi. Dziewczynka właśnie wsiadała do małego, dwukołowego wozu. Odwróciła się na chwilę i uroniła łzę. Wiedziała już, że jedzie na spotkanie z nieznanym, złym światem. Fahid czuł, że traci część siebie.

Nagle z zagrody rozległy się wrzaskliwe odgłosy.

– Okurai rodzi! – krzyknęła Tamadur.

Fahid długo nie reagował. Myślni był przy swojej ukochanej córce, która udawała się na wieczne potępienie. W dodatku w asyście złych ludzi. Niczego nie mógł zrobić. Czuł się słaby.

Nagle z transu wyrwała go Rita. Szarpnęła go za ramię, jakby chciała, by skupił się na tym, co teraz najważniejsze, i odrzucił wszystkie złe myśli. Fahid przetaił twarz dłońią. Poczłł, że jest gotowy. Pobiegł w kierunku zagrody, gdzie był brzemienny okurai. Głaskaly go wszystkie dzieci. To bledne stworzenie ledwo utrzymywalo się na trzęsących się nogach. Miało zaropiałe oczy i wydawało przeraźliwe odgłosy. Jego ogromny brzuch wygładał, jakby za chwilę miał pęknać. Pozostałe zwierzęta przetrzymywane w stajni pochrapywały i gwizdały tak głośno, jakby współodczuwały i chciały dodać mu otuchy. Fahid zajązał pod grzbiet zwierzęcia. Widać było, że jest prawie gotowe do porodu. Jego skóra tuż pod piersiami obkurczyła się i rozeszła na boki, odsłaniając otwór w klatce piersiowej w kształcie elipsy. Z otworu kapaly krople lepkiego płynu.

– Za mała szczelina – ocenil Fahid.

– To co się teraz stanie? – zapytala zatroskana Adila i chwycila matkę za rękę.

– Trzeba naciąć – powiedział ojciec.

Rita wysłała mężowi karcące spojrzenie. Szybko zrozumiał swój bład i wyprosil z zagrody najmłodsze dzieci. Wszak nie musiały tego widzieć. Zostały tylko Rita, Tamadur i Abdul. Młodsze rodzeństwo w zasadzie skupiało się teraz bardziej na tym, że za moment ten biedny okurai będzie rozcięty, niż na tym, że dosłownie chwilę wcześniej straciło siostrę. Abdul podał ojcu mały, zaokrąglony scyzoryk. Fahid dotąd nigdy tego nie robił. Widział kilkakrotnie, jak taką operację przeprowadzał jego ojciec. Przez chwilę pomyślał, że chętnie oddałby to zadanie komuś innemu. Spojrzał na Abdula, licząc na wsparcie. Syn kiwnął tylko głową, jakby chciał dać mu część swęj siły. A przecież posiadał jej tak niewiele. Był tylko słabym chłopcem w wieku ledwie półtora oczyszczenia. Fahid poczuł, że chłopiec oddał mu to, co akurat w tym momencie było potrzebne. Jednym ciachnięciem naciął skórę zwierzęcia. Okurai wierzgnął i zaryczał z bólu. Z rany natychmiast trysnęła żółtawa krew. Po chwili eliptyczny otwór rozwarł się bardziej i pojawiła się w nim główka maleństwa. Przecisnęło się przez otwór i spadło na kępę słomy z łodyg dirszy. Okurai zerknął na malca i wydał czule brzmiały odgłos. Po chwili z otworu wyjrzała kolejna główka. Rita uśmiechnęła się do męża. Złapała go za rękę i ścisnęła mocno. Kiedy Tamadur wycierała pierwszego malca miękką suchą szmatką, na świat wychodziły kolejne. Wszystkie identyczne. Wygładały jak miniatarki okurai, ale nie miały jeszcze bladoburej sierści.

Po szczęśliwie zakończonym porodzie czternastu okurai Fahid postanowił wybrać się na krótki spacer. Nie chciał, by ktoś mu towarzyszył. Rita niechętnie spuszczała go z oczu. Wolala, by z nią omawiał wszystkie swoje obawy. On jednak tym razem nie potrafił się nimi dzielić. Kiedy wrócił, wygładał na zupełnie innego człowieka. Zobaczyła w nim moc, jaka nigdy wcześniej mu nie towarzyszyła. Jego siła udzieliła się Ricie. Pogłaskała go czule po

ramieniu, czym zawsze oznajmiała, że bez względu na to, co się wydarzy, ona go kocha i ufa mu bezgranicznie. Uśmiechnął się do niej delikatnie i wezwał najstarszych synów. Tamadur przez chwilę zastanawiała się, co ojciec zamierza zrobić. Z pewnością było to coś innego, niż czynił do tej pory. Postanowiła zapytać, lecz szybko ją zbył. Fahid zapakował sporo narzędzi na mały dwukołowy wózek. W tym czasie Abdul zaprzął do niego dwa najszybsze okurai, Ragir zaś przyturlał sporą szpulę z przędzą wykonaną z latających zwierząt raidi.

Goniec, który przekazał informację o pomyślnym zakończeniu misji Harisa, został przyjęty po królewsku. Wielu kapłanów dziwił ten fakt, lecz nikt z nim nie zamierzał dyskutować. Wszak to była decyzja Najwyższej Kapłanki Wszechziemi. Niejedyna tak szalona. Na wszelki wypadek wysłała również drużynę najdzielniejszych żołnierzy i kilku najsprytniejszych purpuratów w kierunku wodospadu Pinati. To właśnie stamtąd mieli eskortować przybyszów z Inco. Dostali wyraźne polecenie. Nikomu nie mógł spaść włos z głowy. Kiedy mieli dotrzeć do Patrix, Ae była niespokojna. W jej głowie kłębiły się sprzeczne myśli. Z jednej strony niepokoiła ją wizyta władców sąsiedniego kraju, wszak wiedzieli bardzo dużo, z drugiej jednak strony miała ochotę znów spotkać Harisa. W dodatku musiała udawać przed Radą, że to konieczna przysługa.

Po kilku dniach delegacja dotarła na miejsce. Bez zbędnej zwłoki zorganizowano krótkie powitanie. Ze strony Inco wzięło w nim udział tylko trzech oficjeli: premier Clifford, Minister Spraw Wewnętrznych Rubby oraz Haris. Po drugiej stronie wielkiego stołu zasiedli Ae, Kifor, Ali Ude i kilku ze starszyny. Ich nastawienie nie prezentowało się przyjaźnie. Raczej wyglądali na ciekawych.

- Dziękujemy ci, pani, za gościnę - zaczął Clifford. - Nasza sytuacja jest dosyć skomplikowana.

- Jak liczebna jest wasza delegacja i jak długo zamierzacie tu przebywać? - zapytał bezceremonialnie Ali Ude.

Ae spojrzała na niego z wyrzutem. Nic sobie z tego nie zrobił.

- Razem z rodzinami jest nas trzydzieścioro - odpowiedział Clifford. - Wierzymy, że w ciągu dwóch miesięcy uporamy się z naszymi problemami i będziemy mogli bez trudu wrócić do Inco.

- Zamieszkacie we wschodniej ćwiartce - powiedziała Ae. - Niedaleko od Patrix, a zarazem dość blisko granicy. Jest tam mała osada, w której będziecie bezpieczni. Na czas pobytu dostaniecie ochronę, a także to, czego będziecie potrzebować. Niech pan powie moim braciom, dlaczego musieliście uciekać.

Clifford westchnął głęboko. Chwilę się zastanowił, co może, a czego nie powinien mówić. Uśmiechnął się sztucznie i zaczął swą opowieść, zwracając się do Ali Udego.

- Od wielu oczyszczeń spada liczba rodzących się chłopców. Społeczeństwo uważa, że to wina Rządu. Nie mamy aż takiej władzy - zażartował.

- To wina waszych bezdusznych technologii. Może to czas, byście zawierzili Patri? - przerwał mu Namali, jeden ze starszych kapłanów.

- Nie oceniamy. Niech każdy ma szansę zdecydować, co jest dla niego najlepsze. - Ae nie miała ochoty na polemikę, z której i tak nic by nie wynikło. Zerknęła w kierunku Harisa.

Dostrzegł to. Przez chwilę wymieniali się spojrzeniami.

- Chciałbym jeszcze prosić o doprecyzowanie, czego możemy oczekiwać w zamian za naszą pomoc. - Kifor nie wyglądał na zainteresowanego, lecz chciał poczuć się przydatnym.

- Dobrze, że pytasz - wznowił wypowiedź Clifford. - Mamy dla was coś bardzo cennego. Do tej pory korzystaliście z naszych maszyn czy technologii w bardzo ograniczonym zakresie. Przywozimy wam kilka ważnych wynalazków, a także wiedzę, jak z nich korzystać. Mój brat Goeffrey jest cenionym inżynierem. Dołączy do nas później, gdyż przekroczenie granicy pojazdem transportującym potrzebne narzędzia i zapas pożywienia zajęło mu więcej czasu niż nam. Powinien dotrzeć do Patrix za dwa, trzy dni. Będziecie mogli liczyć na jego pełną pomoc.

Pokonanie granicy pomiędzy Inco i Floris w zasadzie w obydwu kierunkach nie było aż tak wielkim wyzwaniem dla przeciętnego człowieka. Niemniej jednak poza przygranicznym handlem ludzie w zasadzie tego nie czynili. Od zarania dziejów Rząd Inco skutecznie odradzał mieszkańcom swojego kraju turystykę zagraniczną z uwagi na czyhające tam niebezpieczeństwa. Mnogość chorób, trudność w zdobyciu pokarmu oraz dzikość mieszkańców opętanych religią były wystarczającymi argumentami. Podziałało. Nawet wtedy, kiedy UKP wprowadziło nakazy aborcyjne czy odbierano kolejne przywileje społeczne, nikt nie myślał o emigracji. Według ludzi żyjących w Inco największa kara ze strony Rządu była niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem czyhającym we Floris. Bywali tacy, którzy chcieli się przekonać naocznie, czy Rząd mówił prawdę. Ci, którzy wrócili, a była to zaledwie garstka, już do końca życia stawali się wyznawcami prawd głoszonych przez władzę. Opowiadali, ile zła czai się w kolorowej krainie, począwszy od insektów, chorób, robactwa, zwierząt, śmiertelnych roślin, przerażających kapliczek różnych lokalnych bóstw czy zapachu pożywienia, który wywoływał niespokojne uczucie głodu. Nie wspominając o ludziach, którzy w oczach mieszkańca Inco byli, najdelikatniej mówiąc, dziwni.

Dokładnie odwrotnie zachowywano się we Floris. Hierarchowie Kościoła stali się czujni po tym, jak na początku świata poszukująca wiedzy część społeczeństwa oddzieliła się od Wszechziemi i na miejsce nowego życia wybrała południową ćwiartkę, niezbyt żyzną, pełną skalistych stepów i skał krainę otoczoną nieprzejezdnym, ciągnącym się wzdłuż granicy pasmem górskim. Władze Kościoła zbagatelizowały wtedy ten fakt, bo kto chciałby mieszkać na takim odludziu. Po pewnym czasie zauważono, że ludzie żyjący w południowej ćwiartce nie wracali. Widocznie dało się tam żyć, a być może nawet było lepiej. Sama świadomość, że kolejnym mieszkańcom może spodobać się nowe, inne życie, wywołała lawinę pomysłów, jak okiełznać ciekawski naród. Właśnie wtedy powstał zbiór zasad, raczej zakazów, które – jak się później okazało – stworzyła sama Patri. Ustanowiono też dekalog, czyli listę grzechów śmiertelnych, karanych spaleniem na stosie całej rodziny. Najcięższymi z nich były między innymi: pobyt za granicą bez zgody władz kościelnych, łączenie się w pary mieszane, to znaczy z osobnikami z sąsiedniego kraju, zażywanie nienaturalnych lekarstw pochodzenia zagranicznego, uprawianie niewłaściwych, zagranicznych dyscyplin sportu, a także herezji, czyli gloryfikowania nauki kosztem wiary. Rola kapłanów została rozszerzona. Już nie tylko byli przedstawicielami religii, lecz także zaczęli kontrolować nastroje społeczne i życie ludzkie zgodnie z dekalogiem. Stali się przedstawicielami władzy wykonawczej. Efekt wprowadzenia nowych zasad przerósł najśmielsze oczekiwania. Z czasem tylko je rozwijano w celu dostosowania do aktualnych na dany moment potrzeb. Przez wiele oczyszczeń obydwu ośrodków władzy skutecznie zniechęcili ludzi do migracji, choć na najwyższym poziomie utrzymywały ze sobą nienaganne stosunki. Czasem wręcz przyjacielskie.

Zupełnie inaczej rzecz się miała w przypadku pozostałych żywych stworzeń. Przez wiele er od początku świata, pomimo zakazu dla ludzi, w obydwu kierunkach wędrowały zwierzęta. Kiedy Rząd Inco zaczął skutecznie się ich pozbywać na swoim terenie poprzez zabetonowywanie kolejnych niezbyt żyznych roślinnych arealów, tylko owady, gryzonie i ptaki stały się ostatnim bastionem fauny. Z nimi poradzono sobie chemicznie, bo przenosiły choroby. Pozostał problem niekontrolowanej migracji zwierząt z Floris. Dlatego wiele oczyszczeń wcześniej Rząd Inco postanowił skutecznie się odgradzić. W tym celu zamontowano w rzece Ethne siatki o drobnych oczkach, przez które nie mógł się przedostać nawet słodkowodny plankton. Poza tym jeszcze na terenie Inco, tuż przed pasmem górskim, wybudowano energetyczne zasieki. Z łatwością blokowały one przedostawanie się wszelkich gatunków owadów, zwierząt i ptactwa na teren kraju. Pierwszą pułapkę stanowią wysoki na dwa łokcie energetyczny płot. Nie pozwalał przejść zwierzętom chodzącym po ziemi, szczególnie szybko rozprawił się z gryzoniami i owadami. Drugą, niezależną, oddaloną kilka łokci od płotu, zdecydowanie skuteczniejszą formą ochrony, było świetliste ogrodzenie sięgające chmur. Broniło ono dostępu ptakom, gdyż po zderzeniu z jego polem energetycznym natychmiast spalały się na popiół. Miało kształt nakładających się na siebie świetlistych ścian. Z góry wyglądały jak prowizoryczny labirynt, trudny do przekroczenia przez ptactwo, lecz łatwy dla człowieka, który musiałby go ewentualnie pokonać. To właśnie dzięki tym zasiekom Inco stało się czystsze. Jeśli jednak któryś z przedstawicieli gatunku ludzkiego zapragnąłby lub musiał przekroczyć granicę, nie miałby problemu z pokonaniem tego specyficznego toru przeszkód. Wystarczyło obejść poszczególne ściany labiryntu i przejść ponad płotem, na przykład stosując rozkładaną drabinę. Po przejściu przez zasieki wystarczyło niezauważenie przepłynąć przez rzekę Ethne blisko wodospadu Pinati. Oczywiście tego miejsca pilnowały straże graniczne obydwu państw, ale często przymykały oczy na pojedyncze incydenty dotyczące okolicznych mieszkańców trudniących się przygranicznym handlem. Większy problem stanowili przemytnicy. Oni pokonywali rzekę pod wodą, pojedynczo. Delegacja Rządu Clifforda w obawie przed rozpoznaniem przekroczyła granicę w zupełnie inny sposób. Pod wodospadem Pinati był wydrążony tunel, którym przedostawali się szpiedzy, a kiedyś także szmuglowano wszelkie dobra. Prawie nikt we Floris o nim nie wiedział. To właśnie tamtędy przeszła delegacja Rządu wraz z rodzinami. Eskortował ich Haris. Robił to pierwszy raz. Bardzo się denerwował, czy nie zostaną zauważeni. Goeffrey, brat premiera, najpierw musiał rozebrać maszynę transportową na kilkadziesiąt mniejszych części, pokonując góry, by po przejściu przez tunel zmontować ją z powrotem na terenie Floris. Dlatego zajęło mu to więcej czasu.

Okurai Fahida ciągnące dwukołowy wóz do szybkiego przemieszczania się gnały pomiędzy plantacjami durszyny w kierunku Patrx. Woźnica wcale nie musiał ich popędzać. Dobrze je nakarmił przed podróżą, tryskały mnóstwem nieokiełznanej energii. Zresztą były nadal bardzo pobudzone po porodzie jednego z osobników tego samego gatunku. Czuły z nim więź, która tylko dodawała im skrzydeł. Po drodze do stolicy pierwszym przystankiem była osada Litrijis. Tutaj Fahid zamierzał napić zwierzęta, ale też upewnić się, że eskorta jego córki Sumi, czyli Kadu oraz dwie przypominające mężczyzn wojowniczeki, przejeżdżała właśnie tędy. W tym celu udał się do centrum osady. Jego widok wzbudził zainteresowanie lokalnego straganiarza, który koczował przed karczmą, gdzie podawano najlepszy w okolicy tinghao.

- Dokąd to się wybierasz? - zapytał straganiarz, lustrując przybysza.

- Szukam Kadu. Był u mnie, ale coś zostawił - powiedział Fahid i wskazał na mały ładunek przykryty narzutą. - Muszę mu pilnie dostarczyć.

- Mogę zobaczyć? - Straganiarz podszedł bliżej wozu.

Fahid pospiesznie poprawił narzutę, jakby nie życzył sobie, by ktokolwiek pod nią zaglądał.

- Nasz poczciwy Kadu jest teraz mocno zapracowany. Jechał tędy i nie wszedł nawet na jednego tinghao do karczmy. Kupił ode mnie dwie barylki, ha, ha. Wystarczy mu na kilka dni dobrego rauszu. Dobrze, że miał obstawę, bo by się pogubił. Wieźli dziewczynkę do Patrix.

- Tak? - Fahid nieudolnie udawał zdziwionego.

- Kiedy tędy przejeżdżali, spojrzęła na mój kram i nie mogła oderwać oczu. Zdaje się, że coś ją zainteresowało. Niestety nie mogła niczego kupić, bo była skuta. Chyba za to, że opierała się rodzicom, którzy oddali ją na służbę Patri. Nikt przecież nie wiąże kandydatów do kapłaństwa.

- Ciekawe. A co masz do sprzedania? - zapytał Fahid.

- Sporo przydatnych rzeczy. Nie tylko dla rybaków, dla farmerów również. Pozwól, przyjacielu.

Kiedy Fahid podszedł do małego kramu, jego oczom ukazał się cudowny widok. Straganiarz posiadał w ofercie wszystko to, co każdy farmer chciałby mieć w swoim podręcznym warsztacie: wiele drobnych, mniej lub bardziej precyzyjnych narzędzi wykonanych z metalu lub kości, pudełka z pastami, klejące smarowidła, kawałki tkanin o różnej fakturze, a także śrubki, kulki, nakrętki, zatyczki, sprężynki. Czego dusza zapagnie. Na skraju znajdowała się nawet mała kupka błyskotek do przyozdabiania odzieży i ciała. Fahid spojrzął w jej kierunku i oniemiał. Na samym szczycie leżała skórzana bransoleta z nietypowymi ornamentami. Znał ją bardzo dobrze. Była unikatowa. To właśnie to cudeniko miał zwyczaj nosić jego ojciec Mahmud. Nawet wtedy, kiedy ciało zmarłego powędrowało do Asaranu, bransoleta była założona na kostce jego nogi. W tym momencie w głowie Fahida pojawiło się kilka nowych, złych myśli na temat kapłana. Nie dość, że Kadu porwał mu córkę, to jeszcze okradł ciało jego ojca. Ta bransoleta wiele znaczyła dla jego rodziny. Kiedyś należała do brata Mahmuda, Omara. Była jedyną pamiątką po nim. Mahmud zażyczył sobie, by towarzyszyła mu podczas ostatniej wędrówki, aby w ten sposób, chociaż symbolicznie, Omar znalazł się w wozie Asaran i trafił do Patri.

- Skąd to masz? - zapytał Fahid.

- Dziesięć szarych kamieni i może być twoje - odpowiedział straganiarz.

- Pytałem, skąd masz! - Fahid nie chciał trwonić czasu na ceregiele.

- To bardzo cenna rzecz. Sprzedał mi ją pewien pasterz nimo. Straszna pijaczyna. Nigdy nie pamięta, co się wydarzyło przed chwilą. Cały czas na pełnym gazie.

- Nie mam tyle. Sprzedaj mi za dwa szare kamienie.

- Dzisiaj nie mam nastroju na żarty. Kupujesz czy nie?

- To należało do mojego ojca!

- Lepiej niech skończy z tinghao - powiedział straganiarz i postukał się po głowie.

- Jak śmiesz?

Fahid odepchnął go, lecz kiedy zdał sobie sprawę, co uczynił, spuścił tylko potulnie wzrok. Incydent został zauważony przez bawiące się w pobliżu dzieci i kobietę wieszającą pranie. Fahid wrócił do swojego wozu, unikając krytycznych spojrzeń. Był gotowy ruszyć w dalszą podróż, lecz zdał sobie sprawę, że na nic mu się zdadzą narzędzia rolnicze. Potrzebował

prawdziwej broni, a nie stworzonej z motyki czy sznurka. Chciał być pewny, że w najważniejszym momencie, od którego zależeć będzie życie jego córki, skutecznie ją obroni. Od tej chwili miał podwójną motywację, by dopaść Kadu, zanim on dotrze do Patrix. Wrócił do straganiarza.

- Powiedz, przyjacielu, gdzie mogę kupić broń? - zapytał.

- Przyjacielu? Teraz przyjacielu? Broń jest zakazana. Nie wystarczyło ci, że mnie popchnąłeś i o mały włos nie wyładowałem na ziemi?

- Masz czy nie?

Straganiarz przyjrzał się Fahidowi, jakby chciał wyczytać prawdziwe intencje. Rozejrzał się, czy nikt nie patrzy w jego kierunku, i sięgnął pod narzutę okrywającą sąsiedni kram. Wyjął ciężkie zawiniątko. Kiedy rozwijał szmatę pokrywającą ukryty skarb, Fahid bardzo się niecierpliwił. Po chwili zobaczył urządzenie, które mocno go zaskoczyło. Kiedyś takie widział, ale to było dawno temu.

- Skąd to masz?

- Czy ja ciebie pytam, po co ci ta broń? To się nazywa kusza.

- Ile chcesz?

- Mówiłeś, że nie masz pieniędzy. To bardzo deficytowy towar.

- Dam ci wóz. Jest sporo wart.

- Po co mi wóz, skoro nie mam okurai.

- Dobrze. Jeden okurai i wóz.

- Zgoda.

- Jak się tego używa?

Straganiarz tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się szyderczo. Zawinął z powrotem kuszę w szmatę i podał kupującemu. Następnie dodał małe pudełko z zatrutymi strzałkami. Ich zapas był okazały, lecz nie dla początkującego kusznika. Dopiero teraz Fahid zrobił grymas zaskoczenia. Przed chwilą był pewny, że świeżo zakupioną bronią włada się wręcz, a okazało się, że używa się jej w zestawie z tymi małymi urządzeniami.

- Na skraju osady, w domu, gdzie drzwi nie posiadają zamknięcia, mieszka starszy człowiek. Za kilka szarych kamieni nauczy cię z tego korzystać. Tylko nie wiesz tego ode mnie - powiedział straganiarz, klepiąc Fahida po ramieniu.

Tuż przed wyjazdem przedstawicieli emigracyjnego Rządu w kierunku Vatili Soll, Ae zaprosiła Clifforda na krótką rozmowę. Był zdziwiony. Choć w przeszłości odbyli wiele trudnych konwersacji, nigdy dotychczas nie dyskutowali sam na sam.

- Panie premierze, nie wiem, jak zgrabnie zacząć, zdaje sobie pan sprawę, że nie jestem biegła w dyplomacji.

Clifford uśmiechnął się, jakby miał świadomość, że to nieprawda. Ae zawsze w podobny sposób budowała napięcie.

- Próbuję sobie przypomnieć wszystkie nasze narady i wie pan, do jakich dochodzę wniosków?

Pokręcił głową.

- Że nigdy nie rozmawialiśmy na równych zasadach. To nasze pierwsze spotkanie, podczas którego pan i ja jesteśmy na podobnym poziomie. Zawsze był pan ukryty pod maską kłamstwa.

- Nie chciałbym pani obrazić, ale czy wszyscy wiedzą, skąd się pani wzięła na tym stanowisku?

- Dzięki Patri.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się dyskretnie, acz szyderczo. - Dobrze, jak rozumiem, bawimy się dalej w grę.

- Drwina niczego nie wnosi.

- Przepraszam.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Bardzo mnie nurtuje jedno pytanie... Jaki był cel wprowadzenia kogoś takiego jak ja na salony? Upokorzenie Rady Kościoła? Nie sądzi pan chyba, że z powodu zobowiązania zdradziłabym swój lud.

- Nigdy nie pomyślałem w ten sposób.

- Skoro tak, to po co to zrobiliście?

- Miałem swoje powody. Niestety nie mogę pani ich zdradzić.

- Czyli znów łaska.

- Proszę nie wyolbrzymiać. Wczoraj pani była na niezbyt uprzywilejowanej pozycji, dzisiaj ja znajduję się na podobnej. Może nawet gorszej.

- Ale nadal pan nade mną góruje. Dobrze pan wie, że nie jesteście tutaj dla waszych machin i technologii.

- Nie po to uczyniliśmy z pani najwyższą kapłankę, żeby pomogła nam pani przetrwać trudny okres. Są ważniejsze cele niż pani czy mój.

- Zatem pieniądze i władza.

Clifford pokręcił głową z niedowierzania.

- Popelniliśmy błąd, wybierając akurat panią - powiedział smutnym głosem.

- Audjencja zakończona - oznajmiła Ae i odwróciła głowę.

ROZDZIAŁ 11.

Zaraza

Irmina zdziwiła się, że córka otrzymała tak wysoką kwotę zadośćuczynienia. To właśnie na jej konto przelano odpłatę córki. Dzięki takiemu fortelowi dziewięć tysięcy bytów, czyli dobre trzy pensje Jasmin, nie zostały zablokowane na poczet przyszłego podatku. To było jedyne rozsądne wyjście, podpowiedziane przez Agness. Lepiej nie dało się tego załatwić. U nikogo także nie sposób było wyblagać usunięcia blokady systemowej. Mogła zostać zdjeta tylko przez funkcjonariuszkę UKP na podstawie przeprowadzonej i udokumentowanej u jednego z akredytowanych ginekologów aborcji.

Matka współczuła córce. Ucieszył ją fakt, że Jasmin przestała się w końcu upierać i zdecydowała na usunięcie ciąży. Długo o tym rozmawiały, na przemian tuląc się, wydzierając na siebie i płacząc. Ostatecznie, żeby wspomóc Jasmin w tej arcytrudnej chwili, zgodziła się pójść razem z nią do doktor Meilly, szanowanej lekarki. Kiedy matka z córką dochodziły do budynku, w którym mieścił się gabinet znanej pani ginekolog, zaskoczył je widok kolejki sięgającej aż na zewnątrz.

- Ja tylko do rejestracji - powiedziała Jasmin, usiłując przechytryć stojące w ogonku rozwścieczone młode kobiety.

- My też! - krzyknęła jedna z nich.

- Czy to jest jedyny gabinet? - zapytała szeptem matka, a na jej twarzy malowało się zdziwienie połączone z przerażeniem.

- Nie, ale ta kobietka jest naprawdę w porządku - odpowiedziała z pewnością w głosie córka.

Kolejka posuwała się szybko i po kilkunastu minutach weszły do środka budynku. Tam jeszcze na korytarzu odstały kwadrans i wreszcie mogły dostać się do poczekalni wyglądającej jak zatłoczony kocioł. Sprawiająca wrażenie profesjonalnej młoda rejestratorka uwijała się jak w ukropie. Umawiała wizyty, usiłując przekrzyczeć kilkanaście kobiet w różnym wieku. Ten widok zirytował Jasmin. Nie znosiła trajkoczących bez celu, znudzonych idiotek. Tak o nich myślała, kiedy usiłowała grzecznie nazwać zjawisko plotkarstwa. Czasem myślała gorzej, bardziej niecenzuralnie. Po chwili z gabinetu doktor Meilly wyszła młoda kobieta. Jasmin przypomniała sobie, że ją kojarzy, ale nie była pewna skąd. Nie musiała długo się zastanawiać.

- O, Jasmin, ty tutaj? - zapytała Tarya.

- Nie minął twój termin?

- Wczoraj przeprowadzono zabieg. Właśnie u tej pani doktor. Przyszłam na kontrolę.

- Miałaś tego nie robić - powiedziała, lecz kiedy zdała sobie sprawę, że nie powinna była się wtrącać, postanowiła wykazać się empatią. - Bolało?

- A ty, po co tu przyszłaś? - zapytała Tarya.

- Też na kontrolę - odpowiedziała pewnym głosem Jasmin.

Irmina wyglądała na zdziwioną. Na próżno szukała wzroku córki, jakby chciała się upewnić, czy zna prawdziwe powody ich wizyty w gabinecie cenionej lekarki.

- Kiedy mój mąż dowiedział się, że nowy Rząd zablokował konta wszystkim kobietom w ciąży i rozesłał wilcze bilety do ich zakładów pracy, nie pozostawił mi wyboru. Upper czyni cuda – powiedziała smutnym głosem Tarya.

- To dlatego tu jest taka kolejka. Skurwiele.

- Raczej kurwy – powiedziała Tarya, choć dostrzegając zgorszoną minę Irminy, zaczerwieniła się ze wstydu za niecenzuralną ocenę. – U każdego ginekologa, który przeprowadza zabiegi, jest podobnie – powiedziała, chcąc wymazać złe wrażenie.

Jasmin zaniepokoiła się. Nie brzmiało to dobrze.

- Muszę iść, niedobrze mi. Strasznie tu duszno. Trzymaj się, stara.

Tarya z trudem przecisnęła się przez tłum stłoczonych w jedną masę kobiet. Po chwili przysła kolej na Jasmin.

- Następna! – powiedziała rozkazującym tonem rejestratorka.

- Jasmin Kozłov, córka Irminy i Omara, z domu Manduarra – przedstawiła się.

Rejestratorka wkładała dane do modułu komputerowego. Spojrzała na Jasmin, jakby porównywała twarz oryginału z kopia widzianą na małym ekranie wyświetlanym pod biurkiem.

- Nie mogę pani ustalić terminu – powiedziała. – Następna.

- Co? Ale dlaczego? – oburzyła się Irmina trzymająca córkę pod ramię.

- Kolejny wolny termin mamy za osiemdziesiąt dziewięć dni. Dla pani to będzie połowa drugiego trymestru. Nie możemy ryzykować. Takie są przepisy. Następna proszę.

- To co ja mam zrobić? – zapytała Jasmin.

- Tam stoi. – Rejestratorka wskazała na stojak z ulotkami. – O, już pusty? Dopiero co uzupełniałam zanęty innych ginekologów. Nie mam więcej. Musi sobie pani poradzić. Następna.

- Czyli że co? – Kiedy odchodzili od okienka, Irmina była wyraźnie zaniepokojona i dezorientowana.

- Drogie panie, proszę o spokój! – krzyknęła rejestratorka. – Tu się nie da pracować. A w ogóle, jak któraś z pań jest co najmniej w czwartym tygodniu ciąży, to proszę wyjść z kolejki. Terminy są odległe.

- Teraz rozumiesz? – Jasmin nie chciała niczego tłumaczyć matce.

W tym momencie pomyślała tylko o swoim łóżu i wygodnej pościeli. Miała dosyć tłumy walczących o życie rozwścieczonych przyszłych matek.

Eva Noovack praktycznie nie rozstawała się z opinią publiczną. Od czasu słynnego exposé prawie codziennie pojawiała się w teatromanii i karmiła naród kolejnymi informacjami na temat błędów poprzedniego Rządu oraz oszustw, jakimi mamiono społeczeństwo. W międzyczasie zdelegalizowała zarówno Partię Chemików, jak i Partię Pracy, tłumacząc, że w kraju niepotrzebne są różnice i że liczy się jedność. To wszystko było jednak niczym w porównaniu z kolejną bombą, którą planowała. Przez dwa i pół tygodnia przygotowywała opinię publiczną na kolejny szok. W końcu nadszedł dzień prezentacji danych demograficznych i pomysłu na uzdrowienie.

To był ciepły, słoneczny poranek. Na wspólne oglądanie efektów pracy korporacji marketingowej zaproszono wszystkich członków nowego Rządu oraz szefów i dyrektorów ważniejszych departamentów i urzędów państwowych. Zbierający się w Sali Posiedzeń

widzowie siadali na wniesionych wcześniej, dodatkowych krzesłach. Noovack stała przy drzwiach i przyglądała się każdej wchodzącej osobie. Na końcu przeleciała wzrokiem po całej sali, kiwając głową, jakby liczyła. Spojrzała na urządzenie odmierzające upływający czas. Wyświetlane cyfry zaczęły zbliżać się do zera. Zerknęła jeszcze raz na zgromadzonych, uśmiechnęła się i włączyła teatromanię.

Smuga szerokiego światła wyświetliła na wielkim ekranie obraz, a na jego środku premier Noovack. Widoczna na monitorze była ubrana jak własna ciotka: w ciężką, ciemną garsonkę i do tego ta okropna fryzura. Miała smutną minę. Stała na tle zamazanego, podbarwionego ponurym kolorem widoku centrum Inco.

- Drodzy rodacy - zaczęła patetycznie. - Wreszcie mogę podzielić się z wami trudnym tematem. To on od wielu dni spędza mi sen z powiek. Barney Clifford i jego rząd fałszowali dane. Wielu z was ma świadomość, że rodzi się mało chłopców, ale dopiero dzięki Luigiemu Pierone wiemy, dlaczego tak się stało i dlaczego rząd na to pozwalał. Bo czerpał z tego korzyści. Całe oczyszczenia wmawiano nam, że lekarstwa są zdrowe i dzięki nim my, ludzie, jesteśmy zdrowi, młodo wyglądamy i mamy energię. Wiecie, co odkryła nowa Minister Zdrowia, pani Claire Gibbondy? Że słynny lek o nazwie Ray prawie dwa oczyszczenia temu został kolejny raz zmodyfikowany. Chemiczy twierdzą, że rozwiązali problem chromosomu Y, który jest przyczyną całego nieszczęścia, ale to na pewno ich kolejne kłamstwo. Wiemy też, że dodali leкови jeszcze jedną funkcję, miał oślepiać społeczeństwo. Tak, moi kochani rodacy. Żebyście się nie zorientowali, że zmierzamy ku zagładzie. Żebyście akceptowali ład. Ich ład, finansowany przez kartele farmaceutyczne, które zarabiały krocie na każdym lekarstwie.

W tym momencie nastąpiło ściemnienie obrazu i po chwili na ekranie teatromanii pokazał się idylliczny obrazek - rodzina składająca się z taty, mamy, syna i córki. Dzieci bawiły się ze sobą, a dumni rodzice obserwowali je z czułością. Zebrani w Sali Posiedzeń widzowie zareagowali entuzjastycznie i z ciekawością. Pojawiły się nawet delikatne westchnienia.

- Tak było kiedyś - zabrzmiał złowrogo komentarz nowej pani premier. - Czy ktoś z was, ukochani rodacy, pamięta te czasy? Bo ja nie. Nawet moja babcia, która przeżyła już dziewięć oczyszczeń, nie przypomina sobie takiego widoku.

Ukazał się inny obraz. Z łatwością można było rozpoznać porodówkę pełną dziewczynek i zawiedzione miny ojców. Potem nastąpiło cięcie i miejsce akcji wyświetlanej opowiadki zmieniono na przedszkole, w którym pani przedszkolanka bawiła się z dziećmi w dom. To były same dziewczynki. Część z nich udawała mężów, miały chłopięce ubrania, doklejone wąsy, a na głowach męsko wyglądające peruki. Pojawił się wykres z dwiema osiami. Jedna z nich oznaczała mijające oczyszczenia, druga procenty. Wyraźnie można było dostrzec, że tendencja spadkowa - od poziomu ponad pięćdziesięciu procent do poziomu poniżej pięciu - zaczęła się dwanaście oczyszczeń wstecz. Po chwili na tle wykresu pojawiła się twarz znanej, atrakcyjnej, żółtowołosej redaktorki z kanału trzeciego, Martyny Kuny.

- Lekarze są bezradni. Jak tak dalej pójdzie, czeka nas zagłada - powiedziała smutnym głosem.

- A można było inaczej. - Znów na ekranie pojawiła się twarz premier Noovack. - Wystarczyło poszukać rozwiązania. Zamiast wprowadzać kary dla kobiet, które chciały urodzić dziewczynkę, i nagrody dla tych rodzin, które miały szanse na syna, trzeba było przeznaczyć część zysków na badania. Pomijam, że przecież wystarczyło wyłączyć produkcję śmiertelności leku. Kochani rodacy, sytuacja nie jest ciekawa, ale wspólnymi siłami, razem z nową Minister Zdrowia i jej zaufanymi specjalistami, uratujemy świat. Uratujemy Inco!

W tym momencie na ekranie teatromanii wyświetlono wspólne zdjęcie trzech osób: Noovack, Gibbondy i Nakamura z podpisem w dolnym pasku: „Ci ludzie walczą o nasz gatunek. Ufamy im”. Potem kolejno pojawiały się poszczególne dane w postaci haseł okraszonych nieprzyjaznymi, piskliwymi efektami dźwiękowymi: „Od dwunastu oczyszczeń liczba mężczyzn spada o 20%”, „Obecny udział mężczyzn w całej populacji wynosi 4,71%”, „Jedno oczyszczenie temu wynosił 5,89%”, „W całym kraju codziennie rodzi się 97 chłopców, ale umiera 420 mężczyzn”, „W tym tempie znany nam świat zakończy się za cztery oczyszczenia!”.

Od razu w Sali Posiedzeń dało się usłyszeć kilka smutno brzmiących szeptów. Zgromadzeni widzowie, szczególnie ci niewtajemniczeni, wyglądali na przerażonych. Claire Gibbondy rozpieła duma. Ten widok kołił jej serce. Rozejrzała się dookoła stołu, przy którym siedziała z pozostałymi członkami Rządu, pusząc się niczym zwyciężczyni. Dostrzegła, że jej koleżanki też miały nietęgę miny. Stojąca obok Eva Noovack promieniała z zachwytu.

– Teraz będzie najlepsze – powiedziała.

Oczy wszystkich zgromadzonych w Sali Posiedzeń zwróciły się znów na ekran teatromanii, na którym po raz kolejny pojawiła się twarz Noovack. Tym razem wyglądała zupełnie inaczej niż wcześniej, gdy prezentowała dane. Miała na sobie lekką, jasną sukienkę, włosy upięte w dwa koki i delikatny makijaż. Całość prezentowała się nowocześnie i kusząco, wręcz promiennie. Pani premier emanowała świeżością.

– Mój Rząd przygotował dla was, drodzy rodacy, kilka ważnych dekrétów, które pozwolą nam przetrwać, a być może dość szybko odmienić losy kraju.

Eva Noovack oglądająca transmisję mówiła równocześnie wraz z tą drugą na ekranie. Widać było, że tekstu uczyła się na pamięć i wierzy w to, co mówi.

– Pierwszy, najważniejszy dekrét zmienia oblicze rodziny Inco – kontynuowała. – W całym kraju wprowadzamy zgodę na wielożeństwo. Jeden mąż i jedna żona to przeżytek i marnotrawstwo. Sami wiecie, jak wiele samotnych kobiet żyje bez jakiegokolwiek nadziei. One też pragną szczęścia.

W tym momencie ekran znów został wyciemniony i po rozjaśnieniu pojawiła się plansza z rysunkiem podpisanym jako „Obecna rodzina”. Przedstawiał symbolicznie narysowanego tatę, mamę i kilka córek, a obok grupkę smutnych, spoglądających w ich kierunku kobiet. Kolejna plansza była podpisana hasłem „Nowoczesna rodzina”. Widniał na niej tata, którego całowało w policzki kilka szczęśliwych mam, a obok stała gromadka dzieci różnej pci, w różnym wieku.

– Drugi dekrét jest równie ważny – kontynuowała Noovack na ekranie. – Musimy chronić nasz genetyczny skarb. Od jutra w celu ochrony gatunku ludzkiego wprowadzam zakaz pracy dla mężczyzn. Nie będą mogli także służyć w straży granicznej ani uprawiać sportu. Ich rola zostanie ograniczona do prokreacji i odpoczynku. My, kobiety, będziemy utrzymywać każdego z nich, od narodzin aż do śmierci. Najcięższymi pracami będą zajmować się roboty. Panowie, dziś jesteście ostatni dzień w swojej pracy.

W tym momencie najpierw mężczyźni, potem kilka kobiet, a wreszcie wszyscy uczestnicy pokazu zorganizowanego w Sali Posiedzeń wstali i zaczęli bić brawo. Eva Noovack delikatnie kłaniała się w geście aprobaty. Aplauz trwał krótką chwilę, po czym dała znak, by go zakończono, i wyłączyła teatromanię.

– Bierzemy się do pracy, koleżanki – powiedziała pewnym głosem. – Koledzy, jesteście wolni. Od jutra waszymi obowiązkami zajmiemy się my.

– Nie wierzyłem, że kiedykolwiek to powiem. Niech żyją kobiety! – krzyknął Kurt Schlagen, jeszcze tylko do wieczora Minister Gospodarki i Transportu.

Noovack wyprosiła gestem wszystkich widzów poza siedzącymi przy stole obrad członkami Rządu. Potem spojrzała beztrzesko na Schlagena i Donvilla. Uśmiechnęła się do nich. Najwyraźniej zrozumieli, że ich rola już się skończyła, bo wyszli potulnie i w mgnieniu oka. Kiedy Noovack upewniła się, że wreszcie może mówić swobodnie, na jej twarzy pojawił się grymas zawodu.

– Czy ktoś może mnie oświecić, dlaczego do tej pory nie udało nam się dorwać Clifforda? – spytała. – Jak długo mam się tłumaczyć przed społeczeństwem, że wróg numer jeden kraju jest na wolności i śmieje nam się prosto w twarz?

– Podejrzewamy, że zbiegł do Floris – odpowiedziała Tatarczyna. – Przetrzęsaliśmy każde źdźbło, każdy kamień w trzeciej i czwartej dzielnicy. Mamy ślady, że się ukrywał w kopalni, ale nie możemy go znaleźć.

– Czy przeszukałaś jego najbliższych współpracowników, którzy zostali w twoim ministerstwie, jak cię prosiłam?

Na twarzy Noovack nie zostało ani śladu po puszającej się sukcesem w teatromanii charyzmatycznej przywódczyni. Teraz wyglądała jak żądny krwi drapieżnik. Tatarczyna przełknęła ślinę.

– Oczywiście. Clifford nie był głupi. Rubby również. Wszystkie tajne sprawy, które prowadził jeden czy drugi, były sprytnie kamuflowane. Żaden z podwładnych nie wiedział, w jakim projekcie uczestniczy i po co to robi. Dzięki temu – oprócz premiera Rządu i Ministra Spraw Wewnętrznych oraz kilku tych, którzy uciekli z nimi z kraju – nikt nie miał pełnego obrazu dotyczącego danej sprawy. Po jej zakończeniu zawsze zacierano wszelkie ślady. Jedyne, co udało mi się ustalić, to fakt, że robiono interesy z Floris. Ich kapłanka, zresztą nie tylko ona, była regularnie odwiedzana. A wcześniej jej poprzednicy.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Nadine Bleur. – Przecież wieśniacy nie mają niczego, co mogłoby nam się przydać.

– Co ty mówisz, koleżanko? – zdziwiła się Harpia Duecklenbourg. – Mają mężczyzn.

W tym momencie wszystkie kobiety zamarły. Ta niby oczywista informacja spadła na nie niczym grom, który pada na ziemię, a po przeoraniu i wybronowaniu tworzy jednolitą powierzchnię, gotową do zasiania nowej idei, z której wykiełkuje kolejna zmiana.

– Może to nie kartele farmaceutyczne rządziły tym krajem, tylko sprytna kapłanka.

Noovack zachowywała się, jakby była w amoku. Straciła rezon. Wyglądała na osobę, która nie wierzy własnym myślom.

– A myśmy ich traktowali jak głupków. – Gibbondy kręciła tylko głową.

– Po co mieliby to robić? Od początku świata nasze społeczności żyją w zgodnym odosobnieniu. Można by powiedzieć, że w harmonii. Kogo interesuje, co jest po drugiej stronie? – spytała Monssantoo.

– To dlaczego obydwie kraje posiadają armię? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Fagot.

– My trzymamy dla obrony. Na wszelki wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy uszczęśliwienie nas na siłę religią. Ludzie wierzący w bajki są nieobliczalni. Wystarczy, że ktoś mądrzejszy wmówi im, że tak chciał jakiś bóg. – Eva Noovack od pewnego czasu studiowała stare księgi i teraz zapragnęła pochwalić się wnioskami.

– Podobno nie mają technologii. Może to jest powodem, dla którego chcą nas wyniszczyć? – głowiła się Davis.

- Nie sądzę – powiedziała Noovack. – Naszą technologię mają w nosie.
- Jeden z mężczyzn, który pracował kiedyś dla Rubby'ego, mówił, że podobno kapłanka jest zachłanna. Że jest inna niż jej poprzednicy – powiedziała Tatarczyna.
- Ale nie żyje tak długo, jak my borykamy się z naszym problemem. To nie mógł być jej pomysł, żeby zniszczyć nasze społeczeństwo. – Duecklenbourg swoim analitycznym umysłem jak zwykle pozbawiła koleżanki złudzeń w zakresie próby usankcjonowania kolejnej teorii spiskowej.
- Dlaczego Clifford nie próbował dogadać się z kapłanką i stworzyć par mieszanych? – zastanowiła się Noovack.
- Bo to by było wbrew biznesowi – oceniła Duecklenbourg.
- Nie tylko. Na to nie pozwala im religia – powiedziała Fagot.
- To trzeba było ją przekupić, żeby zmieniła zasady. – Davis wiedziała dobrze, jak to się robi.
- Może Clifford wiedział więcej niż my, na przykład, że mieszanie par nic nie pomoże, bo mutacja jest za bardzo zaawansowana i mogłaby przynieść kolejne negatywne skutki – zastanowiła się na głos Gibbondy.
- Może to dobrze, że we Floris żyje czyste genetycznie społeczeństwo. Spotkajmy się z tą kapłanką – zaproponowała Noovack.

Jasmin nie powiedziała Addamowi, że zamierza umówić się na zabieg. „Niech się jeszcze trochę pomęczą, egoista jeden” – pomyślała. Po wizycie w gabinecie, a raczej poczekalni, zdała sobie jednak sprawę, że dotychczas trudna do podjęcia decyzja, dotycząca niby banalnego do załatwienia zabiegu, poszła zbyt gładko i zatrzymała się przed graniczącą z cudem możliwością aborcji. Wbrew pozorom nie dlatego, że nie wolno było jej wykonywać. Po prostu patrząc z jej ulubionego, marketingowego punktu widzenia, została zachwiana równowaga rynkowa, czyli popyt przekroczył podaż. W takiej sytuacji nie pozostało jej nic innego jak wyprzedzić konkurentki. Zwróciła się więc do kolejnego, ponoć uznanego, ginekologa z propozycją wykupienia bliższego terminu. Oferta była konkretna – sto bytów za jego prywatny czas pracy. Nie przyjął. Zasiał się sumieniem. „Sumieniem, kurwa? Rakarz francowaty” – pomyślała. „Będzie tego żałował”. Kolejne dwie lekarki z akredytacją do wykonywania aborcji w celu regulacji płci również nie przyjęły propozycji, choć Jasmin podwoiła stawkę. Zrobiły to w obawie przed utratą możliwości wykonania zawodu. Wszak taką kombinację musiałyby uzgodnić z brunatnymi mundurami. Wszystko można było powiedzieć o funkcjonariuszkach UKP, ale nie to, że zgodziłyby się na zamieszanie w terminach w systemie, tym bardziej z powodu korzyści majątkowej. Za tego typu przewinienia nieraz leciały głowy. Nie warto było się narażać. Z kolei aborcja wykonana przez ginekologa, który nie posiada akredytacji, była zakazana. Wykonanie jej groziło lekarzowi wydaleniem z zawodu i karą pieniężną o wysokości porównywalnej z rocznym dochodem. Jasmin była pełna obaw, ale ucieszyła ją jedna myśl. Dobrze, że nie powiedziała Addamowi, że zdecydowała się na zabieg. Teraz, kiedy okazało się, że nie może tego uczynić, nie wyszła przynajmniej na idiotkę. Postanowiła, że nadal będzie szukać rozwiązania. Skupiła się tylko na tym celu. U jednego z ginekologów znalazła wreszcie ulotkę z zanętami lekarzy. W ciągu jednego dnia odwiedziła wszystkich w pierwszej dzielnicy. Większość miała zapełniony kalendarz, a kilku zamknięty gabinet z powodu utraty akredytacji lub pobytu w areszcie. Widocznie popełnili jakiś błąd,

a ich nieznaną prawą nie została potraktowana jako okoliczność łagodząca. Za byłe przewinienie trafili do więzienia za zdradę kraju. Na liście odhaczanej przez Jasmin pozostało tylko kilku lekarzy. Wszyscy posiadali gabinety w dzielnicy drugiej – slumsach.

Biedniejsza dzielnica Inco wyglądała jak zapomniane, upadłe miasto. Budynki były wielopiętrowe, ale nie aż tak wysokie jak w centrum. Ich fasady nie były szklane ani wykonane z blachy, standardowego budulca wykorzystywanego w tym kraju. Najczęściej wyglądały jak kolaż byle czego, różnych technik i materiałów. Ważne było, by dało się zmontować jakąś jednolitą powierzchnię w celu ochrony domowników przed warunkami atmosferycznymi i odgłosami z zewnątrz. A nieraz w tej dzielnicy bywało naprawdę głośno. Deptaki wyglądały jak rozgadana, czasem rozkrzyczana, ludzka bazgranina. Ład komunikacyjny, jaki funkcjonował w dzielnicy pierwszej – gdzie lewą stroną poruszano się tam, a prawą z powrotem – tutaj się nie przyjął. Każdy chodził tak, jak chciał: z lewej na prawą, zygakiem, po łuku. Byłe do przodu, pomiędzy innymi. Byłe nie usmarować sobie odzienia, zwłaszcza butów. Deptaki raczej przypominały rynsztoki, którymi dość często płynęła brudna, kleista maź – swoista mieszanina naniesionego z trzeciej dzielnicy piasku, śmieci i zużytej, brudnej wody, czasem okraszanej odchodami. Tak było od czasu, kiedy ludzie w Inco uznali, że usługi asenizacyjne powinny się stać zajęciem dla robotów. One jednak nie dawały sobie rady z serwisem, przez co instalacje kanalizacyjne często się zatykały. W celu ich udrożnienia wykonywano odwierty. To była skuteczna metoda. Niestety fekalia zamiast trafić do oczyszczalni wydostawały się w małych ilościach na wybrukowane podesty. Stamtąd już prosto pod nogi przechodniów. Robotom nie przeszkadzał smród, a ludzie z czasem jakoś się przyzwyczaili.

Taśmociągi komunikacyjne, które były wsparciem dla starszych osób mieszkających w tej dzielnicy, najczęściej bywały zepsute. Jakby ktoś celowo niszczył te niezbyt skomplikowane napędy, wkładając pomiędzy szprychy ich kół kawałki blach i metalowe pręty. Clifford nie trawił drugiej dzielnicy. Ludzi w niej mieszkających traktował jak bydło, motłoch. Za karę, że są tacy, jacy są, nie inwestował w infrastrukturę czy skuteczniejszą korporację zajmującą się śmieciami lub recyklingiem. Liczył, że kiedyś slumerzy, bo tak ich nazywano, pozabiją się między sobą.

Podczas wyborów żaden z mieszkańców tej dzielnicy nie głosował na Partię Chemików, lecz na przedstawiciela lokalnej społeczności, najczęściej członka Partii Pracy, mimo że nie stały za nim pieniądze i nie miał żadnych szans na zwycięstwo. Clifford nie miał pojęcia, że kilka kobiet ukrytych na niższych szczeblach władzy pochodzi ze slumsów i jest cichymi zwolenniczkami partii opozycyjnej. Był natomiast przekonany, że partia ta jest pod kontrolą Rubby'ego i jego ludzi z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Od czasu do czasu przyłapywano kogoś na naruszeniu prawa i wsadzano do więzienia. Choć to zawsze była pokazówka i dotyczyła płotek, Clifford czuł się spokojniejszy.

Większość slumsów stanowiły rodziny robotnicze, wyrzutki i patologia społeczna. Coraz częściej widywano watahy kobiet żyjących i mieszkających wspólnie niczym rodziny. By było im raźniej w ich samotności. Większość z nich była cały czas na haju albo dzięki lekom przyjmowanym w nadmiarze, albo upperowi czy jego tańszym podróbkom. Wśród tych społeczności normą stał się homoseksualizm. Zresztą w całej drugiej dzielnicy nikogo nie dziwił widok idących za rękę lub całujących się kobiet. Doceniano fakt, że chcą być szczęśliwe.

Niemniej jednak, kiedy pojawiał się samotnie idący mężczyzna, nieważne, czy młodzieniec, czy starszy, istniało spore ryzyko, że zostanie zgwałcony. Również przez kobiety, które jeszcze chwilę wcześniej uprawiały seks z przyjaciółką, siostrą czy inną przedstawicielką tej samej płci. Watahy były raczej pogrupowane wiekowo. Jeśli w którejś z nich żyły kobiety w wieku na przykład dwóch oczyszczeń, to nie było miejsca dla starszej o, przypuśćmy, jedno oczyszczenie. Taka była niepisana zasada.

Nie istniało żadne symboliczne przejście z dzielnicy pierwszej do drugiej. Wyglądało na płynne, choć humany gardy potrafiły je rozróżnić w celu kontroli ewentualnej migracji, zwyczajowo zakazanej w obydwie strony. Ludzie jednak musieli uważać, poruszając się po okolicy, gdyż granica nie była dla nich łatwa w identyfikacji. Nie wiadomo było, gdzie kończy się lepszy świat i zaczyna ten gorszy – nie licząc z daleka wyczuwalnej różnicy w czystości powietrza.

Z dzielnicy pierwszej do slumsów lub odwrotnie można było wejść tylko w dwóch przypadkach. Albo w odwiedziny do udokumentowanego członka rodziny, albo jeśli zmieniał się status społeczny. Innych opcji nie przewidywano. Chyba że było się urzędnikiem państwowym, nawet niezbyt ważnym. Taki ktoś mógł wszystko. Jasmin wiedziała, że na wycieczkę do drugiej dzielnicy może się wybrać tylko w obecności przedstawiciela władzy. Nie pozostało jej nic innego jak namówić Addama, który tego dnia wrócił po pracy przed południem.

– Chyba zwariowałaś – oburzył się, kiedy usłyszał o jej pomysśle. – To niebezpieczne miejsce. Po co chcesz tam iść?

– Do lekarza. W pierwszej dzielnicy są odległe terminy. Chcę się przebadać. – Jasmin nadal wolała nie zdradzać prawdziwego celu wędrowki.

– Boli cię coś? – zapytał z troską.

– Poznałam jedną dziewczynę, w zasadzie kobietę, która dała się przebadać, bo chciała zobaczyć na ekranie, jak rozwija się jej córka. Teraz tej córki nie ma. Mam takie przecucie...

– Dobrze. Chodźmy. Brzmi to co najmniej dziwnie, ale czytałem, że kobiety w ciąży tak mają.

Jasmin zareagowała delikatnym uśmiechem. Dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Sama czuła, że właśnie teraz była idealnym przykładem braku logiki i nienaturalnym nagromadzeniem zmian nastroju, które w akompaniamencie rozwścieczonych hormonów szalały raz po raz w różnych kierunkach. Po chwili zdała sobie sprawę, że Addam wygląda na zaangażowanego. Doceniła.

– Powiedz, bo mnie to męczy, czy ty chociaż w jakimś, nawet najmniejszym stopniu darzysz uczuciem nasze córeczki? – spytała smutnym głosem.

Addam odwrócił wzrok w kierunku ściany, jakby chciał przez nią przejść na drugą stronę i zostać na zewnątrz. Wyglądał na strapionego.

– Pytam, bo bardzo mnie to nurtuje. Sama jestem pierwszy raz w ciąży i nie wiem, jak się zachować, co mam sądzić o swoich reakcjach. Kiedyś nie chciałam mieć dzieci, pamiętasz?

– Tak. To ja cię namawiałem, żebyśmy zrobili sobie dzidziusia. Wtedy myślałem o chłopcu. Byłem nawet przekonany, że się uprzesz, byśmy dali mu imię po twoim ojcu. Zgodziłbym się.

– Naprawdę? To miło. Wiesz, bo ja czuję, że noszę w swoim brzuchu, hmm... że noszę cząstkę ciebie.

– Ja niczego nie czuję.

Nie wyglądała na mówiącego prawdę. Znów uciekł wzrokiem. Nie zauważyła tego. Była skupiona na pielęgnacji uczuć, którymi go darzyła. Nie chciała się ich pozbywać. W tym momencie zapragnęła, by ją przytulił i obiecał, że wszystko jakoś się ułoży.

- To kiedy idziemy? - zapytał, schodząc na ziemię.

- Jutro.

- Za późno. Jutro już nie będę mógł tam wejść. Dziś byłam ostatni raz w mojej pracy.

- Wyrzucili cię? Co my teraz zrobimy?

- Uspokój się. Wszystkim facetom w całym kraju nie wolno się przemęczać. To wy, kobiety, macie nas utrzymywać, hi, hi. Nie oglądałaś teatromanii?

- Nie. Byłam zajęta. Co ty mówisz? Wszyscy? Haenry też nie będzie pracował?

- Tak.

- A to dobre - ucieszyła się Jasmin i pomyślała o Luicey i jej przechwałkach na temat awansu. - No to chodźmy.

Już w okolicach umownej granicy pomiędzy dzielnicami Jasmin i Addama zatrzymał patrol humanów gardy.

- Karta meldunkowa - wydobył się piskliwie brzmiący głosik z jednego z robotów.

- A co? Nie wyglądamy na slumerów? - zażartował Addam i wykonał polecenie.

Robot szczytał kartę i wystawił kończynę w kierunku Jasmin. Powoli podała mu dokument, odwracając wzrok.

- Addam Kozlllov, wiek trzy i pół. Ma pan zablokowane konto. Proszę udać się do Urzędu Kontroli Płci.

- Pamiętam - powiedział Addam, zerkając protekcyjnie na Jasmin, która pokręciła tylko głową, jakby nie chciała, by jej przypominał, że to jej wina.

- Czego pan tu szuka?

- Chciałem pokazać żonie slumsy. Nie wolno?

Jasmin przypomniała sobie, że kiedyś już słyszała podobną wymówkę.

- To będzie niezapomniany widok, na całe życie - znów zażartował Addam.

- Czy możemy odejść? - niecierpliwiła się Jasmin.

- Kiedy planowany jest powrót?

- Nie wiem. Co cię to obchodzi? Daj nam spokój. - Jasmin w mig zmieniła się w chodzący kłębek nerwów.

- Proszę hamować swoje hormony, pani Kozlllov. Cięża pani nie usprawiedliwia.

Jasmin zaskoczyło ostatnie zdanie. Nie zdawała sobie sprawy, że roboty potrafią tak się odgrzyźć. „To chyba jakaś nowsza generacja” - pomyślała. Przypomniała sobie, dlaczego nigdy nie zgodziła się na zakup robota, który miałby się jej pałętać po apartamencie. Właśnie dlatego, że nigdy im nie ufała. Addam nie drwił z jej fobii, ale uważał, że skoro nie chce pomocnika, sama powinna zajmować się sprzątaniami. Human gardy bez słowa oddalił się w kierunku innej grupy przechodniów, lecz w jej głowie na długo pozostały jego słowa.

Slumsy podzielone były wyłącznie na parzyste sektory, łatwe do identyfikacji, dobrze opisane. Lekarz, do którego się wybierali, nazywał się Dimai Caroliev i mieszkał w sektorze trzysta czterdziestym drugim. Oni przeszli do drugiej dzielnicy na wysokości sektora trzysta czterdziestego ósmego. Wystarczyło pokonać trzy sektory. Niby niezbyt daleko, ale różnie mogło się to skończyć. Addam wziął ze sobą gaz paraliżujący, z którego się nie rozliczył,

żegnając się z pracą. Podstawowe wyposażenie każdego urzędnika państwowego stosowano na wypadek, gdyby społeczeństwo nie rozumiało potęgę władzy. Gdyby to nie zadziałało, Addam mógł jeszcze wezwać gardę przez komunikator aktywny tylko do końca dnia w państwowej sieci.

Dla mieszkańców pierwszej dzielnicy smród slumsów był nie do wytrzymania, szczególnie dla kogoś tak wrażliwego jak Jasmin. Przez całą drogę zatykała nos dwoma palcami lewej dłoni. Stawiała ostrożne kroki. Drepcząc zabrudzonym, pełnym różnorakich śmieci deptakiem, starała się nie zniszczyć obuwia. Był to bardziej wynik naturalnej dbałości o dobra materialne niż obawa o utratę butów. Już przed wyjściem założyli obydwój z mężem, że po wycieczce cała odzież będzie do wyrzucenia. Addam szedł obok niej i trzymał ją za rękę. To była jego druga wizyta w tamtym miejscu. Za pierwszym razem – kiedy jeszcze jako stażysta otrzymał banalne zadanie odebrania ankiet od jednego z kierowników grupy wykonującej badania socjologiczne – spędził tam krótką chwilę. Nawet nie zdążył się przyjrzeć żyjącym w drugiej dzielnicy ludziom, tak był przejęty zadaniem. Dziś rozglądał się, jakby odwiedzał to miejsce po raz pierwszy, jakby przeniósł się do innego świata. Powywracane kontenery po wodzie, przepełnione śmietniki, graffiti na ścianach i kałuże tak mętne, że nie odbijało się w nich światło, czyniły to miejsce wyjątkowo ohydny.

– Tak to wyglądało, kiedy byłaś mała? – zapytał.

– Mało pamiętam – skłamała.

Ani tego widoku, ani zapachu nie dało się zapomnieć. Brud, syf, smród. Tak można było w trzech krótkich słowach opisać całą dzielnicę drugą. Jasmin zapamiętała bardzo dobrze, jak wyglądało tamtejsze życie. Dlatego z taką determinacją walczyła, by nigdy tam nie wrócić. Slumerzy nosili sztuczną odzież, mieli braki w uzębieniu, tuste włosy i brudne paznokcie. Myli się rzadko, bo woda tam była na wagę circonium. Ich ubrania były przesiąknięte mieszaniną zapachu z deptaków i przechodzonego, kilkudniowego potu. Taka była norma. Jak w każdej społeczności, również u slumerów występowała chęć wyróżniania się i wbrew pozorom nie chodziło tu o dbanie o czystość. Wręcz przeciwnie. Jeśli najbardziej śmierdzący brudas posiadał na ciele tylko kilka wszywek, traktowano go jak kogoś wyjątkowego. Od kiedy pojawiła się moda na wydzieranie kawałka skóry i zastępowanie go kawałkami plastiku, kamieni czy metalowymi blaszkami – które z czasem obrastały, tworząc jednolitą powłokę – słowo „ważniak” nabrało zupełnie innego znaczenia. Slumerzy stanowili dwadzieścia procent całego społeczeństwa. Na dziesięciu mieszkańców tej wyglądającej jak wielki pierścień dzielnicy, czasem piśczętliwie nazywanej filtrem Inco, przypadał jeden human gardy, jeden służb ratunkowych i dwóch strażaków. Pożary zdarzały się tu często. Żeby nie przeniosły się do centrum, gaszono je chemicznie za pomocą niszczących układ oddechowy środków. Zasobniki, na bieżąco uzupełniane tym specyfikiem, stały w każdym sektorze. Nie wszystkie były szczelne. Z niektórych wydobywały się żrące opary. Komponowały się idealnie z całością, tworząc niespotykany nigdzie indziej odór. Pomimo duszącego klimatu mieszkańcy potrafili się przystosować. Nauczyli się żyć ze smrodem w swoistej symbiozie. Nawet im nie przeszkadzał w uprawianiu sportów. Wszak całe społeczeństwo, nie tylko bogatsza pierwsza dzielnica, dążyło do zdrowia.

Jasmin i Addam przeszli dwa sektory. Co jakiś czas w mrowiu mijanych ludzi zauważali zabawnie wyglądającą, powtarzającą się scenę. Addam wzbudzał niezmacone wstydem, czyste pożądanie wśród mijanych kobiet. Jego to bawiło, ale Jasmin czuła niepotrzebną zazdrość. Chociaż i tak by się pewnie nikim nie zainteresował, ona ciskała gromy w kierunku gapiących

się wrednych babsztyli. Kobiety mijające tę parę były tak zapatrzone w Addama, że nie widziały niczego poza nim. Co chwilę któraś z otwartą buzią wpadała na jakąś lampę lub inną kobietę idącą z naprzeciwka. To wyglądało zabawnie. Ale zdarzały się również obrazki o zupełnie innym charakterze. Co kilkaset łokci mijali złomowiska ze zużyтыми androidami, składowanymi zazwyczaj w całości, czasem rozebranymi na części. Te humanoidalnie wyglądające maszyny, kiedy były jeszcze sprawne, służyły w gospodarstwie domowym lub jako substytut mężczyzny. Teraz wyglądały na bezbronne, bezużyteczne, metalowe trupy. Przy jednej ze stert kłęczała starsza kobieta i tuliła się do zepsutego egzemplarza. Miał wytarty lakier na czubku głowy i barkach, widocznie od wielokrotnego głaskania przez starszą panią. Trudno było ocenić, czy traktowała go jak syna czy kochanka. Z pewnością darzyła go jakimś uczuciem. Widać było, że miała zaczerwienione od płaczu oczy i spędziła w tym miejscu niejedną godzinę.

Inny niecodzienny widok, który miał zostać w głowach Jasmin i Addama, to samotnie żyjące bezdomne kobiety. Niechciane. Część z nich wyglądała na spłoszone, inne miały obłąd w oczach. Większość chowała się przed obcymi w zakamarkach lub okrywała byle czym, żeby stać się niewidzialnymi. Wszystkie były nienaturalnie wychudzone i zaniedbane. Podobnie wyglądali niby-chłopcy, czyli hermy. W slumsach żyła już tylko garstka przedstawicieli trzeciej płci. Jasmin dostrzegła jednego z nich, kiedy wychylił głowę zza rogu ściany marketu. Słyszała, że hermy wstrzykiwali sobie pod skórę twarzy chemiczne specyfiki, które miały spowodować, że nikt ich nie rozpozna. Ostatecznie wykrzywione, nienaturalne buzie stały się ich wizytówką. Szarpnęła Addama by spojrzeć, ale było już za późno. Herma zdążył się skryć.

Wiść o idącej deptakiem parze z pierwszej dzielnicy rozeszła się szybko. W kolejnym mijanym sektorze pojawiło się niechciane towarzystwo. W odległości kilkunastu łokci za Jasmin i Addamem podążała wataha składająca się z dwudziestu kobietek w wieku około półtora oczyszczenia. Wyglądały wrednie – jak smukli, zaniedbani chłopcy – co jedna to bardziej odpychająca. Na ich czele szły bliźniacze amazonki. Ta z lewej miała ogoloną głowę pokrytą metalowymi ćwiekami i szereg blizn na żyłastym ciele. W dłoni trzymała prymitywną broń wyglądającą na kawałek metalowej rurki, z której wystawały dospawane śruby i szpile. Druga, ta po prawej, wyglądała niemal identycznie, lecz zamiast ćwieków na głowie miała wszyty i zarośnięty skórą kawałek plastikowej miski. Siegała od czoła do czubka głowy. Można było rozpoznać nazwę producenta – „Gummin”, choć plastik był już lekko wyblakły. W dłoni dzierżyła stalowy pręt zbrojeniowy z nieodsłojonym kawałkiem betonu. Ta broń wyglądała jak żywcem wyrwany kawałek żelbetu ze zburzonej budowli.

Addam pociągnął Jasmin za rękę i przyspieszyli kroku. Grupa idąca za nimi zrobiła to samo. Para zaczęła iść jeszcze szybciej, lecz nagle zza zakrętu wyłoniła się kolejna wataha i stanęła im na drodze. Była mniej liczna, ale kobiety wyglądały na bardziej muskularne i dużo starsze, mniej więcej w wieku od czterech do pięciu oczyszczeń. Na ich czele stała obcięta na języka czarnowłosa herszt z zaostrzonym do szpica pilnikiem do metalu w prawej dłoni. Na jej lewym przedramieniu widać było kilka tanich plastrów zabezpieczających rząd niezagojonych, szklanych wszywek o nierównych kształtach. Jedna z nich była wrzodziejąca, najwyraźniej z powodu niedokładnego odkażenia. Jasmin i Addam zatrzymali się. Na ich twarzach malowało się przerażenie połączone z dezorientacją. Mocno trzymali się za ręce. Do celu podróży mieli zaledwie kilkaset łokci, ale wszystko wskazywało na to, że w tym miejscu zakończą swą wędrówkę. Obydwie grupy wyglądały jak poszczone na siebie, tresowane zwierzęta. Addam czytał o tym, że odstawienie Raya, a szczególnie jego zamienników, może

powodować u niektórych ludzi większą nerwowość. Sam tego nie odczuwał, ale wyraźnie było widać, że z tymi kobietami działo się coś nieoczywistego i przerażającego.

- To nasz facet – zakomunikowała przeciwnikom amazonka z ćwiekami na głowie, pocałowała siostrę namiętnie w usta i puściła do niej zalotnie oko.

- Przekonajmy się – oznajmiła herszt starszej watahy. – Gówniane szlamy – dodała z pogardą.

- Chcecie się bić? Nas jest więcej – odparła ta z wszytym plastikiem. – Lepiej od razu się poddajcie, stare ropy. Facet jest nasz, możecie sobie wziąć lalkę.

- Halo, czy mnie tu nie widać? – zapytała Jasmin, która właśnie zdała sobie sprawę, że na jej oczach odbywa się swoisty targ.

- Zamknij się, szmato, nikogo nie obchodzisz – oznajmiła ta z ćwiekami.

- My ją bierzemy, ładną ma dupkę – powiedziała jedna ze starszych kobiet.

- Jestem w ciąży.

- No i chuj – zakomunikowała dosadnie młoda amazonka z wszywką.

- Jestem mężem tej kobiety i przyszłym ojcem. Nie wkurwajcie mnie! – Addam wreszcie postarał się pokazać, że ma jaja.

- Ha, ha, ha – zaśmiała się amazonka z ćwiekami. – Takich jak ty to ja jem na śniadanie, a takimi jak ona moja siostra wydlubuje sobie resztki spomiędzy zębów.

Jasmin ścisnęła mocniej dłoń Addama. On zerknął na nią porozumiewawczo, sięgnął do kieszeni i niepostrzeżenie wyjął komunikator. Amazonka z ćwiekami na głowie zrobiła kilka kroków w jego kierunku. Za nią ruszyła jej siostra, a potem to samo uczyniły pozostałe członkinie młodszej watahy, obserwując spode łba konkurentki z naprzeciwnika. Jasmin zauważyła, że Addam włączył specjalny przycisk na komunikatorze. To była unikatowa wersja dla urzędników państwowych posiadająca kilka udogodnień. Znała tę funkcję. Wiedziała, że komunikator wysłał sygnał radiowy do najbliższego oddziału gardy. Pozostało tylko grać na zwłokę. Addam schował komunikator, lecz nie wyjął z powrotem dłoni, zatrzymał ją w kieszeni.

- Zamknij oczy i nie oddychaj – powiedział szeptem.

- Co? – zdziwiła się.

- Zrób to.

Kiedy upewnił się, że żona ma przymknięte powieki, wziął głęboki wdech, zatkał buzię i wyjął gaz paraliżujący. Widok aplikatora rozjuszył młode kobiety. Rzuciły się w jego kierunku, lecz on zdążył wypuścić wielką, barwioną na czarno chmurę dyscyplinującego środka. Kobiety zaczęły się dusić i łzawić. Potem poprawił destrukcyjne dzieło, psikając prosto w twarze najbliższym stojącym. Herszt starszej watahy przyglądała się z szelmowskim uśmiechem, jak młode siksy obrywają od najwyraźniej nieumiejącego się bić faceta. W tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawiły się trzy oddziały humanów gardy i służb ratunkowych. Kilka robotów zabezpieczyło kordonem Jasmin i Addama, pozostałe obezwładniły członkinie młodszej watahy i część starszych kobiet. Te, które zdążyły uciec, były ścigane i zostały szybko dopadnięte. Wszystkie uczestniczki zajścia zostały skute energetycznymi kajdanami za ręce i nogi. Roboty bezceremonialnie wrzucały je do szklanej klatki, jakby miały do czynienia nie z ludźmi, ale kawałami spętanego mięsa.

- Dziękujemy – powiedział Addam, zwracając się w kierunku jednego z najbardziej podrapanych i skorodowanych humanów, jakie widział w życiu.

- Poproszę kartę meldunkową.

- Oczywiście. - Addam wręczył dokument tożsamości.
- Pani też.
- Znowu? - zdziwiła się Jasmin, ale wykonała polecenie.
- Zostaniecie eskortowani do wyjścia. Nie wolno wam tu przebywać.
- Jestem urzędnikiem państwowym. Mamy sprawę do załatwienia - tłumaczył się Addam.
- Nowa dyrektywa. Mężczyźni nie mogą być narażani na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.
- Widocznie już im coś wgrali. - Addam powiedział to takim tonem, jakby chciał wytłumaczyć Jasmin, jak działa nowy system ochrony gatunku ludzkiego. Wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu sprawy. Uśmiechnął się i zrobił napuszczoną minę. Jego zachowanie tylko ją zirytowało. Nie lubiła w nim tej cechy.

- Nalegam, byśmy poszli tam, gdzie zaplanowaliśmy - powiedziała.
- Zakazane. Zaprowadzimy pana od razu do pierwszej dzielnicy. - Robot nie ustępował.
- Zrób coś! - wściekała się Jasmin.
- Zakazane - odpowiedział beztrosko Addam.

Poddała się. Skoro jemu nie zależało, to czemu ona miała się przejmować. Nie chciało jej się tłumaczyć, jaki dokładnie był cel wizyty u ginekologa. Spojrzała w kierunku zamykanych w szklanej klatce skutych kobiet. Kilka z nich wyglądało jak pomazane czarną farbą manekiny, nieruchome kukły w dziwnych pozach, często z grymasem bólu lub wściekłości zastygłym na twarzy. Wiedziała, że to efekt paraliżującego gazu. Zrobiło jej się żal nie tylko tych, ale wszystkich kobiet na świecie. „To nie ich wina” - pomyślała. „To wina systemu. Dzisiaj one, jutro ja” - powtarzała w duchu.

- Co się z nimi stanie? - zastanowiła się na głos.
- Utylizacja - odpowiedział piszczący głos dobywający się z humana.

Decyzja o wielożeństwie spotkała się z niejednoznacznymi reakcjami. Mężczyźni, a przynajmniej większość, okazywali umiarkowaną radość połączoną z niedowierzaniem. Kobiety, które czuły się szczęśliwymi mężatkami, absolutnie nie cieszyły się z takiego obrotu sprawy. Stanowiły jednak niski odsetek. Cała reszta, od dziewcząt w wieku półtora oczyszczenia do dojrzałych kobiet w wieku nawet pięciu, tryskała niewyobrażalnym szczęściem z powodu wprowadzenia nowego dekretu. Ciut mniej im się podobał pomysł o utrzymywaniu mężczyzn, ale to był szczegół. Liczyła się szansa na stały związek, a być może rodzicielstwo.

W związku z dekretem Rządu profesor Nakamura powinien przestać pracować, ale Claire Gibbondy wyblagała u Noovack parę odstępstw od reguły. Między innymi dla niego, dzięki czemu wybitny genetyk zbudował kilka zespołów projektowych, które pracowały nad ważnymi wynalazkami mającymi na celu zwiększenie udziału mężczyzn w całej populacji. Przy okazji miały zrealizować szereg pomysłów nowej Minister Zdrowia. Nakamura dostał polecenie kontrolowania ich przebiegu i analizowania wyników. Nic więcej. Jednym z eksperymentów wymyślonych przez Gibbondy było ulepszenie, a w zasadzie przyspieszenie, metody rozpoznawania płci. W ten sposób Minister Zdrowia chciała przemyścić kontrolę zapłodnień. Kilkudziesięcioosobowy zespół zaczął pracę nad małym poręcznym urządzeniem, które już po kilkunastu dniach po odbytych stosunku płciowym potrafiłoby zdiagnozować zapłodnienie, a także rozpoznać płeć dziecka i w razie czego bezboleśnie usunąć niezaimplementowany w macicy zarodek, czyli niechcianą ciążę. Do tej pory nauka potrafiła sobie poradzić z takimi

wyzwaniami, ale za pomocą trzech niezależnych urzędzeń i żadne z nich nie było przenośne. Prace zespołu składającego się z inżynierów i lekarzy, samych kobiet, ruszyły z kopyta. Gibbondy przekazała wszystkie swoje pomysły, rysunki i sugestie. Urządzenie nazwano „gibbonatorem” na cześć pomysłodawczyni. W ciągu zaledwie dwóch tygodni było gotowe do prezentacji w formie prototypu. Bez trudu znalazła się pacjentka, która zgodziła się na udział w eksperymencie.

- Kiedy pani miała ostatni stosunek? - zapytała Gibbondy, czując, że jest świadkiem narodzin nowej ery.

- Dwa tygodnie temu, wieczorem.

- Doskonale - ucieszyła się Minister Zdrowia. - Chciałam pani przypomnieć, że za udział w naszym badaniu otrzyma pani sto bytów.

- Dziękuję.

- Proszę nie dziękować. Nie będziemy oszczędzać na nauce i zdrowiu ludzi.

Gibbondy ucieszyła się w myślach. Zdała sobie sprawę, że nauka *public relations* nie poszła na marne. Wiedziała, że dziewczyna rozpowie wszystkim, że Rząd jest opiekuńczy i że warto brać udział w eksperymentach naukowych. Tym bardziej w bezpiecznych i udanych jak ten. Jego sukces zachęci kolejne osoby do wzięcia udziału w bardziej wymagających odwagi doświadczeniach.

Znany w Inco świat zmieniał się z dnia na dzień. Na deptakach w południe można było spotkać więcej mężczyzn niż kobiet. Świątowali nieróbstwo. Niektórzy z żalem, ponieważ mieli coś jeszcze do skończenia, osiągnięcia czy udowodnienia. Ale nie było ich wielu. Addam i Haenry całe dni spędzali w wielkiej galerii handlowej. Z braku pomysłu, co robić, nawet zaczęli przymierzać nowe stroje i rozważać, czym będą się zajmować do końca życia. Mieli obawy, że będzie wiało nudą, skoro nawet nie wolno im było uprawiać sportu. Na ich szczęście o tej porze dnia większość kobiet spędzała czas w pracy, więc mogli się czuć bezpiecznie, żadna ich nie zaczepiała.

Jasmin siedziała sama w apartamencie i rozmyślała o swoim losie. Uznała, że jest jeszcze całkiem znośny w porównaniu z wegetacją kobiet ze slumsów. Całe życie w gównie. Bez perspektyw. Niby w slumsach są szkoły, ale co daje wiedza, skoro każda z tych kobiet i tak skończy przy taśmie produkcyjnej jak matka i babka. Jeśli nawet próbują o coś walczyć, a przypadkiem dadzą się złapać, karze się je śmiercią. „Nie ma się co dziwić, że Ray tak dobrze się przyjął” - oceniła. Odbiła już poranną gimnastykę, zjadła baton i popiła wodą, lecz nadal nie wiedziała, co dalej ma ze sobą zrobić. Jej głupiutka koleżanka - tak ją nazywała, kiedy była na nią obrażona - spędzała czas w pracy. Innych kobiet Jasmin nie знаła na tyle dobrze, żeby móc się zwierzyć czy po prostu z nimi pobyc. Samotność zaczynała ją dobijać. Nawet była już skłonna iść na plotki. W tym momencie gong dał znać, że ktoś czeka za drzwiami apartamentu. To była Luicey. Jasmin ucieszyła się tym razem na jej widok.

- Zwolniłam się z pracy. Muszę coś zmienić w swoim życiu - powiedziała koleżanka.

- Co ty mówisz? Zwolniłaś się?

- No jeszcze nie, ale poprosiłam o wolne. Chyba jutro się zwolnię, na pewno. Nie wiem, co mam z sobą począć.

- Witaj w klubie. Ale ja chciałabym pracować. A co na to Haenry?

Luicey rozplakała się. Jasmin podeszła do niej i pogłaskała ją czule po ramieniu.

- Co się stało?
- Haenry zapytał, co ja na to, żeby on miał kilka żon.
- Co? Haenry? Taka cip... Ciapa? To znaczy, nie ciapa, tylko... A może się zakochał?
- Mówi, że nie. Ale traktuje to jako patriotyczny obowiązek.
- Wszyscy faceci są tacy sami.
- Addam chce mieć kilka żon?
- Już ja bym mu dała.
- Ale ty jesteś szczęściarą. Nie musisz się dzielić swoim mężczyzną z innymi kobietami. –
Luicey hkała niczym dziewczynka. – Nie mogę pracować. Tak mnie to wszystko przygnębia.
Jasmin zastanowiła się przez chwilę, co by było, gdyby Addam pomyślał podobnie jak Haenry. Przecież nawet nie musiałby pytać o zgodę. Nowe prawo dawało możliwość zawarcia małżeństwa z niezliczonym zastępem kobiet. Nie. Addam na pewno by jej tego nie zrobił. Co by nie mówić, był zasadniczy. W tym czasie Luicey wypłakała się do reszty i wyglądała na odmienioną. Nawet się uśmiechnęła.
- Chcę mieć syna – oznajmiła. – Czytałam, że są takie nowe metody. Kilkanaście dni po seksie, oczywiście takim wiesz, bardziej płodnym, idzie się do lekarza. On bada, czy jest ciąża. Jeśli tak, sprawdza płęć dziecka. Wyobrażasz sobie? Ze zwykłej komórki. Szok, nie? Jeśli to nie chłopak, pozbywasz się problemu od razu. Można robić co miesiąc. Badanie jest dofinansowane przez państwo. Co o tym myślisz? Dobry pomysł?
- A czy to jest bezpieczne?
- Oczywiście, wszystko jest bezpieczne i legalne. Zapisałam się.
Jasmin nie podzielała entuzjazmu koleżanki. Nawet zrobiło jej się żal dziewczyny. Przez chwilę pomyślała, że Luicey mogłaby być jej najlepszą przyjaciółką. Chociaż niezbyt roztropną. Odgoniła szybko tę myśl.
- Wyobraź sobie, mój syn i któraś z twoich córek będą mogli stworzyć cudowny związek. Będziemy teściowymi, ha, ha – chichrała się, klaszcząc, Luicey.
- Ja będę miała trzy córki. Czy ten twój synek nie opędzi wszystkich trzech? Nowe prawo na to pozwala – zażartowała Jasmin.
Śmiały się do rozpuku, ale tylko Luicey cieszyła się szczerze.

Zakaz wykonywania jakiejkolwiek pracy przez mężczyzn był trudny do wyegzekwowania. Wielu z nich nadal zajmowało się prostymi czynnościami domowymi, kiedy nie chciało im się wzywać robota, by na przykład wymienił żarówkę czy uszczelkę w kranie. Ale to była rzadkość. Większość uznała, że skoro takie jest prawo, nie należy z nim dyskutować. Pierwsze dni były ciężkie dla ich żon. Nie potrafiły się przystosować do nowych zasad. Jeszcze trudniej było kobietom, których mężowie od razu zapragnęli mieć kolejne partnerki. Wielu przedstawicieli płci męskiej opacznie zrozumiało intencję zawartą w dekreście aprobującym wielożeństwo. Rządowi zależało na zwiększeniu szans na urodzenie chłopców, mężczyźni zaś traktowali to jako przywilej posiadania kilku służących, z którymi można było do woli uprawiać seks. Zaczął się wyścig o te ładniejsze i młodsze. Trwał krótko, zaledwie do momentu, kiedy rozeszła się informacja, że pewien ojciec trzech synów zażyczył sobie tysiąca bytów zadatku od przyszłych teściów. „Skoro chciała mieć męża, niech płaci” – brzmiał nagłówek w jednej z gazet. Od tej pory pojawiły się targi ślubne.

W ślad za uchwalonymi dekretemi Rząd wprowadził nowy taryfikator. Zasiłek dla każdego pełnoletniego mężczyzny wynosił dwa tysiące bytów miesięcznie, dla żonatego dwa tysiące więcej. Za pierwszego urodzonego syna otrzymywało się po tysiąc bytów miesięcznie, za kolejnych po półtora tysiąca. Ta stawka obowiązywała do momentu uzyskania przez chłopca dojrzałości płciowej. Jeśli więc rodzina posiadała trzech synów, otrzymywała miesięcznie cztery tysiące za ojca i kolejne cztery tysiące za trójkę chłopaków. Można było żyć naprawdę luksusowo. Z kolei podatek za każdą córkę – bez względu na to, czy była pierwsza czy piąta – wynosił tysiąc bytów miesięcznie. W związku z tym, że rodziny mogły się składać z kilku żon, pensje kobiet zrównano. Od tej pory mogły zarabiać nie więcej niż dwa tysiące bytów na miesiąc. Kobiety ciężarne dostawały zakaz pracy, z tym że te noszące w łonie chłopca otrzymywały nadal swoje wynagrodzenie, te zaś, które spodziewały się dziewczynki, nie otrzymywały niczego. Blokady na poczet przyszłych podatków zniesiono w przypadku mężczyzn.

– Ten rząd niczym nie różni się od poprzedniego. Nawet jest gorzej – oceniła Jasmin, kiedy Addam zakomunikował jej nowe zasady, o których przeczytał w gazecie.

– Bądź obiektywna. Ci przynajmniej nas nie okłamują, że lekarstwa są w porządku. Uważam, że zasady są sprawiedliwe. To, że my jesteśmy w dupie, to inna kwestia.

– Bronisz ich?

– To nie jest ich wina. Zdajesz sobie sprawę, że nie damy rady się utrzymać?

– Spokojnie. Policzmy. Na twoim koncie jest dziesięć tysięcy, na moim dwadzieścia sześć. No, nie mów, że nie wiedziałeś. Na koncie mojej matki dziewięć. To jest razem czterdzieści pięć tysięcy bytów. Przez kolejne pięć miesięcy będziesz otrzymywał po cztery tysiące. Kiedy urodzą się dziewczynki, będziemy mieli sześćdziesiąt pięć tysięcy. Powiedzmy po trzech miesiącach po urodzeniu będę mogła wrócić do pracy. To jest...

– Co ty mówisz?

– Liczę, czy nam wystarczy na te pieprzone podatki. Siedemdziesiąt siedem tysięcy minus trzy razy trzy tysiące miesięcznie to dziewięć. Kiedy pójdę do pracy, będziemy mieli na start sześćdziesiąt osiem tysięcy – zakomunikowała z radością. – Wcale nie jest tak źle.

– Brawo. Już ci się w mózgu pojechało. A gdzie koszty?

– Jakie koszty?

– A kto za nas zapłaci za apartament, wodę, energię i te zaszrane batony? A jak się coś zepsuje?

Jasmin zbladła. Nawet nie spostrzegła, że zaczęła obgryzać paznokcie. Dawno oduczyła się tego bezwiednego nawyku, gdyż czuła się jego niewolnicą. Dziś ohydny rytuał wrócił ze zdwojoną siłą. Jasmin schowała twarz w dłoniach. Chwilę wcześniej naprawdę była przekonana, że da się to jakoś ogarnąć. Wściekła się na siebie. Jak ona, umysł analityczny, mogła zapomnieć o podstawowych miesięcznych opłatach czy pożywieniu? I nie tylko dlatego, że płaceniem za nie zajmował się Addam. Sam czynsz, podatek za używanie promieni Hello, woda, kanalizacja i wszystkie inne płatności związane z mieszkaniem wynosiły średnio dwa tysiące bytów miesięcznie. Jedzenie i woda pitna dla dwojga prawie kolejny tysiąc. A przecież ciąża będzie od niej wymagać zwiększenia porcji żywieniowych nawet do czterech batonów dziennie. W tym momencie Jasmin zdała sobie sprawę, że w ich apartamencie nie ma miejsca dla trzech dziewczynek. Kolejny szok. „To co my teraz zrobimy? Czy będziemy musieli przenieść się do slumsów? Nie. Musimy coś wykombinować. Sypialnię można zamienić na

pokój dziecięcy. Super, ale to nie może trwać w nieskończoność. No i na start trzeba kupić trzy łóżeczka, trzy wyprawki” – głowiła się.

- Addam, skąd my weźmiemy na to wszystko pieniądze? – zapytała.
- Usuń tę pierdoloną ciążę, głupia babo!

ROZDZIAŁ 12.

Pokuta

Wiedza, jaką zdobywali kapłani we Floris, bazowała na ustalonym wiele pokoleń wcześniej kanonie. Składał się on z czterech głównych nauk: o przyrodzie, psychologii społecznej, zarządzaniu finansami oraz polityce wewnętrznej. Kiedy Ae kończyła nauki kapłańskie, nie zachowywała się jak większość rówieśników. Od pewnego czasu czuła się nieswojo jako sztubak. Jej wyolbrzymione ego karcilo ją za każdym razem, kiedy musiała zniżać się do poziomu swoich nauczycieli. Gardziła nimi od zawsze. Tylko wykorzystywała ich powołanie.

Kiedy kończyła naukę, najważniejszym i najbardziej szanowanym nauczycielem, a w zasadzie również szefem szkoły, był Wiszare. To on z ramienia Rady Kościoła odpowiadał za jakość nowego narybku. Uczył polityki wewnętrznej. Zawsze dbał o to, by każdy z uczniów nabył właściwy pogląd na wszystkie najważniejsze sprawy w państwie i dobrze rozumiał interpretację grzechów. Jak na kapłana wyglądał dość dobrze. Nie tknął go żąb czasu, zatrucie świętym jadem zaś odcisnęło na nim minimalne piętno. Znał dobrze pochodzenie Ae i jej stosunek do świata. Wiedział, że tylko poprzez kapłaństwo można usidlić jej krnąbrną naturę. Połączenie genów buntowniczkich i obieżyświata. W szkole nikt jej nie lubił. Zawsze górowała nad pozostałymi urodą, wiedzą i inteligencją. Miała nietuzinkową pasję. Lubiła pięknie pisać, co ratowało ją często przed krzywdzącą oceną, jaka sama cisnęła się na myśl jej oponentom. Wiszare bardzo ją szanował. Zdarzały się tu i ówdzie opinie, że łączyła ich zbyt głęboka zażyłość. Bezpodstawnie. Ona tylko skrzętnie wykorzystywała swoją uprzywilejowaną na tle innych uczniów pozycję, a on podziwiał ją za bystrość umysłu. Jej koleżanki i koledzy z początku wysyłali ją, by coś ułatwiła lub załatwiła. Nie lubiła tego. Nie była chętna do udzielania pomocy innym, dlatego z czasem zrezygnowali z upokarzających próśb. Już jako młoda osoba była przedsiębiorcza.

Tego dnia siedziała samotnie w przerwie między zajęciami na średniej wielkości kamieniu. Podszedł do niej dobrze zbudowany, choć niebyt przystojny młodzieniec, nieco starszy od niej. Zanim się odezwał, sądziła, że to kolejna próba wyblągania czegoś u Wiszarego.

– Nie licz na cud – powiedziała, zanim się do niej zbliżył.

– Skąd wiesz, co chcę ci zaproponować? – zapytał.

– Słyszałam to tysiąc razy.

– Że będziesz kiedyś ważną osobą w państwie?

– Nikt mnie tak jeszcze nie nazwał, ale rozumiem twoją desperację – odburknęła i odwróciła głowę.

– Nie dziwię się, że mi nie wierzysz, ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Niebawem kończysz naukę. Zaplanowana za dziesięć wschodów Hello ceremonia zatruwania świętym jadem zakończy się dla ciebie inaczej niż dla innych. Może wtedy zechcesz ze mną porozmawiać. To tyle.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Ae kompletnie nie przejęła się jego słowami, wręcz zbagatelizowała je. Kiedy nadszedł moment ceremonii, była niespokojna. Tego dnia nie

wyglądała na dumną, odważną dziewczynę. Jej cała buńczuczna postawa schowała się głęboko pod pokutną burą szatą, którą zgodnie z tradycją przywdziała specjalnie na tę okazję. Bardzo powoli zmierzała w stronę dziedzińca. Tam zgromadziła się Rada Kościoła pod kierownictwem ówczesnego Najwyższego Kapłana Wszechziemi, niejakiego Shamanui Ke. Członkowie Rady siedzieli na lekkim podwyższeniu, bo stamtąd widać było wszystkich zebranych, zarówno nauczycieli, jak i stojących w równym rzędzie uczniów przewidzianych do zatrucia. Ae podeszła na swoje miejsce, sprawdziła na oko, czy wpasowuje się w idealny porządek ceremonii – czy stoi wystarczająco równo ze wszystkimi. W jej kierunku spojrział Wiszare. Uśmiechnęła się do niego nieszczercze, udając, że z charyzmą drwi z oczekiwanego zabiegu. To na nią czekali wszyscy. Wreszcie odziany w jasnożółty strój kapłański Mistrz Ceremonii mógł zacząć czynić honory. Jeden z asystujących mu uczniów przyniósł tacę ze strzykawicami. Było ich dokładnie dwadzieścia, tyle samo co kandydatów do stanu kapłaństwa. Tym uczniem był ów młodzieniec, którego kilka dni wcześniej poznała Ae. Uśmiechnął się do niej, nisko uklonił zebranym i podał tacę Mistrzowi Ceremonii. Kapłan wziął pierwszą ze strzykawic i wezwał gestem kandydata pierwszego od lewej strony. Stanęli naprzeciwko siebie. Mistrz Ceremonii wbił mu igłę prosto w szyję i wycisnął całą zawartość strzykawicy. Kandydat natychmiast zemdlał. Ten incydent wywołał zaledwie lekkie poruszenie, wszak wszyscy wiedzieli, że zabieg zawsze kończy się tak samo. Dwóch kapłanów niższego szczebla, wyglądających jak żołnierze, wyniosło ciało omdlałego kandydata. Potem sytuacja powtarzała się z kolejnymi uczniami. Ostatnia była Ae. Kiedy Mistrz Ceremonii wziął strzykawicę w dłoń, uczennica nie czekała, aż zostanie wezwana. Sama podeszła na środek placu i nastawiła szyję ciut bliżej niż inni. Ten gest rozbawił Radę. Mistrz Ceremonii szybko wbił igłę i wycisnął ze strzykawicy całą zawartość. Ae przez chwilę broniła się przed utratą przytomności, mrużąc oczy, lecz nie trwało to zbyt długo. Nagle jej głowa osunęła się na lewy bark i zatrzymała w bezruchu. Ae runęła jak długa na ziemię.

Zabrali ją do ciemnej i zimnej izby. Tylko dlatego, że chłód pomaga w cierpieniu. Leżała w bezruchu obok innych. Zwijali się z bólu. Plakali, tarli skórę, masowali się po brzuchach. Po chwili jeden ze świeżo upieczonych kapłanów zaczął defekować, krzycząc przy tym nieznośnie. Innemu zbierało się na wymioty. Szarpało nim, jakby ktoś chciał wyrwać mu kawałek żołądka i wydostać go przez otwór w przelyku. Po jakimś czasie prawie wszyscy darli się wniebogłosy. To wyglądało jak zbiorowa mogiła.

Ae nie czuła się podobnie. Miała ból w klatce piersiowej, ale poza tym żadnych objawów. Kiedy dostrzegła, że jednej z kapłanek z oczu płynie krew zmieszana ze śluzem, odwróciła wzrok. Czuła się jak na torturach, ale tylko dla jej oczu, nie dla ciała. Po kilku dniach do izby wszedł Mistrz Ceremonii. Miał założoną maskę chroniącą przed parszywym smrodem. Zamkniętym w pomieszczeniu od kilku dni kapłanom ten odór wcale nie przeszkadzał, ale dla osób z zewnątrz był nie do zniesienia. Mistrz Ceremonii dokonał pobieżnych oględzin nieszczęśników. Pierwsza reakcja na zatrucie świętym jadem była za nimi. Niektórzy nawet coś wspominali o potrzebie jedzenia. Jak na warunki, w których przyszło im przebywać, to była dość osobliwa prośba. Kolejnym etapem było obmycie ran. W tym celu zaprowadzono wszystkich do wielkiej łaźni. Dopiero tam – kiedy oczy przywykły do światła – mogli zobaczyć swoje nowe ciała. Łuszcząca się skóra, ropnie na całym ciele i zamglone oczy wyglądały przerażająco. Kilka dni bez wody i jedzenia również zrobiły swoje. Ae wyglądała zupełnie inaczej. Była tylko głodna, wychudzona, spragniona i zmarznięta. Jako jedyna została wypuszczona od razu po obmyciu ciała. Kiedy jadła pierwszy posiłek – a w zasadzie można

powiedzieć, że się napychała – przyglądał się jej Mistrz Ceremonii. Widać było, że jest zaskoczony.

Po kilku dniach spotkała owego młodzieńca, który przepowiedział, że tylko ona odczuje inaczej zatrucie świętym jadem.

- Co to za czary? – zapytała.

- To nie czary, tylko nauka – odpowiedział.

- Czy można za pomocą nauki odmienić skład świętego jadu?

- Można go podmienić na coś, co wygląda identycznie, działa podobnie, lecz czego skutki nie są tak opłakane.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- I tak mi nie uwierzysz. Po prostu pogódź się z tym, że masz przyjaciół, którzy cię ochronią i zadbają o twoją przyszłość.

- Mówisz o sobie?

- Ha, ha. Nie. Ja nie mam takiej władzy. Działam na zlecenie kogoś znacznie potężniejszego.

- Działaj dla mnie, a nie pożałujesz.

- Mówiłem właśnie o tobie. Mam na imię Jusif. Pomogę ci osiągnąć bardzo wiele. Musisz tylko mi zaufać.

- Niczego nie muszę – obruszyła się.

Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że powinna przyjrzeć się tej nowej przyjaźni.

- Mam na imię Ae.

Podawała mu dłoń, czując, że tego dnia nie zapomni do końca życia.

Najwyższa Kapłanka Wszechziemi wezwała Zenita. Ucieszył się na spotkanie ze swą panią, z którą nie widział się do kilku dni.

- Powiedz mi, przyjacielu, jak długo się znamy? – zapytała.

- Dlaczego pytasz, pani? Przecież wiesz. No dobrze. Rozumiem. Znamy się ze dwa oczyszczenia. Jeszcze z czasów, kiedy byłaś świeżo upieczoną kapłanką. Zatruto cię kilka wschodów Hello po mnie.

- Dlaczego szef mojej straży, którego znam dwa oczyszczenia i któremu ufam, nie informuje mnie o tym, co się dzieje w moim kraju?

- Nie rozumiem, pani – zdziwił się Zenit.

- Znika człowiek i nikt nie wie, co się z nim stało.

- Chodzi o tego kupczyka, Jusifa?

Ae trafił szlag, kiedy usłyszała jak zwykły – w jej mniemaniu – strażnik nazwał jej prawdziwego przyjaciela. Ten „kupczyk” jeszcze niedawno był jedyną osobą, której tak naprawdę ufała.

- Wybacz, pani, ale nie wydawało mi się to tak istotne. Oczywiście chętnie zajmiemy się poszukiwaniami. Daj nam trochę czasu.

- Co cię tu jeszcze trzyma? Masz zadanie. Wykonaj je. Znajdź go! – krzyknęła w końcu.

Zenit w obawie przed gniewem Najwyższej Kapłanki Wszechziemi natychmiast się oddalił. Kolejną osobą, którą planowała wypytać o zniknięcie Jusifa, był Haris. Z nim jednak zamierzała przeprowadzić zupełnie inną rozmowę. Kiedy przybył do jej komnaty, zdziwił się, że przyjęła go podczas spożywania posiłku, zupełnie bez świadków.

- Poczęstowałabym cię, ale wiem, że i tak odmówisz – zaczęła rozmowę.

- Wiesz, pani, że wielokrotnie próbowałem waszego jedzenia? Zawsze kończyło się dokładnie tak samo. Mimo to próbowałem znowu. Jakbym zapomniał o boleściach, które wywoływało trawienie prawdziwego pożywienia.

- Co cię skłaniało do kolejnej próby?

- Zapach. Jest bardzo kuszący i... wywołuje dziwną reakcję w moim organizmie. Kiedy czuję woń waszych posiłków, nie wszystkich, napływa mi ślina do ust. Mój żołądek daje sygnał o potrzebie sytości.

- Nic dziwnego. Jedzenie jest bardzo przyjemne. Żałuj, że przeszliście na te wasze batony.

- Tak jest zdrowiej.

- Poważnie? Gdybyś jednak zmienił zdanie... Nieważne. Jutro ruszacie do Vatili Soll. To blisko stąd. Dzień drogi w kierunku wschodniej ćwiartki. Chciałabym zapytać, czy wszystko jest zgodnie z naszymi ustaleniami. Czy wywiązałam się z tego, czego ode mnie oczekiwałeś?

- Nie ja. To była prośba pana premiera. Ale tak. Nie mogło być lepiej.

- Czy zatem możesz mnie oświecić, jak to się stało, że Najwyższa Kapłanka Wszechziemi uczyniła to, czego sobie zażyczył zwykły asystent? Choćby nawet dla jego przełożonego. Rozbawiło go to wyznanie. Westchnął lekko i uśmiechnął się do niej.

- Może dlatego, że chciała być uwiedziona?

- Bzdura! – oburzyła się. – Jestem osobą duchowną. Zastępuję boginię.

- Oczywiście – odpowiedział szybko z lekką ironią w głosie. – A może między innymi dlatego, że ten asystent znał prawdę o twojej boskości i o tym, skąd się wzięła?

- Widocznie tak chciała Patri.

- Jasne. A czy Patri chciała również, by twój przyjaciel kupił głosy lub zaszantażował członków Rady, aby zwykła dziewczyna stała się Najwyższą Kapłanką Wszechziemi?

Ae patrzyła dumnie w jego kierunku, choć w jej głowie pojawiały się myśli o sromotnej karze.

- Czy to nie był zbieg okoliczności, że przeskoczyłaś o jeden poziom w karierze i od razu po szkoleniu wojskowym stałaś się kapłanem wysokiego szczebla?

- Zdarzały się wcześniej takie przypadki, jeśli kapłan dysponował wybitnym talentem do zjednywania sobie starszyzny.

- Oczywiście. Ale jeśli się doda do tego inny incydent, na przykład śmierć twojego poprzednika niewiele wschodów Hello po zaprzysiężeniu, czy nadal będzie to zbieg okoliczności?

- Wszare umarł na serce – oburzyła się.

- Dobrze, ha, ha. – Na twarzy Harisa pojawił się szyderczy uśmiešek.

Ae z większością zarzutów się zgadzała, w kwestii śmierci szanowanego kapłana, jakim był Wszare, nigdy jednak nie poznała prawdy. Miała tyle pytań do Jusifa, a on zapadł się pod ziemię. Chciała zadać ich jeszcze więcej Harisowi, ale brakowało jej śmiałości. Na jej szczęście Haris nie był typowym szpiegiem, którego celem było trzymanie języka za zębami. Był sprytnym, ale jednak normalnym asystentem. Jego silna potrzeba górowania nad swoją rozmówczynią zmuszała go do wyjawiania kolejnych tajemnic. Wolał jednak cedzić posiadane informacje i powoli karmić się jej obawami. Ona celowo go podpuszczała. Pasował jej ten układ.

- Wszare został otruty pewnym specyfikiem. Przygotowaliśmy go dla Jusifa – powiedział. – To nic innego jak środek chemiczny, który potrafi zatrzymać serce, a równocześnie

doszczętnie truje mózg ofiary. Tak na wszelki wypadek. Innych objawów nie wywołuje, dlatego zdiagnozowaliście to, co chcieliśmy. Byliście pewni, że nie będziecie grzebać mu w głowie.

- Zatem Jusif pracował dla was?

- Myślałem, że to już wiesz.

- Co się z nim stało?

- Tego nie wiem. Tutaj był spalony. Pewnie się ukrył.

- On przynajmniej nauczył się spożywać nasze posiłki - zażartowała na odchodne, lecz Haris nie rozumiał jej kpiny.

Ae znów nie miała ochoty prowadzić dalszej dysputy z tym beznadziejnie pyszałkowatym cwaniakiem. To, czego chciała się dowiedzieć, sam jej wygadał. Wnioski tylko ją dobiły. Ufała Jusifowi, traktowała go jak swojego człowieka. Szczególnie kiedy wysyłała go na przeszpiegi. Teraz okazało się, że był podwójnym agentem. Kiedy zaczęli współpracować, miała wrażenie, że ktoś nad nią czuwa i dlatego przysłał tego człowieka. Sądziła, że to któryś z członków Rady, na przykład właśnie Wiszare. Być może pomagał jej w karierze, bo widział w niej sojuszniczkę. Z czasem zapomniała o tej myśli i uwierzyła, że Jusif faktycznie pracował tylko dla niej. Nigdy nie podejrzewała go o zdradę. Wielokrotnie była przekonana, że nawet się w niej podkochał. Również wtedy, kiedy przyprowadzał jej kochanków. Potajemnie.

Dom starszego człowieka faktycznie nie miał zamknięcia. Kiedy Fahid zbliżył się na odległość kilku kroków, już wiedział dlaczego. Żadnej zasuwki ani niczego, co mogłoby zapewnić ochronę i intymność. Drzwi działały wahadłowo, lecz z pewnością żaden potencjalny rzeźmieszek nie chciałby ich dotknąć. Wyglądały jak wrota do zafajdanego wychodka. Z domu dochodził duszący, kloaczny odór. „Kim jest właściciel tego nietuzinkowego domostwa?” - głowił się Fahid. Nie chciał wejść do środka, lecz wiedział, że nie może wyjmować z ukrycia kuszy bezpośrednio na podwórku. Jeszcze by ktoś zobaczył i miałby poważne kłopoty. Potrzeba szybkiej nauki strzelania okazała się silniejsza niż smród. Odepchnął butem jedno ze skrzydeł, lecz niestety prędko wróciło na swoje miejsce. Żeby prześliznąć się do środka, musiał przytrzymać drzwi, by nie zaczęły się huścić. W tym celu wykorzystał kawałek patyka leżący przed domem.

W środku było jeszcze gorzej. Fahid powstrzymywał wymioty. Przeszedł przez poszczególne izby, lecz nie znalazł nikogo. Postanowił natychmiast wyjść i poczekać na zewnątrz. Zbliżył się do okuraj, lecz zwierzę parsknęło na znak dezaprobaty z powodu przyniesionego na ubraniu zapachu. Po dłuższej chwili Fahid ujrzał w oddali zbliżającego się jego kierunku starego dziada. Był zupełnie łysy, a twarz miał pooraną bliznami. Szedł o ciężkiej, metalowej lasce. W zasadzie dreptał, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Kiedy się zbliżył, Fahid zauważył, że dziad nie ma prawej ręki. Szybko też poczuł, że jego brudne ubranie jest przesiąknięte smrodem. Miał długie, czarne od brudu paznokcie u rąk i nóg. Na jego stopach odzianych w rzemieńne sandały widać było łuszczące się warstwy błota.

- Czego szukasz? - zapytał dziad, rzucając nieprzyjemne spojrzenie.

- Szukam osoby, która nauczy mnie strzelać z kuszy, ale nie wiem, czy dobrze trafiłem - powiedział Fahid, lustrując zwisający, pusty aż od barku rękaw.

- Co to jest kusza? - zapytał niepewnie bezręki, choć widać było, że nie umie kłamać.

- Pokazać ci? - Fahid zaczął wyjmować zawiniątko niedbale przymocowane do upręży okuraj.

- Zostaw. Za samo oglądanie można nieźle oberwać. Po co ci taka umiejętność? Kto ci się naraził?

Fahid wahał się z odpowiedzią. Starszy, śmierdzący człowiek bez ręki nie wzbudzał zaufania. Już sam jego podejrzany wygląd wróżył kłopoty. Czas jednak biegł nieubłaganie.

- Moja córka została porwana.

- Od tego są kapłani. Zgłoś ten incydent Kadu. To jego rewir - powiedział dziad. Widać było, że samo wypowiedzenie imienia tego kapłana wywołało w nim niezbyt przyjazne wspomnienie.

- To by nie pomogło.

- Kadu jest wyjątkowo nieudolnym kretyńcem i pijakiem, ale za nim stoi władza.

Fahid poczuł, że spotkał sprzymierzeńca. Że być może mógłby się mu zwierzyć, ale nie miał czasu do stracenia.

- Czy wytłumaczysz mi, jak należy się posługiwać kuszą? Proszę. Muszę ratować córkę.

- Pokaż.

- Tutaj? Przed chwilą mówiłeś...

- Wiem, co mówiłem.

Fahid pospiesznie wyjął kuszę z zawiniątka i podał starszemu człowiekowi. Widać było, że mężczyzna zna dobrze tę broń i umie się z nią obchodzić, nawet bez jednej ręki. Chwycił pewnie i zerknął na Fahida ponaglająco. Dopiero po tym spojrzeniu Fahid przypomniał sobie o małych ustrojstwach, które są nieodłącznym elementem tej broni. Wyjął zatrute strzałki. Starszy człowiek włożył kuszę między nogi, a dłonią umieścił jedną ze strzałek w wyłobionym torze i naciągnął cięciwę. Znowu chwycił kuszę ręką. Wycelował w drzwi swojego domu i pewnie oddał strzał. Fahid był oczarowany.

- Teraz ty - powiedział śmierdzący człowiek.

Uczeń wykonał to samo co nauczyciel, choć używając obydwu rąk, lecz nie trafił w drzwi, tylko w jedną ze ścian.

- Musisz trzymać mocniej. Kusza nie może drgnąć. Pamiętaj, drzwi są nieruchome, a człowiek potrafi uciekać.

- Skąd wiesz, że chcę zaatakować człowieka?

Śmierdzący mężczyzna bez ręki tylko parsknął. Fahid strzelił kolejny raz. Tym razem trafił w drzwi. Uśmiechnął się, jakby czekał na oklaski. Jego nauczyciel ani drgnął.

- Masz talent. Za naukę należy się pięć szarych kamieni - powiedział.

Fahid zawahał się, lecz po chwili zapłacił. W sumie był zadowolony z usługi, ale uznał, że nie godzi się tak kończyć znajomości.

- Jak cię zwać? - zapytał.

- Pochodzę ze wschodniej ćwiartki. W naszych stronach takie pytanie odebrano by jako nietakt. Ja cię nie pytam, jak się nazywasz, zresztą mnie to nie interesuje.

- Ze wschodniej? Nie wyglądasz na szczerbatego.

- No i co w tym dziwnego?

Fahid właśnie zdał sobie sprawę, że wszystkie opowieści, którymi raczył go ojciec, a potem on swoje dzieci, mogły być wyssane z palca. Nie tylko ta o szczerbatych, dzikusach czy pokunie. Zawstydził się. Schował kuszę do zawiniątka, wsiadł na okurai i odjechał w kierunku Patrix. Jeszcze przez dłuższą chwilę czuł dobywające się z odzieży resztki zapachu domu starszego człowieka. Dzięki nim w jego głowie kotłowały się niezrozumiałe myśli. Zastanawiał się, jakim nietaktem się wykazał wobec starego dziada, kim on był, dlaczego nie przeskadzał

mu smród i dlatego nie miał ręki. Posługiwanie się bronią we Floris było zakazane. Posiadanie karane. Zgodę na jej używanie miała tylko władza, w zasadzie kapłani. Czyżby starszy człowiek był jednym z nich? W sumie nie miał włosów i zarostu, lecz nie przypominał wyglądem Kadu. Był zdecydowanie bardziej zaniedbany. Nie wyglądał jak wizytówka jedynej słusznej religii, raczej jak wyrzutek społeczny.

Osada Vatili Soll, w której mieli się osiedlić przedstawiciele Rządu Inco, wyglądała na ubogą. W związku z przybyciem imigrantów Ae nakazała przesiedlenie żyjących w niej mieszkańców, a także wszystkich z okolicy. Chciała, by o pobycie gości wiedziało jak najmniej osób. Barney Clifford nie docenił okazanej pomocy. Czuł się jak więzień skazany za karę na pobyt na najgorszym zadupiu na świecie. Mimo że dom, w którym zamieszkał wraz z żoną, synem i bratem, był dość zadbane, premier Rządu kraju, w którym czystość była narodową obsesją, ocenił go jako najgorszy chlew. Słyszał od Harisa, że mieszkańcy Floris nie korzystali z promieni Hello. Rozumiał, że nie były im potrzebne do teatromanii czy robotyki, ale żeby nie wykorzystać ich do oczywistych rozwiązań jak oświetlenie domu nocą? Tego nie był w stanie pojąć. Kazał zabrać z Inco kilkadziesiąt przenośnych agregatów prądotwórczych wytwarzających i kumulujących w bateriach energię z promieni Hello oraz nieskomplikowane doświetlacze.

W sąsiednim, mniejszym domku zamieszkał Rubby wraz z małżonką. Nie byli tak wybredni, nawet im się spodobało. Kolejne domostwa pozajmowali pozostali ministrowie ze swoimi rodzinami. Haris wraz z kilkoma ochroniarzami premiera zamieszkali w małej chatce na skraju osady. Całość została otoczona kordonem straży pilnującej tego miejsca za dnia i w nocy. Nikt nie mógł się przedostać na zewnątrz osady ani do jej wnętrza. Polecenie Ae było jednoznaczne. Należało gości otoczyć tak zwaną kompleksową opieką. A przy okazji od razu odebrać zapłatę za ich pobyt. Jeszcze tego samego wieczora, kiedy grupa imigrantów dotarła do osady, pojawili się najzdolniejsi technicznie kapłani. Rozbili mały obóz składający się z kilku czteroosobowych jurt, gdzie urządzili swoje legowiska, a także podręczny warsztat i miejsce do nauki. Goeffrey był lekko zdziwiony takim obrotem sprawy. Zgodnie z decyzją brata miał raczej nie spieszyć się z przekazywaniem wiedzy. Na wypadek gdyby Ae oceniła, że nie ma potrzeby dalszej nauki, a tym samym zechciała skrócić pobyt Rządu na emigracji. Kapłani od techniki potrafili jednak skutecznie wymusić bezwzględne rozpoczęcie szkolenia.

– Panowie – rozpoczął kolejnego ranka Goeffrey. – Powinniśmy zacząć od podstaw. Energia Hello ma wielką moc. Potrafi dać życie, ale również je odebrać, jeśli się z nią postępuje niewłaściwie. Porusza się dzięki falom.

W tym momencie zauważył, że na twarzach większości kapłanów pojawiły się grymasy zmieszanej tępoty z niewyobrażalnym zaskoczeniem. Jakby kompletnie nie rozumieli, o czym mówił. Pomyślał tylko, że jego brat nie powinien się martwić o tempo przyswajania wiedzy. Nauka potrafi najwyraźniej bardzo długo. Być może nigdy nie zdołają przekazać obiecanej wiedzy i technologii.

– Czy możesz nam pokazać te fale? – zapytał najbardziej dociekliwy.

– Fal energii nie można pokazać bez specjalnych urządzeń, których tutaj nie posiadamy. W Inco mamy setki tysięcy różnych przydatnych machin. Nie mogłem ich wszystkich zabrać. Pokażę wam za to, jak działają te fale. Praktyczna nauka jest zawsze najbardziej efektywna.

Goeffrey uruchomił jedną z maszyn. To była wiertnica do wykonywania otworów pod fundamenty. Ustawił panel do poboru energii w kierunku świecącej gwiazdy i po chwili widać było, jak urządzenie, czerpiąc siłę z Hello, rozpędza wiertło pracujące na sucho w powietrzu. W końcu przyłożył je do ziemi. Wystarczył moment. Wiertnica wykonała otwór o średnicy prawie jednego łokcia i głębokości kilku. Kapłani z aprobatą ocenili to na wskroś efektywne urządzenie. Do tej pory widzieli w akcji tylko kilka machin rolniczych. Działy powoli i niedokładnie.

Wbrew temu, co myślał o nich Goeffrey, kapłani wcale nie byli ignorantami. Brakowało im podstaw, ale szybko przyswajali wiedzę. Byli jej stale głodni. Najbardziej zaskoczył go fakt, że wszystkie prawdy, jakie im przekazywał, potrafili sobie wytłumaczyć w znany im sposób. Inny, ale nie gorszy. Również logiczny, choć prymitywny. Docenił prostotę ich toku myślenia. Postanowił podzielić się swoim odkryciem z bratem podczas wieczornej rodzinnej rozmowy.

- Nie żartuj – odpowiedział Barney. – Może i są inteligentni, ale wiedza, którą dysponują, zatrzymała się na piątej erze.

- Ja bym nie lekceważył ich zaangażowania i pasji. Na swój sposób są świadomi prawideł życiowych. Nie wolno tego bagatelizować – martwił się Goeffrey.

- To dlaczego do tej pory nawet nie zelektryfikowali stolicy?

- Bo oni to wszystko widzą inaczej. Według ich wiary promienie Hello pomagają rozwijać się roślinom, zwierzętom, o ludziach nie wspomnę. Ale wracając na przykład do roślin, sprawa wygląda tak: żeby roślina urosła, potrzebuje promieni Hello.

- Oczywiście.

- Poczekaj, teraz ważniejsze. Tłumaczyli mi, że chodzi o ruch, wędrówkę, coś jakby wymianę energetyczną. Bo w roślinach te promienie się akumulują. Kiedy jedzą je zwierzęta czy ludzie, energia dociera do nich. Gdy roślina obumiera, promienie Hello idą z nią do ziemi i pomagają rosnać kolejnym roślinom. Jeśli taką roślinę spalimy, energia w niej zawarta wyemituje ciepło i światło, które dotrze z powrotem do gwiazdy. Dlatego oni wszędzie palą pochodnie i ogniska, żeby oddać Hello, co jego. Tak im nakazała Patri. Poza tym według kapłanów, skoro płomień się świeci i jest gorący, działa jak mini-Hello, ale nie na niebie, tylko na Wszechziemi. Po co marnotrawić promienie docierające bezpośrednio z gwiazdy, które są potrzebne do upraw czy rozwoju, skoro ziemia i tak prędzej czy później odda, co zabrała?

- Za bardzo to skomplikowane. Po co tak gmatwać? – fuknął Barney.

W tym momencie do domostwa Cliffordów przybyli Haris i Rubby. Barney zdziwił się tak późną wizytą, lecz po chwili na wszelki wypadek odprawił gestem żonę, brata i syna.

- Co tam, panowie? – zapytał, kiedy upewnił się, że nikt nie przeszkadza w rozmowie.

- W Inco ukonstytuował się nowy Rząd. Premierem została Eva Noovack – powiedziała Rubby.

- Co? Ona? – Clifford złapał się za głowę. – Jak to możliwe? Nie wiedzieliście, że coś knuje? – zwrócił się do Rubby'ego.

- Jak każdy dyrektor była wielokrotnie prześwietlana. Jedyne, co pamiętam, to to, że się rozwiodła, a potem z powrotem wyszła za mąż za tego samego człowieka. Nie kojarzę niczego więcej, co mogłoby wydawać się podejrzane. Właśnie się dowiedzieliśmy, że dzień po ataku hakerów na teatromanię wystąpiła z Partii Chemików, ale tego dnia przyszło wiele wypowiedzi.

- Czy ona wiedziała o Czarnych Dłoniach? – spytał Clifford.
- Rubby zamyslił się przez chwilę. Widać było, że to pytanie go zaskoczyło.
- Nie sądzę. Nie. Na pewno nie. – Rubby wił się jak piskorz.
- Dobrze, że jesteśmy dość blisko granicy. – Wybawił go Haris, odsuwając zainteresowanie Clifforda. – Tu dociera się komunikatorów. Mój zaufany człowiek przekazał mi, że wyznaczono za nasze głowy nagrodę. Niemalą. Powrót zaczyna się oddalać – powiedział.
- Wręcz przeciwnie. Z każdym dniem Noovack będzie rosła w siłę. Musimy wrócić szybciej, niż planowaliśmy, by odebrać, co nasze – zdecydował Barney Clifford.
- Czy to na pewno dobry pomysł? Tu jesteśmy bezpieczni – powiedział Haris.
- Co za bzdura? Tylko dlatego, że trzymamy kapłankę w garści, jeszcze żyjemy. Ta cała nędzna Rada Głupców z chęcią by nas wyrzuciła.
- Jeśli mam być szczery, prędzej czy później Ae nam tego nie daruje, że musiała się ugiąć. Uważam, że jej pierwsza wizyta tutaj będzie sygnałem ostrzegawczym. Teraz jeszcze czuje się niepewna, ale nic nie trwa wiecznie. – Rubby zrobił zasepioną minę.
- Skąd taki wniosek? – zapytał z troską Clifford.
- Przecież wiemy o niej wszystko. Mieliśmy w jej pałacu kilku naszych.
- Jak to „mieliśmy”? Chyba nie wszyscy się skryli jak ten tchórz Jusif? A jak się nazywa ten nasz kapłan? – zdziwił się Clifford.
- Ma na imię Rados, ale jest kompletnie nieprzydatny. Ae mu nie ufa, on regularnie jej podpada.

Zenit wyjątkowo był bardzo zaniepokojony. Nie jak przystało na szefa Purpurowej Straży. Wystarczyło spojrzeć prosto w jego zwyczajowo spokojną twarz, by zrozumieć, że martwi go problem wielkiej rangi. Tego dnia oczy miał rozbiegane. Na spotkanie z Najwyższą Kapłanką Wszechziemi szedł niezbyt szybkim krokiem. Oddalał w czasie przekazanie niewygodnej informacji. Ae czekała na niego od dłuższej chwili. Już nawet nie była zniecierpliwiona, jej irytacja minęła. Głowę miała zajęta wspomnieniami. Zapukał nieśmiało i krótko.

- Wejdz.
- Witaj, pani. – Zenit uklonił się jak zwykle nisko i z szacunkiem.
- Czekałam długo, więc nie musisz się spieszyć z odpowiedzią – powiedziała z lekką ironią, przyglądając się ukradkiem jego nerwowej postawie.
- Wybacz, pani. Wolałam się upewnić, czy informacja, którą mam ci do przekazania, może być prawdziwa.
- A zatem?
- Niespodziewana śmierć Pirny zaprowadziła nas do jej krewnych. Okazało się, że wszyscy nie żyją. Kiedy spalono ich żywcem na ich własnym podwórku, widziano w okolicy człowieka wyglądającego jak cwaniakowaty kupiec. Mamy pod strażą jego pomocnika. Wie sporo. Przyznał, że to sprawka Jusifa.
- Ae zamarła. Oblizła spierzchnięte wargi i przełknęła ślinę.
- Przyprowadź go.
- Jeśli pozwolisz, pani, zrobię to pojutrze. W tej chwili jest przesłuchiwany.
- Czy to kpina, czy sen? – oburzyła się Ae.
- Nie, moja pani, przyprowadzimy go po zakończeniu procedury.
- Ja ustalam procedury!

- Odmawiam. Procedurę ustalono trzy ery temu. Jest święta i nikt nie może jej zmienić samodzielnie. Może to zrobić tylko Rada. Tak mówi kanon.

Ae wzięła głęboki wdech i szybko wypuściła powietrze.

- Jak nazywa się ten człowiek? - zapytała spokojniejszym tonem.

- I tu ciekawostka. Twierdzi, że Haris Sagavara.

- Co?

- Nie jest taki żylasty jak tamten. Jest, można powiedzieć, krępy. Na pewno pochodzi stąd, nie z Inco. Nie, on raczej nie wygląda na takiego, który miałby do czynienia z ich jedzeniem.

- Czy to zbieżność nazwisk?

- Nie sądzę. Kiedy się przedstawiał, obserwował moją reakcję. Starłem się nie pokazać zaskoczenia, ale może zdradziło mnie moje ciało. Nie jestem pewny.

- Czy możesz mi chociaż powiedzieć, czego się od niego dowiedziałeś?

- Tak. Powiedział, że Jusif był szpiegiem z Inco.

Ae zamknęła oczy i zaczęła oddychać przez nos.

- Powiedział też, że Jusif nie żyje. Że został zabity na twoje zlecenie.

- Co? To niedorzeczność - oburzyła się Ae.

- Też mi się to wydawało nieprawdopodobne. Wyjaśniamy rewelacje nowego Harisa Sagavary.

- Kto zajmuje się sprawą?

- Ja. Nie dopuszczam nikogo.

- Dobrze. Jestem ciekawa twojego raportu. A teraz wracaj do swoich obowiązków.

Zenit kiwnął głową i wyszedł chwiejnym, niespokojnym krokiem. Kiedy opuścił komnatę, odetchnął z ulgą. Był świadomy, że to nie koniec jego kłopotów, ale odczuwał zadowolenie, że z tej trudnej rozmowy wyszedł obronną ręką. Zaraz za drzwiami minął się z Kiforem. Kapłan zachowywał się nerwowo, wyglądał na przyłapanego na podsłuchiwanie. Wymienili się zimno spojrzeniami.

- Melduję, że nabór przebiega zgodnie z planem, pani - zagadnął Kifor, wchodząc do komnaty kapłanki.

Ae nie zareagowała. Myślamy była zupełnie gdzie indziej. Zastanawiała się, kim był drugi Haris i czy ten pierwszy był prawdziwy, czy tylko kogoś udawał. Była to kolejna osoba, która wiedziała zbyt dużo. „Za chwilę całe państwo będzie szumieć” - pomyślała kapłanka.

Kiedys Floris było dobrze oznakowane, ale nikt nie dbał o drewniane, kierunkowe tabliczki z wizerunkami konkretnych miast, osad czy regionów, dlatego z czasem wyblakły lub rozeschły się na wietrze. Fahid nie miałby żadnych szans w pogoni za bezduszną trójką kapłanów eskortujących jego córkę, gdyby zdał się tylko na nie. Na niektórych rozstajach dróg musiał się nieźle nagłówkować, żeby podjąć decyzję, w którą stronę powinien pójść. Nocą było prościej. Wystarczyło poobserwować niebo, a dokładnie kierunki wyznaczane przez widzialne księżycy - tę metodę znali nawet niepiśmienni Floriańczycy. Za dnia Fahid musiał czasem posłuchać swojej intuicji. Wiedział jedynie, że po minięciu osady Litrijis powinien zmierzać w kierunku duchowej stolicy kraju. Patrix znajdowało się tuż pod szczytem góry Saandreal. Był już zmęczony podróżą, lecz wiedział, że nie może trwonić ani chwili. Choć nie miał doświadczenia łowcy, jego determinacja opętana chęcią wyrwania córki z łapsk Kościoła tylko dodawała mu werwy. Nie potrafił też czytać śladów. Poza tym poruszał się po nieznanym

terenie, a całe swoje życie nigdzie nie podróżował. Najdalej był w Litrijis. I to wszystko. Trochę znał miasto Hambarra, ale tylko z opowieści ojca, które mogły się okazać nieprawdziwe. Każdy inny zakątek był dla niego zupełnie nowym odkryciem. W okolicy, w której mieszkał, wszyscy farmerzy zajmowali się zarobkową uprawą durszny. W ich przydomowych ogródkach rosły fioletowe warzywa puke oraz kilka gatunków owoców hodowanych tylko na własne potrzeby. Nie na handel. Urozmaicały dietę. Fahid zdał sobie sprawę, że ogromne pole pełne krzewów, które właśnie miał, to uprawa rośliny zwanej mao. Z jej ziaren wyrabiało się mąkę, tak przydatną w każdym gospodarstwie. Nigdy wcześniej nie widział jej na żywo. Zdumiał go bezkres granatowej barwy łodyg i liści, szerokie wstęgi ochronnych sieci o drobnych oczkach i co kawałek wbity w ziemię, niezdarnie wyglądający strach na ptaszki kripi. Te małe stworzenia, choć wyglądem przypominały przyjazne motyle, bywały wyjątkowo wredne. Kiedy całymi stadami obsiadały spory kawałek pola mao, potrafiły w gnieniu oka zeżreć praktycznie każde ziarno. Łapano je w sieci i obdzierano ze skrzydełek, które po ususzeniu służyły jako przekąska.

Fahid dojechał do wielkiej miedzy oddzielającej poszczególne parcele. Zauważył, że droga, którą zmierzał, zmieniła kierunek. Jakby oplatała pola uprawne, meandrowała pomiędzy poszczególnymi arealami. „Jaka to strata miejsca” – pomyślał i wtedy w oddali ujrzał niedawno zagazzone ognisko. Podjechał szybko, by sprawdzić, czy to zbieg okoliczności, czy może łut szczęścia. Z jeszcze ciepłego paleniska wydobywał się delikatny dym. Nie musiał być wytrawnym śledczym, żeby stwierdzić, że pozostawione okruchy i resztki jedzenia sygnalizowały czyjś postój. Fahid postanowił wykorzystać zmniejszający się dystans między nimi i przyspieszył.

Niewiele czasu zajęło mu dojechanie na tyle blisko, żeby rozpoznać znajomy głos. Była to Sumi. Śpiewała rzewną pieśń sundryjską, a echo pomiędzy pagórkami tylko potęgowało jej smutny charakter.

- Zamknij się w końcu! – krzyknęła Hara.

- Daj jej spokój – bronił dziewczynki Kadu.

Sumi nie przestawała śpiewać, wręcz jakby celowo jej głos stawał się donośniejszy. Ucieszył Fahida. Znow poczuł zastrzyk energii. Teraz był pewny, że jego córka jest dzielną dziewczynką. Warto dla niej iść nawet na koniec świata. Ale nie należy dać się zabić. „Trzeba to zrobić mądrze” – pomyślał farmer. Liczył, że wykorzystując zaskoczenie, mógłby obezwładnić jedną z osób. Ale wtedy każda z pozostałych natychmiast zrobiłaby mu krzywdę. Nie tylko jemu, Sumi też była zagrożona. Nie czuł się wprawnym kusznikiem, więc o obezwładnieniu całej trójki porywaczy nie było mowy. Postanowił poczekać na kolejny postój i porwać córkę pod osłoną nocy. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Pojawiło się kilka zapasowych planów, ale wszystkie wydawały mu się zbyt naiwne lub niemożliwe do wykonania. Jedno było pewne: dzięki posiadanej kuszy czuł się pewniejszy. Śledził ich w bezpiecznej odległości przez wiele godzin. Kiedy zapominał, w jakim celu to robi, zdarzało mu się zwrócić uwagę na mijany krajobraz. Czasem coś go nawet zachwycało.

Po ominięciu morza granatowych pól z krzewami mao Kadu i jego drużyna doszli na szczyt wielkiej, zielonej wyżyny, z której na horyzoncie było już widać wąwóz Asaran. Byli blisko Patrix. Na szczęście zbyt daleko, żeby zdążyć przed zmierzchem. Zaraz po wymarszu z Litrijis okurai, którego dosiadała Hara, okulał i dlatego jechali wolniej, robiąc co jakiś czas przystanki. Jadący za nimi Fahid nie mógł dłużej zwlekać z akcją odbicia córki. Na jego szczęście Kadu zarządził rozbicie obozu. Fahid skrył się w krzakach i na wszelki wypadek

założył swojemu okurai kaptur na głowę. Stanowiło to sprawdzony sposób, by zwierzę nie wydawało żadnych odgłosów.

Nie warto było palić wieczornego ogniska. Tym razem Kadu i dwie wojowniczkę eskortujący Sumi zadecydowali, że posilą się zimnym prowiantem i nie będą się modlić w obecności dziewczynki. Zanim zdążyli zjeść po kawałku mięsa tینه, przegryźć go plackiem i popić, czym kto lubi, zrobiło się szaro. Polanę, na której się zatrzymali, oświetlał już pierwszy z widzialnych księżyców, dlatego nie było potrzeby rozpałać nawet pochodni. Kadu schował się pod wóz i okrył narzutą. Był zmęczony i senny. Hara oparła plecy o drzewo i zamknęła oczy. Wiedziała, że musi spać krótko i intensywnie. Po północy, czyli za dwie godziny, obudzi ją Nate. Będą musiały się zmienić na warcie. Delikatne odgłosy fauny szybko ją uspiły. Nauczyła się tego podczas wielu praktyk bitewnych, które organizował Ling Gui. Po chwili Kadu zaczął chrapać. Nate pokręciła tylko głową z niedowierzaniem i kopnęła go w nogę.

- Ciszej, bo obudzisz sahadi – powiedziała szeptem.

Kadu pomlaskała dziecinnie i przekreślił się na drugi bok. Fahid nie przewidział, że grupa wystawi wartownika. Sądził, że po prostu wykradnie po cichu swą córkę, kiedy wszyscy będą spali. Przez chwilę bił się z myślami, co zrobić. Powoli, prawie bezszelstnie, wyjął z zawiniątka kuszę, drżącą ręką umieścił strzałkę i naciągnął cięciwę. Broń była gotowa do uśmiercenia wartowniczkę. Wystarczyło dobrze wycelować. Żeby to było takie proste. Wszak kuszę trzymał świeżo upieczony strzelec, pełen empatii rolnik bez zbrodniczej praktyki. Dobry człowiek, nie morderca. Fahid zerknął w kierunku córki. Siedziała skulona ze wzrokiem wpatrzonym w niebo. W tym momencie już trzy z czterech widzialnych księżyców utworzyły jedną linię, tak zwany współksiężyc. Dzięki temu zrobiło się jeszcze jaśniej. Niebo było bezchmurne. Pogoda bezwietrzna. Można by pomyśleć, że to idylla. Fahid wycelował prosto w klatkę piersiową Nate. Wolał być pewny, że trafi. Wiedział, że ma tylko jeden strzał. Wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach. Zwolnił cięciwę i westchnął. Strzałka poszybowała w kierunku wartowniczkę, lecz nie trafiła w jej korpus. Uderzyła prosto w twarz, rozrywając policzek. Nate krótko jęknęła i szybko opadła na ziemię. Hara usłyszała zarówno świst, jak i delikatny odgłos opadającego ciała kompanki. Natychmiast wstała, czujnie się rozglądając. Wysłała złowrogie spojrzenie w kierunku Sumi. Dziewczynka właśnie zdała sobie sprawę, co się wydarzyło, i zakryła oczy dłońmi, jakby nie chciała zobaczyć zwłok. Hara podeszła do Nate i sprawdziła, czy oddycha. Zatruta strzałka zrobiła swoje. Nastąpiła szybka i bezbolesna śmierć. Jedynie naderwany policzek dowodził, że wydarzyło się coś potwornego. Poza tym nie było widać niczego, co mogłoby być w najmniejszym stopniu podejrzane. Kadu nadal smacznie spał. Fahid wzniosł oczy w niebo i krótko pomodlił się w myślach. Zapomniał, że miał tego więcej nie czynić, ale jego myśli same podpowiedziały mu takie rozwiązanie. Zrobił to instynktownie, jak zawsze, kiedy musiał uśmiercić zwierzę, by później poćwiartować jego ciało na przemyślanej wielkości kawałki przeznaczone do spożycia. Zdał sobie jednak sprawę, że to nie zwierzę, ale człowiek, któremu właśnie odebrał cenne życie, i to w celu polepszenia bytu innemu człowiekowi, córce. W tym momencie Hara podkraśniała się do Kadu. Szarpnęła go za odzienie.

- Wstawaj – powiedziała szeptem.

- Już rano? – zdziwił się.

Hara pokazała, by się nie odzywał. Wskazała na leżące ciało Nate. Kadu przetarł oczy, jakby nie wierzył w to, co się stało. W tej chwili strzałka Fahida trafiła Harę prosto w szerokie plecy. Warknęła jak zarzynane zwierzę i osunęła się na ziemię. Kadu zmarł. Zerknął w kierunku

Sumi, jakby pomyślał, że to mała dziewczynka zrobiła coś tak okropnego. Schował się głębiej, skulił głowę.

- Widziałaś, kto to zrobił? - zapytał.

- Nie.

- Schyl się.

Sumi, drżąc, natychmiast położyła się płasko na podeście wozu. Kadu wychylił lekko głowę, lecz nie mógł niczego dostrzec. Zaczął się niecierpliwic.

- Kim jesteście i czego od nas chcecie? - zapytał w końcu.

- Wypuść Sumi, to przeżyjesz.

- Tato, to ty? - zapytała szeptem dziewczynka.

Kapłan zdał sobie sprawę, kto dokonał zbrodni. Pozostało tylko pytanie, czy ów morderca jest sam, czy ma jakieś wsparcie. „Raczej to drugie” - pomyślał. Przecież Fahid był tylko prostym farmerem. Nie posiadał broni ani umiejętności.

- Fahidzie, nie rób głupstw. Ae nigdy ci tego nie daruje - powiedział Kadu. - Dogadajmy się.

- Powiedziałem, wypuść moją córkę, to nic ci się nie stanie. - Głos Fahida brzmiał bardzo przekonująco. Inaczej niż zwykle.

Kadu powoli wychylił się spod wozu i z nadal skuloną głową stanął za jednym ze zwierząt. Rozglądał się nerwowo, lecz czujnie. Rozluźnił więzy, którymi noga Sumi przywiązana była do kozła.

- Jest wolna - potwierdził Kadu.

Dziewczynka zeszła z wozu na rosnący w tym miejscu dywan ziela radda. Zrobiła kilka kroków w kierunku, z którego dobiegał głos ojca. Fahid wychylił się zza krzaków, nadal trzymając kuszę wycelowaną prosto w serce kapłana. Kadu zdumiał ten widok.

- Sumi, podejdź bliżej - powiedział ojciec.

W tym momencie Kadu złapał dziewczynkę i zrobił z niej żywą tarczę, przyciskając jednocześnie mały nóż do jej szyi.

- Nigdzie nie pójdzie. Oddaj kuszę.

Na twarzy Fahida pojawił się grymas zawodu. Zastanawiał się, co powinien uczynić. Po chwili zrobił kilka kroków w kierunku córki i kapłana.

- Stój! - krzyknął Kadu. - Wyrzuć kuszę. Tam. - Wskazał głową kępę krzaków.

Fahid wahał się, lecz ostatecznie zrobił to, czego oczekiwał kapłan, zgodnie z jego poleceniem.

- Teraz odwróć się i odejdz.

- Tato - powiedziała smutnym głosem Sumi, lecz Kadu przycisnął jej ostrze mocniej do szyi.

- Odpowiesz przed Najwyższą Kapłanką Wszechziemi. Zabiłeś dwie wojowniczkę, używając broni, która jest zakazana.

- Czy kapłanka wie, co zabiłeś z ciałem mojego ojca? - zapytał Fahid.

Kadu przełknął ślinę. Zaskoczyły go te słowa, odbierając pewność siebie. Jego ręka z nożem osunęła się lekko. Po chwili poprawił ją, lecz wtedy Sumi zaczęła śpiewać wesołą melodię, która zabrzmiała niczym odezwa.

- Zamilcz! - krzyknął Kadu.

Nie zamierzała przestawać. Kapłan szarpnął ją i odwrócił twarzą w swoim kierunku, po czym zatkał jej usta, lekko uderzając otwartą dłonią. Wyrwała się. Fahid odwrócił się na pięcie

i najszybciej, jak potrafił, podbiegł w ich kierunku. W tym czasie Kadu zdążył lekko drasnąć nożem dziewczynkę w udo. Fahid wyrwał mu broń i z wściekłą determinacją kilkakrotnie wbił prosto w gardło. Natychmiast położy się strumienie krwi. Wrzask przerażonej dziewczynki wystraszył zwierzęta. Były niespokojne – przez dłuższą chwilę charczały z niezadowolenia. Sumi odskoczyła na bok i odwróciła głowę. Po chwili zdała sobie sprawę, co się stało. Jej cudowny ojciec, który nigdy nikogo nie skrzywdził, właśnie zabił troje ludzi, żeby nie powiedzieć osobistości: kapłana z ich rewiru i dwie wojowniczkę. „Co teraz będzie?” – głowiła się.

Fahid nie zamierzał zbyt długo się zastanawiać.

- Trzeba ich spalić albo zakopać, żeby nie było żadnych śladów.
- Co my teraz zrobimy?
- Zawiozę cię do Hambarra. Obiecałem i dotrzymam słowa.

Sumi był oszołomiona i zdezorientowana. Zerknęła na ranę na nodze. Było to tylko lekkie draśnięcie, niewarte opatrunku. Fahid przyjrzał się trzem trupom. Już wiedział, że ich widok będzie mu się śnił do końca życia, ale uznał, że postąpił właściwie. Nawet gdyby Kadu wypuścił jego córkę, wróciłby uzbrojony po zęby i wykonał polecenie Najwyższej Kapłanki Wszzechziemi. Należało rozwiązać problem bezzwłocznie, definitywnie i bez ryzyka.

- Żegnaj, Kadu. Nie zasługujesz na Asaran.

Farmer chwycił oburącz mieczotopór Hary i zaczął nim nieudolnie kopać dół. To było jedyne narzędzie nadające się do wykonania otworu w ziemi. Sumi długo nie mogła sobie znaleźć miejsca. Cały czas widziała przed oczami obraz swojego ojca, który dźgał nożem kapłana prosto w szyję. Wszędzie było pełno krwi. Na ziemi, na ciele kapłana, a nawet na jej odzieży. To był okropny widok, jak ze złego snu. W tym momencie farmer odchylił większą darni i jego oczom ukazała się ukryta pod ziemią jama. Odsunął się szybko na bezpieczną odległość i z zainteresowaniem, wyciągając jak najdalej rękę, starał się odgarnąć za pomocą mieczotopora poszczególne grudki ziemi. W tym momencie z jamy wyskoczył niewielki jaszczur sahad. Był rozdrażniony i zdezorientowany. Miał zaledwie ze trzy łokcie długości, sześć par krótkich, zwinnych odnóży i śliską, pokrytą drobną łuską skórę. Jego zęby były dość małe i rzadkie. Zdecydowanie groźniej wyglądały łopatkowate pazury, którymi to stworzenie potrafiło sprawnie i szybko wkopać się dość daleko w głąb ziemi. Fahid słyszał wielokrotnie opowieści o tych stworach, lecz nigdy nie widział ich na żywo. Wiedział tylko, że są ślepe, mają doskonały słuch i węch oraz twarde, trudny do przecięcia kręgosłup. Nie należało z nimi zadzierać. Sumi zrobiła dwa niezbyt ostrożne kroki i w tym momencie jaszczur ruszył gwałtownie w jej kierunku. Odskoczyła nerwowo. Fahid w obronie córki z całej siły uderzył w niego mieczotoporem, lecz broń tylko ześliznęła się po skórze. Oszołomiła gada zaledwie na chwilę. Ojciec chwycił Sumi za rękę i odciągnął do swojej wcześniejszej kryjówki. Sahadi odwrócił łeb w ich kierunku i stanął w bezruchu. Po chwili z nory wyszły kolejne dwa jaszczury. Jeden prawie dwa razy większy od tego pierwszego i jeden malutki. Wyglądał, jakby dopiero co wykłuł się z jaja. Był zabawny w swej nieporadności i dziecięcej ciekawości. Zainteresował się krwią Kadu, która prawie zdążyła zastygnąć. Zaczął ją zlizywać ze smakiem, głośno mlaskając. Była lepka jak mazidło z dirsny. Sumi poczuła lekką odrazę. Fahid nie zamierzał dać się pożreć drapieżnym gadom. W pośpiechu zdjął kaptur z głowy okurai i poprawił uprząż. W tym momencie zwierzę poczuło obecność jaszczurów i zaczęło zachowywać się niespokojnie. Kiedy ojciec pomagał Sumi wsiąść na jego grzbiet, nie była

skupiona. Z obawą i z ciekawością nadal zerkała co chwilę na rodzinę sahari. Kiedy jednak największy z jaszczurów odgryzł rękę Kadu, jęknęła ze strachu i zakryła oczy dłońmi.

- Wsiadasz czy nie? - denerwował się Fahid.

Nieznoszący sprzeciwu ton wypowiedzi dotychczas łagodnego ojca wystraszył dziewczynkę. Szybko wsiadła na grzbiet okurai i znów zerknęła w kierunku jaszczurów, które w tym momencie odgryzały kolejne kawałki ciała Kadu. Sumi zamknęła oczy. Ojciec usiadł zaraz za nią, po czym szarpnął zwierzę za uszy. Parsknęło delikatnie i zaczęło powoli zmierzać w kierunku powrotnym do Litrijis. Noc była dość jasna. Oświetlona księżycami droga ułatwiała podróż. Fahid zapomniał, że jeszcze niedawno był potwornie zmęczony. Chciał jak najszybciej oddalić się z tamtego miejsca.

ROZDZIAŁ 13.

Impas

Noovack długo się zastanawiała, kogo wysłać z poselstwem do Floris. Zadanie wydawało się niby oczywiste: należało nakłonić monarchię innego państwa do przybycia z wizytą na zaproszenie nowo powołanego Rządu. Ale trudno było to osiągnąć, jeśli się nie znało tamtejszych zwyczajów i rytuałów, tudzież nie czuło się dobrze w nieznanym, tak odmiennym świecie. Kobieta, która ostatecznie została wybrana na posła, miała predysponujące zalety, takie jak: biegłość w technikach negocjacyjnych, dyplomacja, a także urok osobisty. Pewnie nie liczył się w zjednywaniu sobie innych kobiet, na przykład kapłanki, ale lepsze to niż nic. Potrafiła się też obronić, gdyż całą młodość trenowała sporty walki. Miała hart ducha, który podczas niebezpiecznej wyprawy mógł przynieść pewne korzyści, stać się orężem. Noovack wmówiła jej, że mieszkańcy Floris z zasady nie czynią krzywd płci pięknej. Uwierzyła. To tylko dodało jej animuszu. Tak naprawdę została wybrana przez Noovack, ponieważ nie była związana ze starym układem. Gdyby premier wysłała jednego z doświadczonych agentów byłego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, szkolonego jeszcze przez Petara Rubby'ego, mogłoby się okazać, że jest wierny swoim poprzednim szefom i na przykład przekazałby tajne informacje bądź dołączył do uciekinierów. Nie można było sobie pozwolić na ryzyko ani blamaż.

Nikt nie miał prawa decydować za Jasmin, a tym bardziej wydawać jej poleceń, zwłaszcza nazywając ją głupią babą. Nawet jej mąż. W ciągu minionego tygodnia Addam zdążył jednak przemyśleć swoje słowa. Sprawiał wrażenie pogrążonego w wyrzutach sumienia, że być może przesadził. Chodził koło Jasmin jak koło królowej, lecz ona nie zamierzała mu wybaczyć. Kompletnie ignorowała wszelkie, zachęcające do pojednania umizgi.

- Przepraszam - wycedził w końcu przez zamknięte usta. - Mogłem użyć innych słów.

Nie zareagowała. Patrzyła tylko przez szyby apartamentu na krajobraz w dole. Zmienił się nie do poznania. Zanęty związane z zawodami wykonywanymi zwyczajowo przez mężczyzn zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się nowe, promujące narzędzia ułatwiające pracę kobietom lub zachęcające do zakupu kolejnego robota. Addam wyjął z chłodziwa breję i ugryzł spory kęs. Pomyślała, że robi to, by go zapytała, dlaczego on znowu je, choć nie minęło jeszcze południe. I w ogóle jakoś tak się zaokrąglił. Nie wyglądał jak on.

- Dobrze. Masz mnie w dupie, proszę bardzo, ale chciałbym przypomnieć, że jesteśmy małżeństwem i twoja decyzja ma również wpływ na mnie - prawie wykrzyczał.

- I dlatego się obżerasz i przestałeś ćwiczyć? - odezwała się wreszcie.

- Nie. To pewnie z powodu niezajmowania lekarstw. Moje ciało nie chce mnie słuchać. Jest jak moja żona.

- Jestem twoją żoną czy wykonawczynią twoich poleceń?

- Wiesz, o czym mówię. Nie drażnij się ze mną. Zdechniemy z głodu.

- No. Jak będziesz tyle jadł, to na pewno.

- Chciałbym, żebyśmy mieli dzieci, ale nas nie stać. Usuńmy je i zacznijmy od nowa. Może się uda z chłopcem.

- Usuńmy? Razem jesteśmy w ciąży? To ja noszę dzieci w brzuchu i ponoszę ryzyko związane z zabiegiem. Zresztą to już jest niewykonalne.

- Co przez to rozumiesz? Jest już za późno?

Addam naprawdę wyglądał na zainteresowanego, co zachęciło ją do szczerej opowieści.

- Można tak powiedzieć - zaczęła. - Wszyscy ginekolodzy, którzy mają akredytację do legalnych aborcji, są zawaleni robotą. Żaden nie chciał mnie przyjąć w czasie, który jest, powiedzmy, gwarantem bezpieczeństwa. Nie wiem, co jeszcze mam zrobić!

Addam zamyślił się. Jego postawa wskazywała na to, że jest mu przykro. Najwyraźniej nie docenił swojej żony. Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech, który jakby zwiastował odkryty promyk nadziei.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś o tym, że próbujesz? Może znalazłoby się jakieś rozwiązanie.

- To moja ciąża! Mój problem.

- Co ty mówisz, kochanie? To nasza ciąża. Przypomnę ci, że sama sobie tego nie zrobiłaś - zażartował.

Wcale nie było jej do śmiechu. Prychnęła tylko lekceważąco.

- Porozmawiam z Kimberly. Może ona coś zaradzi. Teraz jest ministrem. Poprosi kogoś w Rządzie i znajdzie się wolny termin. Jak to dobrze, że przemyślałaś. Kocham cię. Wiesz?

Podszedł do niej i objął ją czule. Zareagowała chłodem. Zdziwiła ją własna reakcja. Dotychczas - nawet gdy się kłócili - kiedy to on wyciągał rękę na zgodę, zawsze ulegała. Tym razem nie miała ochoty. Właśnie przed chwilą przyznała się przed Addamem do słabości. Że podjęła decyzję, jakiej od niej oczekiwał, jaką wymusili wszyscy z jej otoczenia. W dodatku nie załatwiła skutecznie sprawy. Ona? Taka ambitna? Z możliwościami? Nie dała rady problemowi. Przytłoczył ją. Czuła się stłamszona i słaba. Jej bezradność, której towarzyszyła lekka odraza do samej siebie i obawa, by nie stać się pośmiewiskiem, wyzwoliła resztki dumy. Pewnie niepotrzebnej. „Trudno” - pomyślała. Uważała, że jeśli on załatwi aborcję, będzie górował. A ona będzie musiała posłuszenie iść tam, dokąd on ją pokieruje. Wykonać polecenie. Nienawidziła swoich hormonów. Winą za nie obarczyła jego. Kiedy wyszedł, by spotkać się z Kimberly, położyła się z powrotem do łóżka. Płakała długo. Napawała się swoją bezradnością. Nakręcała spiralę żalu do siebie, świata, Rządu i Addama. Nawet do matki i Luicey. Dlaczego nie było przy niej taty? On na pewno znalazłby rozwiązanie.

Po dwóch godzinach rozkoszowania się własnym smutkiem postanowiła poćwiczyć, by odgonić złe myśli i przygotować się na powrót męża. Chciała znaleźć w sobie siłę, której brakowało jej od wielu dni. Nie miała już zamiaru oglądać teatromanii, gdzie w kółko wyświetlane były rządowe materiały, szczególnie podkreślające zasługi nowej premier i Minister Zdrowia, a także zalety nowych dekretów. Ćwiczyła krótko, szybko się umyla i zaczęła zakładać obcisłą sukienkę, która sprawdzała się najlepiej na trudne rozmowy z Addamem. Jasmin zawsze wyglądała w niej seksownie, przez co mąż nie mógł się skupić. Wiedziała o tym i często wyciągała tego asa z rękawa. Tym razem coś się zmieniło. Nie była w stanie się dopiąć. Jak to możliwe? Czyżby sukienka się skurczyła? Przecież nie jadła tyle, co jej mąż. No, może czasem pół paszy więcej na wieczór. Tylko tyle. Czy to jest możliwe, że już przytęła? Podeszła do lustra, stanęła bokiem. Sukienka nadal była niedopięta. Pogładziła się

dłonią po brzuchu. Nie wyglądał na wyduęty. Ponownie się pogładziła, tylko tym razem przejechała dłonią od piersi przez brzuch aż poniżej pępka. Stało się. Zauważyła lekkie zaokrąglenie. „Czy to już?” – ucieszyła się. I jeszcze raz przejechała dłonią po brzuchu, tym razem poprzecznie. „Tak. Jest zaokrąglenie, będę mamą” – ucieszyła się.

Addam wrócił do apartamentu w doskonałym nastroju, lecz nie zastał żony. Wyjął komunikator, ten prywatny, którego dawno nie używał, i usiłował nawiązać z nią połączenie. Bezskutecznie. Nic nie działało. Opcje były trzy: albo Jasmin była poza zasięgiem, albo komunikator był wyłączony celowo, albo, co było najmniej prawdopodobne, zepsuł się. Innej opcji nie należało się spodziewać. Komunikatory były prostymi urządzeniami, raczej nie powinny się psuć. Nie trzeba było ich ładować, gdyż energię pobierały z promieni Hello. Z kolei brak zasięgu oznaczał, że użytkownik znalazł się daleko poza granicami Inco lub pod ziemią. To był mało prawdopodobny scenariusz. Addam nawiązał kontakt z Luicey. Nie miała pojęcia, co się dzieje z jego żoną. W końcu z nudów w oczekiwaniu na powrót Jasmin włączył kanał sportowy teatromanii. Transmisja z zawodów, w których brały udział roboty sprzątające, zajęła jego myśli. Uśmiechnął się na widok rywalizacji pomiędzy czterema urządzeniami różnych marek. Wbrew pozorom to nie tylko dyscyplina sportowa. Zwycięska marka mogła liczyć na większe zakupy klientów. Po konkurencji mycia podłóg prowadził robot firmy XTRO, drugi był Sky Robotics, trzeci Freddy. Czwarty robot firmy MicroankO zupełnie się nie liczył. Kolejna dyscyplina miała wyłonić zwycięzcę w myciu szyb. Jednostką miary, której używano w zawodach, był łokieć kwadratowy dzielony przez jednostkę czasu równą jednej tysięcznej dnia. Emocje naprawdę rosły.

Irmina nie była zachwycona z pomysłu córki, ale starała się okazać jej wsparcie. To do niej wprowadziła się Jasmin, kiedy zdała sobie sprawę, że ostatecznie chce jednak urodzić dziewczynki i nic już jej nie zmusi do rezygnacji z postanowienia. Brała nawet pod uwagę rozwód z Addamem. Prawo zezwalało na tego typu rozwiązanie w przypadku pojawienia się ciąży, ale w tym przypadku chroniło tylko matkę. Mąż, który zapragnąłby rozwieść się z ciężarną, nie mógł złożyć pozwu do sądu. Żona, gdyby miała dość męża, jak najbardziej mogła to zrobić.

Jasmin zabrała tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy z apartamentu, w którym mieszkała z Addamem. Mieszkanie matki było mniejsze, więc nie było sensu go zagracać. W razie czego dziewczyna zakładała, że pożyczyci coś od Irminy; nawet się wzruszyła, kiedy pomyślała, że mogłaby chodzić w matczynych ciuchach. Im cięża była bardziej zaawansowana, tym córka czuła większą więź z matką. Stawała się coraz bardziej sentymentalna. Chętnie wracała do starych historii. Dobrze się czuła w jej towarzystwie. Nadrabiały za wszystkie czasy, w których widywały się rzadziej. Teraz mogły przegadać każdy zaległy temat. Żeby nie tracić energii na bezsensowną rozmowę z Addamem czy Luicey, która prawdopodobnie stanęłaby w jego obronie, Jasmin wyłączyła komunikator. Mogła się skupić na rozmowach, na sobie i mamie, a w zasadzie na całej żeńskiej linii swojego rodu: babce, matce i trzech córkach, których się spodziewała.

– Czy twoi rodzice żyją? – zapytała, choć zastanowiło ją to pytanie. – Chodziło mi o babcię i dziadka. – Uśmiechnęła się na samą myśl, jak ich nazwała.

- Nie - odpowiedziała Irmina. - Miałam też siostrę, Kualarisę, starszą. Za mojej młodości dwie córki nie stanowiły problemu tak jak w obecnych czasach. Nie mam z nią kontaktu od wielu oczyszczeń. Została w slumsach. Preferowała kobiety, więc raczej nie ma co liczyć, żeby dorobiła się potomstwa. Zresztą na pewno już nie żyje - dokończyła smutnym głosem.

- To opowiedz mi, co wiesz o pochodzeniu taty - zaproponowała Jasmin, wywołując lekkie ożywienie na twarzy matki.

- Niewiele wiem. Pochodził z tak zwanej zachodniej ćwiartki. To odpowiednik naszej dzielnicy. Miał brata Mahmuda i siostrę Sumi, ale ona zmarła, kiedy Omar był jeszcze bardzo mały. Nie pamiętał jej zbyt dobrze. Była wtedy w wieku jednego oczyszczenia.

Jasmin pożałowała, że poruszyła ten temat. Liczyła na pogawędkę z mamą na rodzinne tematy, ale każdy zaczynany wywoływał kolejne niemiłe wspomnienia.

- To smutne - podsumowała.

- Nie. Oni byli bardzo religijni, a dla ludzi z Floris śmierć jest raczej czymś dobrym. Jeśli ktoś umierał, to znaczyło, że tak chciała bogini Patri. Wzywała go do siebie. Omar nie był smutny z tego powodu. Miał jeszcze brata. Razem się wychowywali, ale byli inni. Tamten uwielbiał uprawę ziemi, a twój tata sprawy techniczne, maszyny. Lubił się uczyć. Podziwiałam go. Na pewno było mu bardzo trudno walczyć samotnie o wiedzę.

- No i było mu trudno opuścić rodzinę - powiedziała Jasmin, która właśnie zdała sobie sprawę, ile przecierpiał jej ojciec i przed jakimi wyborami stawał w życiu.

- To prawda. Kiedy odszedł z domu, by udać się do Inco, nie mógł powiedzieć nikomu, dokąd się wybiera, bo jego rodzina mogłaby na tym ucierpieć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak mi tłumaczył. Nie mówił zbyt wiele o zwyczajach, bo wiedział, że i tak ich nie zrozumie. Jesteśmy zupełnie innymi społecznościami. Oni na pewno nie rozumieją naszych celów życiowych, rytuałów, pieniędzy, nauki, niczego. My nie docenimy, dlatego oni wybierają życie w takich warunkach. Omar nigdy nie wypowiadał się o nich źle. Chciał się tylko uczyć i tyle. Dlatego wyemigrował. Czasem wspominał, że nie mógł patrzeć, jak jego rodzina zaharowuje się od świtu do nocy, bo ma obowiązki wobec państwa. Oddawali dziesiątą część pól.

- Phi. Dziesięć procent? To co by powiedzieli na trzykrotnie większy podatek, jaki u nas trzeba zostawiać tym krwiopijcom?

- On widział to inaczej. Kiedy skończył studia i wzięliśmy ślub, namawiał mnie, żebyśmy się tam przenieśli. Moja rodzina nas wyklęła, wtedy nie widzieliśmy żadnych perspektyw w Inco.

- Ty chyba żartujesz. Chcieliście się przenieść na zadupie?

- Nigdy nie przestał tęsknić.

- Dlaczego tego nie zrobiliście?

- Bo zaszłam w ciążę z tobą, a on ostatecznie został doceniony, otrzymał świetną posadę. Całe życie zastanawialiśmy się, czy dokonaliśmy właściwego wyboru. Naprawdę chciałam z nim pojechać, by zobaczyć rodzinę. Chciałam ich poznać. Twój dziadkowie dawno już nie żyją, ale na pewno są inni członkowie rodu Manduarra.

- Zabiorę cię tam. - Jasmin ucieszyła się z nowego pomysłu. - Jak sytuacja się unormuje. Może nas tam nie zabiją - zażartowała.

- Ja jestem już za stara na podróże, ale ty mogłabyś kiedyś odwiedzić swojego wujka. Z tego, co pamiętam, był młodszy, pewnie jeszcze żyje. Raczej ma rodzinę. Może pomogliby

wam w waszej trudnej sytuacji. I weź Addama. On naprawdę ma sporo zalet – powiedziała, uśmiechając się czule.

Jasmin nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Z jednej strony była wściekła na męża i nie chciała go więcej oglądać, z drugiej nadal czuła z nim więź. Jeśli miałyby dokądkolwiek się udać, to raczej z nim. Nie była aż tak bardzo samodzielna. Zresztą na horyzoncie miały się pojawić trojaczki. Poza tym co to za pomysł, by przenosić się do innego kraju. Czy w Inco było rzeczywiście tak źle, że należało rozważać emigrację? Chociaż Floris to na pewno lepsze miejsce niż slumsy. Czy kiedykolwiek odnalazłaby rodzinę w takim wielkim kraju? Co oni by sobie o niej pomyśleli? Czy w ogóle wolno tam podróżować?

– Nie będę się kłaniała żadnym bogom – zakomunikowała, by zamknąć sprawę.

Tym sposobem zmanifestowała dezaprobatę wobec uczucia, którym darzyła Addama, a przed którym sama w jakiś sposób się broniła. To on był dla niej symbolicznym bogiem, którego słuchała, czasem musiała nim manipulować, wściekała się na niego, wierzyła mu czy traciła do niego zaufanie. Właśnie zdała sobie sprawę, że słowo „bóg” stało się również metaforą jej stosunku do Floris. Poczowała zadowolenie, że matka mogła iść tym tokiem rozumowania. Że nie chce mieszkać w krainie, gdzie musiałyby bić fałszywe pokłony bóstwom, w które nie wierzy.

Addam szybko się zorientował, gdzie ukrywa się jego żona. Zapytał tylko raz, czy zamierza wrócić. Odmówiła z przekąsem. Nie pytał więcej. Zdał sobie sprawę, że jeśli wróci, to dobrze, a jeśli nie, życie otwierało przed nim zupełnie nowe perspektywy. Wreszcie pojął, co kiedyś, jeszcze przed jego ślubem z Jasmin, usiłował mu przekazać ojciec. Chodziło o czerpanie korzyści z życia, które jest takie krótkie. „Czyżby ojciec nie był szczęśliwy w związku z mamą?” – głowił się, lecz niezbyt długo. Od razu zajął się realizowaniem pomysłu taty, czyli czerpaniem z wolności pełnymi garściami.

Mieszkał sam w dużym apartamencie. Odblokowano mu konto, na które powinna wpływać miesięcznie pokaźna kwota. Dla niego samego była zupełnie wystarczająca. Wszystkim wmówił, że Jasmin i on to przeszłość, że czeka na rozwód. Szybko pojawiło się koło niego kilka majątnych kobiet. Wreszcie nie musiał się tłumaczyć z tego, że któraś się do niego mizdrzy. Tak zawsze bywało za czasów Jasmin. Wreszcie koniec tej gehenny. Spodobało mu się nowe życie. Czuł się wolny, całkiem młody i niezależny.

– Możesz się ożenić, z kim zechcesz – powiedział Ksaverius, nowy sąsiad, który dopiero co wprowadził się piętro niżej i wpadł z trzema młodymi żonami na wieczorek zapoznawczy.

– Mogę, ale chcę odpocząć od kobiet. Trochę sobie poużywam i tyle. Moja była tak mi dała w dupę, że nie chcę żadnych zobowiązań. Pierdołę, nie zamierzam więcej płacić za babskie humorki! – krzyknął naćpany upperem Addam.

– Skoro ci nie zależy, możesz brać za to niezłą kasę – zaproponowała Ginger, pierwsza żona Ksaveriusa.

– Zajebisty patent! – krzyknął Addam. – Za to dam ci zniżkę.

– Chodźmy już. – Ksaverius najwyraźniej uznał, że impreza lekko się przedłużyła.

Addam nie zamierzał kończyć zabawy. Wyszedł z apartamentu na mały spacer. Wrócił nie sam, lecz w towarzystwie trzech ślicznotek. Same go zaczepiły. Pierwszy raz nie odmówił, a nawet wdał się w małe negocjacje. Upper działał wyśmienicie. Dodał mu animuszu, tak brakującego od czasu, kiedy odstawił Raya. Kobiety były zgrabne, szczupłe i zadbane.

Zaferował stawkę stu bytów od każdej. Bez wahania się zgodziły. Pożałował, czy aby nie za tanio się sprzedał. Potraktował to jak naukę. Kiedy weszli do apartamentu, wszyscy troje rozebrali się i udali do pomieszczenia regeneracyjnego. Addam włączył moduł spłukujący. Lekki, ciepły deszczyk padający z sufitu obmył z całej czwórki resztki wstydu. Wylądowali w łóżu, w którym ostatnimi czasy wylegiwała się Jasmin. Bawili się dobrze do momentu, kiedy gospodarz zasnął z wycieńczenia. Zanim wyszły, jedna z nich zostawiła liścik z podpisem Jenny Pillow, rysunkiem fikuśnego serduszka oraz dwoma ciągami liczb. Jednym był numer jej komunikatora, drugim zaś numer konta bankowego. Był mu potrzebny w celu ściągnięcia obiecanych trzystu bytów. Kobiety mogłyby go oszukać, ale, o dziwo, zapłaciły. Być może na wypadek, gdyby jeszcze kiedyś Addam zechciał tak tanio je obsłużyć.

Następnego dnia spał do południa. Obudziła go zaplanowana wcześniej wizyta Haenry'ego.

- Co u Jasmin? - zapytał kuzyn, widząc zasnętego Addama.

- Mam nowy pomysł na życie. Mogę zarabiać jako prostytutka.

- Widzę, że upper jeszcze cię trzyma. Jak wychodzisz z domu, pamiętaj, by nie zbliżać się do humanów.

- Ja nie żartuję. Zobacz. - Addam wskazał na liścik od Jenny. - To chyba jest legalne, jak sądzisz?

- Co na to Jasmin?

- Na pewno się nie ucieszy, ale tylko w ten sposób szybko wyjdziemy z długów.

- I zgodzisz się na trojczki?

Addam zamyślił się. Nie wyglądał na człowieka, który wie, czego chce. Tak naprawdę tęsknił już za nią, tylko nie chciał się przyznać sam przed sobą. Ta ciąża jednak nie za bardzo mu pasowała. Żałował, że Jasmin nie zdecydowała się wcześniej na aborcję. Byłoby po sprawie. Teraz mieli kłopot. Czy nastąpi dzień, w którym mógłby polubić dziewczynki? Nic na siłę, tak po prostu?

- Jeśli ona się zgodzi, żebym uprawiał seks z innymi kobietami, ja zaakceptuję jej fanaberię. W takiej sytuacji będzie nas stać.

- My nie możemy mieć dzieci - odpowiedział Haenry, psując nastrój gospodarzowi. - To znaczy ja nie mogę. Byliśmy wczoraj na badaniu i...

- Luicey się wściekła?

- Ona nie reaguje jak Jasmin. Jest załamana i cały czas płacze. Raz się zaśmiała, kiedy zdała sobie sprawę, że żadna inna mnie nie zechce. Raz powiedziała, że nie wyjdzie za mnie za mąż, ale później to odwołała. Co ja mam zrobić?

Addam uśmiechnął się do swoich myśli.

- Tania sperma. Tania. Mało używana. Komu, komu? - zażartował, choć Haenry nie wyglądał na rozbawionego.

Komunikator Jasmin nadal był wyłączony. Wiedziała, że jeśli Luicey będzie na niej zależało, powinna była się domyślić, gdzie ją odnaleźć. Na Addama nie liczyła, choć w duchu miała nadzieję, że kiedyś w końcu ją odwiedzi. Była ciekawa, jak sobie daje radę bez niej, czy tęskni, czy chociaż myśli. Dlaczego przyszedł tylko raz? Zbyt długo męczyły ją nieznośne pytania. Postanowiła sprawdzić, kto usiłował się z nią połączyć. Włączyła różowy komunikator i wyświetliła na ścianie listę ostatnich połączeń. Nie było ich wiele od Addama. Dosłownie sześć. Więcej było od Luicey, bo aż dwanaście. Najwięcej jednak nieodebranych połączeń było

z zastrzeżonego numeru. „Kto mnie szukał?” – głowiła się. Sprawdziła też listę wiadomości i wtedy wszystko stało się jasne. Domyśliła się, kto usiłował się z nią skomunikować. Otrzymała czternaście krótkich notatek z Urzędu Kontroli Płci na temat obowiązkowej wizyty kontrolnej, którą powinna była odbyć w poprzednim tygodniu. Wystraszyła się. Natychmiast wybrała numer UKP.

– Dzień dobry, infolinia Urzędu Kontroli Płci, słucham. – Usłyszała głos dobywający się z mikrołóżniczka.

– Dzień dobry, nazywam się Jasmin Kozłlov, córka Irminy i Omara. Miałam się zgłosić na wizytę kontrolną, ale źle się czułam – skłamała.

– Chwileczkę, sprawdzę. Faktycznie. Wzywaliśmy panią wielokrotnie. Czy pani komunikator działa poprawnie?

– Tak. Wyłączyłam, bo nie chciałam, żeby mi przeszkadzano.

– Nie wolno go wyłączać. To zabronione, kiedy jest pani w ciąży. Musimy mieć z panią stały kontakt.

– Nie wiedziałam. Przepraszam.

– Proszę tego więcej nie robić, bo będziemy musiały panią odłączyć od narodowego programu.

– Jakiego programu? – zdziwiła się Irmina podsłuchująca rozmowę.

– Jakiego programu? – powtórzyła pytanie Jasmin.

– Rządowego. Jest pani na liście szczęśliwych matek, którymi opiekuje się państwo. Kiedy może pani przyjść na wizytę kontrolną do Ministerstwa Zdrowia? Mam dwa wolne terminy: jutro lub za trzy dni. Tylko godziny poranne.

– To może jutro – odpowiedziała zaskoczona Jasmin.

– Wpisuję panią. Pokój numer trzy tysiące trzy G. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała sama do siebie.

– Jaka lista? – zdziwiła się Irmina, gdy Jasmin skończyła rozmowę.

– Nie wiem. Dopiero co byłam na tej gorszej, teraz jestem na lepszej. Rozumiesz coś z tego? Jak można im ufać?

– Powinnaś się cieszyć, a nie ciągle narzekać.

„Słusznie” – przyznała w duchu Jasmin. „Czyżby pojawiło się jakieś światło w tunelu? Co im się stało? Może Addam coś załatwił albo Haenry” – snuła rozważania. Znów pomyślała, że stęskniła się za mężem. A nawet za jego nudnym, miedzianowłosym kuzynem i jego narzeczoną Luicey.

Nawet dla tak wytrawnego, analitycznego umysłu, jakim była Jasmin, odnalezienie pokoju numer trzy tysiące trzy G w labiryncie korytarzy wielkiego gmachu Ministerstwa Zdrowia nie było łatwe. Polecenie przekazane przez młodą dziewczynę z rejestracji wydawało się proste: korytarzem w lewo, potem do końca, na drugie piętro, tam w prawo i znowu w lewo aż do litery T i wtedy na wprost, ale bardziej na prawo. Jasmin się pogubiła. Kiedy odnalazła rzeczony pokój, w środku czekała na nią nietypowa komisja składająca się z kobiety wyglądającej na ginekologa i ubranej w nowoczesną garsonkę znanej osobistości.

– Pani minister? – zapytała Jasmin.

– A kogo się spodziewałaś? – zdziwiła się Gibbondy.

– Myślałam, że to będą badania.

- Najpierw rozmowa ze mną. Widzisz, ładniutka, lubię być pewna, że wszystko idzie po mojej myśli.

- O czym będziemy rozmawiały?

Gibbondy uruchomiła moduł komputerowy. Na wyświetlonym na ścianie ekranie wyświetliły się dane. Jasmin rozpoznała swoje imię, nazwisko, stan konta z informacją o blokadzie, a także wszystkie dane związane ze zdrowiem, była pracą i obecną ciążą. Niepokoił ją nadmiar wykrzykników, które mogły świadczyć, że bohaterka raportu była traktowana jako przypadek szczególny.

- Dlaczego zostałam wezwana? - zapytała z niepokojem w głosie Jasmin.

- Stworzyłam nowy projekt. Nazywam go, może zbyt skromnie, ochroną kobiet... To robocza nazwa. Nieważne. Chodzi w nim o to, żeby objąć specjalną opieką kobiety, które noszą w łonie ciężę mnogą płci żeńskiej. Obecnie mamy kilkanaście takich przypadków w całym kraju.

- Czemu zostałyśmy wyróżnione? - zdziwiła się Jasmin.

- Taki przypadek wiąże się z zupełnie inną gospodarką hormonalną niż w przypadku ciąży pojedynczej.

- Nie wiedziałam. I co dalej?

- Chcemy wykorzystać ten fakt do wykonania szeregu specjalistycznych badań. Co pani na to? Badania będą płatne. To znaczy nie pani będzie płacić, ale my. Sto bytów za każdą cotygodniową wizytę. Chcemy poobserwować, jak zmienia się gospodarka hormonalna w czasie.

- Czegoś tutaj nie rozumiem. Nie macie tego przebadanego? - zwróciła się do ginekolożki.

- Mamy - odpowiedziała. - Chcemy sprawdzić, jak będzie się zachowywać płód pod wpływem wstrzykiwania testosteronu do płynu owodniowego.

Gibbondy wysłała lekarce dyscyplinujące spojrzenie. Wyraźnie była niezadowolona, że pani ginekolog wyjawiała zbyt szybko omawiane w tajemnicy zamiary.

- Czy to jest bezpieczne? - zapytała Jasmin.

- Absolutnie - odpowiedziała Gibbondy. - To tylko wzmocni dziewczynki. Już w brzuchu matki przeżyją swoją odwieczną walkę o byt. Potem będą nie do pokonania.

- Tak sądzimy - dokończyła ginekolożka, nie dbając o potencjalne konsekwencje służbowe.

- To ja się jeszcze zastanowię - odpowiedziała Jasmin.

- Tu się nie ma nad czym zastanawiać. Teraz zachęcamy dobrowolnie. Rozumie mnie pani? Zdejmiemy pani blokadę!

- Mimo wszystko muszę to przedyskutować z mężem. Czy coś jeszcze? Mogę już iść?

Gibbondy zrobiła grymas zawodu, westchnęła ciężko, gwałtownie wstała i bez słowa udała się na zaplecze gabinetu. Ginekolożka wrzuciła ramionami i spuściła potulnie wzrok.

- Przepisz mi pani jakieś witaminy albo coś? - zapytała Jasmin.

Ginekolożka była już myślami gdzie indziej.

Apartament Haenry'ego był niezbyt ciekawie położony. Przede wszystkim na niższym poziomie, skąd nie rozpościerał się tak obłędny widok na panoramę centrum miasta jak z okien państwa Kozlllov. Był też mniejszy i bardziej słychać było odgłosy ludzkiej krzątany dobiegające z deptaka. Jedyną zaletą, jaką posiadał w mniemaniu właściciela, była bliskość gigantycznej galerii handlowej. Poza mnogością sklepów, punktów usługowych, małych

pomieszczeń, w których na okrągło wyświetlano teatromanię, znajdowały się tam również sale do ćwiczeń grupowych. Przed wprowadzeniem drugiego dekretu korzystały z nich obydwie płcie. Obecnie tylko kobiety odczuwające potrzebę odmiany. Nuda związana z samotnym ćwiczeniem w prywatnych pomieszczeniach regeneracyjnych znajdujących się w ich mieszkaniach bywała nieznośna.

W galerii najbardziej oblegana była pływalnia. Nie było w niej wody, lecz zagęszczone powietrze wzbogacone lufflinem, gęstym gazem pochodzenia organicznego imitującym wrażenie cieczy. Pływało się w nim w specjalnej, skąpej odzieży, składającej się z kilku obcisłych pasków. Lufflin dawał opór, dokładnie taki, jaki odczuwało się w basenie pełnym wody, ale był bardziej ekonomiczny. Oddychanie było utrudnione, co traktowano jako kolejne wyzwanie. Stosując którykolwiek z pływackich stylów, można było z niedużą prędkością przemieszczać się praktycznie na każdej wysokości, zarówno nad dnem, jak i pod sufitem. Pływalnia, do której wchodziło się przez specjalną śluzę, znajdowała się w szklanej dobudówce. Z zewnątrz widać było, kto pływał, jak wyglądał w zabawnej odzieży oraz jaki stosował styl. Haenry lubił tu przychodzić, ale od czasu wprowadzenia zakazu uprawiania sportów zerkał tylko z tęsknotą na pływające kobiety. Czasem przychodzili razem z Luicey, by pokibicować pływaczkom. Udawali, że są komentatorami. Luicey najczęściej obstawiała zwycięstwo pań w średnim wieku, jej narzeczony zaś tych młodszych. Z czasem polubili swój rytuał.

Haenry miał świadomość, że narzeczona podkochiwała się w jego ciut młodszym kuzynie. Wielokrotnie o tym rozmawiali, odkąd się do niego wprowadziła. Ten fakt nie przeszkadzał mu jednak w zaproponowaniu Addama jako dawcy. „Wszystko pozostanie w rodzinie” – mówił. Luicey była wniebowzięta, choć odrobinę zawstydzona. Miała też lekkie wyrzuty sumienia, że kradnie swojej przyjaciółce coś drogiego. Wiedziała też, że ona akurat jest typem zazdrośnicy. Zaproponowała Addamowi, by nigdy nie wyjawili swojego sekretu. Ochoczo przyznał jej rację, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Metod załatwienia sprawy było kilka, lecz to Haenry zaproponował, by Luicey, dopóki jeszcze nie była jego żoną, została zapłodniona w sposób naturalny. Uznał, że dla Addama, który coraz częściej dorabiał jako prostytutka, nie będzie to miało znaczenia, a jego ukochana przynajmniej spełni swoje marzenie, ten jedyny raz. Kochał ją szczerze i mocno. Chciał jej sprawić przyjemność. Tylko w ten sposób mógł się zrewanżować za jej poświęcenie. Tak w geście rozpachy nazywał jej lojalność wobec niego, kiedy się dowiedzieli, że jest bezpłodny i w tym kraju nie przedstawia żadnej wartości.

Sex z Addamem nie spełnił oczekiwań Luicey. Było przeciętnie, szybko, choć fachowo. Zero namiętności, czułości, tylko technika. Czuła się, jakby kochała się z robotem w przedsiębiorstwie produkującym dzieci. Jakby była jedną z wielu kobiet na ciągnącym się wzdłuż długiej fabryki rozplodowym taśmociągu. Po ochłonięciu i przemyśleniu, nie czuła zawodu. W jej mniemaniu to był tylko niewinny gest pomocy. „Jasmin nie powinna odczuwać zazdrości” – sądziła.

Tego dnia Jasmin czuła się niespokojnie. Nie wiedziała dlaczego. Poprzedniej krótkiej nocy śnił jej się ojciec i powiedział, że jutro się dokona. „Tylko co? O czym on mówił?” – głowiła się. Chodziła nerwowo po mieszkaniu matki. Co chwilę włączała i wyłączała teatromanię. Zjadła

dwa batony, niepotrzebnie. Nie była głodna. Irmina postanowiła zająć ją jakimś znaczącym dla niej tematem.

- Co zamierzasz zrobić z tymi badaniami opłacanymi przez Ministerstwo Zdrowia? Zgodzisz się? - zapytała.

- Musiałaś mi przypomnieć? Teraz to już mam kolejną obawę na karku. Niebawem ich nadmiar mnie przygniecie. Jest ich tak wiele. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Z Addamem nie mam kontaktu, Luicey mnie olewa, jestem wiecznie głodna, niebawem skończą się pieniądze. Marzę o zdjęciu blokady, ale sto bytów za wizytę to niewiele. Co ja za to kupię? Wszystko drożeje. W ciągu dwóch tygodni cena batonów wzrosła o dwanaście procent. Pearl kosztuje prawie dwa razy tyle co jeszcze miesiąc temu. Dokąd to wszystko zmierza?

- Wszystko na pewno się jakoś ułoży - powiedziała Irmina i czule pogłaskała córkę po jej białych, dawno nieprzycinanych włosach.

W tym momencie usłyszały ciche pukanie. Irmina zdziwiła się, bo nie spodziewała się żadnego gościa.

- Otworzysz? - zapytała.

Jasmin podeszła do drzwi i kiedy lekko je uchyliła, do mieszkania wparowała Luicey z radosną miną. Tryskała wręcz niewyobrażalnym szczęściem.

- Przypomniała sobie - powiedziała ironicznym tonem Jasmin, celowo mówiąc w trzeciej osobie.

- Jestem w ciąży, będę miała synka! - wykrzyczała koleżanka.

- To wspaniała wiadomość - powiedziała Irmina, kiedy zobaczyła, że jej córka nie zareagowała z właściwą dla takiej chwili kurtuazją.

- Cudownie. - Jasmin sztucznie się uśmiechnęła i przytuliła do Luicey. - Kiedy się dowiedziałas?

- Przedwczoraj.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Ta ja pójść się na chwilę położyć - wtrąciła Irmina, umożliwiając córce i jej koleżance swobodną rozmowę.

- Nie byłam pewna. Haenry twierdzi, że nie warto ufać temu urządzeniu wymyślonemu przez Gibbondy. Dziś sprawdziłam na innym aparacie, w drugim gabinecie. Udało się. Będę mamą.

- Cieszę się. A jak tam ojciec? Zadowolony?

Luicey uciekła wzrokiem, lecz szybko się zreflektowała.

- Tak. Nie znam nikogo bardziej szczęśliwego na świecie. A co u ciebie?

- Wypoczywam. Nadrabiam teatromanię. Ostatnio sporo się dzieje - ironizowała.

- Ja nie miałam ani chwili na te bzdury, ale teraz czeka mnie dużo wolnego czasu. Będziemy mogły sobie razem oglądać. Nie będę musiała pracować - doniosła, szczebiocąc.

- Co u Addama? Jak sobie radzi? - zapytała Jasmin udając, że w zasadzie jej to nie interesuje.

- Nie mamy ze sobą kontaktu - skłamała. - Muszę lecieć. Pogadamy potem. Skomunikuję się z tobą. Nie odprowadzaj mnie.

Luicey wyszła. Jasmin mogła wreszcie przestać udawać zadowoloną. Była wściekła. Na siebie, za swoją reakcję. Na koleżankę, że jest szczęśliwa i że urodzi syna. Na męża, że nie wspiera jej w tej trudnej chwili. Na ojca, że przewidział we śnie najgorszy scenariusz.

- Poszła już - powiedziała na głos, tak by Irmina mogła wrócić.

Nie było żadnej reakcji. Jasmin zdziwiła się, ale pomyślała, że matka być może zasnęła. Udała się do jej sypialni. Matka leżała tyłem, otulona dość grubą, jak na Inco, kołdrą. Nie było widać jej twarzy. Córka wsunęła się pod kołdrę i przytuliła do matki. Irmina, nawet przez sen, zawsze odwzajemniała taki gest. Tym razem nie zareagowała. „Ale mocno śpi” – pomyślała Jasmin, lecz po chwili odchyliła kołdrę i przekręciła ciało matki na plecy. To była trudna do wykonania operacja, choć Irmina nie należała do ciężkich. Jej ciało po prostu było bezwładne. Jasmin sprawdziła tętno. Nie wyczuła go. Przyłożyła ucho bliżej ust, lecz nie wydobywał się z nich żaden, nawet najpłytszy, zabłąkany oddech. Zatem to o tym mówił we śnie jej ojciec. Zapłakała.

Pogrzeb w Inco wyglądał dość skromnie w porównaniu z ceremonią, jaka od wielu pokoleń funkcjonowała we Floris. Po wcześniejszym zabezpieczeniu ważniejszych organów, które zgodnie z obowiązującym od wielu oczyszczonym dekretem mogły się przydać w transplantologii, ciało zmarłej osoby poddawane było kremacji. Prochy oddawano do recyklingu, czyli wykorzystywano w przemyśle farmaceutycznym i spożywczym. Ten niby pozbawiony uczuć rytuał nie dziwił nikogo. Było powszechnie wiadomo, że ciało jest tylko powłoką.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała z pamięcią o zmarłych. Ludzie w Inco – pomimo absolutnie ateistycznego podejścia do życia – uważali, że nie istnieje coś takiego jak dusza, ale nie można zapominać o ludzkim umyśle. To w nim upatrywano trudną do oceny sferę uczuciową, emocje zaś traktowano jako jego atrybuty. Trudno było się rozstać z człowiekiem, z którym związane były uczucia. Od wielu oczyszczeń obowiązywała żałoba, poprzez którą najbliżsi żegnali się ze zmarłym członkiem rodziny. Równy przez dziesięć dni od symbolicznego pogrzebu każda spokrewniona osoba chodziła ubrana kompletnie na niebiesko, łącznie z malowaniem na ten czas włosów na taki właśnie kolor, czasem również twarzy. Żałobnicy wyróżniali się z tłumu. Pozostali obywatele Inco bez względu na porę dnia stosowali skromną paletę barw odzieży. Biel, szarość i czerń stały się gwarantem jedności, czystości i porządku. Mężczyźni, zazwyczaj nie starsi niż w wieku czterech oczyszczeń, nosili przezroczyste koszule i spodnie, ale tylko w ciągu dnia.

W pierwszej dzielnicy panowała dziwna moda na barwienie jakiejś części ciała na któryś z metalicznych kolorów. Najczęściej przyozdabiano tak paznokcie u rąk czy nóg, rzadziej powieki lub uszy, czasem całe twarze, w takim przypadku na złoty lub miedziany. Najrzadziej barwiono włosy, bo traktowano je jako wizytówkę. Jeśli jednak ktoś nie był z nich zadowolony, farbował je najczęściej na diamentowe srebro. Bardzo rzadko na jeden z naturalnych kolorów, jak czarnowłos, brązowowłos czy żółtowłos. Starsze panie, których naturalna czupryna straciła swą gęstość, nosiły peruki. Jasmin kochała swoje włosy i ich rzadko spotykaną barwę. Kiedy była dziewczynką, inne dzieci śmiały się, że są białe. Traktowały ją jak odmieńca. Wielokrotnie odchorowywała przytyki, płacząc ze wstydu do późna. Ojciec, a przecież też był białowłosym, podpowiedział jej, by znalazła ciekawe wytłumaczenie i wtedy dzieci przestaną z niej drwić. Wymyśliła, że białe włosy mają tylko wybrańcy, na cześć flagi Inco. Potraktowały tę informację jako coś nieoczekiwanego i tym zaskarbiła sobie ich względy. Nigdy więcej nie zadrwiono z jej fryzury, choć przykuwała uwagę, nie tylko kolorem. Wyłącznie raz – kiedy odszedł Omar – Jasmin zafarbowała włosy. Na modro. Na czas żałoby wybrała ten właśnie odcień. Teraz musiała uczynić to samo, w zasadzie chciała, na znak szacunku wobec matki. I nie krępowała się jak za poprzednim razem, że zwraca na siebie uwagę.

Pomimo straty czuła ulgę, że zdążyły przegadać tak wiele tematów. Mieszkanie po matce było opłacane przez koncern, w którym kiedyś pracował ojciec. Upomnieli się o nie, więc tuż po pogrzebie Jasmin musiała się wyprowadzić i zdać je adwokatom przysłanym przez właściciela. Zanim to jednak uczyniła, postanowiła przetrząsnąć wszystkie zakamarki. A nie było to łatwe. Każde pomieszczenie w niewielkim mieszkaniu Irminy posiadało dwie podłogi. Ta dolna stanowiła rzeczywisty strop między piętami. Górna, położona prawie łokieć wyżej, była rozbieralna. Składały się na nią oparte na rusztowaniach podesty, czyli warstwa wierzchnia, po której się chodziło. Pomiędzy nimi znajdowały się pokłady dodatkowego miejsca na przechowywanie różnych rzeczy. Rodzice Jasmin przez całe życie uzbierali masę mniej lub bardziej potrzebnych przedmiotów. Wśród nich znalazła kilka skarbów, które zabrała ze sobą na pamiątkę. Między innymi kolekcję zabawek mamy, trochę jej ubrań, ukochanych staroświeckich bibelotów oraz kilka notatników po ojcu. Były, co prawda, spisane starożytkiem, ale to nie stanowiło dla niej przeszkody.

Wróciła do Addama. Zawstydzona, splakana, cała na niebiesko. On nie pytał, nie oceniał. Doskonale wiedział, co oznacza ten kolor. Na początku między nimi było chłodno. Jasmin unikała jego wzroku, często ukradkiem płakała z tęsknoty za matką, kiedy docierało do niej, że naprawdę nigdy więcej jej nie zobaczy. Addam zniknął na całe dni i wracał późno. Spali osobno. Ona na łożu, on na przymie utworzonej z koca i kilku cieplejszych miękkich poduszek. Zauważyła, że dobrze wyglądał. Często miał dobry nastrój i co jakiś czas przynosił nowe ubrania, stroił się godzinami, pachniał też inaczej. Zastanawiało ją, czy aby się w kimś nie zakochał, lecz nawet na samą myśl, że mogłaby go zapytać, karciała się w duchu. Jeszcze nie tak dawno temu chciała się z nim rozwieść, a teraz wiedziała, że nie może tego uczynić. Wszak była na jego łasce.

Addam ani razu nie zapytał, jak się czuje, co się z nią dzieje i jak sobie radzi. Skończyły się gesty, od dawna się nie dotykali. Raz zagadnął, czy zdążyła odzyskać pieniądze z konta matki. Tylko wzruszyła ramionami. Czasem rzucił coś w stylu, że ładna pogoda, lub jakiś zasłyszany w męskim towarzystwie żart o głupocie kobiet. Żaden jej nie śmieszył. Kiedy tego nie widział, patrzyła na niego coraz częściej z pogardą. Miała ochotę zmiażdżyć go niewykrzykanymi obelgami, jakie zgromadziły się od czasu powrotu. Kotłowały się w niej sprzeczne myśli. Resztki uczucia, którym kiedyś go darzyła, skrywała głęboko. Bardziej jednak z powodu noszonych w łonie owoców ich związku. Kiedy jednego dnia wyszedł, postanowiła w końcu rozwiać dręczące ją wątpliwości, gdzie Addam spędza całe dni.

Wyglądał świetnie i sprawiał wrażenie pewnego siebie. W galerii handlowej, do której się udał, zatrzymał się przy automacie z batonami. Nie kupił żadnego. Stał oparty o jego obudowę, jakby na kogoś czekał. Jasmin ubrana w kolorową sukienkę po matce, z kapeluszem na głowie schowana była za drzwiami wejścia do sklepu z częściami zamiennymi do robotów wykorzystywanych w gospodarstwie domowym. Udawała zainteresowanie, lecz tak naprawdę patrzyła się w kierunku Addama.

– Czym mogę służyć? – zapytał robot sprzedawca.

– Przyglądam się, odejść stąd – odpowiedziała szorstko.

Addam zauważył ten incydent i poznał żonę. Mimo to zamierzał nadal realizować swój plan. Po chwili podeszła do niego starsza kobieta, w wieku pięciu i pół oczyszczenia. Zlustrowała go niczym przedmiot, którego zakupem była zainteresowana.

- Ile? – zapytała.
- Pięćset – odpowiedział.
- Czteryستا.
- Pięćset – powtórzył Addam.
- Możemy iść do ciebie?
- Mam remont.

Kobieta kiwnęła na niego palcem, dając znak, by poszedł za nią. Tak uczynił. Idąc za swą klientką, posłał krótkie spojrzenie mijanej żonie. Była zaskoczona i oburzona. Długo nie mogła się opanować. Kiedy wróciła do apartamentu, szalała z zazdrości pomieszanej z chęcią ukatrupienia zarówno męża, jak i tej lafiryndy. Zastanawiała się, co powinna uczynić. Odejść z godnością, dać mu rozwód czy może pogodzić się ze swym losem. Nie miała pomysłu, co dalej. Wiedziała, że teraz jest zależna tylko od niego. Jej brzuch przypominał o swoich potrzebach. Zjadła kolejny baton, gryząc wielkie, męskie, wściekłe kęsy. Poszła się odświeżyć. Chciała zmyć z siebie całą złość na człowieka, którego jeszcze niedawno darzyła uczuciem. Wrócił wieczorem. Zanim zdążyła się odezwać, włączył komunikator i wyświetlił na ścianie stan swojego konta. Widniała na nim kwota dwudziestu dwóch tysięcy trzystu bytów.

- Po co mi to pokazujesz? – zapytała.
- Możesz myśleć o mnie, co chcesz, ale robię to dla nas. Dzięki temu stać nas będzie na godne życie. Dopóki się nie zorientują, że to też praca.
- Addam, co się z nami stało? – zapytała, by dać sobie chwilę do namysłu.
- Nie wiem. Chcę nas ratować.
- Nie wyglądałeś na człowieka, któremu by się to nie podobało.
- Przyzwyczajenie. Kilka dni temu odczuwałem wątpliwości, ale dzień później przyszła podwyżka opłat za energię, wodę i czynsz o kolejne dwadzieścia procent.
- Żałowałam, że cię nie posłuchałam. Na samym początku. Ale teraz nie żałuję. Kiedy mnie zostawisz, a wiem, że tak będzie, pozostanie mi pamięć po tobie w postaci naszych dzieci. Tylko gdzie my będziemy mieszkać?

Jasmin spuściła głowę i pogładziła się po brzuchu.

- Nie zostawię cię. Cały czas cię kocham. Najgorsze będzie najbliższe pół oczyszczenia, potem z górki.

- Nie widzisz, co się dzieje w Inco? Czy sto dni temu wiedziałeś, jak to się potoczy?

Addam pokręcił głową.

- To co, mam to przerwać? Jak będziemy żyć? – zapytał.

Jasmin powoli zaczęła się uspokajać. Kilka ostatnich zdań ją zastanowiło. Czy dobrze rozumiała, że Addam uprawiał prostytucję dla niej i dzieci? Żeby im pomóc? Nie potrafiła zaufać swoim uczuciom ani powierzchownej ocenie sytuacji. Potrzebowała więcej czasu. Z pewnością nie podobało jej się, że człowiek, który niedawno był jej tak bliski, zdradzał ją z wieloma innymi kobietami. Nie miało dla niej znaczenia, że to był tylko seks ani że czynił to dla dziewczynek. Sam fakt, że jej męża może mieć każda, był nie do zniesienia. „Nie jestem zazdrosna, wnerwia mnie sama myśl, że one uważają, że coś mi odebrały. Na pewno ze mnie szydzą” – oszukiwała samą siebie w myślach. Zastanawiała się nawet, czy nie wolałaby, żeby Addam miał jedną, prawdziwą kochankę zamiast stu klientek. Poza tym zawsze istniało ryzyko, że któraś zarazi go jakimś paskudztwem lub wyda go, że dorabia jako prostytutka. Co prawda z uwagi na ochronę płci męskiej nie zostałby ukarany, ale być może stałby się obiektem eksperymentów naukowych, o których było dość głośno od dobrych trzech tygodni.

Wtedy zdała sobie sprawę, że jego ostatnie zajęcie było bardzo ryzykowne. Życie w Inco staowało się nieznośne. Za wszystko kary, zakazy, blokady, więzienie. W dodatku szalejąca inflacja pozbawiała złudzeń, że uda im się wyjść cało z tej sytuacji jako rodzina lub jej substytut. W tym momencie wpadła na zupełnie szalony pomysł. Nie przemyślała go, postanowiła od razu podzielić się nim z Addamem.

- Musisz się ożenić z drugą kobietą, która da naszej rodzinie syna, jeśli będzie trzeba z dwiema. Nie więcej.

Adama zatkało.

- W ten sposób nie będziesz musiał się sprzedawać jak dziwka – kontynuowała. – Prawo na to zezwala. Mówi się o targach ślubnych. Zgadzam się, byś poślubił dziewczynę z bogatego domu. Co ty na to? Wyciągniemy sporo pieniędzy od jej rodziny. Oddadzą wszystko, by ich pociecha była szczęśliwa.

- Jesteś pewna?

Nie była. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Addam znał Jasmin bardzo dobrze, lecz nie podejrzewał, że byłaby zdolna posunąć się do tak heroicznego, choć wbrew pozorom sprytnego posunięcia. „Piękna i mądra, moja białowłosa” – pomyślał o niej jak dawniej. Kiedy ochłonął, ochoczo zabrał się do planowania wielostopniowego castingu rozgrywanego systemem pucharowym. Jasmin podpowiedziała mu, że to strata czasu, że trzeba tylko ustalić zasady i wybrać się do galerii handlowej, a tam wystarczy, że przejdzie się korytarzem i same się do niego zgłoszą. Tak uczynił. Przeprowadził wstępną selekcję i zaprosił co atrakcyjniejsze kandydatki na umówioną porę kolejnego dnia do swojego apartamentu. Nakazał, by każda z nich zabrała ze sobą aktualny raport o stanie zdrowia. Jasmin praktycznie nie przespala drugiej nocy z rzędu. Rano wyglądała jak żywy trup. Nawet nie miała siły, żeby udawać wypoczętą, nie przyozdobiła twarzy. Wchodzące do apartamentu kobiety, niektóre z rodzinami, mijały ją, rzucając lekceważące spojrzenia. Nie wyglądały na zdziwione, dlatego Addam szukał młodszej. Pomimo zmęczenia Jasmin nie zamierzała przyjmować pozycji ofiary. Chciała do końca czuć się panią tego miejsca i sytuacji. Uznała, że będzie lepiej, jeśli nie pokaże słabości, a tylko odarte z emocji zaangażowanie.

- Witam was, drogie panny – zaczęła. – Na początek muszę omówić zasady, które będą dzisiaj obowiązywać. Po pierwsze: decydujemy wspólnie. Zarówno głos męża, jak i mój mają taką samą wagę. Mamy być docelowo rodziną, więc nie może być niesnasek pomiędzy pierwszą a drugą żoną. Powinna być między nami chemia. Po drugie: jeśli którąś z pań wybierzemy, najprawdopodobniej jutro odbędzie się – tu się zająknęła, lecz nikt tego nie odnotował – stosunek płciowy z moim mężem. Po kilku dniach dzięki nowoczesnej technologii sprawdzimy, czy nastąpiło zapłodnienie i czy to chłopiec. Tylko w takim przypadku odbędzie się ślub. Po trzecie: każde dziecko w rodzinie będzie traktowane tak samo. Bez względu na to, czy będzie to syn, czy córka, obojętnie, której będzie matki i kiedy się urodzi. Po czwarte i ostatnie: przypomnę, że kobiety, które nie przejdą pozytywnie castingu, nie otrzymają zwrotu wadium. Wpłacone dwieście bytów zostanie potraktowane jako koszt udziału w castingu. Czy wszystko jest zrozumiałe?

- Tak – odpowiedziały chórem kandydatki.

- Proszę się przedstawić – zaproponowała pierwszej z dziesięciu zaproszonych na ten dzień.

- Nazywam się Konstancja Ciccone. Moje proporcje ciała to jeden i cztery dziesiąte na jeden na jeden i trzy dziesiąte. Mam dwa i pół oczyszczenia oraz trzy i pół łokcia wzrostu – powiedziała zgrabna żółtowłosa z dużym biustem.

- Rozbierzesz się, Konstancjo? – zapytał Addam, lustrując jej krągłości.

Jasmin zatkąło. Ustalała z mężem wszystkie szczegóły, ale o tym nie było mowy. Miała ochotę strzelić go w pysk, ale przypomniała sobie, dlaczego to robią. Konstancja trochę wstydziła się gapiów, ale w końcu chęć ożenku zwyciężyła. Powoli zdjęła sukienkę i stanęła zupełnie naga naprzeciwko Addama, potem okręciła się dookoła niczym robot prezentujący nową modę w salonie z odzieżą. Wyglądała na zdrową. Miała kilka pieprzyków na brzuchu i szarą myszkę na tyłku. Na widok tej skazy Addam zrobił grymas dezaprobaty. Jasmin zauważyła jego reakcję i ucieszyła się w duchu.

- Dziękujemy za przybycie. Proszę się ubrać – powiedziała.

- Moja rodzina daje za ślub...

- Tak. Wiemy, ale chcemy teraz poznać kolejną kandydatkę.

Jasmin wcale nie zależało na pilnowaniu zasad, lecz na szybkim okryciu dziewczyny, by nie wgapił się w nią Addam. W tej chwili cały pomysł z castingiem wydał jej się strzałem w kolano. Miała nadzieję oddalić werdykt w czasie najbardziej, jak się da. „Jedna z konkurentek została odstrzelona” – pomyślała. Spojrzała na kolejną i zaprosiła ją gestem. Młoda dziewczyna wyszła na środek salonu, a za nią starszy mężczyzna, mały, szarowłosy, chudy wąsacz. W tym czasie Konstancja zdążyła ubrać się w popłochu i skryć w rogu salonu. Dopiero teraz wyglądała na zawstydzoną i spłoszoną.

- Nazywam się Ivard Morgoruth. Moja córka ma na imię Vicky – powiedział wąsacz, prezentując komiksową piękność. – Jej proporcje to jeden i pięć dziesiątych na jeden na jeden i czterdzieści pięć setnych. Prawda, że ideal? Ma dwa oczyszczenia i idealne ciało stworzone do rodzenia. Rozbierz się – zwrócił się do córki. – Zobaczcie, jakie ma wspaniałe, jędrne piersi, wąską talię i szerokie biodra. Płacę dwadzieścia tysięcy bytów za ślub. Kiedy urodzi się syn, dorzucę na wyprawkę.

Vicky bez chwili wahania rozebrała się i zaczęła dumnie prezentować swoje ciało.

- Kuszące – powiedziała Jasmin. – Pomyślimy. Teraz kolejna kandydatka.

- Chciałbym zadać kilka pytań – wtrącił Addam.

- Ależ proszę bardzo. – Jasmin знаła to jego spojrzenie.

Mąż wyglądał na podekscytowanego intuicyjnym wyborem, którego właśnie dokonał w imieniu ich obojga.

- Opowiedz nam coś o sobie – zaproponował.

- Skończyłam farmację – powiedziała miłym głosem Vicky. – Wiem, że w obecnej sytuacji politycznej to niezbyt popularny zawód, ale prędzej czy później wróci do łask. Ludzie nie mogą żyć bez lekarstw. Już rozprzestrzeniają się choroby.

- Słusznie. Myśląca. To dobrze – zauważył ożywiony niczym młokos Addam i uśmiechnął się do pierwszej żony.

- Czy masz jeszcze jakieś sprawy do tej pani, mężu? – przypomniała o swojej pozycji.

- Nie mam więcej pytań – odpowiedział, uśmiechając się do Vicky.

- Dla porządku muszę zapisać pani nazwisko. – Jasmin znów postanowiła przypomnieć o zasadach.

- Jakie to ma znaczenie? Niebawem będę panią Kozllov – odpowiedziała z pewnością w głosie Vicky i zaczęła się ubierać. Robiła to powoli, zatrzymując na sobie wzrok Addama na

dłużej.

Choć casting trwał do późnego wieczora, kolejne kandydatki zostały w zasadzie odprawione. Jasmin była wściekła z powodu wyboru Addama, ale nie potrafiła zaproponować żadnej innej opcji. Sama wpadła na pomysł z castingiem i wiedziała, że nie powinna się z niego wycofywać. To by ją pogrążyło w oczach męża. Został jej tylko on. Wolała zdzierzyć jedną konkurentkę niż całe stado klientek. Była przekonana, że nawet jeśli próba seksu się powiedzie i jej mąż ożeni się właśnie z Vicky, prędzej czy później się nią znudzi. Dziewczyna nie była w jego typie. Każdy to wiedział. Jasmin odebrała zadatek od ojca wążacza i odprawiła go.

Próba prokreacji miała się odbyć nazajutrz, ale według Addama szkoda było tracić czas na zbędną zwłokę. Zaproponował, by Vicky od razu została na noc. Jasmin wściekała się w myślach. Znow zrobił coś bez ustalenia z nią. Gdzie miała się podziać o tej porze? Gdyby to było w ciągu dnia, poszwendowałyby się po okolicy. Ale nocą? Vicky zaproponowała, że przecież mogą spać we trójkę w jednym łóżku, że jej to nie przeszkadza. „Jeszcze czego!” – oburzyła się Jasmin. „Gówniara będzie mnie zapraszać do mojego własnego łóża. Nie ma mowy. Łaski nie będzie mi robić” – myślała urażona. Nie zgodziła się. Wolała przesiedzieć w odosobnieniu. Zastanawiała się tylko, gdzie znaleźć takie miejsce, skoro tej klasy apartament w zasadzie nie posiadał korytarza ani ścian działowych. To była jedna, wielka, otwarta przestrzeń. Część sypialniana była odgradzona od wielkiego salonu wyłączną przenośną przegrodą, czymś na kształt parawanu. Chłodziwo i garderoba przypominały zabudowane szafy. Jedynie pomieszczenie regeneracyjne stanowiło wydzielone lokum. Jasmin uznała, że to idealne miejsce. Przynajmniej nie będzie niczego słysać.

Myliła się. Słyszała wszystko. Jak się chichrali, jak sapali, jak Vicky jęczała z rozkoszy, a Addam ciężko oddychał. Słyszała każde słowo. Rozmawiali czule. Dawno nie słyszała takich słów z ust własnego męża, a tej nocy drań obdarowywał świeżo poznaną siksę całymi seriami komplementów. „Znalazł się mecenas, romantyk, kurwa jego mać” – klęła w duchu. Zatykanie uszu nie pomagało w zagłuszeniu mamrotania tego gnoja, szczebiotu idiotki i wszystkich natrętnych myśli. A te dawały jej najbardziej w dupę. Wyżywały się na niej. Za jej błędne decyzje i za te spóźnione. Za to, że była dla Addama zbyt pobłażliwa, nadto uszczypliwa i czasem bezsensownie zazdrosna. Gdyby nie konfrontowała się z nim z byle powodu i była bardziej partnerem niż rywalką, nawet by nie pomyślał o innej. Nigdy by się nie zgodził na tak szalony pomysł jak wielożeństwo. Choć od zawsze lubił być adorowany przez kobiety, znała go dobrze i wiedziała, że nie posunąłby się tak daleko. Wszystko się jednak zmieniło. Sama była sobie winna. Zatęskniła za matką.

Vicky nie bardzo podobała jej się jako człowiek. Wyglądała na pyską i bezczelną. Taką, co za nic miała zasady, moralność czy szacunek do starszych; co do celu dąży po trupach. Jej długie rzęsy, wielkie oczy oraz faktycznie nienaganna figura musiały wzbudzać zazdrość u każdej, nawet bardzo atrakcyjnej przedstawicielki płci pięknej. Jedyne, czego jej brakowało, to wzrost. Czarnowłosa Vicky była wysoka zaledwie trzy łokcie, pół łokcia mniej niż Jasmin. Pierwsza żona Addama mogła na nią spoglądać z góry.

Jasmin zasnęła na podłodze, wyczerpana po cichej i samotnej walce z własnymi obawami. Jej sen nie trwał jednak długo. Obudził ją Addam, oznajmiając radośnie, że razem z Vicky zamierzają się odświeżyć. Poprosił, by – jeśli nie chce tego robić z nimi – wyszła z pomieszczenia regeneracyjnego i poczekała w salonie. Pękło jej serce.

ROZDZIAŁ 14.

Tajemnica

Musimy odpocząć – powiedział Fahid. – Za chwilę wszędzie Hello. Okurai ledwo idzie.

– A czy tu nie ma jaszczurów? – spytała z obawą w głosie Sumi.

Fahid rozejrzył się dookoła. Miejsce, które właśnie mijali, wyglądało dość podobnie do tego, z którego wczoraj późnym wieczorem uciekali przed sahadzi. Co powinien odpowiedzieć córce? Że na pewno ich tu nie ma? Skąd mógł wiedzieć? Wcale nie był pewny, czy okolica była wolna od jakichkolwiek niebezpieczeństw. Do niedawna był zwykłym farmerem, niewystawiającym nosa poza dziurę, w której mieszkał. Teraz stał się pospołu podróżnikiem, awanturnikiem i mordercą. Właśnie znów zdał sobie sprawę, że zabił troje ludzi, w dodatku na oczach własnej córki. Tym haniebnym czynem przekreślił swój cały dorobek. Przez dotychczasowe życie pracował na wizerunek prawego człowieka. Jednego wieczoru wszystko się zmieniło. Stał się łamiącym wszelkie zasady moralne przeciwieństwem własnego jestestwa. Jakiej odpowiedzi miał udzielić Sumi? Że stał się bandziorem i samo przebywanie z nim było bardziej niebezpieczne niż towarzystwo jaszczurów? Poczuł ogromny żal i niemoc. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał.

– Tato, zatrzymujemy się czy nie? – spytała zmęczona dziewczynka.

– Tak. Prześpijmy się jakiś czas. W ukryciu. Może tam.

Fahid wskazał na wielki głaz, który mógłby zasłonić miejsce odpoczynku. Zsiadł z okurai i pomógł córce zrobić to samo. Podeszli bliżej. To faktycznie był dobry wybór. Obeszli głaz dookoła. Sumi stąpała dość ostrożnie, badając nogą grząskość gruntu. Sprawiał wrażenie stabilnego. Ojciec odpiął ze zwierzęcia uprząż i przywiązał je do pobliskiego krzaka. Narzutek, którą było okryte, rozłożył jako posłanie dla córki. Sam zaś położył się bezpośrednio na ziemi. Jego ubiór był odporny na brud i ostre krawędzie, więc nie obawiał się o jego zniszczenie tak, jak o delikatną sukienkę Sumi. Dziewczynka miała ochotę się przytulić i podziękować za uratowanie, lecz w tym momencie się wzdrygnęła. Znów zobaczyła oczami wyobraźni ojca dźgającego nożem w szyję Kadu, a potem jak mały jaszczur zlizuje z niej krew. To było zbyt wiele naraz. Skuliła się w pozycji embrionalnej i zamknęła oczy. Fahid był potwornie zmęczony i usnął szybko. W zasadzie już po chwili mocno chrapał. Po jakimś czasie zaczął też nerwowo wierzcąc nogami, jakby śnił mu się jakiś koszmar, w którym ucieka. Sumi odwróciła się w kierunku ojca i zaczęła go obserwować. Skupiła się bardziej na nim niż na sobie. Wyglądał biednie. Oddaliła wszystkie złe myśli, wspominała tylko dobre chwile. U taty na kolanach, z mamą przy stole, z rodzeństwem podczas zabawy czy wygłupów. Uczepiła się tych wspomnień. Długo nie mogła przez nie zasnąć. Zresztą była trochę głodna i spragniona. Męczyła się do późnej nocy. W końcu usnęła, ale dopiero rano.

Kiedy się obudziła, ojciec krzątał się przy małym ognisku. Pachniało całkiem przyjemnie. Była zaskoczona. Nie wiedziała, że tato dobrze gotuje i potrafi zrobić coś z niczego. W domu przygotowywaniem posiłków zawsze zajmowała się matka, tym razem ojciec, i to było dziwne dla córki. Opiekał na ogniu długi szaszłyk ze znalezionych w pobliżu roślin. Można było

rozpoznać czerwone, grube kapelusze grzybów anake poprzekładane kawałkami jadalnej kory z moherowego drzewa nabite na łądygi dzikiej odmiany ma. Sumi nie mogła się już doczekać śniadania.

- Wypałaś się? – zapytał Fahid.

- Wołę swoje łóżko. Mamy coś do picia?

Fahid pokręcił głową, lecz po chwili uśmiechnął się, jakby przyszła mu do głowy znakomita myśl.

- Możemy poszukać owoców – doniósł radośnie. – Widziałem dzikie ptaki moree. Tam, gdzie one, tam powinny być kiście turlinu.

- Wołałabym wodę. Wiesz, tato, jak trafić do Hambarra?

- Jakoś tam dojedziemy. Bardziej martwi mnie to, że mamy tylko jednego okurai. Czemu nie zabrałem więcej zwierząt? Głupiec ze mnie. Mam nadzieję, że nikt się nie dowie, co się stało, i nie będą nas ścigać. Okurai z dwójką na grzbiecie nie da rady pościgowi.

Sumi zrobiła smutną minę. Fahid zerknął błagalnym wzrokiem na córkę, jakby prosił o wybaczenie.

- Kto teraz będzie naszym kapłanem? – spytała.

- Nie wiem. Na pewno kogoś przyślą, ale tym bym się nie martwił. Zanim zakończysz szkołę, wszystko może się zmienić.

- To mnie wcale nie pociesza – odpowiedziała dojrzałe.

Zerknęła na kilka ptaków moree, które przeleciały im nad głowami. Wyraźnie było widać ich zainteresowanie ludzkim jedzeniem. Wszak Fahid przyrządzał właśnie danie smakowicie przyprawione zieleń radda.

- Popatrz tam.

Fahid wskazał na wzgórze z wieloma wiatrakami ustawionymi dziesiątkami w rzędach. Pomimo znacznej odległości wyraźnie można było rozpoznać każde kręcące się śmigło. To był monumentalny widok, niespotykany nigdzie indziej. Sumi nie zainteresowała się wcale. Widocznie uznała, że to coś zwyczajnego w tamtych stronach, a może po prostu za bardzo była zajęta własnym głodem.

Według wierzeń kultywowanych jeszcze przed początkiem świata, czyli kiedy nie istniał podział na dwie krainy, Patri była zawsze traktowana jako uosobienie Matki Natury. Zanim stała się boginią, żyła jak człowiek. Kiedy zrodziła się z czystej energii Hello, przyjęła jego najlepsze promienie i dzięki temu zyskała ogromną moc tworzenia. Wiadomo było, że wyczerpała większą część siły tej gwiazdy i od tej pory jej promienie już nigdy nie były tak esencjonalne, a z czasem zaczęły tracić moc. Na początku Patri była całkiem sama na pokrytej jedynie warstwą ziemi planecie. Nudził ją ten widok, więc postanowiła stworzyć dla siebie towarzystwo. Najpierw swym dotykiem wywołała pojawienie się pierwszych roślin. Nie ze wszystkich była zadowolona. Te niezbyt udane szybko rozrastały się niczym chwasty. Inne, te piękniejsze, rosły bardzo wolno i raczej jako jedyni przedstawiciele swojego gatunku. Jednak cała flora rozwijała się zbyt powoli, jak na dynamiczny charakter energicznej bogini. Patri postanowiła wykreować coś, co będzie miało w sobie więcej życia. I właśnie wtedy powstały pierwsze zwierzęta.

Przechadzając się po bujnym ogrodzie, wymyślała coraz ciekawsze stworzenia i obdarzała je różnymi cechami. Najczęściej po dwa osobniki, na wypadek gdyby jeden z nich się nie udał.

Czasem po jednym. Zaplanowała, że będą się odżywiać roślinnością, która zaczęła przysparzać coraz więcej kłopotów swoim wzrostem. Po jakimś czasie znów znudziła ją monotonia i wymyśliła pierwsze drapieżniki. Obdarzyła je instynktem do walki i zewnętrznymi atrybutami mięsożercy, takimi jak pazury, kły i zwinne ciało. Wreszcie zaczęło się robić całkiem interesująco. Drapieżne zwierzęta wybijały i zjadały te nudne, roślinożerne. Planeta stała się jednym wielkim polem bitwy. Patri zrozumiała jednak, że jak tak dalej pójdzie, niebawem zostaną tylko same zwierzęta mięsożerne i sporo roślinności. To byłaby klęska. Żeby temu zaradzić, obdarzyła świat chorobą, naturalną śmiercią i regularną odnową. Pomogło.

Kolejne, coraz śmielsze pomysły tylko udoskonalały jej dzieło. Pojawiły się ptaki, gryzonie, owady, grzyby, pleśnie. I kiedy uznała, że jej świat jest gotowy, zauważyła, że nie może nikomu pochwalić się uzyskanym efektem. Nie było nikogo, kto by docenił jej dzieło. Postanowiła powołać do życia kogoś podobnego do siebie, by mogła z nim rozmawiać, obcować, wspólnie przeżywać, radować się i smucić. Stworzyła na swoje podobieństwo człowieka i obdarzyła go cechami boskimi. Innymi niż posiadała ona; można powiedzieć, że ją dopełniały. On jednak nie docenił tego daru. Kiedy poczuł się silny, postanowił odebrać jej moc władania światem. Powinna była się go pozbyć, lecz nie potrafiła tego uczynić. Pokochała go. To dla niego stworzyła otchłań, uczyniła go wiecznym więźniem. Żeby nie przyszło mu do głowy samounicestwienie, dostał we władanie świat odwrotny. Odebrała mu wzrok, przez co ograniczyła jego moce tak, by działały tylko w ciemności, tylko w tamtym miejscu. Od tej chwili nie przeszkadzał jej w dziele tworzenia. Mimo to Patri cały czas wiedziała, że on gdzieś tam istnieje. Sporadycznie o nim rozmyślała, zastanawiała się, co robi, a nawet w skrytości oplakiwała go.

Żeby nie zatracić się w tęsknocie, stworzyła kolejnego człowieka, lecz tym razem nie obdarzyła go cechami boga. Szybko umarł. „Dlaczego wymyśliłam choroby i śmierć?” – wściekała się na siebie. Ledwo powołała kogoś na świat i zdążyła się z nim zaprzyjaźnić, ten ktoś odchodził w niebyt. Wtedy postanowiła stworzyć wielką rasę ludzką i nauczyć ją samodzielnego życia. Bez jej kontroli. Lecz ludzie także zaczęli umierać, tym razem masowo. Musiała co jakiś czas odnawiać ten gatunek. Zanim zdążyła stworzyć jedną grupę, odchodziła druga. I tak w kółko.

Patri była już zmęczona ciągłym odtwarzaniem swojego świata. I wtedy wpadła na pomysł, że mógłby ją ktoś zastąpić w wielkim dziele tworzenia. Tylko kto? Na pewno nie bóg zła ukryty w otchłani. Żadne ze zwierząt, roślin czy ludzi nie posiadało jednak nawet najmniejszej części energii, która zdolna była do kreowania. Wszystkie gatunki potrafiły rosnąć, nawet rozwijać się, ale nie dawały kolejnego życia. Jedynym wyjściem okazało się przekazanie całej swojej mocy.

Patri bardzo pokochała stworzony przez siebie świat i nie potrafiłaby się z nim rozstać. Gdyby oddała komuś we władanie swą energię, ten ktoś mógłby się pozbyć stwórczyni. Odeszłaby w niebyt jak żyjątko, które tworzyła dla własnej uciechy. Zdała sobie sprawę, że musi się poświęcić i oddać całą siebie. Zjednoczyć się z całą Wszechziemią. Tylko wtedy nikt nie zniszczyłby dzieła ani jej samej. Tak też uczyniła. Ostatnią wolą Patri dokonały się zamiana jej ciała na wiele cząstek energii, z których była zbudowana, i obdarzenie nimi całego świata. Tchnęła każdą cząstkę we wszystkie stworzenia i rośliny. Od tej pory wszystko, co żyło, zyskało umiejętność rozmnażania się. Tworzenie nowego życia odbywało się w różny sposób, ale

zawsze dzięki przekazywanej energii, która znajdowała się w komórkach. Wyglądały jak mikronasiona.

Po Patri został tylko duch – jej świadomość. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że żyją i rozmnażają się dzięki niej, postanowili w podzięce wybudować sanktuarium na szczycie góry Saandreal. Ci, którzy tak bardzo pokochali swą boginię, że postanowili oddać się w jej posiadanie, czyli na służbę, zostawali kapłanami jej Kościoła. Tylko tak mogli zrewanżować się za jej poświęcenie. Patri doceniła ten gest i pozwoliła im rządzić stworzonym przez siebie światem. Obserwowała z góry, czy wszystko dzieje się zgodnie z ustalonym przez nią porządkiem. Swoje decyzje przekazywała poprzez wizje, których doświadczali święci mędrcy, zwani Najwyższymi Kapłanami Wszechziemi. Tak mówiły stare, święte skrypty. Zawierały słowa bogini, a z nimi nie wolno było dyskutować. Spisał je pierwszy z mędrców. W pierwszej erze, tuż po podziale Wszechziemi na dwie krainy, religia stała się symbolem państwowości Floris. Z czasem odnalazły się kolejne stare skrypty, wyjaśniające, jak należy interpretować słowa stwórczyni. Dopiero wtedy ludzie dowiedzieli się o othłani, czyli odwróconym świecie, i o tym, że tam odchodzą ludzie bez wiary. Także o przykazaniach, które nadała sama Patri, między innymi tych o grzechach śmiertelnych.

Tego poranka Ae nie stawiała się na codziennej porannej modlitwie. W zastępstwie poprowadził ją Kifor. Przeżył bardzo osobiście ten zwyczajowy rytuał. Poczul się jak ktoś naprawdę ważny. Wielokrotnie wyobrażał sobie, że to on jest Najwyższym Kapłanem Wszechziemi, a dziś przez krótką chwilę mógł poczuć namiastkę boskości. Kiedy opuszczał Złotą Świątynię, miał ochotę już celebrować zastępstwo, lecz dyscyplinował go kręgosłup fałszywej moralności. Wzywał do sprawdzenia, dlaczego kapłanka się nie pojawiła. Kiedy zapukał do jej drzwi, długo musiał czekać na pozwolenie.

– Czy nic ci nie jest, pani? – zapytał, gdy w końcu otworzyła.

– Usnęłam dopiero nad ranem. Zasnęłam. Nie pamiętam, kiedy mi się to ostatni raz przydarzyło.

Kifor znów poczuł się mocny, kiedy dostrzegł, że jego rywalka słabnie w oczach. Już nawet Zenit nie miał do niej szacunku. Gdzie jest ta silna kobieta, która tak bez pardonowo weszła na szczyt władzy i zagnieździła się tam na dobre?

– Jak przebiega nabór? – zapytała, by pokazać zainteresowanie.

– Dobrze. – Kifor był zniesmaczony zagadnięciem świadczącym, że Ae ostatnio go nie słuchała. – Coś mi się przypomniało. Wczoraj spotkałem Ling Gui. Mówił, że martwi się o Kadu.

– No właśnie. Czy poczciwy Kadu wykonał zadanie? – Ae tym razem naprawdę wyglądała na zaangażowaną.

– Powinien już dawno tu być. Można by pomyśleć, że jak zwykle przesadził z tinghao, ale tym razem dla jego ochrony pojechały z nim dwie kapłanki niskiego szczebla. Najlepsze wojowniczkę ze szkoły żołnierskiej.

– Tego już za wiele. Ten Kadu doprowadza mnie do wściekłości.

– A jeśli coś im się stało i to nie jest jego wina?

– Nieważne. Dawno nie było degradacji. Kiedy się pojawi z powrotem, dostanie nowy przydział. Trzeba będzie wysłać do jego rewiru innego kapłana.

- Dobry pomysł. Nawet mam kogoś, kto się doskonale nada – powiedział Kifor i uśmiechnął się jak dziecko.

- Już mam kandydatkę. Jak się nazywała ta niepokorna, ta w masce?

- Taarida. Ona?

- Kadu rozpieścił swój rewir. Musimy wprowadzić porządek. Wezwij ją, proszę, ale nie za szybko. Tylko niczego jej nie mów.

- Dobrze – odpowiedział, choć nie wyglądał na osobę, która wierzy w pomyslną tej zmiany.

Ae lubiła się modlić w samotności. Czasem robiła to w swojej komnacie, a czasem, szczególnie w takich dniach jak ten, w jedynym miejscu, do którego nikomu nie wolno było wejść, czyli w sanktuarium Patri. To właśnie tam zamierzała się teraz udać na krótką rozmowę z boginią. Miejsce to znajdowało się nad Złotą Świątynią w samym szczyście góry Saandreal. Miało kształt regularnej piramidy. Od wewnątrz było wyłożone szlachetnymi kamieniami i kolorowymi szkiełkami. Nazywano je diamentowym, choć nie było tam ani jednego kawałka tego szlachetnego kamienia. Tę tajemnicę znali Najwyżsi Kapłani Wszechziemi, bo tylko oni mogli tam przebywać. Reszta ludności Floris znała wersję, według której sanktuarium było zbudowane z samych diamentów. Pomimo braku tych konkretnie szlachetnych kamieni, miejsce to było na swój sposób magiczne. Przez kolorowe szkiełka docierały promienie Hello, tworząc niebywałe zjawisko. Miraż tańczących ze sobą kolorowych promyczków przypominał usidloną w szczyście piramidy kolorową masę energii podobną do zorzy. Jeśli ktoś próbował wyobrazić sobie ducha Patri, to właśnie w ten sposób. Najwyżsi Kapłani Wszechziemi modlili się tutaj często. Tu otrzymywali wizje, przekazywane przez boginię decyzje lub pomysły. Modlitwa Ae wyglądała zupełnie inaczej niż jej poprzedników.

Wejście było od dołu, bezpośrednio ze Złotej Świątyni. Trzeba było wspiąć się po kilku kamiennych schodkach i otworzyć niezbyt ciężką pokrywą przypominającą małe, poziome drzwiczki. Ae weszła do środka i zamknęła za sobą przegrodę zlokalizowaną w podłodze, po chwili rozebrała się do naga. Położyła się i spojrzała w górę. Podziwiała kolorowe niebo, które widać było przez poszczególne szkiełka.

- Patri, tylko ty wiesz, jaka jest prawda – powiedziała trzęsącym się głosem. – Nigdy mnie nie wydałaś. Zawsze mogłam na ciebie liczyć. Znow proszę cię o pomoc. Niech to wszystko się wyjaśni i dobrze zakończy.

Usiadła i uroniła jedną łzę. Dłuższą chwilę zajęło jej uspokojenie myśli. Kiedy wracała do swojej komnaty, na twarz miała zarzuconą woalkę. Nikogo z mijanych kapłanów nie dziwił ten widok – był częsty. Na miejscu czekała na nią Taarida. Stała karnie na środku ze spuszczoną głową. Na twarzy nosiła maskę z powodu świętego jadu, który dotknął ją bardziej niż innych. Wyglądała mizernie i skromnie, jakby całą jej niepokorność zabiło zbyt długie oczekiwanie na upragniony rewir.

- Taarida.

- Pani.

- Mam dla ciebie ciekawe zadanie. Chciałabym, byś rozwikłała kilka zagadek.

- Kifor mówił, że będę miała swój rewir.

- Jak się sprawisz.

Ae wiedziała, że zastępca jej nie posłucha. Będzie chciał osobiście przekazać dobrą nowinę, by kupić sojusznika i poczuć namiastkę władzy.

- Zrobię wszystko, co zechcesz, pani – oznajmiła z wyczuwalną wdzięcznością Taarida.

- Najpierw odnajdziesz Kadu. Jeśli żyje, to go zabij.

Kapłanka w masce drgnęła, jakby to polecenie ją zaskoczyło, lecz kiwnęła głową na znak, że zrozumiała.

- Wcześniej dowiedz się, dlaczego nie wykonał mojej prośby. Mogą się koło niego kręcić dwie kapłanki niskiego szczebla, które pojechały z nim do zachodniej ćwiartki. Nie wiem, jak się nazywają. Dowiedz się w szkole Ling Gui. Dobrze by było, żeby zobaczyły tę śmierć. Pokażesz im list ode mnie, więc będziesz wytłumaczona. W każdym razie powinny wiedzieć, że to moja decyzja. Mają przywieźć jego zabalsamowane ciało do wąwozu Asaran. Wszystko zgodnie z rytuałem. Ty w tym czasie wykonasz zadanie za Kadu. Będzie lekko zmodyfikowane, lecz nie mów mu o tym, jak go spotkasz. Jeśli się sprawisz, dostaniesz swój rewir.

Ae plawiła się w doskonałym nastroju. Od razu zabrała się do pisania listu.

Już same przedmieścia Hambarra obwieszczały, że miasto należy do niezbyt licznej grupy wyjątkowo ponurych miejsc, jak na Floris. Nie widać w nim było tych kolorów, które aż były po oczach w rolniczych częściach kraju. Widocznie sztuka i kultura kojarzyły się raczej z szarością kamiennych uliczek i brudnym beżem domów. Większość z nich wyglądała podobnie. Centralną część miasta zajmował wielki plac ze straganami, na środku którego stała świątynia w kształcie piramidy, miniatura sanktuarium Patri z góry Saandreal. Odbываły się w niej nie tylko modły, lecz także kameralne koncerty. Co kilka wschodów Hello stragany były demontowane i na placu organizowano przedstawienia teatralne, defilady orkiestr lub parady kuglarzy. Każdy, kto przybył do tego miasta i zdążył poczuć jego klimat, z reguły zostawał w nim na całe życie. To było magiczne miejsce, z którym trudno było się rozstać.

Fahid i Sumi dotarli dosyć późno, lecz szybko się zorientowali, że Hambarra nigdy nie zasypia. Pomimo zmroku na małych uliczkach oświetlonych rzędami pochodni odbywały się zabawy zakrapiane tinghao. W jednym miejscu słychać było odgłosy bębnów, w innym do akompaniamentu lutni jakaś młoda dziewczyna śpiewała pieśń sundryjską, w kolejnym chór młodych mężczyzn dudnił harmonicznym basem. Do tego prawie na każdym rogu można było spotkać grajków. Muzykowali najczęściej na byle czym, poczynawszy od różnej maści piszczawic, bindziołków, strącielni poprzez wielodzwonki, trąbity i kralnie, a skończywszy na tarantułach i flawicach poprzecznych, łamanych dwukrotnie. Czulo się, że w tym mieście muzyka jest najważniejsza. Mijani mieszkańcy wyglądali na dość zżytych ze sobą. Wszyscy byli przyjaźni i gościnni. Chętnie zapraszali obco wyglądającą parę. Choć Sumi była ciekawa poznania nowych ludzi, jej ojciec nie chciał angażować się w nowe znajomości, tym bardziej że mieli za sobą niezbyt ciekawą przygodę i wołał raczej, by nikt go nie zapamiętał. Kiedy jednak zobaczył, że córka wreszcie się uśmiecha, zrobiło mu się lżej na duszy. Całą podróż do Hambarra miała zasmuconą minę, dlatego teraz nawet najmniejszy promyczek jej szczęścia sprawił mu ogromną radość.

- Gdzie znajdziemy szkołę śpiewu? - zapytał Fahid jednego z przechodniów.

- Którą?

- To jest ich więcej? - zdziwiła się Sumi.

- Dziewczyno, tu jest z dziesięć szkół - odpowiedział z rozbrajającym uśmiechem przechodzień o wroście sugerującym wiek półtora oczyszczenia, lecz młodszej buzi.

- A która jest najlepsza? - zapytał Fahid, uciekając wzrokiem.

- Ja się uczę u Maniusa Dreya - zaśpiewał przechodzień, budząc zachwyty i niemałe zakoczenie dziewczyny oraz zniesmaczenie jej ojca.

- Ja też tam chcę - odpowiedziała.

Ojcu nie spodobało się, w jaki sposób córka wpatrywała się w lekko podchmielonego młodzieńca. Nie przypominał nikogo, komu warto byłoby zaufać. Fahid słyszał od ojca, że artyści bywają szaleni. Niemniej jednak publiczne śpiewanie było dla niego niezrozumiałe.

- Musimy się zdrzemnąć, żegnaj, dobry człowieku - powiedział, odciągając Sumi na bok.

- Idźcie za róg. Tam jest taki wysoki budynek, niedroga noclegownia dla przyjezdnych.

- Dziękuję - odpowiedziała Sumi i uśmiechnęła się szczerze do przechodnia. - Na pewno jeszcze się spotkamy.

- Mów mi Adalberto - powiedział śpiewnym tonem przechodzień.

- Su... - Dziewczynka nie zdążyła dokończyć, gdyż ojciec zakneblował jej usta i wysłał karcące spojrzenie.

Noclegownia wyglądała bardzo przyjaźnie. Najniższy poziom, czyli głęboka piwnica, przeznaczony był do ochrony i snu podczas krótkiej pory roku zwanej odnową. W suterenie znajdowało się pomieszczenie powitalne, coś na kształt recepcji, sypialnie dla gości zaczynały się zaś od pierwszego poziomu wzwyż. Drzwi do każdej z nich były usytuowane prostopadle do krętych schodów wijących się w obydwu kierunkach niczym serpentyny. Fahid nigdy nie widział tak wysokiego budynku. Był przerażony jego monstrualnym rozmiarem. Wchodził dość ostrożnie, jakby bał się, że konstrukcja czteropiętrowej kamienicy zawali się pod jego ciężkimi stopami.

- Muszę zapisać wasze nazwiska - powiedział niezbyt urodziwy pracownik noclegowni.

- Su... surowy ojciec i jego nieposłuszna córka - zażartowała Sumi.

- Skoro tak się nazywacie, nic mi do tego. Zapisałem. Należą się dwa szare kamienie - odpowiedział i posłał dziewczynce wyuczony uśmiech.

Fahid wręczył zapłatę, unikając wymiany spojrzeń. Znowu był niezadowolony. Nie z powodu tego, że córka z niego zadrwiła. Wręcz przeciwnie, docenił, że szybko wybrnęła z trudnej sytuacji i podała pseudonimy. Bardziej martwił go kolejny już dorosły mężczyzna, który uśmiecha się do młodej dziewczyny, a ona głupio to odwzajemnia. „Co będzie, kiedy zostanie tu sama? Na kogo wyrosnie? Czy żaden nie zechce jej zbałamucić?” - zastanawiał się. Kiedy wchodzili po schodach do pomieszczenia zlokalizowanego na ostatnim piętrze, bił się z myślami, czy dokonał właściwego wyboru. Podejmując decyzję o ukryciu córki w tym właśnie mieście, był przekonany, że to idealne rozwiązanie. Kapłani rzadko je odwiedzali. Każdy mógł się tu skryć. Wystarczyło, że poudawał dziwaka, a już wtapiał się w otoczenie. Sumi posiadała piękny głos, więc nikogo nie musiała udawać. Z punktu widzenia Fahida perspektywa wykonywania przez córkę zawodu pieśniarki, nawet najgorszej, brzmiała zdecydowanie lepiej niż najbardziej olśniewająca kariera kapłanki. Widok z otworu okiennego na czwartym poziomie zamurował go. Czuł się niczym ptak moree, który spogląda z nieba na małych ludzi i wypatruje łatwej zdobyczy. Sumi też była oczarowana, lecz jak to zwykle bywa w przypadku dzieci, bagatelizowała wysokość. Czuła, że jest w miejscu stworzonym specjalnie dla niej. Myślała o sobie, że jest niczym bogini Patri spoglądająca na swój świat z góry. Wiedziała, że nie zapomni tego widoku do końca życia.

Nazajutrz, kiedy Fahid poznał Maniusa, odetchnął z ulgą. Nauczyciel wyglądał całkiem normalnie. Nie mówił jak artysta, lecz jak rzemieślnik, najlepszy w swoim fachu. Był konkretny i rzeczowy.

- Zaśpiewaj coś, dziewczyno – zaproponował. – Nie każdy może być moim uczniem.
- Jeśli będzie trzeba, zapłacę – wtrącił Fahid, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie tędy droga.

Sumi zaśpiewała kilka prostych gam i ulubioną wiejską piosenkę. Manius nic nie odpowiedział. Przyglądał się dziewczynce jak zwierzęciu kupowanemu na targu. Mało brakowało, a spojrząłby jej w usta, czy ma zdrowe zęby. Nie musiał tego robić. Zajrzał niepostrzeżenie do jej buzi, kiedy śpiewała. Nie mógłby sobie pozwolić na przyjęcie do szkoły dziewczyny niezbyt urodziwej, bez zębów lub kulawej. Miał renomę. Jego uczelnię kończyli najzdolniejsi i najatrakcyjniejsi pieśniarze we Floris. Sumi była nawet ładna, jak na córkę farmera. Spojrzenie Maniusa zaczęło ją krępować. Fahid chrząknął i wysłał mu ponagląjące spojrzenie.

- Nauka trwa mniej więcej jedno oczyszczenie. Łączny koszt wynosi zaledwie pięćset szarych kamieni. W tym wikt i opierunek. Płatne z góry.

- Ile? – oburzył się Fahid. – Mam zaledwie trzydzieści.

Manius równocześnie wzruszył ramionami i prychnął drwiąco.

- Po co mi zwracacie głowę? – zapytał. – Nauka kosztuje. Nawet jeśli uczyłyby się u mnie tylko rankiem, a potem gdzieś pracowała, sądzę, że mogłaby zarobić najwyżej jeden szary kamień w ciągu dziesięciu wschodów Hello. To nadal za mało.

- A gdzie tu można pracować? – zastanawiał się na głos Fahid, wszak pracę kojarzył tylko z uprawą roli.

- Co potrafisz? – zapytał Manius, patrząc prosto w oczy małej dziewczynki.

- Umiem sprzątać.

- No chyba że tak. Mogłabyś zarobić. W tym mieście jest więcej bałaganiarzy niż robiących porządek.

Sumi spojrzała na ojca błagalnym wzrokiem. Przez jego głowę przeszły różne, niezbyt przyjemne myśli, większość związanych z Kadu i jego zadaniem. Potem zrobił minę, jakby rachował w myślach. Chwilę to trwało.

- Dziś mogę dać trzydzieści szarych kamieni – wydukał w końcu. – W domu mam jeszcze z dziesięć. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, do końca nauki mogę uzbierać brakujące czterysta sześćdziesiąt szarych kamieni. Będę przywoził partiami co kilka zbiorów. To wszystko, na co mnie stać. Niech pan ją przyjmie. Proszę.

Manius podrapał się po idealnie przystrzyżonej brodzie. Dla Sumi ten zwyczajowo krótki gest trwał całą wieczność. Usłyszała najdrobniejsze muśnięcie paznokciem po każdym pojedynczym włosku.

- Zgadzam się, ale na moich warunkach. Dziewczyna będzie pracowała codziennie do końca nauki. Sam znajdę jej zajęcie, ale cały zarobek będzie trafiał do mnie jako odsetki od twojego długu. Dzisiaj wezmę trzydzieści szarych kamieni, ale musisz mi oddać jeszcze sześćset w dwunastu ratach. Kiedy nie dowiesz na czas choćby jednej raty, wynoszącej pięćdziesiąt szarych kamieni, dziewczyna zostanie wyrzucona ze szkoły. Ma się uczyć, robić postępy, a na końcu zda egzamin. W przeciwnym wypadku...

- Zostanie wyrzucona – dokończył Fahid. – Zgadzam się.

Sumi rzuciła się z radością ojcowi na szyję. Przytuliła go najmocniej, jak tylko potrafiła. Była przeszczęśliwa. Spełniło się jej najskrytsze marzenie. Zawsze chciała śpiewać, ale nigdy nie sądziła, że ktokolwiek z jej rodziny, opierającej się na rozsądnym wychowaniu, mógłby wykonywać taki zawód, mało praktyczny w ocenie jej rodziców. Fahid był przekonany, że robi

dobrze, choć niezbyt mądrze. Nawet gdyby koszt nauki wyniósł tylko sto szarych kamieni, według niego taka inwestycja nigdy by się nie zwróciła. Jakże się mylił.

– Dobry pieśniarz potrafi zarobić kilka szarych kamieni dziennie. Nie w Hambarra. Nawet nie w Patrix. Są miejsca, gdzie bardzo ceni się talent – powiedział Manius i podał rękę na znak przypięczętowania umowy.

Zenit czuł, że nie może dłużej grać na zwłokę i drażnić Najwyższej Kapłanki Wszechziemi. Jego czyn z pewnością i tak zostanie potraktowany jako niesubordynacja, choć działał zgodnie z obowiązującym kanonem. Rewelacje opowiadane przez więźnia przestały trzymać się logiki, więc nadszedł już najwyższy czas na przekazanie go w ręce surowszej instancji.

– Zostaw nas samych, Zenicie – powiedziała kapłanka.

Nawet nie zauważyła, kiedy wyszedł. Skupiła się na więźniu. Przyglądała mu się badawczo. Wyglądał zupełnie normalnie, nie przypominał Harisa. Był niski i faktycznie krępy, jak opisywał go szef straży. Jego dłonie wyglądały na silne. Z pewnością nie musiał używać żadnych narzędzi do rozłupywania muszli skorupiaka nimo, jednego z najtwardszych materiałów służących jako budulec.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– A więc zadziałało. Twoim chłopcom powiedziałem, że nazywam się...

– Wiem, co powiedziałeś – przerwała mu, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie toleruje wodolejstwa. – Słyszałeś moje pytanie?

– Tak. Mam na imię Xami. Choć nie wyglądam, pochodzę z Inco. Tak lepiej?

Ae westchnęła ciężko. Kolejny człowiek, który zapewne wiedział bardzo dużo. „Ilu takich płacze się po moim kraju?” – głowiła się.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? Bo rozumiem, że przywołanie nazwiska, które znam, miało właśnie taki cel.

– Słuszny wywód. Przejdę od razu do rzeczy. Chciałbym ofiarować ci swoje usługi.

– Dlaczego miałabym z nich skorzystać? Tak się składa, że wiem, co się dzieje w Inco. Zapewne nie masz powrotu do swojego kraju. U nas prędzej czy później czeka cię śmierć. Czy o czymś zapomniałam?

– Uwierz mi. Jestem ci potrzebny. Tylko ja potrafię wytropić Jusifa.

– Podobno dałam ci już takie zlecenie. No tak. – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – To był kolejny haczyk, żebym się tobą zainteresowała.

Ae uciekała wzrokiem. Jakim cudem Xami wiedział, że akurat tego człowieka poszukuje władczyni Floris? Zastanowiła się przez chwilę. To, że podobno pracowali razem, a nie dawało pewności, że to prawda, nie musiało być wytłumaczeniem.

– Jeśli dasz mi zlecenie, zrobię to za darmo – kontynuował. – Przyniosę ci jego głowę. Musisz oczywiście mnie wypuścić na wolność i powiedzieć swoim różowym chłopczykom, że to nie ich liga. Mają mnie nie śledzić, bo skończą...

– Dość. Jaką mam pewność, że nie uciekniesz?

– Masz rację. W Inco nie ma dla mnie życia. Rząd, dla którego pracowałem, nie istnieje. Nie mam dokąd wracać. Moim krajem rządzą teraz szalone kobiety. Chętnie widziałyby mnie jako dodatek do pożywienia.

Kapłanka zrobiła grymas, który wyglądał jak połączenie zdziwienia z odrazą.

- Nowa władza ma nowe pomysły – kontynuował. – Wszyscy, którzy się przeciwstawiają, najpierw muszą odpracować swoje winy w upokarzających warunkach. Kiedy nie mają już siły, kończą jako tajny składnik batonów regeneracyjnych.

- Czyli batony są jednak zdrowe – zażartowała. – Dobrze się znacie z Jusifem?

- Za dobrze – odpowiedział z przekąsem. – Razem zostaliśmy tu przysłani. W tym samym czasie. Niestety to jemu udało się pierwszemu zbliżyć do ciebie i to on dostał najważniejsze zadanie. Mnie przypadło w udziale tylko wsparcie i kilka ważniejszych likwidacji. Bądźmy precyzyjni: morderstw. Wieszare to w sumie nie jego, ale moja sprawka. Zresztą nie tylko on.

Ae upewniła się, że drzwi są zamknięte.

- Kontynuuj.

- Nic więcej nie mam do dodania. Zleć mi zadanie, a przekonasz się, że jestem ci bardzo potrzebny.

- Dlaczego sądzisz, że chciałabym się pozbyć Jusifa?

- Bo nie był wobec ciebie szczery.

- Może byłabym w stanie mu wybaczyć?

- A dlaczego zniknął, kiedy w Patrix pojawił się Haris Sagavara?

Ae zastanowiła się przez chwilę.

- Najpierw chcę go przesłuchać.

- Sądzisz, że Jusif powie prawdę?

- Ile ci to zajmie czasu?

- A ile mi dasz?

- Dwa wschody Hello, cwaniaku. – Ae uśmiechnęła się w geście triumfu.

- Wystarczy jeden.

Głowa Jusifa nie wyglądała na świeżo ściętą. Była pokryta zaschniętą krwią zmieszana z brudem, ale to był z pewnością on. Ae poznałaby go zawsze i wszędzie. Znali się bardzo długo. Kiedy spojrzała prosto w jego wybałuszone oczy, przełknęła ślinę i zmrużyła powieki.

- Nie wiem, czy chciałabym być twoim nieprzyjacielem – powiedziała.

- Byłaś nim przez prawie dwa oczyszczenia, ale nic ci nie groziło – odpowiedział Xami.

- Bo polubiłam Jusifa?

- Jego już nie ma.

- Nie czekałeś na moje zlecenie. Zabiłeś go wcześniej.

- Widzę, że nic nie umknie twojej uwadze. Kto następny na twojej liście? Biorę sto szarych kamieni za jedną głowę – powiedział Xami, zadzierając nos w triumfalnym geście.

- Mam kilka pomysłów, ale tym razem nie załatwisz tego tak szybko.

- Jusif też tego nie potrafił.

- Ale jego znałam.

- Naprawdę?

W głowie Ae walczyły sprzeczne myśli. Z jednej strony czuła potrzebę uduszenia tego łotra żywcem, z drugiej uznała, że może okazać się wybawieniem.

Nazajutrz, tuż po porannych modłach, Ae poprosiła Zenita, by w drodze do osady Vatili Soll towarzyszyła jej grupa purpuratów. Niby pod pretekstem odwiedzenia Clifforda zamierzała

spotkać się przede wszystkim z Harisem. Droga minęła dość szybko, gdyż Najwyższa Kapłanka Wszechziemi wyjątkowo nie poprosiła o żaden postój. Najpierw spotkała się z kapłanami, którzy uczyli się spraw technicznych od Goeffreya Clifforda. Potem udała zaciekawieniem życiem byłego premiera na obczyźnie. Do domu, w którym mieszkał, weszła z grupą purpuratów. Wyglądało to jak popisowa defilada.

- Witaj, Ae – przywitał ją zaskoczony Barney Clifford. – Cóż to za zaszczyt?

- Chciałam sprawdzić, jak idzie nauka. Mizernie.

- Nie chciałym nikogo obrazić, ale to nie jest wina mojego brata. Wasz poziom wiedzy jest, delikatnie mówiąc, zacofany. Chyba rozumiesz, pani – powiedział.

- Tak. Wiem. Gracie na zwłokę.

- Nie do końca. Właśnie miałem zamiar pofatygować się do Patrx.

- Coś się stało? – zapytała z udawaną troską.

- Chciałem osobiście podziękować za twoją gościnę, ale musimy już wracać. Kraj nas potrzebuje.

- Co? Wszyscy? – zdziwiła się Ae, choć miała ochotę zadać pytanie o konkretnego członka zespołu Clifforda. – Mówiłeś, że teraz jest tam niebezpiecznie – powiedziała, patrząc Harisowi prosto w oczy.

- Jeśli zostaniemy dłużej, nigdy nie będziemy mieli powrotu. Rewolucjoniści przejmują władzę – odpowiedział jej Rubby.

- Nie przypominam sobie, żeby dług został spłacony. – Ae fuknęła z niezadowolenia i zrobiła kilka nerwowych kroków.

- Krócej tu mieszkamy, krócej was uczymy. To uczciwe, prawda? Zostawimy wam wszystkie maszyny. Nie ma żadnego długu.

- Tak tanio cenisz bezpieczeństwo swojej rodziny? Ciekawe.

Clifford przełknął ślinę i spojrział w kierunku Harisa, jakby szukał wsparcia.

- Będziecie mogli wrócić, kiedy moi kapłani od technologii potwierdzą, że poznali całą wiedzę, jaką mieli przyswoić. Jeśli zależy wam na szybszym wyjeździe, postarajcie się bardziej.

- Ależ, pani...

- Życzę miłego popołudnia. Czy mogę poprosić, byście wyszli? Wszyscy. Ty zostań. – Ae wskazała na Harisa.

Jej decyzja spotkała się z lekkim oburzeniem. Clifford przez chwilę wahał się, czy powinien wykonać jej prośbę. Spojrzała na niego kategorycznie, przenikliwie i chłodno. Zrozumiał, że jego pozycja nie była już uprzywilejowana. Wyszedł powoli, widząc smętnym wzrokiem po podłodze. Zaraz za nim zrobili to samo pozostali. Jeden z purpurowych strażników popatrzył w kierunku kapłanki. Czekał na potwierdzenie, czy na pewno również powinien odejść. Kiwnęła głową.

- Czego chcesz ode mnie? – zapytał Haris, kiedy zostali we dwoje.

- Kim jest Xami? Tylko mów prawdę.

- Kurdupel? A więc się ujawnił. Idiota.

- Co masz na myśli? – Ae wyraźnie lubiła ton Harisa, kiedy obrażał innych. W jej postrzeganiu świata to była najbardziej pociągająca postawa u mężczyzn.

- Nigdy byście go nie złapali. Widocznie grunt pali mu się pod nogami.

- Albo ma inne zamiary.

- Możliwe. Z pewnością jest doskonałym uzupełnieniem Jusifa.

Najwyższa Kapłanka Wszechziemi uśmiechnęła się delikatnie. Ucieszył ją ten zwykły, niby nic nieznaczący drobiazg. Właśnie zdała sobie sprawę, że pierwszy raz wiedziała ciut więcej niż Haris. To było małe, lecz istotne zwycięstwo, które dodało jej sił. Odwróciło losy jej wewnętrznej walki, którą toczyła od jakiegoś czasu. Już nie miała za złe Harisowi, że kiedyś ją zaszantażował. W tym momencie myślała tylko o tym, jak przekonać go do pozostania we Floris. Kiedy wychodziła na zewnątrz, jej oczom ukazał się niezwykajny widok. Kilku notabli z Inco, w tym Clifford i Rubby, stało nieopodal i obserwując wyjście z domu, namawiali się szeptem niczym mali chłopcy. Ich knucie wyglądało groteskowo. Rozbawił ją ten obrazek.

- Najwyższa Kapłanko, pozwól, bym przynajmniej ja razem z rodziną mógł wrócić do domu - wydukał niepewnym głosem Clifford.

- Nie ma mowy. Rodzina musi zostać tutaj. Mogę się ostatecznie zgodzić, żebyś pojechał sam, bez ostawy. Na pewno trafisz, droga jest prosta. Jeśli się boisz, mogę wysłać do pomocy jednego człowieka.

Clifford spuścił głowę. Jego towarzysze posmutnieli. Najwyraźniej zdali sobie sprawę, że sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Co ciekawe, jeszcze do niedawna mieli wrażenie, że nad wszystkim panują. Ale tak naprawdę, to było dawno temu.

- Zostaniesz tutaj. Dopilnuj, by wyjechał sam. Najwcześniej pojutrze - powiedziała szeptem do jednego ze strażników.

Kiwnął głową, przyjmując do wiadomości polecenie.

- Jeśli reszta będzie się buntować, zabij kogoś dla przykładu.

Po powrocie do Patrix Ae zdziwiła się, że czeka na nią posłaniec. Była to kobieta. Dostała zadanie zaproszenia kapłanki do Inco w celu zapoznania się z nowym Rządem. Ae wysłuchała jej, lecz nie udzieliła konkretnej odpowiedzi. Była, co prawda, ciekawa, jak wygląda nowa pani premier i jakie będą konsekwencje jej powołania, lecz na ten moment delikatnie odmówiła, zasłaniając się niedyspozycją natury zdrowotnej. Nie chciała się spotkać z żadnym oficjelem do czasu wyjaśnienia kilku spraw. W tym celu poprosiła Kifora, by wezwał więźnia o imieniu Xami. Zdziwił się, bo takie polecenia wydawała tylko Zenitowi, lecz szybko pojął, że wchodzi w grę dwa możliwe scenariusze. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi jest po prostu zawiedziona postawą szefa purpuratów albo, co gorsze, była na niego śmiertelnie obrażona. Nie mylił się w tym względzie. Zabroniła Zenitowi zbliżyć się do swojej komnaty.

Kiedy pojawił się Xami, wyprosiła grzecznie Kifora. Nie zamierzał się zbyt oddalać. Ciekawiło go, kim był więzień i czym zasłużył sobie Zenit. Ukrył się za drzwiami i zaczął podsłuchiwać.

- Zadam ci trudne pytanie, Xami - powiedziała po upewnieniu się, że drzwi są zamknięte. - Ile osób według ciebie zna moją przeszłość?

- Tego typu informacji raczej się nie rozpowiada, więc jestem przekonany, że nie jest ich zbyt wiele. Jeśli chodzi o obecnie mieszkających w tej krainie, to sądzę, że zaledwie dwudziestu. W Inco maksymalnie pięciu. Z nimi będzie trudniej, ale gdybym otrzymał takie zlecenie, mam kogoś, kto mógłby pomóc.

- Udzielasz jakichś rabatów za zlecenie hurtowe? - zapytała radosnym głosem, jakby to miał być pyszny żart. - Powiedzmy dwadzieścia siedem głów?

- A te dwie głowy to kto? - zdziwił się Xami.

- A kto powiedział, że dwie? Może trzy - ciągnęła wątek nadal w szampańskim nastroju.

- Jeśli na tej liście jest szef straży, zaoszczędzisz na tym zleceniu. Wykonam je gratis. Niech to będzie ten rabat.

- Postaraj się bardziej. Lubię negocjować.

Ae uśmiechnęła się delikatnie. Xami odwzajemnił uśmiech, ale w szelmowski sposób. Poczł się kumplem ważnej osoby. Kifor stojący za drzwiami komnaty otworzył szeroko oczy z przerażenia. Zawsze wiedział, że Ae jest na swój sposób gorącokrwista, ale pierwszy raz usłyszał z jej ust takie słowa. Wydała wyrok na wiele osób, i to tak, jakby podejmowała decyzję o tym, co zje na kolację. Kifor wiedział też, że żywot Zenita jest przesądzony. „Czy powinienem to komuś zgłosić? Czy ktokolwiek mi uwierzy? Czy nie powinienem zdobyć jakichś dowodów? Kto jeszcze jest na krwawej liście kapłanki?” – zastanawiał się.

Konkurencja

Agenda kolejnego posiedzenia Rządu zawierała tylko jeden punkt. Nazywał się Wierra Slippnot. Członkinie gabinetu pani premier z wielką ekscytacją czekały na moment, w którym kobieta o tym nazwisku szczęśliwie wróci z poselstwem z Floris i przekaże dobre wieści.

- Witam, koleżanki – zaczęła Noovack. – Slippnot dotarła w nocy. Strudzona, ale żyje. Za chwilę będziemy mogły z nią porozmawiać. Dałam jej trochę czasu na odpoczynek po męczącej podróży. Zanim do nas dotrze, mam do was kilka pytań. Najważniejsze: jak społeczeństwo reaguje na zmiany? Natalia? – Spojrzała w kierunku Tatarczyny.

- Prawie doskonale – odpowiedziała niepewnym głosem. – Mieliśmy ostatnio kilka incydentów, ale zostały zdławione w zarodku.

- Bzdura – oburzyła się Davis. – Nie macie pojęcia, co się dzieje. Społeczeństwo jest podzielone.

- Co przez to rozumiesz, koleżanko? – zapytała Noovack.

- Dzielnica druga wrze.

- Nie siej defetyzmu, Kimberly – skomentowała Tatarczyna. – To nie jest nic nowego. Tak się dzieje od wielu miesięcy. Nawet pokusiłabym się o opinię, że jest coraz spokojniej.

- To na pewno za sprawą nowych rozwiązań prokreacyjnych – przypomniała o sobie w swoim niepowtarzalnym stylu Gibbondy.

- Czy w takim razie jesteśmy gotowe na wprowadzenie kolejnych dekretów? – zapytała premier.

Nastąpiła niezręczna cisza. Noovack zerkała kolejno na poszczególne szefowe ministerstw.

- Kimberly? Tylko odpowiedz szczerze.

- Moim zdaniem nic nie stoi na przeszkodzie – odpowiedziała Tatarczyna, wcinając się przed zamyśloną Davis.

- Rewolucja wymaga ofiar – wtrąciła Monssantoo. Myślę, że to czas na wprowadzenie dyrektywy X.

- Już? – zdziwiła się Noovack.

- A co to takiego? – zapytała Duecklenbourg.

- Nie śpij na naszych posiedzeniach, koleżanko – upomniała ją Noovack. – Była o tym mowa. To jeszcze pomysł Clifforda. Nawet zacny.

- Ach ten. Nie pamiętałam, że tak się nazywa. – Duecklenbourg udała, że wie, o co chodzi, choć nikt nie nabrał się na jej teatrzyk.

W tym momencie drzwi do Sali Posiedzeń zostały otwarte i pojawiła się w nich Wierra Slippnot. Faktycznie wyglądała na zmęczoną i niewyspaną. Miała opaloną twarz, jakby wędrowała wiele dni w upalnym słońcu.

- Usiądź, przyjaciółko – zaprosiła ją gestem Noovack. – Opowiadaj. Jesteśmy bardzo ciekawe.

- Dziękuję - odpowiedziała czarnowłosa Slippnot i usiadła na honorowym miejscu wyznaczonym przez prowadzącą posiedzenie panią premier.

- Najpierw nam się przedstaw - poprosiła Duecklenbourg, usiłując wyrzucić dobre wrażenie wyniesionymi z domu manierami.

- W porządku. Nazywam się Wierra Slippnot. Mam cztery oczyszczenia. Mój ojciec był inżynierem w zakładach zbrojeniowych, a matka technologiem żywności. Obydwoje nie żyją. Mam dwóch braci. Strasznie nieroby. - Zaśmiała się. - Może tyle na początek wystarczy.

- Czy udało ci się spotkać z kapłanką? - zapytała Davis.

- Tak. Ae to piękna kobieta, nie tak jak inni z jej Kościoła. Wygląda na młodą, ale doświadczoną. Jest oszczędna w słowach.

- Czy łatwo się dogadywałeś? W sensie, czy nasz język bardzo się różni od ich bełkotu?

- Nie. Mówimy zupełnie tak samo. Może oni stosują zwroty, których my nie znamy, bo dotyczą zwierząt, roślin czy przedmiotów niewystępujących u nas, ale to ten sam język. Piszą tylko inaczej. To nie są litery jak u nas, ale coś jakby znaki. Widziałam na zwojach, które leżały w jej komnacie.

- Kiedy do nas przybędzie? - zapytała Noovack.

- Nie wiem. Raczej nieprędko. Powiedziała, że się spotka, ale za jakiś czas. Nie potwierdziła kiedy. Mówiła, że jest chora...

- Chora? Lepiej niech tu nie przyjeżdża, bo nas pozaraża. Oni nie dbają o zdrowie.

- Dbają, tylko inaczej, i nie wyglądała na chorą. Zachowywała się raczej, jakby chciała mnie zbyć.

- Czy według ciebie coś ukrywała? - zapytała Noovack.

- Trudno powiedzieć. Nie znam jej, ale z pewnością nie wyglądała na otwartą na nowe znajomości. Była dosyć sztuczna, kiedy udawała miłą. Na pewno bym jej nie zaufała.

- Wiedziałaś. Oni coś knują - skwitowała Davis.

Noovack gotowała się od wewnątrz, lecz nie chcąc po sobie pokazać, że trapi ją nonszalancja kapłanki, postanowiła zmienić temat.

- Opowiedz nam o tej krainie. Co widziałaś? Czy coś ci się podobało?

- Czy spotkałaś Clifforda? - Tym ważnym pytaniem Tatarczyna zwróciła na siebie uwagę pozostałych uczestniczek posiedzenia.

- Nie widziałam go. Nikt niczego nie wie. Floris to ciekawy kraj. Jest dużo kolorowej roślinności. Można spotkać prawdziwe żyjące stworzenia. Jest ich mnóstwo. A to ptak, a to owad, a to jakiś gryzoń.

- A ludzie?

- Też są, a jakże. Dominują białe włosy. Dziwnie się ubierają, mają inne zwyczaje, nie są tak szczupli jak my. Ale... nie wyglądają na złych. Nigdy nie widziałam tyłu mężczyzn naraz. Chyba jest ich nawet więcej niż kobiet. A przynajmniej tak by się mogło wydawać.

- Niemożliwe - oburzyła się Davis.

- Naprawdę. A ich żony, matki, siostry, córki wyglądają na szczęśliwe.

- U nas też będzie cudownie. Musimy tylko poukładać nasz świat na nowo. - Noovack nie potrafiła ukryć trawiących ją zazdrośnych fobii.

- Właśnie. Nasz świat jest lepszy - wtórowała jej Gibbondy.

- Brudasy - odezwała się Davis.

- Nie są brudni. To znaczy nie, żeby byli idealnie czysti. Po prostu nie śmierdzą. Niektórzy nawet ładnie pachną. Ziołami, jedzeniem, kwiatami.

- Cudownie – skomentowała z nutą ironii w głosie Gibbondy, czym podniosła na duchu Noovack.

- A religia? Czy jest wszechobecna? – zapytała Duecklenbourg.

- To było najgorsze. Wszędzie posągi tej ich bogini. Ludzie się modlą, jakby nie mieli mózgów.

Noovack wreszcie poczuła się lepiej. Jeśli Slippnot posunęłaby się za daleko w ocenie, wskazując na same pozytywne aspekty, okazałoby się, że Floris to idylliczny kraj, górujący nad Inco.

- Jak sądzisz? – zwróciła się do Wierry. – Czy ci mężczyźni zajmujący się uprawą roślin, zdołaliby żyć w naszym świecie? Bez religii, bez pracy, bez przyrody...

- Sądzę, że tak. To prości ludzie. Wystarczy im wmówić, że u nas będą mieć status bogów, a dadzą się kupić pochlebstwami – odpowiedziała.

- Skoro jest ich tak wielu, to nikt nie zauważy, jeśli część z nich przeniesie się do nas – zaproponowała Duecklenbourg.

- Trafiałaś w sedno, koleżanko. Już mi się podoba. Wykradnijmy kilku na próbę. Zobaczymy, czy się odnajdą – zaproponowała Noovack.

- Doskonały pomysł – oceniła Tatarczyzna.

- Brawo, pani premier – wtórowała jej Davis.

Po chwili rozległ się gromki aplauz. Tylko Gibbondy nie wyglądała na zbytnio zadowoloną z nowego pomysłu szefowej. Uśmiechała się przez zęby, jak zawsze wtedy, kiedy była innego zdania niż reszta.

Zaledwie półtora tygodnia. Tyle wystarczyło odczekać, by bezboleśnie upewnić się, że zarodek będzie kiedyś chłopcem. Jasmin nie chciała, by Addam poszedł sam z Vicky. Mieli się wybrać do gabinetu doktor Meilly, lekarki o najpewniejszej ręce, najsprawniej obsługującej urządzenie wymyślone przez obecną Minister Zdrowia. Postanowiła pójść z nimi. W sumie mieli być rodziną, więc pod pretekstem daleko idącego zaangażowania wprosiła się w kompanię. Zmyła modrą farbę z włosów na znak zakończenia żałoby. Wyrzuciła wszystkie niebieskie stroje, uznając, że nie będą jej już potrzebne. Ubrała się inaczej niż zwykle – włożyła luźną, szarą sukienkę, na którą zarzuciła długi, cienki szal maskujący lekką krągłość na brzuchu. Znała poczekalnię doktor Meilly, lecz nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek się tu pojawi w charakterze innym niż jako pacjentka. Vicky weszła pierwsza po to, by się przygotować. Po chwili wyglądająca na pięć oczyszczeń lekarka zaprosiła Addama. Jasmin wśliznęła się za nim do środka. Kiedy zobaczyła półnagą Vicky leżącą na kozetce, uznała, że ta młoda franca ma beczelnie idealne ciało.

- Proszę rozłożyć nogi – zwróciła się do pacjentki doktor Meilly.

Zanim Vicky wykonała prośbę, zerknęła czule w kierunku Addama. Był podekscytowany. Z trudem ukrywał emocje. Miał szeroko otwartą buzię, krótki oddech, a jego oczy biegały jak szalone. Zauważyła to Jasmin. Kilkakrotnie widziała swojego męża w takim stanie. Uznała, że to wstyd tak się zachowywać przy obcych. Postanowiła odwrócić jego uwagę. Obeszła kozetkę dookoła i kucnęła z drugiej strony. Chwyliła czule Vicky za rękę, czym zaskoczyła zarówno swojego męża jak i, prawdopodobnie, jego przyszłą drugą żonę. Wyglądało to na wzorowy akt empatii wyzbyty z wszelkich atomów zazdrości. Udało się. Addam przestał się idiotycznie trząść.

- Ale sympatyczna z was rodzinka - oceniła doktor Meilly. - Pani jest mamą?

- Jestem pierwszą żoną tego pana - odpowiedziała szorstko Jasmin.

Doktor Meilly zrobiła grymas zaskoczenia, lecz trwał on dość krótko. Najwyraźniej nie takie rzeczy widziała. Szarpnęła za fikuśnie wyglądającą szarą kłamkę o dwa stopnie w lewo i nacisnęła kwadratowy przycisk, którym uruchomiła gibbonator. W małym przenośnym urządzeniu coś zapiszczało, zaklikało i po chwili zaczął wydobywać się odgłos turkotania. Vicky z przerażeniem zerknęła na urządzenie, potem w kierunku Addama.

- To nic. Muszą go jeszcze dopracować - powiedziała zawstydzona Meilly. - Faktycznie działa zbyt głośno. Ale naprawdę działa.

Meilly chwyciła wystającą z urządzenia rurkę z czujnikiem wyglądającym jak szklane oko z mikrokamerkami. Wytarła ją szmatką na sucho i wysmarowała świeżym żelem.

- Będzie zimno, ale tylko przez chwilę. Pan i pani... - zwróciła się do Jasmin i Addama. - Proszę patrzeć teraz tam. Na ekran.

Vicky syknęła na potwierdzenie, że żel jest faktycznie zimny. Na ekranie wyświetlanym na jednej ze ścian, blisko kąta, ukazał się obraz wnętrza jej macicy. Addam zrobił grymas obrzydzenia. Jasmin zmarszczyła lekko brwi i zaczęła się wpatrywać. Tymczasem doktor Meilly zmieniała ustawienia w urządzeniu. Obraz przybliżał się i oddalał, czasem lekko obracał. Regulacja trwała dłuższą chwilę.

- Noga mi zdrętwiała - powiedziała Jasmin i wystawiła rękę w kierunku Addama, licząc, że zachowa się jak dżentelmen.

Nie zareagował. Zdążył się znudzić oczekiwaniem, bezwiednie wgąpił się w biurko ginekolożki, jakby czytał jej recepty do góry nogami. Jasmin pokręciła głową na znak dezaprobaty, wypuściła dłoń Vicky i z trudem, wspierając się o łóżko, podniosła się, eksponując napięty brzuch. Dostrzegła go Meilly.

- Który to tydzień?

- Jedenasty - odpowiedziała i odeszła na bok.

- Szybko rośnie - skomentowana lekarka.

Addam nerwowo drgnął, jakby ta informacja sprowadziła go na ziemię. Spojrzał w kierunku brzucha Jasmin i westchnął głęboko. W tym momencie pojawił się kolejny obraz wyświetlony na drugiej ścianie blisko tego samego kąta. Niczego nie było na nim widać, wszystko było rozmazane. Doktor Meilly podkreśliła kontrast i obraz zaczął przypominać ten pierwszy, ale jakby z innej perspektywy. Addam zaciekawiał się. Po chwili pojawił się trzeci obraz, tym razem nałożony na dwa poprzednie, tworząc projekcję trójwymiarową. Teraz nie tylko Addam był oszołomiony, Jasmin także.

- Dlaczego teatromania tak nie działa? - zapytała.

- Bo środki państwowe idą tylko na rozwój medycyny - odpowiedział Addam, kręcąc nadal głową z niedowierzania.

Doktor Meilly pokręciła kolejnymi gałkami, przedstawiając równocześnie wszystkie zsynchronizowane ze sobą obrazy tworzące trójwymiarową całość.

- Mam cię - powiedziała z ekscytacją. - Tu jest. Widzicie?

Addam, Vicky i Jasmin spojrzeli na ekran. Mieli zdezorientowane miny, a ich oczy w nieładzie przesakkiwały pomiędzy poszczególnymi fałdami organów wewnętrznych Vicky, jakby poszukiwali igły w stogu siana.

- Niech pan podejdzie.

- Gdzie? Tu? - zapytał wystraszony Addam.

- Nie. Tam. Do ekranu. Niech pan wystawi rękę.

Addam uczynił to, o co go poprosiła lekarka, lecz nadal wyglądał nie tyle na zdezorientowanego, co bardziej zniesmaczonego, że musi wchodzić Vicky do wirtualnej macicy. Jasmin miała niezły ubaw.

- A teraz w lewo i ciut do góry. To ta kropka – powiedziała Meilly.

- Nic tu nie widać. Może pani powiększyć?

- Przecież ma pan wszystko jak na dłoni. Zresztą bardziej się nie da. Tu się chce zagnieździć, szkrab jeden.

- Chłopak? – zapytała z nadzieją w głosie Vicky.

- Jeszcze nie wiem. Chciałam wam tylko pokazać. Za chwilę się wszystkiego dowiemy, ale na tym etapie podziękujemy widzowi.

Jasmin nie trzeba było dwa razy prosić. Kuśtykając na zdrętwiałej nodze, podeszła do drzwi, złapała za klamkę i czmychnęła do poczekalni. Addam uśmiechnął się do Vicky, by dodać jej otuchy, i także opuścił gabinet.

Na korytarzu czekał już Wąsacz, wyglądał na niespokojnego. Chodził tam i z powrotem z oczami wpatrzonymi w posadzkę, jakby liczył poszczególne trójkąty, z których była wykonana. Wychodzący nie zwrócili na niego uwagi. Stanęli z boku. Zauważyli go dopiero wtedy, kiedy zareagował nerwowym drgnięciem na kolejne odgłosy dobiegające z gabinetu. To był jeszcze głośniejszy mechaniczny turkot, tym razem połączony z rytmicznym odgłosem bulgotania. Nie brzmiało to najlepiej. Jasmin i Addam wymienili się spojrzeniami. „Co ty mi robisz?” – pomyślała, patrząc prosto w jego nieobecne oczy. Wyglądał, jakby jego dusza została tam w gabinecie. Chwilę tak trwali, aż w końcu Addam uciekł wzrokiem w kierunku drzwi. I właśnie wtedy się otworzyły. Pojawiła się w nich Vicky. Ubrana, radosna, z wydrukiem w ręce.

- Cieszę się, że ze mną tu byliście – oznajmiła.

- Chłopak? – zapytał Wąsacz.

- Tak! – krzyknęła i uroniła kilka łez niewyobrażalnego szczęścia.

- Cudownie! – zareagował Addam. – Będziesz moją żoną.

- Wiem. Tato, poznaj mojego narzeczonego – zażartowała.

- Kochani, uwielbiam was. – Wąsacz nie potrafił opanować emocji.

- Gratulacje – powiedziała sucho Jasmin.

Nikt nie zauważył jej pełnej goryczy reakcji. Addam całował się z Vicky, a ojciec, gapiąc się na szczęśliwą parę, wycierał łzy z policzków.

- Teraz musisz się jej oświadczyć w Szklanej Kopule – próbowała o sobie przypomnieć Jasmin, przy okazji odsuwając w czasie zaślubiny.

- No tak. Taka jest tradycja – zareagował Wąsacz.

- Mam w dupie konwenanse – zaskoczył ich Addam.

- Jesteś taki silny i mądry – zareagowała z dumą Vicky. – Ale mi imponujesz. Kocham cię. Walić te zabobony.

- A niech to. Co za emocje. To co, jutro ślub? – zapytał uradowany przyszły teść Addama.

Jasmin stała jak słup soli. Nic do niej nie docierało. W myślach cały czas powtarzała słowa narzeczonych. „Cudownie? Kocham cię? Debilka. A ten? Skurwiel. Też zakochał się od pierwszego wejrzenia? Chyba wejrzenia do macicy” – Jasmin w myślach bluzgała na czym świat stoi. Po chwili odezwał się jej marketingowy duch. Zdała sobie sprawę, że nie może

okazywać chorobliwie wyglądającej zawiści, nawet jeśli ta wychodzi z niej samoistnie i ma ochotę obrzygać wszystkich dookoła.

- Tak - odpowiedziała w imieniu męża. - Przygotujemy skromną, lecz oryginalną uroczystość. Zajmę się wszystkim.

Skończyła z udawaną radością i przytuliła się do Wąsacza. Addam poklepał ją kilkakrotnie po ramieniu. Bardziej jak kolegę. Tak to odebrała.

Nadszedł wreszcie dzień, na który Eva Noovack oraz jej najbliższa rodzina czekali dość długo. Jej mąż, Rinno, do niedawna pracował jako dyrektor jednej z fabryk produkujących Raya. Eva zwlekała z kolejnymi ważnymi dekrétami, aż na ich wspólne konto wpłynię jego ostatnia transza wysokiej odprawy. Jako premier Rządu nie zamierzała głodować, choć celowo ustaliła dla siebie, jak i koleżanek z gabinetu, tę samą pensję co dla wszystkich kobiet w całym Inco, równą dwa tysiące bytów. „Jak wszyscy, to wszyscy” - mawiała do córki, która stukając się palcem po głowie, usiłowała wybić matce z głowy kardynalny błąd. Bezskutecznie.

- Moi drodzy - zaczęła swój codzienny występ w teatromanii Eva, trzymając pod rękę panią Duddlemayer. - Wczoraj po południu zostały podpisane kolejne dwa dekrety i jeszcze tego samego dnia wdrożyliśmy je w życie. Pierwszy był prosty. Przyszła pora na likwidację nikomu niepotrzebnej Rady Doradców. Po wprowadzeniu dekretu o zakazie wykonywania czynności przez mężczyzn, Rada została zbyt uszczuplona. Trudno kontynuować działalność jednoosobowo.

W tym momencie Noovack uśmiechnęła się czule do starowinki.

- Nasza droga pani Duddlemayer obiecała, że gdy tylko pojawią się jakiegokolwiek wątpliwości, będę mogła o każdej porze poprosić ją o poradę. Nie odchodź jeszcze, kochana - zwróciła się czule do Duddlemayer Noovack, choć nie wyglądało to szczerze. - Drugi dekret, który podpisałam wczoraj, był zdecydowanie ważniejszy. Chodzi o długo wyczekiwane rozprawienie się z mordercami, którzy zniszczyli naszą społeczność. Chcieli pozbawić nasze dzieci przyszłości. Myślę oczywiście o rodzinach, do których należy przemysł farmaceutyczny, kartele. Ich uczynek nie może pozostać bez kary. Długo zastanawialiśmy z koleżankami, co powinniśmy uczynić i właśnie wtedy przydała się nasza doradczyni, pani Duddlemayer.

W tym momencie starowinka zrobiła zaskoczoną minę, jakby nie wiedziała, o czym jest mowa.

- Jakże jej nie kochać. Prawda? - kontynuowała Noovack. - Podpowiedziała rozwiązanie odważne, lecz bardzo mądre i sprawiedliwe. Dziękuję ci, kochana - zwróciła się do starszej pani, która właśnie była odprowadzana na bok, choć nadal sprawiała wrażenie kompletnie zdezorientowanej.

Od tej chwili na ekranie teatromanii błyszczała już tylko pani premier.

- Zgodnie z sugestią obowiązującej do wczoraj Rady Doradców, kartele powinny zostać odebrane właścicielom. Dlatego zostaną znacjonalizowane. Wszystkie połączymy w jeden organ, którego dominującym udziałowcem będzie Skarb Państwa. Nazwa zjednoczonego koncernu farmaceutycznego będzie łatwa do zapamiętania „Inco Pharma”. Prawda, że ładnie? Chciałabym jeszcze przedstawić państwu osobę, która jak nikt inny nadaje się do pełnienia arcytrudnej funkcji prezesa nowo powstałej spółki. Oto Monya Kirsch. Proszę, by nie zwiódł was jej młody wiek. Jest doświadczona i ma ogromną wiedzę chemiczną, a także zarządcą.

Na ekranie pojawiła się brązowowłosa kobieta w wieku trzech oczyszczeń. Noovack teatralnie podała jej dłoń. Widać było, że uścisk został wcześniej wyćwiczony. Na tym sympatycznym akcencie zakończyła się codzienna pogadanka pani premier. Po transmisji Noovack objęła Monyę. Wiedziała, że obydwie dokonały trudnego wyboru. Nową prezes Inco Pharmy czekały poważne wyzwania. „Czy ona sobie poradzi?” – głowiła się szefowa Rządu. Od tej chwili oczy wszystkich mieszkańców będą zwrócone w kierunku tej młodziutkiej managerki. Wiele kobiet będzie jej zazdrościć, niejedna stanie się jej wrogiem. „Poza tym, czy ona pogodzi rolę żony i świeżo upieczonej matki z funkcją prezesa? Musi. W razie czego pomożemy jej” – pomyślała Noovack. Znała wszelkie zalety predysponujące dziewczynę do osiągnięcia sukcesu, zwłaszcza odwagę w sercu, a także niespożyte pokłady ambicji. Wszak Monya Kirsch, z domu Noovack, jedyna córka Ewy i Rinno, odziedziczyła po ojcu talent do farmacji, po matce zaś do rządzenia. Musiało się udać.

Informacja o nacjonalizacji przemysłu farmaceutycznego przeszła w zasadzie bez echa. Eva Noovack celowo ogłosiła nowiny w momencie, kiedy opinia publiczna skupiona była na zupełnie innym temacie. Od tygodnia w pierwszej dzielnicy trudno było spotkać humana gardy. Większość z nich realizowała wdrożenie dyrektywy X.

Tego ranka, kiedy większość kobiet w dzielnicy drugiej udała się jak co dzień do pracy, pod ich domostwa zaczęły podjeżdżać szklane klatki gardy. Towarzyszyły im humany, ale w znacznie bardziej liczebnych grupach, niż widywano dotychczas. W mgnieniu oka sektory od setnego do dwieście czterdziestego szóstego zostały obstawione. Pominięto sektory z pierwszej setki, gdyż nie mieszkał już w nich żaden mężczyzna. W jednym z niższych budynków w sektorze dwieście dwunastym mieszkał stary nauczyciel z wielopokoleniową rodziną. Wszyscy dostali nakaz wyjścia na zewnątrz budynku. Dzieci były jeszcze zaspane, starcy zaś poruszali się niezbyt żwawo.

– Giro Anttca? – wydobył się głos jednego z robotów w kierunku czarnowłosego mężczyzny w wieku około czterech oczyszczeń.

– Tak, to ja.

– Zgodnie z dyrektywą X proszę zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i wsiąść do pojazdu.

– Co ja zrobiłem? Nawet nie czytałeś mojej karty na potwierdzenie, blaszaku!

W tym momencie z budynku wydreptał łysiejący starszy pan trzymający za rękę małego chłopca, a za nimi starsza kobieta i dwie dziewczynki.

– Proszę nie utrudniać. – Human był nieugięty.

– Co tu się dzieje? – zapytał starszy pan.

– Profesor Jullo Anttca?

– Tak. To ja, choć od dawna nikt mnie w ten sposób nie tytułował.

– Zgodnie z dyrektywą X proszę zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i wsiąść do pojazdu.

Starszy pan zmarszczył brwi i podrapał się po głowie.

– Mirosli Anttca? – Robot zwrócił się do małego chłopca kurczowo trzymającego dziadka za rękę.

– Czy może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje? Za co jesteśmy aresztowani? – zapytał profesor.

- Ojcie, nie zwracaj się do tego czegoś per pan – upomniał go syn.

- Pomyłka – wtrącił human. – To nie areszt, to eksmisja. Z uwagi na ochronę płci męskiej wdrożono przesiedlenie do pierwszej dzielnicy wszystkich mężczyzn mieszkających w tym sektorze.

- A co z rodzinami? – zapytał starszy pan.

- Wszystkie osobniki płci żeńskiej zostają.

- Nie zostawię nikogo! – krzyknął Giro i przeciskając się w kierunku córek, odepchnął humana.

W tym momencie robot w odwecie uderzył w nos starszą kobietę. Natychmiast się przewróciła, jej twarz zaalała się krwią. Starszy pan zamarł.

- Dlaczego ją uderzyłeś, gnido? – zapytał Giro, pomagając kobiecie się podnieść. – Tato! Pewnie się zepsuł – zwrócił się do starszego pana.

- Na pewno – odpowiedział, powstrzymując łzy bezsilności. – To jakaś pomyłka. Musimy to wyjaśnić.

- Nie pomyłka. Powtarzam ostatni raz, proszę zabrać rzeczy osobiste i wsiadać.

Mały chłopiec drgnął nerwowo i chwycił dziadka mocniej za rękę. Starsza pani zdążyła już wstać, wyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać usta z krwi. Podeszły do niej dziewczynki i objęły ją. Wyglądały na wystraszone i zagubione. Starszy pan rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz dostrzegł, że przy każdym z okolicznych budynków odbywały się podobne dantejskie sceny. Jeden z bardziej kłótliwych mężczyzn, mieszkający dwa domy dalej, schował się za swoją matką i córką. Wykrzykiwał obelgi w kierunku humana zajmującego się eksmisją w tamtym budynku. Robot stał karnie, po czym wyjął automatyczną broń i oddał dwa precyzyjne strzały. Kobieta i jej wnuczka padły martwe na ziemię. Szok. Mężczyzna rzucił się do ratowania, lecz było za późno. W tym momencie zrobił się lekki popłoch. Cały sektor ożył. Ludzie zachowywali się jak w amoku. Mężczyźni zaczęli się pakować, kobiety tulić do siebie i drżeć o przyszłość.

- Co się stało z dekretem o wyższości rasy ludzkiej nad cybernetyką? – zapytał oburzonym, choć drżącym głosem profesor.

- Anulowany – odpowiedział zimno human.

- Dokąd nas wywozicie?

- W lepsze miejsce.

- Ale ja jestem stary, na nic się już nie przydam – powiedział starszy pan.

- No właśnie. Niech chociaż ojciec zostanie. Popatrz na niego – mówił zdenerwowany Giro. Human odwrócił głowę w kierunku starszego pana.

- Taki dziadziuś miałby się zajmować prokreacją? – kontynuował Giro. – Jaja sobie robicie?

- Nie ma wyjątków. Jak wszyscy, to wszyscy.

Starszy pan gestem dał znak synowi i wnukowi, że należy się poddać. Widać było, że miał szacunek w rodzinie. Każdy z nich zabrał po kilka najważniejszych rzeczy i przy akompaniamencie lamentu starszej pani oraz dziewczynek wsiadł do szklanej klatki. Nauczyciel uśmiechnął się do żony, jakby chciał jej pokazać, że nie dzieje się nic niepokojącego.

- Nie martwcie się. Postaramy się jak najszybciej wrócić. Powiedzcie mamie, że ją bardzo kocham – powiedział Giro do płaczących dziewczynek tulących się do babci.

Podobnymi dramatami żyła nie tylko dzielnica druga, ale z czasem także pierwsza, skąd zaczęto eksmitować kobiety. Do ich apartamentów siłą zaciągano mężczyzn z biedniejszych

rodzin, żyjących wcześniej w slumsach. Do czasu wyraźnej poprawy w statystykach demograficznych mieli porzucić swoje rodziny i zamieszkać w dzielnicy zapewniającej większe bezpieczeństwo. Zwolnieni byli tylko ci, których co najmniej jedna z żon aktualnie nosiła w łonie chłopca. Reszta zgodnie z decyzją Rządu musiała się przenieść. Równolegle w teatromanii na wszystkich kanałach pojawiły się reportaże gloryfikujące „Kaskadę Eksmisji”. Tymi słowami, niby bardziej marketingowo, Noovack redefiniowała dyrektywę X, czyli proces przesiedlenia wprowadzony w celu ochrony gatunku ludzkiego. Najpierw pojawiły się wywiady z kobietami, które wydawały się szczęśliwe, że mogą oddać swój apartament w pierwszej dzielnicy jako lokum dla mężczyzn z drugiej. Potem wyświetlano wywiady w podobnym tonie, prowadzone z mężczyznami, którzy cieszyli się, że zamieszkają w czystości, w nowym miejscu, z dala od ciasnych slumsów i czyhających tam niebezpieczeństw. W gruncie rzeczy każdy średnio inteligentny mieszkaniec, zarówno pierwszej, jak i drugiej dzielnicy, wiedział, że to jest żenująca, wyreżyserowana propaganda. Eksmisje odbywały na oczach rodzin, a ich odczucia na temat brutalności humanów szybko obiegły cały kraj.

Kaskada Eksmisji była doskonale zaplanowanym przedsięwzięciem logistycznym, a jej podstawy wymyślił jeszcze Clifford. Rząd Noovack tylko wykorzystał jego rozwiązanie. Najpierw w pierwszej dzielnicy wysiedlono całe wieżowce pełne samotnie mieszkających, czasem nieźle sytuowanych, kobiet. Znalezione im nowe miejsca do życia w barakach, postawionych w ekspresowym tempie w trzeciej dzielnicy, daleko od fabryk. Bez bieżącej wody i energii. Miało być tymczasowo, ale się nie udało. Trudniejsze do realizacji było przesiedlenie do opuszczonych wieżowców mężczyzn wrywanych żonom, córkom, matkom czy kochankom. Nie obyło się bez przelewu krwi. W ten sposób swoje nowe miejsce docelowo miało znaleźć blisko milion mężczyzn z drugiej dzielnicy. Wielka operacja została podzielona na wiele etapów. Dziennie przesiedlano od dwóch i pół do trzech tysięcy slumerów. Zakładano, że cały proces potrwa maksymalnie dwanaście miesięcy. Każdemu z przesiedlonych wszywano w nadgarstek specjalny mikrochip służący do kontroli. Ranił boleśnie, jeśli nosiciel zbliżył się za bardzo do granicy pomiędzy dzielnicami. Równolegle rozpoczęto budowę zasieków.

Noovack lubiła przerzucać zainteresowanie społeczeństwa Inco z jednej afery na drugą. Kolejnym tematem, który pojawił się praktycznie w tym samym czasie, było odgrzanie kwestii Luigiego Pierone. Od czasu wybuchu skandalu z Rayem temat dziennikarza nie został zapomniany, lecz odsunięty na boczny tor. Wszak ludziom spędzały sen z powiek sprawy dużo wyższej wagi niż mało znaczący aferzysta oraz to, co się z nim stało.

- Luigi, przyjacielu, wreszcie się spotykamy - przywitała go, udając miłą, Noovack i odprawiła asystentkę.

- Dlaczego to trwało tak długo? Dlaczego mnie więziliście? - zapytał oburzonym głosem Pierone, kiedy zauważył, że zostali sami w jej gabinecie.

- My? Nie rozumiem. Z tego, co wiem, to Czarne Dłonie pana chroniły, by nie dopadł pana Clifford. Jak rozumiem, zrobiło się bezpiecznie, dlatego wreszcie mógł pan wyjść z ukrycia.

- Niech pani nie żartuje. Czarne Dłonie? A kto za nimi stoi? Tylko proszę mi nie mówić, że Ana Mariya. Słyszałem już taką odpowiedź.

Eva Noovack zaczęła kręcić głową, by zyskać na czasie. Zamyśliła się na chwilę. Nie była pewna, co jeszcze wiedział ten obsłizgły typek. Czyżby tym razem dziennikarz pierwszy raz

odkrył samodzielnie jakąś aferę? Postanowiła sprawdzić jego wiedzę. Czuła, że ten kiepski zurnalista długo nie utrzyma języka za zębami.

– Według mojej wiedzy Ana Mariya wykrała dane z koncernu Metachemie na temat skutków działania Raya i przekazała je Czarnym Dłoniom, a te sprytnie kobietki udostępniły je panu.

– Nie kłam, kobieto! Dane ukradł twój mąż. Wiem, że pracował w jednej z fabryk pod panieńskim nazwiskiem swojej matki, żeby nikt się nie zorientował w jego powiązaniu z tobą. Po co udawaliście przez pół oczyszczenia, że jesteście rozwiedzeni? Mam dowody, że to ty sterowałaś Czarnymi Dłoniom. Ana Mariya to ty!

Dolna warga Noovack zadrżała nerwowo i opadła na lewą stronę, odkrywając zaciśniętą szczękę. Jakby pani premier zamierzała ugryźć wyglądającego na pięć oczyszczeń miedzianowłosego piegusa.

– Dogadajmy się – odpowiedziała jeszcze przez zęby, lecz już spokojniejszym głosem. – Jak mogę ci to wynagrodzić?

– Obiecano mi, że będę szefem Rady Mediów. Długo się ukrywałem i teraz nie zamierzam rezygnować z honorów. Nie będę się chował jak inni faceci! Mam jaja! Jestem bohaterem narodowym, do cholery!

– Nie wątpię, ale jak ja wytłumaczę wyjątek od dekretu? Jak wszyscy, to wszyscy. Nie możesz pracować.

– Nie interesuje mnie to! Co tak na mnie patrzysz? – zapytał Pierone, widząc rosnący obłęd w oczach Noovack, znów wyglądała jak drapieżnik. – Posłuchaj, gdybyś przypadkiem wpadła na pomysł, żeby się mnie pozbyć, u jednego z adwokatów leżą stosowne dokumenty i czekają na upublicznienie.

– Ha, ha, ty chyba żartujesz – zachichotała Noovack. – Sądziś, że pozwolę się szantażować? Czy jesteś pewny, że którykolwiek adwokat zechce ze mną zadrzeć i wydrukować cokolwiek negatywnego na mój temat w gazecie? Najwyraźniej mnie nie doceniasz. Powiem ci, bo to już nie będzie miało znaczenia. W dniu zamachu stanu uruchomiliśmy cenzurę. Obecnie kontrolujemy wszystko. Nie tylko teatromanię i gazety. Nawet wiadomości w całej sieci komunikatorów. Bohater narodowy się znalazł. Gównu ci się należy, ty tpey debil.

Po tygodniu w teatromanii na kanale pierwszym pojawiła się obszerna relacja z pochówku dziennikarza, który odkrył największą aferę w dziejach Inco, ale niestety dopadły go służby Clifforda. Długo wspomniano tę niespotykaną śmierć. Pierone został odnaleziony zupełnie nagi. Jego ciało jeszcze za życia przyśrubowano do podestu wykonanego z mocno przewodzącego, szybko nagrzewającego się metalu. Z kolei podest zostawiono na małej kamienistej pustyni w dzielnicy czwartej. Tam odnalazł go oddział straży granicznej patrolujący okolice. Wystarczyło kilka gorących dni i promienie Hello praktycznie usmażyły ciało Pierone. Okrzyknięto go bohaterem, a na cześć jego męczeńskiej śmierci nazwano zaplanowaną do budowy za trzy miesiące nową Szkołę Kontrolowanego Macierzyństwa. Miała ona powstać w miejscu planowanej do wyburzenia Szklanej Kopyły. Tym samym miał odejść w niepamięć odwieczny obyczaj oświadczyń. Wszak właśnie zmieniał się model budowania rodziny – najpierw prokreacja, potem zaślubiny, bez zbędnych ceregieli.

Ślub Addama z Vicky Morgoruth, która postanowiła zostać przy panieńskim nazwisku, był szybki i konkretny. Tak zaplanowała Jasmin. Państwo młodzi nie oponowali. Zgodnie

z obowiązującym prawem udzieliła go ubrana w czarną szatę podstarzała brązowowłosa sędzia w odświętnej urządzonej sali znajdującej się na pierwszym piętrze budynku Ministerstwa Prawa i Sprawiedliwych Osądów. Żadnych sztucznych czarnych kwiatów, jak to w zwyczaju bywało, żadnych rytualnych umizgów. Samo sedno. W uroczystości wzięli udział rodzice Addama, jego brat z żoną i synami, Haenry, Luicey, a także liczna rodzina Vicky. Oczywiście była również Jasmin, choć przebywanie w tamtym miejscu, zwłaszcza w takich okolicznościach, sprawiało jej ogromny ból. Nawet wspomnienie własnego ślubu, który brała z Addamem, nie dawało ukojenia, wręcz przeciwnie.

By jakoś przeżyć zaplanowaną i wdrożoną przez siebie hańbę, zażyła wcześniej złoty upper. Ta konkretna wersja dawała poczucie błogości porównywalnej tylko z efektem katorżniczego treningu, gdyż chwilę później mózg wyzwał endorfiny, i to w nieprawdopodobnych ilościach. Dzięki nim wszystko dookoła wyglądało na wręcz idealne. Tylko złoty upper, spośród wszystkich dostępnych w podziemnym obiegu, działał z opóźnieniem. Jasmin zażyła go jeszcze w apartamencie z obawy, że później może nie mieć możliwości. Trochę się obawiała, czy po drodze nie wyczuje go human gardy. Udało się. Żaden z mijanych po drodze nie zbliżył się na tyle blisko do orszaku, by jego czujniki wykryły narkotyki.

Jasmin wyliczyła, że powinien zadziałać na początku ślubu. Coś jednak poszło nie tak. Przez całą uroczystość upper nie wyzwolił niczego. Każda upływająca sekunda dłużyła się niemiłosiernie. Kiedy Jasmin patrzyła z pogardą na rozradowane twarze gości, czuła się podwójnie samotna. Niepotrzebna. Jak intruz. Ślub Addama z Vicky był dla Jasmin męczarnią prawie porównywalną z jej wcześniejszym potwornym doznaniem. Wtedy musiała towarzyszyć, co prawda przez ścianę, ale cienką, przyszłej młodej parze podczas uprawiania próbnego seksu. Karciała się w myślach za każdą błędną i każdą spóźnioną decyzję, jaką podjęła w życiu. Kiedy sądziła, że nie może być już gorzej, podeszła do niej Luicey.

- Pięknie wyglądają, prawda? - zagadnęła koleżanka, obserwując parę odbierającą pierwsze gratulacje po świeżo zakończonej, krótkiej uroczystości.

- Zawsze byłeś mistrzem dyplomacji. Przypomnę ci, że to mój mąż.

- A ja ci przypomnę, że to był twój pomysł.

- Dziękuję, kochana. Na ciebie zawsze można liczyć.

- Nie ma sprawy. Chyba się z nią zaprzyjaźnię. Obydwe będziemy miały synów, no nie?

- Co za głupi argument - oburzyła się Jasmin. - Dlaczego nie zaprzyjaźnisz się z każdą kobietą, która będzie miała chłopca? Nie ma ich zbyt wiele.

Luicey długo powstrzymywała się z odpowiedzią. Nawet szyderczo się uśmiechnęła, czym wzbudziła w koleżance lekki niepokój.

- Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? - zapytała nieufnie Jasmin.

- Tak tylko pomyślałam, że kiedyś możemy być fajną patchworkową rodziną.

Jasmin już nie miała ochoty tego komentować. W tym momencie upper wreszcie zaczął działać. Od razu mocno, jakby nadrabiał stracony czas. Była mu wdzięczna. Czuła się błogo i szczęśliwie. Uwolnił ją od bezsensownej rozmowy z koleżanką, głupiutką Luicey, która nigdy niczego nie rozumiała tak, jak powinna. Jasmin spojrzała beztrudnie na trzydziestoosobową grupę radośnie wyglądających osób ustawionych w kolejce do życzeń. „I po co było tak narzekać? To ja jestem szczęśliwa. Mam wyśmienite życie, którego wszyscy mi zazdroszą” - przyznała sama przed sobą w afekcie. W jej oczach Addam znów wyglądał jak najprzystojniejszy gwiazdor teatromanii, a stojąca u jego boku Vicky na bogini którejś z żeńskich dyscyplin sportu. „Nie będzie wstydu się z nią pokazywać. Moja rodzina” -

pomyślała ciepło. Nawet Wąsacz w tym momencie wydał jej się pocziwym, starszym wujciem, którego nigdy nie poznała. „Gdyby moi rodzice zobaczyli, jak Vicky i Addam pięknie wyglądają, na pewno też byłiby szczęśliwi i pokochaliby tę parę. Tak jak ja” – pomyślała.

W tym czasie Luicey bez przerwy do niej coś mówiła, lecz ani jedno słowo nie docierało do celu. Jakby upperowa bariera utworzona tuż przed uszami Jasmin broniła dostępu jakimkolwiek niewłaściwym w tych cudownych okolicznościach słowom.

Pandemonium

Gdyby okurai posiadały skrzydła, można by było powiedzieć, że Fahid prawie przyfrunął w swoje rodzinne strony. Kiedy w Hambarra pożegnał ukochaną córkę Sumi oraz upewnił się, że jest bezpieczna, ma gdzie spać i co jeść, pognął swojego zwierzaka w kierunku domu. Całą drogę rozmyślał, kiedy uda mu się oddać dług, jaki zaciągnął u nauczyciela śpiewu. Przy okazji starał się omijać najgorsze myśli, ale same wpychały mu się do głowy, zazwyczaj grupowo, wręcz całymi zastępami. Zarówno te o ucieczce przed decyzją Najwyższej Kapłanki Wszechziemi, jak i te przywołujące ucieszenie kapłana. Nie miało znaczenia, że Fahid zabił troje ludzi, by zapewnić córce spokój. Zrobił źle i wyrzuty sumienia gniotły jego wątrobę, a ściany skurczonego żołądka tarły o siebie, tworząc kolejne wrzody. Wielokrotnie też wracał myślami do Kadu. Znali się niezbyt dobrze, ale kapłan związany był ze swoim rewirem od kilku oczyszczeń. Wszyscy go kojarzyli, niektórzy lubili, nie wszyscy szanowali. Zwłaszcza ci, którzy wiedzieli o jego odwiecznym związku z napojem tinghao, mieli go za skończonego pijusa. Sumi nie powinna była wiedzieć, że wydarzyło się coś tak okropnego, a tym bardziej być tego świadkiem. W końcu Kadu, Hara i Nate wykonywali tylko swoje obowiązki. Nieważne, że nie w zgodzie z planami opiekuńczego ojca. Nie powinna była tego zobaczyć i koniec.

Nie licząc śmierci Mahmuda, ostatnio tyle się wydarzyło. Fahid przebył daleką drogę, dosłownie i w przenośni. W obronie córki dotarł najpierw do Litrijis, potem prawie pod sam wąż Asaran, następnie bocznymi drogami do Hambarra i z powrotem do domu. Jego okurai wyglądał na bardzo strudzonego. „Kiedy dotrę do domu, zwierzak nigdy już nie będzie musiał pracować” – pomyślał ubogi farmer. „Zasłużył sobie na długi odpoczynek. Uratował mnie nieraz z opresji i przewiózł przez taki kawał świata” – kontynuował rozmyślenia.

Fahid wcale nie zamierzał tracić ani jednego dnia więcej. Wiedział, że jego rolą jest uprawa dirszny. Najstarsi synowie pewnie zrekułtywowali plantację, ale nie potrafili sadzić nowych roślin. Wszystko czekało na ich ojca. Dla ziemi to był stracony czas. Prawie trzydzieści wschodów Hello. Trzeba będzie to wszystko nadrobić. Gdyby nie podróż, łądygi roślin byłyby wsadzone i być może niektóre wystawałyby już z wody. To zresztą było nieważne. Kiedy Fahid przypomniał sobie, że uratował swoje dziecko z rąk oprawców, zrobiło mu się lżej na sercu. Wtedy pomyślał o ciekawych miejscach, które widział podczas podróży. Zamierzał o wszystkim opowiedzieć swojej żonie Ricie i całej gromadce dzieciaków. O tym, jak wyglądały pola uprawy mao, o wyżynie blisko wąwozu, o jaszczurach sahadi, a także o śmiesznym mieście Hambarra, gdzie budowle sięgają chmur. Niektóre mają aż cztery poziomy wystające z ziemi.

Szeroka miedza oddzielająca poszczególne pola pomiędzy sąsiadami przywitała go niespodziewanym obrazem. Liczył, że na swojej części zobaczy zebrane do końca kwiaty i wycięte przez synów łądygi, a przy dobrym wietrze także zrekułtywowaną ziemię. Po kwiatkach prawie nie było śladu, ale łądygi sterczały nadal, nie mówiąc już o kolejnych etapach. Ten widok zdziwił go, lecz nie zmartwił. „Widocznie Abdul i Ragir nie poradzili sobie” – pomyślał. „Jeszcze mają czas na naukę”. Jadąc w kierunku domostwa, zastanawiał się,

czego ich nauczy i co będą razem robić. Wyobrażał sobie, że kiedy będą strudzeni, Tamadur przyniesie im po jednym garncu keeffi na głowę. Marzył też o zmianie stroju, kąpieli i przystrzyżeniu brody. To był najwyższy czas, by wrócić.

Im bardziej zbliżał się do domu, tym mocniej odczuwał niepokój. Już z daleka któreś z dzieci powinno było go wypatrzyć. Już powinien słyszeć ich szczebiot. Sam powinien ich zobaczyć, machających mu na powitanie. Zawsze tak to się odbywało, kiedy wracał z targu w Litrijis. „A może pojechali na małą wycieczkę lub odwiedzić teściów mieszkających nie tak daleko?” – pomyślał. Czasem czynili to wspólnie, tylko w dni święte. Co prawda mieli wtedy do pokonania kawał drogi, ale dla higieny związku warto było się do kogoś wybrać. Niekiedy odwiedzali się wzajemnie z rodzicami Rity tylko po to, by odezwać się do kogoś innego niż mieszkańcy domostwa. Na jakiś czas pomagają. Ale tego dnia nie było żadnego święta.

Dojeżdżając, Fahid słyszał tylko grający na wyschniętych łodygach purpurowej rośliny lekki wietrzyk. Oprócz tego nie było słyhać niczego. Nawet odgłosu skrzypiącego wiatraka. Przez moment pomyślał, że może powinien pognać okurai, by szybciej się znaleźć na podwórku. Jednak coś mu mówiło, żeby aż tak bardzo się nie spieszył. W końcu zwierzę było bardzo zmęczone. Kiedy dotarł przed dom, najpierw zaprowadził je do przydomowego wodopoju, z którego czasem korzystał w przerwie w pracy. Okurai siorbnął spory łyk wody, jakby nie pił od poprzedniego dnia. Fahid w tym czasie poszedł w kierunku stajni, by zobaczyć, jak się mają maluchy. Dzień przed wyjazdem jeden z okurai, młodszy od tego, na którym przyjechał, powił potomstwo. Fahid chciał sprawdzić, czy dzieci dobrze opiekują się nową rodziną.

Kiedy wszedł do środka stajni, zamarł. Brakowało czwórki zwierząt tine, hydapi i okurai leżały zaś omdlałe w fekaliach. Część z nich była nieżywa – wszystkie młode i jeden dorosły. Fahid zakrył usta dłońmi, a jego szeroko otwarte oczy wykrzyczały przerażenie. Podszedł do jednego z maleństw. Jego skóra pokryta puchatą namiastką dziecięcej sierści była zimna i sztywna. Przeraził go ten widok. Natychmiast wybiegł ze stajni w kierunku domu. Już na podwórku dostrzegł ślady krwi. Na schodkach zauważył brązową smugę, jakby ktoś ranny wczłogiwał się do domu. W kuchni, w zaschniętej kałuży krwi, leżała na wznak jego żona Rita. Była wyczerpana, posiniaczona i zakrwawiona. Oddychała, lecz z trudem. Miała spierzchnięte usta, które nie dotykały wody od kilku dni. Fahid zbliżył się do niej i ucałował jej policzki. Nie poznała go. Patrzyła nieobecny wzrokiem w jego kierunku, jakby był przezroczysty.

– Gdzie dzieci? – zapytał.

Nie odezwała się. Błyskawicznie sprawdził wszystkie pomieszczenia i wrócił do kuchni.

– Ta-ma-dur, Kha-lid, A-di-la – sylabizował, patrząc Ricie prosto w twarz. Pozostałe imiona tylko wykrzyczał. – Nadir, Fatima, Hassan, Malik, Abdul, Ragir!

Kiedy wymieniał ostatnią dwójkę, Rita zawyla jak ranne zwierzę. Objął ją czule i zapłakał razem z nią.

Sześć wschodów Hello wcześniej, kiedy minęło południe, Rita wezwała do kuchni bawiące się na podwórku dzieci. Przygotowała dla swoich szkrabów same ulubione smakołyki. Oprócz tradycyjnych placków z mąki mao z mazidłem z dirsny, owoców sandi i kawałków mięsa tine tym razem przyrządziła ulubiony przez Adilę i Nadira napar z pędów szuri, dosłodzony kwiatami malinty. Dzieci posłusznie rozsiadły się na podłodze. Tylko Tamadur stanęła obok matki. Odbierała od niej pojedyncze kawałki jedzenia i podawała rodzeństwu. Placki nie były zbyt gorące, raczej ciepłe, miłe w dotyku, nie parzyły dzieciom rączek. Rita wprowadziła ten

sposób spożywania posiłku, kiedy zauważyła, że maluchom znudziło się rytualne jedzenie na tarasie. Pomyślała, że odrobina szaleństwa jeszcze nikomu nigdy nie zaszkodziła. Nie mogła jednak realizować tego planu, kiedy Fahid był w domu. On zawsze dbał o porządek i zasady. Jej szalone improwizacje podobały się dzieciom. Odkąd Fahid wyjechał ratować Sumi, pozostali członkowie rodziny prawie codziennie spożywali posiłek w taki właśnie sposób. Świeżo przygotowanymi daniami osobiście lub z pomocą Tamadur matka karmiła rodzinę, czasem wkładając jedzenie prosto do buzi swoich pociech. Potem siadała razem z nimi na podłodze. Bez talerzy, bez drewnianych sztućców. „Jak dzikusy z północnej ćwiartki” – żartowała. Po takim posiłku miała sporo pracy przy sprzątanii, ale te chwile były warte każdej sumy szarych kamieni.

– Chłopaki – zwróciła się do Abdula i Ragira. – Kiedy zamierzacie ściąć łodygi? Obiecujecie trzeci dzień.

– Zdążymy, zanim ojciec wróci – odpowiedział najstarszy syn. – Zostało niewiele.

– Nie chcielibyśmy go zawieść – powiedziała udawaniem, szorstkim głosem męża i po chwili westchnęła z lekkim zawodem.

– A kiedy wróci? – zapytał Khalid.

– Na pewno niebawem – odpowiedziała, ukrywając niepokój.

W tym momencie z podwórka zaczęły dobiegać odgłosy krzataniny. Na twarzach dzieciaków pojawiła się radość.

– Tatiu? – powiedział Malik, co w jego dziecięcym języku miało oznaczać ojca.

Abdul zerknął na Ragira z obawą, jakby zdał sobie sprawę, że teraz dopiero im się oberwie. Nie zdążyli posprzątać po zbiorach dirsny, a w dodatku jedzą w kuchni, i to palcami. Rita zrobiła minę, jakby obawiała się reakcji męża na tak niecodzienny dla niego widok. Poczula się jak mały złodziejaszek przyłapany na kradzieży nic niewartego drobiazgu. „Trudno” – pomyślała. „Najwyżej mi się oberwie. Ważne, że wrócił. Czy Sumi jest z nim?” – natychmiast przeszła jej przez głowę smutna myśl, lecz ani chwili dłużej nie zamierzała czekać w kuchni. Chciała się przekonać naocznie.

– No już, wstawajcie. Idźcie na podwórko. Potem dokończymy – zachęciła dzieci.

Pierwszy na zewnątrz chaty wyszedł Nadir. Jego oczom ukazał się niespodziewany widok. Zobaczył kilkunastoosobową grupę kapłanów niskiego szczebla. Same zabijaki uzbrojone po zęby. Kolejna dwójka dzieci, która z uśmiechem na ustach wybiegła na podwórko, w mig spoważniała na widok tej zgrai i w tym samym tempie wróciła z powrotem. Rita planowała, że wyjdzie ostatnia, ale wystraszone i zaskoczone miny chowającej się pod jej spódnicą trójki zmroziły jej entuzjazm. Podeszła do drzwi i zerknęła z obawą.

– Rita Manduarra? – zapytał jeden z kapłanów.

– Tak – odpowiedziała, założyła ręce i oparła się o framugę drzwi, udając bardziej pewną siebie, niż była.

– Zawołaj męża.

– Nie ma go. Pojechał do Litrijis. Czego chcecie? – zapytała Rita.

– A jego ojciec, Mahmud Manduarra?

– Wy nie wiecie? Nie żyje. Zabrał go Kadu do Asaranu. Będzie ze czterdzieści wschodów Hello, jak go zegnaliśmy.

Rita nie zamierzała wychodzić na zewnątrz. W jej mniemaniu broniła dostępu do domu i potomstwa. W tym momencie przedni rząd kapłanów rozstąpił się, a wyłoniła schowana do tej pory za nimi Taarida. Okurai, na którego grzbiecie siedziała, podeszedł kilka kroków bliżej.

Kapłanka stała na czele grupy. Wyglądała na osobę kierującą bandą najgorszego plugastwa, które przybyło w niecnym zamiarach na podwórko zwyczajnych, spokojnych ludzi. Gospodyni lekko wzdrygnęła się na widok maski przysłaniającej twarz kobiety.

- Wybacz, Rito - zaczęła Taarida. - Mogę się tak zwracać? Mam braki w dokumentach i przyjechaliśmy po to, by wszystko wyprostować. Zanim przejdę do rzeczy najważniejszej, mam proste pytanie. Czy wiesz, gdzie jest niejaki Omar Manduarra, brat twojego teścia?

- Zaginął dawno temu - odpowiedziała Rita. - Mój mąż nigdy go nie poznał.

Taarida zamyśliła się i po chwili wyjęła zgrabny rulon. Wystawiła go na długość ręki w kierunku Rity, jakby chciała ją zachęcić do zrobienia kilku kroków.

- Nie umiem czytać - odpowiedziała stojąca nadal w buńczucznej postawie gospodyni.

- Nic nie szkodzi.

Taarida zbliżyła rulon do siebie i rozwinęła go.

- Ukochany przyjacielu Fahidzie i ty, cudowna jego żono Rito - zaczęła czytać, przesadnie podkreślając udawany miły ton. - Czekam na trudny okres. W trosce o Floris buduję dodatkowe zaplecze kapłanów, którzy będą strzegli naszej krainy, gdy przyjdzie czas próby. Najwyraźniej źle się zrozumieliśmy, jeśli chodzi o waszą najstarszą córkę, Sumi. Pewnie z powodu niewłaściwego odebrania moich czystych intencji. Proszę, bądźcie tym razem oddali kolejną córkę, Tamadur. Bla, bla, bla. Nie chciałabym kolejny raz przeżyć zawodu i tracić czasu na niepotrzebne animozje. Całuję was gorąco i pozdrawiam w imieniu swoim, Patri i całego naszego zgromadzenia.

Taarida podniosła wzrok i spojrzała w kierunku Rity, jakby chciała napawać się jej lękiem. Na twarzy gospodyni zaczął wzbierać niepokój, który szybko przeszedł w przerażenie. Spuściła potulnie głowę. Tymczasem z domu słychać było pojedyncze głosy niedowierzania, a w końcu płacz małego dziecka.

- Ten list miałam przeczytać na wypadek, gdyby Kadu przywiózł Sumi do Patrix. Ale do tej pory nie dotarł.

Rita zerknęła z isierką nadziei w oczach w kierunku kapłanki.

- Gdzie jest twój mąż? - kontynuowała Taarida.

- Nie wiem, naprawdę. Pojechał za Kadu, by wyślągać powrót Sumi, ale nie wrócił. Proszę, nie odbieraj mi kolejnej córki.

Taarida spojrzała na Ritę z pozycji siły.

- Do czasu odnalezienia się Sumi mam obowiązek znaleźć zastępstwo. Zabieram wszystkie dzieci, żeby Ae mogła sobie wybrać tylu kandydatów, ilu potrzebuje.

- Co? - Rita prawie oszalała z rozpacz.

- Teraz wymienię imiona. Proszę, by każde stało się na podwórku. Abdul...

- On przecież przekroczył wiek jednego oczyszczenia - przerwała Rita.

- No i co z tego? Ma wyjść! Ragir. No już.

W drzwiach pojawił się Abdul. Rita złapała go za rękę, lecz po chwili wypuściła, jęcząc boleśnie. Chłopak wyszedł na podwórko i stanął przed Taaridą, trzęsąc się nerwowo na całym ciele. Nie patrzył jej w oczy. Zlustrowała go, po czym posłała ponaglące spojrzenie Ricie. Wyszedł też Ragir, stanął obok starszego brata.

- Za chwilę chcę tu widzieć duży wóz lub dwa małe i zaprzężone do nich zwierzęta. Najlepsze, jakie macie. Zrozumiano? - zwróciła się do chłopców.

Kiwnęli pokornie głowami i pobiegli w kierunku stajni. Rita z bezsilności schowała twarz w dłoniach.

- Rozumiem, że pozostałe dzieci nie osiągnęły jeszcze wieku jednego oczyszczenia. Jest ich siedmioro. Zgadza się?

Rita potaknęła.

- Czytam od najstarszej i zapraszam na środek. Tamadur, Khalid, Adila, Nadir, Fatima, Hassan, Malik.

Dzieci ze łzami w oczach po kolei zaczęły wychodzić z domu na podwórkę i ustawiać się według wieku. Kiedy najmłodsi, zapłakani i zasmarkani chłopcy, Hassan i Malik, trzymając się za ręce mijali Ritę, chwyciła ich mocno i objęła. Wiedziała, że na nic jej się zda próba obrony. Wcześniej jej mąż nie dał rady z trójką kapłanów. Co tymczasem miała począć ona? Czy powinna się mierzyć z kilkunastoma wyszkolonymi i uzbrojonymi po zęby żołnierzami? W tym momencie opuściły ją resztki nadziei.

- No już. Wystarczy tych czułości - powiedziała Taarida. - Co z tym wozem?! - krzyknęła.

- Jeszcze moment. - Słychać było drżący głos Ragira i po chwili chłopcy przyprowadzili największy, sześciokołowy wóz do przewozu dirszny zaprzężony w czwórkę zwierząt tine.

- Wsiadać. Przywiążcie ich - wydała polecenie dowodząca, zwracając się do dwójki najbliższej stojących kapłanów.

Zsiedli z okurai i zaczęli usadawiać dzieciaki na wozie, przywiązując ich jednym sznurem raidi do barierki. Rita zaczęła głośno lamentować. Widać było, że jednego z kapłanów o szczupłej sylwetce mierzyła jej reakcja. Dokończył wiązanie i podszedł w jej kierunku. Zagroził gestem, ale nadal nie przestawała. Z całej siły uderzył w jej twarz ręką w kierunku siriusa. Zalała się krwią i natychmiast zemdląca. W tym momencie Abdul i Ragir ruszyli na ratunek matce. Dzieci przywiązane do wozu zaczęły wrzeszczeć.

- Spokój, ścierwa! - krzyknęła Taarida.

Zamarły w gnieniu oka. Kapłan, który przed chwilą uderzył Ritę, lekko machnął swoim mieczem i jednym cięciem pozbawił Ragira lewej dłoni.

- Aaaaaaa!

Ritę obudził wrzask rozpacz syna. Zanim zorientowała się, co się stało, kapłan zdążył wbić chłopakowi miecz prosto w korpus, raniąc go śmiertelnie. W tym czasie drugi o krępej sylwetce rozplątał Abdula mieczotoporem.

Ciała chłopców opadły na ziemię. Dzieci na wozie zaczęły głośno płakać. Rita rzuciła się z pięściami w kierunku oprawców.

- Ucisz ją - powiedziała Taarida.

Khalid wyrwał się, jakby chciał ruszyć z pomocą, lecz więzy były zbyt mocne. W tym momencie kolejny kapłan uderzył w kierunku wozu podwójnym biczem. Sznur raidi z łuskami pokuna rozdzielił się na dwie części. Każda z nich smagnęła po głowach niewinne maleństwa, raniąc je do krwi. W tym czasie Rita oberwała kilka ciosów po brzuchu i plecach.

- Dość! - krzyknęła Taarida, przerywając nie tylko okładanie matki, lecz również płacz dzieci. - Musi przeżyć. Zwłoki zabrać, wrzucimy po drodze do Asaranu. Święte rytuały przede wszystkim, ha, ha! - zażartowała i pokazała gestem, by któryś z umyślnych zajrzał do domostwa.

Jeden z kapłanów wszedł do domu, drugi zaczął wrzucać ciała na wóz, najpierw Abdula, potem Ragira. Młodsze dzieci stały w bezruchu, przerażone, przywiązane do barierki. Obok całej gromadki leżały zwłoki ich starszych braci. Adila usiłowała podsunąć się bliżej jednego z nich, jakby chciała się przytulić. Nie mogła dosięgnąć.

- Powiedz mężowi, że z Najwyższą Kapłanką Wszechziemi się nie zadziera. Zapomniałabym, dziesięcina zostanie zwiększona dwukrotnie. Ktoś musi wyżywić te gęby.

Rita nawet nie zareagowała. Była wpatrzona w dzieci. Stłoczone na wozie, spętane twardym sznurem raidi wyglądały jak esencja nieszczęścia. Po chwili z domu wyszedł kapłan, niósł sakiewkę. Potrząsnął, jakby sprawdzał wagę, lecz zrobił zawiedzioną minę.

- To za pochówek tej dwójki - powiedziała Taarida i odjechała pierwsza.

Za nią ruszyli pozostali kapłani. Ten, który ugodził Abdula, zapragnął zabawić się w woźnicę, zsiadł ze swojego okurai i przywiązał go za wozem. Sam zaś usiadł na koźle i dał znak czwórce tینه do wymarszu.

- Czemu zostawiłaś ją przy życiu? - zwrócił się szeptem do Taaridy kapłan jadący po jej prawicy.

- Niech dzieci myślą, że matka przeżyła. Będą posłuszniejsze.

- Ona nie dożyje jutra.

- Ale tego nie zobaczą - powiedziała sucho.

- Byłem przekonany, że ojciec wyskoczy nagle z jakiejś kryjówki i będzie chciał ich ratować. Szkoda, byłoby zabawniej.

- Pamiętasz, co mówili ludzie w Litrijis? Widziano go, jak wypytywał o Kadu - przypomniała Taarida.

- Wierzysz, że taki wieśniak miałby w sobie tyle bezczelności, że chciałby odbić córkę?

- Wszystko jest możliwe.

- Kadu jest zbyt sprytny. Na pewno by się obronił. Prawdopodobnie w końcu wytrzeźwiał i jakoś dotarł do góry Saandreal. Teraz znów pije i śmieje się z nas, że tracimy czas na szukanie go po tych dziurach.

Taarida przypomniała sobie słowa Ae na temat przyszłości Kadu. Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek.

Jusif przyzwyczał Ae do częstych raportów. Nawet jeśli nie miał możliwości, by przekazać osobiście, jakie są postępy w zleconej pracy, przysyłał zaszyfrowany list - znał starożytyk. Uwielbiała je. Były krótkie i pełne zabawnych sformułowań. Kiedy chciał przekazać, że ukatrupił delikwenta, pisał na przykład, że jest przyozdobiony dirszną. Kiedy sprawa przedłużała się, taką informację opisywał jako paradoks czasowy. Xami odjechał ze sporą zaliczką osiem wschodów Hello wcześniej i nie przekazał żadnej, nawet najkrótszej informacji, co się z nim dzieje. Ae zaczęła się niepokoić. Zastanawiała się, czy nowy Jusif nie znał starożytyka, czy może tym razem dała się nabrać. Wyglądało na to, że on wiedział o niej wszystko, a ona o nim niewiele. Żeby nie popaść w paranoję, poszukała sobie zajęcia. Postanowiła osobiście sprawdzić, jak wygląda werbunek. Udała się więc do szkoły, bez Kifora i tym bardziej Zenita. Widok samotnie idącej Najwyższej Kapłanki Wszechziemi wprawiał mijanych kapłanów w osłupienie. Niektórzy nawet zastanawiali się, czy to na pewno ona. Nigdy nie chodziła bez obstawy.

Żeby dotrzeć do szkoły kapłaństwa znajdującej się po drugiej stronie Saandreal, Ae musiała pokonać mały labirynt tuneli. Niewielu znało ten skrót. Większość chodziła dookoła góry, dzięki czemu wydawało się, że to odległe miejsce. Nic bardziej mylnego. Zresztą kapłani wysokiego szczebla mieli swoje sprawdzone ścieżki, którymi szybko poruszali się po Patrice.

Wszak miasto ukryte we wnętrzu góry było rozległe. Trzeba było sobie jakoś radzić, kiedy nie istniała żadna komunikacja.

- Dzień dobry, mój przyjacielu, Mi-tu - powiedziała Ae do szefa szkoły, członka Rady.

Był zaskoczony nie mniej niż inni. Zazwyczaj przybycie najważniejszej osoby w państwie było zapowiadane. Tym razem przysła nawet bez obstawy. Mi-tu cenił ją, choć w szkole miała łatkę jędzy.

- Witaj, pani - odpowiedział.

- Dodałam ci sporo pracy.

- Nie odbieram tego w ten sposób. To kwestia przeorganizowania planu zajęć.

- Czy możemy zobaczyć nowy narybek?

- Oczywiście, zapraszam.

Mi-tu poszedł przodem. W zasadzie podreptał. Kiedy Ae szła dwa kroki za nim, przypomniała sobie Wizaręgo, swojego pierwszego nauczyciela, szefa szkoły, a potem Najwyższego Kapłana Wszehziemi. Mi-tu bardzo go przypominał. Też było od niego dobrocią, zaangażowaniem i pasją. Był jednym z nielicznych, bardzo świadomych kapłanów. Takim z powołania. Nie czuła się przy nim zagrożona. Nie knuł za jej plecami, pewnie nigdy nie pomyślał, że mogłoby go spotkać z jej strony coś niepokojącego. Skupiał się na obowiązkach i za to go lubiła.

- Zastanawiałem się, pani, dlaczego w kolejnym już naborze są prawie same dziewczynki.

- Znasz sygnały, które docierają z Inco. Nie możemy ich bagatelizować.

- Prawda. Sami są sobie winni. Nic, co sztuczne, nie jest dobre. A nasi sąsiedzi chyba się w tej sztuczności zagalopowali. Czy dodatkowe nabory wiążą się z przygotowaniem do wojny?

- Mam nadzieję, że nowa władza Inco nie jest na tyle głupia, ale taki scenariusz jest możliwy. Sądzę, że trzeba będzie wzmocnić granice, żeby zapewnić bezpieczeństwo naszym mężczyznom.

- I dlatego będziemy uczyć dziewczęta?

- Po co kusić los?

- Teraz rozumiem. Sprytne.

Ae uśmiechnęła się delikatnie. Nie odebrała tego jako pustego komplementu. Zauważyła, że ton Mi-tu był szczerzy. Zrobili kilkanaście kroków i usłyszeli dobiegający z oddali odgłos pościgu. Ae odwróciła się za siebie. Było to dwóch jej strażników, którzy zwyczajowo powinni być przy niej.

- Teraz się obudziliście, gamonie - zażartowała, kiedy dobiegli.

- Wybacz, pani. Nie zauważyliśmy, kiedy wyszłaś - tłumaczył się jeden z nich.

- Wracajcie. Tu czuję się bezpieczna - powiedziała, uśmiechając się czule do Mi-tu.

- Pani, nie rób nam tego. Zenit nas ukarze za to, że nie dopełniliśmy obowiązku.

Ae znów zerknęła na Mi-tu. Jego ojcowskie spojrzenie tylko ją rozbawiło.

- Dobrze. Nikt się nie dowie. Idźcie dziesięć kroków za nami. Te korytarze są zbyt ciasne, żeby chodzić czwórkami.

- Tak jest, pani.

Jeden ze strażników rzucił się do jej dłoni i zwinął usta, jakby szykował się do całowania.

- No już. Żadnych pieszczoł - zażartowała.

Doszli do wielkiej jaskini, w której odbywał się podział nowo przybyłych kandydatek na mniejsze grupy. Dobierano je rewirami, z których pochodziły. Tak było prościej. Metoda ta dawała poczucie przynależności, ponieważ w tym momencie tworzyły się więzi na wiele

oczyszczeń. Sprawdzała się od zawsze. Dziewczynki wyglądały na zléknione, kiedy jednak dowiadywały się, że mogą zamieszkać w pomieszczeniu ze znajomymi lub znanymi z opowiadań córkami sąsiadów, od razu czuły się bezpiecznie.

Kilka dni później do szkoły kapłaństwa dotarła ostatnia, mocno spózniona grupa. Nie składała się wyłącznie z dziewczynek. Siedmioro dzieci, które nie ukończyły jeszcze wieku jednego oczyszczenia, szło spętane jedną liną. Eskortowała je Taarida. Wóz, którym przyjechały, pozostał przed wejściem do Patrix, tuż przy jednej z małych karczm, przywiązany do drzewa moherowego.

- Po co nam tak mali chłopcy? - zapytał kapłan, którego zadaniem było odebrać dzieci i przydzielić je do konkretnej grupy.

- Decyzja Ae - odpowiedziała Taarida, zsiadając z okurai.

- Masz dokumenty? - zapytał.

- Nie były potrzebne. Mam list od Najwyższej Kapłanki Wszechziemi.

Taarida wręczyła rulon. Kapłan przejrzał pobieżnie jego zawartość.

- Tamadur, Adila i Fatima, ustawicie się tam.

Kapłan wskazał miejsce pod „ścianą płaczu”. Tak żartobliwie nazywano zakątek, w którym dzieci żegnały się ze swoim starym życiem. Na kamiennej posadzce leżała sterta ubrań. Należało rozebrać się do naga, wyrzucić odzienie i czekać na swoją kolej. Czasem bardzo długo. To było upokarzające. Nie było mocnego, który zdołałby powstrzymać łzy. Tym bardziej dzieci w wieku jednego oczyszczenia czy młodsze. Zwłaszcza dziewczynki. Siostry podeszły do wyznaczonego miejsca. Stojący tam kapłan wyjaśnił im, co mają robić.

- Khalid, Nadir, Hassan, Malik - zwrócił się do chłopców. - Wy staniecie po drugiej stronie, dopóki nie dowiem się, jakie są plany wobec was.

Khalid przez chwilę wiódł wzrokiem za swoją bliźniaczą siostrą Adilą, po czym chwycił za rękę Hassana i Malika. Nadir poczuł się osamotniony. Złapał Hassana za drugą dłoń. Młodszy braciszek nawet nie poczuł, że uścisk jest zbyt mocny. Szli czwórką we wskazanym kierunku. Wyglądali na wystraszonych, głodnych i zmęczonych. Ostatnie kilka dni tych chłopaków nie należały do najprzyjemniejszych. Byli świadkami zabójstwa i pochówku w wąwozie Asaran ich dwóch najstarszych braci. Widzieli, jak ich matka została pobita tak mocno, że straciła przytomność. Nie wiedzieli, czy ich ojciec żyje oraz co się stało z Sumi, ich najstarszą siostrą. Teraz na dodatek rozdzielono ich z pozostałymi siostrami i nie wiadomo było, jaki czeka ich los. „Czy będziemy szykowani na kapłanów? Czy będziemy również wyglądać tak odrażająco jak Kadu? Czy kiedykolwiek spotkamy swoich rodziców?” - zastanawiali się.

Barney Clifford został wypuszczony zgodnie z decyzją Ae dopiero po kilku dniach. Nie znał dobrze drogi do wodospadu Pinati, ale dostał mapę sporządzoną przez Harisa. Była bardzo dokładna, miała zachowaną skalę i sporo zaznaczonych małymi gwiazdkami ważnych miejsc z komentarzami opisanymi na odwrocie. Mimo to premier rządu Inco na emigracji czuł się niepewnie. Nigdy nie podróżował samodzielnie, a szczególnie po obcym kraju. Żona zapakowała mu spory prowiant na drogę. Nie wziął zbyt wiele wody, gdyż Haris podpowiedział mu miejsca, w których będzie mógł się napić bezpośrednio ze źródła. Szkoda było tracić energię na dźwiganie. Kiedy wyruszał, rodzina pożegnała go czule, lecz członkowie Rządu

z obawą, czy sobie poradzi. Wszak od powodzenia jego wędrówki zależeć będzie ich wspólny los. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi wyglądała na zmęczoną obecnością obcych, a każdy dzień mógł przynieść zmianę jej postawy. Podobnie było w kwestii przemian w ich ojczyźnie, którą opuścili z zamiarem krótkiego przeczekania. Z każdym dniem robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Dochodzące sygnały raczej nie brzmiały optymistycznie. Wyglądało na to, że Inco przechodziło dynamiczną metamorfozę. Im dłużej trwać będzie rewolucja, tym mniej prawdopodobny będzie powrót do starego układu. Pewnych zdarzeń nie da się cofnąć.

Pierwszego dnia Clifford pokonał spory odcinek drogi. Szedł dość szybko, gnany strachem przed dzikimi zwierzętami. Nie liczył się ze zmęczeniem. Pierwszy postój miał zaplanowany dopiero w połowie dystansu. W tamtym kierunku droga nieco bardziej mu się dłużyła. Wtedy szli większą grupą i co jakiś czas ktoś potrzebował przerwy na potrzeby fizjologiczne. Poza tym wędrowały z nimi dzieci, które opóźniały dotarcie. Teraz Clifford nie ciągnął za sobą żadnego balastu, mógł maszerować swoim tempem. Jak przystało na mieszkanka Inco, miał kondycję wycwiczoną na wielu urządzeniach do poprawiania tężyzny fizycznej. Był piechurzem niemal idealnym.

Hello kryło się za horyzontem. To była najwyższa pora, by znaleźć właściwą kryjówkę. Clifford już chwilę wcześniej upatrzył sobie małe wzniesienie, które mogłoby się nadawać na miejsce postoju. Widział je z dalszej odległości i docenił lokalizację ze strategicznego punktu widzenia. Uznał, że z góry prawdopodobnie będzie widać całą okolicę. Był przekonany, że dostrzeże każde zbliżające się niebezpieczeństwo. Dopiero kiedy wdrapał się na szczyt, zauważył, że na samym wierzchołku wzgórze skrywa skarb. Był tam relikw, mała świątynia Patri. Clifforda nie interesowała religia, to miejsce sprawiało jednak dość intrygujące wrażenie. Pomiedzy skałami wykute były poszczególne etapy z życia bogini. Nie znał jej historii, ale znalezisko, niczym artefakt, od razu go zainteresowało, wręcz zafascynowało. Na jednej z płaskorzeźb, wyglądającej, jakby była wykuta przynajmniej dziesięć er wcześniej, dostrzegł piękną kobietę otoczoną zwierzętami. Na innej, z odłupanym, brakującym kawałkiem, zauważył część jej ciała, które tuliło małe dziecko. To był wzruszający i pełen romantyzmu obraz. Clifford wyjął z małej sakwy zielony baton, ugryzł kęs i zaczął studiować kolejne znaleziska. Rozkoszował się zabytkiem, jakiego nigdy dotąd nie widział. Podszedł w kierunku kolejnej płaskorzeźby. Przedstawiała Patri siedzącą nad brzegiem rzeki. Wyglądała na zmartwioną. Po jej policzku spływała łza. W dłoniach trzymała symbol swej władzy, schowaną wewnątrz odwróconego pradawnego dzwonu Gondoluu, niczym w kielichu, miniaturę Wszechziemi, planety podzielonej na cztery nierówne ćwiartki. Na drugiej stronie płaskorzeźby Clifford dostrzegł starszego mężczyznę z opaską zasłaniającą oczy. Czyżby Patri cierpiała z powodu tego starca? Premier nie był pewny, jak interpretować to znalezisko. Zamyślił się przez chwilę. Wiele by dał, aby się dowiedzieć, co Floriańczycy widzieli w tym bóstwie.

Jak każdy mieszkaniec Inco, Clifford był ateistą, a ściślej wyznawcą jedynej słusznej religii zwanej nauką. Dokładnie w wieku dwóch oczyszczeń ukończył równolegle dwie szkoły, farmacji i administracji państwowej, obydwie finansowane przez koncern Metachemie założony przez jego pradziadka, twórcę Raya. Tego pamiętnego dnia definitywnie oddał się polityce, gdyż już wtedy dostrzegł, że świat jest opanowany przez zło. Był przekonany, że za nim nie stała żadna bogini, lecz zawsze jakiś człowiek. Clifford znów się zamyślił. Przypomniał sobie wykład ulubionego nauczyciela przedmiotu o dość beczelnie brzmiącej nazwie: Miraż humanizmu. Zanotował wtedy każde słowo i później powtarzał je wielokrotnie. Całe zdania

przydawały się podczas trudnych negocjacji czy rozmów na szczycie, choć niektóre brzmiały zbyt dosadnie. Z czasem się ich nauczył. Uwielbiał cytować je z pamięci, choć nie do końca w nie wierzył. Tym razem odtworzył w myślach obszerniejsze fragmenty. A brzmiały one tak:

„Człowiek to najbardziej rozumny stwór, który uzurpował sobie prawo do panowania nad wszechrzeczą. Podporządkował swemu ego roślinność, zwierzęta i naukę. Nie żaden bóg, lecz właśnie człowiek potrafił zarządzać światem. Wśród osobników tego gatunku zawsze pojawiał się ktoś lepszy – władca, wybraniec – obdarzony większą niż inni porcją ambicji i chciwości. Gdyby nie potrzeba posiadania, nie pojawiłby się rozwój, nie byłoby nauki”.

„Człowiek wymyślił i szturmem wprowadził w życie trzy wynalazki: prawo, religię i politykę”.

„Czymże byłaby religia? Niewolą podaną w białych rękawiczkach i na złotej tacy? Oplacona krwią, nieważne czyją – wiernych czy niedowierzających. Dla rozwoju? Nie. Dla władzy. Władzy nad innymi ludźmi, przyrodą, zdrowiem czy umysłem, często z wygody. A także dla bogactwa. Dla tych dwóch celów człowiek ulegał, nie planując tego, mimowolnemu rozwojowi. Szukał coraz lepszych dróg dotarcia na szczyt, ale rozwój zwany ewolucją pojawił się zniecka, przy okazji. Taki bonus”.

„Byle dalej, hojniej, szybciej i łatwiej. Nie wolno było się cofnąć. Jeśli już, to spaść z samego szczytu aż na dno, rozbijając swe ciało w drobny mak. Żeby nie było co zbierać”.

„Jeśli jesteś miły, szczodry, przyjazny, wierny czy uczciwy, czyli bardziej przypominasz posłuszne zwierzę, tym silniejsze jest twoje człowieczeństwo. A im bardziej jesteś zachłanny, nieuczciwy, niegodny, wrogo nastawiony, czyli zachowujesz się jak większość ludzi, tym masz tego człowieczeństwa mniej. Oto paradoks”.

Clifford uśmiechnął się do siebie. Właśnie zdał sobie sprawę, że pamięta najważniejsze zdania z wykładu, ale nie może sobie przypomnieć nazwiska nauczyciela. Zanim zaczął studiować, starsi studenci mówili na niego Antt. Jego rocznik tylko podchwycił przezwisko i tak już zostało. Antt był niczym guru. Wszyscy go szanowali, nauczyciele, uczniowie, dyrekcja. Do pracy w szkole w centrum miasta maszerował codziennie z drugiej dzielnicy, gdzie mieszkał ze swoją rodziną. Potem wracał tą samą drogą. Posiadał zgodę na przemieszczanie się pomiędzy dzielnicami, bo jego etat był państwowy. „Powiniem być o niego zadbać, pewnie już nie żyje” – pomyślał Clifford.

W jego ocenie wykład Antta był świetny, ale zawierał błędy. Potrafił je nazwać i oddzielić od całości. Eliminując jego wady, wymyślił swoją, lepszą wizję ludzkości. Oparł ją o mieszkańców pierwszej dzielnicy, szczególnie kiedy łatwo dawali się kontrolować, a także mężczyzn z drugiej. Brzydził się slumerami, a dokładniej rzecz ujmując, kobietami żyjącymi w tej dzielnicy, traktował je jak podludzi. Nie przewidywał dla nich miejsca w swoim idealnym świecie. To on kiedyś był współtwórcą systemu skutecznych kar za drobne przewinienia. Liczył, że dzięki niemu slumerzy się wykruszą, a przynajmniej pozbędzie się szumowin. Co do mieszkańców Floris miał wyrobione od dawna niezbyt krytyczne zdanie. Lekko je zmodyfikował, kiedy zamieszkał między nimi. Wtedy dodatkowo docenił ich ciekawe zwyczaje społeczne, o których wcześniej nie wiedział. Wielokrotnie w myślach łączył obydwie krainy, ale na niemal utopijnych zasadach. Po wycięciu niezdrowych tkanek, niegodnych bycia członkiem idealnej społeczności.

Nowa Wszechziemia mogłaby stać się domem tylko dla najlepszych. Marzył o tym, od kiedy zajął się polityką. To było tego dnia, kiedy dowiedział się, skąd wziął się Ray i jakie są jego prawdziwe skutki. Poczł się współodpowiedzialny za całe zło, które rozlało się po świecie

w wyniku rozwoju biznesu zapoczątkowanego przez jego przodków. Wyparł się korzeni, lecz kiedy nadarzyła się okazja, by wszystko naprawić, skorzystał z koneksji rodzinnych i bezpardonowo wkroczył do kierownictwa Partii Chemików, przyjmując najpierw rolę skarbnika. Kiedy wybrano go na przewodniczącego partii – zanim jeszcze zaproponowano mu stołek premiera Rządu – zlecił modyfikację leku. W końcu zapanowano nad chromosomem Y, lecz skutków zażywania leku przez wcześniejsze pokolenia nie dało się już zatrzymać. Wtedy powstało UKP. Równolegle pracował nad połączeniem obydwu krain. Sądził, że tylko z kapłanem, który miałby wobec niego dług, można byłoby się dogadać. Dlatego zaplanował i skutecznie zrealizował infiltrację. Udało się. Ae – człowiek z jego nadania – stała się najważniejszą osobą w sąsiednim państwie. Dał czas, by jej pozycja stała się niezachwiana. Musiał też na bieżąco sprzątać, bo jak się okazało, niby religijni kapłani cały czas knuli. Zaplanował, że docelowo wymiesza społeczność, by – jak to nazywał – rozrzedzić zarażone społeczeństwo tym zdrowszym. Jakże się pomylił. Wszystkie jego plany, niczym domino, przewracały się po kolei, tworząc jeden wielki bałagan. Wymykały się spod jego kontroli, a on sam stał się więźniem swoich pomysłów.

W tym momencie poczuł, że ktoś za nim stoi i ciężko oddycha. Tak skupił się na wspomnieniach, że stracił czujność. Przeszły go ciarki. Odwrócił się powoli i ostrożnie. To był Xami.

Zanim Fahid zdążył oporządzić zwierzęta, które jakimś cudem przeżyły kilkudniową głodówkę, Rita już nie spała. Odziana tylko w nocną suknię wyszła na podwórko. Była słaba, ale pierwsze promienie Hello dodały jej niezbędnej energii. Na jej twarzy malował się dziwny spokój. Po chwili pojawił się Fahid.

- Co robisz? Nie powinnaś wychodzić – powiedział z niepokojem w głosie.
- Zobacz, jaki piękny dzień. Pójdź ze mną na spacer, ukochany.
- Najpierw coś zjedzmy. Jestem potwornie głodny.
- Co ci zrobić?
- Nie żartuj. Połóż się.

Fahid pomógł żonie dotrzeć do wygodnego łóżka. Przykrył ją płócienną narzutą i zabrał się do przygotowywania prostego posiłku. Przyglądała mu się z czułością, jak wtedy, kiedy się poznali i nie mieli jeszcze dzieci. Dziś znów byli sami, tylko dla siebie. Od jego powrotu z Hambarra minęło raptem kilka dni. Poświęcił je tylko żonie i zwierzętom. Nie dbał o kolejne plony dirszny. Nie poruszał też tematu dzieci, jakby nie chciał usłyszeć prawdy. Czuł, co mogło się wydarzyć, i domyślał się, kto mógł to zrobić. Jeszcze niedawno nie zdawał sobie sprawy, że tylko przedstawiciele Kościoła mieli w sobie taką bezczelność. Kiedy za życia Mahmuda Fahid jeździł do Litrijis, by wymienić plony na szare kamienie, usłyszał kilka nieciekawych historii o kapłanach, lecz wtedy nie uwierzył w ani jedną z nich. Teraz już był prawie pewny, że wszystkie mogły być prawdziwe.

Z pokorą czekał, aż Rita będzie gotowa, by opowiedzieć mu, co się stało. Nie ponaglał jej, wiedział, że prędzej czy później to nastąpi. Z dnia na dzień czuła się lepiej, między innymi za sprawą jego historii z podróży. Nie mówił o tym, co stało się z Kadu i jego obstawą. Skupił się na pozytywnych fragmentach. Długo opowiadał o Sumi, która zaczęła się uczyć w Hambarra. Opisał też wszystkie rośliny, których nigdy wcześniej nie widział. Nie zapomniał o jaszczurach sahadhi czy wzgórzach pełnych wiatraków. Najbardziej zainteresowała ją historia

o śmierdzącym człowieku bez ręki, mieszkającym w domu na skraju Litrijis. Uśmieła się, a on tylko podkreślał co pikantniejsze smaczki. Tym ją zajmował. Dlatego nie myślała o bólu i stracie. Prawdopodobnie dzięki jego opowiastkom pojawiła się poprawa.

Fahid postawił przed nią tacę z kilkoma drewnianymi talerzykami. Były wypełnione jadem. Trochę drobno posiekanego mięsa, jeden placek, owoce i zioła. Do tego mały garniec keeffi. Na widok jedzenia rozpląkała się.

– Jedliśmy w kuchni, kiedy przyszli – powiedziała łkając. – Okropne mieli twarze. Wyglądali i zachowywali się inaczej niż nasz Kadu. On jest całkiem potulny w porównaniu z tą bandą.

Fahid skupił się tylko na emocjach, które towarzyszyły jej podczas opowiadania. Nie chciał przerywać zbędnymi pytaniami.

– Nie znali litości – kontynuowała. – Gdyby przyszło im zabić wszystkie dzieci na świecie, zrobiliby to bez wahania. Nie wiem, dlaczego Patri upodobała ich sobie. Nie są jej godni.

W tym momencie Fahid nie wytrzymał.

– Bo to są bandyci, kochana. Pomiot pokuna. – Ta obelga nawiązująca do obleśnego łuskowatego stwora brzmiała w jego ustach jak najgorsze, niespodziewane przekleństwo. – Ich interesuje tylko władza nad światem, nad strachem ludzi takich jak my. W szkole kapłańskiej odbiera się im całe człowieczeństwo.

– Czy naszym dzieciom też odbiorą?

Fahid spuścił wzrok.

– Nie wiem – powiedział. – Mam nadzieję, że będą trzymały się razem i pamiętały, z jakiego wyszły domu.

Rita zawyla jak ranne zwierzę. Zrzucił tacę leżącą na jej kolanach i objął ją czule.

– To moja wina – powiedziała niezbyt wyraźnie.

– Nie. Moja. To ja zadarłem z Kościołem.

– Abdul i Ragir nie żyją.

Oczy Fahida natychmiast zalały się łzami.

– Chcieli mnie ratować. Byli bezbronni, niewinni. – Ostatnie zdanie Rity zabrzmiało jak niezrozumiały bełkot.

– Powtórz.

– Byli niewinni...

Fahid dostrzegł jej powiększone źrenice i niezbyt rytmiczne drgawki. Głowa jego żony osunęła się na prawy bok, a powieki powoli opadły.

– Rita, Rita, kochana. Co ci jest? Przecież było już dobrze.

Chwyił jej dłoń. Była bezwładna i nie tak ciepła jak zwykle. Próbował ją rozgrzać, pocierając swoją dłonią, ale ten rozpaczliwy gest nie przyniósłżądanego efektu. Fahid nie znał się na leczeniu. Nie wiedział, co powinien uczynić. Patrzył tylko na swą ukochaną ze łzami w oczach, które wycierał rękawem od czasu do czasu, by nie zmoczyć pościeli. Rita znów przypominała tę dziewczynę, którą spotkał pierwszy raz na polu dirszny sąsiadów. Niewiele się zmieniła. Ciepła, sympatyczna, lekko zaokrąglona buzia i szczery uśmiech jak zwykle. Kiedy Fahid zdał sobie sprawę, że jego żona nie wygląda na swoje trzy i pół oczyszczenia, uśmiechnął się do niej serdecznie i czule pogłaskał po włosach. Wyglądała słodko. Jakby ucięła sobie niewinną drzemkę. Jej oddech stawał się jednak coraz płytszy. Aż po chwili definitywnie zanikł. Odeszła.

ROZDZIAŁ 17.

Głód

Z dnia na dzień pozycja Jasmin malała, aż została praktycznie zmarginalizowana. Addam zaczął ją traktować już nie jak żonę, tym bardziej nie tę pierwszą, lecz służącą dla całej trójki.

- Dlaczego nie chciałaś, żeby robot oporządził ci mieszkanie? - zapytała Vicky, ostentacyjnie wycierając palcem kurz z urządzenia do wyświetlania teatromanii.

- Bo lubi sprzątać - ironizował Addam. - Tak chciała, to tak ma.

Jasmin była w piętnastym tygodniu ciąży, od kilku dni czuła przyływ mocy, na jej twarzy pojawiła się lekka opuchlizna. Trudno było ocenić, czy brak reakcji na złośliwość Addama wynikał ze szczerzej chęci posprzątania apartamentu, czy z powodu nadmiaru wody w organizmie i niemożności dobitnego zademonstrowania swojego niezadowolenia w formie grymasu. Addam zerknął na nią, jakby chciał przypomnieć, że sama jest sobie winna. Nie tylko dlatego, że zaplanowała trójkę dziewczynek. Wszak kazała mu również przysiąc, że nie będzie uprawiał prostytucji. Dlatego nie stać ich było na osobę do sprzątania.

- Wychodzę. Mam dość tych babskich hormonów - powiedział i trzasnął drzwiami.

Vicky zdziwiło jego zachowanie. Podeszła do okna i zerknęła na panoramę miasta, potem na sam dół. Wiodła wzrokiem za Addamem, kiedy wychodził z wieżowca, a także potem, kiedy szedł w kierunku galerii. W końcu zniknął za zakrętem. Posmutniała, chwilę kręciła się bez celu. Widać było, że chce zagadać do Jasmin, ale brakuje jej haczyka.

- Jak sądzisz, o której godzinie wróci? - zapytała w końcu, zamiast poruszyć najbardziej sprawdzony temat niezmienności pogody.

- Kiedy sobie coś kupi, strojniś. Zawsze tak odreagowuje, kiedy nie wie, co ma ze sobą zrobić.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio kupiłam sobie odzież. Mój papa przelewał mi sporo. Nie musiałam się prosić. Addam niczego mi nie przelewa. Owszem, nie mam co narzekać. O co go poproszę, to mi przynosi, ale nie mam swoich bytów, nawet na drobiazgi.

- Przyzwyczajaj się. Będzie gorzej. - Jasmin nie miała ochoty na rozmowę z osobą, która jeszcze przed chwilą wytykała jej palcem brud.

- Nie tak to sobie wyobrażałam - powiedziała Vicky, szukając sojuszniczki.

Jasmin wytarła wszystkie kurze ze ścian i urządzeń. Wysprzątała chłodziwo. Położyła się na małym, niewygodnym materacu, który stał się jej łóżem po tym, jak do apartamentu wprowadziła się druga żona właściciela.

- Masz dużo ładnych ubrań - zagadnęła Vicky.

- Stare dzieje. Większość niemodna.

- Ja nie mam takich.

Vicky posmutniała. Widać było, że hormony zaczynają dawać o sobie znać. Jasmin wiedziała, dlaczego ta młoda kobieta tak się zachowuje. Trochę zrobiło jej się żal dziewczyny, będącej pod koniec czwartego tygodnia ciąży.

- Mam pomysł, co zrobić, żebyśmy mogły kupić sobie trochę ładnej odzieży.

- Potrafisz przekonać Addama?
- Ty to musisz zrobić. Mnie nie posłucha. To dotyczy waszego dziecka.
- Są jakieś zasiłki dla matek? Tylko nie mów mi o udziale w jakimś eksperymencie. Papa nigdy się nie zgodzi.

„Papa? Nie mąż? Idiotka” – oceniła krytycznie w myślach Jasmin.

- Nie. Mam zupełnie inny plan – powiedziała, siląc się na zaangażowanie. – Urodzisz chłopaka, on za jakieś półtora oczyszczenia będzie mógł się ożenić. Po co czekać tak długo ze ślubem? Mogłybyśmy zaoferować go potencjalnym teściom już teraz.

- Nie słyszałam, żeby ktoś płacił za ślub dziecka, które się jeszcze nie urodziło.

- Bo to nowe rozwiązanie. Właśnie wpadło mi do głowy. Co nam szkodzi spróbować.

- Tylko czy Addam się zgodzi – martwiła się Vicky.

Jasmin uśmiechnęła się w duchu. „Ciekawe, co na to powie papa. Kretynka” – pomyślała o niej parszywie.

- Powiem ci, jak go przekonać – powiedziała.

- Genialne – zareagowała entuzjastycznie Vicky. – Znajdziemy bogatą rodzinę, która spodziewa się córki, i zaaranżujemy ślub. Odbędzie się za ponad półtora oczyszczenia, a byty dostaniemy teraz.

- Dlaczego jeden? – wtrąciła się Jasmin. – Zaaranżujemy kilka takich ślubów. Dekret o wielożeństwie, pamiętasz?

- Nie do wiary. Addam mówił o tobie same złe rzeczy, a ty nie jesteś wcale taka głupia.

Tym razem Jasmin nie zareagowała, za bardzo była skupiona na cichym świętowaniu swojej kreatywności.

Pomysł z rozwinięciem idei targu ślubnego okazał się strzałem w dziesiątkę. Przekonanie Addama było łatwiejsze, niż sądziła Jasmin. Kiedy rzucił temat nowego castingu wśród znajomych, w ciągu kilku godzin pojawiło się wiele propozycji. Żeby nie tracić czasu na analizowanie każdego przypadku, pierwsza żona zaproponowała odsiew. Z trzydziestu jeden ofert szybko zrobiło się jedenaście finałowych. Pomogły dość ryzykowne na tym etapie, lecz w ostatecznym rozrachunku skuteczne kryteria. Po pierwsze wadium w wysokości pięciuset bytów odstraszyło od razu dziesięć rodzin, gdyż potencjalni teściowie dziecka nie zamierzali płacić w ciemno. Po drugie kolejne dziesięć rodzin zrezygnowało, kiedy Addam ogłosił, że za ślub należy zapłacić z góry pięćdziesiąt procent w formie zadatku. Ustalanie kolejnych zasad przeprowadzenia aukcji zajęło całej trójce prawie pół dnia. Najwięcej kwestii spornych pojawiło się w chwili, kiedy Jasmin zaproponowała, że syn Vicky i Addama powinien mieć osiem żon. Addam uważał, że pięć, Vicky nie chciała się zgodzić na więcej niż trzy. Ostatecznie zgodziła się na propozycję ojca dziecka. Jasmin była zadowolona z negocjacji. Celowo podniosła poprzeczkę na ten poziom, wiedząc, że Addam jako typowy facet – nawet w imieniu kolejnego, co prawda jeszcze nienarodzonego, faceta – będzie dążył do większej liczby żon. Następnym trudnym tematem było dopuszczenie rodziny Aratunia, która kilka pokoleń wcześniej wyemigrowała z Floris i wcale się z tym nie kryła, jakkolwiek nie to okazało się kwestią nie do zaakceptowania przez Vicky.

- Wszystkie potencjalne żony dla mojego syna są jeszcze w brzuchach – tłumaczyła. – Tylko rodzina Aratunia chce nam wcisnąć dziewczynę, która ma już ponad pół oczyszczenia. Nie za stara?

- A ja uważam, że to nawet lepiej, jak żona jest starsza - stwierdził autorytatywnie Addam. - Co on będzie wiedział o świecie, kiedy będzie w wieku półtora oczyszczenia. Jakie będzie miał doświadczenie seksualne? Żadne. Kompetentna żona nauczy go tego i owego.

- Chciałbyś, żeby była wyszkolona w tych sprawach? - oburzyła się Jasmin.

- No właśnie! One muszą być dziewicami - zażądała kategorycznie Vicky.

- Dokładnie - stanęła w obronie drugiej żony Jasmin. - Jeszcze jedno. Uważam, że każda z żon powinna mieć inny status w małżeństwie.

- Wiem, co ci chodzi po głowie, cwaniaro - zażartował Addam i pogroził jej palcem.

- To nie to, co myślisz. A jak zamierzasz uzasadnić żądanie, żeby zapłacili więcej? - zapytała. - Jeśli będzie jedna stawka za bycie żoną? No, pomyśl. Trudno ocenić, jak będą wyglądały dzieci za ponad półtora oczyszczenia i czy będą się sobie podobały. Uważam, że wyłonienie przyszłych żon powinno być przeprowadzone w formie aukcji. Bogate rodziny, słysząc oferty konkurencji, będą się wzajemnie przebijać. Ta, która zapłaci najwięcej, powinna uzyskać najszerze przywileje.

Jasmin znów przypomniła sobie zasadę rynkową związaną z popytem i podażą. Vicky niczego nie rozumiała. Zawilości wytłumaczył jej Addam, który szybko pojął chytry plan swojej pierwszej żony. Obydwoje przekonali też Vicky, by zgodziła się na rodzinę Aratunia, pod warunkiem że ojciec dziewczynki wpłaci wyższe wadium. Przystała na to. Kiedy nadszedł dzień aukcji, młodsza żona bardzo się martwiła, czy sobie poradzi. Addam uprosił Jasmin, by ją zastąpiła. Nie trzeba było długo jej prosić - lubiła takie wyzwania. Poza tym uciążliwe objawy związane z noszeniem w brzuchu trójki dzieci ustąpiły i poczuła nowy zastrzyk energii.

Na aukcji pojawił się też papa Wąsacz. Vicky nie była z tego powodu zadowolona. Poprosiła go, by pod żadnym pozorem się nie wtrącał. Jasmin zaproponowała, by w konkursie ofert wzięli udział tylko ojcowie. Tak będzie przejrzysiej - bez pozostałych członków rodzin, którzy mogliby tylko utrudniać. Addam przypomniał naczelną zasadę doboru żon. Powiedział, że należy się jeszcze przyjrzeć matkom. „Jeśli chcesz wiedzieć, jak twoja żona będzie wyglądać na starość, przyjrzyj się teściowie” - zażartował. Zarówno Vicky, jak i bardziej doświadczona Jasmin nie znały tej maksymy, ale Wąsacz potwierdził jej słusność. Czteroosobowa komisja, bo tym razem wyjątkowo dopuszczono głos ojca Vicky, odrzuciła jedną z kobiet z uwagi na jej szpetotę. Resztę matek oraz innych członków rodzin wyproszono. Zostało tylko dziesięciu ojców. Ustawiono ich w rzędzie i wręczono im tabliczki z nazwiskami rodzin, które reprezentowali.

- Witam. Nazywam się Jasmin Kozllow z domu Manduarra, jestem pierwszą żoną Addama.

Kiedy wymieniała swoje nazwisko, najstarszy z ojców, białowłosy pan Aratunia, zerknął na nią i zmarszczył brwi, jakby z czymś mu się kojarzyło.

- Jego druga żona, Vicky Morgoruth, spodziewa się chłopca - kontynuowała Jasmin. - Zapewne będzie silny jak jego ojciec, dziadek, wujkowie i kuzyni. To dobre geny. Szukamy dla niego pięciu żon, które dadzą mu synów...

- A jeśli któraś z żon nie da mu syna, tylko córkę? - przerwał jej Aratunia. - Czy oddacie wadium?

- Widzę, że jest pan niewtajemniczony w nowe rozwiązania - odpowiedziała, choć nie wyglądała na zadowoloną, że ktoś jej przerywa. - Teraz można ustalić konkretną płęć dziecka już na etapie prokreacji. Wystarczy proste badanie. Wróć jednak do zasad, jeśli państwo pozwolą. Status pierwszej żony będzie najważniejszy. Będzie mogła dać swojemu mężowi trzech synów, będzie też spała z nim dwie noce w tygodniu. Żona druga będzie mogła dać

mężowi dwóch synów, będzie spała z nim tylko jedną noc w tygodniu. Każda kolejna z trzech żon będzie mogła dać mężowi po jednym synu i będzie z nim spała tylko podczas jednej nocy w tygodniu.

- A pozostałe dwa dni? - zapytał upierdliwie Aratunia.

- Niech sam zadecyduje, czy będzie chciał spać z którąś z żon, czy na przykład będzie wołał odpocząć i spać sam.

- Skoro państwu zależy na odbudowaniu rasy ludzkiej i mężczyźni są potrzebni, dlaczego chcą państwo wprowadzić ograniczenie liczby dzieci? - zapytał brązowowłosej z rodziny Chikoona.

- Żeby ojciec miał dla nich czas, żeby czuły się kochane i aby wychować je na porządnym ludzi. - Jasmin była wyraźnie zirytowana brakiem zrozumienia.

- A jeśli przytrafi im się córka? - Aratunia nie odpuszczał.

- Nie.

- Ale jeśli tak, to co?

- Mój syn będzie kochał ją tak samo jak chłopców - odpowiedziała Vicky, zerkając porozumiewawczo w kierunku Wąsacza.

Kiwnął głową, demonstrując rozpięającą go dumę z powodu odpowiedzialnej postawy córki.

- Państwo zezwala, by mężczyzna mógł poślubić kobietę już w wieku półtora oczyszczenia. Kiedy syn Vicky i Addama osiągnie ten wiek, odbędzie się pierwszy ślub, potem każdy kolejny co trzydzieści dwa wschody Hello. Po to - tu Jasmin zwróciła się do wścibskiego Aratunii, aby uprzedzić jego pytanie - by żona mogła się nacieszyć swoim mężem przez tyle właśnie dni. W tym czasie żadna z poprzedniczek nie będzie miała do niego żadnych praw w łóżu. Niech przynajmniej jeden współśpijąc będzie tylko dla nich. Czy są jakieś pytania?

Wszyscy ojcowie wyglądali, jakby myślami byli już w trakcie aukcji, obserwowali się wzajemnie. Wąsacz był lekko podekscytowany. Vicky poprosiła go, by usiadł nieco dalej, a on kręcił się, jakby to jemu wybierano żonę.

- Skoro nie ma żadnych pytań, zaczynamy. Obowiązuje zasada: kto da więcej. Dla pięciu pierwszych żon przewidzieliśmy nagrodę w postaci syna tej oto piękności.

Wszystkie oczy zwróciły się na zawstydzoną drugą żonę Addama.

- Ja mam pytanie - wtrącił mężczyzna z rodziny Dee. - Jakie będzie nosił imię syn pani Vicky?

Nastąpiła konsternacja. Addam wzruszył ramionami. Jasmin zerknęła na Vicky, lecz ta uciekła wzrokiem w kierunku ojca.

- Wiktor - zdecydował Wąsacz.

Jasmin zrobiła grymas zawodu, jakby wybór imienia nie przypadł jej do gustu. Popatrzyła najpierw na Addama, który tylko pokręcił idiotycznie głową, potem na rozpromienioną Vicky.

- Wiktor - powtórzyła Jasmin. - Po matce. Nazwisko będzie miał po ojcu, Kozlllov.

Vicky uśmiechnęła się do niej serdecznie, jak przyjaciółka, a może nawet siostra. Addam zrobił głupią minę, ale widać było, że na tym etapie jest mu to obojętne.

- Skoro wszystko już wiadomo, zaczynamy - zapowiedziała Jasmin. - Cena wywoławcza za ślub wynosi dwa tysiące bytów.

Aratunia od razu podniósł swoją tabliczkę z nazwiskiem.

- Mamy dwa tysiące - potwierdziła Jasmin. - Czy ktoś przebiję? Dwa tysiące sto?

Chikoona uniósł swoją.

– Świetnie, mamy dwa tysiące sto. Kto da więcej?

Po chwili ojcowie trzymający tabliczki z nazwiskami swoich rodów zaczęli prześcigać się w ich podnoszeniu. Jasmin nie nadążała potwierdzać, kto był na którym miejscu. Zrobił się lekki bałagan. Wąsacz zgubił się jeszcze na początku i miał zdezorientowaną minę. Tylko Addam cieszył się jak dziecko, widząc zainteresowanie swoimi genami.

– Stop – powiedziała Jasmin. – Uporządkujmy to. Pan Chikoona dał osiem tysięcy sto bytów.

– Nie, to ja dałem osiem tysięcy sto. – Powiedział Kviaat. – On dał tylko siedem.

– Osiem dwieście – powiedział Chikoona i podniósł swoją tabliczkę.

– Osiem dwieście dwadzieścia – powiedział Aratunia.

– Osiem trzysta! – krzyknął Kviaat.

– Osiem czterysta – powiedział spokojnym głosem Dee.

– Osiem pięćset – powiedział Texani.

– Osiem osiemset – powiedział Rabului.

– Dziewięć – powiedział Chikoona.

Ojcowie zaczęli w nerwach przewracać oczami.

– Dziewięć pięćset! – krzyknął Texani.

– Dwanaście tysięcy – ogłosił z dumą Chikoona.

Szok. Jasmin oniemiała, podniosła brwi z zaskoczenia. Vicky uśmiechnęła się delikatnie. Aratunia spuścił wzrok, wyglądał na zawiedzionego.

– Czy ktoś da więcej? – zapytała prowadząca aukcję. – Panie Texani? Panie Aratunia? – zwracała się kolejno do poszczególnych ojców.

– Nie mam tyle – odpowiedział Aratunia. – Zależy mi. Niech się pani zgodzi na sześć żon – zwrócił się do Vicky. – Błagam panią.

Vicky zerknęła w kierunku Addama, pokiwał głową, potem na ojca, mrugnął oczami na znak aprobaty. Chwilę się zastanawiała. Wszyscy wstrzymali oddech. Atmosfera była tak gęsta, że cząsteczki powietrza praktycznie stały w bezruchu.

– Dobrze. Niech będzie sześć żon – powiedziała, uwalniając euforię pana Aratunii.

Jasmin puściła oko do Addama. Widać było, że nie może powstrzymać emocji. Nawet kiedy chciała pokazać powagę, na jej twarzy malował się promienny uśmiech.

– A zatem pierwszą żoną będzie Chikoona, drugą Texani, trzecią Rabului, czwartą Dee, piątą Kviaat, a szóstą... Aratunia. Proszę przygotować przelewy na zadatki i podpisujemy umowę.

Jasmin była dumna z tego, jak przeprowadziła całą operację. To był najciekawszy i najbardziej spektakularny projekt, jaki zrealizowała w dotychczasowym życiu, zarówno prywatnym, jak i zawodowym.

Zaledwie kilka dni później Vicky nabyła sporo nowych ubrań dla siebie i Wiktorka. Wydała większość ze swojej połowy bytów uzyskanych z wadiów i aukcji. Drugą połowę zabrał Addam. Jasmin nie dostała niczego.

– Przecież to nasze dziecko – tłumaczyła się Vicky. – Dlaczego oczekiwałaś, że się z tobą podzielę?

Jasmin trafił szlag. Była wściekła na siebie, że tak łatwo dała się podejść tej gówniarze. „Jednak jestem głupia” – pomyślała i obiecała sobie, że nigdy więcej nie zamieni z tą szmatą ani jednego słowa.

Noovack zaczęła eksperymentować z przekazem w teatromanii. Jednego dnia wszystko chwaliła, drugiego kazała emitować reportaże o tym, jak żyje się ludziom po zmianie. Nową strategię nazwała Siłą Realizmu. Zdawała sobie sprawę, że społeczeństwo nie jest zadowolone. W kraju nie działa się dobrze, więc nie można było udawać, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Należało spowodować, by społeczeństwo nie wiedziało, co jest dobre, a co złe. Na dowód tego najczęściej mawiała, że aby było lepiej, najpierw musi być gorzej. Nowy dekret o zakazie wykonywania czynności przez mężczyzn pociągnął za sobą niezaplanowane konsekwencje. Zaczęło się od tego, że kobiety nie potrafiły radzić sobie z obowiązkami dotychczas zdominowanymi przez mężczyzn. W tych obszarach pogorszyły się jakość, wydajność i efektywność. Podniosły się koszty produkcji, a za nimi ceny. Inflacja zaczęła galopować w zastraszającym tempie. Humany skupione na sprawnym przeprowadzaniu eksmisji nie mogły właściwie rozprawić się z watahami rozjuszonych kobiet ze slumsów. Coraz częściej widywano je, jak utrudniały Kaskadę, a także kiedy wywoływały burdy w dzielnicach pierwszej. Bez trudu pokonywały zasięki w poszukiwaniu mężczyzn, których im odebrano. Robiło się niebezpiecznie. Watahy zaczęły się powiększać o nowe członkinie. Podpalano kontenery ze śmieciami przeznaczonymi do recyklingu, sklepy, a nawet pojazdy gardy i pożarnictwa. Nikt natomiast nie tykał pojazdów i humanów służb ratunkowych.

Teatromania chodziła prawie na okrągło. Najczęściej oglądała ją Vicky z nosem niemalże przy samym ekranie, choć nie rozumiała większości z prezentowanych informacji o stanie państwa. Tego dnia Addam postanowił potowarzyszyć niedoświadczonej małżonce w oglądaniu i potłumaczyć jej zawiłości polityki. Nawet podkreślił dźwięk, trochę na złość Jasmin, która chowała nos pod kołdrę, by nie przebywać z oszustami. Na ekranie pojawiła się Martina Kuna, kiedyś skromna redaktorka kanału trzeciego, obecnie gwiazda dziennikarstwa, prowadząca najważniejsze programy publicystyczne na wszystkich kanałach.

– Umierają kolejne męskie zawody – powiedziała swoim ulubionym, smutnym głosem. – Do wcześniej dobrze sytuowanych gospodarstw zaczyna zaglądać bieda. Ceny produktów rosną. Walka trwa również o naszą godność, o zwiększenie udziału mężczyzn. Sprawdźmy, co słychać u nieustraszonej bohaterki walczącej o nasz gatunek. Przenieśmy się do Ministerstwa Zdrowia.

Na ekranie pojawiła się Gibbondy, miała sztuczny uśmiech, przyklejony niedbale i niezbyt równo do twarzy.

– Pani minister – zwróciła się do niej Kuna. – Proszę nam opowiedzieć o kolejnych eksperymentach, nad którymi pani pracuje.

– Nie mogę za wiele zdradzić, ale między innymi testujemy metodę bazującą na maskulinizmie – odpowiedziała Gibbondy. – Trwają też próby zmiany płci kobiet na mężczyzn, ale na tym etapie są niesatysfakcjonujące. Nawet jeśli kobieta pod wpływem operacji i zażywania leków hormonalnych zaczyna przypominać mężczyznę, to nadal nie przedstawia żadnej wartości – powiedziała Gibbondy.

– Czyli? – dociekała Kuna.

– Czyli takie osobniki nie mogą być reproduktorami – dokończyła w swoim stylu Gibbondy.

Na ekranie zniknął obraz z ministerstwa, pojawiło się zdjęcie kilku osób o męskiej budowie ciała i rysach twarzy. Przypominali raczej nieudane modele robotów niż ludzi.

- Trzymamy kciuki, pani minister – powiedziała z entuzjazmem Kuna. – Zmieniamy temat. Kilka dni temu odbył się pierwszy targ ślubny. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że dotyczył dzieci, które się jeszcze nie narodziły. Rząd uznał, że to doskonała inicjatywa społeczna.

- O, to o nas, to o nas – zainteresował się Addam. – To nasz pomysł.

- To pomysł Jasmin. Dzięki, siostró – powiedziała Vicky, lecz białowłosa nie wyściubiła nosa spod kołdry, tylko nasłuchiwała.

- Na tym modelu postaram się państwu wyjaśnić, jak to działa. – Kuna na ekranie teatromanii zaczęła komentować obrazek, który został wyświetlony za jej plecami. – Widzimy idącą rodzinę: męża, a obok kilka wpatrzonych w niego żon. Po ich lewej stronie kilka samotnie idących córek. Mają smutne miny, ale cóż... Może kiedyś im się poszczęści. A po prawej stronie ojca idzie jego szczęśliwy syn, a za nim kilkanaście dziewczynek, przyszłych żon. Już nie wygląda to tak bardzo źle, prawda? Nasze społeczeństwo jest takie postępowe i kreatywne. Tyle zmian następuje dzięki obywatelskiej inicjatywie. Teraz Rząd musi jeszcze dopracować kilka dyrektyw i niebawem zostanie zatwierdzony nowy model rodziny. Według tego założeń zaślubione dziewczynki będą mogły wspólnie usługiwać swojemu przyszłemu mężowi. To wzmocniłoby ich miłość do niego, a i same mogłyby się między sobą zaprzyjaźnić.

- To chore – skomentowała Jasmin, nadal schowana pod kołdrą.

Addam i Vicky zareagowali wymianą szyderczych uśmiezków. W tym momencie obrazek na ekranie teatromanii został zamieniony na wizerunek monumentalnego budynku z logotypem w kształcie wielkiej maszyny ze skrzydłami.

- A teraz dobre wiadomości – powiedziała Kuna. – Spółkę skarbu państwa funkcjonującą do niedawna pod nazwą Flysky, zajmującą się produkcją bezzałogowych maszyn do rozgania smogu, podzielono na cztery mniejsze firmy. Jej poprzednia prezes, pani Angelicc Nerible, została prezesem największej z nich Flyboot. Ta spółka, nazwijmy ją córką, będzie produkowała tylko korpusy do maszyn. Drugą spółką, Flyengine, będzie zarządzała pani Amanda Nerible, trzecią, Flyenergy, pani Ana Viler, a czwartą, Flyelectro, Hermegiona Lumb. Nowe panie prezes otrzymały od Jeronimy Martinez, świeżo upieczonej Minister Gospodarki, nie tylko symboliczne klucze do sprawowania władzy nad przedsiębiorstwami, ale także prawdziwe klucze do finansowanych przez państwo apartamentów odzyskanych dzięki Kaskadzie Eksmisji. Gratulujemy awansów.

- Co za darmozjady – oburzył się Addam.

- Co się stało? – zdziwiła się Vicky.

- Akurat znam te baby. Wszystko zostało w rodzinie. Ta, co dostała drugą spółkę, to siostra tej pierwszej, ta trzecia to jej kuzynka, a czwarta to ciotka od strony ojca.

- No i co z tego? – zdziwiła się Vicky.

Jasmin odkryła kołdrę i zaczęła się głośno śmiać. Vicky była zdezorientowana. Addam tylko westchnął.

- Lepiej już nie zadawaj pytań, kochanie. Ja ci później wszystko wytłumaczę – powiedział prawie szeptem.

Noovack, wykorzystując zasady Kaskady Eksmisji, zaanektowała na swoje potrzeby najwyższy wieżowiec w państwie, a także osiem sąsiadujących bezpośrednio. Tylko na wszelki wypadek, gdyby jakiś niezadowolony mieszkaniec kraju postanowił wykorzystać bliską odległość

po między wieżowcami i wyrazić niezadowolenie z decyzji nowego Rządu, sąsiednie budynki miały stać puste. Cały kompleks ogrodzono, dzień i noc pilnowały go cztery zastępy humanów gardy i jeden oddział straży granicznej. Nikt nie miał prawa się prześliznąć. Każdy, kto chciałby odwiedzić Noovack lub jej rodzinę w prywatnych apartamentach, musiał przejść kilka sit, by uzyskać zgodę. W zasadzie osoby, które dostąpiły tego zaszczytu, można było policzyć na palcach dwóch rąk.

Na najwyższym piętrze budynku znajdowała się sypialnia Ewy Noovack. Tylko dla niej. Rinno miał swoją, mniejszą, zlokalizowaną kilka pięter niżej. Na środku wielkiej sypialni pani premier stało sześciopersonowe łóżko i kilka zabytkowych mebli. Ponadto na tym samym piętrze znajdowały się mniejsze komnaty przeznaczone dla nowych narzeczonych, jak nazywała kochanków. Mieli czekać, aż któregoś z nich wezwie, by sprawdzić, czy nadaje się na męża. Kochankom usługiwali lokaje, tylko mężczyźni. Pani premier nie chciała, by którykolwiek z nowych narzeczonych przypadkiem zainteresował się śliczną służącą i okazał niezdecydowanie w kwestii uczuć wobec gospodyni. Dlatego lokajami byli najmniej wrywni więźniowie polityczni. Ich szeregi zasilono lojalistami Clifforda, członkami karteli farmaceutycznych, a także lekarzami opierającymi się UKP.

Wszyscy mieli założone energetyczne obręcze, inne od tych stosowanych przez humanów gardy do pętania złoczyńców. Uliczny wariant nie mógłby się sprawdzić się na pokojach, gdyż z pewnością utrudniłby mężczyznom poruszanie. Dlatego na ich obydwu nadgarstkach, na nogach, tuż nad stopą, oraz na głowie lokaje mieli zaciśnięte metalowe obręcze niepołączone ze sobą żadnym energetycznym ogniwem. Wyglądały dość humanitarnie, jakby miały na celu zaledwie symbolizować zniewolenie.

Piętro niżej znajdowało się pomieszczenie do medytacji. Wyglądało jak jeden wielki labirynt. Żeby pani premier nie czuła się osamotniona, wypełniono je kilkoma animarobotami w skali jeden do jednego. Dwa dorosłe hydapi, jeden tine i trzy okurai wyglądały jak żywe, nawet sierść miały prawie identyczną jak te poruszające się w naturalnym środowisku Floris. Podłoga i dolne partie ścian pomieszczenia były pokryte stałą, sztuczną roślinnością. W dwóch miejscach, na razie testowo, rozwijały się monoflory, sztuczne organizmy imitujące pnącza. Były oparte na połączonych ze sobą mikrobotach, rozwijających się dzięki nanotechnologii, na razie dość niezdarnie i powoli. Ich sztuczne gałęzie przyrastały z prędkością zaledwie ćwierć łokcia na miesiąc. Mimo tego prezentowały się interesująco. Na osobie, która była w stanie zobaczyć oczyma wyobraźni efekt, musiały robić oszałamiające wrażenie. Zwłaszcza w połączeniu z malarstwem czterowymiarowym, kilkoma dziełami wydzierzawionymi na koszt państwa od jednej z najznamienitszych galerii sztuki. Miały wspierać duchowo panią premier, by podejmowała właściwe decyzje.

Właśnie do tego pomieszczenia Noovack zaprosiła członkinie swojego gabinetu na półprywatną nasiadówkę. Chciała pochwalić się nowymi zdobyczami techniki. Widać było, że zaproszone koleżanki w ostatnim czasie poprawiły swój status społeczny, a przepych i ogrom apartamentów pani premier nie był im obcy. Wyglądały też na bardziej zadbane, nie jak wtedy, kiedy wspólnie z nią planowały zamach stanu.

– A teraz popatrzcie na to. – Noovack klasnęła i natychmiast na wielkiej ścianie został wyświetlony program pierwszy teatromanii. – Jak klasnę dwa razy, to będzie sport.

Klasnęła dwa razy i odwróciła się na pięcie, a ekran teatromanii przekreślił się wraz z nią, na kolejną wolną od sztucznych roślin ścianę. Tym razem prezentował kobiece sztuki walki.

- O, jakie to postępowe - zauważyła Gibbondy i zaczęła przyglądać się spoconym zawodniczkom, które okładały się pięściami po twarzach, chlapiąc krwią na lewo i prawo.

W tym momencie pojawiło trzech lokajów ubranych w antracytowe, odświeżone uniformy z krótkimi białymi rękawkami. Każdy z nich miał założone beżowometaliczne obręcze. Wyglądały jak niecodzienna biżuteria. Ta na głowie, na wysokości czoła była szeroka na trzy palce, te na nadgarstkach i wiszące tuż nad kostkami miały po dwa. Pierwszy lokaj niósł tacę z wodą marki Pearl, drugi tacę z odżywczymi żółtymi batonami, trzeci naręcze jednorazowych ręczników. Każdy sztucznie się uśmiechał.

- Czym ich karmisz, że tak się szczerzą, upperem? - zapytała Davis, uśmiechając się.

- Przecież upper jest zakazany - powiedziała Tatarczyna, puszczając oko.

- To przez obręcze - wyjaśniła Noovack.

Gibbondy zwróciła uwagę na jednego z lokajów - tego, który przyniósł wodę. Na bezczelnego zaczęła go obwąchiwać, po czym spojrzała mu prosto w oczy, jakby szukała odpowiedzi. Ani drgnął.

- Poznajesz mnie, Steavans? Wiem, że tak. Myślisz, że jak się opryskałeś tanimi perfumami, to nie wyczuję smrodu z twojego gabinetu?

Lokaj, a dokładnie doktor Steavans, trwał w bezruchu, pozbawiony najmniejszego śladu emocji, niczym robot.

- Zarycz jak okurai - wydała polecenie.

- Nie rozumiem - odpowiedział Steavans.

- No zarycz. Jak zwierzę. Teraz. - Gibbondy przyglądała mu się z przymrużonymi oczami.

Drugi z lokajów, czarnowłosy, ten, który przyniósł batony, zerknął z obawą w kierunku Steavansa i Gibbondy.

- Nie wiem, jak ryczy okurai. Nie widziałem go na żywo - powiedział Steavans ze stoickim spokojem.

- Tu sobie chodzi, nie miałeś takiej zabawki w dzieciństwie? No tak, bawiłeś się w doktorka - ironizowała.

W tym momencie czarnowłosy lokaj zerknął ponownie w ich kierunku i zaczął się lekko trząść, krople potu napłynęły mu na czoło. Widać było, że walczy ze sobą. Nagle, w ułamku sekundy, jego wszystkie cztery obroże założone na nadgarstkach i nad stopami znalazły się na wysokości głowy, tuż przy obręczy zlokalizowanej na czole. Jego ciało zwinięte w kłębek z dotkliwie zranionymi kończynami gruchnęło na podłogę. Baton z tacy rozsypały się po posadzce. Lokaj miał zerwane więzadła i uszkodzone stawy kolanowe. Członkinie Rządu zamarły. Steavans nadal był niewzruszony, trzeci lokaj także. Stali karnie i czekali na polecenia.

- Taki był fajny, zaczęłam się do niego przyzwyczajać, naprawdę - powiedziała z udawanym smutkiem Noovack.

- Co mu się stało? - zdziwiła się Fagot, do tej pory oszołomiona.

- Widocznie nie wytrzymał ciśnienia. Obręcz na głowie jest wyposażona w czujniki do wykrywania w mózgu złych intencji - wytłumaczyła Gibbondy, patrząc nadal złowrogo w kierunku Steavansa. - Gdy któryś z lokajów tylko pomyśli o zrobieniu komuś krzywdy, wszystkie pozostałe obroże w ułamku sekundy zostają przyciągnięte do czoła za pomocą silnych elektromagnesów. Można powiedzieć, że dłonie i stopy wymierzają wyrok na jego durnej łepetynie. To mój pomysł, wystarczyło tylko dodać trochę techniki.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytała Davis.

- Niektórym uszkadza się kręgosłup, ale umiera maksymalnie dziesięć procent, czyli bezpieczne.

- No tak, to faktycznie niewielki odsetek. Może byśmy wszystkich ludzi wyposażyli w obręczę dyscypliny? - zapytała dość poważnym głosem Duecklenbourg.

- Nie mamy tylu humanów. Kto by to sprzątał? Ha, ha! - zażartowała Tatarczyna.

W tym momencie pojawiły się dwa roboty. Jeden z nich pozbierał batony i po chwili wyszedł z pełną tacą, drugi wyniósł ciało nieszczęśnika.

- Czy tylko mnie się wydawało, że te batony były żółte? Jak smakują? Chciałam spróbować - zasmuciła się Fagot.

- Nie będziemy jeść z podłogi, za chwilę dostaniemy świeże. Tymczasem opowiedz, Julio, koleżankom o swoim nowym sukcesie - poprosiła Noovack, zerkając na podłogę, jakby doszukiwała się plam z krwi po akcji z lokajem.

- Wykradliśmy pięciu mężczyznom z Floris - zaraportowała z dumą Fagot. - Nie było to trudne. Granica jest praktycznie niestrzeżona. Nawet duży oddział, bo chyba piętnastoosobowy, z łatwością przekroczył granicę.

- Gdzie trzymacie tych mężczyzn? - zapytała z niepokojem Davis.

- Są w moim apartamencie za zgodą pani premier.

- Powinni trafić do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - oburzyła się Tatarczyna.

- Nie. Mężczyźni powinni być poddani obserwacjom Biura Badania Opinii Społecznych. To jest w moim ministerstwie - wściekała się Davis.

- Tu nie chodzi o eksperyment socjologiczny. Nikt ich do niczego nie zmusza ani nie sprawdza, jak srają po naszych batonach. Mają się poczuć lepiej niż w domu - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu Noovack. - Julia Fagot nie ma męża, ma piękne służące. Dla tych młodych mężczyzn to istny raj.

- Podoba im się? - zapytała ze szczerą ciekawością w głosie Duecklenbourg.

- Na początku byli wystraszeni, teraz są zachwyceni.

- A jak te sprawy? Skosztowałaś ich? - zapytała Tatarczyna, uśmiechając się lubieżnie.

- Nie bądź wulgarna, Natalio - wtrąciła Gibbondy.

- Jeśli o to ci chodzi, to nie, ale jeśli by któryś zapragnął...

Widać było, że już na samą myśl, co mogłaby z nimi uczynić, Fagot śliniła się jak smarkula.

- Jak przebiega przeróbka machin latających? - zapytała Noovack.

- Doskonale - odpowiedziała Tatarczyna. - Urządzenia do rejestracji obrazu zostały przetestowane na naszym terytorium. Jedynym problemem jest długość zapisu, ale mamy na to pomysł. Myślę, że w ciągu miesiąca będziemy gotowe wysłać je w dziewiczy lot. Pozostanie tylko kwestia tego, czym będziemy rozganiać smog na terenie Inco.

- Penetracja kraju wroga jest absolutnym priorytetem - powiedziała Noovack i pogłaskała przechadzającego się obok animarobota po grzbiecie.

- A, zapomniałam. Clifford chyba nie żyje - powiedziała Nadine Bleur.

- Co? Skąd wiesz? - zdziwiła się Tatarczyna.

- Ktoś użył komunikatora tuż przy granicy, po tamtej stronie. Sprawdziłyśmy to połączenie. To był męski głos, który przekazywał informację innemu mężczyźnie na terenie Inco.

- A kto odebrał? - zapytała Tatarczyna.

- Niestety nie do wychwycenia. To było niezarejestrowane urządzenie. Jedno z takich, których używali ludzie Clifforda. Sygnał pojawił się tylko raz, wtedy, potem już nie.

- Powinniście być od razu nas zawiadomić - powiedziała wściekłym głosem Tatarczyna.

- Spokojnie, koleżanki. To nie czas na spory. Trzeba się upewnić, czy to prawda. Jeśli tak, ogłosimy święto państwowe – oznajmiła Noovack. – A teraz proponuję, byśmy przeniosły się do apartamentu Julii i pooglądały sobie tych Floriańczyków z bliska. Potem damy im to, czego będą chcieli, i... wypuścimy wolno. Niech opowiadają swoim kolegom, że bogate Inco oferuje raj dla młodych mężczyzn.

- Będą naszymi ambasadorami – ucieszyła się Fagot.

- Tak. A jeśli się sprawią i do nas wrócą, damy im wszystko, czego tylko zażądata – powiedziała Noovack i puściła oko do stojących w bezruchu dwóch lokajów.

Jasmin wróciła ze spaceru. Jej oczom ukazał się zaskakujący widok. Luicey siedziała z Vicky w łóżu i plotkowały jak najlepsze przyjaciółki.

- O, jesteś – zareagowała entuzjastycznie Luicey. – Wszystkie trzy jesteśmy w ciąży. Możemy się wspierać.

- Dobrze, że jesteś. Przynieś mi wody – powiedziała Vicky.

Luicey popatrzyła w kierunku pierwszej, potem drugiej żony Addama.

- Skoro tak, to ja też poproszę – powiedziała.

Jasmin tylko prychnęła. Weszła do pomieszczenia regeneracyjnego. Po chwili słychać było szelest wody, niczym drobny deszcz.

Luicey wstała z trudem, jakby była pod koniec trzeciego trymestru, a nie w połowie pierwszego. Poszła do chłodziwa, wzięła dwie butelki wody marki Pearl i wróciła do łóża. Jedną z butelek wręczyła Vicky. Napily się prawie w tym samym czasie, co je rozbawiło.

Nagle wszedł Addam.

- O, cześć, Luicey. Vicky, kochanie, jak się czujesz?

- Tak sobie – odpowiedziała smutnym głosem.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Czytałem, że w piątym tygodniu wszystkie niepokoje są jak najbardziej normalne.

- Ale on jest słodki. Tak się martwi o ciebie – oceniła Luicey.

- No – powiedziała z rozanieloną miną Vicky. – Chodź się przytulić – zwróciła się do Addama.

- To nie idziemy do galerii? – zdziwił się.

- No tak. Zapomniałam. Już się zbieram – szczebiotała Vicky, a po jej dotychczas smętnym wyrazie twarzy nie było śladu.

Zanim Jasmin zakończyła regenerację, Addam i Vicky zdążyli wyjść z apartamentu. Luicey siedziała sama na łóżu i oglądała teatromanię.

- Wreszcie. Ileż można się splotkiwać?

- A tobie co się stało? – zdziwiła się Jasmin, przeczesując włosy dłonią i czyniąc sobie jeszcze większy nieład na głowie. – Poszli?

- Addam będzie zajebistym ojcem.

- To się okaże.

- Nie rozumiem, dlaczego na niego tak narzekasz. Nie ma się co dziwić, że cię olewa. Chodzisz skwaszona, masz minę, jakby cię obesrało. Popatrz na Vicky. Ona tryska szczęściem.

- Między nami jest drobna różnica. Ja byłam pierwsza, ona zajęła moje miejsce. Mam prawo być wkurzona?

- Tym się różnicie. Ona wcale nie jest wkurzona o nikogo. I kto tu jest mądry?

- Jeszcze czego – ofuknęła. – O mnie? Wkurzona? Byłam pierwsza.

- Nie chodziło mi o ciebie.

- A o kogo?

Luicey ugryzła się w język.

- Coś wiesz? Przyznaj się, Addam ma kogoś i ona o tym wie, tak?

Luicey przewracała oczami.

- Miałam ci nie mówić, ale już mi nie zależy – zaczęła. – Nigdy nie traktowałaś mnie jak przyjaciółki. Co innego Vicky. Jej mogę zaufać. W końcu niebawem będziemy jakby rodziną.

- Możesz mnie wtajemniczyć w tę grę? Bo za chwilę mnie szlag trafi. Chodziło ci o to, że masz dziecko z kuzynem Addama, tak? O taką rodzinę ci chodziło?

- Ale ty nic nie rozumiesz. Haenry nie może mieć dzieci. To właśnie Addam nam pomógł.

Jasmin otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- I co? Przespałaś się z nim? – zapytała, choć nadal miała wrażenie, że to wszystko jej się śni.

- Tylko raz.

Jasmin odwróciła się i stanęła w bezruchu. Czowała, że krew uderza jej do głowy. Miała wrażenie, że przed chwilą ktoś dzielił ją tępym narzędziem.

- Wypierdalaj – powiedziała cicho.

- Weź, uspokój się – bagatelizowała Luicey. – Nie bądź dzieckiem. Zobacz, co się dzieje dookoła. Każdy z każdym to robi.

Jasmin odwróciła się i popatrzyła prosto w oczy Luicey.

- Wypierdalaj! Mam ci to przeliterować?!

- Łaski bez – powiedziała od niechcienia Luicey. – Jeszcze będziesz się prosić.

- Wynocha z mojego domu, z mojego życia! Wynos się!

Luicey wstała i powoli udała się w kierunku drzwi. Jasmin opadła na kolana, zakryła twarz dłońmi i zapłakała.

ROZDZIAŁ 18.

Niesubordynacja

Nic od dawna tak nie ucieszyło Ae jak powrót kurdupla. Szybko przejęła od Harisa pogardliwy przydomek, którym ten zawadiaka tytułował Xami. Przyjęła go jak kiedyś Jusifa, udając, że spotyka się z kupcem. Kurdupel faktycznie przywiózł wieści, na które czekała, oraz na wszelki wypadek, gdyby ktoś ich podglądał, worek z włókna łądogowego wypełniony towarami przeschumowanymi z Inco.

- Szybko się uwinąłeś – zagadnęła, kiedy zostali sami.
- Najważniejsze, że załatwiłem to, czego ode mnie oczekiwałaś. Żadnych świadków.
- Doskonale. Rozumiem, że mogę odhaczyć załatwienie sprawy Clifforda. Kogo jeszcze?
- Lepiej nie wiedzieć. Te pięć nazwisk nic ci nie powie, a będziesz miała spokojniejszy sen.

Ae zastanowiła tajemnicza postawa nadwornego czyściciela. Nie chciała być oszukana, że płaci za pięć głów, które nie istniały.

- Dobrze. Zapisz ich nazwiska na kartce i włóż do załakowanej koperty. Kiedy przyjdzie mi ochota na niespokojny sen, sięgnę do niej.

- Jak sobie życzysz – powiedział i zamyślił się na chwilę. – Sądzę, że cię to zaciekawi. Do Patrix przybył Haris.

- Tak? – zareagowała radośnie, po czym zrobiła minę, jakby ta informacja nie miała dla niej znaczenia. – Rozpoznał cię?

- Nie, ale słyszałem, jak rozmawiał z szefem twoich strażników. Błagał o audiencję.

- Też coś. Ciekawe po co. – Ae już nie potrafiła ukryć zainteresowania.

- Nie wiem, ale może lepiej się złożyło, że przyjechał tutaj, a nie został w Vtili Soll. Kazałaś mi załatwić go dopiero na końcu. Musiałbym udawać, że go nie widzę.

- Słusznie. – Ae była już myślami gdzie indziej.

- Mam coś dla ciebie – powiedział.

Xami wyjął z worka przezroczystą damską sakwę, modną w Inco. Wręczył ją Ae. Bez trudu można było dostrzec zawartość. Był w niej komunikator, animarobot w skali jeden do dwudziestu imitujący hydapi, wyglądające jak żywe dłonie lateksowe rękawiczki z dorysowanymi paznokciami, fiolka z lekarstwami, a także brązowe pudełko. Ae najpierw zaczęła od niego. Uchyliła wieko, ale szybko z niesmakiem je zamknęła, jakby spodziewała się zawartości. Na widok rękawiczek zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć, że jej dłonie nie wymagają kamuflażu. Potem skupiła się na animarobocie.

- Widziałam już to cudencko – powiedziała, bawiąc się micro hydapi. – A do czego służy ten przedmiot?

- Do komunikowania się. Tutaj nie zadziała, bo jest zbyt daleko od granicy.

- A te lekarstwa? – zapytała podejrzliwie, szczególnie wgapiając się w znany logotyp.

- Sądziłem, że ci się przyda.

- Nie rozumiem – widać było, że czuje się zakłopotana.

- Przypomnę, że nie tylko Jusif znał twoje tajemnice. Obydwoje sprowadzaliśmy ci facetów, potem przebrani za kapłanów wywoziliśmy ich ciała do Asaranu i na zmianę przemycałymi ci lek, który pozabawiał cię ewentualnego kłopotu.

Zarumieniła się. Po chwili na jej twarzy pojawił się grymas zawodu.

- Nie martw się. Tę konkretnie tajemnicę znaleźliśmy tylko Jusif i ja. Nikt więcej.

- Już nie będzie mi potrzebny ten lek. Zabierz go. Kiedy ruszasz do Vatili Soll?

- Jutro o świcie.

- Bądź ostrożny – powiedziała ze szczerą troską, wręczając zwyczajową zapłatę, czyli sakiewkę z szarymi kamieniami.

Xami uklonił się nisko i odszedł. Ae zauważyła, że nie wziął ze sobą fiołki z lekarstwem. Najpierw uznała ten gest za niesubordynację. Powinna była go zawołać z powrotem i skarcić, żeby mu się nie wydawało, że może z niej drwić. Po chwili uśmiechnęła się tylko do swoich myśli.

Drzewo rosy, obok którego usypany był stos kamieni na znak pamięci o zmarłych, pierwszy raz od wielu wschodów Hello zaczęło samoistnie rościć. Na jego zwiniętych w kształcie rurek liściach pojawiły się soki. Kapały niczym łzy po zmarłej Ricie. Tak pomyślał Fahid. Wiedział, że drzewo rosiło regularnie, najczęściej co miesiąc, w dzień lub dwa po współksiężycu. Tym razem minęły zaledwie dwa tygodnie po nocy, w której trzy z czterech widzialnych księżyców utworzyły jedną linię na niebie. „To najwyraźniej jakiś znak” – pomyślał Fahid, kiedy zauważył anomalię. Jego wiara w Patri legła w gruzach i szukał pocieszenia w oznakach przyrody. Uznał, że żaden kapłan nie powinien poddawać zwłok Rity mumifikacji ani zawozić ich do Asaranu. Powinna spocząć pod ziemią, obok kamiennej mogiły, na ich podwórku, osłonięta przed pazurami podziemnych jaszczurów sahadi kilkoma warstwami odzieży wykonanej z tkanin raidi. Tak zdecydował i uczynił.

Kiedy zasypywał jej zwłoki, płakał. Wspominał ostatnie tchnienie swej ukochanej, kiedy umierała praktycznie na jego rękach. Lecz to nie on ją zabił. Uczynili to bezlitośni kapłani, którym poprzysiągł zemstę. Zamierzał odnaleźć każdego i osobiście wbić mu nóż prosto w serce. To samo zamierzał uczynić z Najwyższą Kapłanką Wszechziemi, kiedy tylko uwolni z jej rąk swoje dzieci.

Zanim wyruszył do Patrix, odwiedził rodziców Rity. Byli sąsiadami, choć we Floris trudno było tak nazwać gospodarzy, którzy mieli swoje uprawne pola oddalone o nawet kilka dni męczącej podróży. Teściowie, Roh i Kitta, a także Gira, siostra Rity, która została z rodzicami na gospodarstwie, zdziwili się na jego widok. Z podwórza obserwowali, jak dojeżdżał na młodym, okulbaczonym do długiej wędrówki okurai.

- Co cię sprowadza do nas samego, Fahidzie? – zapytał niespokojnym głosem Roh, jakby wietrzył nieszczęście.

- Moja Rita nie żyje. Abdul i Ragir także. Pozostałe dzieci zabrane – wydukał Fahid i zrobił udawaną, hardą minę, jakby chciał wyjść na pozbawionego emocji, odpornego na nieszczęście mężczyznę.

Z każdym jego słowem Kitta ronila kolejną wielką, niedającą się powstrzymać łzę. Jej mąż stanął w bezruchu, zrobił grymas niewyobrażalnego bólu i ścisnął w dłoni rękąjęsć laski, którą się podpierał. Gira, siostra bliźniacza Rity, padła na kolana i zaczęła bić rękami o ziemię, mamrocząc niezrozumiałe sylaby. Wyglądało to jak modlitwa za zmarłych.

- Zamilcz, głupia! – krzyknął do niej Fahid. – To jej nie pomoże. Zabili ją kapłani.
- Co mówisz, Fahidzie? – zdziwił się Roh. – Czymże zawiniła moja biedna córeczka?
- Nie ona. To ja. Nie chciałem oddać Sumi do kapłaństwa – odpowiedział.
- Ściągnąłeś gniew Patri. Oj, niedobrze – biadoliła Kitta. – Trzeba było się nie upierać i oddać Sumi. Byłaby kapłanką, a nie jakąś tam pieśniarką. Zmarnowałeś jej życie. Mogła być bliżej Patri.

- Jak wy niczego nie rozumiecie! – krzyknął Fahid.

Roh podszedł do niego, oparł łaskę o prawe biodro i wyciągnął szerokie ramiona, licząc, że się obejmą. Na próżno.

- Fahidzie, co się z tobą stało? Nie wyzywaj najmiłościwszej pani, bo ściągniesz kolejne nieszczęścia – powiedział.

- A to niesłychane, przecież dopiero co odszedł Mahmud. Oj, przepraszamy, Fahidzie, że nie mogliśmy przybyć na mumifikację. Dowiedzieliśmy się zbyt późno. Kiedy planujesz ceremonię? Tym razem będziemy na czas – zadeklarowała siostra zmarłej.

- Już ją pochowałem, w ziemi koło domu. Jej ciało nie pojedzie do żadnego Asaranu.

- Co mówisz?! Oszalał! – oburzył się Roh i zaczął szukać poparcia w oczach żony i córki.

- Pewnie strudzony i potrzebuje odpoczynku. Gira, przynieś mu jadła – zaproponowała Kitta.

- Nie jestem głodny. Jadę do Patrix. Już tu nie wrócę. Jeśli chcecie, zwróćcie się do nowego kapłana, żeby oddał wam moją ziemię. Zwierzęta wypuściłem na wolność, aby nie pozdychały z głodu. Tu jest moja ostatnia wola.

Fahid wręczył Rohowi zwinięty w rulon papirus.

- Jakiego nowego kapłana? A gdzie jest Kadu? Fahidzie, nie rób głupstw! – martwiła się Kitta.

Fahid poprawił przymocowane do okuraj tobołki, sprawdził ukrytą pod narzutą kuszę i pognął wierzchem w kierunku Litrijis. Rodzina jego zmarłej żony długo nie mogła się pozbiierać po wiadomościach, jakie im przekazał. Każde z bogobojnej trójki inaczej zapamiętało jego wizytę. Roh wściekał się, że Fahid pewnie opił się tinghao, wypuścił zwierzęta i nie chce się zajmować uprawą dirszy, jak to bywało w zwyczaju sąsiadujących od pokoleń rodzin. Kitta głowiła się, co się stało z Kadu i czy Rita odnajdzie drogę do Patri, skoro jej ciało nie trafiło do Asaranu. Tylko Gira zauważyła, że jej dwaj siostrzeńcy, Abdul i Ragir, odeszli do Patri i to według niej było wielką niesprawiedliwością. Żadne z trójki nie dopytało się o ostatnią wolę Fahida, choć powinni byli to uczynić. Wszak nie potrafili czytać papirusów.

Przed wyprawą do Patrix Fahid wahał się, czy najpierw nie powinien zajrzeć do Hambarra i sprawdzić, jak wiedzie się Sumi. Ostatecznie uznał, że tego nie uczyni. Nie zamierzał jej martwić. Była ciekawska, na pewno zapytałaby go, co u mamy, jak się mają najmłodszy bracia. Nie potrafiłyby skłamać. Jeszcze by się zorientowała, że stało się coś straszniejszego niż to, co on uczynił Kadu. Zadecydował, że wpadnie do niej po powrocie ze stolicy. Przejeżdżając przez Litrijis, postanowił odwiedzić śmierzącego człowieka bez ręki. Tylko jemu mógł zaufać – on mógłby go zrozumieć, a także wesprzeć dobrym słowem. Być może wyłącznie ten mądry człowiek umiał doradzić, jak przekonać Ae, by oddała mu dzieci. Tak sądził.

- Nie masz na co liczyć – odpowiedział śmierzący człowiek na infantylnie zadane pytanie. – Ta kobieta jest bezwzględna. Jeśli już podjęła decyzję, z pewnością jej nie zmieni na

prosbę zwykłego farmera.

- To ją zabiję! – wrzasnął Fahid.

- Oczywiście. Na pewno da się zabić. Czekaj, aż po nią przyjedziesz – odpowiedział ironicznie dziad.

- Znajdę sposób. Mam kuszę. Pomóż mi. Zabiła moją żonę, dwóch synów, odebrała mi resztę dzieci!

- Głupiec. Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ae nie jest zwykłą kapłanką jak Kadu. To wściekły pokun, tylko udający zwierzchniczkę Kościoła.

- Skąd to wiesz? Byłeś wśród nich, prawda? – Fahid zrobił zadowoloną minę, jakby odkrył największą tajemnicę.

- Tak. Byłem kapłanem, jednym z najważniejszych, członkiem Rady. Nazywam się Ghaideng Ru. Pewnie słyszałeś o moim bracie Wiszarem. Nikt nie mawiał o nim Ru, po prostu Wiszare. Razem zostaliśmy zwerbowani, kiedy mieliśmy niecałe jedno oczyszczenie. To on piastował przed Ae stanowisko Najwyższego Kapłana Wszechziemi. Zabiła go.

Fahid spojrział na śmierdzącego człowieka z niedowierzaniem.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale akurat tego jestem pewien. Razem z Wiszarem robiliśmy karierę w Kościele. Ja byłem tym bardziej niecierpliwym, skorym do wojaczki, do pojedynków, on oddawał się modlitwie, był tym mądrzejszym. Kiedy ja większość czasu spędzałem na treningach sztuk walki, on czytał stare księgi. Dlatego to właśnie jego wybrano najpierw na szefa szkoły, potem na Najwyższego Kapłana Wszechziemi. Wiszare, mój starszy brat, powołał mnie na członka Rady kilka dni przed śmiercią.

- Dlaczego uważasz, że ona go zabiła?

- Nie sama. Od kiedy się pojawiła na szczytach władzy, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Nie przypominam sobie, żeby wcześniej którykolwiek z kapłanów został zamordowany. Jeśli któryś się kłócił z drugim, a zdarzało się, że się pobili, nawet w pojedynkach nikt nikogo nie zabijał. Oczywiście nie mówię o tym, co się działo w przypadku krnąbrnych poddanych. Jeśli trzeba ich było uspokoić, to się niektórych paliło albo obdzierało ze skóry. Czasem odcinaliśmy im kończyne, zabieraliśmy dzieciaki czy wrzucaliśmy ich żywcem do Asaranu, związanych i zakneblowanych. Ale to nadal były wyjątki. Nigdy na taką skalę jak teraz. Kościół za czasów Ae stał się zepsuty do cna. Jestem przekonany, że to ona stała za każdym morderstwem w Patrix.

- Wierzę. Kapłanka wykorzystuje swoją moc do uśmiercania na odległość. Moja Rita najpierw została boleśnie okaleczona, potem – kiedy zaczęła zdrowieć – nagle umarła.

- Bzdura. To nie są czary, ale prawdopodobnie efekt uderzenia w głowę. Czasem tak bywa, choroba niby się cofa, a potem uderza ze zdwojoną siłą.

- U nas takie rzeczy się nie zdarzały. To spokojna okolica. Kiedyś w Litrijis jeden handlarz opowiadał, że im bliżej Patrix, tym ludzie są bardziej zastraszeni. Że wcześniej tak nie było.

- To prawda. Dawniej wystarczała wiara. Od kilku oczyszczeń Asaran zapęnia się coraz szybciej. Zaczęło się od pewnego kapłana, który wszedł w drogę Ae, kiedy była jeszcze uczennicą.

- Co się z nim stało?

- Znalaziono go przybitego gwoździami do słupa z rękami nad głową. Był nagi. Miał obcięte przyrodzenie. Wykrwawił się na śmierć.

- Za co?

- Ponoć jeszcze przed zatruciem, w szkole, wielokrotnie ją wykorzystywał. Oficjalnie nigdy się nie przyznała, ale Wiszare znał prawdę. Kiedy Ae zaczęła robić karierę, kapłani zaczęli znikać. Pojawiały się trupy bez głowy, oczu, dłoni czy języka.

Fahid był zniesmaczony i przerażony.

- To ona obcięła ci rękę? - zapytał.

Ghaideng Ru wstrzymał oddech.

- Nie - odpowiedział spokojnym głosem. - Kiedy Wiszare w dziwnych okolicznościach umarł na serce, wiedziałem, że będę kolejny. Sam ją odrąbałem i zacząłem udawać szaleńca. Kikut, który pozostał, zaczął ropieć i musiał zostać odcięty. Goiło się długo, ale tylko tak mogłem przeżyć. Udało się. Wydalili mnie z kapłaństwa, bo wstawił się za mną Ali Ude, jeden ze starszych.

- A ten smród z twojego domu? - Fahid zdawał sobie sprawę, że nic go już nie zdziwi, lecz koniecznie chciał wiedzieć.

- Praktyczny dowód mojego obłędu. Nikt mnie nie tyka. Mogę robić swoje. I robię. Chcesz się do nas przyłączyć?

Zenit przyszedł do Ae poprosić w imieniu Harisa o zgodę na audyencję. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi trochę się droczyła, ale ostatecznie wyraziła zgodę. Poprosiła o nieco czasu. Wykąpała się w mleku, które przyniosła służka, dała sobie nasmarować ciało pachnącym oleum i upiąć włosy w zmyslną fryzurę będącą połączeniem koka i warkocza. Włożyła srebrzystą suknię wyszywaną błękitną nicią. Wyglądała prawie jak Patri. Tak o sobie pomyślała.

Haris był oszołomiony jej widokiem. Przez dobrych kilka chwil wpatrywał się w nią, zapominając języka w gębie. Była zadowolona, że mu zaimponowała. Puszyła się. W końcu zaczęła się niecierpliwic.

- Po co chciałeś się ze mną spotkać? - zapytała kokieteryjnie.

Haris pokręcił głową w tę i z powrotem, jakby chciał się otrzeźwić, wrócić stamtąd, gdzie teraz był myślami.

- Wysłali mnie moi rodacy mieszkający w Vatili Soll. Martwią się, dlaczego w ten sposób potraktowałaś premiera.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Ae.

- Że kazałaś mu jechać bez obstawy. Wydałaś mu polecenie jak młokosowi.

- A jak sądzisz?

- Pewnie myślisz, że chciał cię oszukać. Niepotrzebnie. On ma dobre intencje, choć mało kto o tym wie. To dobry człowiek.

- Dobry? Szantażysta.

- Nie miał innego wyboru. Nie tak to wszystko zaplanował. Gdyby nie on, byłabyś zwykłą, zatrutą kapłanką na jakimś zadupiu.

- Nikt nie kazał mu podejmować takich decyzji.

- Prawda, niemniej uważam, że należy mu się szacunek. Jest głową państwa. Robił to dla swojego kraju, dla ratowania ludzi. Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje.

Najwyższa Kapłanka Wszechziemi zaczynała się nudzić tą rozmową. Nie chciała trwonić czasu na wysłuchiwanie listy zalet Clifforda. Na dzisiejszy wieczór miała zupełnie inne plany.

- Co mam teraz zrobić? Jest już za późno - powiedziała, lecz szybko ugryzła się w język.

– Jeszcze nie. Wyślij za nim jakiś mały oddział umyślnych. Tak na wszelki wypadek. Droga do granicy jest łatwa, ale wszystko mogło się wydarzyć. Clifford mógł się najzwyczajniej zagubić.

Ae zdała sobie sprawę, że Haris prawdopodobnie inaczej zinterpretował jej ostatnie zdanie. Potrzymała go w niepewności, żeby dobrze ubrać w słowa swą decyzję.

– Mogę to zrobić – powiedziała po chwili. – Masz rację. Szantażysta czy nie, bardziej się przyda jako żywy dłużnik niż martwy, nic nieznaczący sąsiad.

Harisa ucieszyła jej decyzja. Podeszedł w kierunku stolika, na którym stał rzeźbiony antałek z tinghao i ku zaskoczeniu gospodyni zapełnił trunkiem dwa miedziane kielichy. Jeden podał kapłance, drugi chwycił w dłoń i wznosił toast.

– Za powodzenie jego misji.

– Obyś tego nie żałował. – Uśmiechnęła się i wychyliła duszkiem zawartość.

Haris puścił do niej oko i wypił tinghao, krztusząc się dwukrotnie.

Kifor podsłuchiwał za drzwiami, lecz kiedy zdał sobie sprawę, co się wyrabia w komnacie Najwyższej Kapłanki Wszechziemi, poprosił na pomoc Zenita.

– Są kompletnie pijani – wyszeptał do szefa straży.

– I co z tego. Zdarzało się, że piła z gośćmi z zagranicy – odpowiedział Zenit.

– Wiem, ale czy to się godzi, żeby z którymś dzieliła łożę?

– Co? – zdziwił się Zenit.

– Sam posłuchaj.

Zenit przyłożył ucho bliżej drzwi. Wyraźnie dało się rozpoznać głos Harisa, który raczył kapłankę jakimś niewybrednym żartem, a ona reagowała rozpustnym śmiechem. Nie brzmiało to dobrze. Zenit spojrział na Kifora i wskazał miejsce, z którego będą mogli coś zobaczyć. Udali się kilka łokci w głąb korytarza. Znajdowała się tam mała dziurka pomiędzy deskami, którymi obito od wewnątrz ściany. Była zatkana kawałkiem drzewa moherowego. Zenit wyjął go powoli i bezszelestnie. Zajrzał przez dziurkę, lecz zrobił minę, jakby nic nie było widać. Wnętrze komnaty Ae nie było doświetlone pochodnią. Kiedy oczy Zenita przyzwyczaiły się do panującego tam półmroku, zauważył, że jedynym źródłem światła, dość ciepłego, była kuta, metalowa świecznica z ośmioma kagankami wypełnionymi oleum z sirry. Tylko na trzech knotach tliły się smukłe płomienie, reszta była wypalona. Poza świecznicą Zenit dostrzegł tylko dzban sundryjski, którego cień padał na małą, drewnianą figurkę Patri. Niczego więcej nie można było dostrzec. Z okiem wciśniętym prawie do środka dziurki pokręcił trochę głową najpierw w lewo, potem w prawo. I wreszcie ujrzał leżące w purpurowej pościeli dwa nagie tyłki: kościsty męski i kobiecy w kształcie serca.

– Wszyscy na tym zyskaliśmy, kiedy Jusif wybrał akurat ciebie – zażartował Haris, lustrując nagie ciało Ae lubieżnym wzrokiem.

– To on mnie wybrał? – zdziwiła się.

– Dostał zadanie odnalezienia osoby, która się wyróżnia i jest mądra.

– Albo Jusif był cwany, albo ty teraz zawodowo kłamiesz, Harisie – powiedziała z kokieterią w głosie i na końcu okrasiała swą wypowiedź szyderczym uśmiechem.

- Wiedziałem, że nie byłeś zatruta, ale nie sądziłem, że jesteś zdolna uprawiać miłość z powodu wiary, która ci na to nie zezwala.
- A widzisz tu kogoś, z kim mogłabym to do tej pory robić? Ha, ha!
- No fakt. Ha, ha! Same parszywe mordy, łysole. Pewnie żadnemu nie staje. A Jusif? Nie ciągnęło cię?
- On był profesjonalistą – powiedziała z rozrzewnieniem.
- Haris zamyślił się. Ae głaskała go czule po włosach, jakby ten gest był wspomnieniem kogoś bliskiego.
- Ale to jest marnotrawstwo – powiedział. – W Inco jest tak wiele kobiet, które nigdy w życiu nie będą uprawiać seksu. U was jest tylu kapłanów, którzy wiodą życie w celibacie. Gdyby tylko poznali uroki cielesnej uciechy, nie zdecydowaliby się na zatrucie, ha, ha!
- A tu się mylisz – zareagowała. – Kapłani znają to uczucie.
- Naprawdę? Jak to możliwe? Kiedy? Przecież są werbowani za dzieciaka.
- I co z tego. Szkoła trwa całe jedno oczyszczenie. W tym czasie wszyscy powolutku dojrzewają.
- No tak. I co, mogą ten teges? – pokazał lubieżny gest. – Nikt ich nie pilnuje?
- Pokręciła głową.
- To dlatego jesteś doświadczona w tych sprawach – powiedział z ekscytacją, jakby odkrył jej tajemnicę.
- Taki odwieczny zwyczaj. Uczniowie szkoły, dopóki nie są jeszcze kapłanami, mogą do momentu zatrucia czynić w tym względzie, co im się żywnie podoba. Mają się wyszumieć na resztę życia. Kto z kim i jak chce. Pojedynczo lub zbiorowo. Chłopcy z dziewczętami, dziewczęta z dziewczętami, a nawet chłopcy pomiędzy sobą.
- Ludzie myślą, że jesteście tacy porządni, współczują wam. A tu taka rozpusta. Ha, ha!
- Ae posmutniała.
- Niestety są też ciemne strony tego zwyczaju – powiedziała.
- Pewnie co któraś staje się brzemienna?
- Rzadko. Chodzi mi o tak zwane poświęcanie. Starsi wykorzystują młodszych. I nie chodzi mi tylko o zmuszanie do pracy. Czasem dzieci nawet w wieku jednego oczyszczenia są zapraszane do łoża przez silniejszych. Nie ma znaczenia, czy jesteś chłopcem, czy dziewczynką. Jeśli zechce cię ktoś starszy rocznikiem, musisz się oddać. Nikt cię nie obroni. Takie jest niepisane prawo. – Ae, kończąc ostatnie zdanie, zamyśliła się. Widać było, że nie były to dobre wspomnienia.
- Haris gwałtownie wstał. Spojrzał na nią z wyrzutem. Ubrał się w pośpiechu, jakby wstydził się za te wszystkie złe uczynki, o których mu opowiadała, lub jakby za chwilę sam miał być zgwałcony.
- Bo Patri tak chce?! Kurwa, co za tchórzostwo! – krzyczał.
- Po pierwsze, nie używaj słów, których nie znam.
- Których?!
- „Kurwa”. Dobrze to wymawiam? Co to znaczy? – zdziwiła się.
- No tak, u was kobiety się nie sprzedają za marne kilka szarych kamieni! Jesteście takim idealnym społeczeństwem. Za to tolerujecie, że dorośli gwałcą dzieci! A po drugie?! – krzyczał coraz głośniejsze.
- Nie za dużo sobie pozwalasz?

– Jeśli uważasz, że to jest złe, zrób z tym porządek. Jesteś, do cholery, Najwyższą Kapłanką Wszechziemi czy nie? – wykrzyczał, gestykując.

Ae zarzuciła suknię, włożyła sandały i zaczęła nasłuchiwać, wietrząc natychmiastowy ratunek straży. To było dziwne, ale nikt nie pojawił się, żeby stanąć w jej obronie, chociaż na pewno ktoś usłyszał wrzaski jej gościa. Za to po chwili zaraz za ścianą dało się słyszeć kilka skrzygnięć. Ae zaczęła poprawiać włosy. Tymczasem Haris zrobił kilka chwiejnych kroków, nadal będąc wzburzony i pijany. Nagle zaczął wywracać oczami i słać się na nogach. Upadł i zaczął wymiotować. Widać było, że jego organizm nie zdążył się przyzwyczać do prawdziwego pożywienia. A po tym, co z siebie wydalil, można było się domyślić, że wcześniej zjadł kilka floriańskich zakąsek. Spojrzała na niego z odrazą i zawołała Zenita. Pojawił się natychmiast. Pomyślała, że stał za drzwiami i najprawdopodobniej podsłuchiwał, lecz nie zamierzała dawać mu satysfakcji. Kazała posprzątać wszystko, łącznie z gościem, który się rozchorował. Nakazała, by go solidnie ukarano. Nawet nie zamierzała się tłumaczyć.

Zenit wykonał polecenie Ae z najwyższą starannością. Haris, ciągle pod mocnym wpływem tinghao, został zamknięty w grocie z kraciastą komnatą, ale tym razem nikt go nie torturował tak lekko jak wtedy, kiedy tam był za pierwszym razem. Został gęsto przywiązany sznurem raidi do krat wykonanych z kręgosłupów sahadi. Ich ostre końce poszczególnych kręgów wbijały się w jego plecy, kalecząc skórę do krwi. Lecz nie to było najdotkliwszą karą, jakiej doznał. Tym razem zamiast chłosty i tłuczenia drewnianym kijem kapłan czyniący honory kata maltretował go w zupełnie inny sposób. Karmiono go siłą. Zwykle jedzenie stało się dla Harisa najbardziej uciążliwą torturą. Po każdym kęsie krztusił się i co jakiś czas wymiotował, a kat jedną ręką otwierał mu usta, a drugą upaakaną jedzeniem wpychał wprost do gardła kolejne porcje różnorodnego jadła. Począwszy od placków przez owoce po kawałki mięsa, a co jakiś czas przed zakneblowaniem na siłę jego ust kapłan wkładał w nie grudkę czarnego smalcu. Takiej kary za uczynienie Ae współsprawcą potwornego procederu Haris się nie spodziewał. Raz spróbował ugryźć oprawcę, ale to skończyło się dotkliwą przestrogą, by więcej tego nie czynił. Kat w rewanżu wbił mu w ucho ostrą szpilę. Podziałało.

Tym razem Haris poddał się bez walki. Był podpity, skacowany, chciało mu się wymiotować, a wewnątrz jego układu pokarmowego pustoszyła zawiesina, stanowiąca mieszankę resztek jedzenia z kwasem żołądkowym i enzymami służącymi do trawienia batonów.

– Bła-gam cię, czło-wie-ku. Ja u-mie-ram.

Haris nie był w stanie wypowiedzieć żadnego słowa płynnie. Cedził sylabami, kiedy kat robił akurat przerwę i przygotowywał kolejną porcję jedzenia.

Ukryci w głębi groty Kifor i Zenit obserwowali tortury, schowani pod osłoną cienia. Od samego patrzenia ich też ciągnęło na wymioty.

– Wystarczy! – krzyknął Zenit. – Oszczędzimy cię, ale pod warunkiem, że wyjawisz nam całą prawdę.

Haris kiwnął głową na znak, że rozumie i się zgadza.

– Jeśli twoje informacje nas zainteresują, będziesz mógł mówić dalej, aż powiesz wszystko, co wiesz. Jeśli uznamy, że kłamiesz lub odwlekasz wyrok, kat wznowi swoją pracę. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedział Haris po wypluciu zawartości z buzi.

– Dlaczego kapłanka mogła z tobą dzielić łóżce? Jak to jest możliwe?

Haris zrobił grymas zaskoczenia. Zamyślił się.

– Czy ona wie, o co mnie pytacie? – zdziwił się, jakby był przekonany, że tortura odbywa się z polecenia najważniejszej osoby w państwie.

– Mów! – krzyknął Zenit.

Kat tylko zbliżył do jego ust brudną od jedzenia dłoń, a Haris od razu zareagował odruchem wymiotnym.

– Bo nie jest zatruta – powiedział przez prawie zamknięte usta, odwrócił głowę na tyle, na ile mógł, i wziął głęboki oddech.

Zenit i Kifor wymienili się spojrzeniami.

– Dalej. Miałeś mówić cały czas! – wrzasnął kat i wskazał brudną od jedzenia ręką stół z jadłem wyglądający jak chlew.

– Powiem wszystko, ale nie chcę więcej jeść. – Haris zrobił kilka kolejnych, głębokich oddechów. – Nasz Rząd pomógł jej się dostać na szczyt. Dysponowała naszym szpiegiem, sabotażystą. Dla niej pracował i mordował na zlecenie.

– Xami? – zapytał Kifor.

– Nie, Jusif.

– Jusif, ten wstrętny kupczyk – zareagował Zenit. – Mów dalej!

– To on spowodował, że najpierw Najwyższym Kapłanem Wszechziemi wybrano Wiszarego. Potem zabił jego i kilku ważniejszych kapłanów. Niektórych przekupił, żeby zagłosowali na Ae, kiedy były wybory. Wcześniej fałszował dokumenty, podpisywał się między innymi za Shamanui Ke. Podpisał na przykład zgodę, by nie musiała zarządzać rewirem jako kapłan średniego szczebla i od razu po krótkiej służbie wojskowej stała się członkiem Rady.

– To Jusif nie pracował dla Ae? – zdziwił się Zenit. – Chciała, bym go odnalazł – powiedział szeptem do Kifora.

– Też, ale tak naprawdę pracował dla Clifforda.

– Przecież to ona zlecała morderstwa, tak? – zapytał Kifor.

– A Xami? Kim jest Xami? – wtrącił Zenit.

– To mało znaczący dupek, pomocnik Jusifa. On pewnie uciekł do Inco.

– Wiesz, że posługiwał się twoim nazwiskiem?

– Wcale mnie nie dziwi, że posunął się do starych metod. Gdyby samodzielnie wymyślił jakieś kreatywne rozwiązanie, to by mi zaimponował – powiedział Haris.

– Dlaczego według ciebie Ae przekazała mu listę osób do likwidacji? – zapytał Kifor.

Haris wytrzeźwiał w mig. Skupił się na ostatnim pytaniu i powtórzył je, mrużąc oczy.

– Przekazała listę osób do likwidacji? Do likwidacji? Likwidacji? Czyli zabicia? Zabicia? Kogo? – Powoli zadawał sobie kolejne pytania na głos, co wyglądało jak walka z własnym obłędem.

– Wszystkich z Inco. Pana premiera, jego rodziny i innych, którzy się u nas ukrywają – powiedział Kifor.

Zenit spojrzął z niepokojem na Kifora. Ten kiwnął głową na znak, że nie żartował.

– Nie wierzę. Po co miałyby ich zabijać? Przecież tak wiele im zawdzięcza – biadolił Haris.

– Ty też jesteś na tej liście – przerwał mu spokojnym głosem zastępca Najwyższej Kapłanki Wszechziemi.

Kifor zdawał sobie sprawę, że więcej nie wyciągnie z Harisa. Nie mógł go też wykorzystać jako świadka, gdyby poprosiła o to Rada, bo ten szczupły drań już raz podpadł starszyźnie, strącając wóz do Asaranu. Ważny kapłan potrzebował więcej dowodów zbrodniczej działalności Ae. Czuł, że to jest ten moment, w którym pojawiła się szansa na odsunięcie jej od władzy. Za dużo się zmieniło od czasu, kiedy została Najwyższą Kapłanką Wszechziemi. Postanowił udać się do Vatili Soll. Miał dwa powody. Po pierwsze chciał ostrzec mieszkańców przed Xami. Po drugie potrzebował powołać na świadka kogoś z oficjeli Inco. Nie musiał pytać Ae o zgodę na wycieczkę do Vatili Soll. Był jej zastępcą i szanowanym Członkiem Rady. Na wszelki wypadek wziął jednak siriusa i zawiesił go na plecach.

Kiedy dojechał na miejsce, zobaczył kordon strażników pilnujących osady. Ucieszył go ten widok. Pomyślał, że skoro pilnują jej najdzielniejsi wojowie, żaden gryzoń się nie prześliznie.

– Przepuście mnie. Jadę z poselstwem od Ae.

– Witaj, Kiforze – odezwał się jeden ze strażników.

– Pani nakazała mi sprawdzić, jak przebiegają postępy w nauce.

– Nasi kapłani od techniki mieszkają w tamtej jurcie. – Strażnik wskazał ręką odległe miejsce. – Co słychać w Patrix? Dawno nie byliśmy w domu.

– Wszystko po staremu – odpowiedział Kifor i udał się we wskazanym kierunku.

Im bardziej się zbliżał do celu, tym silniej wzrastał jego niepokój. Wszak osada powinna była tętnić życiem. „Gdzie są wszyscy? Pochowali się po domach? A może coś knują?” – zastanawiał się. Na wszelki wypadek wyjął z pochwy siriusa i mocno ścisnął jego rękojęść w prawej dłoni. Kiedy dochodził do jednego z domów, na schodach ujrzał krwawe ślady. Zapukał mieczem w drzwi. Jego ręce drżały, a oddech przyspieszył. Dawno z nikim nie walczył, nie miał też ochoty zginąć na ostatniej prostej, tuż przed ukaraniem Ae. Ciekawość jednak popychała go do kolejnych kroków. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Wnętrze nie przypominało typowego domostwa z Floris. Wszędzie pełno było wszelakich urządzeń technologicznych pochodzenia zagranicznego. Po chwili wszedł do sypialnej komnaty. Jego oczom ukazał się przerażający widok. Na wielkim łożu, na lekko zaschniętej plamie z krwi, leżały zmasakrowane zwłoki Rubby'ego, jego żony i syna. Cała trójka miała poderżnięte gardła, wyłupane oczy oraz ponacinaną w paski skórę. To wyglądało, jakby ktoś bawił się zwłokami jeszcze długo po zadaniu śmierci. Kifor przez chwilę nie mógł złapać tchu. Był przerażony widokiem. Wybiegł na zewnątrz.

– Jak pilnowaliście osady, gamonie?! – wydarł się na całe gardło w stylu, który był zarezerwowany dla Ae.

Wracając w kierunku Patrix, Kifor minął kilkudziesięcioosobową grupę mężczyzn idących z tobołkami. Na początku nie zwrócił na nich uwagi, jakby ten widok nie był mu obcy. Przeciwnie. To nie było normalne we Floris, żeby młodzi ludzie wędrowali tak licznymi zastępami. Kifor był najzwyczajniej w świecie kompletnie zamyślony. Cały czas miał przed oczami widok zakrwawionych zwłok, nie tylko rodziny Rubby'ego, ale też innych oficjeli. Kiedy w asyście niedowierzających w to, co zobaczyli, strażników odkrywał kolejne ciała brutalnie zamordowanych osób z Vatili Soll, jego wiara w człowieczeństwo legła w gruzach. „Czyżby to była sprawka Xamiego? Czy mord był na zlecenie Ae? Dlaczego tych wszystkich nieszczęśników po prostu nie zabito? Po co wyłupywano im oczy, podryzano brzuchy, krojono ich skórę

w paski? Kto mógł dokonać tak niegodziwego uczynku i dlaczego wśród zabitych nie było Clifforda oraz jego rodziny? Czyżby udało im się zbiec?” – rozważał, mnożąc pytania.

Kiedy jednak Kifor minął trzecią grupę wędrujących, młodych mężczyzn, zastanowił się, czy jest coś, o czym powinien wiedzieć. Zawrócił okurai, którym pędził w stronę Patrix.

– Kim jesteście i dlaczego idziecie w tym kierunku? – zapytał.

– A kim jesteś, że nas pytasz? – Mężczyzna w wieku dwóch oczyszczeń odpowiedział pytaniem, które nie było bezzasadne. Kifor do jazdy wierzchem przywdziewał wygodny strój, nieprzypominający szaty kapłańskiej.

– Nazywam się Kifor. Jestem Członkiem Najwyższej Rady.

– Nie musimy ci odpowiadać. Już nie masz nad nami władzy, ha, ha, jasny panie!

Reszta grupy zareagowała gromkim śmiechem. Kifor pomyślał, że postraszenie siriusem tej wiejskiej hołoty na nic się zda. Mężczyzn było zbyt wielu. Nic by nie wskórał, a mógłby przy okazji nieźle oberwać. To byli młodzi farmerzy o muskularnych ramionach i debilnym wyrazie twarzy. Pognał zatem wzwyż, choć nie był zadowolony z tego, jak został potraktowany przez zwykłych wieśniaków.

Kiedy Ae dowiedziała się, że Kifor zwołał Radę, zareagowała wściekłością.

– Kto mu zezwolił? – zapytała podniesionym tonem Zenita, gdy odprowadzała ją w kierunku Złotej Świątyni.

– Każdy członek Rady może to uczynić zgodnie z obowiązującym kanonem.

– Ty mnie nie ucz, Zenicie. Już raz mi pokazałeś, gdzie jest moje miejsce. Wiesz, że nigdy ci tego nie wybaczę. Po spotkaniu Rady zgłoś się do mnie po swoją dymisję.

Zenit uklonił się jak zwykle nisko, z tą tylko różnicą, że tym razem w jego oczach nie widać było zwyczajowo wiernopoddańczego spojrzenia.

Członkowie Rady czekali w świątyni, z niepokojem zastanawiając się, co się wydarzy. Po chwili weszła Ae. Zenit, który ją przyprowadził, zamknął za nią drzwi od zewnętrznej strony, gdyż zgodnie ze zwyczajem nie mógł przebywać w tym świętym miejscu podczas obrad.

– Co się stało, Kiforze, że zwołałeś Radę? – zapytała, ukrywając niezadowolenie.

– Wybacz, Ae, uznałem sprawę na poważną. W zasadzie dwie – odpowiedział lekko trzęsącym się głosem Kifor.

– Nie trzymaj nas zatem w niepewności – zadrwiła, uśmiechając się grymaśnie w kierunku Ali Udego.

Kifor wahał się przez chwilę. Widać było, że nie potrafi zacząć. Długo dobierał właściwe słowa. W końcu, jękając się, wy dobył zdanie.

– Nasza państwowość, którą szcycimy się od wielu pokoleń, jest w ruinie.

– Co ty mówisz? – oburzyła się Ae. – Przestań gadać brednie.

– Najwyższa Kapłanko, dajmy szansę Kiforowi, by wyjaśnił, co mu chodzi po głowie – zaproponował Ali Ude.

– Ae opowiadała, że w sąsiednim Inco dzieje się bardzo źle – kontynuował mniej nerwowo brzmiącym głosem Kifor. – Nie rodzą się chłopcy, zmienił się ich Rząd. Do władzy doszła grupa kobiet, która za nic ma nasze zwyczaje i naszą godność.

Kapłanka tylko kręciła krytycznie głową. Na jej twarzy malował się obraz pogardy, jaką darzyła rewelacje Kifora.

- Jeszcze kilka dni temu, gdyby ktoś mi powiedział, że Floriańczycy mogą uznać wyższość Inco, nie uwierzyłbym w ani jedno słowo. Widziałem jednak na własne oczy ogromne zastępy młodych mężczyzn, którzy postanowili opuścić nasz kraj zachęceni życiem w niby-luksusie za granicą.

- Co za brednie? Kiedy ich widziałeś? - zapytała nerwowym głosem Ae.

Wyglądała, jakby stała się jednym kłębkim nerwów. Już nie ukrywała złości. W jej oczach pojawił się obłęd, który zauważyli członkowie Rady.

- Wtedy, kiedy dzieliłaś łóżce z tym szpiegiem Harisem, ja byłem sprawdzić, co się dzieje w Vatili Soll - wyrzucił jednym tchem całe zdanie, jakby się bał, że Ae mu przerwie.

W Złotej Świątyni pojawiły się szepty. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi wstała i powoli podesała do Kifora. Spojrzała na niego z wyższością, pogardliwie.

- Zenit! Zenit! Straże! - krzyczała, lecz nikt się nie pojawił.

- Usiądź, pani. Rada powinna dowiedzieć się całej prawdy - powiedział spokojnym głosem Kifor.

Ae bez słowa wróciła na swoje miejsce. Nie wyglądała na przerażoną. Puszyła się. Własne ego i niewyobrażalna duma kazały jej nie okazywać strachu. Uspokoila oddech, podniosła głowę i zaczęła przyglądać się twarzom Członków Rady, jakby liczyła poszczególnych zdrajców.

- Ae nigdy nie została zatruta - powiedział Kifor.

Kapłani zamarli. Z kamiennymi twarzami wodzili tylko po sobie wzrokiem, jakby szukali odpowiedzi. Wyglądali na zaskoczonych, jakby wiadomość, którą właśnie usłyszeli, była dla nich niewyobrażalna.

- Nie widzicie, jak ona wygląda? - kontynuował Kifor. - Nie jak my. Jest na usługach Inco, co prawda poprzedniego Rządu Clifforda, ale to ona stoi za zabójstwem Wiszarego i wielu innych ludzi. Floris rządzi kuglarka!

Kapłani z Rady zerkali na Ae z niedowierzaniem, niektórzy zawstydzonymi oczami, jakby karcili się za brak jednoznacznej oceny.

- Wnioskuje o jej natychmiastowe odwołanie. Nie powinna być członkiem Rady - zaproponował Kifor.

- Kanon nie zezwala na odwołanie. Najwyżej na zawieszenie do czasu wyjaśnienia sprawy. Na taką okoliczność jest nawet specjalna procedura.

- Tu nie ma czego wyjaśniać. Przez nią nasz kraj jest pogrążony w ruinie, a Inco panoszy się jak u siebie. Odbierają nam godność.

- Czy to prawda, pani? - zapytał Rados.

Ae spojrzała w jego kierunku. Nie była pewna, czy to gest wyciągnięcia ręki, czy próba dobicia. Z pewnością nie brzmiało to jak błazenada, którą ją zwyczajowo raczył. Tego kapłana nigdy nie lubiła, bo gadał głupoty. Czasem miała wrażenie, że celowo się podkładał. Tym razem zapytał dość wiarygodnie. Spojrzała w kierunku jednej z płonących pochodni. Zatrzymała na niej wzrok, wzięła głęboki wdech.

- Jeśli byłam, jak twierdzi Kifor, na zawołanie Rządu Inco, dlaczego jego członkowie wraz z rodzinami ukryci w Vatili Soll nie mogą już uczynić nam żadnej krzywdy?

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Kifora.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - odpowiedział. Był zaskoczony pytaniem. - Faktycznie, nie żyją, nie wiem dlaczego, ale jestem pewny, że to ty, pani, kazałaś ich zabić!

- Niczego nie rozumiem - zdziwił się Rados. - Dlaczego sądzisz, Kiforze, że Ae była na usługach Rządu Inco, skoro później kazała pozbawić jego członków życia? - Rados odwrócił się

do siedzącego obok kapłana. – Już na samą myśl o morderstwie mam ciarki – wyszeptał do niego.

– Mamy świadków! Zenit, szef straży, usłyszał to samo co ja!

– Nie krzycz, nie godzi się – uspokajał Ali Ude.

– Od kogo usłyszał? Od Harisa? – ożywiła się Ae. – Proszę cię, to łgarz, najsprytniejszy ze wszystkich. Dlatego to ja jestem Najwyższą Kapłanką Wszechziemi, a nie ty, Kiforze. Wróć do zabaw dziecięcych – ironizowała.

– Nie godzi się sztydzić z Członka Rady – powiedział z troską Ali Ude.

– Nie godzi się podważać słów Najwyższej Kapłanki Wszechziemi! – odpowiedziała, prawie krzycząc.

– Wybacz, pani. Powiedz nam tylko, czy jesteś zatruta, czy nie? – zapytał Ali Ude. – Jeśli nie, oznacza to, że nie jesteś nawet zwykłym kapłanem niskiego szczebla, tylko dalej uczniem.

Kapłani zamarli. Te słowa zabrzmiały jak wiszący nad ich Kościołem topór, prawie jak wyrok śmierci. Gdyby okazały się prawdą, jego fundamenty ległyby w gruzach.

– Wszyscy byliście świadkiem mojego zatrucia. Nie kaźcie mi się tłumaczyć, dlaczego szpila oszczędziła moje ciało.

– Jesteś czy nie?

Ae wstrzymała oddech.

– Tak – odpowiedziała pewnym głosem.

Członkowie Rady odetchnęli z ulgą. Widać było na ich twarzach umiarkowane zadowolenie. Jaką musieliby podjąć decyzję, gdyby się okazało, że Najwyższa Kapłanka Wszechziemi, która od dwóch oczyszczeń zarządza całym krajem, zdrwiła z ich wiary, nie uzyskawszy nawet święceń kapłańskich, i jest zwykłą oszustką. Jak zareagowaliby Florianczycy, gdyby się dowiedzieli, że ich ukochana władczyni nie jest świętą?

– To kłamstwo! – krzyknął Kifor.

– Nie będziemy teraz dochodzić prawdopodobności żadnego z was – zwrócił się Ali Ude w kierunku Ae i Kifora.

– Jesteś słabej wiary. Zawiodłam się na tobie – powiedziała spokojnym głosem, zerkając spode łba w stronę jednego z najstarszych kapłanów.

Najwyższa Kapłanka Wszechziemi sięgnęła dłonią za prawe ucho i odpięła schowaną za nim spinkę. Potem podobnie uczyniła z drugim uchem. Zamknęła oczy i pociągnęła za pukiel, od czoła w dół twarzy. Włosy zaczęły się zsuwać, zasłaniając twarz kapłanki i odkrywając skórę na czubku głowy. Okazały się peruką. Po chwili Ae kojarzona z piękną, brązowowłosą fryzurą odkryła resztę ogolonej głowy. Odłożyła perukę na bok i pogładziła się dłonią po łysinie, jakby dopiero co wykonany gest ją poślaskotał i swędziła ją skóra. Otworzyła oczy i spojrzała na zdzwione gęby kapłanów, którzy nigdy nie widzieli swojej władczyni bez włosów. Ba, nie wiedzieli, że można sobie doprawiać sztuczną fryzurę, ani tym bardziej, co to jest peruka. Ae napawała się ich zaskoczeniem. Tylko Kifor wyglądał, jakby nie zauważył niczego nieoczekiwanego, nadal sapał z wściekłości.

– Proszę wystać kilka oddziałów wojsk w kierunku granicy. Same kobiety. Żadnemu mężczyźnie nie wolno więcej opuścić Floris. Ogłaszam pełną mobilizację całej armii – zdecydowała i wyszła z podniesioną głową, trzymając perukę w dłoni.

Ghaideng Ru poprosił Fahida o przysięgę poufności. Tylko w ten sposób mógł zapewnić sobie i innym z bractwa, że niedawno poznany człowiek nie wyda ich przed kapłanami. Przysięga miała na celu aspekt psychologiczny. Ludzie we Floris niechętnie łamali dane słowo. Poza tym ten człowiek nie wyglądał na kłamcę. Udali się – a raczej Ghaideng Ru pokużyła, a Fahid za nim – na tajne zebranie bractwa nad brzeg rzeki Ethne. Kiedy dotarli na miejsce, kilka nieufnych spojrzeń powędrowało w kierunku obco wyglądającego farmera. Zgromadzeni palili nocne ognisko.

– Nie obawiajcie się, bracia – powiedział śmierzdzący człowiek, chwycił kawał drewna i dorzucił do ognia. – Uczyń tak samo – zwrócił się do swojego kompana.

Fahid złapał większą kłodę i wrzucił na sam środek ogniska.

– To symbol naszej jedności – powiedział czarnowłosy człowiek w wieku pięciu oczyszczeń.

– Mam na imię Fahid. Kim jesteście?

– Nazywam się Sande. Ja i mój brat Karini jesteśmy rybakami. Muott jest cieślą. Jimii pasterzem nimo. Ghaidenga Ru już znasz.

– Mnie też – odpowiedział straganiarz, od którego Fahid kiedyś kupił kuszę. Pojawił się praktycznie znikąd. – Mam na imię Kaaratu.

– Pomożecie mi zabić Ae? – zapytał bez troski Fahid.

Członkowie bractwa tylko się uśmiechnęli.

– Hardy – ocenił Kaaratu. – Przyda nam się.

– Nasze bractwo nie morduje, jeśli nie musi – skwitował Ghaideng Ru. – Jesteśmy tajną grupą, częścią większej siatki rozsianej po Floris.

– Jest was więcej? – zdziwił się Fahid.

– Tak. Wielu ludziom nie podoba się to, co wyprawia się w naszym kraju. Za wszystkim stoi obłudna jęzda, kapłanka Ae – powiedział Muott.

– Czy jesteście wierzący? – zapytał Fahid, powodując konsternację.

– Co to za pytanie? – oburzył się Karini. – Wszyscy wierzymy w boginię Patri, moc góry Saandreal i Diamentowe Sanktuarium. Chcemy tylko, by ten szalony pokun w kobiecym ciele przepadł na zawsze.

– Rozumiem wątpliwości naszego nowego brata. Wszyscy utraciliśmy wiarę w Kościół w takim kształcie, w jakim jest obecnie – powiedział Ghaideng Ru i gestem dał znak Fahidowi, by się nie rozpędzał z trudnymi pytaniami.

Do końca zebrania farmer nie odezwał się ani słowem, tylko słuchał. Dowiedział się o planie wywołania rewolty oraz o tym, że w północnej ćwiartce – uchodzącej od dawna za mniej zdyscyplinowaną i bardziej krnąbrną – kilku kapłanów po cichu wstąpiło w szeregi bractwa. Przypomniał sobie opowieści ojca o dzikusach mieszkających w tamtych rejonach. Znów pomyślał, że jego wiedza na temat świata jest wyjątkowo skąpa. Kiedy wracali nocą, wreszcie bez towarzystwa, Fahid wrócił z pytaniem do Ghaidenga Ru.

– Czy ty wierzysz?

Śmierzdzący człowiek bez ręki uśmiechnął się delikatnie i przez chwilę zastanowił nad odpowiedzią.

– Zależy, o co pytasz. Wierzę w Patri, ale nie we wszystko, co głosi Kościół, jeśli o to ci chodzi. Ale lepiej się z tym poglądem nie obnosić. Ludzie, którzy przez całe życie ufali, że istnieje jakaś siła sprawcza, nie są w stanie sobie wyobrazić innej możliwości. Na przykład, że być może nad nami nikt nie czuwa – powiedział spokojnym głosem Ghaideng Ru.

– Co zamierzasz? – zapytał Fahid.

- Przecież wiesz. Chcę przywrócić stary porządek z czasów, zanim pojawiła się Ae.
- Nie rozumiem. Dlaczego niczego nie robisz, by ludzie dowiedzieli się prawdy?
- Nie ma prawdy obiektywnej. Jedyne, co wiadomo, to fakt, że kiedyś wszyscy umrzemy. Dopóki nie dowiemy się, co jest przyczyną naszej obecności w tym miejscu, nie warto zabijać w ludziach ich wiary. Niech każdy sobie sam odpowie na nurtujące go pytania.
- A jeśli nie jest na tyle mądry, żeby sobie wyobrazić, że w ogóle istnieje inna możliwość?
- Masz rację, Fahidzie. Ale sami niczego nie zdołaliśmy. Takich jak ty i ja jest dopiero garstka. Zmiana wymaga nakładu pracy i upływu czasu. Pewnie wielu pokoleń. Cała nadzieja w młodych.

Fahid zamyslił się. W myślach zobaczył swoje dzieci. Najpierw cierpiące w samotności z dala od rodziny, potem jako dorosłych kapłanów zmuszanych do głoszenia zabobonów. Posmutniał.

- Jutro ruszam dalej – oznajmił Fahid. – Dziękuję ci za twą gościnę i dobroć, ale nie mogę usiedzieć...

- Zrobisz, jak uważasz. Rozważ tylko, proszę, co będzie lepsze dla twoich dzieci.
- Wolę zginąć, niż oddać je tym zakłamanym bandytom!
- Nie krzycz. – Ghaideng Ru rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy ktoś usłyszał jego towarzysza. – Jeśli zginiesz, a to jest więcej niż pewne, kto je obroni?
- Mam czekać na bractwo? Jak długo debatujecie zamiast działać?
- Niczego nie rozumiesz. A zresztą idź. Daj się zabić, a najlepiej od razu wskocz do Asaranu.

Fahid posmutniał. Widać było, że bije się z własnymi myślami.

Życie dziewczyny uczącej się na pieśniarkę nie było ani łatwe, ani przyjemne. Mimo to Sumi czuła się szczęśliwa. Manius Drey, najwybitniejszy nauczyciel śpiewu, oprócz opierunku dał jej także pracę. Żeby mogła zacząć obowiązki wcześniej rano, zamieszkała nie jak inni uczniowie w bursie, lecz w przybudówce, małym domku z drewna udostępnionym tylko dla niej. Żaden z uczniów nie miał prawa oskarżyć szkoły o brak dbałości o struny głosowe, dlatego Manius przywiązywał do porządku wielką wagę. Sumi wstawiała wcześniej niż domownicy, krótko się modliła i od razu zabierała do zmiatania podwórka szkoły. Potem myła podłogi w sieni i poszczególnych salkach do ćwiczeń. Mimo że te same czynności wykonywała na koniec każdego dnia, należało się liczyć, że rano znów będzie miała co robić. Tak faktycznie było dzięki ciągiemu wietrzykowi nazywanemu figlarzem. Towarzyszył ludziom żyjącym w Hambarra od wielu pokoleń, nanosząc kolejne pokłady pyłu.

Manius Drey posiadał idealny słuch, dlatego tylko u niego lekcje wyglądały inaczej niż u innych nauczycieli. W każdej z salek do ćwiczeń przebywał jeden uczeń, czasem po dwóch. On każdego słuchał, dawał wskazówki lub zlecał wykonanie ćwiczenia. Potem tak samo czynił z kolejnym uczniem przebywającym w następnym pomieszczeniu. Odbywał krótką konsultację, lecz kątem ucha słuchał wykonywania ćwiczeń w innych salach. Kiedy usłyszał choćby najmniejszy fałsz, wracał do osoby, która popełniła błąd, i dawał reprimendę. Czasem we wszystkich salkach, a było ich osiem, słychać było różne melodie, jedne szybkie, drugie wolne. Wszystko to brzmiało jak nieład. Jemu to nie przeszkadzało. Potrafił odseparować każdą nutę z każdej melodii. Dlatego Manius Drey był traktowany jak guru wśród uczniów.

Zazdrośni konkurenci, właściciele innych szkół, nie mogli liczyć na takie stawki, jakie otrzymywał Drey.

Sumi była bardzo pojętna. Manius niezwykle rzadko musiał ją poprawiać. Swoje zadania wykonywała zawsze rzetelnie i z wielkim zaangażowaniem, a także wyczuwalną pasją. Polubili się dość szybko. Nauczyciel widział w niej ambitną, wiejską dziewczynę z biednego domu, walczącą o przetrwanie. Ona traktowała go jak surowego, acz sprawiedliwego stryja. W duchu nazywała go Omarem niczym brata dziadka, którego nigdy nie poznała. Imponował jej. Posiadał kręgosłup utkany z zasad, którymi się kierował. Kiedy trzeba było, w mig znajdował odpowiednią dla każdej sytuacji. Jego reguły dawały poczucie fachowości i bezpieczeństwa.

Tego dnia Sumi i Adalberto mieli lekcje w dwóch sąsiadujących salkach. Manius wściekał się, bo młodzieniec – przez swój wysoki wzrost wyglądający na doroslejszego, niż rzeczywistość był – nie mógł się skupić. Gubił rytm, a co kilka fraz, dokładnie w tym samym miejscu za każdym razem, w melodię, którą wyśpiewywał, wkładał się nieznośnie brzmiący fałsz.

– Na dziś kończymy – zdecydował nauczyciel.

– Wybacz, mistrzu, ale w sąsiedniej salce słyszę inny rytm.

– Tłumaczyłem wam tysiące razy. Po to podczas ćwiczeń słyszycie głosy dobiegające z sąsiedniej salki, żeby nauczyć się ich nie słyszeć. W przyszłości mi podziękujecie. Na każdym koncercie można spotkać widza, który podczas naszego występu, nawet najważniejszego, w najmniej właściwym momencie znajdzie ochotę na rozmawianie, śmiech, tupanie czy podśpiewywanie swoich ulubionych melodii. I co? Mamy przerwać nasz śpiew, bo nie potrafimy się skupić? Przyznaj się, że ta dziewczyna zawróciła ci w głowie.

– Ależ mistrzu...

W tym momencie obydwaj usłyszeli, że Sumi zafalżowała.

– A jednak – pomyślał na głos Manius i uśmiechnął się. – Na dziś naprawdę kończymy.

Adalberto spuścił potulnie głowę, co miało być oznaką podziękowania za lekcję. Kiedy wychodził ze szkoły, zobaczył Sumi zamiatającą podwórko. Podeszedł do niej.

– Ale dzisiaj fałżowałaś – zagadnął.

– Nie bardziej niż ty. Wyłeś jak okurai podczas porodu – zaśmiała się.

– Zapomniałem, że jesteś farmerką. Nigdy nie słyszałem, jak wyje okurai.

– Lepiej odejść, bo twoje srebrzystowłose struny głosowe zapaskudzą się pyłem i będziesz charczał jak hydapi, ha, ha!

– Tylko dlatego, że jesteś dziewczyną, oszczędzę ci dalszych pochlebstw – zażartował w rewanżu.

Adalberto poszedł w kierunku bursy. Sumi przez dobrą chwilę zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, obrażając tego artystę. Tak go nazywała. „Nie to co my, farmerzy” – mawiała do siebie, kiedy nikt jej nie słyszał. I wtedy znów przypomniawszy sobie o ojcu, o jego spracowanych dłoniach i odporności zwierzęcia, kiedy praktycznie bez wysiłku wykonywał nadludzkie zadania. Jak mało mówił i dużo pracował. Jak nie trwonił czasu na zabawę czy nic niewnoszące rozmowy o byle czym. Zawsze był taki rozważny i poukładany. Twardy, lecz na swój sposób czuły. Miał w sobie cząstkę wrażliwca, ale nie artysty. Po prostu dobrego człowieka. Miłe wspomnienie trwało tylko chwilę. Znów wróciła nieznośna myśl o tym, co Fahid uczynił Kadu i dwóm wojowniczkom. Nie. Jej ojciec nie był wrażliwy. Był zdolny zabić człowieka. Takim go nie znała jeszcze dwa miesiące wcześniej. Z czasem uznała, że Manius Drey nigdy nikogo by nie zabił. Sprzeczne myśli na temat ojca i nauczyciela mąciły jej w głowie. Im dłużej mieszkała z dala od rodzinnego domu, tym rzadziej wracała do strasznych

chwil, których była świadkiem. Czasem przypomniały jej się dom, rodzeństwo i mama. We wspomnieniach pojawiał się też ojciec wywołujący złe samopoczucie, które przenosiło się na jej kunszt pieśniarski. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, postanowiła, że w ogóle nie będzie o nim myśleć. Żeby jej się powiodło, zaczęła do obcych mówić o sobie jako o sierocie.

- Co się przydarzyło Radosowi? - zapytała Ae, drapiąc się nerwowo po głowie przez niestabilnie zamocowaną perukę, która przesuwała się wraz z paznokciami.

- Jak wy to mówicie, odszedł do Patri - odpowiedział z uśmiechem na twarzy Xami.

- Poważnie? - ironizowała. - Pytam, z jakiego powodu.

- Był na liście tych, którzy wiedzieli.

Najwyższą Kapłankę Wszechziemi zaskoczyła ta informacja, lecz postanowiła nie okazywać, że cokolwiek ją obchodzi.

- Wysłałam Zenita i Kifora nad rzekę pod pretekstem pilnowania granicy - powiedziała, wręczając sakiewkę z zapłatą.

- Rozumiem, pani. Wiem, co mam robić - odpowiedział, ukłonił się i potrząsnął sakiewką, jakby sprawdzał wagę. - Cięższa niż zwykle.

- To za pomysł z peruką. Doceniam.

- Dziękuję. Polecam się na przyszłość.

Xami wyszedł. Ae popatrzyła w lustro, zdjęła perukę i podrapała się wściekle po skórze. Kiedy skończyła, uspokoiła oddech i przyjrzała się swojemu odbiciu. Zauważyła, że wcale nie wygląda źle. „Dobrze się stało, że Xami zastąpił Jusifa” - pomyślała. Może to on przez ten cały czas był mózgiem. Jusif nigdy nie wpadłby na tak szalony i nieoczekiwany pomysł jak ten ze sztuczną fryzurą. Poza tym nie był aż tak przewidujący. Otworzyła brązowe pudełko i zajrzała do środka. Było lekko zapełnione kilkoma kosmykami niedbale obciętych włosów, zatrzymanych na pamiątkę. Westchnęła z rozrzewnieniem na ich widok. Upchnęła je w pudełku, tak by zmieściła się również peruka, włożyła ją do środka i zakryła wieko.

Taarida, jadąc na trzykołowym wozie ciągniętym przez parę dość zwawych hydapi, zmierzała w kierunku domostwa rodziców Rity. Miała doskonały nastrój, czuła się pewnie i kompetentnie, jak przystało na nową kapłankę zarządzającą rewirem, w którym się obecnie znajdowała. Nominację wręczył jej Kifor bez uzgodnienia z Ae. Zgodnie z kanonem nie powinien był tego robić, ale poczuł się mocny. Odbyło się to kilka dni wcześniej, rankiem. Tuż przed tym, jak Najwyższa Kapłanka Wszechziemi miała stanąć przed Radą. Kifor był pewny, że Ae zostanie ukarana i zamknięta w grocie z kraciatą komnatą. To siebie widział jako jej następcę, nie Ali Udego, najstarszego kapłana.

- Witajcie, bogobojni. Jestem nową kapłanką odpowiadającą za ten rewir - powiedziała Taarida do Roha i jego żony.

Obydwoje spuścili głowy, lecz nie jak do ukłonu. Unikali kontaktu wzrokowego, jakby nie chcieli wprawiać w zakłopotanie kapłanki chowającej twarz pod maską.

- A co się stało z Kadu? - zapytała zatroskana Kitta.

- Dostał nowe zadanie. Nie zdążył się ze wszystkimi pożegnać.

- Zatem witaj w naszych skromnych progach, pani. Jak cię zwą? - zapytał Roh.

- Taarida. Mam do was kilka pytań.

- Gira, jeszcze jedno nakrycie! - krzyknął. - My już prawie do posiłku zasiadaliśmy - zwrócił się do Taaridy. - Mamy też tinghao. Kadu bardzo lubił.

- Ja nie jestem Kadu - powiedziała Taarida, lecz kiedy zauważyła, że zrobiło się niezręcznie, chrząknęła. - Chętnie spróbowałabym waszych ulubionych, rodzinnych smakołyków, ale zawsze jadam sama - dodała.

- Się rozumie - powiedział Roh, węsząc, że chodzi o maskę, której nie chciała odkryć.

Zaprowadził ją do niezwykajnie wyglądającego pomieszczenia. Przez jego środek przechodził gruby prawie na łokieć konar drzewa rosy. Do mniejszych, wystających z niego gałązek przymocowane były zwinięte w rulon listy z kokardami. Zwłaszcza po ich kolorach z łatwością można było rozpoznać nadawców - kilku ostatnich Najwyższych Kapłanów Wszehziemi.

- Cud, prawda? - chwalił się Roh. - Drzewo z podwórka tak się rozrosło. Konar sam się wcisnął, przeszedł przez ścianę i wyszedł tamtą drugą. Rosi i na zewnątrz, i w środku, że aż miski trzeba podkładać.

- No i? - zapytała Taarida, jakby była kompletnie niezainteresowana rewelacją.

- To sprawa Patri, dlatego zrobiliśmy tu małą kapliczkę. Chcesz się pomodlić?

- Może kiedy indziej.

Po chwili wszyscy siedzieli przy stole nakrytym kilkoma talerzami i wielką tacą pełną przekąsek. Wśród nich były placki z mąki mao, lecz zawinięte nie jak w domu Fahida w rulon z mazidłem z dirszy, ale w formie pierogów wypchanych tłustym, słonym farszem. Oprócz nich można było dostrzec jaja durszniczy, małe grzybki anake nabite na gałązki turlinu, kawałki pieczonych policzków tine, wędzone uszy okurai oraz plastry serowych rolad o posmaku chrzaniny pokuna, najostrzejszej przyprawy dostępnej tylko w zachodniej ćwiartce. Do picia przewidziano koktajl na bazie keeffi z pędami szuri, owocami sandi, dosłodzony kwiatami malinty.

- Przejdę do rzeczy - zaproponowała Taarida.

- Pytaj zatem - powiedział Roh, lekko mlaskając.

Taarida wyjęła pergamin zwinięty w rulon i zaczęła przeglądać jego zawartość.

- Po sąsiedzku mieszka wasza córka Rita - powiedziała. - Wyszła za niejakiego Manduarre, Fahida. Zgadza się?

Kitta i Roh wymienili się spojrzeniami. Widać było, że zaniepokoiło ich to pytanie. Po ich dobrych nastrojach nie został już nawet ślad. Pokiwali głowami, choć Taarida szybko się zorientowała, że nie umieją kłamać.

- Szukam ich właśnie, Rity i jej męża. Byłam u nich kilka dni temu, ale nikogo nie zastałam. Zwierzęta samopas biegały po okolicy. Rozumiem, że to własność Manduarów. Czy wiecie może, dokąd się udali?

- Nasza córka Rita nie żyje. Tak nam rzekł jej mąż, Fahid.

- Naprawdę? To przykre. A co jej się stało? - ironizowała, lecz oni tego nie dostrzegli.

- Patri ją zabrała.

- Jasne - powiedziała Taarida, choć nie takiej odpowiedzi się spodziewała. - A w takim razie gdzie jest jej mąż?

- My właśnie w tej sprawie chcielibyśmy prosić o zgodę. Jeśli on już nie będzie uprawiał dirszy, to chętnie weźmiemy po nim całe pole.

- Jak to nie będzie?

- No, tak powiedział. Że wyjeżdża. Pewnie tak jak jego wuj, Omar.

– Omar, powiadasz... A to ciekawe. Dużo wiecie. – Taarida zauważyła, że biednych wieśniaków wystarczyło podpuścić, nie trzeba było ich straszyć.

– Jakże mamy nie wiedzieć? Omar był mi przyobiecany, ale że postanowił wyjechać do Inco, ojciec wydał mnie za Roha – doniosła z dumą Kitta.

– A to historia, ha, ha! – zaśmiała się Taarida. – Czyli wszystko zostało jakby w rodzinie. Wasza córka potem wyszła za innego Manduarre.

– My tu wszyscy jesteśmy jak jedna rodzina – powiedziała z zadowoleniem Gira.

– Tylko jej nie możemy znaleźć chłopca – zazartował Roh, powodując zawstydzenie u córki. – Może jakby pani kapłanka dopytała tam gdzieś w mieście za jakimś robotnym, tobyśmy wydali. I pole by się znalazło...

– Zobaczymy. Czyli Fahid wyjechał do Inco. Ciekawe.

Roh pokijał głową. Taarida zrobiła kilka rytualnych gestów mających na celu poświęcenie domu i podziękowanie za posiłek, który spakowali jej na drogę. Odeszła w kierunku podwórka. Zbliżyła się do wozu. Kitta i Roh wyszli na schody domostwa, żeby pożegnać ją przed drogą. Kiedy się zorientowali, że kapłanka odpięła przymocowany do uprzęży duży zakrzywiony tasak i trzymając go w dłoni, wróciła w ich kierunku, zdążyli zrobić tylko przerażone miny. Taarida bez słowa wykonała dwa precyzyjne cięcia. Ścięte głowy zsunęły się po karkach, a ciała bezwładnie opadły. Głowa Roha poturlała się pod nogi Taaridy, zostawiając ślad krwi na jej prawym bucie.

– Wasze dusze są w moich rękach – powiedziała i weszła do domu, by dokończyć dzieła.

Gira nawet się nie broniła. Spotkał ją ten sam los co rodziców. Taarida upchała trzy głowy do worka z włókna łądogowego i razem ze zwłokami wrzuciła na wóz. Całość okryła miękką wzorzystą narzutą znaną w domu. Wyprowadziła ze stajni trzy zwierzęta, wyglądające najzdrowiej. Przypięła je sznurem raidi z tyłu wozu. Resztę zostawiła wewnątrz. Z pieca, na którym gotował się napar z kwiatów malinty, wygarnęła pogrzebaczem płonące polano i zanim wybiegła z domu, kopnęła nim w serwety ułożone w pryzmie. Szybko się zapaliły. W ułamku sekundy ogień przeniósł się na drewniane ściany i dach, potem rozprzestrzenił się coraz szybciej. Taarida zdążyła odjechać zaledwie kilkaset łokci, a ogień przenosił się już na wiatrak i stajnię. Słychać było tylko przeraźliwy ryk uwięzionych zwierząt. Po chwili płonęło całe gospodarstwo, w tym wartościowe rzeczy, dokumenty i pamiątki rodzinne, łącznie z ostatnią wolą Fahida zapisaną na pergaminie – wszystkie ślady życia. Dym pewnie widać było z daleka, ale nie na tyle, żeby mogli dostrzec go sąsiedzi.

Kifor i Zenit docierali do granicy. Przewodzili czterdziestoosobowym oddziałem kapłanek niskiego szczebla, który otrzymał zadanie powstrzymania migracji mężczyzn na teren sąsiedniego kraju. Kobiety jechały na hydapi, w równym odstępnie pomiędzy poszczególnymi czwórkami. Dowodzący dosiadali okurai. Mieli wisielcze nastroje. Od wielu godzin nie zamienili ze sobą ani słowa. Najwyższa Kapłanka Wszechziemi ukarała ich zesłaniem za niesubordynację. Tak ocenili nową misję. Kifor uznał, że jego kariera w Radzie Kościoła zawisła na cienkim włosku z jej peruki. Zbłądził się na oczach najważniejszych osób w państwie i od tej pory zapewne nikt nie uwierzy mu w kolejne rewelacje. W dodatku Ae wrzuciła go do jednego worka z Zenitem, który już od jakiegoś czasu był na cenzurowanym. Kifor spojrział krytycznie na jadącego obok niego szefa purpurowej straży. Zenit poczuł na sobie wzrok i odwrócił głowę w jego kierunku.

- Daliśmy się podejść jak dzieci – powiedział.

Kifor obejrzał się, jakby sprawdzał, w jakiej odległości za nimi jedzie pierwsza czwórka i czy cokolwiek usłyszała. Raczej nie, wojowniczkę gapiły się przed siebie, bez śladu najmniejszej emocji na twarzy.

- Ae jest sprytniejsza, niż sądziliśmy – powiedział dość cicho do Zenita.

- Zamierzasz to tak zostawić?

- Musimy przeczekać, aż to się wszystko uspokoi. Słyszałeś, co się stało Radosowi.

- Tylko nie wiem, czym sobie zasłużył. Od jakiegoś czasu wyjątkowo już nie podważał jej pomysłów, a nawet wchodził jej do tyłka.

- W każdym razie są sprawy ważniejszej wagi. To, że dostaliśmy zadanie, pozwala wierzyć, że jest dla nas szansa.

Jeszcze przed granicą pojawiły się pierwsze wyzwania. Pół dnia drogi do wodospadu Pinati oddział jechał szerokim traktem przecinającym wielki las pełen moherowych drzew. Zbliżał się do dwudziestoosobowej grupy piechurów, którzy wyglądali na tych ze wschodniej ćwiartki. Bez trudu można było rozpoznać ich plany. Mieli lekkie tobołki zawieszane na kijach służących do obrony. Kifor wiedział, że zawrócenie ich nie będzie łatwe. Najprawdopodobniej musieliby użyć siły, żeby powstrzymać zdeterminowanych w dotarciu do raję mężczyzn. Zenit najpierw chciał się dowiedzieć, jak to wszystko zostało zorganizowane. Taka informacja mogłaby się przydać podczas planowania strategii zawrócenia kolejnych grup. Kifor przyznał mu rację, ale nie czuł się na siłach, by osobiście wdawać się w polemikę z wieśniakami. Był ostrożny, nie zamierzał tracić zębów w głupiej potyczce. Schował się z tyłu, za ostatnią czwórką kapłanek.

- Dokąd zmierzacie? – zapytał Zenit.

- Nie szukamy zwady – odpowiedział idący na końcu, rosły białowłosy w wieku dwóch i pół oczyszczenia.

Zenit zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie wygląda na posłusznego wyznawcę Patri. Ta postawa zaskoczyła go. „Co się stało z tym narodem, że za nic mają przedstawicieli Kościoła?” – głowił się.

- Tylko pytam. Wiecie, że przekraczanie granicy jest grzechem śmiertelnym.

- Nas grzechy już nie dotyczą. Tam, dokąd idziemy, nikt się nimi nie przejmuje.

- A co będzie z twoją rodziną? – dopytywał się Zenit.

- Rodzice są starzy, braci i siostrę zabrał Kościół. Nic mnie tu nie trzyma.

- Tak? To ciekawe – udał zdziwienie Zenit i prawie zrównał się z maszerującym białowłosym. – A skąd wiecie, co tam jest?

- Kuzyn mojego sąsiada Derdui mówił, że słyszał od Trinusa, a ten z kolei dowiedział się od Barchuna, który ma brata Barszala, a on mieszka przy granicy. I był tam, w mieście wielkich domów. Mówił, że to najcudowniejsze miejsce we Wszechziemi. Każdy mężczyzna ma tyle kobiet, ile zechce, i domostwo tak duże, że może w nim mieszkać piętnaście wielkich rodzin. Nie trzeba pracować.

- A wiecie, jak dojść do tego miasta? Może i ja bym się tam wybrał.

- Nie trzeba daleko chodzić. Pół dnia drogi na południe czekają na nas maszyny transportowe, które zawożą prosto na miejsce. Każdego chłopca przyjmą, bo tam żyją same baby. Chodź, panie, z nami. Tylko ich nie bierz – dokończył prawie szeptem, wskazując ruchem głowy idące za Zenitem kapłanki.

- Rozważę – odpowiedział Zenit i zawrócił zwierzę.

Podjechał do Kifora.

- Oni za nic mają konsekwencje. Nie rozumiem tego. Przecież wiadomo, że ucierpią na tym ich rodziny - powiedział. - Jeśli będziemy ich powstrzymywać tutaj, rozpierzchną się po lesie i stracimy tylko czas na ich wyłapywanie.

- Co proponujesz? - zapytał Kifor.

- Wypredźmy ich i przygotujmy zasadzkę. Trzeba będzie też wezwać kolejne oddziały.

- Za nami jadą jeszcze trzy.

- To za mało.

ROZDZIAŁ 19.

Zarzewie

Minęły trzy miesiące. Vicky była w dwudziestym tygodniu ciąży. Jej hormony szalały. Nie dość, że nie miała ochoty na seks, to mężowi nawet nie dawała się dotknąć. Na szczęście dla niego była dość tolerancyjna. Nie widziała niczego złego w tym, że w apartamencie Addama zaczęły pojawiać się nowe przyjaciółki pana domu; tak je nazywano. Ważne, by z żadną nie planował ślubu.

Pierwszą odwiedzającą ich dom regularnie była brązowowłosa Madelleine. Pochodziła ze slumsów, miała wszywkę pod lewym okiem, delikatny kawałek różowego szkiełka. W połączeniu z nienaganną figurą, długimi warkoczami i złotym makijażem na całej twarzy wyglądała zjawiskowo. Potem zaczęła się pojawiać miedzianowłosa Kadina, właścicielka nienaturalnej wielkości rozmiarów piersi i wielu pieprzyków. Szybko się nią znudził. Kolejną, która zabawiła na dłużej, była Appolomea, czarnowłosa, kaleka piękność. Jej lewa noga była krótsza, niewiele, tylko o trzy palce. Tłumaczyła się, że brat bliźniak miał odwrotnie, lewą nogę dłuższą i że się uzupełniali, ale nikt nie wierzył w tę historię. Z czasem Appolomea i Madelleine, obydwie w wieku niecałych dwóch oczyszczeń, zamieszkały w apartamencie Kozłłowów. Addam dokupił kolejne łożo, żeby Vicky mogła się wysypiać. Od tej pory spała sama, wygodnie, on zaś baraszkował w świeżutkiej pościeli z nowymi przyjaciółkami. Jasmin, która była już w trzydziestym tygodniu, choć wyglądała, jakby za chwilę miała rodzić, nadal spała na materacu. Wszystko było jej obojętne. Tak mówiła.

Pewnego dnia Vicky i Addam udali się na rutynowe badania kontrolne. W apartamencie zostały pierwszy raz same dwie nowe przyjaciółki pana domu i Jasmin. Nie zamierzała z nimi rozmawiać. Włączyła teatromanię. Nie po to, by ją oglądać, lecz by zagłuszyć przygnębiającą ciszę. Nawet nie popatrzyła na ekran. W tym momencie był emitowany reportaż na temat Floriańczyków, którzy zamieszkali w Inco. Ta konkretnie grupa otrzymała lokum w apartamentowcu z widokiem na Szklaną Kopułę. Martina Kuna przeprowadzała z nimi wywiad w przestronnym salonie.

– Jak wam się mieszka w naszym kraju? – zapytała znana redaktorka.

– Waszym? To już nasz dom – odpowiedział białowłosy mężczyzna w wieku prawie trzech oczyszczeń.

– Skąd pochodzicie?

– Mieszkaliśmy w zachodniej ćwiartce.

W tym momencie Jasmin podniosła oczy w kierunku ekranu. Madelleine zauważyła jej ożywienie.

– On też jest białowłosym jak ty – powiedziała.

– No i co z tego? – odburknęła Jasmin, jakby chciała odwrócić uwagę od prawdziwego powodu.

– Żyje nam się tutaj cudownie – kontynuował białowłosy na ekranie. – Przyzwyczajamy się jeszcze do waszego pożywienia, ale za to jaka czystość, no nie do wiary. I wreszcie nie ma tej

okropnej przyrody.

- Jest bezpieczniej – dodał drugi.

- Mało rdzennych z Inco ma taki kolor na głowie – powiedziała Madelleine. – Już nie będziesz wyjątkowa.

- Będę. Białowłosi imbecyle z Floris to przecież mężczyźni – powiedziała Jasmin.

- I już nie musimy się modlić – kontynuował białowłós z ekranu, ten pierwszy.

- Debil – skomentowała Jasmin.

- Dlaczego tak o nich mówisz? – Pytanie Madelleine nie brzmiało oceniająco, raczej jakby nie rozumiała intencji.

- Mówią wyuczonymi tekstami. Widać, że kłamią. Nie mają własnego zdania? – Jasmin zaczęła się nakręcać.

- Fakt. Przystojniaczek ze wsi mówi jak nasza królowa, Vicky. Ha, ha! – zażartowała Madelleine.

Jasmin dostrzegła w przyjaciółce pana domu sojuszniczkę, mimo to nie zamierzała jej ufać.

- Dzięki dobroduszości Rządu w naszym społeczeństwie żyje już blisko tysięcy zadowolonych mężczyzn z sąsiedniego kraju. Dziękujemy pani premier – powiedziała Kuna na ekranie.

- Dziś będę miała migrenę. Nie mogę zażywać leku, bo to zaszkodzi Wiktorce. Macie być cicho, jasne? – Appolomea dość zabawnie przedrzeźniała Vicky, wywołując uśmiechy na twarzach Jasmin i Madelleine.

- Zaszra królowa Vicky – skomentowała druga z przyjaciółek. – Jak ona urodzi, to ja się wyprowadzam.

- Jasmin, powiedz, tobie to nie przeszkadza, że zamieszkałyśmy z wami? – zapytała Appolomea.

- Jakie to ma znaczenie?

- Bo wiesz, my bardzo ci kibicujemy.

- Nie wiem, w jakiej dziedzinie.

- Ze jesteś taka, wiesz, dzielna – powiedziała szczerze Madelleine, choć dla Jasmin zabrzmiało to patetycznie.

- I mądra. Jesteśmy po twojej stronie – dokończyła Appolomea.

- Powinam wam podziękować?

Jasmin wcale nie była zadowolona z tego, że jej mąż sprowadził sobie dwie młode dziewczyny do apartamentu. „Po co to zrobił? Głupiec. Naciągną go i wszyscy na tym stracimy” – myślała. Wiedziała natomiast, dlaczego one to zrobiły. Wcale nie był dobry w łóżku, ale to przecież mężczyzna. W dodatku utrzymywał te siksy kosztem rodziny. Głupie by były, gdyby odmówiły zaproszenia. Wiele samotnych kobiet oddałoby wiele, by móc uprawiać seks prawie co noc. Dobrze, że Vicky regularnie ich upominała, by byli cicho, bo czasem totalnie zapominali, że nie są sami. Nocami Jasmin źle sypiała; nie tylko dlatego, że materac był niewygodny. Miała częste skurcze mięśni nóg i swędziała ją skóra. Odliczała dni do końca swojej gehenny, a towarzystwo Madelleine i Appolomei nie pomagało.

- To już trzydziesty trzeci trup. – Z humana gardy wydobył się piszczący głosik.

Kobieta w mundurze oficera westchnęła ciężko i wyjęła komunikator. Wybrała numer, potarła dłonią twarz, jakby dodawała sobie otuchy, poruszała nerwowo szczęką i usztywniała

się, jakby za chwilę miała rozmawiać z wyższą instancją i nie zamierzała się jąkać.

- Dzień dobry, melduję, że kolejny Floriańczyk nie dał rady. Znaleźliśmy go zarzyganego. Jego dłonie były skrzyżowane na brzuchu, jakby go trzymał kurczowo z bóleści - zaraportowała.

- Proszę nie panikować - wydobył się damski głos z komunikatora. - Zaczniemy się martwić, kiedy z powodu zmiany sposobu odżywiania umrze dwadzieścia, no, może piętnaście procent. Czy są tacy, którzy dobrze reagują na zmiany?

- Tak - zameldowała oficer.

- Proszę skupić się na plusach. Zwłoki jak zwykle zutilizować. Nikt nie może się dowiedzieć.

- Tak jest.

Blisko granicy po stronie Inco pojawiło się kilka małych watah z kobietami z drugiej dzielnicy. Trochę z ciekawości, a także by wziąć sprawy w swoje ręce. Twierdziły, że żadna z nich nie chciała czekać na swoją kolej, aż Rząd łaskawie przydzieli im upragnionego Floriańczyka, tylko do celów prokreacji. Postanowiły wybrać mężczyzn na swoje potrzeby tuż po przekroczeniu przez nich rzeki dzielącej dwa kraje. Rozbiły mały obóz przy wodospadzie Pinati i czekały na dalszy rozwój wydarzeń.

W tym miejscu obydwie społeczności widziały się wzajemnie. Pomiędzy nimi była tylko szeroka rzeka Ethne, której pilnowały straże obydwu krain. Kobiety czekające po stronie Inco obserwowały zmagania na drugim brzegu pomiędzy młodymi mężczyznami a pilnującymi granicy kapłankami. Liczyły, że Floriańczykom uda się przerwać kordon, zażarcie im kibicowały. Widziały, jak kapłanki dyscyplinują mężczyzn, jak ich karzą, chłosczczą, a nawet któremuś, najbardziej zdeterminowanemu, odbierają cenne życie. Cierpiały wraz z nim. Chciały jakoś pomóc, lecz brakowało im pomysłów, co należy uczynić. Kilka rzuciło się w nurt rzeki, by dać przykład pozostałym, biernie obserwującym, lecz szybko zostały zastrzelone z kuszy. Trupy pływające po powierzchni wody odstraszyły kolejne desperatki.

Po stronie Floris sytuacja zaczęła się klarować. Dwanaście oddziałów kapłanek niskiego szczebla pilnowało granicy na okrągło. W starciach - w zasadzie pod koniec tylko w drobnych potyczkach - zginęły zaledwie trzy kapłanki, ale też prawie pół tysiąca młodych mężczyzn, którzy bez zgody Rady Kościoła chcieli opuścić kraj. Nie byli wyszkoleni ani nie posiadali odpowiedniej broni, nie mieli więc szans. Nie było wiadomo, ilu mężczyzn zawróciło do swoich rodzin, ale można było ich liczyć tysiącami. Około stu najbardziej zawziętych prowodyrów spętano i odprowadzono do stolicy, chłosczcząc biczami przez całą drogę. Eskortował ich oddział wojska, który otrzymał zadanie nagłośnienia sprawy w taki sposób, żeby mówić o niej cały kraj.

Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać na opanowaną, Ae wezwała Zenita i Kifora, by wrócili do Patrix. Ucieszyła ich ta wiadomość. Zaproszenie odręcznie napisane przez Najwyższą Kapłankę Wszechziemi brzmiało jak pochwała za doskonałe wyniki. Wyruszyli o świcie, pełni nadziei na błogosławieństwo. Do ochrony wzięli małą grupę kapłanek wyćwiczonych w sabotażu i nietypowych zadaniach szpiegowskich. Na nic się zdała ich pomoc. Kifor i Zenit nie dotarli do stolicy. Wszelki śluch po nich zaginął. Ae wysłała dwa oddziały żołnierzy, by przetrzasnęli kawałek po kawałku całą drogę. Niczego nie znaleźli, nie było żadnych śladów.

- Patri wezwała ich do siebie. Powinniśmy cieszyć się ich szczęściem, lecz tym razem Asaran płacze – powiedziała Ae na spotkaniu Rady Kościoła. Jej głos brzmiał patetycznie. – Jak mamy ich pochować, skoro nie ma ciała?

- Może jeszcze żyją – powiedział Namali, przełykając nerwowo ślinę.

- To gdzie są? Uciekli do Inco? – zareagowała nerwowo i podrapała się po peruce.

- Może zostali porwani – powiedział spokojnym głosem Mi-tu.

- Skąd takie przypuszczenia? – oburzyła się.

- Wybacz, pani, mą śmiałość. – Ali Ude wyglądał, jakby za chwilę miał zostać stracony. – Dochodzą nas słuchy, że źle się dzieje w naszym państwie. Ludzie obwiniają Kościół, nie są zadowoleni...

- Z jakiego powodu? Że zabroniłeś im przekraczać granicę?

- Ja?

- Między innymi ty. Rada Kościoła. Jesteś jej członkiem?

Ali Ude uśmiechnął się, udając, że to pyszny żart.

- Nie możemy dopuścić do tego, że każdy będzie robił to, na co ma ochotę – kontynuowała Ae. – Ludzie są zbyt głupi, żeby mogli podejmować samodzielnie decyzje. To my im mówimy, co jest dla nich dobre, a co złe. Nic tak nie organizuje myśli ludzkich jak podporządkowanie.

- Kłopot polega na tym, że nie chodzi tylko o zakaz migracji. Mieszkańcy zaczynają mówić o dziwnych zniknięciach całych rodzin, podpaleniach domów, bezpodstawnym, nieludzkim karaniu. O tym, że Patri była miłosierna, a kapłani są jej przeciwieństwem.

- Bo tego wymaga dobro Kościoła! – krzyknęła, lecz po chwili zdała sobie sprawę z niewłaściwej reakcji. – Skąd to wiesz? – zapytała zupełnie innym tonem.

- Ósmy paragraf kanonu. Ludzie sami mówią, co wiedzą. Nawet nie trzeba ich za mocno przyciskać.

- O, to wspaniale. Czyli ósmy paragraf działa. Tych, którzy narzekają, należy wrzucić do Asaranu. Na pewno odmieni im się perspektywa, jak poprzebywają z mumiąmi.

- Wtedy już nikt nam niczego nie powie.

- Niewdzięczni – łkała teatralnie. – Bogini tyle dla nich uczyniła, poświęciła się dla ludzi.

Kapłani wysokiego szczebla wymienili się spojrzeniami. Ae po chwili chrząknęła i na jej twarzy pojawił się nieprzejednany grymas. Po dramacie z powodu zniknięcia Zenita i Kifora nie było już ani śladu.

- Musimy zacząć się wzmacniać – powiedziała zimnym głosem. – Mi-tu! – zwróciła się do szefa szkoły – Naukę kapłańską skracamy do niezbędnego minimum. Potem kandydatów zatrujemy, bez żadnych ceremonii. Przejmuje ich Ling Gui i szkoli na żołnierzy. Mamy teraz dwóch wrogów. Na zewnątrz kraju, jak i wewnątrz. Ali Ude, dopilnuj, by każdy członek Rady spotkał się z podległymi kapłanami średniego szczebla i odbył dyscyplinującą rozmowę. Ci, którzy mają w swoich rewirach wicherzycieli, stracą swoje przywileje. Nie będę tolerowała braku czujności.

Nastała cisza. Ae spojrzała w kierunku Mi-tu, zamyśliła się przez chwilę.

- A jak wygląda sprawa, o którą cię prosiłam? – zapytała.

- Wszystko gotowe. Dwunastoosobowa grupa najmniejszych, gotowych do zatrucia uczniów czeka na twoje rozkazy.

- Dobrze – powiedziała i dała znak, by się nie rozgadywał. – Ich inicjacja trochę się odwlecze. Muszą najpierw posiąść dodatkowe umiejętności.

- Jeszcze jedna sprawa. Co robimy z rodzinami tych, którzy przedostali się do Inco? - zapytał Namali.

- Jeśli ich też ukarzymy, rewolta urośnie w siłę - ocenił Mi-tu.

- Patri o nich zadecyduje. Wszak jest sprawiedliwa i miłosierna - powiedziała spokojnym tonem Ae.

Tymczasem w pierwszej dzielnicy Inco sytuacja powoli wracała do normy. Ludzie przyzwyczaili się do Kaskady Eksmisji, nikt już nie wspominał o brutalności humanów gardy. Trudy życia zostały osłodzone pierwszymi dobrymi wiadomościami, nie tylko ogłoszonymi w teatromanii, lecz także przekazywanymi z ust do ust. Zaczęto odliczać najpierw w setkach, potem w tysiącach, przypadki kobiet spodziewających się chłopców. Wszystkie zaszyły w ciąży w wyniku zapłodnienia przez imigrantów z Floris - procesu w pełni kontrolowanego przez UKP. Kolejne zastępy mężczyźni asymilowały się ze społeczeństwem na stale ewoluujących zasadach. Tych, którzy pojawili się w Inco jako pierwsi, chowano przed kobietami. To miało wyglądać jak kwarantanna. W tym czasie mieli się przystosować do nowych warunków. Przechodzili drastyczną zmianę diety, która przeprowadzana w zbyt szybkim tempie kończyła się potwornymi boleściami, w skrajnych przypadkach śmiercią. Kolejnym grupom przybyszów z obcego kraju zezwalano na kontakt z kobietami z marszu, batony zaś wprowadzano etapami. Najpierw jako przekąskę, potem uzupełnienie diety, w końcu jako nawyk żywieniowy. Ta metoda sprawdziła się znakomicie. Ich organizmy wspomagane suplementami zaczęły z czasem produkować innego rodzaju enzymy, ciała zaczęły robić się smuklejsze, a stały seks umiłał życie. Floriańczyków, w większości białowłosych, coraz częściej widywano bez ochrony. Ludność Inco ich zaaprobowała, stali się gwiazdami. Kiedy imigranci odkryli istnienie Szklanej Kopuły, zaczęli ją odwiedzać coraz częściej, by poobcować z przyrodą. Tak mówili.

Noovack zwołała gabinet na krótkie posiedzenie. Podczas tego typu cotygodniowych posiedzeń każda szefowa danego ministerstwa prezentowała dokonania swojego resortu, a także plany na kolejne dni. Wszystkie panie minister miały być wtajemniczone w każdy ważny projekt koleżanek, co więcej, powinny znać tę samą linię Rządu. Jeśli którykolwiek z dziennikarzy zadałby przez przypadek niewygodne pytanie - nieważne, że wszystkie media w tym czasie były już państwowe - członkinie gabinetu Noovack powinny znać jedyną słuszną odpowiedź.

- Jak wygląda sytuacja w służbie zdrowia? - zapytała pani premier.

- Reproduktry zaczynają strajkować - odpowiedziała Gibbondy.

- Nie nazywaj ich tak. Floriańczycy to też ludzie - oburzyła się Davis.

- Co im się nie podoba? Mężcy ich częsty seks? Ha, ha! - zażartowała Duecklenbourg.

- Dowiedzieli się o planie zburzenia Szklanej Kopuły, gnidy - powiedziała Gibbondy.

- Dziecinada. - Davis kręciła głową z niesmakiem.

- Postaw się w ich sytuacji - powiedziała Martinez. - Są daleko od rodzin, od swojego świata, a to miejsce bardzo przypomina im dom.

- Słyszałam, że tam się modlą. Szklana Kopuła ma dla nich charakter świątyni - stwierdziła Tatarczyna.

- Tym bardziej należy zburzyć to miejsce - zareagowała Noovack. - Jeszcze ktoś zobaczy.

- A co zrobimy ze zwierzętami, które tam żyją? – zaciękała się Martinez.
- To proste, utylizacja – odpowiedziała Gibbondy.
- A jezioro? Przecież, z tego, co pamiętam, tam jest ogromne jezioro – powiedziała Martinez.
- Właśnie dlatego ta inwestycja jest taka kosztowna i potrwa ponad pół oczyszczenia – odpowiedziała Noovack. – Woda zostanie przepompowana. Zalejemy nią nieczynne kopalnie bidrytu.
- Czy nie lepiej zostawić to jezioro, a szkołę postawić obok, mniejszą? – zapytała nieśmiało Martinez.
- Wiesz, dlaczego jeziora w trzeciej dzielnicy są martwe? To samo stanie się tutaj. Kiedy zdemontujemy poszycie dachu i zutylizujemy zwierzęta, promienie Hello spowodują, że zaczną się rozrastać śmierdzące glony. Trzeba je będzie usunąć chemicznie. Chcesz dyskutować z nauką? – wyjaśniała Tatarczyzna.
- To może zostawmy tę kopułę. Co nam przeszkadza? – Martinez nie zamierzała się poddawać.
- Noovack uśmiechnęła się sztucznie, jakby właśnie podjęła decyzję o zmianie Minister Gospodarki i Transportu.
- Przeprowadziliśmy ankietę. Osiemdziesiąt procent społeczeństwa chce wyburzenia kopuły – doniosła z dumą Davis.
- No. Nikt nam już nie zarzuci, że się nie konsultujemy. Wszystko zmierza w dobrym kierunku – zamknęła temat Noovack.

Po wizycie u doktor Meilly Addam i Vicky znów cały dniami byli skupieni na sobie. Madelleine i Appolomea robiły zazdrosne miny, lecz nadal nie planowały wyprowadzki. Znikały na całe dni, a wracały wieczorem. Jasmin praktycznie nigdzie się nie ruszała. Miała płytszy oddech, szybko się męczyła. Jej brzuch wyglądał jak pojazd gardy, a pojawiające coraz regularniej skurcze zwiastowały, że ten dzień nadchodzi nieubłagane. Urosły jej włosy, dzięki czemu mogła spinać je w długi na pięć palców kucyk.

- Kochanie, chcesz batonika? – zapytał z troską Addam, kiedy jak co dzień zostali we trójkę.
- A, daj. Żółtego – odpowiedziała Vicky.
- Jasmin prychnęła z pogardą. Już od jakiegoś czasu przestała się kryć z prawdziwymi intencjami. Żyła w tak zwanej szczęśliwej rodzinie, w której żaden z członków nawet nie miał świadomości, przez co ona przechodzi. Stała się zrzędą. Tak ją też traktowali. „A czy mnie ktoś zapyta, czy chcę batonika?” – zadała pytanie w myślach. „Banda egoistów. I co się gapiacie? Maminsynek pierdolony i tępa gówniara. Uwili sobie cudowne gniazdko i będą się tak szczerzyć do siebie, na mojej krzywdzie. Nienawidzę was i tego waszego bachora. Wiktoresk to, Wiktoresk sramto. Żeby zdechł. Moimi córeczkami nikt się nie interesuje” – myślała.
- Jak ci smakuje? – zapytał Addam.
- Pyszny i czuję się taka ożywiona. Jasmin, chcesz? – zapytała Vicky. – Addam, przynieś swojej pierwszej żonce batonika – powiedziała z przekąsem.
- Obejdzie się.
- Jasmin tryskała jadem i wcale nie chciało jej się próbować nowości rynkowej. Całą przyjemność zepsuła jej ta gówniara, Vicky. Wprowadzony niedawno do sprzedaży baton,

właśnie tego koloru, według producentów miał za zadanie poprawiać myślenie i koncentrację. „Jej nic nie pomoże” – drwiła w myślach Jasmin.

Fahid spał w małej jurcie blisko domu śmierdzącego człowieka bez ręki. Już kilkakrotnie oznajmiał, że zamierza ruszyć z odsieczą w kierunku Patrix, lecz dziad skutecznie wybijał mu z głowy samobójcze wyprawy do jaskini pokuna. Całymi dniami rozprawiali o religii, etyce, poruszali także tematy społeczne i egzystencjalne. Ghaideng Ru posiadał ogromną wiedzę w porównaniu z ubogim farmerem, dlatego jego uczeń chłonał każdą informację. Im więcej się dowiadywał, tym więcej zadawał pytań, a jego wątpliwości zaplatały się wzajemnie i nie chciały go opuścić. Skoro całe życie był przekonany, że mieszkańcy wschodniej ćwiartki nie mają zębów – i to okazało się nieprawdą lub być może półprawdą – to znaczy że nic nie jest takie, jakie się wydaje. Wszystko inne też może być kłamstwem. Stwierdził, że już w nic nie wierzy.

Co kilka dni uczeń i mistrz udawali się na wieczorne spotkania bractwa. Zazwyczaj organizowano je nad rzeką, w ustronnym miejscu. Fahid lubił tam chodzić i przyglądać się, jak rybak, pasterz czy straganiarz, paląc wieczorne ognisko dla Patri, planują przewrót. „Naiwni” – myślał. „Kaplanka nigdy nie pozwoli, by pokonali ją wieśniacy. Nie da sobie odebrać władzy”. Słyszał od Ghaidenga Ru, co Ae potrafi uczynić z ludźmi, którzy staną jej na drodze. Mimo swych wątpliwości chętnie towarzyszył mistrzowi. Nawet uznał, że bractwo stało się jego nową rodziną, trochę żył się z nimi przez te miesiące. Choć tęsknił za dziećmi porwanymi przez Taaridę, mimowolnie odsuwał w czasie podróży do Patrix.

Pewnego dnia, kiedy szli na cotygodniowe spotkanie, Fahid zwrócił uwagę, że jedno drzewo obsiadły ptaki moree. Wisiały głowami w dół zahaczone pazurami o gałąź. Widywał już kiedyś pojedyncze przypadki, ale nigdy żeby w ten sposób zwiślała cała ptasia rodzina. I wtedy przypomniał sobie o Ricie i dzieciach, które zostały wyrwane z domu siłą. Także o Abdulu i Ragirze, biedactwach, które obronę matki przypłaciły życiem. O Sumi, która musiała się skryć w Hambarra. Przypomniał sobie, jak bardzo nienawidzi Najwyższej Kapłanki Wszechziemi i całej tej religii, niosącej ze sobą tyle nieszczęść.

– Co się dzieje ze złymi ludźmi? Też idą do Patri? – zapytał, kiedy dotarli na miejsce spotkań i wrzucił swój kawałek drewna do ognia.

Ghaideng Ru upomniał go karcącym spojrzeniem, jakby chciał przypomnieć, że już wielokrotnie zakazywał mu poruszać temat wiary przy bogobojnych wieśniakach. To pytanie jednak zaskoczyło wszystkich. Śmierdzący człowiek bez ręki znał odpowiedź, zarówno tę oficjalną, jak i niecenzuralną, nie był jednak pewien, co sądzą na ten temat pozostali członkowie bractwa.

– No właśnie, a wy jak uważacie? – zapytał, zwracając się w kierunku Sande i Muotta.

Zrobili tylko głupie miny. Podobnie zareagował Kaaratu, który zmarszczył brwi i podrapał się po głowie.

– Idą do otchłani, do odwrotnego świata – odparł niepewnie.

– Moja babka mówiła, że należy spalić ciało niedobrego człowieka i wtedy wszystkie jego winy zostaną mu odpuszczone – wyjaśnił Karini. – Do Asaranu zawozi się jego prochy.

– Tak, ale tylko wtedy, kiedy zostanie spalony żywcem – oznajmiał spokojnym głosem Ghaideng Ru i spuścił głowę.

Wszyscy, łącznie z Fahidem, zamarli. Ta informacja mocno zmroziła ich gorące serca. Zerkali wzajemnie na siebie, jakby szukali odpowiedzi na rodzące się w głowach kolejne pytania.

- Jest taka przepowiednia zapisana w starych skryptach - kontynuował Ghaideng Ru ze spuszczoną głową. - Kiedy Asaran zostanie zapełniony, nastąpi koniec świata. Zanim to się jednak wydarzy, Wszechziemię nawiedzi potomek boga zła. Pod postacią pokuna, zrodzony z obcej kobiety. Będzie siał zniszczenie i śmierć. Jego pojawienie się zwiastować będą ptaki tak wielkie, że ich cień mógłby zasłonić całą Wszechziemię. A Patri...

- Co Patri? Gdzie wtedy będzie? - zapytał trzęsącym się głosem Muott.

- Nie wiadomo. Brakuje dalszej części skryptu.

Ghaideng Ru podniósł głowę i spojrzał po kolei na każdego z towarzyszy. Ta chwila trwała dla nich całą wieczność. Członkowie bractwa wyglądali na przerażonych, mieli nieobecny wzrok i płytki oddech. Ich serca dudniły w harmonii z odgłosami trzeszczących iskiei dochodzących z ogniska. Przywołanie tak strasznych rzeczy mogłoby poskromić najdzielniejszego woja, a co dopiero tchórzliwych, ubogich rzemieślników. Wszak oni, jak każdy dorosły mieszkaniec Floris, znali powiastkę o pochodzeniu pokunów. Wywodziła się z jednego z najstarszych skryptów, spisanych jeszcze przed początkiem świata. Już wtedy nauczono się przypisywać bogom cechy zwierząt i ludzi. Jeśli na którejkolwiek ze starych kart pojawiała się jakakolwiek wzmianka na temat Patri, opisywano ją jako dojrzałą, piękną kobietę. Z kolei złego boga zarządzającego otchłanią lub, jak kto woli, pana odwróconego świata, uosabiano ze starcem z wylupionymi oczami. To on kojarzony był z miejscem, gdzie trafiają dusze ludzi bez wiary, grzeszników lub wątpiących. Według wierzeń wiele er temu starzec ten nie mógł sobie poradzić z przybywającymi tłumnie zastępami krnąbrnych dusz złych ludzi. Dlatego stworzył do pomocy pokuny, stwory wyglądające tak przerażająco i mające tak wredne charaktery, że żadna zła dusza nie śmiała z nimi zadzierać. Pewnego dnia ślepy starzec wypuścił z otchłani całą armię tych okropnych potworów, by zniszczyły ludzkość. Uczynił to na złość swej stwórczyni - wiedział, że Patri upodobała sobie te istoty najbardziej. Ludzie bronili się długo. Wielu z nich poległo, lecz ostatecznie to im, z pomocą bogini, udało się wygrać tę wojnę. Pojedyncze pokuny pochowały się w lasach i do dziś szukają sposobności, by się odegrać. Jedno, co było pewne, to fakt, że kiedyś nastąpi dzień ostatecznej rozgrywki.

- Jak to dobrze, że nie nauczyłem się czytać - powiedział Kaaratu, czym rozbawił towarzyszy, w mig odwracając ich uwagę od myśli o katastrofie.

- Ty nawet nie umiesz opowiadać, ha, ha! - zachichotał Karini.

- I dobrze. Przynajmniej nie strzępię jęzora jak ty - odgryzł się Kaaratu. - Ja za to umiem liczyć.

- To licz na siebie - żartował Muott.

- A tobie po co było się uczyć czytać? - zapytał Fahida rozbawiony Jimii.

- Ojciec mnie przekonał. To on mnie nauczył, a jego wcześniej nauczył wuj.

- Aleś się dał nabrać, ha, ha! - podsumował Sande.

Członkowie bractwa długo żartowali na temat korzyści wynikających z braku posiadania różnych umiejętności. Fahid zdał sobie sprawę, że jego wcześniejsza niewiedza też okazała się błogosławieństwem. Wiele by dał, by wszystko było jak dawniej.

W tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawiła się Taarida. Stanęła za Fahidem i przyłożyła mu nóż do gardła.

- Fahid Manduarra? - zapytała, napawając się przerażeniem towarzyszy.

- Tak - odpowiedział.

- Pójdziesz ze mną.

Członkowie bractwa oniemieli. Ich miny mówiły wszystko. Kaaratu przypomniał sobie, że to on sprzedał Fahidowi kuszę, i ten pewnie go wyda. Oczami wyobraźni zobaczył, jak gilotyna obcina mu głowę. Ghaideng Ru westchnął smutno. W duchu pożegnał człowieka, którego mógłby nazwać przyjacielem. Kiedy ochłonął, przypomniał sobie, że Taarida prawdopodobnie czekała w ukryciu od jakiegoś czasu. Ile usłyszała?

Informacja o zamknięciu granicy przez kapłankę z Floris rozeszła się w Inco w mgnieniu oka. Wiele kobiet dotychczas oczekujących w kolejce na upragnionego mężczyznę, miało już swoje plany związane z prokreacją, a nawet zamążpójściem. Druzgocące wieści podbarwiane plotkami wywołały nerwowość w narodzie. Do niedawna wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, dlatego decyzja Ae została potraktowana w mediach jako atak na demokrację. Uczucia były mieszane, a społeczeństwo podzielone. Część mieszkank Inco obwiniała za wszystko kapłankę z Floris, działalność Rządu zaś oceniała wzorowo. Inne - a ta grupa była równie liczebna co pierwsza - mimo silnej propagandy krytykowały gabinet Ewy Noovack za błędy dyplomatyczne i kłamstwa. Trzecią, najmniejszą grupę, stanowiły zwolenniczki teorii spiskowej, które uważały, że Noovack i Ae to jedna osoba.

Tymczasem we Floris zaczęło się robić gorąco. Informacje o mężczyznach zabitych przy wodospadzie Pinati obiegły cały kraj, a podsycane przez kuglarzy pogłoski na temat ciemnej natury Ae posiały ziarna niepokoju w społeczeństwie. Szczególnie jedna trupa, zarządzana przez lalkarkę z tatuażem na twarzy, poczynała sobie wybitnie bezczelnie. Tam, gdzie się pojawiała, wzbudzała niezdrową sensację i aplauz. Pikanterii dodawało to, że za każdym razem jej trupie udawało się umknąć sprawiedliwości. Ileż zabawy miała gawiedź, widząc niezdarne, spóźnione działania lokalnego kapłana, mające na celu wyłapanie wrogów narodu. „Chichot losu” - szeptano. Z czasem przekazywana z ust do ust wieść o wędrującym po kraju spektaklu, opowiadającym historię odgrywanej przez brzydką kukłę władczyni, dotarła do Patrix i rozsierdziła Ae. Kapłanka nakazała uciszyć trupe, lalkarkę zaś przyprowadzić przed swoje oblicze. Żywą. Niby wydawało się to łatwe do wykonania, lecz nie w tym konkretnie czasie. To właśnie wtedy kolejne bractwa zaczęły wypełzać z ukrycia i wzajemnie nakręcać się przeciwko władzy. Mając wsparcie rozjuszonego narodu, czując moc solidarności z rodzinami poległych, bezceremonialnie krytykowały Kościół.

- Odbijemy Fahida! - krzyknął Kaaratu podczas spotkania braci, wyjątkowo zorganizowanego nie pod osłoną nocy, lecz w południe.

- Tak. Oddajcie nam Fahida! - zareagował buńczucznie Sande.

Pozostali członkowie bractwa również wyglądali na zdeterminowanych. Tylko Ghaideng Ru obserwował ich zapał z zimną krwią.

I wtedy zdarzyła się rzecz nieoczekiwana. Na niebie, po stronie Floris, pojawiły się wielkie ptaki. Latające maszyny ze skrzydłami napędzanymi promieniami Hello, które przekroczyły na wysokim pułapie energetyczny labirynt, wdarły się w głąb kraju od strony Inco. Bogobojni bracia, którzy nie mieli do tej pory styczności z technologią, odebrali to wydarzenie jako zapowiedź nieszczęścia.

- O tym mówiłeś? - zwrócił się do człowieka bez ręki Kaaratu. - Wielkie ptaki zwiastują narodziny złego boga?

Ghaideng Ru spojrział w niebo i zrobił minę, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Zobacz, jakie rzucają cienie. Są ogromne. Biada nam - lamentował Jimii.

- Patri, ratuj! - krzyczał Muott.

- Chodźmy do świątyni - zaproponował Sande.

- Tylko Najwyższa Kapłanka Wszeczziemi może nam pomóc - paplał w kółko Kaaratu.

Latające maszyny - dotychczas używane do rozgania smogu w pierwszej i drugiej dzielnicy Inco - miały za zadanie rejestrowanie obrazu zarówno granicy pomiędzy krajami, jak i miast, osad oraz skupisk ludności. Po przeróbkach, które wprowadzono, ich zasięg został wielokrotniony, przede wszystkim poprzez inteligentne programy sterujące. Pojawianie się wielkich ptaków w różnych regionach religijnego kraju wyciszyło niezadowolenie społeczne. Świątynie znów zapełniały się ludźmi. Wiara stała się jedyną nadzieją społeczeństwa. Nawet ci wątpiący ukorzyli się przed obliczem Patri.

W Inco na wszystkich czterech kanałach teatromanii emitowane były wywiady z Floriańczykami. Przeplatano je ujęciami z granicy.

- Kapłanka Ae nie zgadza się, żeby mężczyźni z Floris oddawali swoje nasienie niewierzącym kobietom - powiedział na ekranie jeden z białowłosych. - Wielu naszych braci straciło życie za to, że chcieli przybyć wam z pomocą.

W tym momencie na ekranie pojawił się obraz z kamery umieszczonej w latającej maszynie. Przedstawiał widok setek kobiet z drugiej dzielnicy stłoczonych tuż przy wodospadzie Pinati. Po chwili obraz został przybliżony i przesunął się w kierunku rzeki. Na jej powierzchni pływało kilka trupów. Kolejne ujęcia przedstawiały zbliżenia oddziałów kapłanek pilnujących granicy. Były uzbrojone, a ich nieprzejednane, okropne gęby odstraszyłyby najdzielniejszego mężczyznę. Wyglądały wręcz odrażająco. Następnie na ich tle dał się słyszeć smutny komentarz Martiny Kuny.

- Kapłanka z Floris uważa, że nasz kraj powinien wymrzeć, bo żyjemy niezgodnie z wytycznymi, jakie przekazała bogini Patri. Według ich świętego kanonu każdy mężczyzna może mieć tylko jedną kobietę - powiedziała.

- W naszej religii jest wiele zakazów. - Znów pojawił się na ekranie białowłosy Floriańczyk. - Mówimy na to grzechy śmiertelne, bo jak ktoś nie przestrzega ograniczeń, czeka go śmierć.

W tym momencie na ekranie pojawiła się Eva Noovack. Wyglądała skromnie.

- Drodzy rodacy - zaczęła jak zwykle patetycznie. - Być może świat, który znamy, nigdy nie będzie już taki sam. Sąsiednie państwo chce uderzyć w naszą wolność i demokrację. Chce upokorzyć nasze społeczeństwo. Mamy się ugiąć, klęknąć przed ich władczynią, jak to zrobił sprzedajny Rząd Clifforda. Kapłanka wysłała armię Florianek przeciwko swoim mężczyznom, którzy pragnęli szczęścia u boku naszych kobiet. Nie powinniśmy ingerować w ich wewnętrzne sprawy, ale zaczynają dotykać także nas. Obiecuję wam, że znajdę rozwiązanie. Niech żyje Inco! Niech żyje miłość!

ROZDZIAŁ 20.

Widmo

Chyba coś się zaczyna – powiedziała nad ranem Vicky. – Mam skurcze.

– Ale to niemożliwe – zareagował Addam. Zerwał się z łóżka, w którym spał z Madelleine i Apolomeą. – Jesteś dopiero w dwudziestym piątym tygodniu.

Jasmin spojrzała z niepokojem w kierunku młodej dziewczyny, potem na Addama, następnie w stronę jego zaspanych przyjaciółek. Sama nie spała od godziny. Słyszała, że Vicky kręci się, szukając wygodniejszej pozycji, ale nie zwracała na nią uwagi.

– Wzywam służby ratunkowe – powiedział. – Przecież nie będziesz szła piechotą do szpitala.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zanim zdążyli się ubrać, do drzwi zadzwoniła lekarka z dwoma humanami. Ich zielone uniformy – inne niż przedstawiciele gardy – przypominały pielęgniarskie kitle. Vicky, wychodząc, spojrzała w kierunku drugiej ciężarnej, jakby szukała wsparcia; wyglądała na przerażoną i zagubioną. Jasmin odwróciła wzrok, choć później tego żałowała. Przecież niczego by nie straciła, gdyby dodała otuchy tej niebodze. Po wyjściu z apartamentu Vicky została zwieziona windą na parter, a stamtąd pojazdem służb ratunkowych przetransportowana do szpitala. Addam pobiegł za nimi.

Jasmin miała niespokojne myśli. „Czyżby coś złego stało się z dzieckiem?” Przypomniła sobie, że przeklęła chłopca w myślach. „To nie było mądre” – pomyślała. „Przecież chłopczyk nie jest niczemu winien. A jeśli Vicky też pomyślała o niej źle? I o jej córkach? To nie tak powinno wyglądać. Niech już tylko dobrze się zakończy” – snuła rozważania. „Wszystko jej wybaczam, byle tylko dzieciom nic się nie stało”. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jej ciąża jest zdecydowanie bardziej zaawansowana. Jasmin była w trzydziestym piątym tygodniu, w dodatku nosiła w brzuchu trójkę, a to zazwyczaj wiązało się z wczesnym porodem. Postanowiła, że zacznie się pakować. Nie chciała być zaskoczona jak Vicky.

Poród odbył się z komplikacjami. Addam siedział w poczekalni i wysyłał wiadomości do wszystkich, których znał, informując, że lada moment będzie ojcem chłopca. Zwrotnie przychodziły gratulacje od rodziców Addama, jego braci, a nawet od przyszłych teściów nienarodzonego jeszcze dziecka. Wszyscy ojcowie przyszłych żon chłopca, łącznie z Aratunią, zapowiedzieli się z wizytą.

– Panie Kozilov, zapraszam – powiedziała doktor Meilly, wchodząc do poczekalni.

– Jest chłopak? – zapytał Addam.

– Proszę wejść. – Doktor Meilly ustąpiła Addamowi, kiedy przekraczał próg sali porodowej.

Vicky leżała na szpitalnym łóżku przykryta przezroczyście ciepłą kołdrą. Widać było, że jest ubrana w luźny strój okrywający ciało, lekko poplamiony krwią w okolicach nadal wydętego podbrzusza. Wyglądała na szczęśliwą. Uśmiechnęła się do męża. Po chwili human

przytransportował inkubator ze śpiącym malcem na pokładzie. Wiktorrek był opatulony termicznym kocem. Widać było tylko jego zapuchnięte, zamknięte oczy.

- Ale malutki - zareagował Addam i przetarł oko, udając, że coś mu wpadło.

- Pani mu powie czy ja mam to zrobić? - zapytała doktor Meilly.

- Co ma mi powiedzieć? - Addam zareagował nerwowym tikiem, na jego twarzy pojawił się niepokój.

Vicky odwróciła głowę. Doktor Meilly westchnęła, ganiąc w myślach świeżo upieczoną mamę za tchórzostwo.

- Proszę usiąść - zwróciła się do Addama, wskazując brzeg łóżka jego żony.

Uczył to, o co go poproszono, lecz zrobił minę, jakby nadal nie rozumiał powagi sytuacji. Głupawo się uśmiechał.

- Państwa syn jest wcześniakiem. To się wiąże z wieloma konsekwencjami.

- Uff, ulżyło mi. Myślałem, że to coś gorszego. Tyle się teraz mówi o tych mutantach.

- To nie wszystko - powiedziała Vicky.

- Państwa syn ma hipohydrotyczną dysplazję ektodermalną - kontynuowała doktor Meilly. - Tryb autosomalny recesywny. Oznacza to nieprawidłowy gen od obojga rodziców.

- Co? A co to za cholera? - Addam wietrzył coś najgorszego.

- Bardzo rzadkie schorzenie. Objawia się całkowitym lub częściowym brakiem niektórych gruczołów oraz dość często deformacją twarzy.

Addam zerwał się w kierunku inkubatora i zaczął panicznie szukać możliwości jego otwarcia. Dotykał palcami miejsc, które wydawały mu się czymś podobnym do klamek.

- Proszę nie otwierać.

- Muszę zobaczyć.

- Może go pan zabić. Choroba jeszcze nie ma widocznych objawów. Pojawią się dopiero z czasem. Jeśli przeżyje.

- Co? Jak to, jeśli przeżyje?! Co to jest, kurwa, szpital czy dom pogrzebowy?!

Addam podbiegł do Vicky i objął ją czule.

- Kochanie, co oni ci zrobili?

- To nie oni - odpowiedziała.

- Przecież potraficie wykrzyć chorobę na czas - histeryzował. - Dlaczego nie udało się tego zrobić?

- Pańska żona wiedziała od samego początku, z czym się borykamy. Wstrzykiwaliśmy proteinę EDA-1, kiedy tylko odkryliśmy, że płód jej nie wytwarza.

- Wiedziałaś o tym? Dlaczego mi niczego nie powiedziałaś? Kazałaś mi zawsze czekać na korytarzu. Wszystko dobrze, wszystko wspaniale - ironicznie naśladował głos młodszej żony. - Wcale nie było dobrze! Kurwa!

Vicky zamknęła oczy. Wyglądała na zawstydzoną.

- Proszę ją zostawić w spokoju. To nie jej wina. Liczyła, tak samo jak my, że się uda. Teraz potrzebuje pańskiego wsparcia.

Addam wstał. Zrobił kilka szybkich kroków. W końcu stanął i zamyślił się.

- Co to znaczy deformacja twarzy? - zapytał.

Addam uprzedził całą rodzinę, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, ale jak każdy wcześniak musi przez jakiś czas pobyć w inkubatorze. Vicky miała wrócić za dwa dni, a potem

odwiedzać malca codziennie aż do momentu uzyskania odpowiedniej wagi i wypracowania odruchu ssania. Wszyscy byli jednak bardzo ciekawi, jak wygląda potomek Addama. Nikt ze znajomych i krewnych nie zamierzał czekać, aż cała rodzina będzie w komplecie. Bez zaproszenia odwiedzali chłopca w szpitalu. Jedyne Jasmin nigdzie się nie ruszała. Nie była w stanie. Dziwiło ją tylko zachowanie męża. Przyglądała mu się z niepokojem. Nie wyglądał na szczęśliwego, a znała go dobrze. Nawet jeśli opowiadał o tym, jak wygląda jego pierworodny, na jego twarzy nie widać było zachwyty, tylko coś na kształt skrywanej pod maską obawy. Trzy dni po wyjściu ze szpitala Vicky wraz z Addamem udali się tam, by zobaczyć dziecko. Potem mieli kupić łóżeczko, nosidło, wózek – bardziej ze względu na Wąsacza, żeby się nie męczył z noszeniem dziecka – i kilka potrzebnych drobiazgów. Nie zrobili tego wcześniej, gdyż papa Wąsacz uznał, że nie należy zapeszać. Addam jednak wrócił ze szpitala sam, dopiero późnym wieczorem.

– Co się stało? – zapytała Jasmin na widok jego spłakanych oczu.

– Byliśmy razem w Wiktorka w małej salce, w szpitalu. Powiedziała, że musi iść do toalety. Zapytałem, czy sobie poradzi. Odpowiedziała, że tak. Usłyszałem kilka wrzasków, jakby ktoś darł się na kogoś: „Oddaj pieniądze, złodziejko”. Potem inne głosy, krzątanie. Pomyślałem, że też sobie znaleźli miejsce na kłótnię. Miałem ochotę tam pójść, lecz nie chciałem zostawiać chłopca samego. Wiem, że nic by mu się nie stało w inkubatorze, ale tak wtedy pomyślałem. Potem usłyszałem płacz jakiejś kobiety, odgłosy ratunkowych humanów, lekarek i położnych. Wtedy weszła Doktor Meilly i spojrzała na mnie.

– Co się stało? – zapytała Madelleine.

– Vicky została zamordowana.

– Co? Jak to? Dlaczego? – dopytywała się Jasmin.

Addam kręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma pojęcia.

– A garda? Co mówią? – rzuciła kolejne pytania, które bombardowały męża coraz to gorszymi wspomnieniami.

– Prowadzą śledztwo.

– A co z dzieckiem?

– Zgłosiłem go do programu adopcyjnego. Nie dam sobie rady z jego wychowaniem.

– Oszalałeś?! – wrzasnęła Jasmin. – A co będzie z nami? Na niego mieliśmy dostać zasiłek.

Addam powiedział o chorobie chłopca, czym wywołał niemały szok u domowników. Jak się okazało, Wiktorka czekało życie w ukryciu, nie tylko przed światem, który będzie go traktował jak dziwadło, lecz także przed promieniami Hello. Choroba, jakiej doświadczył, powodowała niewykształcenie gruczołów potowych, wskutek czego organizm nie mógłby się pocić, a tym samym schładzać ciała, nawet produkować łez. Takie dzieci, a w całym Inco było ich zaledwie piętnaścioro, były niemal łyse, miały suchą skórę i stożkowate zęby, jeśli w ogóle je posiadały. Wyglądały jak małe potworki, straszły bardziej niż hermy. Madelleine i Appolomea wyprowadziły się jeszcze tego samego wieczora. W domu zrobiło się nieznośnie. Addam dzień w dzień sprycował się upperem. Mówił, że życie nie ma dla niego sensu. W nocy dość donośnie oplakiwał swoją drugą żonę, nie dając spać także sąsiadom. Jasmin nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Z jednej strony gnębiły ją wyrzuty sumienia, że myślała źle o Vicky oraz o jej dziecku. Z drugiej jej życie po raz kolejny stanęło na głowie.

Wąsacz nie potrafił sobie poradzić ze stratą ukochanej córki. Za wszystko obwiniał Addama i Jasmin, zwłaszcza za ich pazerność. Kiedy zdał sobie sprawę, że stracił nie tylko Vicky, lecz także pieniądze zainwestowane w związek, był pewny, że zabójstwa dokonały rodziny przyszyłych żon Wiktorka. Pewnie zleciły komuś morderstwo. Garda nie radziła sobie ze śledztwem, gdyż mieli ważniejsze sprawy, wagi państwowej. Dlatego Wąsacz postanowił samodzielnie odnaleźć sprawców i wymierzyć sprawiedliwość. Na końcu zakładał, że sam adoptuje dziecko. Wszak nieczuły w jego oczach Addam chciał się pozbyć problemu. Kiedy dowiedziała się o tym Jasmin, zaproponowała mężowi, żeby nie odtrącał chłopca, że to ona zajmie się wychowaniem. Wiedziała, że tylko kiedy zachowają Wiktorka w rodzinie, mają szansę na zasiłek. Nie cieszyła się, że los pozbawił ją rywalki.

- Nie zgadzam się - odpowiedział Addam. - To już będą cztery bachory pałętające się po domu.

- Chcesz oddać swoje dziecko obcym?

- To wszystko twoja wina. Gdybyś nie namówiła Vicky na te pierdolone targi ślubne, ona by żyła. To ty podkrecałaś ojców, żeby dali więcej kasy. Stałaś zwłaszcza po stronie tego Floriańczyka. Nienawidzę tych wieśniaków. Mam nadzieję, że będzie wojna i wyplenimy tę zarazę.

Jasmin zobaczyła zupełnie innego człowieka. Nie był podobny do tego, który kiedyś oświadczał się jej w Szklanej Kopule. Addam w jej oczach stał się zimnym skurwysynem, pozbawionym uczuć egoistą. Nawet jego analityczny umysł przestał ją interesować.

- Wystarczy, że nie mogę się pozbyć ciebie - rzucił nagle. - Jeśli zgodzisz się na rozwód, możesz go sobie wziąć.

Jasmin nie zastanawiała się zbyt długo. Zgodziła się. Uzgodnili, że będzie mieszkała w apartamencie do czasu, kiedy dziewczynki skończą trzy miesiące. Potem ma - jak się wyraził małżonek - wypierdalać. On w tym czasie będzie mieszkał u rodziców, żeby nikt się do nikogo nie przyzwyczaił. Postanowiła, że po trzech miesiącach pójdzie do pracy i będzie ją stać na wynajem małego mieszkania w slumsach. Wreszcie zobaczyła światelko w tunelu.

Z uwagi na zaawansowaną, kłopotliwą ciążę adopcja oraz rozwód odbyły się bez wychodzenia z apartamentu, w formie elektronicznej, tylko w obecności świadków. Byli nimi sąsiedzi Ginger i Ksaverius.

Wczesnym rankiem w apartamencie Addama, w którym od kilku dni mieszkała samotnie Jasmin, dał się słyszeć cichy odgłos gongu. Ciężarna białowłosa spała w łóżu do niedawna zajmowanym przez Madelleine i Appolomeę. Od wyprowadzki Addama nie sprzątała. Wdarł się bałagan świadczący o tym, że było to mieszkanie tymczasowe, a gospodyni ma gdzieś wszystkie obowiązki poza dbaniem o własny tyłek i przede wszystkim brzuch. Powoli wstała i jeszcze wolniej ruszyła w kierunku drzwi. Gong, tym razem natarczywiej, przypomniał, że ktoś czeka na zewnątrz, lecz ona nie była w stanie iść szybciej. Doczłapała się w końcu i kiedy uchyliła drzwi, do środka wszedł niezaproszony Aratunia.

- Ale tu macie chlew. Gdzie twój mąż? - zapytał.

- Addam nie mieszka ze mną - odpowiedziała. - W czym mogę panu pomóc?

- Przyszedłem po pieniądze. Wzięliście zadatek za ślub, a ślubu nie będzie. Pani mnie namówiła.

- Ja niczego nie wzięłam. Proszę się zwrócić do byłego męża. To z nim pan podpisywał umowę. Byłam tylko świadkiem.

- Tak, ale ten, jak mu tam, Wiktor to jakiś potwór. Nie dam mojej córki na zmarnowanie.

- Co pan opowiada? To tylko wcześniak.

- Czytałem, co z takich wyrasta. Oddaj pieniądze! - krzyknął Aratunia i uderzył Jasmin z całej siły w twarz, tak że upadła na podłogę.

Spojrzał na nią z pogardą i wyjął z kieszeni nóż. Jasmin złapała się za brzuch i zrobiła grymas bólu.

- Nie udawaj - powiedział, groźnie machając nożem. - Macie tydzień na oddanie zadatku, podwójnego. Inaczej skończycie jak ta czarnowłosa gówniara. Słyszałaś, co do ciebie mówię, Florianko? Myślałaś, że nie wiem? Wstydzisz się korzeni, białowłosa cipo?

Jasmin powoli zaczęła się podnosić, lecz ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Widać było, że ta karkołomna sztuka sprawia jej nie tyle trudność, co ból. W końcu wstała, lecz kręciło jej się w głowie. W tym czasie Aratunia wszedł do chłodziwa.

- Macie jeszcze sporo wody. Biorę wszystko - powiedział.

Potem zaczął buszować po szafkach. Wyrzucił ich zawartość, robiąc bałagan jeszcze bardziej niemożliwy do ogarnięcia dla ciężarnej. W tym czasie Jasmin zmierzała w kierunku łóża. Dostrzegł to i wyprzedził ją.

- Na pewno coś tu chowasz - powiedział i odkrył koldrę.

Jego zawiedziona mina mówiła wszystko. Same zasmarkane chusteczki, komunikator i zmięte opakowania po batonach.

- Syfiara. Co za rodzinka - wycedził przez zęby.

Jasmin zdążyła podejść bliżej. W tym momencie Aratunia rozglądał się po salonie, jakby czegoś szukał.

- To za białowłosą cipę! - wrzasnęła i uderzyła go w głowę przenośnym aparatem do nawilżania powietrza, który stał na nocnej szafce. - A to za Vicky! - Poprawiła.

Aratunia natychmiast stracił przytomność i przewrócił się. Potem upadła Jasmin, nie na łóżko, lecz obok oprawcy. Obydwoje leżeli w bezruchu. Oczywiście Jasmin zalane były łzami, lecz nie płakała. Zaczęła je mrużyć, jakby chciała wysuszyć każdą kroplę. Traciła przytomność. Po chwili usłyszała czyjeś kroki i znajome głosy, męski i damski, lecz były one jakby w innym wymiarze.

Jasmin obudziła się w obskurnej sali pooperacyjnej. Była w niej sama. Migocząca jarzeniówka brzęczała nieznośnie, a aparaty, do których była podpięta, pikały nierówno. Pomacała się po brzuchu. Był niewiele mniejszy, ale nie było w nim życia. Mogłaby pomyśleć, że to wszystko jej się śni, lecz zdała sobie sprawę, że podczas snu przecież nic nie boli. Świeże, głębokie rany po operacji paliły ją żywym ogniem, a podbrzusze przypominało, że już pora, by macica obkurczyła się do normalnych rozmiarów. Jasmin nie mogła sobie przypomnieć, jak to się stało, że znalazła się w szpitalu. Pamiętała tego bandziora, z pochodzenia Florianczyka, który przyszedł odzyskać pieniądze. Pamiętała też, że się szamotali. Niczego więcej.

W tym momencie na salę weszła czarnowłosa położna. Miała ze cztery oczyszczenia i miłą aparycję.

- Czy już po wszystkim? - zapytała Jasmin.

- Proszę się oszczędzać. Straciła pani dużo krwi.

- Czy mogę zobaczyć moje dzieci?

Położna patrzyła na nią, jakby udawała, że nie słyszy pytania.

- Czy coś się stało? – dopytywała się Jasmin.

- Walczyliśmy o pani życie. Miała pani ciężkie obrażenia.

- Gdzie są dziewczynki?

Położna spuściła wzrok.

- Co im zrobiliście? – zapytała nadal spokojnym głosem, pełnym wątpliwości.

- Nie dało się ich uratować.

Jasmin zamarła.

- Dobrze, że sąsiedzi się pojawili na czas, bo nie byłoby co zbierać. Garda na szczęście złapała tego bandytę.

Położna gadała dalej do siebie, lecz pacjentka była myślami gdzie indziej.

Ból i pustka. Nic więcej. Żadnych pragnień, tęsknoty, chęci płaczu. Jasmin przypominała trupa, jakby wraz z pewnością odcięto jej dopływ tlenu. Cała kobiecość pod postacią trzech dziewczynek została wyrwana z jej ciała siłą i wyrzucona na śmietnik.

- Co się z nimi stało? – zapytała położna, kiedy weszła, by sprawdzić kroplówkę. – Z moimi córeczkami?

- Dziecko, one były martwe – odpowiedziała z wyczuwalną empatią.

- Nie wierzę. Muszę zobaczyć.

- Co? Ale to jest niemożliwe. Procedury zabraniają.

- Muszę. Rozumiesz, kurwa?! Muszę! – wrzasnęła.

Położna zastanowiła się przez chwilę, zagryzła wargi.

- Nie chcesz tego oglądać – powiedziała.

- Sprawdź mnie.

Pokazali. To znaczy Jasmin musiała osobiście pofatygować się do piwnicy. Szła powoli, wręcz drobila, podpięta do kroplówki, którą trzymał idący obok human służb ratunkowych. Dziewczynki, a w zasadzie trójka sinych bobasów zatopionych w mieszaninie wód płodowych i krwi, leżały w przezroczystym worku z etykietą: „X, Y, Z. Potomstwo Jasmin i Addama Kozłłowów. Przeznaczenie: do utylizacji”.

Ten widok powaliłby najmocniejszego. Zachwiała się, lecz human podtrzymał ją za rękę.

- Spierdalaj, złomiarzu! – krzyknęła.

- Spokojnie, dziecko. – Położna przejęła pacjentkę z rąk humana i utuliła ją mocno.

- X, Y, Z? – zdziwiła się Jasmin.

- Nie znaleźliśmy imion. – Położna westchnęła i spuściła wzrok.

- Irmina, Jona i... Vicky – powiedziała smutnym głosem Jasmin.

- Ładnie. Na pewno pasują. *À propos* Vicky, w systemie UKP jest informacja, że adoptowałaś jej synka. Chcesz go zobaczyć?

- Nie.

- Rozumiem, nic na siłę. Poczekamy, aż wydobrzejesz.

- Niczego nie rozumiesz. Tam, dokąd się wybieram, nie będzie mi potrzebny.

- Głupia jesteś. Tylko proszę mi tu bez żadnych prób samobójczych na mojej zmianie – zażartowała położna, choć po chwili ugryzła się w język.

Kiedy wrócili na oddział, a Jasmin została sama w salce pooperacyjnej, dopadł ją wstrząs. Ciało zaczęło samoistnie drżeć, serce waliło jak opętane, a mózg w szale wyrzucał z siebie same przygnębiające myśli. Jakby wszystkie najgorsze emocje, zarówno te stare, zakorzenione, niezbyt dokładnie zabliznione, jak i te świeże, pachnące nowością, chciały wywołać ulewę płaczu. W końcu eksplodowała. Płakała rzewnymi łzami. Wyła, spazmowała, biła pięściami o ramę łóżka. Krzyczała na siebie, świat, Addama, nawet na oczy, że nie chcą przestać produkować łez. Zasmarkany w moment nos wycierała na bieżąco rękawem. Nie dbała o to, że wysmarowała glutami bieliznę. Wszystko co złe, obszligłe i okropne wychodziło z niej na zewnątrz. Nikt jej nie przeszkodził, nikt nie wszedł ani na chwilę, by ją pocieszyć. Cały świat dał jej czas, by mogła się wyzalić. Jakby wszyscy ludzie znajdujący się w szpitalu i okolicach, gdzie była słyszana, pozwolili jej wyrzucić z siebie tę miażdżącą tragedię. Kiedy po trzech godzinach oczy zlitowały się nad nią i przestały produkować łzy, nie czuła już nic. Od czasu do czasu bezwiednie pociągała tylko nosem, choć był już czysty.

Minęły dwa tygodnie. Blizna się zagoiła; ta na brzuchu. Ta w sercu nie. Mimo bolesnej straty Jasmin codziennie oddawała pokarm, który napływał do jej piersi. Ściągała go przez laktator prosto do szklanego naczynia i przekazywała położnej. To ona namówiła ją do tego, wbrew pozorom, heroicznego czynu. Pierwszą reakcją Jasmin była kategoryczna odmowa, ale w końcu się zgodziła, kiedy usłyszała, że większość kobiet nie ma takiego szczęścia jak ona. „Honorowa dawczyni” – tak o sobie myślała.

Tego dnia miała wyjść, lecz czekała jeszcze na elektroniczny wypis. Mogła go otrzymać dopiero po zbadaniu przez ginekolożkę. Wypis był bardzo ważny, gwarantował zdjęcie blokady w systemie UKP, czyli upragniony dostęp do zaoszczędzonych dwudziestu sześciu tysięcy bytów.

Jasmin była już zniecierpliwiona, miało południe, a nadal czekała na lekarkę, która miała ją zbadać rano. Takie spóźnienie mogło być ocenione jako naganne, ale nie w tym konkretnym przypadku, gdyż pacjentka wyjątkowo leżała na chirurgii. Kilka dni po tym, jak zobaczyła worek z podpisem „X, Y, Z”, poprosiła o przeniesienie na inne piętro. Wolała się rehabilitować pomiędzy chorymi ze złamanymi nogami, rękami lub z ranami ciętymi w wyniku walk ulicznych, a takich było coraz więcej, niż w towarzystwie szczęśliwych matek czy słuchając nieznośnego płaczu ich dzieci.

Nie zamierzała czekać do wieczora i w końcu sama udała się na oddział ginekologiczno-położniczy. W połowie drogi do gabinetu lekarki znajdowała się sala dla wcześniaków. Jasmin zatrzymała się i z ciekawością zajrzała do środka. Większość maluchów to były dziewczynki. Wiktorrek, niczym wybraniec, leżał w inkubatorze zlokalizowanym na samym środku. Jakby nawet w szpitalu położniczym priorytet związany z płcią odgrywał kolosalną rolę. Jasmin zakradła się po cichu. Chciała tylko zobaczyć, jak wygląda syn Vicky. Nie wiedziała, czego może się spodziewać. Addam opowiadał o chłopcu same straszne rzeczy, dlatego podeszła ostrożnie. Dziecko nie wyglądało na potwora. Prawie całe było okryte specjalnym skafandrem chroniącym ciało przed skokami temperatury. Zobaczyła tylko oczy – piękne, po matce.

- W zasadzie szybko przybrał na wadze – powiedziała położna, która weszła za nią niepostrzeżenie i zbliżyła się do inkubatora.

Kobieta włożyła rękę przez sterylny rękaw aż po łokieć. Przysunęła palec do maski zasłaniającej twarz chłopca. Odchyliła ją. Buzia nie wyglądała dziwnie, coś było z nią nie

tak, ale to z pewnością nie był żaden potwór. Jego usta zaczęły reagować na dotyk.

– Ma odruch ssania – powiedziała położna.

W tym momencie Jasmin poczuła, że do jej piersi zaczął napływać pokarm. Złapała się prawą ręką za lewą pierś i wymacała ją, gapiąc się odruchowo w jej kierunku.

– Czuję to – powiedziała.

– Mogłabyś go nakarmić – zaproponowała położna.

– Nie chcę.

– Jak uważasz. Twój wybór.

Jasmin zastanowiła się przez chwilę. Spojrzała na malca.

– Albo chcę. Tylko jak to zrobimy?

– Poczekaj.

Położna zaczęła ostrożnie wyciągać dłoń z rękawa, lecz na nic to się zdało, chłopiec natychmiast zaczął płakać. Serce Jasmin biło jak szalone.

– Szybciej – powiedziała.

– Chwileczkę, musimy wyrównać temperaturę – odpowiedziała położna i kliknęła przycisk na obudowie inkubatora.

Zaczęły migać diody, po czym słychać było odgłos wypuszczanego z dużym ciśnieniem powietrza. Coś piknęło, coś zazgrzytało i otwarła się pokrywa. Wiktorek cały czas płakał. Położna wyjęła go ostrożnie z urządzenia i wręczyła Jasmin, która nie była pewna, jak należy trzymać tak drobne dziecko. Prawą dłonią chwyciła pod tyłek, a w lewym zgięciu łokcia ułożyła główkę. Chłopiec nadal płakał. Widać było, że Jasmin nie wiedziała, jak sobie dalej poradzić. Położna pomogła jej odchylić bluzkę i wyjęła nabrzmiałą pierś. Płacz dziecka ustał, kiedy w jego buzi znalazła się brodawka z życiodajnym pokarmem. Jasmin zrobiła grymas, jakby coś zaczęło ją boleć.

– Czuję brzuch. Czy to z powodu tego, że to obce dziecko?

– Głupoty gadasz. To normalne. Podczas karmienia uwalnia się oksytocyna, która powoduje szybsze obkurczanie macicy. Zresztą Wiktorek zna smak twojego pokarmu. – Położna uśmiechnęła się w geście triumfu, jakby właśnie wyjawiała wielką tajemnicę.

Jasmin odwzajemniła się serdecznym grymasem przypominającym półuśmiech i skupiła wzrok na chłopcu. Po karmieniu, pod pretekstem silnego zmęczenia, wróciła jednak do swojej sali. Postanowiła, że tam poczeka na lekarkę. Musiała się wyciszyć.

Po badaniu upewniła się, że blokada została zdjęta, szybko się ubrała i trzymając za brzuch, wyszła z budynku. Była przekonana, że nie może zabrać ze sobą Wiktorka. Tam, dokąd się wybierała, nie był już jej potrzebny. Tam nikt nie płacił zasiłku na chłopca. Postanowiła spełnić marzenie matki i odnaleźć rodzinę Manduarrą, a potem się zobaczyć. Najwyżej wróci. Miała pieniądze na start. Z tego, co kojarzyła, mieszkali w zachodniej części Floris. To właśnie w tym kierunku zamierzała wyruszyć.

Kiedy dotarła do apartamentu Addama, posprzątała cały bajzel, który zostawiła, łącznie z dowodami szamotaniny z Aratunią. W końcu mogła zacząć się pakować. Czynność ta okazała się przyjemna. Jasmin czuła się natchniona i podekscytowana. Szybko przygotowała kilka najpotrzebniejszych rzeczy, w tym spory zapas batonów, odzież i buty na zmianę, kilkanaście butelek wody i wszystkie notatniki ojca.

Dopiero kiedy pakowała, a w zasadzie upychała pomiędzy jedyne wolne luki czerwone i zielone batony, zdała sobie sprawę, że nie powinna tyle dźwigać. Bagaż był dość ciężki, choć wzięła tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Wtedy przypomniała sobie, że gdzieś miała takie

śmieszne urządzenie do pobierania wody z wilgotnego powietrza. Nazywało się skraplacz czy jakoś tak. Było zgrabne i lekkie, w sam raz na taką wycieczkę. Działo na promienie Hello. Kiedy je kupowała, pokłócili się z Addamem. Powiedział wtedy, że nigdy go nie wykorzysta i że to stracone byty. „A jednak się przyda” – pomyślała. Znalazła je bez trudu. Wypakowała większość ciężkich, szklanych butelek i od razu zrobiło się lżej. Na wszelki wypadek zostawiła dwie mniejsze. Pozostałe rzeczy postanowiła podzielić, żeby ciężar rozłożyć na dwie strony ciała. Nie miała dwóch takich samych sakw, więc wzięła jedną białą i jedną przezroczystą. Spakowała do nich po równo cały niezbędny bagaż. Zrobiła próbę, czy da radę. Nie było źle. Addamowi zostawiła pożegnalny list, w którym postanowiła powiadomić go o dziewczynkach. „Powinien wiedzieć” – pomyślała.

Spojrzała ostatni raz na panoramę miasta przez okno apartamentu. W nim spędziła ostatnie półtora oczyszczenia, więc czuła, że musi to zrobić. Centrum Inco wyglądało, jakby szykowało się do kolejnej zmiany. Na wszystkich ekranach, na których jeszcze niedawno prezentowane były zanęty, widać było gadającą głowę premier Noovack. W kółko do czegoś zachęcała, żaden z przechodniów nie zwracał jednak na nią uwagi. Jasmin rozbawił ten widok. Weszła do pomieszczenia regeneracyjnego, rozejrzała się i uśmiechnęła do swoich myśli. Potem wróciła do salonu, zaścieliła łożę i usiadła na jego skraju. Spojrzała jeszcze w kilka miejsc, by nie zapomnieć o nich na całe życie. Westchnęła, wstała, zabrała sakwy i wyszła.

– Pani, uradzmy, co czynić – powiedział zatroskany Ali Ude, kiedy rozpoczęła się kolejna nadzwyczajna Rada Kapłanów.

– Byłem przekonany, że nie za mojego życia przyjdzie nam się zmierzyć z końcem świata – powiedział Mi-tu.

– To zależy od nas, czy będzie to koniec świata. Nie demonizujcie – uspakajała kapłanka.

– Ale ptaki... Wypełnia się przepowiednia – lamentował Namali. – Tylko ty, pani, możesz nas uchronić. I błogostawiona Patri.

– Uciszczone go, bo się porzygam. Powinam zakazać studiowania starych ksiąg. Odbierają rozum. Ling Gui – zwróciła się do szefa szkoły żołnierskiej. – Powiedz nam, jak wygląda sytuacja.

– W szkole mamy około pięciu tysięcy kapłanów niskiego szczebla w różnym wieku. W stałej armii jest prawie drugie tyle. Straż graniczna i purpurowi to w zasadzie garstka, nie ma co na nich liczyć. Nie polecam powoływania do ponownej służby kapłanów odpowiadających za nasze bezpieczeństwo w rewirach. Wysłaliśmy kilku szpiegów. Wiemy, że armia wroga jest opanowana przez kobiety, które nie posiadają militarne doświadczenia. Mężczyzn wyeliminowano z dowództwa. To daje nam przewagę.

– Prędzej wyrównuje szanse – podsumowała Ae.

– Ale Inco posiada maszyny. Nie muszą wylewać krwi swoich mieszkańców.

– Czy nasi kapłani od techniki odnotowali jakieś sukcesy w przerabianiu maszyn rolniczych na wojenne? – zapytała.

– Są postępy, ale trudno to nazwać sukcesem. Przydałby się brat pana Clifforda – powiedział Ling Gui.

Ali Ude zerknął na Najwyższą Kapłankę Wszechziemi. Liczył na pojawienie się emocji, która mogłaby potwierdzić słowa Kifora, że Ae kazała zabić wszystkich. Udała, że tego nie widzi.

- Cały czas nie mogę się pogodzić ze stratą Zenita. Czego by o nim nie mówić, był skuteczny. To dzięki niemu i Kiforowi wiemy, co się dzieje na granicy. Dobrze, że zdążyli wysłać pełny raport z sytuacji. Wielu ważnych kapłanów oddało życie w obronie Patri. Ty też straciłaś kuzyna, pocziwego Kadu – zwróciła się do Ling Gui. – Ich śmierć nie może pójść na marne.

- Może powinniśmy wrócić do rozmów z ich nowym Rządem? Może jeszcze nic nie jest stracone? – zaproponował nieśmiało Ali Ude.

- Może – powiedziała tonem sugerującym, że nie interesuje jej jego opinia.

Rozejrzała się. Każdy z hierarchów zrobił przerażoną minę. „Banda tchórz” – pomyślała.

- Najważniejsze, że ustały problemy wewnętrzne – powiedział Ling Gui, próbując rozładować atmosferę. – Kraciaste komnaty są wypełnione po brzegi. Gdyby protesty nadal trwały, nie mielibyśmy gdzie zamykać.

- Teraz liczy się każdy, kto potrafi unieść siriusa. Nauczmy krnąbrnych chłopów, jak się nim posługiwać. Wszystkich należy wysłać w kierunku granicy – zdecydowała Ae. – Na pierwszą linię.

- A jeśli staną przeciwko nam?

- Nie czas na drwiny. Nie wiesz, co się robi w takich wypadkach? – Ae nie kryła emocji.

- W jednej z kraciastych komnat przetrzymywany jest też człowiek z Inco, Haris Sagavara. Jego także mamy wysłać w kierunku wodospadu Pinati? – zapytał jeden ze starszyny.

Ae zaskoczyła ta informacja. Była przekonana, że Haris nie przeżył tortur, jakie mu zgotowali Kifor i Zenit.

- Nie. Znajdziemy dla niego inne zajęcie – odpowiedziała.

- Jestem przekonany, że to ostatnia szansa na wysłanie dwunastoosobowej grupy śmiałków – powiedział Xami.

Czekał w ukryciu za kotarą w komnacie Najwyższej Kapłanki Wszechziemi.

- Czy są gotowi? – zapytała. – Oczywiście. Przecież byś mi nie zgłaszał, gdybyś nie był pewny.

- Poznali smak batonów. Mają komplet informacji. Znają nazwiska, strategiczne miejsca, również te, o których nikt nie wie. Musimy tylko ułatwić im przedarcie się.

- To już załatwione. Napisałam list. Kiedy będą przekraczać granicę, czeka ich obstrzał, ale żadna z kapłanek nie trafi.

- A co z kobietami, które koczują po tamtej stronie? Nie zjedzą ich żywcem?

- Muszą sobie jakoś poradzić.

- Wiesz, że nie wrócą z tej misji, prawda?

- Od kiedy to interesujesz się tym, czy ktoś przeżyje? – zapytała i zrobiła grymas zawodu. – Mi-tu wybrał najlepszych uczniów. Najcwańszych. Mają bardzo ważne zadania do wykonania. Jeśli jednak dadzą się złapać...

- Nowa premier będzie wiedziała, że to my. Damy jej pretekst – dokończył.

- Mówiąc między nami, z radością przyjmuję każdą wojnę, która przyczyni się do wyplenienia zła – powiedziała.

Xami spuścił wzrok, jakby chciał uniknąć wymiany spojrzeń.

Nie minęło pół dnia, a Jasmin zdążyła przejść przez dzielnicę pierwszą. Marsz zakłóciły tylko trzy kontrole gardy. Bezwiednie podawała kartę, a po przeczytaniu chowała ją do kieszeni. Poza tymi incydentami nie odnotowała niczego, co wydawałoby się istotne. Całą drogę rozmyślała o życiu matki, swoim, Addama, nawet Vicky i o tym, co się stanie z Wiktozem. Karcące myśli podcinały jej nogi i stawiały coraz wyższe przeszkody. Kiedy doszła do zasieków odgradzających slumsy, zatrzymała się. Zwróciła uwagę na dziewczynkę, dość podobną do niej, kiedy była w tym samym wieku, lecz brązowowłosa. Sama bawiła się w dom szmacianą lalką przypominającą chłopca – udawała, że razem spacerują. Dziewczynka przekręcała głowę lalki w kierunku swojej twarzy i mówiła sama do siebie dziecięcym głosem, potem niby odpowiadała, ale głosem poważniejszym, prawie dorosłym. Wyglądało to na rozmowę pomiędzy matką i dzieckiem. Jasmin zatrzymała się. Stała w bezruchu, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym nagle zawróciła. Zaczęła coraz szybciej iść w kierunku przeciwnym. Potem prawie biegła, zapominając o kuli u nogi w postaci dwóch zapelnionych w połowie sakw wiszących na obydwu ramionach. Kiedy dotarła do szpitala, usiadła w poczekalni. Wyrównała oddech i na moment odpoczęła.

Wiktorzek leżał w inkubatorze. Jasmin poczuła, że na jego widok znów napływa jej pokarm do piersi. Poczuła niewyobrażalne szczęście. Chciała go przytulić najmocniej, jak tylko potrafi.

Położna była miła. Zdziwiła się na widok sakw, ale taktownie udała, że to normalne. Przekazała Jasmin wiele wskazówek, jak postępować z dzieckiem dotkniętym tą bezduszną chorobą, czego unikać, a czego pod żadnym pozorem nie wolno czynić. To były w zasadzie same zakazy. Jakby dziecku prawie niczego nie wolno było robić. Jasmin notowała wszystko, choć po chwili poczuła wściekłość, że też akurat temu chłopcu musiała się przytrafić tak niewdzięczna przypadłość. Potem zdała sobie sprawę, że gdyby nie choroba, jego matka by żyła i to ona byłaby na jej miejscu. „Biedna Vicky” – pomyślała. I wtedy znów przypominała sobie o dziewczynkach. Miała ochotę rozbeczeć się na całe gardło, lecz powstrzymał ją widok śpiącego Wiktorka. Nie mogła mu tego zrobić. Zatrzymała w sobie każdą, nawet najskuteczniej wyrrywającą się na świat emocję, która chciała obnażyć jej cierpienie. Była już wprawiona w takich bojach. Ostatnie osiem miesięcy jej życia właśnie tak wyglądało. Albo broniła się przed światem, albo przed sobą, a morze łez, które wyplakała dwa tygodnie wcześniej, przelało czarę goryczy na zawsze. „Od teraz miało być tylko dobrze” – pomyślała.

Z położną umówiły się za kilka dni na kontrolę. Wtedy też Wiktorce można będzie zamontować maskę do aplikowania szczepionek, witamin i mikroelementów. Wszak jest chłopcem, a dzieciom tej płci państwo – w ramach narodowego programu – finansowało zdrowy chów. Jasmin obiecała, że tego dnia odda położnej nosidło, które właśnie od niej pożyczyła. Było bladoszare, znoszone, ale całe. Idealne na piesze wędrówki. Jasmin wiedziała, że nie pojawi się w umówionym terminie, ale nie mogła wyjawic powodu. Z pewnością położna nie pozwoliłaby jej zrealizować planu, a być może wezwałaby jakieś służby. To byłby niepotrzebny kłopot. A tak to przynajmniej dzięki nosidłu i masce miała alibi. Mogła ruszać.

Mieszkańcy osady Litrijis otrzymali polecenie uczestnictwa w niby codziennym, choć przeprowadzonym w nietypowych okolicznościach rytuale. Taarida – nowa kapłanka odpowiadająca za ten rewir – zaprosiła wszystkich nad rzekę, w miejsce, w którym zwyczajowo palone były ogniska na cześć Patri. Tym razem palenisko wyglądało inaczej niż zwykle. W sam środek wkopany był gruby pał, a dookoła niego leżały stopy suchego drewna i wiązki łądy

rozmaitych krzewów. Na wozie, do którego przywiązane były dwa hydapi, leżało coś na kształt ludzkiego ciała okrytego narzutą. Taarida witała każdego z mieszkańców z szacunkiem – nawet tych, którzy bezczelnie wgapiali się w jej drewnianą, ciut omszałą maskę. A było na co popatrzeć. Maska była zgnilożółta z powodu nasączenia jej od czasu do czasu oleum z sirry. Dzięki temu zabiegowi nie rozsychała się ani nie ugryzł jej ząb czasu. Zajmowała prawie całą twarz z wyjątkiem niezbyt symetrycznie wyciętych otworów na oczy, przy czym prawy był większy od lewego i przebiegał lekko skośnie od wyłysiałych brwi aż po policzek. Na środku maski, mniej więcej poniżej nosa, wyżłobiony był niewielki ornament w kształcie uschniętego kwiatu dirszy. Dwie ciasne metalowe klamry opasujące głowę wyglądały na rozpinane tylko w trakcie posiłku. Zdążyły już wyżłobić blizny w kształcie bruzd w pomarszczonej skórze potylicy. Kiedy były zapięte, wyglądały jak wżarte na stałe w głowę niczym monolit. Maski nie były we Floris zjawiskiem powszechnym, ale z reguły nie przykuwały uwagi. Ta, którą nosiła Taarida, mogła wywoływać niezdrową fascynację lub nawet niepokój, ponieważ wyglądała na nieświątą.

Kiedy zebrał się już dość spory tłum rybaków, pasterzy nimo, cieśli i przedstawicieli innych wykonywanych w Litrijis zawodów, a także ich całe rodziny, Taarida odkryła ciało. Trudno było rozpoznać, kim był ten człowiek. Miał obitą, pełną sińców twarz oraz rany cięte na nogach i rękach, zabrudzone przyschniętą krwią. Oddychał, choć powoli. Był spętany sznurem raidi. Widok zmasakrowanego ciała wywołał poruszenie.

– Ten oto nieborak nazywa się Fahid Manduarra – zaczęła Taarida, patrząc poszczególnym zebranych prosto w oczy. – Jest farmerem. Przyznał się do morderstwa. Zabił kapłana Patri. To on zabił Kadu!

Jeszcze w kompletnej ciszy Taarida podeszła do wozu i chwyciła w dłoń kuszę.

– Użył tej zakazanej broni! – krzyknęła złowieszczo.

Kaaratu przełknął ślinę i wybałuszył oczy, lecz nikt nie odnotował jego przerażenia. Wśród zgromadzonych rozległy się szepty. W jednych można było wyczuć nutę krytyki, w innych – niedowierzanie. Wszystkie oczy zwrócone były w kierunku Fahida, który nawet nie drgnął. Kaaratu w duchu lamentował. Dziękował farmerowi, że go nie wydał przed Taaridą. Wszak to on sprzedał mu kuszę. Za takie grzechy należała się sroga kara. I wtedy przypomniał sobie, że nadal posiada tę bransoletę, pamiątkę po ojcu, którą Fahid chciał odzyskać. „Mogłem mu ją dać” – pomyślał i pomodlił się po cichu do Patri, by mu wybaczyła. Pozostali członkowie bractwa już nie wyglądali na buńczucznych oponentów. Wszyscy stali grzecznie przy swoich rodzinach i obserwowali, co się wydarzy, udając, że się nie znają.

– Każdy, kto podniesie rękę na Kościół, ten podniesie ją na Floris. Nie ma zgody na łamanie praw boskich. To grzech śmiertelny, a za to należy się śmierć! Widzieliście wielkie ptaki?

– Tak. – Dało się słyszeć kilka zaangażowanych, lecz wystraszonych głosów.

– Patri dała znak, że nie będzie tolerować ludzkiej głupoty. Musimy być jednością. Musimy bronić naszych granic. Musimy dbać o nasze świętości. Wróg czyha wszędzie. Czasem pod postacią ludzi z obcej krainy. Czasem pod postacią bliskich, którym się mieszka w głowie, jak temu oto nieszczęśnikowi. Czasem pod postacią pokuna!

Mieszkańcy osady zareagowali nerwowo. Jakby przywołane zwierzę oznaczało coś najokropniejszego ze wszystkich rzeczy, o których kiedykolwiek usłyszeli w swym nędznym życiu.

– Teraz ten człowiek jest dla nas mordercą – kontynuowała Taarida. – Ale miłosierna Patri daje mu szansę odkupienia. Spalenie w ofierze zgodnie z nauką Kościoła, w obecności każdego

z was, ma charakter misyjny. Dopóki ciało doszczętnie nie spłonie, nikt nie może stąd odejść. Będziemy się wszyscy modlić, by jego dusza trafiła do Diamentowego Sanktuarium. Potem zabiorę jego prochy do Asaranu, by mógł spocząć w zbiorowej mogile. Tym odkupi swe winy, a dla nas będzie symbolem, że każdy, nawet najgorszy człowiek, może odpokutować grzechy śmiertelne. Może zostać zbawiony. Czyż Patri nie jest sprawiedliwa i miłosierna?

Nikt nie zareagował. Taarida rzuciła kuszę z powrotem na wóz i zepchnęła Fahida na ziemię. Tylko jęknął. Ktoś z zebranych ruszył, by pomóc, lecz dała znak, że sobie poradzi. Chwyliła więźnia za włosy jedną ręką, a drugą za bark. Jedno szarpnięcie spowodowało, że Fahid stanął na nogi. Odprowadziła go bliżej stosu i przywiązała ciasno do białego pala. Nie opierał się. Wyglądał na człowieka, któremu było wszystko jedno. Miał nieobecny wzrok, jakby jego oczy zawiesiły się na jakimś odległym, niewidzialnym celu, sięgając o wiele dalej niż to miejsce i czas. Taarida kucnęła, wzięła dwa małe krzemienie i zaczęła trzeć nimi o siebie. Iskry spadały na najsuchszą wiązkę lodyg dirszy, lecz ogień nie chciał się zapalić. Kapłance trzęsły się ręce przy kolejnych próbach. Sapała, jakby cierpliwość nie była jej mocną stroną. Kropla potu spłynęła jej z czoła w kierunku twarzy, powodując najwyraźniej swędzenie, gdyż wściekle potarła maską po twarzy. W tym momencie jedna z iskiei zaczęła się tlić i po chwili zamieniła w płomyk. Ogień szybko rozszedł się na całą wiązkę, potem na stos drewna. Taarida wstała i westchnęła z ulgą. Fahid nadal stał w bezruchu. Oczywiście wyobraźni zobaczył swoje dzieci bawiące się na podwórku, potem ojca Mahmuda i żonę Ritę. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych. Kiedy język ognia sięgnął jego łydki, syknął krótko z bólu.

- Dzieci, kocham was. Sumi, córeczko, wybacz mi! - krzyknął, po czym zapłakał, uwalniając dotąd powstrzymywany lament zatroskanych kobiet obserwujących egzekucję.

Po chwili jego ubranie zapłonęło żywym ogniem - wyglądał jak pochodnia.

- O Patri miłościwa! - zaśpiewała Taarida, choć brzmiało to raczej jak chimeryczna karykatura.

Ludzie stali jak wryci. Ponagliła ich gestem, by włączyli się do modlitwy.

- O Patri miłościwa! - powtórzyło po niej kilka głosów.

- O Patri sprawiedliwa! - kontynuowała jeszcze bardziej makabrycznie.

- O Patri sprawiedliwa! - powtórzyło więcej głosów.

Taarida wymieniała kolejne przymioty bogini, a tłum powtarzał za nią. Ghaideng Ru, stojący z tyłu, przyglądał się bez słowa. Niby ze spokojem podpierał się o lasce, lecz dłoń mu drżała. Czuł, jakby jego język został sparaliżowany. Jakby ktoś potężny zawiązał mu supeł na samym środku i zobowiązał do nierozplątywania. Dzień wcześniej Ghaideng Ru otrzymał list od Ae, jak zwykle napisany tak, by tylko kapłan - co najmniej średniego szczebla, a najlepiej tylko on - mógł go zrozumieć. Użyła, jak zawsze w takich przypadkach, wysublimowanego, zagadkowego języka. Znał ten charakter pisma i niepowtarzalny styl. List brzmiał następująco: „Człowiek jest sam. Na ręce ma krew Litrijis”.

Były kapłan zrozumiał wyraźnie, co Najwyższa Kapłanka Wszechziemi chciała mu przekazać. Gdyby napisała „na rękach”, mogłoby to dotyczyć każdego. Skoro adresat listu był jedynym człowiekiem w okolicy, który posiadał tylko jedną rękę, wskazówka, a raczej groźba, dotyczyła właśnie jego. Oznaczała, że jeśli będzie nadal czynił coś niewłaściwego, na przykład wicherzył, nie on za to oberwie, lecz zamiast niego cała osada Litrijis. Będzie mógł w samotności patrzeć, jak giną. To on będzie winien.

Smród palącego się ciała Fahida i duszący, nieprzyjemny dym odstraszyły okoliczne ptactwo i spowodowały, że wielu mieszkańców osady zasłaniało dłońmi nosy. Zgodnie z decyzją nowej

kapłanki odpowiadającej za ten rewir czekali jednak karnie do końca, aż spłoną zwłoki mordercy jej poprzednika. Mieli zapamiętać ten dzień do końca życia.

Przejście z dzielnicy pierwszej do slumsów zajęło Jasmin niewiele czasu. Była przygotowana na najgorsze, zwłaszcza że w nosidle miała Wiktorka. Ukryła się w okolicach rozstawionych pomiędzy dzielnicami zasieków i szukała okazji. Ta pojawiła się szybko. Regularne bijatyki pomiędzy watahami, które nic sobie nie robiły z zakazu przemieszczania się, dotarły i w to miejsce. Humany gardy nie nadążały z naprawianiem symbolu granicy pomiędzy lepszym i gorszym Inco.

Prześliznęła się szybko. Pomogła jej w tym niebrzydka miedzianowłosa. To ona odgarnęła splecione zwoje kolczastego drutu, by Jasmin za maleństwem mogła przekroczyć granicę. Potem było już łatwiej, choć nie bez nerwów. Jasmin cały czas była czujna. Kiedy zbliżyła się do niej kobiety, udawała, że Wiktorek jest dziewczynką. W obawie, żeby go nie stracić, mówiła do niego czule „Wikunia”. Żadna ze wścibskich bab się nie połapała. Tego samego dnia Jasmin dotarła na kraniec cywilizacji albo, jak kto woli, do przedsonka otchłani, czyli dzielnicy trzeciej. Nie zamierzała jeszcze odpoczywać. Maszerowała dalej, choć wiedziała, że Hello niebawem skryje się za horyzontem i nastanie totalna ciemność. Chciała być pewna, że uda jej się znaleźć stosowną kryjówkę, gdzie będzie mogła odświeżyć ciało chłopca. Nie mogła pozwolić, by zaparzyła mu się skóra w szczelnym skafandrze. Na taką okazję miała przygotowany koc termiczny, który mógłby posłużyć jak izolacyjny parawan. Nie mogła jednak go używać, by nie wzbudzać podejrzeń, dlatego poszła nieco dalej w głąb kraju.

Po nakarmieniu Wiktorka i obmyciu go resztką wody zasnęła. Spała krótko. Rano obudziły ją głosy maszerujących nieopodal kobiet. Była to sześćosobowa grupa mieszkanek pierwszej dzielnicy. Wyglądały na majątne, były ładnie ubrane i zadbane. Kiedy się poruszyła, obudził się Wiktorek i zaczął marudzić. Kobiety zwróciły uwagę na ten incydent, lecz nie zatrzymały się. Wędrowały dalej. Jasmin nakarmiła chłopca, sama zjadła batona i ruszyła w tym samym kierunku co one. Nie mogła popić wodą, gdyż fikuśny skraplacz do jej produkcji odmówił posłuszeństwa – nie zadziałał w suchym klimacie. Była trochę zawiedziona, lecz uznała, że szybko uda jej się odnaleźć wodę.

Droga przez trzecią dzielnicę okazała się katorgą. Było gorąco, powietrze było suche, a Wiktorek regularnie przypominał o sobie płaczem. Wody nadal nie było. A jednak Addam miał rację w kwestii skraplacza. „Co za debil wymyślił urządzenie działające na promienie Hello? Przecież wilgotne powietrze pojawia się tylko nocą, a wtedy Hello nie świeci” – wkurzała się. Dzień później, rankiem, zauważyła, że na sakwie przez noc zebrało się trochę rosy. Wykorzystała każdą kroplę na zmoczenie ust dziecku, a resztę zlizwała. Tego samego dnia, wieczorem, rozłożyła na noc koc termiczny, by uzyskać więcej wody. Udało się. Kolejnego ranka na całej jego powierzchni dostrzegła mrowie wilgotnych kropli. Była tak szczęśliwa, jakby na swoim koncie zobaczyła milion bytów lub co najmniej odkryła nową planetę. Kiedy jadła batona, zauważyła, że musi oszczędzać, bo szybko się kończą. Po nakarmieniu Wiktorka z entuzjazmem ruszyła dalej. Tego samego dnia dotarła do brzegu martwego jeziora. Odpoczywała przy nim grupa kobiet. Tym razem wyglądały dość podobnie do starszej watahy, która ostrzyła sobie zęby na widok jej i Addama, kiedy byli w slumsach. Jasmin podeszła ostrożnie bliżej brzegu. Wyjęła pojemnik ze skraplacza, by nabrać świeżej wody z jeziora.

- Lepiej tego nie rób - powiedziała żółtowłosa w wieku pięciu oczyszczeń i wskazała gestem wymiotujące kobiety schowane za wielkim głazem.

Jasmin klapnęła z bezsilności na dość łagodnej powierzchni kamienia leżącego tuż przy brzegu.

- Nie dam już rady - powiedziała.

- Dlaczego idziesz sama? - spytała żółtowłosa i podała wypitą do połowy butelkę z wodą marki Pearl.

Jasmin wypita łączywie spory łyk, po czym oblizwała usta, by nie zmarnować ani kropli.

- Nie przejmuj się, mam jeszcze kilka. - Pokazała pełną sakwę. - Pracowałam w fabryce wody.

- Fabryce? To ona nie jest importowana? - zdziwiła się Jasmin.

Żółtowłosa uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową.

- Jestem Luka - powiedziała żółtowłosa.

- Jasmin. A to Wikunia. - Spojrzała czule w kierunku Wiktorcka.

- Co jej jest? - zapytała Luka, pokazując nietypowy skafander, którym był okryty.

- Ma hipohydrotyczną dysplazję ektodermalną. To zbyt rzadka choroba, żeby się opłacało wymyślać lekarstwo.

Luka uciekła wzrokiem i pokręciła głową, jakby powstrzymywała swą chęć skarcenia młodszej kobiety. Jasmin nie powinna była narzekać. Wszak wiele kobiet nigdy nie pozna uroków macierzyństwa.

- Możesz iść z nami, jeśli chcesz - zaproponowała Luka.

- W życiu! - zareagowała przyglądająca się Jasmin inna slumerka. - Będzie nas opóźniać, a bachor będzie się darł.

- Idźcie sami - powiedziała Jasmin.

- Spadaj, tępa dupo - wstawiła się Luka. - Nie słuchaj jej - zwróciła się do Jasmin.

Po krótkim odpoczynku kobiety ruszyły dalej. Jasmin szła jakieś kilkadziesiąt kroków za grupą. Luka z troską zerkła od czasu do czasu, czy matka z dzieckiem się nie zagubiła.

Twardy jak beton skalisty step czwartej dzielnicy dał wszystkim niezłe w kość. Żadna z kobiet nie była gotowa na taki rodzaj podłoża. Musiały zrobić kilka przerw, by opatrzyć nogi, zakleić plastrami pęcherze i odciski. Kiedy minęły energetyczny labirynt, jeszcze przed pasmem górskim, ich oczom ukazał się niecodzienny widok. Po jego drugiej stronie na ziemi leżały dziesiątki nadpalonych zwłok różnych gatunków zwierząt, które najwyraźniej niewinnie chciały przekroczyć granicę pomiędzy krajami, ponieważ dla nich ona nie istniała. Najwięcej było trucheł ptaków moree i stworków raidi. Kobiety miały świadomość skutków bariery ochronnej, lecz oglądanie ich na żywo, a także nieprzyjemny, duszący zapach unoszący się w powietrzu na długo pozostał w ich pamięci.

- Przynajmniej wiemy, że granica jest już niedaleko. - Luka starała się odnaleźć jakiś pozytywny w przygnębiającej chwili.

Pasma górskie, które pokonywały dwa dni później, okazało się najpoważniejszym wyzwaniem, nawet dla wyćwiczonych w marszu mieszkanki Inco. Pierwsze dwa dni wspinaczki spowodowały tylko ból w udach. Potem wędrówka przez pół dnia po oblodzonej powierzchni grani umordowała golenie. Kolejne półtora dnia w dół po śliskich zboczach dodatkowo nadwężyło kolana i stawy skokowe. Po tym wyczerpującym etapie kobiety zrobiły dzień przerwy na regenerację. Zresztą w niebyle jakim miejscu. Po drugiej stronie gór ujrzały źródło Ethne oraz pierwsze oznaki nowego życia - roślinność. Najpierw sporadyczna,

z każdym kolejnym krokiem stawała się coraz bujniejsza i bardziej kolorowa. Wnętrze Szklanej Kopyły, które dotychczas każda z kobiet uważała za cud natury, okazało się kupą chwastów w porównaniu z bezmiarem obficie rozrośniętych krzewów, hojnie obdarzonych kwiatami. Usiadły na miękkim poźółkłym mchu. Jasmin zwróciła uwagę na owady, które jakimś cudem przedostały się z Floris, lecz najwyraźniej nie zamierzały już nigdzie się ruszać. Tym bardziej pchać się, gdzie ich nie proszono. Kobietom, które nigdy wcześniej nie obcowały z przyrodą, trudno było wyruszyć w dalszą drogę. Na zazwyczaj smutnych, nieprzejednanych buziach slumerek pojawiły się oznaki błęgiego szczęścia. A tego typu reakcja w miejscu, gdzie dotychczas mieszkaly, mogła być odebrana jako oznaka słabości. Tu żadna się nie krępowala. Jasmin pomyślała, że wyglądają zabawnie. Polubiła je za tę szczerość.

Im było bliżej granicy, tym kobiety częściej widywały inne grupy, a także latające po niebie tam i z powrotem maszyny, rejestrujące wszystko. Obraz z kamer umieszczonych pod ich brzuchami był regularnie wyświetlany w gabinecie Noovack. Na twarzach członkiń Rządu, które od wielu dni praktycznie bez przerwy debatowały, widać było różne emocje. Począwszy od ekscytacji Tatarczyny poprzez lekkie podniecenie Gibbondy, a skończywszy na obawie Davis. Noovack od dawna wiedziała, co musi zrobić.

Grupa kobiet ze slumsów połączyła się z kolejną, mniej liczebną, tworząc watahę. Wśród nich znajdowała się Jasmin z Wiktorkiem w nosidle. Od kilku dni wędrowały wzdłuż Ethne, która ze źródła zamieniła się majestatyczną, szeroką na dwadzieścia łokci rzekę. Wiła się spokojnym nurtem, prawie bezszelestnie. Marsz kobiet stał się wreszcie całkiem przyjemny, zdecydowanie lepszy niż ten przez pasmo górskie. W pewnym momencie dało się słyszeć niespotykany wcześniej odgłos, jakby spokojna dotychczas rzeka gdzieś tam w oddali napotykała opór. Jakby coś wyzwoliło szum z kajdan spokoju, którymi był spętany. Im bardziej zbliżały się do niego, tym było głośniejsze. W końcu wataha dotarła do miejsca kulminacji wszystkich szumów, tak głośniego, że nie słychać było własnych myśli. Jakby cała woda ze wszystkich kranów Inco lała się naraz wieloma strumieniami do jednej małej kałuży. Tu rzeka traciła swą głębokość na rzecz wartkości. Zaczęła rozgałęziać się na boki, tworząc wielopalczystą deltę, na końcu której nie było widać niczego oprócz mgły. Zaciekawione kobiety zrobiły jeszcze kilkadziesiąt kroków, by zobaczyć, co się za nią kryje.

I wtedy ujrzały wodospad Pinati. Był wysoki na czterdzieści łokci i szeroki na prawie sto. Jego krawędź porośnięta była żółtym mchem i soczyscie zielonymi kępami wodnej trawy. Po przecięnięciu się pomiędzy ostrymi krawędziami skał granatowa woda spadała pionowo do głębokiego zbiornika, w którym pływały kolorowe ryby różnej wielkości. Tam woda zmieniała barwę na turkusową. Jej rozproszone krople wyzwały mgielkę chłodnego ukojenia, odczuwalną nawet z dużej odległości. Zanim woda wyruszyła w dalszą podróż do tamy i sztucznego zbiornika po stronie Floris, musiała pokonać tor przeszkód pomiędzy omszałymi głazami, a potem pognać przez kilka meandrów kanionem o stromym, klifowym brzegu.

Wszystko dookoła pachniało świeżością, powietrze było krystalicznie czyste. Jasmin nie potrafiła złapać oddechu, tak była oczarowana bezmiarem cudowności. Zakochała się w tym miejscu. Nie przeszkadzał jej nawet fakt, że raj – tak pomyślała o tym zakątku – był zbezczeszczone mrowiem kocujących przy brzegu bab. Urządziły tam sobie jeden wielki biwak. Oczekiwały na rozwój wypadków. Jakby liczyły na cud, wierząc, że uda im się łatwo przekroczyć granicę, która przebiegała dosłownie pięćset łokci w dół rzeki. Kobiet – zarówno

slumerek, jak i tych lepiej odzianych, pochodzących z pierwszej dzielnicy – było tysiące. Wiele z nich przybyło całymi rodzinami, klanami czy watahami. Pełen przekrój wiekowy – począwszy od małych dziewczynek, skończywszy na dojrzałych babciach. Wszystkie skusiła perspektywa nowego życia.

– Jasmin? Jasmin! – Słychać było nawoływanie, które usiłowało wydobyć się ponad rozgadany tłum koczujących.

Właścicielka imienia rozejrzała się, lecz nie mogła dojrzeć nikogo, kto mógłby ją znać. Po chwili w mrowiu ludzi zobaczyła jedną machającą postać. Zaczęła się jej przyglądać, kiedy kobieta przedzierała się coraz bliżej.

– Szukam lepszego życia – powiedziała Tarya, kiedy przywitały się czule. – Mąż mnie wyгнаł, ma inne kobiety.

Jasmin pomyślała, że powinna dopytać o szczegóły. Zdała sobie jednak sprawę, że to tylko zmaciliby serdeczną atmosferę tej chwili. Uśmiechnęła się z wyczuwalną empatią.

– A ty? Czego szukasz we Floris? Jak ma na imię twój synek? – zapytała ni stąd, ni zowąd Tarya. – Mówiłam ci, że będzie chłopak jak marzenie.

W kierunku matki trzymającej dziecko powędrowało wiele nieufnych spojrzeń. Poczuli się obryzgana masą uszczypliwych pytań, które wdzierały się przez skórę do jej wnętrza. Na twarzach towarzyszek z watahy pojawiły się też grymasy – jedne wyglądały karcąco, inne obnażały myśli nasączone podłością. Jasmin nie miała pomysłu, jak zareagować. Skryła się za zasloną milczenia, choć była świadoma, że wraca na ścieżkę niefartu.

Nowy apartament Gibbondy był podzielony na sektory: mieszkalny, służbowy i bardzo prywatny. Tak je nazywała. Mieszkalny składał się z wielkiej sypialni z rozłożystym puchatym łóżem, chłodziwa wypełnionego butelkowaną wodą, bogato wyposażonego pomieszczenia regeneracyjnego oraz przestronnej garderoby pełnej strojów na każdą okazję. W sektorze służbowym znajdowały się: małe biuro, wygodna salka do oglądania teatromanii, w różnych warunkach i pozycjach, oraz laboratorium, gdzie gospodyni przeprowadzała w miniaturowej skali wszelkiej maści testy i eksperymenty. Trzeci, bardzo prywatny, sektor wyglądał jak pomniejszone dwa pierwsze. To znaczy, też były tam sypialnia, chłodziwo, laboratorium czy garderoba, ale wszystkie pomieszczenia miały powierzchnię z reguły o połowę mniejszą. Gibbondy najchętniej przebywała w sektorze trzecim. To właśnie do niego zaprowadziła tego wieczoru na codzienne harce trzy znajome osoby wyglądające na dwa i pół oczyszczenia.

– Mocniej – zwróciła się szeptem bosa i półnaga Gibbondy do łysej, zgrabnej slumerki okładającej ją śliskim biczem.

Młoda kobieta wykonała polecenie i uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Jeszcze raz – powiedziała cicho przez zaciśnięte zęby Gibbondy.

Kobieta oblizła się lubieżnie i chlasnęła ponownie, zostawiając kolejny ślad na pokrytych bliznami plecach Minister Zdrowia. Czerwień ran na tle bladej skóry gospodyni wyglądała potępięczo nawet w źle doświetlonym pomieszczeniu regeneracyjnym. W tym momencie druga młoda osoba, wyglądająca jak funkcjonariuszka UKP w pełnym rynsztunku, uderzyła Gibbondy pięścią w brzuch. Gospodyni zwinęła się z bólu, lecz nie pisnęła ani słowa. Nagle trzecia – w stroju imitującym humana gardy, ze sterczącymi fioletowymi włosami i z kilkoma okrągłymi, metalowymi wszywkami na twarzy, kopnęła ją buciorem w goleń, dodając sobie animuszu krótkim okrzykiem.

- Co ty jesteś, niedorozwinięta? - zapytała niby szeptem Gibbondy, ale brzmiało to, jakby wrzasnęła. - Mówiłam, że macie być cicho.

- No już, daj spokój, Claire. Mąż cię zjebie? - spytała ta wyglądająca na funkcjonariuszkę UKP.

Gibbondy zmrużyła oczy, zacisnęła usta i przenikliwie spojrzała w kierunku dziewczyny.

- Czy ja wyglądam na osobę, która potrzebowałaby męża, durna pała? - zapytała dość cicho. - Wynocha. Na dziś wystarczy.

Wszystkie trzy młode kobiety posłusznie opuściły miejsce zabaw. Gibbondy rozmasowała bolącą goleń i narzuciła szorstki, sprany szlafrok. Podeszła w kierunku drzwi z symbolem zagrożenia biologicznego. Kiedy je uchyliła, okazało się, że oznakowanie miało tylko zmylić potencjalnych intruzów. W środku zamiast minilaboratorium znajdowała się kolejna sypialnia. Oprócz wykonanego z czarnych prętów poczwórnego łoża stały tam jego trzy miniaturki - dziecięce łóżeczka z szarymi baldachimami. W każdym z łóżeczek spało smacznie jedno niemowlę przykryte kołderką.

- Moje ładniutki - zwróciła się szeptem do całej trójki, szczerząc nierówne zęby. - Mamusia was kocha.

- Druga mamusia też was kocha - powiedziała wchodząca do sypialni Ana Mariya. - Dobrze się bawiłaś? - zwróciła się niepewnym głosem do Gibbondy.

Gospodyni drgnął lewy kącik ust, jakby była zadowolona z zazdrosnego tonu głosu Any.

Niebrzydka żółtowołosa w wieku czterech oczyszczeń podeszła do Gibbondy i stanęła naprzeciwko niej. Spojrzały sobie prosto w oczy. To wyglądało jak pojedynek na miny. Nagle obydwie rzuciły się sobie w ramiona i zaczęły żarliwie całować, jakby chciały się pogryźć.

- Wreszcie nie musimy się ukrywać - wyszeptała Ana.

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Rozdział 13.](#)

[Rozdział 14.](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 18.](#)

[Rozdział 19.](#)

[Rozdział 20.](#)

SERIA DWUŚWIAT

W. & W. GREGORY



W. & W. Gregory

DWUŚWIAT
KSIĘGA I - Przedwojnie



W. & W. Gregory

DWUŚWIAT
KSIĘGA II - Pokun



W. & W. Gregory

DWUŚWIAT
KSIĘGA III - Tymczas



W. & W. Gregory

DWUŚWIAT
KSIĘGA IV - Odnowa

NIE ZAPOMNIJ PODZIELIĆ SIĘ OPINIĄ NA TEMAT KSIĄŻEK AUTORA
NA SWOIM ULUBIONYM PORTALU Z KSIĄŻKAMI.

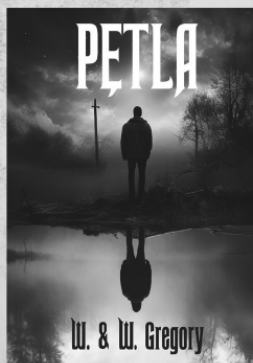
WYDAWNICTWO
OPENER



JEŚLI SPODOBAŁA CI SIĘ TA KSIĄŻKA,
KONIECZNIE SIĘGNIJ PO INNE POZYCJE AUTORA.

Do czego może doprowadzić
brak czasu dla dziecka?

POWIEŚĆ
SPOŁECZNO-OBYCZAJOWA



Gdybyś dostał drugą szansę?

POWIEŚĆ
PSYCHOLOGICZNO-SPOŁECZNA

NIE ZAPOMNIJ PODZIELIĆ SIĘ OPINIĄ NA TEMAT KSIĄŻEK AUTORA
NA SWOIM ULUBIONYM PORTALU Z KSIĄŻKAMI.

WYDAWNICTWO
OPENER

